

Wybór jest tylko złudzeniem...

**BARTŁOMIEJ
BASIURA**

RESET

powieść kryminalna

VIDEOGRAF

**BARTŁOMIEJ
BASIURA**

RESET

V I D E O G R A F

SPIIS TREŚCI

Strona tytułowa

Od autora

Prolog

Część pierwsza - INTERWAŁ

1 2 3 4

Część druga - CHORA PODSTAWA

1 2 3 4 5

Część trzecia - OPERACJA

1 2 3 4 5 6

Część czwarta - TIK INTERWAŁ TAK

1 2 3 4

Część piąta - NIC DO STRACENIA

1 2 3

Epilog

Podziękowania

Od autora

Podobno prawdziwego mężczyznę poznaje się nie po tym, jak zaczyna, ale jak kończy. **Waga** rozpoczęła w moim życiu zupełnie nowy etap, to już nie jest wyłącznie kwestia satysfakcji czy samospelnienia.

Wciąż słyszę pytania o motywację, skąd wziął się pomysł na pisanie, dlaczego to robię. Przyznaję się, że to przede wszystkim moje tchórzostwo. Proszę, poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale każdy z nas w jakiś sposób ucieka. Jedni znajdują odskocznię w pracy, podejmują kolejne wyzwania, które oddalają widmo pochylenia się nad swoim prywatnym życiem. Inni szukają szczęścia gdzie indziej. Pisanie pozwala mi ułożyć to, co należy zdefiniować jako chaos, dopowiedzieć niedokończone, znaleźć odpowiedź i funkcjonować dalej.

Reset to obiecana kontynuacja, a zarazem świat bez przeszłości, z nadzieją na inną przyszłość. Zapraszam w podróż bez kłamstw i wzajemnego podkładania nóg, gdzie nikt nie rozlicza z tego, co było, ale też nie pozostawia miejsca na wyrozumiałość.

Życie jest tylko jedno, postanowiłem jednak przystąpić do napisania kolejnej książki, bo ucieczka jest rozwiązaniem, które ma swoje granice, a smutna byłaby konkluzja za kilkadziesiąt lat, że nasze życie było nieustanną próbą normalności, która zakończyła się porażką. Tym razem książka nie jest ucieczką, a stanowi rozwiązanie.

Jak zwykle życzę miłej lektury, cieszę się, że znowu się widzimy, tym razem w świecie fikcji, gdzie wszystko zależy tylko od nas...

Prolog

26 stycznia

Ogarnął go niepokój. Był późny wieczór. Ryglewicz znalazł się w izolatce bez okien.

Siedział na łóżku, oparty plecami o chłodną ścianę. Miał otwarte oczy, tylko tak potrafił zapanować nad bólem. Bo choć wszystko się udało – Y_28K był martwy, Anton zadowolony z wykonania zadania, bieżące sprawy zakończone – czuł się po prostu niedobrze.

Długo pracował na ten sukces, dowiódł swego, udowodnił, że jest zdolny do poświęceń, zdobył swoje trofea. Było tylko jedno zadanie, które oddał w ręce osoby trzeciej. Zaufał komuś, a zdarzało się to na tyle rzadko, że nie potrafił teraz zachować spokoju. Bo co, jeżeli coś poszło nie tak? Czy M_36K wciąż żyje? Czy udało się dopełnić kolekcję? To miało być podsumowanie całego przedsięwzięcia, ostatnia nagroda, na którą tak długo czekał.

Kolejny atak bólu. Jutrzejszego dnia miał odbyć się najtrudniejszy egzamin z jego spokoju i wytrwałości. Tak wiele nieporadnych A_, których wysokie mniemanie o sobie zdecydowanie przewyższało ich własne możliwości. Chciał się położyć i zamknąć oczy, ale bał się snu, bo temu towarzyszyły wspomnienia, które stanowią słabość, zwykłą pieprzoną ludzką słabość. A on był przecież ponadprzeciętny. On został stworzony do wyższych celów.

Na szczęście był w domu. I tak by tutaj trafił. Trwałoby to

dłuższą chwilę, ale nie stanowiłoby większego problemu. Areszt na Montelupich – miejsce, które analizował przez wiele długich, zimowych nocy. Wszystko po to, by być gotowym. Znał na pamięć personalia funkcjonariuszy Służby Więziennej. To nie były kable, czyste kurwy. Zaznajomił się z przebiegiem dnia, słabymi punktami zabezpieczeń, jak również procedurami odwiedzin więźnia. Areszt na Montelupich szczylił się tym, że jeszcze nikt stąd nie uciekł. To było wyzwanie, Ryglewicz je uwielbiał, ale zdecydowanie bardziej cenił zwycięstwo intelektualne.

Takiego więźnia jak on jeszcze nie mieli. Ten, którego nikt nie nienawidził, którego tak naprawdę nikt nie znał. W świecie, gdzie informacja jest bezcenna, takie położenie to przywilej, z którego zamierzał korzystać aż do momentu, kiedy ból stanie się przekleństwem.

Był gotowy zmierzyć się z tym wyzwaniem.

W końcu życie jest tylko jedno...

Część pierwsza

INTERWAŁ

13-14 lutego

*Gdy światło podkreśla to, co próbuje uwydatnić reżyser,
ciemność stanowi narzędzie wirtuoza.*

1

Edyta Kotarska powoli otworzyła oczy. Nie wysilała się, żeby cokolwiek sobie przypomnieć, korzystała z przywileju, że nikt nie miał wobec niej oczekiwań. Znajdowała się w szpitalu, kilka godzin temu odzyskała przytomność, lekarz zadał jej kilka pytań, ale od tamtego czasu nie zakłócano jej spokoju.

Obok łóżka siedział Adam, jej mąż. Zamknęła oczy i udawała, że śpi. Miała mnóstwo pytań, ale bardziej był jej potrzebny odpoczynek. Czuła się bezsilna, jej mięśnie były wiotkie, nie mogła nawet poruszyć ręką.

Gdzieś tam była przeszłość, nie wiedziała, co się stało, ale wkrótce miała zostać uświadomiona. Kobięca intuicja podpowiadała jej, że to nie było nic, na co powinna czekać. Pierwszy szok minął. Bezskutecznie próbowała sobie cokolwiek przypomnieć. Pamiętała swoje imię, wiedziała, że pełni funkcję zastępcy dyrektora w Areszcie na Montelupich, bez problemu poznała męża. Dowiedziała się, że dzisiaj jest trzynasty lutego. Była nieprzytomna przez ostatnie dwa tygodnie. Nie myślała o tym, co wydarzyło się przez ten czas, jak wiele ją ominęło, stan niewiedzy oznaczał w tym przypadku spokój.

Miała dziwne przeczucie, że jej obecność w szpitalu to nie wynik jakiegoś nieszczęśliwego wypadku. Tuż przed drzwiami sali szpitalnej, w której właśnie się znajdowała, siedział funkcjonariusz policji. Były więc dwie możliwości – albo jego zadaniem była ochrona związana z grożącym jej niebezpieczeństwem, albo popełniła przestępstwo. Obecność

Adama sugerowała pierwszą opcję, bo inaczej nie pozwoliliby mu tutaj być, tym bardziej teraz, kiedy odzyskała przytomność.

– Jak się czujesz? – zapytał Adam.

Chciała podnieść palec i wskazać na szklankę wody na stoliku, ale musiała ograniczyć się do błagalnego spojrzenia w jej stronę. Na szczęście kochany mąż zrozumiał.

Nie знаła odpowiedzi na jego pytanie. Nic jej nie bolało, problem sprowadzał się do luk w pamięci. Cholera! Jej głowa po prostu była pusta. Może to był normalny stan po kilkunastodniowej śpiączce. Nigdy się nie interesowała medycyną, ale takie wytłumaczenie wydawało jej się najsensowniejsze.

Z trudem upiła niewielki łyk wody. Poczowała ulgę. Adam złapał ją za rękę i spojrzał na nią z troską.

– Cieszę się, że jesteś. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak wszyscy się o ciebie martwili.

Edyta powoli pokiwała głową. Nie wiedziała, od czego zacząć. Wskazała na policjanta. Jej mąż zmarszczył czoło.

– Wiele się wydarzyło, ale teraz się nie przejmuj, już nic ci nie grozi. Wszystko będzie dobrze.

Już nic ci nie grozi... To nie był odpowiedni dobór słów.

– Co się stało? – zapytała, z trudem rozpoznając swój głos.

– Odpocznij, nadejdzie czas, kiedy wszystkiego się dowiesz, teraz nie zwracaj sobie tym głowy.

Adam spuścił wzrok, zły znak. Edyta mogła obwiniać tylko siebie, mogła to pytanie odwlec w czasie. Niczego się nie dowiedziała, a do głowy przychodziły jej w tej chwili same czarne scenariusze. Zamknęła oczy. Sen był zdecydowanie bardziej konstruktywną opcją na spędzenie wieczoru.



Wziął głęboki oddech. W końcu był sam. Zbliżała się szesnasta, ale wiedział, że ten dzień szybko się nie skończy. Od świtu do nocy przesiadywał w pracy, a gdy wracał do domu, myślał o kolejnym dniu zawodowych wyzwań. Kiedyś był zwykłym urzędnikiem, a wyrobienie ośmiu godzin w biurze stanowiło wystarczającą podstawę do otrzymania pensji. Przeklinał w myślach chwilę, kiedy postanowił przyjąć posadę doradcy premiera. Nikt nie sprawdzał, czy Tadeusz Markiewicz faktycznie był w pracy, chodziło wyłącznie o rezultaty, za które przypisywano mu odpowiedzialność. Nie trzeba być geniuszem, aby dojść do wniosku, że w polityce coś takiego jak optymalny efekt nie istnieje, bo zawsze znajdzie się strona pokrzywdzona.

Miał pięćdziesiąt sześć lat, trójkę dzieci, które trochę za szybko uwierzyły w swoją dorosłość, no i jeszcze kochaną żonę, która kilka miesięcy temu odeszła na wcześniejszą emeryturę i zamarzyła jej się druga młodość. A Markiewicz po prostu pracował. Tłumaczył sobie, że taka jest jego rola, że ktoś musi zarobić na wymysły żony, że trzeba mieć oszczędności, gdy dwudziestodwuletni syn oświadcza, że będzie miał dziecko, albo córce brakuje, bagatela, kilku tysięcy do kupna samochodu.

Funkcja, którą sprawował, miała również drugie dno. Polityka była dla niego plasteliną, kolejne frakcje dochodziły do władzy, zmieniały się twarze, ale pewne rzeczy musiały się ostać, wszystko po to, aby zachować transparentność i ciągłość systemu. Tadeusz z każdym kolejnym miesiącem pracy coraz mocniej odczuwał brzemień wiedzy. Gdyby mógł wybierać, wolałby o wielu rzeczach nigdy się nie dowiedzieć. Dochodziło do tego przeświadczenie, że jest niemożliwe, aby wszystko pozostało za kurtyną. Jedno słowo albo usłyszane zdanie mogłoby zrujnować jego życie. Nauczył się bardzo wiele, przede wszystkim ograniczonego zaufania.

Dwulicowość ludzi nie znała granic, a w świecie polityki wszystko było spotęgowane. Wychodził z założenia, że z każdym można się dogadać, znaleźć kompromis, jednak miał do czynienia z bandą idiotów, wobec których konstruktywne argumenty były tylko płonną nadzieją.

Przez pewien czas oszukiwał się, że to się poprawi. Ograniczył do minimum kontakt z politykami, zwerbował kilku młodych wilków, którzy w jego mniemaniu stanowili jedyne rozwiązanie. Świeży umysł, niespaczony światem interesów i ustawianych głosowań, gdzie jedno się mówi, a drugie robi. Lobbing do potęgi minus dziewiętej. Jego koncepcja miała jeden słaby punkt – doświadczenie, którego ci młodzi zwyczajnie nie mogli posiadać, które można było zdobyć, ale był to czasochłonny proces.

Doradca. Ten, którego nie widać, który posiada ekspercką wiedzę, śledzi aktualną sytuację, analizuje to, na co politycy czasu nie mają, który sugeruje, ale nigdy nie decyduje. System ten miał wiele mankamentów, ujawniających się, gdy doradzało się osobom, dla których logika była zachwiana u samych podstaw.

Tadeusz Markiewicz był mistrzem drugiego planu. Wcale mu to nie przeszkadzało, nigdy nie był dobry w wystąpieniach publicznych, nie należał do osób wyróżniających się, a wystarczało mu, gdy jego charyzma była doceniana przez najbliższych współpracowników.

Tak naprawdę jedyną osobą, której podlegał, był aktualnie sam Prezes Rady Ministrów, Radosław Janiszewski, który wywodził się z jednej z prawicowych partii. Wybór Janiszewskiego stanowił wynik kompromisu pomiędzy trzema partiami, które stworzyły po ostatnich wyborach koalicję. Nie był żadnym liderem, wcześniej pełnił jedynie funkcję wiceprzewodniczącego partii, związany był ze światem nauki, zasłynął w dziedzinie socjologii, może właśnie

dlatego był postrzegany jako marionetka. Zresztą słusznie.

Markiewicz stracił rachubę czasu, nie był pewien, od jak dawna tutaj pracował. Niejednokrotnie był pytany o preferencje polityczne i zawsze przedstawiał się jako niezależny doradca. Patrzył na dany problem, odkładając na bok własne przemyślenia, przyjmował rolę obiektywnego obserwatora. Właśnie to w jego mniemaniu stanowiło powód, dla którego tak długo się utrzymał.

– Przybył Frederic Jansen – usłyszał przez głośnik telefonu sekretarkę. – Mam go wpuścić?

– Za trzy minuty – odpowiedział, patrząc na zegarek.

Cenił punktualność, oznaczała szacunek dla drugiego człowieka. Jansen nigdy go w tej kwestii nie zawiódł.

Tadeusz oparł ręce o blat biurka i podparł głowę. Nie było tutaj mowy o gremium doradców, sprawa Insight była jedną z najsilniej strzeżonych tajemnic państwowych. Markiewicz w trakcie powstawania tego projektu ściągnął do Polski specjalistę, Frederica Jansena. To, czego obawiał się przez ostatnie lata, właśnie miało miejsce. Jego dziecko weszło w etap buntu i stracił nad nim panowanie. Premier nawet nie wiedział, co się dzieje, a Markiewicz szczerze wątpił, żeby Janiszewski w ogóle słyszał o istnieniu Insight, ale jeśli przypuszczenia Tadeusza się potwierdzą, wkrótce będzie musiał się dowiedzieć, a będzie to miało formę terapii szokowej.

– Witaj, Fredericu. – Podeszedł i uścisnął jego rękę. Czuł szacunek do tego człowieka, choć to właśnie Jansen sprawił, że Polsce groziło niewyobrażalne niebezpieczeństwo.

– Wzywałeś mnie. – Szef Insight, jak zwykle bez zbędnych uprzejmości, spojrział na niego wymownie i zajął miejsce przy biurku. – Zapalisz? – Wyjął pudełko z cygarami.

Markiewicz pokręcił przecząco głową. Nigdy nie przepadał za

gadżetami bogaczy, nie palił papierosów, tym bardziej cygar. Lata temu zdarzyło mu się zasmakować maryški, ale uważał to za zwykły młodzieńczy wybryk.

– Obawiam się, że będziemy widywać się coraz częściej. Dobrze wiesz, że zdarzyło się zbyt wiele, aby można to było bagatelizować. Na nas spoczywa odpowiedzialność...

– Chrzanisz.

Tadeusz przyzwyczał się do takich zagrywek Jansena. Częstotliwość wulgaryzmów w rozmowach polityków była taka sama jak w trakcie pogawędek Mietka i Waldka spod monopolowego we wsi, której trudno byłoby szukać na jakiegokolwiek mapie.

– Nie chrzanię, ratuje nas tylko to, że niewiele osób wie o Insight. Przez ostatnie lata nie miałem żadnych uwag do twojej pracy, ale teraz przestałeś nad tym panować...

– Przygotowałeś wypowiedzenie? – Gość mówił bez cienia emocji na twarzy.

– Zawsze cię broniłem, poprosiłem cię o przyjazd, bo chcę to wszystko naprawić. Dobrze wiesz, że nikt cię nie ruszy. Jeżeli jest tutaj ktoś, kto rozdaje karty, to jesteś nim ty.

Schlebiał mu celowo. Markiewicz przewidział kilka awaryjnych scenariuszy, gdyby plan doskonały ówczesnego rządu okazał się wadliwy. Zarząd Insight składał się z trzech osób i nikt nie sądził kilka lat temu, że Jansen wprowadzi autorytatywne rządy, ograniczając władzę pozostałej dwójki do funkcjonowania na papierze.

– Insight musi istnieć, w tej kwestii jesteśmy zgodni. – Frederic spojrział na niego wzrokiem niedopuszczającym sprzeciwu.

– Stworzyliśmy zabójczą broń.

– Policja jest nieszkodliwa. – Jansen prychnął z pogardą.

– Może i tak, ale również tam znajdzie się kilku sprawiedliwych, którzy mogą nam pomieszać szyki.

Tadeusz był świadomy, jak działa system, którego był współzałożycielem. Wstydział się tej wizji. Efekt uboczny polegał na chorym lęku, że ściany mają oczy. Technika się zmieniała, istniały sposoby wykrywania podsłuchów, były jednak również urządzenia, które zostały stworzone, aby były niezauważalne. Ten chory lęk prowadził do błędnego koła.

– Konkrety. – Jansen przeciągnął się na krześle i spojrział na zegarek. Wbrew pozorom brakowało w Kancelarii Premiera takich osób jak Jansen, bo większość przyjęła taktykę długich wypowiedzi, które może i pięknie brzmiały, ale ich wartość merytoryczna była zerowa.

Markiewicz wziął głęboki oddech.

– Czy to prawda, że zabiłeś tych pracowników?

– Tak.

– Masz do dodania coś więcej? – Tadeusz był przygotowany na taką odpowiedź, ale mimo to wyzute z emocji zachowanie Jansena było paralizujące. I jeszcze te oczy, chłodny wzrok.

– Mój system rekrutacji zawiódł, ale przyznałem się do błędu i zlikwidowałem niebezpieczeństwo.

Tadeusz wytrzeszczył oczy.

– Są inne sposoby niż zabójstwo.

– Mylisz się. Są po prostu osoby, które nie mają jaj, aby to zrobić.

– A dla ciebie to jest tylko kwestia posiadania jaj? – Markiewicz zachował kamienną twarz.

– Dla mnie to kwestia wadliwych pracowników. Jestem profesjonalistą, nic więcej.

Potrzebował dłuższej chwili, aby odpowiednio dobrać kolejne

słowa. Gdyby nie cenili Jansena, nie sprowadzałyby go do Polski w celu założenia Insight. Nigdy nie pomyślałyby, że ten człowiek mógłby kogoś zabić. Biorąc pod uwagę kryteria Frederica, Markiewicz nie miał jaj.

– Mam plan, ale konieczny jest kompromis, bo tylko wspólnie możemy to naprawić...

– Cały czas chcesz coś zmieniać, chyba się nie rozumiemy. – Jansen przerwał mu w pół zdania. – Tutaj nie ma miejsca na wprowadzenie jakiegoś tymczasowego komisarza albo wymianę personelu.

Tadeusz omal nie zadał pytania „dlaczego?”, ale zdążył się ugryźć w język.

– Zaproponuj rozwiązanie.

– *Status quo*.

Markiewicz zaśmiał się. Rozluźnił krawat i rozpiął guzik pod szyją.

– To nie był żart. – Jansen pozwolił sobie na wymuszony uśmiech. – Najprostsze rozwiązania są najlepsze.

– Zabiłeś dwóch pracowników, o Insight dowiedziały się niepowołane osoby, udało się kilkakrotnie obejść system definiowany przez ciebie jako idealny. *Status quo* nie jest najlepszy, bo jest wadliwy.

– Pieprzysz. – Wulgaryzmy w połączeniu ze stonowanym głosem i szwedzkim akcentem, miały nietypowy, wręcz dziwaczny wydźwięk. – To, o czym mówisz, nie wpłynęło na bezpieczeństwo państwa, zmiany mogą to wszystko naruszyć.

– Naprawdę nie widzisz problemu? – Musiał być uważny przy Jansenie. Rozmawiał z człowiekiem, który posiadał zdecydowanie większą władzę niż on sam.

– Skoro pytałeś mnie o sugestie zmian, musisz mieć jakiś plan.

Słucham.

– *Status quo* ma jedną wadę... – zaczął powoli. – Każdy się kiedyś kończy. Insight musi mieć alternatywę, stwórz ją, znajdź następcę. O nic więcej nie proszę.

– Przygotuję kogoś, a wtedy się mnie pozbędziecie? Sprytne. – Jansen założył ręce za głowę i odchylił się do tyłu.

– To po prostu logiczne. Ale mylisz się, nikt nie będzie się ciebie pozbywał. Sam odejdiesz.

– I jeszcze mi zaraz podasz nazwisko osoby, która ma mnie zastąpić?

– Pozostawiam to tobie. Wierzę, że chcesz dla Insight jak najlepiej, i nie wybierzesz kogoś przypadkowego.

– Tylko jedna osoba przychodzi mi do głowy. – Frederic wypuścił głośno powietrze.

Markiewicz nie spodziewał się tak szybkiej odpowiedzi, sądził, że Jansen nawet nie będzie brał pod uwagę jego pomysłu.

– Maks Samson.

To nazwisko nic Tadeuszowi nie mówiło. Zanotował w pamięci, aby móc później sprawdzić, o kogo chodzi.

– Kiedy mówisz o nim, wyczuwam nutę wątpliwości. Dlaczego?

– Bo to ostatnia osoba, która przyjęłaby tę ofertę.

2

Siedział w gabinecie Bartosza Hałyckiego. Tomasz Ryglewicz długo czekał na dzień, kiedy będzie mógł spojrzeć prosto w oczy ordynatora Oddziału Psychiatrii Sądowej na Montelupich. Była to dla niego czysta przyjemność, patrzeć na człowieka, którego miał w garści, i żadne argumenty nie mogły tego zmienić.

Jeszcze zanim oddał się w ręce policji, Tomasz wiedział, że musi się tutaj pojawić. Z zasady nikt nie trafiał na „psychiatryk” Monte dobrowolnie, bo choć diagnoza choroby psychicznej mogła okazać się w sądzie pomocna, fakt uniknięcia kary pozbawienia wolności wcale nie oznaczał lepszego rozwiązania. Z dwojga złego pobyt w więzieniu był w jego mniemaniu lepszy niż dożywotni widok ścian szpitala psychiatrycznego.

Hałycki siedział za biurkiem, miał na sobie biały lekarski fartuch, spod którego wystawała niechlujnie wyprasowana koszula. Doktor tydzień temu skończył sześćdziesiąt jeden lat. Ryglewicz poświęcił jego analizie więcej czasu aniżeli innym. Aspirował na literę B_, sam fakt, że zmiana wyjściowego A_ była brana pod uwagę, stanowił niepodważalny sukces.

– Proszę wypełnić ankietę. – Hałycki przesunął w jego stronę kartkę papieru i długopis.

Ryglewicz nawet nie drgnął. Doktor burknął coś pod nosem i zaczął skrobać notatkę w swoim dzienniku.

Od początku Ryglewicz przyjął taktykę milczenia. Zawniósł o przydzielenie pełnomocnika z urzędu. Dostał

jakiegoś młokosa, świeżo po aplikacji, który nie miał pojęcia o życiu poza książkami. Wyglądało na to, że młody adwokat był wielkim fanem kodeksów, bo w trakcie każdego spotkania ustawiał na stole cały stos, ale chyba tylko po to, żeby się dowartościować. Taki podręczny substytut satysfakcjonującego życia.

Na przesłuchaniach Tomasz zamykał oczy i nawet nie słuchał zadawanych pytań. Młokos od kodeksów też chciał się czegoś dowiedzieć. Ryglewicz był w centrum zainteresowania, ta rola mu odpowiadała, jego działania przyniosły zamierzony efekt, budziły respekt, a przede wszystkim strach. Ale przecież nie zrobił nic złego. Postawił na życie.

– Ankieta – powtórzył Hałycki, ale już bez zbędnych grzeczności.

Tym razem Ryglewicz postanowił odpowiedzieć, to był odpowiedni moment.

– Dobrze pan wie, że tego nie zrobię.

Ordynator nawet się nie zdziwił. O tak, zasłużył na B_.

– Wiesz...

– Nie przeszliśmy na „ty”. – Nie zamierzał pozwolić Hałyckiemu na moderowanie rozmowy.

– Więc o to chodzi, tak? Oczekujesz szacunku?

– Ach tak. A nie mam prawa?

– Gdybym był tobą, pewnie byłoby mi ciężko. Wkrótce nie będziesz miał włosów, jesteś wątły, próbujesz odreagować chorobę, zabijając...

– Nie przeszliśmy na „ty”. – Wyrównał oddech. Podstawą była samokontrola. Splótł ręce, próbował ograniczyć tik przyglądania ostatnich włosów, jakie zostały mu na głowie.

– Dobrze, zatem panie Reglewitsch... – Ryglewicz ucieszył się,

słyszając poprawną wersję swojego nazwiska. – Dlaczego nie chce pan wypełnić tej ankiety?

– Bo ona i tak nic nie zmieni. To tylko ankieta. Stek bzdur. Nie po to się tutaj znalazłem.

– W takim razie słucham.

– Jaki jest przywilej pisarzy? – Sam się zdziwił, że zadał to pytanie.

– Nie wiem, ale na pewno mi pan wyjaśni.

– Tylko oni znają szczegóły tworzenia swoich utworów, jako pierwsi znają rozwiązania, a czytelnicy są biernymi, uzależnionymi od ich woli osobami trzecimi. Mam rację?

– Nie wiem, nie jestem pisarzem. Gdybym tracił czas na myślenie o takich rzeczach...

– Ach tak. Czas jest taki cenny. Szkoda by go było zmarnować na taki stek bzdur jak myślenie o pisarzach. – Ryglewicz nie potrafił powiedzieć tego mniej sarkastycznie. – Ja też mam przywilej podobny do pisarzy, ale mam nad nimi pewną przewagę: nie boję się urzeczywistnić moich fantazji. Tylko ja znam prawdę o sobie. Ode mnie zależy, czy ją wyjawię. Pan jest jedynie marionetką.

– Szymon Milewski – powiedział powoli Hałycki, a uśmiech na jego twarzy sugerował triumf. – Czy to nazwisko coś panu mówi? –

Doktor zrobił krótką przerwę. – Oczywiście, że panu mówi. Thomas Reglewitsch, urodzony w tysiąc dziewięćset czwartym roku, ojciec polityk, matka nauczycielka. Milewski odwalił kawał dobrej roboty. Winszuję wieku... – powiedział to bez cienia uśmiechu.

Ryglewicz nerwowo przygładził włosy. Hałycki był świetnym manipulatorem. B_ było całkiem zasłużone.

– Ach tak. To wszystko? Tylko tyle pan o mnie wie? – Spojrzał

na niego wyzywająco. Chciał poczekać na odpowiedni moment, zanim sam zaatakuje.

Doktor otworzył szufladę i wyciągnął teczkę wypełnioną różnymi papierami, kserokopiami, odręcznymi notatkami. Wyglądało na to, że Ryglewicz nie docenił Milewskiego. Nie wiedział, w jaki sposób ta dokumentacja znalazła się w rękach Hałyckiego, ale nie było powodu do paniki. W tym przypadku był tylko jeden słuszny zwycięzca.

– Wygląda na to, że poniosłeś porażkę. – Ordynator dalej z niego kpił.

– Nie przeszliśmy na „ty” – powiedział Ryglewicz, podnosząc nieznacznie ton głosu.

– Policja zebrała materiał dowodowy przeciwko Danielewiczowi – ciągnął dalej Hałycki – ty stałeś się natomiast wrakiem człowieka, na nic zdały się te twoje zabójstwa, intryga godna podziwu, poświęcenie dla zwykłego dilera narkotyków.

– Zostałem stworzony do wyższych celów. – Zacisnął rękę na oparciu krzesła.

– Piękne słowa, nadają się do teatru, ale w życiu są głównie warte – odpowiedział bez zawahania ordynator.

– Ach tak. Zapomniałem, że nie ma w pana życiu czasu na myślenie o głupotach. Proszę choć na chwilę otworzyć oczy. Życie to wyłącznie teatr, każdy gra jakąś rolę. To nieuniknione.

– A pan postanowił być reżyserem. Heroiczna odwaga, która zakończyła się klęską. Życie to teatr, ale w tych papierach nie ma wzmianki, że jest pan filozofem. – Wskazał na teczkę od Milewskiego.

– Filozofia to przeżytek. Z debilnym społeczeństwem ta sztuka jest nic niewarta. Chodzi o kwestię zrozumienia.

– Również jesteś częścią tego społeczeństwa. – Hałycki

podchwycił temat.

– Nie przypominam sobie...

– Więc najwyższy czas przejść na „ty” – odburknął doktor.

Ryglewicz nerwowo się zaśmiał.

– Z każdym pacjentem tak pan postępuje? – W pewnym sensie odczuwał satysfakcję.

– Nie jesteś pacjentem, jesteś chory, ale to nie zaburzenia psychiczne. Uznajmy, że masz mój szacunek.

Dobrze wiedział, że Hałycki tylko z nim gra. Ryglewicz toczył własną rozgrywkę, próbował odpowiednio ocenić, na ile może sobie pozwolić. Każde słowo doktora stanowiło punkt wyjścia do kolejnych argumentów.

– Szkoda, że z M_36K nie wyszło, prawda? – Hałycki, słysząc to określenie, nie pokazał po sobie zdziwienia.

Ryglewicz był pełen podziwu, cenił przygotowanych rozmówców.

– Skąd ta fascynacja liczbami?

– Sądziłem, że zapytasz o swoją kwalifikację.

– Jest zapewne jeszcze dość niska. Bardziej mnie zastanawia, dlaczego tak wysoko oceniłeś Kotarską.

– Kogo przekupiłeś, że jesteś wciąż ordynatorem? – Ryglewicz przystąpił do ataku. Przez chwilę żałował, że zdradził jej literę.

– Kotarska to śmieć. Kobiety zdominowały niejednego faceta, ale dopiero wyzucie z uczuć gwarantuje zwycięstwo.

– Katastroficzna wizja świata – skwitował Ryglewicz.

– Co nie zmienia faktu, że się z nią zgadzasz.

Nie odpowiedział, nie chciał mu dać satysfakcji.

– Kotarska jest tylko dowodem na to, że nikt nie jest perfekcyjny. Ja wciąż tutaj jestem, ciebie wkrótce nie będzie w ogóle. – Hałycki zamknął swój notes i schował teczkę. – Myślę,

że w innych okolicznościach dogadalibyśmy się.

– Tryb przypuszczający jest marnotrawstwem czasu. – Ryglewicz znowu machinalnie przylizął włosy. Poczłł niepewnoř. Jego penis był w wzwodzie, myřlał w tej chwili tylko o szybkim zaspokożeniu. – Perfekcjonizm jest niestety pustym słowem, zgadzam się.

Hałycki po raz kolejny go zaskoczył.

– Dziwne, że nie wstydzisz się swojego onanizowania.

Ryglewicz ukrył zdziwienie pod nerwowym śmiechem. Zachodził w głowę, czy Hałycki wie o jego wzwodzie.

– Ach tak. Pięknę słowo. Zapamiętam. W tych realiach należałoby powiedzieć o trzepaniu gruchy.

– Chyba nie chcesz się zniżyć do tego poziomu – odparł doktor. – Dobrze wiesz, że mógłbym ci zrobić krzywdę.

Tomasz słyřzał już w swoim życiu bardziej wyrafinowane groźby.

– Nie wiesz, czym jest ból. Jesteřmy na tej samej pozycji, ale ja mam przewagę. – Położył rękę na blacie biurka i na oczach Hałyckiego wbił długopis w paznokięc swojego řrodkowego palca, łamiąc go na pół. Ordynator nawet się nie skrzywił. – Z naszej dwójki ja jestem tym, który nie ma nic do stracenia.

– Trochę żal tego palca. *Fuck you* już nie będzie tak ładnie wyglądało.

– Jestem w izolatce – skwitował Ryglewicz. – A policja nie zasłużyła, aby go zobaczyć.

* * *

– Proponuję wnieř wniosek o przeprowadzenie rozprawy z wyłączeniem jawności – powiedział do niego Zbigniew Pinas.

Anton Danielewicz podniósł wzrok i wzruszył ramionami, jakby

nie widział sensu tracić sił na odpowiedź. Siedział ze swoim obrońcą w pokoju widzeń. Pinas był jedyną osobą, z którą mógł się zobaczyć, prokurator ograniczył kontakt z rodziną. Ale Anton nie zamierzał protestować, to wszystko już wkrótce miało się skończyć, pocieszał się myślą, że za niespełna miesiąc nikt nie będzie stawał mu na drodze, żeby był z najbliższymi. Bilety lotnicze jeszcze nie były kupione, bo istniało ryzyko, że polski formalizm i opieszałość organów sądowych wydłużą cały proces. Jedno nie pozostawiało wątpliwości – bilety miały być tylko w jedną stronę.

– Halo! Słyszysz mnie pan? – Pinas wyrwał go z rozmyślań. – Proszę się skupić, jutro mamy rozprawę. Chcę dla pana jak najlepiej.

– Jaki jest sens tych zamkniętych drzwi? – zapytał, choć ta wiedza nie była mu potrzebna do szczęścia.

– Media zainteresowały się sprawą. Rodziny ofiar domagają się sprawiedliwości.

– Sprawiedliwości? – wyśmiał Danielewicz. – Pozostawmy ją sądowi.

– Nie sądziłem, że usłyszę od pana takie słowa.

Anton nie skomentował. Pinas miał rację. Nigdy nie pozostawiłby tym pierdołom o nieskazitelnym charakterze możliwości decydowania o jego losie. Ale sędziowie też byli ludźmi – mieli słabości, właśnie dlatego był spokojny.

– Niech się media nacieszą widowiskiem, w końcu każdy potrzebuje rozrywki.

Pinas pokręcił przecząco głową, ale ostatecznie nic nie powiedział. Gdyby nie kasa, którą oferował mu Danielewicz, pewnie wolałby w tym cyrku nie uczestniczyć. Od kilku lat Pinas zajmował się kwestiami prawnymi jego firmy. Pośredniczył w przekrętach wartych miliony złotych i gdyby Rada Adwokacka

przyjrzała się bliżej jego poczynaniom, jego kariera byłaby skończona. W tej relacji przynajmniej jedno było jasne: miało być tak, jak mówi Danielewicz, a rację bytu miały tylko konstruktywne argumenty, których Pinasowi zwykle brakowało.

– Podsumowując – powiedział prawnik – przyzna się pan do zarzucanych czynów, będzie przesłuchanych dwóch świadków, będzie pan odpowiadać za pomocnictwo w rozboju. Dostanie pan zapewne wyrok w zawiasach.

– Wcześniej mówił pan o stuprocentowej pewności.

– Ale okoliczności się zmieniły. Prokurator tak łatwo nie odpuści, są naciski, desperacko szukają świadków w tej sprawie narkotykowej. Jeżeli chce mi pan coś powiedzieć, lepiej żeby to nastąpiło teraz aniżeli w trakcie rozprawy.

– Nie starczyłoby czasu – powiedział Anton ze śmiertelną powagą, zaśmiał się dopiero po chwili. – Tak jak mówiłem, nie dam się wrobić w jakąś sprawę narkotykową, wszystko to, o czym mówi prokurator, to bezpodstawne pomówienia.

– A Ryglewicz?

– A czy powiedział choć jedno słowo, które miałyby jakikolwiek wpływ na tę sprawę? Dobrze wiesz, jak to wygląda. Gdyby ktoś choć trochę przyłożył się do pracy, znalazłby wielu takich jak Szpil, Gotecka czy Komicki. Za nieudolność się płaci...

– Nie chcę tego słyszeć – przerwał Pinas i wrócił do analizowania swoich notatek.

Danielewicz dobrze o tym wiedział, właśnie dlatego zanegowanie twierdzeń prokuratora było zwykłym ułatwieniem. Tutaj nie było miejsca na przypadek, dlatego interesowała go tylko stuprocentowa pewność, że wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Założył firmę Africa Trade siedemnaście lat temu, kiedy handel zagraniczny dopiero kiełkował, tym bardziej jeżeli chodziło

o Afrykę, a dokładniej RPA. Dobrał do spółki kilku zaufanych ludzi, którzy posiadali odpowiednie możliwości finansowe. Przez kolejne lata sukcesywnie ich spłacał, aż w końcu stał się jedynym właścicielem. Zrekrutował paru sługusów, nigdy nie podpisywał umów, stworzył system ograniczonej odpowiedzialności, oparty na piramidzie delegowania zadań. Był czysty. Apetyt rośnie w miarę jedzenia, a gwarancją sukcesu był handel rzeczami, na które jest zbyt. Zaryzykował. Najpierw chodziło o niewielkie ilości koki, z czasem zwozili coraz więcej. Wszystko rozprawdane było przez studentów, najpierw w Krakowie, potem również w każdym większym mieście. To zawsze była czarna strefa, której wartość trudno było oszacować, ale Anton nie spodziewał się, że to będzie aż taka żyła złota.

Nigdy nie był pośrednikiem, jego obowiązki sprowadzały się do dbania o formalności oraz transparentność finansową. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, było zainteresowanie skarbowki. Wszystko zaczęło się psuć, gdy policja przyskrzyniła na gorącym uczynku jednego z dilerów, Bogdana Komickiego. Zaczął sypać, Danielewicz zachodził w głowę, skąd diler miał szczegółowe dane o nim samym oraz firmie. Cały misterny plan, który świetnie funkcjonował przez ostatnie lata, w jednej chwili stracił rację bytu. Sytuacja wymagała natychmiastowych działań. Nie zamierzał pomagać prokuraturze, wiedział, że jest pod stałą obserwacją. Dał się złapać na gorącym uczynku, wszystko było sfingowane, dowody podane na tacy. Zwyczajna akcja – kumpel włamał się do sklepu elektronicznego, przyłożył nóż do gardła ochroniarza, Danielewicz w tym czasie stał na czatach. Nóż był w tym przypadku celowy, chodziło o zarzut rozboju z użyciem niebezpiecznego narzędzia, bo sama kradzież mogłaby się okazać niewystarczająca, aby Anton trafił do aresztu. Zainteresował się wcześniej tematem, miał na

Monte swoich ludzi, między innymi Bartosza Hałyckiego, ordynatora Oddziału Psychiatrii Sądowej.

Mając w garści taki biznes jak narkotyki, stworzył siatkę osób, które były od niego zależne, podporządkowane mu, gotowe do poświęceń. Wśród nich znalazł się Tomasz Ryglewicz. Ich znajomość rozpoczęła się od nietypowej prośby w kwestii lewych dokumentów. Wydawał się nieszkodliwy. Narzekał na ból, koka miała właściwości uśmierzające, potem regularnie wracał. Anton znalazł z nim wspólny język, tak naprawdę chodziło bardziej o umiejętności, jakie posiadał nowy znajomy. Był absolwentem medycyny, wykonywał dla Africa Trade ekspertyzy koki pochodzącej z alternatywnych źródeł. Jego prawdziwe możliwości ujawniły się dopiero rok temu, kiedy w trakcie prywatnej rozmowy wyszła sprawa jednego z dilerów, który wysłał do Antona list z pogrózkami, że przekaze informacje policji. Ryglewicz przejął się sprawą, kilka dni później wysłał przesyłkę. Danielewicz do dzisiaj nie był pewny, ale wyglądało to na fragment języka. Dołączona została krótka wiadomość: „Już nic nie powie”.

Nie można było pozwolić na to, aby prokuratura zebrała dowody. Należało zlikwidować ryzyko – dilerów, których nazwiska podał Komicki, jak również samego donosiciela, a Anton w tej kwestii nie ufał nikomu tak jak Ryglewiczowi, który stał się zabójcą idealnym – posługującym się fałszywym dowodem tożsamości, niekaranym, przebywającym daleko od Krakowa, a przede wszystkim gotowym do poświęceń. Dla niego, dla swojego mistrza i wybawcy.

Danielewicz przebywał w areszcie, umywał ręce od tego, co się dzieje, teoretycznie w ogóle nie wiedział o drugim śledztwie. Policja nie połączyła faktów pomiędzy zabójstwami Ryglewicza a zarzutami narkotykowymi. Gdy Anton dowiedział się, że

wstępne ustalenia wymykają się spod kontroli, postanowił pilnie skontaktować się z Ryglewiczem. Napisał do niego list, podpisując się nazwiskiem Groickiego, jednego z więźniów, z którym przebywał wtedy w celi. Udało im się zobaczyć. Danielewicz dowiedział się wtedy, że zabójstwa przyciągnęły zbyt dużą uwagę, wtedy tak naprawdę zdał sobie sprawę, że niewiele wie o swoim oddanym przyjacielu, a wolał działać prewencyjnie, zamiast komplikować swoje własne sprawy.

Aby ułatwić zadanie Ryglewiczowi, Anton uruchomił swoje kontakty. Jego klientami byli również informatycy ściśle tajnej instytucji o nazwie Insight, mowa była o Koniecznym i Zamoyskim. Pieniądze tworzyły silną zależność, stanowiły bezcenne źródło pozyskiwania danych. Uzależnienie stawiało człowieka w zupełnie innej pozycji, gdzie nawet tajna informacja miała swoją cenę. Jednak nieoczekiwanie Konieczny i Zamoyski zostali zabici. Pojawiła się nowa szansa, z której Danielewicz nie omieszkał skorzystać. Broniecki, ówczesny szef Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Komendy Wojewódzkiej w Krakowie, zaangażował się w Insight, a jego czyny mogły zniszczyć mu karierę. Szantaż się opłacił, Broniecki był tym, który najwidoczniej podzielał pogląd Antona odnośnie do sprawiedliwości. O bezpieczeństwo należało zadbać osobiście.

W całej sprawie pozostawało dla Danielewicza kilka znaków zapytania. Ryglewicz miał swój własny cel, który zresztą wspólnie omówili. Wtedy powodzenie i skuteczność całego planu pozostawały wyłącznie w kategoriach abstrakcji. Tomasz oddał się w ręce policji, aktualnie przebywał w izolacji, w jednej z cel na Montelupich. Próby przekupienia strażników, aby umożliwić ich wspólne spotkanie, do tej pory okazały się bezskuteczne. Danielewicz miał cichą nadzieję, że będzie jeszcze okazja, aby

osobiście mu podziękować, zanim sam opuści kraj i będzie mógł w końcu spożytkować miliony, które przez lata pracy zgromadził na zagranicznych kontaktach.

– Chcę się zobaczyć z Ryglewiczem, pan pomoże mi to załatwić – rzucił do Pinasa.

– To niemożliwe – odpowiedział prawnik.

– Cena nie gra roli.

– Nie zrozumieliśmy się. Jaki ma pan interes, aby się z nim zobaczyć, skoro twierdzi pan, że nic was nie łączy? Chcę pana bronić w sądzie na określonych warunkach, więc nie utrudniamy tego. Nie wiem, jakie ma pan o mnie zdanie, ale nie jestem do tego stopnia naiwny i ślepy, abym nie wiedział, co się dzieje. Wyciągałem firmę z wielu opresji, tym razem chodzi o pana, a to po prostu nieetyczne, bo dobrze wiemy, że to pan powinien odpowiadać za śmierć tych osób. – Pinas poczerwieniał na twarzy, Anton nie pamiętał, aby kiedykolwiek prawnik mu się tak postawił. Miarka widocznie się przebrała.

– Proszę mówić jutro w sądzie tak zdecydowanie, jak teraz, a wszystko będzie dobrze. I ma pan rację, nie zrozumieliśmy się. Nie zapominajmy, że od dwóch miesięcy przebywam tutaj, a na wolności nikt nie miał prawa mnie widzieć. Powtórzę: cena nie gra roli. – W tej relacji było jasne, kto rozdaje karty.

– Chciałem tylko zaznaczyć, że jest pewne ryzyko. Nie wiemy, co dokładnie udało się ugrać prokuratorowi przez ostatnie dwa tygodnie. Jeżeli znalazł świadków i zebrał dowody, wniesie akt oskarżenia. Może to się zdarzyć dzisiaj, jutro albo kiedykolwiek indziej. Wtedy zakończenie sprawy rozboju niekoniecznie będzie oznaczało wolność.

– Poznałem tego prokuratora. Dędek, prawda? – Danielewicz się zamyślił.

– Proszę nawet o tym nie myśleć. – Pinas w lot odkrył, co chodziło po głowie jego klientowi.

– Nie martw się. – Zbyszek był spięty, jak zawsze. – Wrzuć na luz. W końcu chodzi o sprawiedliwość, a jak wiemy, pozostawianie jej w rękach ludzi niekompetentnych może rodzić problemy. Każdy ma jakiś słaby punkt, wystarczy go poznać. Na pewno wiesz więcej o Dędku. Słucham.

– Przepraszam, ale nie rozumiem...

Anton się zaśmiał. Strażnik dał im ręką znak, że muszą kończyć.

– Obaj wiemy, że tutaj nie ma nic do rozumienia. Potrzebuję informacji o jego rodzinie, przede wszystkim dzieciach, dane o kompromitujących sprawach z przeszłości...

– A gdzie się podział pana informator?

Przed oczami Danielewicza przemknęły obrazy martwych Koniecznego i Zamoyskiego, ta znajomość okazała się bezcenna, ale w tej chwili ich już nie było, a działania, które mógł prowadzić z aresztu na Montelupich, były ograniczone.

– To teraz nieważne, masz zdobyć informacje – powiedział uprzejmie, bo i tak nie spodziewał się otrzymać jakiegokolwiek odpowiedzi. – Ostatnie pytanie. Interesują mnie poczynania Miłosza Goczałki. Co z nim?

Bardzo chciał poznać tego człowieka. Jego akta były imponujące, cenił ludzi, którzy potrafią zakończyć to, co zaczęli. Nie znał szczegółowo hierarchii w policji, ale Goczałka stał na czele Wydziału Techniki Kryminalistycznej. Anton dowiedział się, że to przede wszystkim dzięki jego umiejętnościom analitycznym udało się schwycić Ryglewicza. Tak naprawdę działania policji nic nie wniosły, wszystko odbyło się zgodnie z założonym planem, ale informacje, które posiadał Goczałka, mogły okazać się dla niego

niebezpieczne.

– Nie znam. Miłosz Goczałka, tak? – Pinas zanotował nazwisko.

Danielewicz przytaknął. Był usatysfakcjonowany, że ta sprawa skompromitowała policję, ale nie życzyłby sobie, aby na miejsce Bronieckiego wszedł Goczałka. Miał sentyment do upartych ludzi, sam był jednym z nich, ale przeciwnika należało osłabiać, a gdy miało się do czynienia z osobą uważną i sumienną, trudność zadania niepotrzebnie wzrastała.

– Proszę odpocząć. – Pinas wstał i zaczął pakować dokumenty do skórzanej aktówki, która była chyba atrybutem każdego prawnika. – Jesteśmy dobrze przygotowani, więc nie ma się o co niepokoić.

Anton po raz kolejny się zaśmiał.

– Nie trzeba mnie uspokajać. W końcu nic złego nie zrobiłem...

* * *

Był już późny wieczór, kiedy Markiewicz przekroczył próg domu.

– Wróciłem! – rzucił na przywitanie, ale nie usłyszał odpowiedzi.

Powiesił marynarkę na krześle i włączył ekspres do kawy, chyba jedyne urządzenie w domu, którego tak naprawdę używał. Dziwił się, że jego organizm jeszcze wytrzymuje to tempo życia, a ilość spożywanej dziennie kofeiny go do tej pory nie zniszczyła. Aby uciszyć wieczne pretensje żony, zmienił przyzwyczajenia i dodawał do kawy mleko, a gdy tylko pamiętał, zażywał magnez, choć wątpił, aby miało to przynieść wymierny efekt.

Zobaczył na stole popielniczkę i kilka petów. Był to znak, że dom odwiedził ich syn. Henryk, który otrzymał swoje imię po

dziadku, zwykle bał się palić przy ojcu, Tadeusz uważał to za kolejną porażkę wychowawczą, bo zawsze przestrzegał swoje dzieci przed wszelkimi używkami.

Wyciągnął z szafki swój ulubiony kubek, który dostał na swoje pięćdziesiąte urodziny. Z zasady nie cieszył się z takich prezentów, bo w domu nie brakowało zastawy, a napisy na nich były po prostu żalotne, ale ten polubił ze względu na objętość. Wieczorna praca z litrem kawy była zdecydowanie przyjemniejsza i bardziej efektywna, niż gdyby miał do dyspozycji zwykły kubek.

– Cześć, kochanie! – przywitał się z żoną. Maria siedziała na skraju łóżka i porządkowała jakieś stare zdjęcia. – Jak minął dzień?

– Późno wróciłeś, Henryk chciał z tobą rozmawiać. – Spojrzała przelotnie w jego stronę.

– Co tym razem wymyślił? – Aż bał się odpowiedzi.

– Ustalili w końcu datę ślubu. Chcą poczekać, aż mały trochę urośnie.

– Mały? To już wiedzą, że będą mieli syna?

– Tak, Ania była dzisiaj u lekarza.

Tadeusz upił łyk kawy, przez chwilę myślał o dolaniu czegoś mocniejszego, ale ostatecznie i tak za dużo pił.

– No więc? – Maria dobrze znała jego myśli. Wychowany w duchu katolickich wartości, uważał poczynania syna za jedno wielkie nieporozumienie. – Jaką datę ustalili?

– Trzydziesty maja – odpowiedziała. Widocznie spodziewała się po nim innej reakcji, bo po chwili dodała: – Czemu cię to w ogóle nie obchodzi?!

– Data jak data. Nie widzę powodu do ekscytacji, zresztą to chyba jest niezależne od nas, prawda? Ile chcą kasy?

Maria wydała z siebie pomruk niezadowolenia.

– Dokładnie wtedy, kiedy i my braliśmy ślub.

Wolał się nie przyznawać, że nie powiązał faktów. Rok temu świętował z Marią dwudziestopięciolecie wspólnego małżeństwa. Nigdy nie zapomniał o prezencie dla swojej ukochanej, ale w tej chwili nie miał do tego głowy.

– Muszę jeszcze chwilę popracować – odburknął. – Będę w salonie.

Maria zatrzymała go, zanim przekroczył próg drzwi.

– Henryk powiedział, że mały będzie nazywał się Tadeusz.

Markiewicz spojrział w jej stronę.

– Cieszę się – odparł. Z natury był oszczędny w okazywaniu swoich uczuć.

Wyszedł, nim usłyszał kolejną pretensję, że nic go nie obchodzi. Był mile zaskoczony. Nie sądził, że Henryk będzie chciał kontynuować tę rodzinną tradycję. Tadeusz junior miał przyjść na świat dziesiątego marca, ale w tej chwili Markiewicz jeszcze nie uświadamiał sobie, że wkrótce zostanie dziadkiem. Stanowiło to taką przyziemną odskocznnię od tego, co działo się w pracy.

Usiadł wygodnie na kanapie, wyciągnął swojego osobistego maca i włączył na trzydziestojednocalowym telewizorze kanał informacyjny. Robił to już automatycznie, śledząc wiadomości na bieżąco, nie spodziewał się usłyszeć niczego nowego. Czasem było dla niego wręcz frustrujące, kiedy słyszał o tym samym po raz n-ty. Zdarzało się, że z nudów włączał Trwam, zawsze się wtedy dziwił, jak jeden fakt może zostać przeinaczony w zależności od perspektywy – widocznie taka była cena wolnych mediów.

Dostał mejlem to, na co czekał od czasu zakończenia spotkania z Jansenem. Raport dotyczący Maksa Samsona miał jedynie pięć stron. Markiewicz wyciszył dźwięk, bo monotony głos prezentera, który omawiał kolejne spotkanie na szczycie w sprawie unii

energetycznej, działał na niego usypiająco. Przechylił po raz kolejny kubek z kawą i przystąpił do lektury raportu.

Maks Samson miał czterdzieści dwa lata, był absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, ukończył psychologię, następnie wstąpił do policji. Po kilku latach zaczął służbę w CBS. Tadeusz szukał wzmianki o jego rodzicach; z zasady trudno o tak szybki awans, nie mając odpowiednich pleców, tym bardziej tam, ale albo raport był niepełny, albo co innego stanowiło powód przejęcia. Tadeusz pobieżnie przeleciał przez listę wyróżnień, Samson miał bardzo dobre wyniki, wzorowy funkcjonariusz. W styczniu, miesiąc temu, służba została przerwana. Markiewicz nie zdziwił się, gdy nie zobaczył informacji o nowym zatrudnieniu. Dalszą część historii usłyszał od Jansena, bo Samson został przez niego zrekrutowany do pracy w Insight. Jego zadaniem było zidentyfikowanie osoby, która odpowiadała za wprowadzanie wirusów w systemie monitoringu. Po trzech tygodniach współpraca zakończyła się, Samson złożył na ręce Jansena wypowiedzenie, jak tłumaczył Frederic, było to związane z kilkoma nieporozumieniami pomiędzy nimi oraz brakiem efektów jego pracy. Tadeusz bardzo chciał dowiedzieć się, na czym polegał ów konflikt. Jansen oczywiście nie był skory, aby mu o tym opowiedzieć, w związku z tym jedyną osobą, która mogła wyjawic te okoliczności, był sam Samson. Zamierzał nazajutrz się z nim skontaktować i poprosić o spotkanie. Dobrze wiedział, że sposób zarządzania Frederica mógł rodzić wiele problemów, Maks poznał Insight od wewnątrz, a Tadeusz mógł w pewien sposób tłumaczyć jego rezygnację. Dobrze wiedział, że posiadanie informacji takiej wagi stanowiło duży ciężar psychiczny. Mimo to Samson był w mniemaniu Jansena jedynym godnym następcą, zarazem ostatnią osobą, która przystałaby na tę propozycję.

Markiewicz zanotował w głowie informację, że pomiędzy Maksem a jego żoną toczy się sprawa rozwodowa. Domyślał się, że to wszystko nie jest takie proste, bo w grę wchodziło dobro sześciolatniej córki. Tadeusz był ciekaw, czy Samson spełnia się jako ojciec. Z jego doświadczenia wynikało, że dobre wyniki w pracy rzadko idą w parze z dobrem rodziny, czego rozwód mógł być wyznacznikiem.

Służby. CBS, CBA, ABW i inne instytucje, których były mnożyły się wraz z kolejnymi rządami. Życiem Markiewicza kierowały określone zasady, jedną z nich była kultura słowa, która z zasady nie przewidywała dopuszczania wulgaryzmów. Ale kiedy myślał o służbach, przychodziły mu na myśl tylko takie niecenzuralne zwroty, jak gówno czy też, używając bardziej poprawnych politycznie słów, „instytucje bez celu”. Bo nigdy nie negował samego faktu, że konieczne jest funkcjonowanie w państwie prawa odpowiednich narzędzi, ale aktualny status służb był marnotrawieniem publicznych pieniędzy. Służby robiły wiele, ale mówiło się tylko o porażkach, media wołały kontrowersje i potknięcia, co zresztą było oczywiste, ale w tych kategoriach nie mogło być mowy o tym, że coś nie wyszło. Każdy popełnia błędy, on sam daleki był od ideału, ale w tym przypadku problem istniał przede wszystkim na szczeblu zarządzającym, gdzie główne stanowiska były obsadzone przez ludzi zielonych w temacie, wybranych najczęściej poprzez naciski władzy, chorobę nepotyzmu. Może dlatego jego mniemanie o funkcjonariuszach było tak niskie. Możliwe, że Samson faktycznie był dobry w tym, co robi, ogólna opinia mogła prowadzić do generalizowania, przed czym również jemu nie udało się uciec.

Spojrzał na listę spraw, które miał przygotować. Zbyt szybko o wszystkim zapomniał, dlatego wołał notować zadania, aby nic

mu nie umknęło. Wydał z siebie ciche syknięcie. Zupełnie zapomniał o przemówieniu. Przygotowywaniem tekstów z zasady zajmowali się inni ludzie, on co najwyżej doradzał pewne zmiany, o ile treść była mu wcześniej znana. Tym razem zobowiązał się zająć tym osobiście, premier miał przemawiać na zjeździe ekonomistów jutro po południu. Spojrzał na zegarek, dochodziła dziesiąta, kawa już się prawie skończyła, a przy zmęczeniu, które odczuwał, nie uśmiechało mu się teraz pisać.

Na domiar złego właśnie zobaczył żonę. Miała na sobie coś koronkowego, co chyba miało uchodzić za seksowne. To, co działo się od czasu, kiedy przeszła na emeryturę, utwierdzało go w przekonaniu, że kobieta musi robić coś konkretnego, bo inaczej zaczyna się zachowywać co najmniej dziwnie.

– Tak mało poświęcasz mi czasu... – zaczęła się przymilać.

Oparła się o framugę. Jak na pięćdziesiąt sześć lat miała świetną figurę, zresztą Maria zawsze mu się podobała, problem tkwił w nim.

– Mam ostatnio naprawdę gorący okres w pracy...

Znał ją tak dobrze, że dokładnie wiedział, jak będzie brzmiała odpowiedź.

– Zawsze masz, mógłbyś wymyślić inną wymówkę.

Tadeusz po prostu znał scenariusz ich seksu. O ile uda się w ogóle go pobudzić, przejdą od razu do konkretów, a kiedy tylko poczuje pod głową poduszkę, zaśnie. Rano będzie wysłuchiwać narzekania, jak to się postarzał i gdzie ulotnił się jego romantyzm.

– Pięknie wyglądasz, kochanie... – zaczął powoli, chciał odwieść Marię od tego pomysłu.

– Tadek! – Jej miły głos zamienił się w piskliwy wrzask. Używała tej skróconej wersji imienia tylko jak była zła. – Też mam swoje potrzeby, jesteś moim mężem, do diaska!

W innych okolicznościach zaśmiałyby się, słysząc to wyrażenie.

– Po prostu nie chcę cię zawieść, a nie czuję się dzisiaj na siłach. – Postawił na szczerość.

– Masz, kupiłam ci. Mam nadzieję, że pomoże.

Rzuciła mu plastikowe opakowanie. Omal nie wypuścił z rąk, gdy przeczytał opis na etykiecie.

– Chyba żartujesz! – Nie wierzył własnym oczom.

– Przecież nie ma się czego wstydzic – odparła, już spokojniejszym tonem, podeszła bliżej i usiadła mu na kolanie.

– Nie mogę uwierzyć, że mi to kupiłaś!

– Kochanie! To tylko viagra, nie rób z tego tragedii. – Zaczęła czule głaskać go po włosach, których zresztą było już coraz mniej.

Wypuścił głośno powietrze. Czasem zastanawiał się, po kim jego dzieci odziedziczyły tendencję do realizowania głupich pomysłów. Gdyby zdradził Marii swoje przemyślenia, raczej nie byłoby mowy o upojnej nocy. Przez chwilę przeszło mu przez myśl, aby się do tego odwołać, ale nie chciał sprowokować kłótni.

– Chodź – powiedział. Nawet nie starał się udawać, że przepelnia go w związku z tym entuzjazm.

Sypialnię spowijał półmrok, Maria zapaliła kilka świec. Dawne romantyczne zapędy Tadeusza odeszły już dawno do przeszłości, a świece w tym wieku uważał za przeżytek.

Poszło szybko. Uparł się, że nie będzie brać żadnej viagry, to uderzało w jego męską dumę. Nigdy nie przyznał się Marii, że już wcześniej się tym posiłkował, ale była znacząca różnica, gdy to ona mu ją dawała.

– O czym myślisz? – zapytała, gdy leżeli wtuleni w siebie.

Markiewicz zawahał się, czy powiedzieć prawdę, czy wymyślić coś, co zabrzmi lepiej w tych okolicznościach. Na to drugie zdecydowanie nie miał sił.

– O Janiszewskim – odparł, jakby nie było w tym nic dziwnego, w końcu był jego doradcą.

– Zwariowałaś! Czy to nie przesada? – W jednym momencie odwróciła się do niego plecami.

– Po prostu nie będzie miał jutro przygotowanego przemówienia, a nie wiem, czy wymówka o seksie z żoną okaże się wystarczająca...

3

Adam przywitał ją z samego rana. Trzymał w ręce bukiet róż. Może nie były to ulubione kwiaty Edyty, ale doceniała sam gest, w końcu był środek zimy.

– Dla mojej najukochańszej, żeby zawsze miała we mnie oparcie, a kolejne lata przynosiły nam samo szczęście.

– Taki z ciebie romantyk? Nie sądziłam, że mam aż takie luki w pamięci – powiedziała z przekąsem.

– Nie przyzwyczajaj się. Dobrze, że walentynki są raz do roku.
– Skradł jej pocałunek.

Kotarska może wciąż nie była w najlepszej formie, ale nie uszło jej uwagi, że Adam stara się bardziej niż zwykle.

Dzisiaj czuła się już zdecydowanie lepiej. Cały poprzedni dzień odpoczywała, chciała już wstać z łóżka, ale na razie posłusznie wypełniała zalecenia lekarzy. Czuła się do tego stopnia silna, że gotowa była poznać prawdę.

– Przypomniałaś sobie coś? – zapytał Adam.

Kotarska nie potrafiła pozbyć się wrażenia, które towarzyszyło jej już wczoraj.

– Boisz się czegoś? – wyrzuciła z siebie.

– Nie rozumiem... – odpowiedział z charakterystycznym dla siebie spokojem. Patrzył jej prosto w oczy, delikatnie się uśmiechając.

– Przepraszam, po prostu mam jakieś dziwne przeczucie, chciałabym być pewna, że wszystko jest w porządku...

– Cieszę się, że wracasz do zdrowia. – Złapał ją za rękę

i pocałował.

Może była przewrażliwiona, ale Adam jakby celowo zmienił temat.

– Nie masz przede mną nic do ukrycia? – Może to nie była odpowiednia pora i sprzyjające takim rozmowom miejsce, ale Edyta wolała sobie wszystko wyjaśnić. Teraz. Od razu.

– Skąd taki pomysł? – Mąż zmarszczył czoło.

– Zawsze miałeś swoje tajemnice, więc w ostatnim miesiącu raczej się to nie zmieniło.

Miała ochotę zakneblować sobie usta. Adam przyjechał z samego rana z bukietem kwiatów, a jej pytania nie należały do zbyt romantycznych. Ale to było od niej silniejsze.

– Kochanie... – zaczął, jakby trochę obrażony jej pretensjami. –

Lekarz powiedział, że takie luki w pamięci nie są niczym nadzwyczajnym. Upadając, uderzyłaś się w głowę, miałaś szczęście, że przeżyłaś. Wiem, że chcesz wiedzieć, co się wydarzyło, pewnie moje słowa nic nie zmieniają, ale...

– Mówisz bardzo formalnie – przerwała mu. – Spokojnie. Ufam ci.

– Po prostu ja wiem, co się stało i dlaczego tutaj trafiłaś. Nie wiem tylko, czy jest sens do tego wracać, bo to nic nie zmieni, a tylko skomplikuje.

– Oczywiście, że wiele zmieni! – zaproponowała. – Postaw się na chwilę na moim miejscu... Chciałbyś mieć lukę w pamięci? Wolałbyś nie wiedzieć, gdzie byłeś miesiąc temu?

Zawsze była bardzo sentymentalna, gromadziła pamiątki, co roku w wakacje oddawała się wspominkom. Nie wiedziała, jak straszne rzeczy musiały się zdarzyć w styczniu, aby nie chciała ich poznać.

– Odpocznij, kochanie. W południe ma przyjść twój lekarz,

pewnie będzie chciał, abyś została na obserwacji przez kilka najbliższych dni.

– Chcę wiedzieć, co się stało! – nie zamierzała odpuszczać. – Od lekarza i tak nie usłyszę nic nowego, chcę stąd wyjść najszybciej, jak to będzie możliwe. Chcę poznać prawdę! Koniec kropka.

– Ale, kochanie... Walentynki...

Tak. Wiedziała, że są walentynki.

– Przestań! – Była bliska płaczu. Nie panowała nad swoimi emocjami. – Dziękuję za kwiaty, są piękne, ale bardzo proszę o jeszcze jeden prezent... prawdę.

Adam nie wyglądał na przekonanego, ale ostatecznie się poddał.

– Od czego chcesz zacząć? – zapytał.

– Od początku...

– Z tym właśnie jest problem, bo sam nie znam szczegółów. Prawie cały styczeń byłem w rozjazdach, a gdy wróciłem na parę dni do domu, nie chciałaś mi zbyt wiele powiedzieć. Mówiłaś, że nic ważnego się nie dzieje. Wracałaś z pracy bardzo późno, zdenerwowana i zmęczona. Też miałaś swoje tajemnice.

Adam pracował jako pilot, wiele czasu spędzał poza domem. Zdziwiła ją jednak jego odpowiedź, bo zwykle gdy mąż wracał, starała się spędzać z nim możliwie najwięcej czasu, a wieczory upływały im na rozmowach albo leżeli wtuleni w siebie w łóżku.

– Byłam na ciebie zła? – To było dla niej jedyne racjonalne wytłumaczenie.

– Trudno mi powiedzieć, co siedziało w twojej głowie. Po prostu miałaś swoje gorsze dni – odpowiedział z uśmiechem na twarzy, ale wyczuła, że to chyba nie była do końca prawda.

– Nie interesowało cię, co działo się w pracy?

– Doszły mnie tylko słuchy, że Krym został odwołany ze stanowiska.

– No pięknie. – Kolejna niespodzianka.

Mirosław Krym był dyrektorem aresztu na Montelupich, Kotarska jednym z dwóch jego zastępców. Nigdy za sobą nie przepadali, utrzymywali dystans i po prostu starali się jak najlepiej wypełniać swoje obowiązki. Zdziwienie wzięło się z tego, że zawsze postrzegała Kryma jako osobę, której nie da się ruszyć, miał wiele kontaktów i wysokie poważanie na szczeblach centralnych.

– Wiesz coś więcej? – drażyła temat.

– Tak jak mówiłem, tylko tyle obilo mi się o uszy.

– Ktoś przejął jego obowiązki? – zapytała po chwili, choć w tym momencie miało to dla niej drugorzędne znaczenie. Drugim zastępcą dyrektora był Krzysztof Trzeciński, ale osobiście nigdy nie powierzyłaby mu swoich zadań, bo jego doświadczenie było znikome.

Adam podrapał się po głowie, odpowiedział coś wymijająco, ale to był tylko znak dla Edyty, że coś jest nie tak.

– Dobrze wiesz, że nie odpuszczę.

– Po prostu nie wiem na pewno, też tylko słyszałem. Przez okres, kiedy byłaś w śpiączce, nie widziałem większego sensu chodzić na Montelupich i pytać o szczegóły...

– Więc powiedz to, co słyszałeś!

– Podobno zostałaś zawieszona w obowiązkach dokładnie w dniu, w którym nastąpił wypadek.

Nic nie odpowiedziała, usilnie starała się przypomnieć sobie podstawy zawieszenia. Miała ochotę wstać, pójść na Montelupich i jak najszybciej dowiedzieć się konkretów. W pierwszej kolejności chciała jednak poznać koniec historii.

– Jak się tutaj znalazłam?

– Byliśmy umówieni na kolację, miałem przylecieć po całym tygodniu... – Adam przerwał na chwilę, jakby zastanawiał się na kolejnością zdarzeń. – W samolocie był jakiś więzień, którego policja miała do was przetransportować. Nie obyło się bez problemów, ale udało się bezpiecznie wylądować.

Adam znowu zrobił pauzę. Każda sekunda zwłoki ją tylko dodatkowo irytowała. Jej nerwy były w strzępach. Zaraz miała się dowiedzieć prawdy.

– Maciej Różycki – powiedział.

Widocznie to on stanowił odpowiedź na wszystkie pytania. Maciek był jej starym znajomym, jedną z niewielu osób, które znała z czasów studiów i wciąż z nim utrzymywała kontakt.

– Wszystko z nim w porządku?

– Nie żyje. Popełnił samobójstwo.

Adam powiedział to bez cienia smutku. A przecież się znali. Edyta nic z tego nie rozumiała. Jej głowa była pełna niepokładanych myśli.

– Nie wierzę. Co się stało? Jaki to ma związek ze mną?

– Wracając z pracy, pojechałaś się z nim spotkać. Nie wiem, co się dokładnie stało. Szczęście w nieszczęściu, że upadłaś i uderzyłaś się w głowę. Doszło do poważnego wstrząśnienia. To mogło zakończyć się zdecydowanie gorzej.

Nie mówił jej wszystkiego, znali się na tyle długo, że rozpoznawała, gdy coś przed nią ukrywał.

– Jeszcze raz, od początku. – Podciągnęła się do tyłu i oparła plecami o poduszkę. – Nie widzę powiązania pomiędzy moją wizytą u Maćka, upadkiem a jego samobójstwem.

Adam musiał pominąć kilka znaczących faktów, które tłumaczyłyby obecność policjanta przed jej pokojem szpitalnym.

– Nie wiem, dlaczego do niego poszłaś. Wygląda na to, że nie był nastawiony pokojowo, zapewne doszło do jakiejś szarpaniny, dlatego się przewróciłaś. Na miejsce przybyła policja, Różycki został zatrzymany, samobójstwo popełnił pierwszej nocy.

– Za sprzeczkę nie idzie się do więzienia. – Wciąż była w szoku.

– Nie rozumiesz... On chciał cię zabić.

* * *

Obudził się z bólem głowy. Gdy kładł się spać, mógł przypuszczać, że tak to się skończy. Ilość spożywanego alkoholu zdecydowanie przewyższała jego możliwości finansowe. Dokładnie tak, jakby wrócił do czasów, kiedy jeszcze był studentem. Była jedna znacząca różnica – teraz pił sam. I to nie było tak, że Szymon Milewski nie miał znajomych. Pracował. W końcu znalazł dla siebie zajęcie, a kufel piwa okazał się odpowiednim i sprzyjającym kompanem.

Kiedyś uwielbiał walentynki. Wymyślał niespodzianki, dbał o romantyczną atmosferę. Ale czas przeszedł był wskazany, jego eks, Natalia, okazała się zwyczajną suką. Na szczęście, przez ostatnie tygodnie działo się tak wiele, że nawet nie miał czasu tego rozpamiętywać. W jego życiu pojawiła się Dagmara, okoliczności może nie były zbyt sprzyjające, ale zbliżyli się do siebie, przy takiej częstotliwości spotkań to było nieuniknione. Bardzo polubił jej ojca, Miłosza Goczałkę, wiedza, która była w posiadaniu Szymona, bardzo pomogła w jego śledztwie.

Wszystko zaczęło się od pomysłu napisania biografii Norberta Droubera. Często wracał pamięcią do spotkań z tym ekscentrycznym doktorem. Dopiero teraz doceniał jego spostrzeżenia, nie spodziewał się, że będą miały na niego aż tak wielki wpływ. Staruszek zmarł, zabierając większość swoich

tajemnic do grobu, ujawniając Milewskiemu tylko niektóre z nich. Szymon otrzymał od niego pożegnalny list, który zmienił jego dotychczasowe życie, bo przypadkiem stał się spadkobiercą słoików i teczek. Brzmiało to jak możliwie najgorszy prezent pożegnalny, a zawartość była, mówiąc delikatnie, dość kłopotliwa. Było to nieścisłe określenie, biorąc pod uwagę fakt, że mowa o ludzkich narządach oraz fotografiach nagich kobiet, prezentujących przebieg ich sekcji zwłok.

Później okazało się, że poszukiwany przez Goczałkę przestępca jest synem Droubera. Wszystko ułożyło się w sensowną całość, ale wciąż pozostawały pytania, które wymagały odpowiedzi. Sens napisania biografii Droubera wciąż istniał, ale sytuacja się skomplikowała, a to, co wydawało się prawdopodobne, stało się tylko kolejnym znakiem zapytania. Wciąż trudno było Szymonowi uwierzyć w przebieg wydarzeń. Syn Droubera cierpiał na syndrom dziecka potrząsanego, guz w jego mózgu zmienił jego osobowość, choć przynajmniej udało się ustalić, kim tak naprawdę teraz był.

Syndrom dziecka potrząsanego... Lekarze mogli posłużyć się bardziej chwytliwą nazwą, przynajmniej nie miałby problemu z tytułem biografii. Milewski właśnie tym zajmował się przez ostatnie tygodnie. Gromadził informacje, starał się to wszystko sensownie spisać, tworzył książkę opartą na faktach. Był dumny z efektów pracy, nigdy nie spodziewał się, że pisanie przyniesie mu tyle przyjemności. Prawda była prosta: syn Droubera zmienił nazwisko, zaczął się przedstawiać jako Ryglewicz, była to tylko jedna z fałszywych tożsamości, ale nic nie było tutaj przypadkowe. Przez rozrastający się guz w mózgu zmieniła mu się osobowość. Przyjął tożsamość Thomasa Reglewitscha, ojca Droubera, czyli jedynej osoby w rodzinie, którą tak naprawdę cenił. Szymon zaczął poszukiwać informacji o Reglewitschu, co było o tyle trudne, że

potrzebne dokumenty znajdowały się w Niemczech, a akta były ściśle tajne. Jego praca była użyteczna nie tylko na potrzeby biografii, ale również dla policji i to właśnie ich narzędzia umożliwiły dostanie mu się do pożądaných materiałów. Spędził wiele godzin na tłumaczeniu mundurowym tego, czego dowiedział się od Droubera, bo choć Ryglewicz został schwytany, zyciorys Reglewitscha mógł pomóc, dokładnie określić motywy, którymi kierował się jego wnuk.

Efekty pracy Milewskiego stanowiły zaskoczenie dla niego samego. Słoiki z ludzkimi narządami, które znalazł z mieszkaniu Droubera, były tak naprawdę pozostałością po Thomasie Reglewitschu, który, będąc nadwornym lekarzem Trzeciej Rzeszy, dokonywał makabrycznych czynów. Szymon przeżył traumatyczne chwile, czytając szczegóły tego procederu. Żołnierze Wehrmachtu gwałcili spotkane na swojej drodze kobiety. Tak naprawdę liczył się tylko fakt, że ofiara znalazła się w nieodpowiednim miejscu i czasie. Nie było mowy o konsekwencjach, nawet jeśli skutkiem ich działań była śmierć kobiet. Właśnie takie ofiary trafiały w ręce Reglewitscha, który bardzo skrupulatnie przeprowadzał na nich sekcje zwłok. Podobno odnajdywał w tym coś podniecającego. Jego prace naukowe z zakresu anatomii były wysoko cenione i wciąż stanowiły źródło wiedzy dla studentów medycyny, jednak nikt nie domyślał się prawdy zza kurtyny.

Reglewitsch był typem kolekcjonera. Gromadził kolejne narządy, robił fotografie. Drouber miał osiemnaście lat, gdy II wojna światowa się skończyła. Odziedziczył po ojcu jego wszystkie materialne wspomnienia. Reglewitsch został osadzony w więzieniu, a Drouber wyemigrował do Polski wraz z matką, która stąd pochodziła.

Podstawowy problem Szymona sprowadzał się do zrozumienia

związku przyczynowo-skutkowego, gdy syndrom dziecka potrząsanego powoduje powstanie guza, który poprzez nacisk na płat czołowy zmienia osobowość.

– Wstałeś? – Matka uchyliła drzwi od jego pokoju i spojrzała na niego badawczo.

– Tak, zaraz wychodzę. – Miał nadzieję, że nie wyglądał tak źle, jak się czuł.

– Obiecałeś, że posprzątasz mieszkanie – powiedziała. – Muszę iść do pracy, dzisiaj wrócę trochę później, bo chcę zrobić nadgodziny.

– Posprzątam – skwapliwie zapewnił. Zasadnie miała wyrzuty sumienia, powinien to zrobić już dawno.

– Byłabym wdzięczna... – Zamknęła drzwi, nie mówiąc nic więcej.

Zawsze mieli dobry kontakt, wzajemnie się wspierali. Wiedział, że nie był idealnym synem, ale od czasu, kiedy przystąpił do napisania biografii Droubera, powstało wiele niepotrzebnych nieporozumień. Miał wyrzuty sumienia, bo wciąż był na utrzymaniu matki, pracowała przez cały dzień, a on zamiast znaleźć przynajmniej doraźne zajęcie, bawił się w pisarza. To było właściwe określenie – bawił się. Nie miał żadnego doświadczenia, zachcianka chwili, sposób na bezrobotność.

Niespodziewanie mama pojawiła się w drzwiach jeszcze raz.

– Pamiętaj o walentynkach – rzuciła. – Miłego dnia!

No właśnie... walentynki. Spojrzał na pękniętą szybkę ekranu swojej komórki, której raczej nie można było zakwalifikować do generacji smartfonów. Miał nadzieję, że otrzyma jakąś wiadomość od Dagmary, ale nawet się nie zdziwił, gdy jej nie zobaczył. Nie wiedział, co się tak naprawdę stało, przecież wszystko zmierzało w dobrą stronę, bardzo go wspierała w jego pracy. Stawali się sobie

coraz bliżsi, przespali się ze sobą, ale nic więcej poza pocałunkami i przytulaniem. Nie był dobry w te klocki, a na pewno niezbyt szybki, wręcz nieśmiały. „Czy zostaniesz moją dziewczyną?” – w tym wieku tego się po prostu nie mówi. Wszystko ma swoją kolej. Gdyby ktoś zapytał Szymona, kim dla niego jest Daga, odpowiedziałby, że są razem.

Może zrobił coś nie tak, może poświęcał jej za mało czasu, ale nie rozumiał, co się stało, że nagle przestała się do niego odzywać. Z dnia na dzień. Bez słowa wyjaśnienia. Powodem mogła być książka, bo spędzał nad nią prawie całe dni, co odbywało się kosztem czasu spędzonego z Dagmarą. Ale przecież takie kwestie można sobie wyjaśniać, a nie obrażać się i unikać kontaktu. Dzwonił do niej wczoraj, ale odrzuciła połączenie, napisał SMS-a, nie doczekał się odpowiedzi. Jeszcze kilka dni temu planował dzień walentynek, miała pisać jakiś egzamin, chciał poczekać na nią przed uczelnią i zabrać na koncert. Zarezerwował nawet stolik w ich ulubionej knajpie. Okoliczności były jednak takie, że nie wiedział, czy w ogóle się spotkają. Chciał to wszystko z nią wyjaśnić, dowiedzieć się, co jest powodem tej sytuacji. Naprawdę się przejmował, bo polubił ją do tego stopnia, że w tej chwili mu jej brakowało.

No właśnie. Polubił. Może to był właśnie problem. Dagmara była tą stroną, która zdecydowanie bardziej się starała. Szymonowi zależało, ale jej chyba bardziej. Sytuacja Milewskiego była trochę inna, jeszcze miesiąc temu był w poprzednim związku, który trwał ponad trzy lata. Wszystko sprowadzało się do zaufania. Zawiódł się na osobie, po której się tego nie spodziewał. To było właśnie w tym wszystkim najbardziej dobijające. Potrzebował czasu, dotychczas sądził, że tylko kobiety używają tego argumentu, ale musiał sobie wszystko na spokojnie

poukładać. Ufał Dagmarze, wiedział, że nie zdradziłaby go z pierwszym lepszym, ale tak samo myślał wcześniej o Natalii, a nie chciał po raz kolejny się zawieść na bliskiej mu osobie.

– Mam coś ciekawego. – Rozważania jego sytuacji sercowej przerwał Szymonowi telefon od Goczałki. Był podekscytowany.

– Słucham uważnie! – odpowiedział, łykając tabletkę przeciwbólową z naiwną nadzieją, że apap uśmierzy kaca.

– Ryglewicz zaczął mówić. Rozmawiałem przed chwilą z Hałyckim, który jest ordynatorem Oddziału Psychiatrii Sądowej na Monte. Przekazał mi kilka spostrzeżeń.

Szymon dobrze wiedział, o kim mówi Goczałka. Wcześniej Hałycki skontaktował się bezpośrednio z Milewskim, prosząc o przekazanie informacji, które udało się zebrać na temat Reglewitscha. Początkowo Szymon był oporny, ale kiedy niespodziewanie usłyszał propozycję finansową, nie mógł odmówić.

– Ryglewicz milczał przez ostatnie dwa tygodnie. Co zrobił Hałycki?

– Nie wiem, ale cokolwiek to było, okazało się skuteczne.

– Czego takiego się pan dowiedział? – Milewski usiadł przy biurku, gotowy zanotować usłyszane rewelacje.

– Hałycki stwierdził, że Ryglewicz ma stany lękowe. – Szymon chciał to skwitować swoim komentarzem, ale Goczałka go uprzedził. – Wiem, że psychiatrzy mają tendencję, by diagnozować je u wszystkich wokół, ale bardziej mnie zainteresował fakt, że syn Droubera ma problem z zawiasami.

– Nie rozumiem... – Milewski nie wiedział, o co chodzi. Pierwsze skojarzenie sprowadzało się do krat w więzieniu, ale słowo „problem” było w tym przypadku nie na miejscu.

– Nie wiem, jak to inaczej nazwać... Wyobraź sobie, że do mnie mówisz, co jakiś czas przerywasz i patrzysz na przykład na ścianę.

Chwilę później wracasz do rozmowy, jakby nic się nie stało. Ryglewicz nie zdaje sobie sprawy z tych przerw, działa to na zasadzie wyłączenia telewizora, tylko w tym przypadku chodzi o jego mózg. Interwał.

– A nie ma to związku z jego schorzeniem? – Milewskiemu wydawało się to oczywiste.

– To pytanie do lekarza, nie do mnie. Zastanawiam się cały czas, jaki ma sens ten zegar. Może czepiam się szczegółów, po prostu wydaje mi się, że Ryglewicz drobiazgowo dba o detale i zabrał go z jakiegoś powodu.

Szymon rozmawiał już o tym z ojcem Dagmary, też próbował to wyjaśnić. Syn Droubera został schwytyany na lotnisku w momencie, gdy wszyscy sądzili, że chce zabić Komickiego i uniemożliwić bezpieczne lądowanie samolotu, na którego pokładzie więzień się znajdował. Prawda była jednak inna: Ryglewicz czekał na policję, oddał się w ich ręce. Obok niego stał zegar, a był na tyle dużych gabarytów, że wniesienie go na lotnisko mogło przykuć niepożądaną w tym przypadku uwagę.

– Udało się w końcu zidentyfikować jego pochodzenie? – zapytał Milewski.

– Tak jak mówiłem, wysłaliśmy zapytanie do kilku znawców. Takich zegarów wyprodukowano tysiące, raczej to nie jest pamiątka po Reglewitschu, bo datuje się go na tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty drugi rok.

– A może odnosi się to do jego fascynacji liczbami?

To był na pewno jeden z bardziej zastanawiających faktów. Liczby. Szymon nie mógł na ten temat powiedzieć zbyt wiele, zawsze stronił od matematyki, nie widział nic frapującego w fakcie, że dwa plus dwa daje cztery. W garażu Ryglewicza znaleziono kilka zeszytów wypełnionych niezidentyfikowanymi

wzorami. Nazwiska upraszczał do zwykłego ciągu liczb, w pewnym sensie umniejszając wartość ludzkiego życia.

– Brzmi logicznie, ale wciąż nie znajduję wyjaśnienia. Myślałem, że może natknąłeś się na jakąś wzmiankę z życiorysu Reglewitscha, która tłumaczyłaby tę fascynację.

– Do tej pory nic, zresztą dobrze pan wie, że od razu bym dał znać.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zapytać o Dagmarę, ale wątpił, aby Goczałka wiedział, co się z nią dzieje. Ojciec Dagi funkcjonował przez ostatnie tygodnie obok rodziny, poświęcał się dochodzeniu, bo choć Ryglewicz został schwytany, a wiele elementów ułożyło się w sensowną całość, to jednak sprawa była wciąż w toku, brakowało dowodów, a przykład zegara dowodził, że wciąż niewiele wiedzieli o sprawcy.

– Jest jeszcze coś... – powiedział powoli Goczałka, jakby miał wątpliwości, czy o tym wspominać. – Nie powinienem o tym mówić, ale jestem ci to winien. Ryglewicz został ponownie zbadany, właśnie otrzymałem wyniki.

– Potwierdzono poprzednią diagnozę? – W tej chwili zapomniał już o bólu głowy.

– Guz się powiększa. Lekarz dał mu nie więcej niż dwa miesiące.

Milewski wcale nie był zdziwiony. Nie przejmował się tym, że morderca umrze, ale wizja dwóch miesięcy życia była mimo wszystko przerażająca.

– Ryglewicz o tym wie? – To było dla niego kluczowe pytanie.

– Właśnie o to chodzi. Wydaje mi się, że on wie już od dawna, tym bardziej dziwi mnie, że chciał się znaleźć w więzieniu. To jest bez sensu.

– Zgadzam się z panem, ale widocznie dla niego to ma sens.

– I tego się właśnie obawiam...

* * *

Nie słuchał go. Zamknął oczy i starał się wyciszyć. Danielewicz siedział na ławie oskarżonych. Po jego prawicy znajdował się bezpośredni sprawca, Dariusz Olejesiuk, oraz drugi, podobnie jak Anton z zarzutem pomocnictwa, Witold Fejszar. Dobrze się znali, należałoby zacząć od tego, że gdyby nie Danielewicz, do rozboju w ogóle by nie doszło.

Właśnie zeznawał Jan Rowecki, sześćdziesięcioośmioletni ochroniarz, który dorabiał sobie do emerytury jako stróż w sklepie ze sprzętem agd. Prosta sprawa, jednym świadkiem była ofiara, drugim policjant. Materiał dowodowy stanowiły nagrania z kamer, które uwieczniły całą akcję. Prokurator nie widział potrzeby powoływania biegłych, oskarżeni przyznali się do zarzucanych czynów.

Wyglądało to trochę inaczej niż w telewizji, gdzie Anna Maria Wesołowska z upudrowanym noskiem w trzydzieści minut rozwiewa wątpliwości, w dodatku wydaje swój sprawiedliwy wyrok i przedstawia moralizatorskie uzasadnienie. Sprawa trwała już półtorej godziny, a pozostało jeszcze kilka ważnych punktów.

Przewidywania Pinasa, że sprawa przyciągnie tłumy reporterów łaknących jakichś kontrowersji, nie potwierdziły się. Na widowni była tylko żona Olejesiuka i jakaś młoda dziennikarka, która nawet nie pofatygowała się, żeby cokolwiek zanotować.

Danielewicz spojrzał na sędziego. Oczywiście, zainteresował się wcześniej, komu przyjdzie decydować o jego winie. Cezary Biskup miał czterdzieści trzy lata, tak naprawdę trudno było znaleźć na niego konkretnego haka, jego życie Anton mógłby określić jako

smutne. Praca, praca, praca. Przy tym wszystkim udało się znaleźć czas na założenie rodziny, jego żoną była całkiem urodziwa prawniczka, która całe dni spędzała w pseudokorporacji, której polski oddział został stworzony z myślą o taniej sile roboczej. Biskup miał również syna, ośmioletniego Andrzeja. Gdyby w trakcie sprawy pojawiły się niespodziewane zwroty i powstałoby jakiegokolwiek ryzyko dla Danielewicza, jego ludzie wiedzieli, co robić. Mimo to nie chciał podejmować wcześniej żadnych kroków. Trudno było przewidzieć zachowanie Biskupa, gdyby otrzymał propozycję łapówki albo stał się adresatem groźby.

– Jak zachował się Olejesiuk, kiedy pana zobaczył? – sędzia zapytał Roweckiego.

– Był zaskoczony – odpowiedział bez wahania ochroniarz.

Danielewicz parsknął śmiechem, w porę zakrywając usta. Pinas spojrzał na niego, marszcząc czoło. Anton miał ochotę pogratulować Olejesiukowi zdolności aktorskich. Przecież dobrze wiedzieli, że Rowecki tam będzie. W sklepie pracował jeszcze inny ochroniarz, którego można było określić jako umięśnionego misia z fałdkami tłuszczu przy szyi. Uznali, że Rowecki sprawi mniej problemów.

– Skąd pan wywodzi taki wniosek? – Mina Biskupa wskazywała na to, że jego znudzenie sięga zenitu.

– Nie rozumiem pytania. – Ochroniarz oparł się rękami o barierkę. Miał problemy ze słuchem, dlatego nachylał się za każdym razem, gdy sędzia coś mówił.

– Dlaczego pan sądzi, że Olejesiuk był zaskoczony? Podniósł brwi, wydał okrzyk?

– Rozejrzał się dookoła, jakby szukał ucieczki. Potem podbiegł do mnie, obezwładnił i przewrócił na ziemię.

– Czy coś powiedział?

– Wyciągnął nóż. – Świadek spojrział na chwilę na Olejesiuka, ale szybko odwrócił wzrok, jakby bał się vendetty. – Przyłożył go do mojej szyi, kazał mi milczeć.

– Kiedy zawiadomił pan policję?

– Usłyszałem jakiś hałas, zobaczyłem, że ktoś jest w środku. Włączyłem wtedy alarm, dopiero później opuściłem swoje stanowisko, aby przeszkodzić złodziejowi.

– Czy cokolwiek się panu stało? – Biskup przeszedł do kolejnego podpunktu.

– Po wszystkim pojechałem na prześwietlenie do szpitala, bo odczuwałem ból w skręconym przez napastnika nadgarstku, okazało się, że to tylko nadwreżenie.

– A nóż? Powiedział pan, że Olejesiuk przyłożył go do szyi.

– Nie było nawet małego zadrapania. – Można było wyczuć w jego głosie zdziwienie.

– Czy czuł się pan zagrożony?

– Przepraszam, ale po raz kolejny nie rozumiem.

– Chcę zrozumieć charakter ataku. – Biskup przewertował akta, chyba znalazł to, czego szukał, bo odłożył je na wcześniejsze miejsce. – Jaki charakter miał atak Olejesiuka, czy chciał pana zranić?

– Wydaje mi się, że jak ktoś przykłada nóż do gardła, taki właśnie ma cel.

– Mimo to nie zrobił panu krzywdy. Dlaczego?

– Nie wiem. Chwilę później przybyła policja, może to jest powodem.

– Czy wiedział pan, że na zewnątrz były jeszcze inne osoby?

Chwila zawahania.

– Tak. Widziałem obraz z kamery, zbliżały się trzy osoby, ale nie potrafię potwierdzić, czy pozostała dwójka to osoby z ławy

oskarżonych.

– To nie była treść mojego pytania – powiedział Biskup. – Czy ma pan coś do dodania, co mogłoby się okazać kluczowe w sprawie, a o czym nie wspomniałem?

– Nie, Wysoki Sądzie.

– Przeczytam teraz treść pana zeznań, które złożył pan w trakcie przesłuchania na policji w dniu osiemnastym grudnia.

Trwało to kilka minut, które wydawały się Antonowi wiecznością.

– Czy potwierdza pan te słowa? – zapytał Biskup. Odpowiedź ochroniarza była twierdząca. – Czy obrońcy mają jakieś pytania?

Każdy z oskarżonych miał innego adwokata. Kolejno wstali i oznajmili, że skorzystają z możliwości danej przez sąd. To samo pytanie otrzymał prokurator. Danielewicz spodziewał się, że przyjdzie Bartosz Dędek, człowiek, który wraz z Flisakiem wciąż próbował znaleźć na Antona dowody w sprawie zabójstw. Przybyła jednak jakaś młoda dziewczyna, świeżo po aplikacji. Całkiem ładna. Na raz. Anton zganił się za te myśli. Miał nadzieję, że żona mu wybaczy.

– Zastanawiam się nad tym, co powiedział pan na policji... – Była zestresowana, połykała słowa, nic dziwnego, że Rowecki jej przerwał.

– Przepraszam, czy mogłaby pani mówić głośniej?

Jej twarz zrobiła się czerwona ze wstydu. Wyraz twarzy Biskupa wyrażał zażenowanie.

– Oczywiście. – Podejście numer dwa. – Powiedział pan na policji, że napastnik krzyczał, gdy pana zobaczył, powalił pana, trzymając nóż w ręce, potem chciał uciekać. Może się pan do tego ustosunkować?

– Nie pamiętam już dobrze, ale nie przypominam sobie żadnych krzyków. W momencie, gdy pojawiła się policja, napastnik wciąż był nade mną. Nie wiem, dlaczego nie uciekał.

– Nie mam więcej pytań. – Chyba spodziewała się innej odpowiedzi.

Myśli Danielewicza odpłynęły w kierunku żony. Był zawiedziony, choć przecież sam zakazał jej pojawiania się tutaj. Tak bardzo za nią tęsknił. Widok Sylwii wśród publiczności wcale by mu nie pomógł. Oczywiście, wyjaśnił jej wszystko albo prawie wszystko. Wiedziała, dlaczego to robi. Rodzina była dla niego czymś świętym, przekraczając próg domu, zapominał o tym, co pozostawił w pracy. Wszystkie bóle i problemy starał się eliminować wysiłkiem fizycznym, czasem wystarczał zwykły papieros. Bo zasada była prosta – rodzina miała na tym nie ucierpieć. Łatwo się wyżyć na drugim człowieku, to prosty sposób, aby sobie ulżyć, ale pozostawia to blizny – nieporozumienia, które mogą zmienić bezwarunkową miłość w koszmar.

Siedząc w celi, nie rozmyślał o tym, co dzieje się w domu. Tak właśnie umawiał się z żoną. Dla bezpieczeństwa zaprzestał korespondencji. Był spokojny, wiedział, że gdyby było coś nie tak, dowiedziałby się pierwszy.

Sędzia przeszedł do przesłuchania policjanta. Danielewicz pobudził się dopiero, gdy na pytania sądu zaczął odpowiadać Olejesiuk. Jedno pytanie było wyjątkowo kłopotliwe:

– Czy wiedział pan, że w sklepie jest ochroniarz?

– Nie – odpowiedział bez chwili wahania oskarżony.

– Czy wiedział pan o kamerach?

– Nie.

– Nie widział ich pan? – Prawda była taka, że trudno było ich nie zauważyć.

– Po prostu nie zwróciłem uwagi. Byłem w tym sklepie kilkakrotnie i nigdy nie rzuciły mi się w oczy.

Biskup spojrzał badawczo na Danielewicza. Zapewne wiedział o postępowaniu przygotowawczym. Nie trzeba być wybitnym prawnikiem, aby odnaleźć oczywiste powiązania.

– Skąd ten pomysł? – Sędzia po raz kolejny zwrócił się do Olejesiuka, który raczej nie wyglądał na takiego, co potrzebuje rabować sklepy.

– Uznajmy, że była to potrzeba chwili.

Pinas odwrócił się w tym momencie do Danielewicza. Jego twarz przecinał grymas. Anton rozumiał, o co mu chodzi – Olejesiuk użył złego słowa.

– Uznajmy? Chyba się przesłyszałem. – Biskup był poruszony odpowiedzią. – To nie jest kwestia tego, co dobrze zabrzmie w protokole. Proszę powiedzieć prawdę.

– Każdy popełnia błędy. Uległem chwili. – Kolejna zmyślona kwestia brzmiała równie źle.

Żona oskarżonego skryła twarz w dłoniach. Nie uszło to uwagi Danielewicza, Biskupa zapewne również. Dziennikarka ożywiła się i zaczęła coś pośpiesznie notować.

– Proszę mi wyjaśnić jedną rzecz – powiedział sędzia. – Ma pan trzydzieści osiem lat, żonę i dwóch synów. Pańskie zarobki sięgają stu pięćdziesięciu tysięcy rocznie. Nie w mówi mi pan, że pod wpływem chwili idzie pan z kumplami do sklepu, żeby ukraść kilka komputerów.

– Wysoki Sądzie – przerwał adwokat Olejesiuka – sytuacja finansowa mojego klienta jest w tym przypadku nieistotna, a odpowiednie wyciągi z konta zostały udostępnione prokuraturze z naszej dobrej woli. Nie wydaje mi się stosowne posiłkować się nimi w tym przypadku.

– Dobra wola to nie jest żargon prawniczy, mecenasie – skwitował Biskup.

Dyskusja trwała kolejne pół godziny. Po przerwie został przesłuchany Fejszar i sam Danielewicz. Potem było zajęcie stanowisk, co również w żaden sposób nie odbiegało od szablonu. Rozprawa nabrała płynności, jak u Wesołowskiej.

– Czy są jakieś wnioski? – zakończył sędzia.

Niespodziewanie wstała młoda pani prokurator. Była blada, chyba nie do końca była przekonana, czy dobrze robi.

– Chciałabym wnioskować o odroczenie sprawy w związku z potrzebą powołania kolejnych świadków.

– Słucham uważnie. – Biskup aż się wyprostował. Chyba sam nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.

Danielewicz również słuchał. Doszedł do wniosku, że młodzież w dzisiejszych czasach jest zdecydowanie zbyt ambitna.

* * *

– Proszę się nie przejmować – powiedział Markiewicz do Janiszewskiego.

– Chyba sobie żartujesz – odpowiedział premier, unosząc brew.
– Przecież wiesz, że nie mam pojęcia o ekonomii.

– Nikt tutaj nie oczekuje niestworzonych obietnic. Raczej nie zapytają, jaka jest różnica pomiędzy brutto a netto. To ma po prostu dobrze brzmieć.

Tadeusz wiedział o ekonomii tylko tyle, ile mu było potrzebne do szczęścia, czyli bardzo niewiele. Polityka nauczyła go improwizacji i dystansu, Janiszewski też wkrótce zrozumie pewne prawidłowości, przez najbliższy rok zmieni się nie do poznania.

– Po prostu załatw tę przemowę jak najszybciej, nie przedłużaj, bo jeszcze palniesz jakieś głupstwo. Muszę ci zająć dzisiaj chwilę.

– Mam spotkanie z Kalińskim o piętnastej. – Janiszewski spojrzał na zegarek. – Co się dzieje? To coś ważnego?

Kaliński był ministrem edukacji. W tej dziedzinie jeszcze nigdy nie było idealnie, a kolejni śmiałkowie zmagali się niezmiennie z tymi samymi problemami.

– Bardzo ważnego... Nalegam. – Markiewicz był zdeterminowany, żeby nie odkładać tego w czasie, bo nie czuł się w obowiązku, aby decydować o kwestiach kluczowych dla państwa.

– Brzmisz tajemniczo...

– Już czas. – Podeszła do nich organizatorka.

– Powodzenia – powiedział Tadeusz, klepiąc Janiszewskiego po ramieniu.

Czuł się trochę winny, że postawił premiera w kłopotliwej sytuacji. Przemówienie zamieniło się w kilka wyszczególnionych punktów. Wczorajszego wieczoru nie zdążył niczego przygotować, a rano w biurze było małe trzęsienie ziemi. Jego sekretarka niespodziewanie nie przyszła do pracy i zamiast zająć się swoimi obowiązkami, instruował jej następczynię.

Nie lubił lekarzy, dokładnie dentystów, po prostu się ich bał. Na samą myśl o wizycie panikował. Może to było trochę dziecinne, ale czuł się niekomfortowo, jak ktoś mu patrzył do jamy ustnej. W drugiej kolejności najbardziej znienawidzoną przez niego grupą zawodową byli właśnie ekonomiści. Przez ostatnie lata nauczył się zręcznie dobierać argumenty. W tym przypadku nie było większej logiki, chodziło o jakieś wewnętrzne spaczenie. Nie przepadał za ludźmi, którzy się mądrzą, ich wiedza opiera się na liczbach, a przewidywania odnośnie do przyszłości można porównać do wróżenia z fusów.

Prosty przykład. Kryzys. Kiedy ekonomista powie, że nadchodzą trudne czasy, sugeruje oszczędzanie i rozważne

zaciąganie kredytów, prowadzi to do przewidzianego biegu wydarzeń. Ludzie myślą, że ekonomiści to mądrzy ludzie, biorą ich słowa do serca, popyt nie wzrasta, PKB stoi w miejscu, banki zaczynają prowadzić nieostrożną politykę wobec kredytobiorców. Wtedy faktycznie dochodzi do kryzysu, a pochwały zbierają właśnie ekonomiści, bo sprytnie przewidzieli taki bieg wydarzeń. Oczywiście, było to może zbyt uproszczeniem, z pewnością w grę wchodziły jeszcze inne czynniki, a nie tylko samospełniająca się przepowiednia.

Kolejnym argumentem Markiewicza, dlaczego ekonomiści stanowili zło wcielone, był sposób ich ubierania się. Wyjrzał na salę, aby upewnić się, czy i tym razem się nie pomylił. Wszyscy wyglądali dokładnie tak samo. Ciemne garnitury, białe koszule, bordowe albo granatowe krawaty. Może już się niepotrzebnie doszukiwał takich elementów, w końcu też miał na sobie garnitur, ale nie potrafił się uwolnić od tych uprzedzeń.

Janiszewski nie radził sobie najlepiej, zbyt wiele gestykułował, a to było niewskazane. Słowa. To one stanowiły podstawę. Tadeusz zawsze powtarzał: „Nieważne co, ważne jak”. Były różne sposoby wybrnięcia z trudnej sytuacji. Sam miał jedną zasadę, którą skutecznie praktykował, nieważne, czy to był premier, czy żona. Czekał, aż powiedzą, co wiedzą. Żona musiała mieć władzę i poczucie panowania nad sytuacją. Premier jest jedną z najważniejszych osób w państwie, oczywiście, że chce mieć wpływ na to, co się dzieje. Kiedy Markiewicz usłyszał już wszystko, nadchodził moment na przedstawienie swojego zdania, w jego mniemaniu jedyne słusznego. Podstawą było wykorzystanie stanowiska drugiej strony jako punktu wyjścia, z dodaniem swojego „ale” w odpowiednim momencie. Rozmówca czuł się autorem pomysłu, ale modyfikacja, często bardzo znacząca, była

już po myśli Tadeusza.

Pewnych rzeczy po prostu można się nauczyć, czasem trzeba zachować opinię dla siebie, nie ulec presji, zachować się bezuczuciowo albo przynajmniej nie pokazywać emocji. Smutna prawda, ale prawdziwa.

– Cieszę się, że takie konferencje mają miejsce... – ciągnął Janiszewski.

Markiewicz spostrzegł, że słuchało go coraz mniej osób, zresztą trudno się dziwić, to było zdecydowanie jedno z jego najgorszych wystąpień.

– Mam nadzieję, że wartość siły, jaką stanowicie, zostanie doceniona...

Tadeusz się wyłączył. Nie mógł tego słuchać, to było bezsensowne. Przynajmniej wiedział, jak bardzo wartościowe są przygotowane wcześniej przemówienia. Miał nadzieję, że na sali nie ma zbyt wielu reporterów, choć wystarczyłby tylko jeden. Informacja jest szybsza niż prędkość światła.

– Porażka – powiedział Janiszewski dziesięć minut później, gdy siedzieli w służbowym samochodzie i zmierzali do Kancelarii Premiera.

Markiewicz czuł się winny, ale przyznawanie się do tego i wzajemne poklepywanie po plecach postanowił zostawić na poważniejsze tarapaty.

Tadeusz uwielbiał jeździć po Warszawie rządowymi limuzynami. Może to nie był nadzwyczajny luksus, ale chodziło o prędkość. Zrezygnował z tego przywileju, samochodu używał doraźnie, a na co dzień korzystał z metra. Nie był na tyle rozpoznawalny, aby obawiać się jakiegoś ataku zagorzałych przeciwników rządu.

– Słucham. O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

Markiewicz wyjął z torby opasłą teczkę.

– Naniósłem poprawki w twoim planie wsparcia małych i średnich przedsiębiorstw. – Poświęcił na to ostatnie tygodnie, jak zwykle był sceptyczny wobec wszelkich planów, bo każdy kolejny przykład polityka potwierdzał, że stworzenie go nie idzie w parze z realizacją.

– To było takie ważne? Dlatego miałem odwołać spotkanie z Kalińskim? – Wyglądał na poirytowanego. – Rozumiem, że chcesz to omówić, ale nie sądziłem, że to taka pilna sprawa.

– To kwestia poboczna, ale chcę dojechać do Kancelarii, zanim przejdę do konkretów.

– Cóż to za konspiracja?

– Nie wiesz jeszcze wszystkiego, a wolałbym uniknąć ataku serca.

– Rozmawiając z tobą, czasem mam wrażenie, że nic nie wiem.

Markiewicz nie potwierdził, ale w pewnym sensie tak właśnie było. Janiszewski nie zajmował wcześniej żadnego rządowego stanowiska, dlatego pierwsze miesiące stanowiły dość drastyczne zderzenie z rzeczywistością.

Kwadrans później siedzieli przy kawie. Tadeusz dolał mleko, aby zagłuszyć wyrzuty sumienia, że to już szósta. Mógł się oszukiwać, że to na dzisiaj koniec, ale przecież naturalną kolejną rzeczą będzie, jak poprosi o następną, gdy tylko przejdzie do swojego gabinetu.

– Insight – rzucił hasło, aby sprawdzić, czy Janiszewski w jakiś sposób zareaguje.

– Co to jest? Kolejny lobbysta?

– Zdecydowanie nie – uciął spekulacje premiera. – To ściśle tajna instytucja. Upraszczając zależność, podlega w tej chwili właśnie tobie.

– Nigdy o niej nie słyszałem. – Janiszewski nałożył na nos okulary, jakby przymierzał się do przeczytania dokumentów, Markiewicz jednak nie dysponował takowymi.

– Właśnie dlatego, że jest tajna.

– Przed chwilą stwierdziłeś, że podlega właśnie mnie. Czy to się nie wyklucza?

– Dla usprawiedliwienia dodam, że poprzedni premier nie dowiedział się o niej przez całą swoją kadencję. Tak jak powiedziałem, ta zależność to tylko uproszczenie. Tak naprawdę nikt nie ma nad nią władzy, ale jeśli ktokolwiek może mieć na nią wpływ, to właśnie ty.

– Coraz mniej z tego rozumiem. Skąd ty w takim razie wiesz o tym całym Insight?

– Bo byłem jedną z osób, które uczestniczyły w procesie powstawania tej instytucji. To zresztą nic nadzwyczajnego. –

Dobór słów nie był zbyt trafiony. – Jej siostry istnieją w każdym szanującym się państwie.

– Powiedziałeś, że poprzedni premier w ogóle nie musiał się dowiedzieć, więc rozumiem, że nie mówisz mi o tym przez przypadek.

– Zacznijmy od początku... – Chciał odwlec w czasie mówienie o problemach. – Insight to centrum nadzorowania monitoringu. Każde większe miasto ma swoje stacje kontroli, ale baza i główny serwer znajdują się właśnie tam. Insight wypełnia też dodatkowe zadania, zlecone przez rząd. Gdyby nie wsparcie finansowe rządu, trudno byłoby mówić o istnieniu takiej placówki jak ta...

– Bardzo szczegółowo analizowałem budżet i nie znalazłem tam żadnej wzmianki – przerwał mu premier. Wyraz jego twarzy wyrażał dezorientowanie, co zresztą było w tym przypadku uzasadnione.

Markiewicz tylko się uśmiechnął.

– Chyba nie muszę mówić, jak to się robi.

– Do rzeczy. Jakie zadania zlecił rząd?

– Przede wszystkim Insight jest naszą bazą informacji. Mowa między innymi o podsłuchach, również tych nielegalnych.

– Niech zgadnę, ktoś się włamał?

– Spokojnie... Trudno znaleźć bezpieczniejsze miejsce niż Insight. Nigdy tam nie byłem, zresztą nawet gdybym chciał, wątpię, abym mógł zlokalizować siedzibę.

– A mimo to twierdzisz, że nie istnieje ryzyko włamania?

– Powierzyliśmy to zadanie osobie, która zna wartość prywatności. Przez ostatnie dziesięć lat nie wydarzyło się nic, co mogłoby budzić obawy.

– Kim jest ta osoba?

Markiewicz próbował się nie irytować. Nienawidził polityków, mimo to pracował z nimi na co dzień. Janiszewski brzmiał pretensjonalnie.

– Wątpię, abyś się spotkał z tym nazwiskiem. Frederic Jansen. Kilkanaście lat temu zapoczątkował tę ideę w Szwecji, potem ściągnęliśmy go do Polski.

– Czyli bezpieczeństwo Polski jest w rękach obcokrajowca? – Tadeusz zdawał sobie sprawę, jak kiepsko to brzmi, ale nigdy nie żałował tej decyzji. Nie był ksenofobem. Janiszewski chyba nie spodziewał się odpowiedzi, bo po chwili zadał inne pytanie: – Kto tam pracuje?

– To też skomplikowane, nie znam szczegółów. Można w uproszczeniu uznać, że to hakerzy.

– Świetnie.

– Chcę, abyśmy dobrze się zrozumieli... Działalność Insight wymaga najwyższej klasy ekspertów. Są to ludzie nieprzypadkowi,

bardzo szczegółowo wyselekcjonowani, którym została przedstawiona propozycja pracy bez możliwości odmówienia.

– Czyli po raz kolejny mowa o pieniądzach.

Tadeusz przytaknął. Po chwili przeszedł do przedstawienia zdarzeń z ostatniego miesiąca. Umyślnie pominął fakt, że to Jansen zabił dwóch pracowników.

– Nie wierzę, że to dzieje się naprawdę. Jestem skończony...

Markiewicz zawiódł się, słysząc z ust premiera taką odpowiedź. Myślenie tylko o tym, co pomyślą wyborcy, było w tym momencie niewskazane. Przynajmniej do końca kadencji teoretycznie mógł być spokojny.

– Zaczniemy od tego – powiedział Tadeusz, aby uspokoić nerwy – że nie istnieje ryzyko, aby opinia publiczna się o tym dowiedziała. Wszystko jest tajne i takie musi pozostać.

– Ale zginęły dwie osoby, trzeci pracownik popełnił samobójstwo, a Jansen stworzył chory system autorytarny.

Przez kolejne pół godziny omawiali sposoby rozwiązania tej patowej sytuacji. Markiewiczowi nie podobał się sposób, w jaki dedukował premier. W każdej jego koncepcji dominowały przede wszystkim argumenty, aby za wszelką cenę uniknąć odpowiedzialności.

– Nie widzę innej opcji niż zamknąć działalność Insight – stwierdził w końcu Janiszewski, patrząc wymownie na Tadeusza.

– Wiem, że trzeba się do tego przygotować, a zadania przekazać na przykład ABW. Zajmiesz się opracowaniem planu?

„Po moim trupie” – pomyślał Markiewicz, ale zachował kamienną twarz.

– Zrobię co w mojej mocy – odpowiedział.

4

Milewski siedział w barze. Patrzył z pogardą, ale również z zazdrością na dwóch Angoli, którzy zagadywali do barmanki, żłowiąc guinnessa, na którego Szymon miał wielką ochotę, ale cena skutecznie go demotywowała. Takich „turyistów” w Krakowie nie brakowało: przyjeżdżali na weekend z myślą o taniej rozrywce, zaliczali pierwszą lepszą – wbrew pozorom, chętnych nie trzeba było daleko szukać – zostawiali na Plantach pamiątkę w postaci swojego moczu, a potem wracali na swoje włości, pozostawiając syf, ewentualnie ciężarne. Ale władze miasta nie miały nic przeciwko takim gościom, liczył się zysk, a turyści, nawet tacy pseudo, stanowili podstawę funkcjonowania mniejszych i większych barów, restauracji czy też burdeli.

Szymon siedział tutaj już od dwóch godzin. Było jeszcze wcześniej, więc poza dwoma wyspiarzami nic nie zakłócało jego spokoju. Pisał rozdział dotyczący życia zawodowego Ryglewicza. W tej chwili jego praca wyglądała dość chaotycznie, ale miał koncepcję, której kurczowo się trzymał i miał nadzieję, że przyniesie kiedyś owoce.

Dowiedział się o studiach medycznych, które Tomasz ukończył z czteroletnim poślizgiem. Nie miał dostępu do wykazu jego ocen, prześledził jednak fora, na których Ryglewicz był dość aktywny, przede wszystkim w okresie sesji egzaminacyjnej. Raczej nie był lubiany, rzadko otrzymywał odpowiedź, medyczne terminy nie były Milewskiemu znane, ale nie było potrzeby tłumaczenia, żeby wyciągnąć podstawowe wnioski.

Syn Droubera przeniósł się do Zielonej Góry. Szymon nie znał powodów, chyba chodziło wyłącznie o ucieczkę z domu, niechęć do ojca, brak porozumienia z matką. Kolejnym zastanawiającym elementem był fakt pracy w firmie odzieżowej Sanclothes. Założenie było zapewne proste – zarobić na utrzymanie, oczywisty efekt uboczny zerwania kontaktu z rodziną. Od tego momentu Tomasz zaczął posługiwać się nazwiskiem Kostner. Nie wiadomo, w jaki sposób załatwił lewe dokumenty, ale musiał to być dobrze przemyślany proces, bo ani pracodawca, ani uczelnia nie mieli podejrzeń. Sanclothes stanowiło ważny element w sprawie. Była to jedyna firma w Polsce, która używała do szycia ubrań rzadkiego rodzaju materiału z Azji – dromitu. Ryglewicz wykorzystał go w trakcie swoich zabójstw: zaszywając ciała ofiar, wkładał dromit do środka. Szymon o tym wcześniej nie słyszał, ale była to podobno standardowa procedura, materiał miał wchłaniać krew. Syn Droubera został zwolniony z Sanclothes, bo pojawiły się podejrzenia o przywłaszczenie mienia. Jaki cel przyświecał mu przy kradzieży dromitu? Kolejna zagwozdzka. Był to materiał unikalny, w związku z czym sprzedanie go na polskim rynku było obarczone zbyt wielkim ryzykiem. Widocznie nie miał pomysłu, co zrobić z łupem, bo wykorzystał go w taki, a nie inny sposób. To nie było dobre posunięcie, ułatwiło policji ustalenie sprawcy, ale ci nie wykorzystali okazji – miejscowi mundurowi opieszale przesłuchiwali niespełna pięćdziesięciu pracowników Sanclothes, ale do tej pory nie było żadnych ustaleń.

Po zakończeniu studiów Kostner przeniósł się z powrotem do Krakowa. Był właścicielem garażu na jednym z krakowskich osiedli, tam urządził sobie niewielkie laboratorium, gdzie przeprowadzał sekcje swoich ofiar, a później zakopywał zwłoki w lesie. Jeszcze nie udało się określić, czy miał tam również

mieszkanie. Rozpoczął staż w Krakowskiej Klinice Leczenia Bezpłodności, który trwał sześć miesięcy i zakończył się w połowie stycznia. Był to znakomity kamuflaż; współpracownicy, z którymi rozmawiał Milewski, określali Ryglewicza jako miłego chłopaka. Nikt nie powiedział złego słowa, ale przyznawali, że był zdystansowany, wychodził zawsze sam, nigdy nie mówił o swoim życiu prywatnym. Doszło też do pewnego incydentu, który był zapewne głównym powodem, dlaczego staż nie został przedłużony. Niespodziewanie jeden z pacjentów zmarł na atak serca, a Ryglewicz stał przy nim, śmiejąc się i nie kryjąc podniecenia. Wtedy dyrektor placówki się zaniepokoił. Teraz, kiedy śledztwo wyjaśniło większość okoliczności, nie było wątpliwości, że sperma, którą wylał na ciało Szpila, jednej ze swoich ofiar, pochodziła właśnie z kliniki. Było to felerne nasienie przeschmuglowane z Ukrainy, którego użył, by uniemożliwić zidentyfikowanie jego własnego DNA, bo zanim pozbawił Szpila życia, nie omieszkał go zgwałcić.

Milewski przerwał te ponure rozważania, gdy do baru wszedł jakiś łyсы gość. Dresowe spodnie kontrastowały z polo Lacoste. Jeszcze parę lat temu Szymon stwierdziłby, że typ taki jak ten musi być z Nowej Huty, ale w mieście można było zobaczyć coraz więcej osób ceniących sobie wygodę i brak uścisku dzinsów w kroczu, a Nowa Huta w porównaniu z Ruczajem była niebem splamionym historią.

Łyсы zamówił piwo, równie tanie jak to, które pił Milewski, dlatego oczywistą konkluzją było, że to również Polak. Usiadł dwa miejsca dalej. Chyba nie miał nic lepszego do roboty, bo zaczął się gapić na Szymona. Milewski starał się to lekceważyć, ale to uczucie nie było miłe, tym bardziej że w pojedynku z gościem o bicepsie objętości jego uda nie miałby najmniejszych szans.

Otrzymał wiadomość SMS. To nie było tak, że zupełnie zlekceważył walentynki, uciekając do świata swojej książki i piwa. Pisał do Dagmary, próbował się z nią skontaktować. Poszedł nawet do jej domu, mieszkali w końcu dość blisko siebie, ale albo Dagi nie było, albo postanowiła udawać, że jej nie ma, bo nikt nie otworzył mu drzwi. Teraz w końcu odpowiedziała, ale treść SMS-a była dość lakoniczna, tylko zwykle „przepraszam”, choć ze względu na okoliczności to była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał.

Postanowił od razu oddzwonić. Słyszając już kolejny sygnał, obawiał się, że Daga znowu nie odbierze.

– Cześć – usłyszał w końcu jej głos.

– Dobrze cię słyszeć... – Starał się uniknąć sarkazmu, ale chyba mu nie wyszło.

– Nie gniewaj się, przepraszam za mnie.

Jej ton głosu wyrażał skruchę.

– To nie chodzi o to, że jestem na ciebie zły, powiedz mi tylko, co się dzieje.

– Po prostu lepiej będzie, jak nie będziemy się spotykać...

Zamurowało go.

– Tak po prostu? – Starał się zachować spokój.

– Uwierz mi, tak będzie najlepiej.

Wciąż wierzył, że to tylko głupi żart.

– Zrywasz ze mną przez telefon, serio? – Pomiął już kwestię, że były walentynki. Nie mógł uwierzyć w to, co się właśnie dzieje. Miał o Dagmarze inne mniemanie.

Odpowiedziała mu cisza. Może to z Szymonem było coś nie tak, że już druga dziewczyna chciała go zostawić?

– Spotkajmy się, porozmawiajmy... – powiedział błagalnym tonem.

Wiedział, że jego zachowanie było trudne do zniesienia, a obsesja pisania książki i szukania informacji o Ryglewiczu nie pomagała. Mimo to liczył na minimum szacunku, naprawdę nie oczekiwał zbyt wiele. Zrywanie przez telefon mógł porównać do wysłania mejla albo SMS-a. Może w innych okolicznościach byłoby dopuszczalne, ale nie było żadnej przeszkody, aby się spotkać. Jedynymi przeszkodami były chęci i odwaga, której Dagmarze widocznie zabrakło.

– I co to zmieni? To dla mnie naprawdę trudne, nie chcę cię krzywdzić, zrozum to, proszę.

– Krzywdzić? – Miał coraz więcej wątpliwości, zagubił się.

– Szymon, nie chcę cię oszukiwać, mówić, że będzie dobrze, i udawać, że wszystko jest OK.

– Właśnie tego nie potrafię zrozumieć! – Powoli tracił cierpliwość. – Przez cały czas wydawało mi się, że bardzo ci zależy. Skąd ta nagła zmiana?! – Czuł się dziwnie, mówiąc te słowa do telefonu.

– Nie wydawało ci się... – Milewski nie był pewien, ale odniósł wrażenie, że Dagmara płacze.

– Spotkajmy się. – Nie zamierzał odpuścić.

– Nie.

Już nie wiedział, jak do niej przemówić. Cokolwiek powiedział i tak było źle.

– Wiesz, ostatnie dni wiele mi uświadomiły. Nie pisałaś, nie odbierałaś telefonów, a ja naprawdę się o ciebie martwiłem. Kochanie, zależy mi na tobie, chcę być z tobą, zmienię się, jeśli tego oczekujesz...

– Szymon! – przerwała mu. – Nie słyszysz mnie? Powiedziałam, że to nie wyjdzie, nie możemy się spotykać. Tak będzie lepiej!

– Dla ciebie, nie dla mnie.

– Czasem trzeba pomyśleć o sobie i odpowiedzieć na pytanie, czego tak naprawdę chcemy.

– Ja już sobie odpowiedziałem: chcę być z tobą.

Dłuższa pauza po drugiej stronie nie zapowiadała nic dobrego. Sam był zdziwiony swoimi słowami, pewnością. Piwo zrobiło swoje.

– Ale ja nie – odpowiedziała w końcu.

Miał ochotę cisnąć komórką o ścianę. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Jeśli to faktycznie miał być koniec, to chciał, aby był godny. Czuł się obdarty ze skóry, oszukany, sprowadzony do parteru. Tak jakby nie miał nic do powiedzenia. Postawiła go przed faktem dokonanym.

– Spotkajmy się – powiedział po raz kolejny.

– Dlaczego tak ci na tym zależy?

– Po prostu się spotkajmy, chyba mam prawo oczekiwać minimum szacunku?

– Za pół godziny na placu Nowym, OK?

– OK – odpowiedział bez wahania.

W tym momencie Daga się rozłączyła.

Dopił piwo, zamknął swój notebook i skierował się w wyznaczone miejsce. Atmosfera nie była sprzyjająca. Co chwilę mijał kolejne pary, dziewczyny niosły w rękach kwiaty, chłopacy starali się być miłsi niż zwykle. Trzymali się za ręce, kradli pocałunki, zmierzali na romantyczne kolacje albo do łóżka, gdzie mieli przeżyć chwile uniesienia. Jeżeli ktokolwiek wątpił w miłość, powinien wyjść na miasto w walentynki. Milewski nie był jednak w nastroju. Jeszcze wczoraj marzył, aby podobnie spędzić wieczór z Dagmarą, ale teraz to wszystko przestało mieć znaczenie.

Jego głowa była pełna myśli. Nie wiedział, co powinien powiedzieć. Czy słysząc jej słowa, w ogóle był sens walczyć o tę miłość?

Obrócił się, nie opuszczało go uczucie, że ktoś za nim idzie. To tak jak z tym łysym, który nie spuszczał z niego wzroku. Nikogo nie zobaczył, ale obawy pozostały. Skręcił w boczną uliczkę. Nie przepadał za Kazimierzem, bo zawsze gubił się w gąszczu ślepych alejek. Zagłębienie hipsteriady nie należało do jego świata.

Usłyszał kroki, jakby ktoś biegł. To wystarczyło, aby serce zaczęło bić szybciej, był przewrażliwiony, a ciemna, pusta ulica potęgowała to uczucie. To był zwykły odruch, ale zaczął przyśpieszać. Przecież znajdował się w centrum Krakowa, co by mogło mu się tutaj przytrafić? Nagle zza rogu wyszedł jakiś mężczyzna i zagroził mu drogę. Milewski zobaczył tylko wyciągniętą w jego kierunku pięść. Po chwili spadał na ziemię, tracąc przytomność.

* * *

Był wściekły na Różyckiego. Nie chciał się przyznać do błędu, że powierzył zadanie zabicia M_36K niewłaściwej osobie. Pierwotna złość już minęła, ale poczucie porażki pozostało. Nie był zdziwiony, gdy dowiedział się o jego samobójstwie, przynajmniej oszczędziło mu to wielu problemów. Nie znał Macieja na tyle, aby mieć stuprocentową pewność, że nie zacznie sypać. Miało to drugorzędne znaczenie, w tej chwili policja i tak nie mogła Ryglewiczowi nic zrobić. Głównym dowodem był wyciąg z banku. Niejaki Kostner przelał na konto Różyckiego w sumie dwadzieścia tysięcy złotych. To nazwisko przewinęło się zresztą już kilkakrotnie, a Tomasz był przekonany, że taka osoba jak Goczałka powinna bez problemu połączyć oba fakty.

Różycki wielbił Kotarską, posiadał mnóstwo jej zdjęć, a na jego karcie SIM można było znaleźć wiele SMS-ów i wychodzących do

niej połączeń. Właśnie tego Ryglewicz się obawiał – uczucia stanowiły słabość, a chwila zawahania mogła przeszkodzić skutecznej realizacji planu.

Nie chciał do tego wracać. Kotarska przestała być problemem. Sytuacja wyglądałaby inaczej, gdyby wciąż pracowała na Montelupich, ale nic nie wskazywało na to, aby miała się tu w najbliższym czasie pojawić. Bo nie chodziło o to, aby robić komukolwiek krzywdę. Oczywiście, przynosiło mu to wiele przyjemności, stanowiło czystą formę podniecenia, ale konieczny był również konkretny cel. Kolekcjonerstwo i zaspokojenie nie były wystarczającymi argumentami.

Starał się nie wracać myślą do wczorajszej rozmowy z Hałyckim. Był perfekcjonistą, a ten dialog kilkakrotnie wymknął mu się spod kontroli. Obszerną wiedzę ordynatora tłumaczył dostęp do dokumentacji Milewskiego, ale Ryglewicz zachodził w głowę, skąd Hałycki dowiedział się o jego problemach z masturbacją. Wstydził się swojej intymności i popędu, nad którym nie potrafił zapanować. Teraz, kiedy doskwierał mu ból, nie chciał dodatkowo ograniczać się w tych chwilach ulgi, kiedy robił sobie dobrze.

Dostawał jakieś pigułki, ale do tej pory walczył ze sobą, aby nie ulec tej przyziemnej słabości bólu. Wątpił, aby ktokolwiek z personelu chciał go otruć, czuł się bezpiecznie, mając Hałyckiego po swojej stronie. Gdy nadchodził ten moment, kiedy trzeba komuś zaufać, ważne było, aby wybrać odpowiednią osobę, a samo nazwisko ordynatora budziło tam respekt.

Usłyszał szcęk zamka. W ostatniej chwili wyciągnął rękę ze spodni. Zobaczył Kabusa, jednego ze strażników. Chyba nie było bardziej parszywej roboty niż ta w Służbie Więziennej. Nie wiedział, co kieruje tymi ludźmi, którzy z własnej woli wybierają

towarzystwo zabójców, gwałcicieli, czy pedofilów. Tylko domniemywał, jak wygląda ich życie, czy w ogóle jest miejsce na jakieś ustatkowanie, czy jakakolwiek kobieta chce się z nimi związać.

No właśnie. Kobiety. Ryglewicz kochał tylko jedną, wszystkie pozostałe to były suki. Ta jedyna pewnie nawet nie wiedziała o jego istnieniu. Nic dziwnego – Ryglewicz był po prostu brzydki, wstydził się za siebie, patrząc w lustro, był potworem, dlatego żadna by na niego nie spojrziała.

– Masz gościa – powiedział Kabus.

Ryglewicz nikogo się nie spodziewał, tym bardziej że pora widzeń już dawno minęła. Nie miał na zewnątrz nikogo, kto chciałby się z nim widzieć.

– Nie wstawaj. Nigdzie nie musisz iść – dodał strażnik, zanim Tomasz zdążył się ruszyć.

Zobaczył Antona. Staął gwałtownie na nogi. Widzieli się miesiąc temu, wtedy Tomasz był jeszcze na wolności. Od tamtego czasu tak wiele się zmieniło. Nie wiedział, jak to możliwe, że mogli się tutaj zobaczyć.

– Świetna robota. – Danielewicz odwzajemnił uścisk. – Usiądź i opowiadaj. Nie mamy wiele czasu.

– Ale jak...? – Patrzył na niego, nie rozumiejąc.

– Musiałem się z tobą zobaczyć i ci podziękować. Spisałeś się doskonale.

Podświadomie czekał na te słowa. To mógł być ostatni raz, kiedy się widzą.

– Hałycki zbyt wiele o mnie wie. – To nie była rozmowa wzajemnej adoracji. Wolał przejść do konkretów.

– Tak jak mówiłem, jest po naszej stronie i nic nie zrobi.

– Zastanawiam się, od kogo się tyle dowiedział. – Zbyt cenił

Antona, aby skrywać przed nim swoje myśli. – Jediną osobą mogłeś być ty.

– Mylisz się – odpowiedział ze spokojem. – Zresztą dobrze wiesz, że nie przyszedłem rozmawiać tutaj o tobie. Chciałem zapytać, czy wszystko gotowe.

– Ach tak. Trudno powiedzieć, wciąż czekam.

– Muszę mieć pewność, że nie będzie niespodzianek. –
Danielewicz nachylił się w jego stronę.

– Dobrze wiesz, że Różycki nie żyje, sytuacja się zmieniła.

– Dobrze wiemy, że nawet jeśli żył, w więzieniu byłby głównie wart. Pocięszam się tym, że jesteś spokojny, więc zapewne przewidziałeś inny plan.

Ryglewicz przyznał w myślach, że tok myślenia Antona był właściwy. Nagle jednak kolejny atak bólu przeszył mu głowę.

– Słyszysz mnie? – zapytał Anton, jakby zdziwiony jego zachowaniem.

– Oczywiście. Dobrze wiesz, że wywiązuję się z obietnic.

– Przecież nie o to pytałem. Co robimy z Samsonem? –
Danielewicz przyglądał się mu z niepokojem.

Ach tak. S_42S. Osoba, którą zbagatelizował, a która go zaskoczyła. Pozytywnie, w końcu takich jak on było niewielu. Unikalne w jego mniemaniu połączenie. Liczby miały to do siebie, że stanowiły proste rozwiązania wszystkich problemów, odkrył tę prawdę przypadkiem, od tamtego czasu jego życie stało się uporządkowane jak nigdy wcześniej.

– Skup się! Nie mamy wiele czasu! – krzyknął Anton.

To poirytowanie nie było dla Ryglewicza zrozumiałe. Pokręcił przecząco głową.

– Spokojnie – powiedział. – Potrzeba konkretów.

– Właśnie o to cię pytam!

– Muszę wykonać telefon. Da się załatwić?

– Nie wiem, postaram się. Powiesz mi, co się z tobą dzieje?

Usłyszał pukanie do drzwi. Kabus zapewne się denerwował. Gdyby ktokolwiek dowiedział się o tym spotkaniu, straciłby pracę.

– Trochę się zmieniło – przyznał Tomasz.

– To już zauważyłem. Chciałem tylko wiedzieć, czy mogę na ciebie liczyć. Zbyt daleko to wszystko zaszło, żebym miał teraz powierzyć swoją wolność losowi.

– A czy masz alternatywę? – zaśmiał się Ryglewicz.

– Ograniczoną.

– Samson to człowiek słabości. Jego życie sprowadza się do rodziny. Jesteś najlepszym przykładem tego, jak wielkie to ma znaczenie.

– Nie sądziłem, że usłyszę z twoich ust groźbę.

– Mylisz się. Po prostu lubię mieć kontrolę, jesteśmy tacy sami.

– Czego ode mnie chcesz? – Danielewicz gwałtownie pobladł.

– Ach tak. Prawdopodobności, nic więcej. Pomogłem ci, wiele ci zawdzięczam. Zadanie wykonane, ale obaj dobrze wiemy, że nie znalazłem się tutaj przypadkiem. Obiecałeś mi coś, więc wywiąż się z umowy.

– To nie jest zależne ode mnie. Zresztą to nie jest więzienie, z którego można uciec.

– W takim razie popełniłeś błąd, składając obietnicę. Jak nazywają się twoi synowie? Marcin i Robert? – Wiedział, że przesadził, ale presja była w tej chwili konieczna.

Danielewicz przyparł go do ziemi, łapiąc za szyję.

– Co się z tobą stało, Ryglewicz?! Obaj jesteśmy od siebie zależni, chyba o tym zapomniałeś.

– Pomyliłeś mnie z kimś innym. Jestem Thomas Reglewitsch. – Ledwo oddychał, ale wiedział, że Anton nie zrobi mu krzywdy.

Jeszcze nie teraz.

– Nie obchodzi mnie, co się stało z twoją głową. Dla mnie jesteś Ryglewiczem! Gdyby nie ja, nie miałbyś tego nazwiska!

W tym momencie wszedł Kabus. Bez słowa odciągnął Danielewicza i wyprowadził go, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Ryglewicz triumfował. Sam był zdziwiony swoim zachowaniem wobec Antona, jego jedyne prawdziwego przyjaciela. Ale został do tego zmuszony. Zbyt wiele poświęcił, aby teraz pozwolić na przedmiotowe traktowanie. Obietnica jest obietnicą, jak ktoś nie jest pewny, do czego się zobowiązuje, powinien bardziej zważać na słowa. „Dobrze wiesz, że to nie jest zależne ode mnie”. Rozmowa z Hałyckim uświadomiła mu, że ordynator jeszcze o niczym nie wie, a przecież Danielewicz miał tak wiele czasu, żeby wszystko załatwić. Tomasz nie zamierzał robić nic do chwili, aż nie uzyska potwierdzenia. Na miejscu Antona bardziej by się martwił o Bronieckiego niż Samsona.

Jego plan był prosty, ale oparty na działaniach innej osoby. Instrukcja, którą sporządził, miała jeden słaby punkt – adresata. Dwa tygodnie temu ten człowiek udowodnił mu, że zasługuje na klasyfikację U. Podejrzenia były niewskazane, chodziło o zwykłą przysługę. Tak jak od początku miał wątpliwości, czy Różycki zdoła zabić Kotarską, tak nie miał obaw co do wiedzy merytorycznej adresata przesyłki.

Zastanawiał się, gdzie znajduje się w tej chwili jego zegar, czy U_45G przechowuje go blisko siebie. To była przepustka do wolności Danielewicza – przecież proste metody są najlepsze.

Tik-tak, tik-tak.

* * *

– Dobrze cię widzieć – powiedział do Kotarskiej Bartosz

Hałycki.

Słyszała te słowa przez ostatni dzień już kilkakrotnie, ale w tym przypadku brzmiały trochę inaczej. Ordynator kilka minut temu zjawił się w szpitalu z tanimi czekoladkami – ważny był gest, ale z drugiej strony skoro już pofatygował się do sklepu, mógł wydać więcej niż cztery złote. Sam fakt odwiedzin wydawał się jej podejrzany. Nie wiedziała, co się wydarzyło przez ostatni miesiąc w pracy, ale wcześniej nigdy za sobą nie przepadali. Hałycki zajmował się zupełnie innymi kwestiami, miał swoją autonomię, dlatego też nigdy nie wchodzili sobie w drogę. Wzajemna niechęć była dość naturalna, bo Edyta stroniła od ludzi, którzy narzucali innym własny tok myślenia i patrzyli wyłącznie na własny interes, a on najwyraźniej musiał to wyczuwać.

Teraz był bardzo miły, może dlatego jego wizyta stanowiła dla Kotarskiej takie zaskoczenie. Chciała wykorzystać jego obecność, aby dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja na Montelupich. Zachodziła w głowę, co takiego musiało się stać, że została zawieszona dyscyplinarnie, a Krym został odwołany. Czuła się skrępowana i przytłoczona – za dużo rewelacji jak na jeden dzień. Najpierw dowiedziała się o Maćku, wciąż nie mogła tego zrozumieć, zastanawiał ją przede wszystkim powód, dla którego miała umrzeć. Potem przyszedł lekarz i stwierdził, że nie może zagwarantować, czy pamięć w ogóle powróci. Ciekawe, czego tym razem miała się dowiedzieć.

– Jak się czujesz? – zapytał Hałycki.

– Wracam do formy, mam nadzieję, że wyjdę stąd do końca tygodnia.

– Cieszę się...

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Może to niestosowne, ale mogę zapytać, dlaczego przyszedłeś?

– Chciałem odwiedzić starą koleżankę, co w tym dziwnego?

– Po prostu nie pasujesz mi do tego typu ludzi, którzy przychodzą z czekoladkami.

– Wiele się zmieniło...

Kotarska poprawiła poduszkę i wymownie spojrzała na Hałyckiego.

– Zapewne słyszałeś o mojej amnezji. Chcę wiedzieć, co się stało – powiedziała wprost.

– Nie jestem pewien, czy wybrałaś odpowiednią osobę.

– Proszę cię. Nie wiem, dlaczego zostałam zawieszona, co się stało z Krymem...

– Chodzi o Groickiego. Pamiętasz go?

Samo nazwisko nie stanowiło dla niej rozwiązania.

– Co z nim?

– Będę z tobą w stu procentach szczery... – Przerwał na chwilę. Kotarska, słysząc tę deklarację, od razu nabrała podejrzeń. – Groicki przesiadywał na Montelupich, w związku z zachowaniami wskazującymi na niepoczytalność został przeze mnie przebadany, następnie złożył na mnie skargę. Stanęłaś po jego stronie, ostatecznie nasłałaś kontrolę. Wszystko zostało sprawdzone, okazało się, że miałem rację. Podejrzenia wzbudził jednak sposób wykonywania obowiązków przez Kryma...

– To musiały być poważne uchybienia, skoro został odwołany.

– Dochodzenie zostało utajnione, nie znam więc szczegółów – odpowiedział Hałycki. – Słyszałem tylko, że chodziło o jakieś przetargi z przeszłości, wygląda na to, że wszystko było ustawione.

Kolejny szok. Edyta wiedziała, że Krym miał zasady. Takie zarzuty zupełnie do niego nie pasowały.

– Więc dlaczego ja zostałam zawieszona, a nie odwołana? Przecież też uczestniczyłam w wydawaniu tych decyzji.

– Twój przypadek dotyczy innej sytuacji. Za wszelką cenę starałaś się pomóc Groickiemu, przekroczyłaś swoje kompetencje, naraziłaś placówkę na straty finansowe. To była jeszcze decyzja Kryma, ale zarzuty nie są na tyle poważne, żeby miały jakikolwiek wpływ na twoją karierę.

Odchrząknęła. Była zbyt słaba, żeby bawić się w subtelności. Postawiła na bezpośredniość.

– Z twojej opowieści wynika, że raczej byłam dla ciebie problemem. Mimo to przychodzisz do mnie z zupełnie innym nastawieniem. – Zganiła się w duchu. Była dla niego zbyt oschła.

– Jesteś do mnie uprzedzona. Nie mam do ciebie żalu, było, minęło. Chciałem zakopać topór niezgody, wierzę, że uda nam się porozumieć.

– Dlaczego tak bardzo ci na tym zależy?

– Kłótnie nie leżą w mojej naturze. Chodzi o to, aby unikać nieporozumień.

Była zmęczona. Najchętniej napiłaby się swojego ulubionego czerwonego wina i w objęciach Adama położyła się we własnym łóżku.

Hałycki usiadł na krześle i założył nogę na nogę. Nigdzie mu się nie śpieszyło.

– Jak sprawa wygląda teraz? – zapytała.

– Trzcíński nie panuje nad sytuacją. Nie wnिकam, co dokładnie się dzieje, zależy mi przede wszystkim na zdrowiu moich pacjentów, słyszałem tylko komentarze. Podobno dział administracji przygotowuje jakąś petycję.

– Petycję? – zdziwiła się.

– Dobrze wiesz, ile jest pracy. Zamiast dyrektora i dwóch wice jest tylko jeden zastępca, w dodatku niedoświadczony. Sprawą zajęła się już krajówka.

– Bardzo źle.

– Zgadza się – przytaknął Hałycki. – Montelupich traci na prestiżu. Oczywiście nie ma to wpływu na bezpieczeństwo, dowódcy znają temat i nie pozwoliliby, żeby zdarzył się jakiś wypadek. Chodzi przede wszystkim o atmosferę. Wniosek jest prosty: wracaj jak najszybciej!

Była zdziwiona, słysząc te słowa właśnie od niego.

– Jestem zawieszona, poza tym lekarz doradza odpoczynek.

Przez dłuższą chwilę milczeli. Miała wiele pytań, ale to były detale, którymi nie chciała zaprzętać sobie teraz głowy. Usilnie próbowała przypomnieć sobie Groickiego, ale bezskutecznie. Wciąż nie potrafiła umiejscowić wszystkich faktów chronologicznie. Przypominało to bardziej puzzle, których część elementów się zgubiła.

Za chwilę miał przyjść Adam. Musiał coś załatwić w związku z pracą, wspominał o urlopie na żądanie. Mieli na tyle oszczędności, aby sobie na to pozwolić. Życie zawodowe pochłonęło ich do tego stopnia, że wszystko sprowadzało się do paradoksu posiadaniu braku czasu na wydawanie pieniędzy. Taki świat stworzyli sobie na własną prośbę.

– Dzięki, że przyszedłeś – powiedziała w końcu. Przynajmniej była mądrzejsza o nowe informacje. – Pamiętasz o walentynkach?

– Rozstałem się z żoną rok temu.

– Przepraszam, nie powinnam... – Ugryzła się w język. Hałycki okazywał wobec niej życzliwość, a ona popełniała już kolejne *faux pas*.

– Nic się nie stało. Skąd miałaś wiedzieć.

Porozmawiali jeszcze przez chwilę. Okazało się, że mogą być inne tematy niż jej zdrowie i praca. Kotarska nie uświadamiała sobie, że cała ta rozmowa to tylko manipulacja ordynatora.

Przecież wszystko zależało od perspektywy, a pominięcie kilku ważnych faktów zupełnie zmieniało punkt widzenia.

Zanim Hałycki wyszedł, postanowiła zadać jeszcze jedno pytanie, które umknęło jej wcześniej.

– Jaka była twoja diagnoza co do Groickiego?

– Od dystymii aż po zespół Korsakowa. Mogłoby się wydawać, że zaburzenia nie są zbyt poważne, ale nie występowała u niego wola współpracy.

– Co się teraz z nim dzieje?

Dłuższa chwila milczenia zasugerowała jej odpowiedź. Żałowała, że zapytała.

– On nie żyje.

* * *

Wrócił do domu wcześniej niż zwykle. Był pobudzony, co nie zdarzało się często, ale nie zastał nigdzie żony. Pewnie nie spodziewała się, że Tadeusz będzie przed zmrokiem.

Spotkanie z Janiszewskim pozostawiło go w bojowym nastroju. Nie mógł pozwolić na to, aby premier, który tak naprawdę nie miał pojęcia o Insight, decydował o jego istnieniu. Następstw takiego obrotu spraw nie dało się racjonalnie przewidzieć, a powierzenie zadań ABW, przy jego oczywistej niechęci do służb, było pomysłem nie do zaakceptowania.

Podszedł do lodówki. Rzadko jadał w domu. Tłumaczył to dwoma powodami, choć gdyby trzeba było, znalazłby co najmniej dziesięć. Oficjalny był taki, że całe dni spędzał w pracy, rano ograniczał się do kawy, a potem pocieszał się czy to ciasteczkami, które przyniosła sekretarka, czy lunchem, który stanowił najmiłszy element spotkań z politykami. Drugą stroną medalu była kuchnia propagowana przez Marię. Był facetem, miał

przyziemne pragnienia – kotlet, ziemniaki, ewentualnie mizeria albo marchewka. Obiady żony były wykwintne, nigdy nie zaprzeczał temu faktowi, ale jego kubki smakowe nie skakały ze szczęścia. Talerz wyglądał bardziej jak przerośnięta rzeżucha w Wielkanoc. Sałaty, rukole i inne badziewia wysypywały się bezwładnie. Jeżeli miał szczęście, znalazł w tej dżungli jakąś krewetkę, rzadziej jego ukochane mięso. O schabowym nawet nie było sensu myśleć.

Widok wnętrza lodówki go nie zaskoczył. Było bardzo zielono i chudo. Jogurt naturalny light, drugi – truskawkowy, oczywiście też light. Do tego ser mozzarella (light), „bukiet warzyw”, coś o tajemniczej nazwie „gorgonzola” i łosoś norweski. Był głodny, przez chwilę wahał się, czy skusić się na łososia, czy zamówić pizzę. Przeczucie podpowiedziało mu, żeby zajrzeć jeszcze na najniższe półki lodówki.

Uśmiechnął się. Każdy był w gruncie rzeczy łasuchem, tylko niektórzy się do tego nie przyznawali. Do tych drugich bez wątplenia należała Maria. Półki były wypchane orzechami i rodzynkami w czekoladzie. Pewnie chciała to ukryć przed Tadeuszem, a wiedziała, że lodówka to jedno z najbezpieczniejszych miejsc w domu.

Wziął trzy pierwsze lepsze opakowania i usiadł na kanapie. Na ekranie telewizora znowu wyświetlił się serwis informacyjny. Miał nadzieję nie usłyszeć żadnego komentarza odnośnie do przemówienia Janiszewskiego na kongresie ekonomicznym. Na szczęście wszyscy skupili się na sytuacji w Afryce. Zapowiadano kolejną jesień narodów.

Umówił się na spotkanie z Maksem Samsonem na przyszły tydzień. Nie chciał naciskać na wcześniejszy termin, bo mogłoby to wzbudzić podejrzenia. Jeżeli Jansen miał rację, należało być

bardzo ostrożnym. Teraz doszła jeszcze kwestia Janiszewskiego. Plotki szybko się rozchodziły, politycy byli gorsi niż baby, a nie chciał, aby mówiono, że knuje za plecami premiera.

Markiewicz nie miał pomysłu, jak przekonać Maksa, nie był nawet pewny, czy w ogóle chce go przekonywać. Raport stawiał tego kandydata w dobrym świetle, ale zarządzanie Insight to była inna bajka. Odpowiednim słowem był chyba „wyrok”. Wystarczyło spojrzeć na Jansena, jak przez ten czas się zmienił. Obsesja, aby wszystko funkcjonowało prawidłowo, sprawiła, że stał się mordercą. Chciał poznać Samsona, wyciągnąć co do niego jakieś wnioski, przekonać się do twierdzeń przedstawionych przez Frederica. Jansen był w tej sprawie zupełnie inną kwestią. Jego chęć zmian była przereklamowana, a nazwisko Samsona podał zapewne tylko po to, by zyskać czas.

– Już wróciłeś? – Maria trzymała w rękach reklamówki z biedronki, z jednej wystawała jakaś zielenina. W samą porę schował jej smakołyki pod poduszkę.

– Wydaje mi się, że w taki dzień powinienem uśmiechać się więcej do żony niż polityków.

– Och, dziękuję ci za twoją życzliwość, myślałam, że zawsze tak powinno być.

– Czepiasz się, kochanie. Gdzie byłaś?

– Na zakupach. Chciałam nam zrobić kolację...

To nie był dla niego wymarzony plan na wieczór.

– Nie wiedziałem, że robisz zakupy w biedronce. – Nie mógł się opanować, żeby o to nie zapytać.

– Nie wiesz, bo nigdy nie robiłeś ze mną zakupów. – Chwila zawahania, jakby coś próbowała sobie przypomnieć. – Sam zresztą chyba też nie.

– Nie chciałybyś się trochę odprężyć, zanim zrobisz kolację?

– Co masz na myśli? – Maria spojrzała na niego podejrzliwie. Uśmiech Markiewicza mówił wszystko. – To jest twój plan na wieczór?

– Chyba jesteśmy już za starzy na chodzenie do kina. – Przynajmniej on czuł się na tyle staro.

– Nie poznaję cię. Co takiego się stało?

– A co się miało stać? Przecież to nie jest nic nadzwyczajnego.

– Sam fakt, że właśnie ty TO proponujesz, wydaje mi się podejrzany. Przeskrobałeś coś? – Usiadła obok.

Objął ją ramieniem, żeby przez przypadek nie znalazła ukrytych pod poduszką słodczy.

– Nie musimy, jeśli nie chcesz. Przepraszam, że w ogóle zaproponowałem. – Był poirytowany zdziwieniem Marii, jakby nie mogła się tego po nim spodziewać.

– Nie obrażaj się. – Zaczęła się przymilać. – Po prostu jestem przerażona. Musisz mnie ostrzec wcześniej, jak planujesz takie rewolucje.

Nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Nabijała się z niego. Z niewiadomych przyczyn pobudzało go to jeszcze bardziej.

– Nie znam powodów. Uznajmy to za kryzys wieku średniego.

– Ha! – Maria skradła mu pocałunek. – W takim razie powinieneś uganiać się za panienkami w wieku naszej córki, a nie ograniczać się do wiekowej żony. – Dotknęła swoich piersi, chyba chciała pokazać, że nie są już tak jędrne, jak wtedy, gdy się poznali.

– Kocham cię. Nawet kryzys nic nie zmienia.

– Och! Ach! – powiedziała teatralnie. – Włącz muzykę, zapal świece, mów do mnie tak więcej, a rozplnę się z rozkoszy.

– Masz wysokie wymagania – podsumował.

Wyłączył telewizor. Chwilę później całował jej szyję. Dokładnie

tak samo, jak wtedy, gdy byli dwadzieścia pięć lat młodszy. Dzisiaj nie potrzebował viagry, choć miał dziwne przeczucie, że Maria miała jakiś wpływ na jego dzisiejsze pobudzenie. Położyli się na kanapie, wtedy to się stało.

– Co to jest? – Wskazała na otwartą paczkę orzeszków w czekoladzie.

Zrobił srogą minę. Gdyby przyznał się, że znalazł w lodówce, szansa na kilka chwil przyjemności zapewne by się oddaliła, lepiej było powiedzieć, że kupił.

– Miałem ochotę. Każdy ma swoją chwilę słabości, prawda? – Ciekaw był odpowiedzi Marii.

– Na pewno wszystko w porządku? Co to się dzieje, że musisz pójść do sklepu i kupić orzechy w czekoladzie?

– Czy naprawdę jest to w tej chwili takie ważne? – Chwycił ją za pierś i zaczął delikatnie pieścić.

Pisnęła, gdy ugryzł ją pieszczotliwie w ucho.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Nic. Po prostu jestem porażona...

– Nie rozumiem. – Nie przerywał, schodził coraz niżej.

– Zachowujesz się jak napalony dwudziestolatek. To miłe, ale rzadkie... Może powinnam się wcześniej wykąpać? – Chyba faktycznie była przerażona.

Tadeusz się uśmiechnął. Każdy wiek miał swoje przywileje.

– Może weźmiemy wspólny prysznic? Będzie zabawnie...

– Nie wierzę, że to się dzieje – wyszeptała Maria, gdy szli w kierunku łazienki. – Muszę ci częściej kupować te orzeszki, bo dobrze na ciebie działają.

Zdjął jej bluzkę.

Miło było na chwilę zapomnieć o pracy. Wyłączył komórkę, pewnie jutro będzie musiał się tłumaczyć, dlaczego nie odbierał.

Ale to miało być dopiero jutro.

Kochał Marię. Przez ostatnie miesiące dała mu popalić, była jak dziecko, którego zachcianki miał ochoczo spełniać. Ale w tym wszystkim zapomnieli, jak przyjemne jest zbliżenie. Kiedyś seks był tematem tabu, teraz sytuacja się zmieniła, a przecież nie było prawdą, że to tylko przywilej młodości.

Już mieli wejść do wanny, gdy usłyszeli dzwonek od drzwi. Zastygli w miejscu. Poczekali dłuższą chwilę z nadzieją, że gość odejdzie. Dzwonek znowu zabrzmiał, tym razem z jeszcze większym natężeniem.

– Spodziewasz się kogoś? – zapytał żonę.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Idź sprawdzić, spław go, a ja tu na ciebie poczekam.

Nie zamierzał polemizować. Szybko włożył bokserki, spodnie i koszulę. Skarpetek nie chciało mu się szukać, bo zgubiły się gdzieś po drodze do łazienki. Zbiegł po schodach. W drzwiach zobaczył Henryka. Nie widział syna już od dawna, raczej się unikali, ale chyba nie był w najlepszej formie. Był przemarznięty i mokry, na zewnątrz zaczął padać śnieg.

– Czemu nie odbieracie telefonów?! Nie wiedziałem, jak się z wami skontaktować, więc w końcu przybiegłem!

– Wejdz, wysusz się. Co takiego się stało?

Henryk nie ruszył się z miejsca. Przez chwilę jego wzrok zatrzymał się na bosych stopach Markiewicza.

– Ania zaczyna rodzić, potrzebuję samochodu... – wydukał.

Chwilę trwało, zanim Tadeusz zrozumiał przesłanie tych słów.

– Ale jak to? Przecież termin miał być dopiero w marcu.

– Tato... – Henryk spojrzał na niego błagalnie. – Chyba nie będziemy się teraz zastanawiać nad naturą ludzkiego życia.

– No tak, tak. Masz rację. – Zupełnie nie wiedział, jak się

zachować. Wygrzebał z marynarki kluczyki od samochodu.

Usłyszał kroki Marii. Schodziła w samym szlafroku.

– Co się dzieje? Już nie mogę się doczekać – powiedziała jego żona.

Tadeuszowi już zupełnie przeszła ochota na harce.

– Zaczęło się. Wygląda na to, że staniemy się dziadkami miesiąc wcześniej.

– Co?! Ale jak to?! Kiedy?! Gdzie?! To ja może się ubiorę...

Markiewicz tylko się zaśmiał. Sądził, że to on się dziwnie zachował. Cieszył się na przyście na świat małego Tadka, to mogło wiele zmienić. W końcu to rodzina powinna determinować pracę, a nie odwrotnie.

* * *

Robił pompki. Danielewicz nie miał możliwości, żeby wyżyć się na kimś innym, bo jakiś czas temu został przeniesiony z sześćoosobowej celi do izolatki. Wcześniej miał przynajmniej kilku frajerów. Teraz był zły i za wszelką cenę chciał się wydostać z tych czterech ścian. Czuł się oszukany. Jakby zamiast obiecanej posady reżysera dostał wypowiedzenie od dyrektora teatru.

Ryglewicz miał rację – byli od siebie zależni. Przez ostatnie tygodnie sądził, że to tylko jego rozgrywka i nie ma w niej miejsca na przypadkowych graczy. Okazało się, że ktoś chciał być lepszy od niego.

Rodzina nie była jego słabością – stanowiła o jego sile i doświadczeniu. Może pod wpływem chwili zareagował zbyt gwałtownie. Co z tego, że Ryglewicz znał imiona jego dzieci, skoro zamknięty na Montelupich, był nieszkodliwy? Nie było miejsca na nieprzemyślane ruchy. Potrzebował go, chciał mieć po swojej stronie. Chodziło o dowody. Danielewicz musiał mieć pewność, że

nic mu nie grozi. Ucieczka z Polski stanowiła środek do zdobycia najważniejszego – zapewnienia dobra rodzinie. Z materialnymi dowodami nie było problemu, część została spalona, a dokumenty podrobili lub sfałszowali. Prokuratura po prostu nie miała prawa z papierów dowiedzieć się prawdy. Większy problem stanowiły dane zapisane w wersji elektronicznej, czyli wszystkie przelewy bankowe, korespondencja mejlowa, komputerowo generowane faktury i zamówienia. Zwyczajne sformatowanie komputera nie było rozwiązaniem, kluczem było Insight, do którego wejście było w tej chwili utrudnione.

Danielewicz sądził, że rozwiązaniem jest Samson, gość, który wiedział, jak funkcjonuje Insight oraz kto tam pracuje. Dowiedział się o nim jeszcze od Zamoyskiego, który dostrzegł w nim ryzyko. Odpowiednie uderzenie w słabości Samsona mogło otworzyć drogę do serwerów i umożliwić zlikwidowanie wszystkich dowodów. Ryglewicz miał plan, Anton mógł się tylko domyślać na czym polega, ale każdy kolejny pomysł brzmiał mało wiarygodnie. Dlatego też uruchomił swoje kontakty. Wolał mieć plan B.

Rozmowa z człowiekiem, który był kluczowy w realizacji całego przedsięwzięcia, miała go uspokoić, upewnić, że wszystko w porządku. Tymczasem nie poznawał osoby, z którą wcześniej przedyskutował tak wiele godzin, określając szczegóły akcji. Stał przed nim obcy człowiek – Thomas Reglewitsch – nigdy wcześniej nie było dane im się spotkać. Niepokojące były również te przerwy, jakby Ryglewicz potrzebował dłuższej chwili, żeby się namyślić. Nie dochodziło do niego wtedy żadne słowo, zupełnie się wyłączał. Anton nie potrafił tego zrozumieć.

To nie był udany dzień. Rozprawa nie poszła po jego myśli. Biskup przystał na argumenty młodej prokuratorce, która stwierdziła, iż w obliczu zeznań złożonych przez Olejesiuka należy

powołać jeszcze dwóch świadków w celu wyjaśnienia motywu tego rabunku. Kolejne posiedzenie miało się odbyć za trzy tygodnie. Starał się zachować spokój, system należał do niego, ale trzeba było zadbać o pozory. Poprzysiągł sobie, że młoda prokuratorka jeszcze tego pożałuje. Nie zamierzał bawić się w groźby, jej wniosku i tak nie dało się cofnąć.

Jeszcze dwadzieścia. Oddychał z coraz większym trudem. Miał słabe ręce, to inni byli od wymierzania sprawiedliwości, on dostarczał tylko środki. Bycie genialnym mu wystarczało, chodziło o umiejętne wykorzystanie wiedzy i istniejących zależności. Nie musiał sobie nic udowadniać ani naprawiać błędów innych – to w ich interesie było wypełnianie swoich obowiązków jak najlepiej. Błąd skutkowało wykluczeniem, a żadne tłumaczenie nie miało prawa uzasadnić porażki.

Ryglewicz, a raczej Reglewitsch, też był genialny, ale w przeciwieństwie do Danielewicza kierował nim instynkt przetrwania i bezustanne poszukiwanie nowych doznań, które pobudziłyby jego penisa – efekt uboczny deficytu miłości. Każdy posiada cechy, które zwykle uświadamiamy sobie dopiero w konkretnych sytuacjach, a czasem w ogóle ich nie poznajemy, bo brakuje sytuacji stanowiącej akcelerator.

Obietnica, którą złożył Danielewicz, była wynikiem zależności. Znał się z Hałyckim od dawna. Instynkt przetrwania Ryglewicza nie pozwalał mu poddać się chorobie. Można było myśleć o samobójstwie, ale wyrok śmierci to tylko motywacja, aby znaleźć rozwiązanie. Anton rozmawiał z Hałyckim o tym schorzeniu, psychiatra stwierdził, że są metody, które dają szansę na bezpieczne usunięcie takiego guza. Wtedy jeszcze nie miał wiedzy o szczegółowej lokalizacji ani jego rozmiarze. Danielewicz obiecał Tomaszowi, że ordynator się nim zajmie, właśnie dlatego

Ryglewicz oddał się w ręce policji. Nawet gdyby syn Droubera trafił do innego zakładu, nie byłoby problemu, aby go tutaj przenieść. Ale Hałycki był tylko psychiatrą, a nie neurologiem – pomylił się. Było już za późno, żeby pomóc Ryglewiczowi. Jego śmierć była kwestią miesiąca albo dwóch, potwierdziły to badania. Thomas Reglewitsch wciąż tkwił w przekonaniu, że uda mu się to pokonać. Nie można było go wyprowadzać z błędu, trudno było przewidzieć jego reakcję, wiązało się to ze zbyt wielkim zagrożeniem dla Antona. W tej chwili pozostało więc tylko stworzenie odpowiedniego wrażenia, że Hałycki robi wszystko, aby mu pomóc. Anton przewidywał również bardziej ekstremalną wersję planu – przyśpieszenie śmierci, ale najpierw chciał być pewny własnego bezpieczeństwa.

Areszt na Montelupich był jego centrum dowodzenia światem. Idealna kryjówka, bez podejrzeń, bez konieczności ukrywania się. Tutaj wszystko było prostsze, poukładane, podane na tacy.

Jeszcze dziesięć pompek. Starał się uspokoić oddech. Czuł się już lepiej.

Gdzieś tam była teraz młoda prokuratorka, która jeszcze nie domyślała się, jaką zrobiła sobie krzywdę.

Gdzieś tam był Ryglewicz. Może właśnie onanizował się, aby uśmierzyć ból. Tomasz chciał być reżyserem, więc dobrze. Najbardziej sprawiedliwa jest śmierć – równa dla wszystkich, dla reżyserów również.

Część druga

CHORA PODSTAWA

19-23 lutego

*Żadna scena nie stanowi granicy scenariusza, gdy nie
uwzględniono jej w didaskaliach.*

1

– Broniecki sam się pogrzebał – powiedział Gellert, który pełnił tymczasowo obowiązki szefa Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie. – Nie rozumiem tylko, dlaczego milczy. Skończy się na tym, że poniesie odpowiedzialność karną.

– Musi mieć w tym jakiś cel. To nie jest kolejny pospolity przestępca, który zasłania się nieznajomością prawa – odparł Miłosz Goczałka. Nie chciał się przyznawać, że zna prawdziwy powód.

– Rozmawiałeś z Beskim? Jaka jest twoja odpowiedź?

Konrad Beski dowodził Komendą Wojewódzką Policji. Po tym, jak do czasu zakończenia postępowania wyjaśniającego Broniecki został zawieszony w obowiązkach, Goczałka spędził wiele godzin na rozmowie z nim, odpierając argumenty, dlaczego powinien zająć stanowisko szefa dochodzeniówki. Miłosz przez wielu był spostrzegany jako jedyny słuszny kandydat. Może brakowało mu charyzmy, ale był poważany, liczone się z jego zdaniem. Poza tym przepracował w policji już wiele lat, znał komendę jak własną kieszeń. To wszystko było prawdą, ale Goczałka miał swoją działkę – był wyspecjalizowanym technikiem kryminalistyki, spełniał się, przeprowadzając oględziny miejsc zbrodni, miał pod sobą kilku ludzi. Nigdy nie miał pociągu do władzy, tym bardziej że nie mógłby tego połączyć z dotychczasowymi obowiązkami.

– Znasz ją – odpowiedział Miłosz. – Proponowano mi tę posesję kilkakrotnie, a okoliczności nie zmieniły się na tyle, aby moja

odpowiedź miała być inna.

– Błagam cię. – Gellert pokręcił głową.

Znali się od dawna, ale nie mieli ze sobą wiele do czynienia. Jan Gellert był dowódcą oddziału szturmowego, jego zadania kończyły się w momencie, gdy do gry wchodziła ekipa Goczałki. Trudno powiedzieć, żeby się nie lubili, ale częstotliwość spotkań nie pozwalała na bliższą znajomość.

– Nie nadaję się do tego. – Namawiało go już kilka osób, ta rozmowa też niczego nie zmieniała.

– Mam być szczery? – Jan wymownie spojrział na Goczałkę, ten tylko wzruszył ramionami, jakby nie oczekiwał niczego innego. –

Na prośbę Beskiego zająłem tymczasowo miejsce Bronieckiego, ale dobrze wiesz, że nie daję sobie z tym rady. Potrzebny był ktokolwiek, a ty się nie zgodziłeś. To nie jest mój świat, musiałbym spędzić tygodnie na przyswajaniu tej całej papierkowej roboty. Nie ma innych osób, które chciałyby wziąć na siebie odpowiedzialność.

– Więc dlaczego to musi spaść na mnie? – Miłosz rozumiał Gellerta. Nadzorowanie pracy oddziału szturmowego w porównaniu z siedzeniem przez całe dni za biurkiem było jak zderzenie dwóch światów. Tak naprawdę nie było osoby, która mogłaby przekazać Janowi niezbędną na nowym stanowisku wiedzę. Broniecki zniknął, pozostawiając chaos, nad którym naprawdę trudno było zapanować.

– Bo jesteś pewniakiem, nie rozumiesz? Jeżeli się nie zgodzisz, przyślą tutaj urzędasza ze stolicy i to już nie będzie to samo. Dla Beskiego ten wydział to priorytet. Jeżeli nawalamy, ma to wpływ na całą komendę.

– To szantaż – podsumował. Nawet nie był zdziwiony, wiedział, że prędzej czy później ten argument padnie.

– Nie bądź Lamą.

Goczałka spojrział na niego z wyrzutem. Nie lubił, gdy zwracano się do niego w taki sposób. Przypadkowo użyte określenie zostało od razu podłapane przez całą ekipę. W jego towarzystwie nie nadużywano tego przydomku, ale wiedział, że większość policjantów nawet nie znała nazwiska Miłosza, był dla nich po prostu Lamą. Każdy znał inne uzasadnienie powstania tego pseudonimu, ale on nigdy nie uległ presji, aby wyjawić choć jedną z nich.

– W ten sposób na pewno mnie nie przekonasz. Na jakim etapie jest postępowanie Bronieckiego? – Zmienił pośpiesznie temat.

– Złożył wyjaśnienia, analizowany jest materiał z kamer na lotnisku, zebrano zeznania kilku świadków. To była tak naprawdę chwila.

– Jak się wytłumaczył? – Lama miał swoją koncepcję.

Jan się przeciągnął. Był potężnej budowy, a niewielkie biuro nie dawało mu zbyt wiele przestrzeni.

– Stwierdził, że Komicki zaczął się wyrywać, wtedy pod wpływem chwili wyciągnął broń i oddał strzał.

– Czyli przyznał się, że nie było ostrzeżenia?

– Powiedział tylko, że celował w nogę, ale widocznie oko zawiodło.

– Nie uważasz, że to wszystko śmierdzi na odległość? – To było pytanie retoryczne. – Na płycie lotniska było ponad trzydziestu policjantów, a mimo to – jak rozumiem – nikt inny nie widział, że Komicki próbuje uciekać. Z jakiej odległości oddał strzał?

Gellert spojrział do swoich notatek.

– Około pięciu metrów.

– Spory rozstrzał. – Miłosz próbował to sobie wyobrazić.

– Broniecki nigdy nie działał w terenie, rzadko korzystał z broni.

Goczałka odniósł wrażenie, że Gellert usilnie próbuje pomniejszyć winę Bronieckiego.

– Ale mimo wszystko. Gdyby takie sytuacje były na porządku dziennym, firmy pogrzebowe zarobiłyby na nas fortunę.

Nie wiedział, skąd nagle wziął się ten czarny humor. Nigdy nie był dobry w opowiadaniu żartów, a jak już coś powiedział, rozmówca miał wypisane na twarzy to, co teraz Gellert – pożałowanie.

– Co się stanie z Bronieckim? – zapytał Lama.

– W policji jest skończony, pewnie odejdzie na wcześniejszą emeryturę, może założy jakąś firmę ochroniarską.

Goczałka przytaknął. Było dla niego jasne, dlaczego Piotr Broniecki nie chce składać zeznań. To było mniejsze zło. Lama wiedział, że były szef nie jest taki święty i w innych okolicznościach, gdyby nie był „gumisiem”, skończyłby w więzieniu. Nazywając rzeczy po imieniu, Broniecki zabił Komickiego. Zrobił to, czego tak bardzo chcieli uniknąć – pozbawił prokuraturę jedyne go świadka w sprawie przeciwko Danielewiczowi. Goczałka miał pewne przypuszczenia, dlaczego to się stało. Jediną osobą, która mogła to potwierdzić, był sam Broniecki. W dniu akcji na lotnisku przesłuchiowano w komendzie Antona Danielewicza. Lama obserwował całe spotkanie z pokoju obok. Padło hasło „Insight”, inni nie wiedzieli o co chodzi, Goczałka natomiast słyszał od kontaktach Bronieckiego z niejakim Frederikiem Jansenem i okolicznościach, które narażały byłego szefa wydziału śledczego na odpowiedzialność karną. Danielewicz posłużył się szantażem, gdyby Lama wcześniej połączył fakty, może udałoby się zareagować i zadziałać prewencyjnie.

Broniecki tak naprawdę pozostawał bez szwanku, utrata posady była niczym w porównaniu ze spędzeniem wielu lat za

kratami. Z jakiegoś powodu postanowił kryć Danielewicza. Gdyby nie Broniecki, Komicki dalej by żył, a Ryglewicz zostałby i tak schwytyany. Oczywiście, dochodziła możliwość, że Anton miał plan awaryjny, o którym Lama nie miał pojęcia.

– Powiedz mi... – zaczął Gellert. – Sprawa stoi w miejscu, nie udało się znaleźć świadków. Dędek naciska, aby sprawdzać kolejne poszlaki. Widzisz w tym sens?

– Na tym polega nasza praca. Znasz mnie, spędzam całe dni na analizowaniu tamtych wydarzeń, szukam słabych punktów Ryglewicza, deleguję obowiązki kolejnym osobom. Chodzi o to, że wszystko trwa, przede wszystkim badania, wciąż czekamy na kilka ekspertyz, które są kluczowe. Nie ma problemów z materiałem dowodowym u Ryglewicza, gorzej z Danielewiczem.

Jan przytaknął.

– Widzisz jakieś rozwiązania?

– Przemyślałbym kwestie przesłuchania jego żony, obowiązkowo współpracowników z jego firmy. Chodzi tylko o to, na ile są mu podporządkowani i czy będą go kryć.

– Jestem za. Zajmiesz się tym?

Lama aż się wyprostował.

– Nie zrozum mnie źle, ale jestem tylko technikiem. Staram się pomóc jak mogę, ale wydaje mi się, że akurat przesłuchanie należy do prokuratora albo kogoś, kto nie jest zielony tak jak ja.

– Sam widziałeś Dędkę ostatnim razem. Jeżeli mamy wyciągnąć od żony Danielewicza jakąkolwiek informację, trzeba podejść do tematu inaczej, dlatego właśnie pytam ciebie.

– Nawet nie znam procedur. – Lama patrzył na Gellerta ze zdziwieniem, najpierw sądził, że to żart, ale brzmiał nad wyraz poważnie.

– W tej chwili nie chodzi o procedury. To oczywiste, że nie

będzie chciała nic powiedzieć, będziemy mieć tylko jedną szansę. Gdybym nie był pewny, że sobie poradzisz, nie proponowałbym ci tego.

Świetne zagranie. Lama też często stosował takie zwroty. Nie miało to wiele wspólnego z prawdą, chodziło o poczucie zaufania. Goczałka wiedział, że Dędek był słaby w przesłuchaniach, nie przychodził mu też do głowy nikt, bo tutaj schematy się nie sprawdzają.

– Spróbujmy. Ale poinformuj o tym prokuratora, jak się nie zgodzi, zapominamy o sprawie. OK?

– Jasne. – Jan chyba nie potrzebował więcej do szczęścia.

Lama wstał. To nie był odpowiedni czas, aby spędzać godziny na miłych pogawędkach. Gdy był już przy drzwiach, Gellert w ostatniej chwili go zatrzymał.

– Jaki argument przekonałby cię, żeby wziąć to stanowisko? – zapytał.

– Roczny zapas paszy dla lam.

Jego żart był do tego stopnia suchy, że nawet sam się nie zaśmiał.

* * *

Milewski doszedł już do siebie. Od dnia wypadku nie wychodził na miasto. Pod prawym okiem wciąż miał opuchliznę, a nos zakrywał opatrunek. W końcu wyglądał jak prawdziwy mężczyzna.

Tamtego dnia stracił przytomność. Obudził się już w karetce, ktoś musiał zadzwonić na pogotowie. Na szczęście okazało się, że nic poważnego się nie stało. Został na noc na obserwacji, lekarze zlecieli standardowe badania.

Ten napad najbardziej odbił się na matce, dostarczył tylko kolejnego powodu do trosk. Zachowywała się trochę

nadopiekuńczo, wciąż przychodziła do jego pokoju z zakupami domowej roboty. Szymon nie czuł takiej potrzeby, ale trudno było się jej dziwić, mieli przecież tylko siebie.

Milewski nie widział, kim był napastnik. Zgłosił napad na policji, ale tylko czekał na informację o umorzeniu tej sprawy. Uliczka była ciemna, w pobliżu nie było żadnych przechodniów, a raczej nikt nie pofatygował się, żeby zabezpieczyć miejsce zdarzenia.

Zastanawiający był dla niego tylko cel ataku. Wyglądało na to, że chodziło wyłącznie o wyrządzenie krzywdy, nic nie zostało skradzione, nie padła żadna groźba. Szymon zatem nie był przypadkową ofiarą, wszystko musiało być zaplanowane. Ale przecież nie miał żadnych wrogów, nikomu się nie naraził. Nikt nie wiedział o jego zaangażowaniu w sprawę Ryglewicza i poszukiwanie informacji o Thomasie Reglewitschu. Była tylko jedna możliwość: Dagmara. Tylko ona wiedziała, gdzie się mają spotkać. Może ktoś śledził Szymona i zaatakował, gdy nie było świadków? Nie rozumiał jednak dlaczego. Co takiego zrobił, aby musiała na niego kogoś nasłać? Dlaczego przez ostatnie dni się nie odezwała, tak jakby w ogóle nie oczekiwała, że Milewski zjawi się na spotkaniu. Dotąd myślał, że dobrze poznał Dagę, że otworzyła się przed nim, ale teraz była dla niego kolejną zagadką. Zawiódł się na niej, nie potrafił już dłużej tłumaczyć jej postępowania. Sam przestał się do niej odzywać, ale wciąż o niej myślał – martwił się o nią, bo to zachowanie nie było normalne.

– Masz gościa – powiedziała matka.

Nikogo się nie spodziewał. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz zapraszał kogoś do siebie.

– Kto to? – zapytał, zdziwiony.

– Dagmara...

– Powiedz, że mnie nie ma – odparł bez zastanowienia.

Nie wprowadził matki w bieżącą sytuację. Poznała Dagmarę, ale trudno było powiedzieć, żeby się jakoś namiętnie polubiły.

– Za późno – powiedziała Dagmara, która nagle stanęła w drzwiach.

Sparaliżowało go, nie spodziewał się jej tutaj ujrzeć. Miała na sobie ciemną kurtkę z kapturem, wytarte dżinsy i sportowe buty. Do tej pory nie miał okazji zobaczyć jej w takiej stylizacji, bo zwykle ubierała się bardziej elegancko. Była blada, pod oczami miała cienie, jakby od zmęczenia oraz deficytu snu.

– Miałaś rację, nie ma sensu już więcej rozmawiać. Usłyszałem aż za wiele.

– Szymon... – Dagmara zrobiła krok w jego stronę. – Ja cię... przepraszam.

Podeszła do niego, chciała się przywitać, ale ją odepchnął.

Matka, która wciąż stała w przejściu, tylko głośno westchnęła i zamknęła za sobą drzwi.

– Nie przepraszaj mnie. – Nie widział sensu tego spotkania. – Nie wiem, czego oczekujesz, nie mam ci nic do powiedzenia.

– Więc pozwól, że ja będę mówić. Jestem ci to winna. – Stała obok niego, z rękami na biodrach, wyglądała na bardzo zdeterminowaną. – Wiem, że źle się zachowałam. Nieważne, ile razy powiem „przepraszam”, to słowo nic nie zmieni. Chodzi tylko o to, że poukładałam sobie wszystko w głowie. Nie chcę ci sprawiać przykrości, stałeś się dla mnie bardzo ważny. Nie odbierałam telefonów, nie odpisywałam na SMS-y. Po prostu to wszystko mnie przerosło. Pojawiłeś się znikąd, oboje siebie potrzebowaliśmy, ale to nie ma przyszłości. Jesteś świetnym człowiekiem, mam nadzieję, że ci się poszczęści. – Przerwała na chwilę, odwróciła wzrok. – Życzę ci jak najlepiej. Naprawdę bym chciała, żeby ta

znajomość trwała dalej, ale wiem, że cię zawiodłam i pewnie nie chcesz mnie znać...

Wzięła głęboki wdech i zamilkła. Zapewne czekała na reakcję Szymona. Milewski pokręcił przecząco głową. Nie wierzył, że to naprawdę się dzieje.

– *Contradictio in se*. – Sam był zdziwiony tym, że ten zwrot przyszedł mu do głowy.

– To wszystko? – Chyba również była zaskoczona tą reakcją.

– Sprzeczność sama w sobie – przetłumaczył. – To, co mówisz, nie ma sensu. Nie wiem, dlaczego tak bardzo chciałaś do mnie przyjść, skoro nawet nie chcesz powiedzieć prawdy.

– Dlaczego taki jesteś?

– Twierdzisz, że stałem się dla ciebie ważny, a tymczasem nie minęły nawet dwa tygodnie, a odprowadzasz mnie z kwitkiem!

– Bo wolę to skończyć, nim zajdzie za daleko.

Milewski nie rozumiał toku myślenia kobiet. Dla niego to było czymś oczywistym – skoro Daga była dla niego ważna, był gotowy walczyć o ten związek, a sam lęk przed przyszłością tracił na znaczeniu. Zawsze w takim momencie przypominały mu się słowa: „Lepiej żałować, że się coś zrobiło, niż żałować swojego tchórzostwa”.

– Nie robiłem nic wbrew twojej woli. Pamiętasz, jak zapytałaś wtedy, czy mamy jakieś szanse?

– Sądziłam, że spałeś. – Spojrzała na niego, zaskoczona.

– W innym przypadku byś o to nie zapytała? Wtedy wydawało mi się, że zamknięte oczy stanowią najprostsze rozwiązanie. Nie znałem odpowiedzi, wszystko działo się zbyt szybko.

– Teraz już ją znasz?

– Tydzień temu odpowiedziałbym co innego. – Właśnie sobie uzmysłowił, jak wiele się wydarzyło. – Chodzi mi tylko o to, że

wydawało mi się, że to właśnie ty bardzo tego chciałaś.

– Nie wydawało ci się – sprostowała. Dagmara usiadła na niezasłanym łóżku i zakryła twarz rękami.

Między nimi nie było złości, zwykła rozmowa dwójki znajomych, którym coś nie wyszło. Może łatwiej byłoby wzajemnie na siebie nakrzyczeć, ale to nie była domena Milewskiego. Co mógł więcej zrobić? Nie widział sensu wyjaśniania tych wszystkich zaszłości. Był zły na Dagę, bo czuł się oszukany. Nic więcej. Wzbierały w nim irytacja, złość i brak zrozumienia, bo ta nieoczekiwana wizyta tylko komplikowała jego wcześniejsze próby wyjaśnienia sytuacji.

– Co się w takim razie zmieniło przez ostatnie dwa tygodnie?
Chwila zawahania.

– Tak jak powiedziałam, doszłam do wniosku, że to nie ma przyszłości.

– To już słyszałem. Ciągle jednak nie ogarniam, co takiego zrobiłem, że nagle wyrzuciłaś mnie ze swojego życia?

– To nie chodzi o ciebie, ale o mnie. Nie znasz mnie jeszcze. Nie wiem, w czym dokładnie tkwi problem... nie potrafię się podporządkować, nie rozumiem własnych oczekiwań. Cieszę się, że masz pasję, ale kiedy ty piszesz tę swoją książkę, wydaje mi się, że ode mnie uciekasz.

– Masz rację, chyba faktycznie cię nie znam. Minimum szacunku... Skoro miałaś takie przemyślenia, mogłaś się najpierw nimi podzielić, a nie od razu ze mną zrywać.

– Mój błąd. – Była bliska płaczu.

– Daga... – Spojrzał na nią współczująco. – Nie wiem, może źle cię oceniłem. Uczucia to chyba nie jest kwestia błędu.

Nie chciał widzieć jej łez. Nie ma dla mężczyzny nic gorszego niż sytuacja, kiedy kobieta przez niego płacze. Nie czuł się winny,

miał wrażenie, że jego słowa mają w tym wszystkim znikome znaczenie.

– Widocznie nie dorosłam do związku.

Dla Szymona wszystko, co słyszał, było nielogiczne. Do tej pory nie została poruszona jeszcze jedna kwestia.

– Co się stało w walentynki? – zapytał.

– Nalegałeś na spotkanie, czekałam na placu Nowym, ale nie przyszedłeś.

– Nie przyszło ci do głowy, żeby do mnie zadzwonić?

– Myślałam, że chciałeś mnie ukarać.

Już nie chciał komentować kolejnego bzdurnego tłumaczenia.

Wskazał na swoje podbite oko.

– O tym też nie słyszałaś? – Dagmara zachowywała się inaczej niż zwykle. Nie opuszczało go wrażenie, że jest okłamywany.

– Dowiedziałam się wczoraj, bardzo mi przykro.

– I nie masz z tym nic wspólnego? – Może jego oskarżenia były bezpodstawne, ale jak miał to inaczej wytłumaczyć?

– Słucham?! – Zareagowała gwałtowniej, niż się spodziewał.

– Nie wiem, jak to wyjaśnić! Ktoś po prostu chciał mi wyrządzić krzywdę.

– Dlaczego mnie o to oskarżasz?! Jaki miałabym w tym interes?! – powiedziała z wyrzutem.

– Nic z tego nie rozumiem, to jedyne racjonalne wyjaśnienie...

– Racjonalne?! – krzyknęła. – Mylisz mnie z kimś innym!

– Możliwe, ale ja już nie wiem, kim jesteś. Poznałem cię, gdy byłaś inna.

Poderwała się z miejsca i gwałtownie ruszyła w stronę wyjścia, nawet na niego nie patrząc. Szymon był zdziwiony jej nagłą reakcją. Stojąc już przy drzwiach, odwróciła się na chwilę. Po jej policzku spływała łza.

– Wybaczysz mi kiedyś? – zapytała.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Naprawdę się zaangażował, Daga stała się dla niego kimś ważnym. Tydzień temu odpowiedziałby jej, że chce być z nią, że jest gotowy do poświęceń. Ale teraz? Po tym wszystkim?

– A czy to cokolwiek zmieni?

Nic nie odpowiedziała. Wyszła, zalana łzami.

* * *

Goczałka siedział przy swoim biurku. Nie mógł sobie wyobrazić sytuacji, że miałby zmienić to miejsce na biuro szefa. Czuł presję, ale właśnie dlatego kurczowo trzymał się swoich argumentów. Nie znał się na formalnościach. Dobrze wiedział, że aktualne poważanie wśród załogi jest tylko chwilowe. Nikt nigdy nie lubił tego, który rządzi. To nie była jego domena, nie wiedział, jak to się robi. Może to była kwestia roli i gdyby faktycznie został szefem dochodzeniówki, zmieniłby swoje podejście do sprawy. Wolał jednak skupić się na swojej pracy, wyspecjalizował się w określonej dziedzinie, zmiana w tym wieku nie wchodziła w grę.

Tylko czekał, aż wezwie go na spotkanie sam komendant Beski. Wydział Dochodzeniowo-Śledczy był na tyle elitarny, że pewnie w końcu znajdzie się chętny do objęcia funkcji na samej górze. Piotr Broniecki pozostawił jednak po sobie wiele niezakończonych spraw. Dochodzenie w sprawie Ryglewicza i Danielewicza stanowiło mozaikę problemów, kumulację niewłaściwych rozwiązań strategicznych. Popełniono zbyt wiele błędów, aby móc pozwolić sobie na kolejne.

Goczałka bardzo chciał zrozumieć Ryglewicza. Może to dziwne, ale cieszył się, że go poznał. Na co dzień miał do czynienia tylko z prymitywnymi przypadkami, gdzie głównym determinanem był

alkohol. W tym przypadku chodziło bardziej o intelektualną potyczkę. To nawet nie była kwestia zebrania śladów, one niemal zostały wyeliminowane przez Tomasza. Należało połączyć fakty. Lama uwielbiał wyzwania, jednak absorbowały go one do tego stopnia, że zaniedbywał wiele innych obowiązków. O mały włos, a posypałoby się jego wieloletnie małżeństwo z Ireną. Myślał o tej sprawie nieustannie, nawet gdy wracał po pracy, zamykał się w swoim garażu i analizował kolejne fakty.

Każdy miał swój słaby punkt, po prostu niektórzy potrafili je umiejętnie ukryć. Syn Droubera był w tym znakomity. Jego błędy nie polegały na tym, że czegoś nie przewidział. Wszystkie potknięcia były umyślne, z jakiegoś powodu poddał się policji, chciał, aby go schwytano. Gdyby miał inne zamiary, zapewne wciąż byłby nieuchwytny, a takie postawienie sprawy determinowało poważanie.

Geniusz. Zbrodnia idealna nie istnieje, taką wiedzę wpajano Goczałce na studiach, każda kolejna sprawa dowodziła tej koncepcji. Geniusz polegał zatem na tym, aby wykorzystać słabości swojego przeciwnika – w tym przypadku była nim policja. Popełniono podstawowe błędy, zlekceważono jedyne w tej sprawie dowody, skupiono się na ofiarach, zaniedbując schwytanie samego przestępcy.

Tuż obok jego biurka przeszedł Darek Nogała, młody policjant, który do tej pory nie zyskał uznania Miłosa. Znalazł się tutaj przypadkiem, podobno za karę. Wszystko to w momencie, kiedy Broniecki podziękował Lamie i wysłał go na przymusowy urlop, sprowadzając uzasadnienie do niesubordynacji – braku zgody na podpisanie protokołu, w którym pominięto elementy utrudniające śledztwo. Darek był chłopcem na posyłki, trzymał się blisko Bronieckiego. Teraz, kiedy zabrakło szefa, był pomijany. Gellert

mógł go oddelegować do innego wydziału, ale do tej pory było wiele innych, ważniejszych spraw, którymi pewnie musiał się zająć w pierwszej kolejności.

Miłosz spojrział na zegar. Po raz kolejny przekartkował otrzymany raport i ekspertyzę specjalistów odnośnie do zegara. Znał ją na pamięć, przeczytał kilkukrotnie, nie pomijając żadnego słowa. Nie było w nim nic, co w jakikolwiek sposób pasowałoby do planu Ryglewicza. Wszystko było zbyt przemyślane, aby sam zegar miał być tylko głupim dowcipem. Miłosz odrzucił hipotezę podstawionego tropu, który miał zmylić policję i sprawić, że będą poświęcać czas czemuś, co nie ma sensu. To nie pasowało mu do profilu Tomasza, choć faktycznie Goczałka mógłby w tej chwili analizować inne elementy, ale mimo to patrzył na zegar, śledził wskazówki, jakby z kolejną minutą miało się coś zmienić.

Zadzwoił telefon, usłyszał sygnał przekierowania. Większość osób w komendzie wiedziała, że rozmowa z Lamą przez telefon może stanowić jedynie wyjątek od reguły. Miłosz najbardziej cenił możliwość porozmawiania w cztery oczy. Skoro był na miejscu, każdy mógł się do niego pofatygować i przekazać dane informacje osobiście.

– Dzień dobry! – Usłyszał głos po drugiej stronie. Aż się wyprostował, gdy uświadomił sobie, z kim ma do czynienia.

– Czym sobie zasłużyłem na ten telefon?

Nawet nie próbował wyjaśnić faktu, w jaki sposób Ryglewiczowi udało się z nim skontaktować. Przez chwilę pomyślał, że sprawca uciekł z więzienia, ale przecież Miłosz byłby jednym z pierwszych, który by się o tym dowiedział. Nie fatygował się, żeby lokalizować połączenia, jego telefon nie posiadał funkcji nagrywania, a rozmowa zaintrygowała go na tyle, że nie chciał wszczynać alarmu, aby tuzin policjantów stał nad nim, co mogło

zakłócić odbiór.

– Wiesz, lubię cię. Ostatnim razem nie było możliwości dłużej pogadać, a pewnie masz do mnie kilka pytań.

Goczałka pośpiesznie wyjął notes i zaczął zapisywać swoje uwagi. Znowu czuł, jakby był częścią widowiska wyreżyserowanego przez Tomasza. Nie było tutaj mowy o jakichś punktach kulminacyjnych, wszystko sprowadzało się do finału kolejnego aktu.

– Ryzykujesz wykonanie telefonu z aresztu tylko po to, aby odpowiedzieć na moje pytania?

– Ach tak. To nie jest ryzyko. Nie jesteś człowiekiem, który za wszelką cenę chce mi przypisać winę. Ty próbujesz mnie zrozumieć, bardzo odważne posunięcie, imponujesz mi. Mogę się odwdziaczyć tylko w taki sposób.

– Miałeś okazję o wszystkim opowiedzieć na przesłuchaniu... – Lama nie wiedział, co jest powodem tak wielu pochwał ze strony Ryglewicza. Samo dowartościowanie? A może rozproszenie mgły, aby ukryć prawdziwy powód rozmowy?

– Ach tak. Nie miej do mnie pretensji. Oni i tak niczego by nie zrozumieli.

– Co się takiego stało, że akurat ja zyskałem twoje uznanie? – Miłosz był coraz bardziej zaintrygowany.

– Zasłużyłeś. Lubię ludzi z pasją. Twoją pracę można sprowadzić do kilku prostych prawd. Jest sprawa, więc trzeba ją rozwiązać, do tego czasu nie ma taryfy ulgowej. – Jego głos był ochryply. Mówił bardzo składnie, używał złożonych zdań, tworzył otoczkę niczym scenografię do widowiska teatralnego.

Miłosz wolałby słyszeć same „kurwy”, przynajmniej byłoby jasne, kto jest złym charakterem.

– Zastanawiam się, skąd tyle o mnie wiesz.

Odpowiedziała mu cisza. Powtórzył pytanie. Już sądził, że nastąpił problem z połączeniem, że może ktoś nakrył więźnia na rozmowie, ale w końcu go usłyszał:

– Znasz odpowiedź – powiedział Ryglewicz. – Insight. Wiem o tobie wszystko.

– Tak bardzo podkreślasz swoją władzę, ale tak naprawdę jesteś uzależniony od innych. – Zaryzykował. Był ciekawy reakcji.

– Ach tak. Nałóg? Insight to tylko i wyłącznie baza danych. Nie jest sztuką wiedzieć wszystko, to niemożliwe. Sztuką jest korzystać z tego, co mamy na wyciągnięcie ręki.

– Sytuacja chyba się trochę zmieniła. – Nie chciał przyznać mu racji, ale zgadzał się z nim w stu procentach. – Różycki, Konieczny i Zamoyski nie żyją, źródło wyszło.

– Ach tak. Sądzisz, że wciąż go potrzebuję? – Miłosz usłyszał po drugiej stronie śmiech.

– Nie wiem, co mam myśleć, a skoro już rozmawiamy, może mi wyjaśnisz?

Znowu dłuższa chwila przerwy. Może były to właśnie te interwały, o których mówił Hałycki. Powtórzył pytanie.

– Nie mamy tyle czasu, abym mógł powiedzieć wszystko. Chciałem ci tylko ułatwić...

– Nie oczekuję tego, myślałem, że już to zrozumiałeś. – Nie mógł uwierzyć, że Ryglewicz chce mu dawać taryfę ulgową. Obrażał go.

– Oczywiście. Sam musisz do wszystkiego dojść, szanuję to. Chodzi tylko o jedną kwestię. Próbujesz każdy mój krok racjonalnie wyjaśnić. Nie dopuszczasz myśli, że coś może być dziełem chorego człowieka, co skaża samą podstawę.

– Może masz rację, ale bezkrytyczne przyjmowanie tego, co się dzieje, nie zaprowadziłoby mnie tu, gdzie jestem.

Ta dżentelmeńska rozmowa nie była reżyserskim majstersztykiem. Lama nie czekał na wskazówki, ten telefon był jak uderzenie w policzek.

– Ach tak. Ciekaw byłem, czy przyjmiesz propozycję kierownictwa nad wydziałem śledczym – powiedział Ryglewicz.

Goczałka powoli rozumiał przesłanie jego słów – Tomasz naprawdę wiedział o nim wszystko.

– Jak brzmi moja odpowiedź? – Postanowił wystawić go na próbę.

– To oczywiste. Wolisz siedzieć przy swoim starym biurku.

Wyglądało na to, że Ryglewicz nie tylko wie o Lamie wszystko, ale również czyta w jego myślach. Miłosz nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. Ucinał sobie pogawędkę telefoniczną z jednym z najgroźniejszych przestępców ostatnich lat. Ryglewicz był osadzony na Montelupich, w jakiś sposób udało mu się skontaktować z komendą wojewódzką w Krakowie, a dokładnie z Goczałką. Rozmawiali o rzeczach, które mogłyby stanowić dowód w jego sprawie, mimo to Lama nie śpieszył się, aby kogokolwiek alarmować. Z każdym kolejnym zdaniem, które Miłosz od niego słyszał, starał się odnosić je do zegara, schwymania Tomasza i sprawy Danielewicza. Czekał na tę chwilę, chodziło o ten moment – intelektualny pojedynek w czystej formie. Ten telefon też miał swoje znaczenie w całym planie, Goczałka nie zamierzał bezkrytycznie skupiać się na wypowiedzanych słowach.

– Dałeś mi możliwość zadania pytania... – zaczął powoli Lama.

– Ach tak. Wiem, co cię trapi. Zegar.

Goczałka po raz kolejny był pod wrażeniem.

– Dlaczego jest dla ciebie taki ważny? – zapytał.

– Błąd. Wyprowadzasz durne wnioski. Już pewnie wiesz, że to tylko zwykły zegar.

– Mimo to specjalnie wzięłeś go na lotnisko.

Chwila zawahania. Miłosz podejrzewał, że to kolejny interwał, ale odpowiedź przyszła wcześniej niż zwykle.

– Masz rację, aż takie ryzyko by się nie opłacało. Skoro do tego czasu tego nie odkryłeś, pozwól, że cię naprowadzę. Każdy ręcznie robiony zegar jest inny. Twórcy mają w ich konstruowaniu pewną swobodę, nie są skrupowani szczegółowymi instrukcjami. Dla odbiorców to tylko zegar, ma określać godzinę i nic więcej. Dla zegarmistrzów to sztuka. Wystarczy spojrzeć na zegar z innej perspektywy. Jestem pewny, że sobie poradzisz i zrobisz z tego dobry użytek.

– Nie rozumiem... – Goczałka spojrział na zegar, który stał w niewielkiej odległości od jego biurka. Sprawdzali go specjaliści, również on sam obejrzał każdy centymetr. Może Ryglewicz się mylił?

– Zrozumiesz. Do następnego! Mam nadzieję, że sprawdzisz się jako nowy szef.

Tym razem to Lama się zawahał.

– Przecież nie przyjąłem propozycji!

– Jeszcze... Okoliczności mają to do siebie, że się często zmieniają.

Miłosz nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Mam jeszcze jedną radę – dodał Ryglewicz. Jego głos wyrażał satysfakcję, widocznie osiągnął zamierzony cel rozmowy. – Uważaj na Dagmarę, mieć taką córkę to skarb, a wygląda na to, że wiele cię omija.

– Ale... – Zupełnie zaskoczył Lamę. Nie zdążył zareagować, a Ryglewicz rozłączył się, pozostawiając jeszcze więcej wątpliwości niż wcześniej.



Miał na sobie ciemny płaszcz, czarne spodnie i sfatygowane zimowe buty. Gdyby nie pogoda, która wręcz tłamsiła swoją depresyjną szarością energię do nowych inicjatyw, chętnie sięgnąłby po swoje okulary przeciwsłoneczne.

Maks Samson nie był pewny tego, co robi. Długo wzbraniał się od tej myśli, a wobec braku innych zajęć myślał o tym na tyle intensywnie, że kolejne argumenty „za” przeważały. Czuł się jak intruz. Minął mały osiedlowy sklep i skierował się w stronę klatki numer osiem jednego z nowoczesnych osiedli na przedmieściach Krakowa. W budce ochroniarza nikogo nie było, ale obecność Maksa i tak mogła potwierdzić jedna z siedmiu kamer, które wypatrzył. Nie zamierzał się chować, zakrywać twarzy albo uciekać. Takie zachowania były zbyt podejrzane, a kluczem do powodzenia była normalność. Co z tego, że w jego kieszeni znajdował się profesjonalny sprzęt używany przez włamywaczy. Nawet jeśli ktoś by go zatrzymał, zawsze mógłby powiedzieć, że odwiedza swojego kolegę. W pewnym sensie to była prawda.

Samson stanął przed drzwiami z tabliczką „Zamoyski”. Wiedział, że właściciela nie ma w mieszkaniu, dwa tygodnie temu widział go martwego. Jeśli jego przypuszczenia były słuszne, do tej pory nikt nie wiedział o jego śmierci, bo Michał Zamoyski nie miał ani bliskiej rodziny, ani przyjaciół, którzy mogliby zainteresować się tym, że nie ma z nim kontaktu.

Przez chwilę stał i nasłuchiwał, czy nie ma w pobliżu jakichś niepożądanych świadków. Specjalnie wybrał godzinę, kiedy większość osób była jeszcze w pracy. Zawsze istniało ryzyko, że w mieszkaniu obok są jacyś emeryci, którzy całe dni tylko czekają na to, aż stanie się coś nietypowego. Samo osiedle wyglądało jednak na tyle imponująco, że wątpił, aby staruszków było stać na

takie luksusy.

Odpowiednio przekręcił wsuwkę. Maks zawsze śmiał się z filmów akcji, gdzie wystarczy spinacz, aby otworzyć drzwi skarbca. Jego pierwsza próba okazała się nieudana. Antywłamaniowe drzwi były bardzo solidne. Widać, że deweloper nie poskąpił pieniędzy na zabezpieczenia. Nie miał wprawy, sam fakt, że posiadał teoretyczną wiedzę, nie był w jego przypadku czymś podejrzanym. Jako funkcjonariusz CBS nauczył się bardzo wielu rzeczy, nigdy by się nie domyślił, że przyjdzie mu skorzystać z tej wiedzy w praktyce.

W końcu otworzył drzwi, starał się to zrobić bezszelestnie, ale zawiasy widocznie nie były naoliwione, bo usłyszał metaliczny dźwięk. Na podłodze przy wejściu leżała korespondencja. Maks zgarnął listy i skierował się do najbliższego pokoju, który okazał się kuchnią. Śmierdziało. Nawet nie podchodził do lodówki, wystarczył mu widok niedokończonych jajecznicy na talerzu, którą pokryła pleśń. Wyglądało na to, że Zamoyski opuścił kuchnię z nadzieją, że wszystko posprząta, jak wróci. Na blacie było wiele okruszków, zaschłe ślady po keczupie i kilka skrawków pizzy. Zlew był pełen brudnych talerzy i sztućców, z kosza wysypywały się opakowania po biedronkowych mrożonkach. Maks nie tego jednak szukał.

Przeszedł do kolejnego pomieszczenia. Cel, który przyświecał włamaniu do mieszkania Zamoyskiego, był bardzo prosty – chciał dowiedzieć się więcej o tym człowieku, sprawdzić, jakie informacje udało się uzyskać Michałowi na temat Samsona, a zarazem upewnić się, czy Jansen miał co do tego człowieka faktycznie rację.

Starał się wyprzeć z pamięci swój epizod w Insight, o którego istnieniu dowiedział się niespełna dwa miesiące temu. Frederic Jansen, który wytrwale przekonywał go do przyjęcia pracy i sam

wprowadził go w tajniki funkcjonowania tej ściśle tajnej instytucji, okazał się człowiekiem w masce, który bezwzględnie wykorzystywał każde potknięcie i był gotowy dopuścić się zabójstwa, byle nie przyznać, że sam popełnił błąd. Natomiast Michał Zamoyski był jednym z informatyków Insight. Był, bo został zabity przez Jansena. Podobno został przyłapany na gorącym uczynku, zidentyfikowany jako osoba odpowiedzialna za wprowadzenie wirusa do systemu. Samson nie miał niezbitych dowodów, czy faktycznie tak było.

Powód tego włamania był jeszcze jeden. Maks rozmawiał z Zamoyskim dwukrotnie. Pierwszy raz, gdy chodził od Królestwa do Królestwa, aby poznać się z każdym pracownikiem i znaleźć sprawcę. „Królestwo” było potoczną nazwą biura. Na początku wyśmiewał tę nomenklaturę, ale po dłuższym czasie stwierdził, że jest zasadna. To były fortece, gdzie nikt poza danym pracownikiem nie miał wejścia, dostosowane do własnych potrzeb, gdzie żadna sprzątaczką nie przekłada dokumentów, a nikt nie komentuje, czy ktoś jest pedantem, czy też słowo „porządek” zostało wyparte ze słownika. Wtedy zdefiniował Zamoyskiego jako zwykłego informatycznego nerda, który próbował udowodnić swoją wyższość, bawił się słowami i wykpiwał poczynania Samsona. Drugie spotkanie było inne. Tym razem to sam Zamoyski zaszczycił Samsona wizytą, sugerując, że w swoim śledztwie pominął dwie ważne osoby, które zasiadały w zarządzie Insight razem z Jansenem. Jego sugestia nic nie zmieniła, a od tamtego czasu nie opuszczało Maksa wrażenie, że powód wizyty był inny.

Dzień przed śmiercią Zamoyskiego Samson widział go na jednym z krakowskich osiedli. Wydawało mu się to podejrzanе przede wszystkim dlatego, że jego mieszkanie znajdowało się po drugiej stronie miasta. Poza tym pracownicy Insight byli raczej

asocjalnymi stworzeniami oddanymi pracy, z zasady nieposiadającymi drugiej połówki, bliskiej rodziny, a tym bardziej przyjaciół, których mogliby odwiedzać w godzinach wieczornych. Tamtego dnia Samson przez chwilę wahał się, czy za nim nie pójść, ale wybrał inny wariant i jeszcze go nie pożalował. Dzięki tamtej decyzji widmo rozpadu jego małżeństwa przynajmniej tymczasowo zostało zażegnane.

Następnego dnia Maks złożył wypowiedzenie. W chwili, kiedy miał opuścić Insight na zawsze, Jansen wezwał go do Matki, czyli głównego serwera, choć to słowo zdecydowanie nie odzwierciedlało tej misternej konstrukcji, od której pracy zależało funkcjonowanie ważnych sfer codziennego życia wielu Polaków. Szef Insight stał przy ciele Zamoyskiego. Samson nie wiedział, co stało się ze zwłokami, pewnie, podobnie jak z Koniecznym, usunięto je po cichu. Dlatego właśnie jedynymi osobami, które Maks mógłby zastać w tym mieszkaniu, byli wysłannicy Jansena.

Podszedł do biurka. Na blacie stał ultrabook, pokryty warstwą tłuszczu. Spakował go do torby. Nie miał wyrzutów sumienia. Nie był pewny, czy sobie poradzi, bo z hakerami nie miał nic wspólnego, sam rezygnował ze wszelkich haseł, bo nigdy nie miał do nich pamięci. Zamoyski prawdopodobnie zabezpieczył swój komputer tak, aby niepowołana osoba nie potrafiła dostać się do danych na dysku.

Przejrzał szuflady. Zainteresowała go korespondencja z banku, koperta była wciąż zamknięta. Zawahał się tylko przez chwilę i zdecydowanym ruchem ręki rozerwał papier. Gdyby nie fakt, że był w tym miejscu nieproszonym gościem i bał się, że usłyszy go któryś z sąsiadów, wydałby z siebie przeciągły gwizd uznania. Pismo z banku podsumowało ostatnie wpływy na konto. Dowiedział się tym samym, ile wynoszą zarobki pracowników

Insight. Przywilejami państwowej roboty w służbach są swoista pewność zatrudnienia i wcześniejsza emerytura, ale takich pieniędzy nie można się dorobić. Sądził, że zaproponowana mu przez Jansena suma jest dużym przegięciem, ale teraz wydawała mu się bardziej uzasadniona.

Były też inne wpływy, również niemałe. Ogółem pięć przelewów, każdy w wysokości dziewiętnastu tysięcy dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu złotych, przesłanych przez Sebastiana Puszyńskiego. Pierwszy raz spotkał się z tym nazwiskiem, nikt taki na pewno nie pracował w Insight. Maks przypuszczał, że to może być ktoś związany ze środowiskiem Danielewicza, ale z zasady wolał nie ulegać zwykłemu domysłom. Mógł to być jakiś trop dla pozbawionej dowodów policji.

Szukał dalej. Natknął się na kilka teczek, które zaczął pobieżnie przeglądać. Jego wzrok zatrzymał się na nazwisku Różyckiego. Był to wykaz jakichś operacji, nic niemówiący Samsonowi ciąg cyferek. Kolejne dokumenty stanowiły szczegółowe bilingi i wyciągi z kont bankowych. Schował całą teczkę do torby. Maciej Różycki stanowił dowód klęski Maksa, ale również Jansena. Gdyby Samson miał typować, który z pracowników stoi za wprowadzeniem wirusa, w ostatniej kolejności typowałby Różyckiego. Pozory były mylące. Zamoyski i Konieczny mieli powiązania z Danielewiczem, ale Różycki był z innej bajki. Instruowany przez samego Ryglewicza, był czarnym koniem, cichym pionkiem, który rozpoczął szarżę dopiero, gdy zawiodły podstawowe ogniwa.

Łazienka, w przeciwieństwie do pozostałych pomieszczeń, była bardzo schludna. Wyglądało na to, że Zamoyski ograniczył spędzony tutaj czas do minimum. Został jeszcze salon, a raczej coś, co w zamysle architektów miało pełnić jego funkcję. Ściany były

gołe, tylko biała farba, bez obrazów, tapety czy też telewizora. Zazwyczaj okazały w takich miejscach żyrandol zastąpiła goła żarówka. Nie było żadnej szafy, nawet zwykłej meblościanki. Pośrodku stało jedno krzesło, a pod nim kilka pustych puszek po piwie i energetykach. Na podłodze leżały rozsypane dokumenty i kilka zdjęć. Na jednym z nich Maks rozpoznał Goczałkę. Jak się okazało, była to dość szczegółowa dokumentacja Lamy, wyglądała podobnie jak ta, którą otrzymał z informacjami o pracownikach Insight.

Kiedy Maks rozgarnął stos papierów, odnalazł również własne zdjęcia. Wiedział, że baza Insight to zupełnie inna jakość aniżeli kartoteki policji, ale szczegółowość informacji była zadziwiająca. Poczłł niepokój. Może to była kwestia ciszy i tego stęchłego zapachu pomieszczeń niewietrzonych przez ostatnie tygodnie. Pomyślał chwilę o Zamoyskim. Włamanie poszło bardzo łatwo, nikogo po drodze nie spotkał, poza antywłamaniowymi drzwiami nie było żadnych innych zabezpieczeń. Już wiedział, co budziło jego niepokój. Pozostałe pokoje były dość ciemne, a w salonie okno nie miało nawet firany, dookoła rozciągał się widok na plac zabaw i kort tenisowy dla ludzi, którzy mogą sobie pozwolić na taką przyjemność. Mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze, gdyby ktoś patrzył w tę stronę, mógłby go bez problemu dostrzec.

Chyba już zobaczył wszystko, po co tutaj przyszedł. Schylił się i pośpiesznie zebrał dokumentację z podłogi. Kartek było na tyle dużo, że nie mieściły mu się w torbie. Wyszedł. Szczęście mu sprzyjało, znowu na nikogo się nie natknął. Był zadowolony.

Wybrał numer Goczałki.

– Co się dzieje? – zapytał Lama. Po jego głosie Maks rozpoznał, że coś się stało.

– Mam coś, co powinno cię zainteresować.

- Zamieniam się w słuch.
- Wolałbym się spotkać. – Od czasu, kiedy rozpoczął pracę w Insight, ograniczył rozmowy telefoniczne do minimum.
- Dzisiaj już nie dam rady. Możemy jutro? – Chyba się gdzieś śpieszył, bo słyhać było przyśpieszony oddech.
- Muszę być w Warszawie, a nie wiem, ile to potrwa.
- Awans? – zapytał Lama.
- Chyba wręcz przeciwnie, obawiam się, że to nic dobrego.
- Dlaczego?
- Nie chce mi się wierzyć, że zaproszenie do Kancelarii Premiera to przypadek.

2

Siedziała opatulona w ciepły sweter. Pogoda nie zachęcała do wieczornych spacerów. W kuchni krzątał się Adam, a ona napawała się widokiem wesołych płomyków w kominku. Nie potrzebowała do szczęścia żadnego telewizora ani muzyki. Nie było dla niej bezpieczniejszego miejsca niż własny dom.

Jej mąż zachowywał się inaczej. Nie pamiętała go takiego. Cały czas jej doglądał, pytał, czy czegoś potrzebuje, wymyślał coraz to inne potrawy, a wieczorami z nią rozmawiał. W tym ostatnim może nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że wcześniej żyli trochę obok siebie. W codziennym biegu, kiedy Adam pracował i nie było go czasem przez kilka tygodni w domu, nie potrafili znaleźć wspólnych tematów. Może to była ta kwestia, że znali się już na tyle dobrze, że potrafili odgadnąć swoje myśli. Mimo wszystko to smutne, że ich miłość sprowadzała się tak naprawdę tylko do łóżka. Nigdy nie zaprzeczała – jak każda kobieta również ona oczekiwała zaspokojenia. Adam nie zawodził, ale po pewnym czasie zaczynało czegoś brakować, a seks stawał się rutyną.

A teraz wszystko się zmieniło. Zachodziła w głowę, co takiego się wydarzyło przez ostatnie tygodnie, że Adam starał się do tego stopnia. Za każdym razem, gdy próbowała o tym porozmawiać, zbywał ją słowami, że tylko doszukuje się drugiego dna jego serdeczności, a następnie zmieniał temat. Może Edyta była przewrażliwiona, ale widocznie kobiety miały taką naturę.

Pamięć nie powróciła. Minęło tak naprawdę kilka dni od momentu, kiedy wybudziła się ze śpiączki. Jej upadek mógł się

zakończyć zdecydowanie gorzej, mimo to uchronił ją przed śmiercią z rąk Różyckiego. Wolała nie myśleć, co by się stało, gdyby policja przyjechała kilka minut później. Maciek Różycki był jej starym kumplem. Spotykali się sporadycznie, średnio raz w miesiącu umawiali się na mieście, aby choć chwilę pogadać i zjeść jakiś konkretny posiłek, na co w trakcie dnia zwykle nie miała czasu. Nie wiedziała, co takiego się stało, że tamtego dnia postanowiła go odwiedzić w jego mieszkaniu. Motyw zabójstwa знаła, ale go nie rozumiała. Nigdy nie miała wrogów. Wszelkie nieporozumienia wyjaśniała, zanim stały się poważniejsze. Nie poznała Ryglewicza, nie wiedziała, kim jest i co takiego zrobiła, że naraziła mu się do tego stopnia. Był jeszcze Danielewicz. Podobno z nim kilkakrotnie rozmawiała. Przeglądnęła swoje notatki z ostatnich dwóch miesięcy pracy, ale poza jego nazwiskiem nie znalazła żadnych dodatkowych informacji.

Kolejną zasadniczą cechą niektórych kobiet jest to, że nie rozumieją samych siebie. Nie potrafiła racjonalnie wyjaśnić swoich przeczuc, ale chciała spotkać się z Danielewiczem, a jeżeli będzie taka możliwość, również z Ryglewiczem.

– O czym myślisz? – Adam podszedł z herbatą.

Wzięła mały łyk, żeby się nie poparzyć. Jej mąż po raz kolejny ją zaskoczył – dodał miodu, cytryny i imbiru.

– O Groickim – odpowiedziała po chwili.

– Co z nim? Pierwszy raz słyszę. – Usiadł obok niej i objął ramieniem.

Wtuliła się w jego pierś.

– Był więźniem na Montelupich, nigdy o nim nie wspominałam?

– Nie przypominam sobie. – Adam trzymał w ręce szklanekę whisky. Często dostawał ją jako prezent urodzinowy, więc barek

był wypełniony szkocką, a zwykle nie było okazji, by jej posmakować.

– Podobno stanęłam po jego stronie, gdy złożył skargę na Hałyckiego. Teraz nie żyje. Na moją prośbę dostałam dokumentację, ale nic z niej nie wynika – wyjaśniła.

– Kto ci ją dostarczył?

– Hałycki.

– Czyli sam zainteresowany w sprawie, prawda?

– Co sugerujesz? – Kotarska знаła odpowiedź.

– Dobrze wiesz...

Hałycki zachowywał się wobec Edyty bardzo serdecznie, co wydawało jej się bardzo podejrzane.

– Tylko zauważ, że jestem uzależniona od tego, co słyszę. Równie dobrze mógł zniszczyć dokumenty, które stanowiły dla niego problem.

– A nie możesz zapytać kogoś innego? Z kim trzymałaś blisko?

– Montelupich to nie miejsce na braterską przyjaźń – głośno westchnęła. – Wyłącznie stosunki zawodowe. Zrozum, Adam, ja nie mam pojęcia, co się tam wydarzyło. Wrócę na Montelupich i co dalej? Zacznę prowadzić śledztwo i dopytywać, czy Hałycki ma rację?

– A nie lepiej dać sobie z tym spokój? Jest ci to potrzebne do szczęścia?

Rozumiała, do czego zmierza.

– To nie jest najlepsze rozwiązanie, co najwyżej łatwiejsze. Groicki nie żyje, nawet nie wiem, co takiego się wydarzyło. Jakoś nie potrafię przejść obok tego obojętnie.

Adam się zamyślił. Edyta cieszyła się, że jej mąż faktycznie się przejmuje i jej słucha. Wykazywał empatię, co wcale nie było w jego przypadku takie naturalne.

– Zastanawiam się, jak mogę ci pomóc. To wszystko sprowadza się do słów, które jednak nic nie zmieniają.

– Mam pomysł, ale trochę się obawiam. W kalendarzu zapisałam spotkanie z matką Groickiego. Domyślam się, że ona ma najpełniejsze informacje. Zastanawiam się tylko, co jej mam powiedzieć. Nie wiem, czego mam się spodziewać.

– Sugeruję prawdę. Powinna cię zrozumieć...

Postanowiła zaryzykować i chwycić go za słowo.

– À propos prawdy... Powiesz mi w końcu, co się stało?

– Znowu zaczynasz? – Adam przechylił szklanke i się skrzywił. Nie chciała dać za wygraną.

– Wydaje mi się, że gdybyś nie miał nic do ukrycia, zachowywałbyś się inaczej.

– Kochanie! Już ci wszystko powiedziałem.

Zaczął muskać nosem jej ucho, słyszała jego oddech. Adam odstawił szklanke i delikatnie objął ją w talii, przytulając do siebie. Kiedy zsunął ramiączko biustonosza, przez jej ciało przeszedł delikatny dreszcz. Jeszcze tego nie robili od czasu, kiedy wróciła ze szpitala.

– Stop! – powstrzymała go. To było bardzo miłe, chciała więcej, a wiedziała, że chwilę później nie będzie potrafiła się powstrzymać.

– Odpowiedz. Proszę.

– Tak jak ci mówiłem: pokłóciliśmy się. Przez cały styczeń pracowałem, tak naprawdę nie było mnie w domu, brakowało ci oparcia. – Poglądził ją po policzku. – Kocham cię, jesteś moim największym szczęściem, nie mógłbym cię stracić.

– Adam, ja ciebie też kocham. Dlatego proszę, powiedz mi wszystko i bądź ze mną szczery.

Wyglądał na poirytowanego. Wiedziała, że wszystko psuje, bo Adam miał rację, czasem lepiej było odpuścić. A tak pięknie jak

teraz, nie było nigdy.

– Dlaczego cały czas twierdzisz, że cię okłamuję?

– Naprawdę sądzisz, że tego nie widać? Za długo się znamy, mój drogi. Jestem twoją żoną, więc wypadałoby, abym o wszystkim wiedziała.

– To nie jest śmieszne. – Był zasmucony. – Mamy tendencję do tego, żeby wszystko komplikować, zamiast cieszyć się tym, co jest.

– Co masz na myśli?

– Masz rację, wydarzyło się coś więcej. Sądziłem, że twoja amnezja zmieni sytuację i wszystko wróci do normalności. Zrozum mnie, zależy mi na tobie jak na nikim innym, chciałem dla nas jak najlepiej.

Po takim wprowadzeniu Edyta zaczęła się obawiać tego, co usłyszy.

– No, wyduś to z siebie – ponagliła go. Za daleko zaszła, żeby się teraz wycofać.

– Chodzi o to, że przydarzyła mi się w Mediolanie mała przygoda...

– Mała przygoda?! Błagam cię. Za stara jestem na bajki dla dzieci. – Nagle wszystko zrozumiała. Romantyczna atmosfera wieczornego lenistwa przy kominku zniknęła w jednej chwili.

– Kochanka – powiedział Adam przez zaciśnięte zęby. – To była jednorazowa przygoda, ale dowiedziała się o tobie i wysłała ci list.

Ten przekaz był konkretniejszy, niż oczekiwała.

– Mogę go przeczytać?

– Zniszczyłem go, gdy byłaś w szpitalu.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że to nie jest żart. Adam zachowywał spokój, ona miała ochotę krzyknąć.

– Czego ode mnie oczekujesz?! Przebaczenia? Zrozumienia?

– Nie wiem, Edyta. Chciałem to wszystko naprawić.

Pojechałem do niej, wróciłem do Mediolanu...

– I znowu się pieprzyliście?! – Próbowwała zapanować nad drżącym głosem i wybuchem płaczu.

– Powiedziałem jej, że liczysz się dla mnie tylko ty. Wróciłem z myślą, że chcę to wszystko naprawić. Wiem, że mnie nienawidzisz... Popełniłem błąd, uległem instynktom, ale uświadomiłem sobie, jak ważna dla mnie jesteś.

– Potrzebna ci do tego była jakaś puszczańska Włoszka! Brawo!

– Edyta... – zaczął błagalnie.

Nagle wstała i skierowała się do barku. Nie powinna pić alkoholu, wciąż brała silne leki, ale nie знаła lepszego rozwiązania. Drżały jej ręce, gdy przychyłała butelkę, żeby nalać sobie potrójną porcję.

– Chcesz mi coś jeszcze powiedzieć? Że przepraszasz?! Traktujmy się poważnie...

– Chciałem powiedzieć tylko, że cię kocham. – Słyszając tę błazenadę, miała ochotę wylać na niego zawartość szklanki, ale doszła do wniosku, że nie jest tego wart. – Przemyśl to wszystko...

Nie chciała na niego patrzeć. Teraz żałowała, że tak bardzo drażyła, by poznać prawdę. Adam miał rację, czasem lepiej wszystkiego nie wiedzieć.

* * *

Tik-tak, Tik-tak.

U_45G faktycznie był jak Lama. Ten jego upór, zaangażowanie, naiwna wiara w swoje możliwości. Ryglewicz chyba przypisał tę klasyfikację na wyrost. Oczekiwania wobec niego okazały się zbyt wygórowane. Ale nie żałował tego telefonu. Miał tylko jedną taką sposobność, nie bez powodu postanowił zadzwonić właśnie do niego. Jeżeli U_45G wykona jego zadanie, może zasłuży sobie na tę

ocenę. A może wręcz przeciwnie.

Podstawą poważania jest udowadnianie w każdej możliwej okoliczności, kto faktycznie rządzi. Cieszył się, że U_45G traktował go jak równego. Ryglewicz potrafił dość szczegółowo określić, co wydarzy się w najbliższych dniach. Komendant Beski zaprosi Lamę na męską rozmowę, która nie przyniesie żadnych zadowalających efektów, potem pójdą na miasto, aby napić się czegoś mocniejszego, a Lama usłyszy prawdę – że objęcie szefostwa Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego to nie jest kwestia jego chęci, a polecenie służbowe. Tak to działało. Pozostawienie obsadzania stanowisk przypadkowi prowadziło do klęski, więc lepszym rozwiązaniem było wprowadzenie swoich ludzi.

Minęło pięć dni od spotkania z Danielewiczem i w końcu zaczęło się coś dziać. Właśnie czekał na kolejne badania. Przebywał na oddziale szpitalnym. Światła w celach były już zgaszone, do godziny szóstej rano był spokój. Obok niego stał Hałycki, wyglądało to trochę konspiracyjnie, bo choć ordynator wiele mógł, celu tych zabiegów nie dało się racjonalnie wyjaśnić. Ratowanie człowieka, którego choroba skazała na śmierć, było działaniem humanitarnym, ale niecelowym.

Badania te nie mogły zostać wykonane w królestwie Hałyckiego – na Oddziale Psychiatrii Sądowej – z dwóch prozaicznych powodów: przede wszystkim nie było tam odpowiedniej aparatury, a do tego dochodził czynnik funkcjonowania tego miejsca. Noc była okresem wytężonej pracy, pacjenci nie chodzili spać na zawołanie, ich ruchy śledziły kamery, a wszystko po to, by nie dopuścić do ich samobójstwa lub ataku na współwięźniów. Może to trochę paradoksalnie zabrzmieć, ale jeżeli ktoś chciał sobie zrobić krzywdę, lepiej było nie przyznawać się do swoich odchyłów psychicznych i pożegnać się z życiem w celi, gdzie

szansa na uratowanie była bliska zeru.

Ryglewicz wiele czytał o Areszcie na Montelupich, zanim się tutaj znalazł. Czasy bardzo ścisłej hierarchii osadzonych powoli odchodziły w zapomnienie, przede wszystkim w związku z tymczasowością pobytu więźniów. Gwałty i kablowanie też należały do rzadkości, było to raczej marginalne, w przeciwieństwie do historii prezentowanych w amerykańskich filmach, gdzie każdy był promowany jako „genialny, cudowny, przełomowy”. Mimo wszystko był to świat, gdzie nie było anonimowości i każdy o każdym wszystko wiedział. Ryglewicz był przetrzymywany w izolatce, ale jego czyny na pewno zdobyłyby uznanie pozostałych. Wiedział o tym. Zazdrościli mu jego odwagi i kunsztu. Sami chcieliby w taki sposób skompromitować policję.

– Jesteś wyjątkowo spokojny – powiedział do niego Hałycki.

– A mam powody do stresu? To słabość. Staram się od tego stronić.

– Nic nie boli? – Ordynator dotknął jego głowy w okolicach guza.

– Dzisiaj jest lepiej. – Tomasz sam się temu dziwił.

– Wziąłeś tabletki, które ci przepisałem?

– Nie zamierzam się narkotyzować. Nie wyeliminuję guza pigułką na ból głowy, nie potrzebuję doraźnej pomocy. Sądziłem, że w tej kwestii się zgadzamy.

– Tak się tylko zastanawiam... – Hałycki przywołał pielęgniarkę i kazał jej pobrać krew. – Co jeśli wyeliminujemy guza i zmienisz się na powrót w kogoś zupełnie innego?

– Czego oczekujesz? Że zrezygnuję z leczenia? – zapytał Ryglewicz. Pytanie ordynatora było nie na miejscu.

– Tylko się zastanawiam. Wiele ryzykujesz, nie boisz się, że nie przeżyjesz samej operacji?

– Mam swoje zabezpieczenie, Anton zbyt wiele by na tym stracił. Wszystko to kwestia zysków i strat.

– Ale to nie Danielewicz będzie przeprowadzał operację...
Mniejsza o to...

– Ty też się dzisiaj zachowujesz inaczej – skomentował Ryglewicz.

– Zakładając, że uda się wyciąć guz... Będziesz tkwił na Montelupich do końca życia?

– Sądzisz, że nie ma alternatywy i tego nie przewidziałem?

Hałycki pogładził się po łysinie. Zapewne trudno byłoby mu wytłumaczyć te utajnione badania po nocach.

– Sądzę, że się przeliczyłeś co do władzy Danielewicza. Kiedy tylko dostanie to, czego chce, będzie cię miał w głębokim poważaniu.

– Wiem – przyznał. Nieskończona wiara w tę przyjaźń miała swoje granice. – Właśnie dlatego liczę tylko na siebie. Zrób po prostu to, co do ciebie należy.

Ryglewicz leżał na łóżku, miał mieć zrobioną już kolejną tomografię głowy, datę operacji wstępnie ustalono na przyszły tydzień. Hałycki załatwił jakichś neurochirurgów, odpowiadał tylko za kwestie logistyczne i przeprowadzenie podstawowych badań. Ryglewicz był ciekawy, na czym polegała zależność pomiędzy Antonem a ordynatorem, który, uczestnicząc w jego terapii, ryzykował swoją karierę.

Badanie trwało dłuższą chwilę.

– To wszystko na dziś – powiedział w końcu Hałycki. – Mam coś, co powinno cię zainteresować. Kotarska wraca do zdrowia. Mówi się o jej powrocie na Montelupich. Cieszysz się? – zapytał sarkastycznie.

– Może w końcu ją poznam.

– Zastanawiałem się, skąd ta wysoka klasyfikacja.

– Ach tak. Powtarzasz się. To cię gnębi, prawda? Może dlatego, że potrafiła ci utrzyć nosa. Nie sztuka mieć władzę i z niej korzystać. Sztuka nie mieć władzy i wciąż rozdawać karty.

– Nie wiem, o czym mówisz. W hierarchii była wyżej niż ja.

Ryglewicz podniósł wysoko brwi. Znowu poczuł ból, tym razem w okolicach skroni. To był odpowiedni moment, aby zakończyć tę rozmowę.

– Dobrze wiemy, jak to działa. Zresztą teraz to ma małe znaczenie. Narobiła ci wielu problemów, wykazała się odwagą i charakterem. Ufam ludziom, którzy walczą o swoje.

– Pfff... – Hałycki omal się nie zakrztusił. – Znasz słowo „zaufanie”?

– Tak, ale w moim przypadku objawia się w trochę inny sposób. Zresztą M_36K to nie jest mój problem, a twój. – Gdyby nie Hałycki, Tomasz nawet nie fatygowałby się, aby się nią zająć.

– Idąc tym tropem... gdybyś nie spaprał roboty, problemu by nie było.

– Co z tym fantem zrobisz? Zabijesz ją na własną rękę? – Ryglewicz zaśmiał się chrapliwie.

– Jest już nieszkodliwa... – Hałycki chyba też był już zmęczony, jego oczy przypominały piłeczki pingpongowe.

– Ach tak. Do czasu. Nic nie trwa wiecznie. Nawet jeśli pamięć nie powróci, w końcu dowie się prawdy o Groickim. Nie wiem, po co ci to było.

– Sądziłem, że wiesz o mnie wszystko. Chyba nie oczekujesz, że podam odpowiedź na tacy?

– Wiem tylko tyle, ile potrzebuję. Nie bój się. Nie będę cię zarzucać pytaniami, bo zdaję sobie sprawę, że i tak nie otrzymam odpowiedzi.

– Świetnie, przynajmniej w tym się zgadzamy. – Hałycki podszedł do witryny i wyciągnął jakieś tabletki. – Weź to. Jeżeli mam cię wyleczyć, musisz się stosować do moich zaleceń.

Ryglewicz wyciągnął rękę. Nie zamierzał wkładać ich do ust. Każda tabletką miała inny kolor i kształt, brakowało tylko niebieskiej. Domyślał się, że po takiej kuracji rzygałby kolorami tęczy.

– Jakież nowe informacje od Milewskiego? – zagaił Tomasz, gdy ból na chwilę przestał doskwierać.

– Boisz się, że jakiś przypadkowy cienias odkryje tajemnice Reglewitscha?

– Sądzisz, że staram się cokolwiek ukryć?

– Wiem tylko, że rozmowa oparta na pytaniach nie prowadzi do żadnych odpowiedzi.

Hałycki prześwietlał go wzrokiem.

– Próbujesz mnie rozgryźć. Już ci powiedziałem, że nie zamierzam ci ułatwiać.

– Nie oczekuję tego. Co do Milewskiego, miał podobno wypadek, ale jakoś mi to do ciebie nie pasuje.

Ryglewicz się uśmiechnął. Gdyby okoliczności były inne, pewnie podziękowałby Hałyckiemu i wrócił do domu, ale to nie była zwykła wizyta lekarska.

– Coś jeszcze? – zapytał.

– Powiedz, tak szczerze, nie brakuje ci tego? – Ordynator rzucił wzrokiem na szafkę, za której drzwiami lśniły skalpele.

– Co masz dokładnie na myśli?

– Krew, agonía i to podniecenie, które temu towarzyszy. Chyba trudno to znaleźć w izolatce...

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Jesteś chujem, taka wysublimowana cecha charakteru. Nigdy nikogo nie zabiłeś.

Wątpię, abyś potrafił.

– Odpowiesz na moje pytanie? – Hałycki zmrużył oczy.

– To nie jest tylko kwestia podniecenia. Masz rację, zapach krwi jest niesamowity, ale człowiek śmierdzi. Otwarte wnętrzości nie są niczym pięknym. Skóra to tylko maska, abyśmy nie wyglądali jak poczwary. Rozmawialiśmy już o tym. Śmierć musi być celowa, a podniecenie można eliminować innymi sposobami.

– Chcesz powiedzieć, że Szpil, Górski i cała reszta musieli zginąć?

– Coś za coś. Oni zginęli, ja pozostanę żywy. Zwykła selekcja, słabsi odchodzą, sprytni winszują.

– Nie jesteś sprytny, jesteś CHORY! To guz cię do tego popchnął i to guz nakazuje ci dalej zabijać. Chcesz tego, Reglewitsch, prawda?

Ryglewicz nie rozumiał, dlaczego Hałycki znowu bawił się z nim w te głupie gry. Co chciał udowodnić? Przecież już wszystko wiedział.

– Kogo mam zabić, aby udowodnić, że masz rację?

Ordynator spojrzał w stronę przyległego pomieszczenia. Za niewielkim okienkiem było widać krzątającą się pielęgniarkę. Ryglewicz podniecił się na samą myśl. Musiał stąd natychmiast wyjść, chciał jak najszybciej znaleźć się w izolatce, aby dać temu upust. Hałycki patrzył na niego z błogim uśmiechem na twarzy. Miał rację – Ryglewicz miał ochotę usłyszeć ten krzyk, niekończące się prośby o litość. Jego kolekcja wciąż nie była kompletna, ale nie chciał tracić sił na pielęgniarki. Wolał Hałyckiego, jednak z tym będzie musiał jeszcze chwilę poczekać.

3

– Gdzie jest Dagmara? – Lama zapytał Irenę.

– Nie widziałam jej dzisiaj, jakoś dziwnie zachowuje się od pewnego czasu.

Goczałka stanął przy żonie, która krzątała się po kuchni, wykładając ze zmywarki umyte naczynia.

– Rozmawiałaś z nią?

– Przecież całe dni jestem w pracy, a kiedy wracam, to nigdy jej nie ma. Dlaczego tak nagle się zainteresowałeś?

Nie chciał przyznać się do swoich obaw. Przekaz Ryglewicza był prosty: coś jest na rzeczy. Nie wiedział, czy to tylko kolejna gierka syna Droubera. Niby skąd miał wiedzieć, że coś jest nie tak? Ale prawda była taka, że Miłosz nie miał pojęcia, co działo się w życiu jego córki.

– Mówiła coś o Szymonie? Już dawno go tutaj nie było.

– Jak zapytałam, to się tylko zirytowała. Chyba się pokłócili, ale nie wiem na pewno. Powiesz mi, co się dzieje?

Objął ją w talii.

– Nie wiem, może niepotrzebnie się martwię. Poczekam na nią i zapytam.

– Mógłbyś w końcu trochę odpocząć, kiepsko wyglądasz.

– Wszyscy się starzejemy. – Dał Irenie buziaka w policzek.

– Po prostu się wyśpij.

Lama cieszył się, że relacje z Ireną wróciły do normy. Wiedział, że było z nim trudno wytrzymać, szczególnie w ostatnim czasie. Wszystko sobie wyjaśnili, przeprosił za swoje zachowanie. Bardziej

chodziło o sam szok, że się jej postawił. W domu od zawsze panował matriarchat, Miłosz nie miał natury osoby, która się kłóci, zawsze na wszystko się zgadzał, nigdy nie przeciwstawiał się Irenie. Sprawa Ryglewicza wiele zmieniła: jako punkt honoru postawił sobie znalezienie winnego, zamykał się na całe dni w swoim garażu, a żonę traktował tak, jakby jej nie było. Nieporozumienia doprowadziły do tego, że Irena wyprowadziła się do matki. Nawet żądała zawarcia umowy o rozdzielność majątkową, co akurat było uzasadnione, bo Lama musiał nabyć kilka kosztownych gadżetów szpiegowskich, a na takie wydatki nie było ich stać.

– Proponuję mi posadę szefa wydziału śledczego – zmienił temat.

– Wiem. – Irena spojrzała na niego badawczo. Napotykając zdziwiony wzrok Miłosza, dodała: – Dzwonił do mnie niejaki Gellert, prosił mnie, żebym cię przekonała.

Lama nie spodziewał się, że posunął się do takich metod. Nie był zły na Jana, raczej zaskoczony, że był zdeterminowany aż do tego stopnia.

– A co ty o tym sądzisz?

– Nie znam cię od strony zawodowej... – odpowiedziała wymijająco, nie kryjąc urazy. Nie miał zwyczaju przynoszenia pracy do domu.

– Mimo to chciałbym poznać twoje zdanie.

– Nie pasujesz mi do tej roli. Jeżeli ma to się odbyć kosztem wspólnie spędzonego czasu, to oczywiście jestem przeciwko. Nie oszukujmy się, nie masz charyzmy. – Miłosz nie miał podstaw, by to negować, zgadzał się z żoną. – Zamiast delegować zadania, wszystko bierzesz na siebie. Naprawdę nie mają innych kandydatów?

Pokręcił przecząco głową.

– Oczywiście, jeśli będziesz chciał, będę cię wspierać. Pytanie tylko, czy naprawdę tego chcesz – dodała Irena.

Nie chciał. Wiele by dał, aby dowiedzieć się, o co chodziło Ryglewiczowi, kiedy powiedział, że Lama i tak w końcu przyjmie tę posadę. To była dla niego kolejna zagadka, tak jakby syn Droubera przewidział, co się wydarzy w najbliższych dniach. Już sam fakt, że wiedział o tych personalnych przepychankach na stanowiskach w komendzie, był zaskakujący.

Zalał wrzątkiem herbatę. Był śpiący, wolałby kawę, ale było już po dziesiątej, trochę późna pora na kolejną porcję kofeiny.

– Muszę iść – powiedział do Ireny i po raz kolejny dał jej buziaka.

– Naprawdę? – odparła, jakby nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. – Znowu?

– Co mam odpowiedzieć?

– Przynajmniej mówisz cokolwiek. – Uśmiechnęła się i oddała buziaka. – Co tym razem się dzieje?

– Wciąż to samo. Zadzwoił dzisiaj do mnie. Myślałem, że już go rozgryzłem, ale się myliłem.

– Kto? Ryglewicz?! Ale jak?!

– Nie pytaj, sam wolę nie wiedzieć.

Skierował się do swojego garażu. Odłożył herbatę na bok i wyciągnął puszkę piwa, pieczołowicie schowaną, aby Irena przypadkiem nie znalazła jego zapasów. W rogu stał stary motocykl, który kiedyś, gdy miał ochotę na chwilę samotności, starał się doprowadzić do stanu używalności. Na ścianach wciąż wisiały pozostałości po jego śledztwie: wydruki dokumentów, zdjęcia z miejsc przestępstw, odręczne notatki. Właśnie tak pracował. Czytał poszczególne informacje do znudzenia, starał się

znaleźć słaby punkt, jakieś potknięcie, łączył niepasujące do siebie elementy. Była to bardzo żmudna analiza, na którą poświęcił niezliczoną liczbę godzin. Alkohol nie pomagał, ale stanowił miłe towarzystwo. Umysł musiał być jasny, jednak piwo pobudzało jego szare komórki. Miał racjonalny pretekst do sięgania po procenty: kawa była dobra, kiedy przechodził do realizacji, a piwem posiłkował się, gdy nie miał pomysłu. Poza tym to było tylko piwo, nic więcej.

Dzisiaj w centrum jego zainteresowania znajdował się zegar Ryglewicza. Nie miał prawa zabierać go ze sobą z komendy, był to dowód w sprawie, jeden z nielicznych, które posiadali. Jednak w pracy kręciło się zbyt wiele osób, by mógł na spokojnie mu się przyjrzeć, a Ryglewicz zasugerował mu, że specjaliści musieli coś pominąć.

Miłosz zapalił dodatkową żarówkę, nałożył rękawiczki i przystąpił do skrupulatnego badania. Najpierw włączył światło fluorescencyjne, ale było to bardziej kwestią schematu niż aktualnej potrzeby. Ostrożnie otworzył wieko. Garaż wypełniał dźwięk sekundomierza. Nie spodziewał się, że to miejsce zamieni się pewnego dnia w domowe laboratorium.

Pół godziny później usiadł na krześle, wziął okazały łyk piwa i spojrzał na zdjęcie Ryglewicza, powieszony na jego „ścianie płaczu”. Nie znalazł nic. W takim razie po co był ten telefon, jaka informacja miała zostać przekazana? Goczałka przypomniał sobie jego słowa: „Próbujesz każdy mój krok racjonalnie wyjaśnić. Nie dopuszczasz myśli, że coś może być dziełem chorego człowieka, co skaża samą podstawę”. To prawda, w tym zegarze nie było nic racjonalnego, poza tym, że odmierzał czas. Lama spędził dokładnie trzydzieści cztery minuty, aby dojść do znanego mu już wcześniej wniosku.

Skazona podstawa... Energicznie podszedł do zegara i przewrócił go do góry nogami. Podstawa zegara różniła się kolorem drewna od pozostałej części. Czyżby Ryglewicz ukrył tu jakąś wiadomość?

Wiedział, że nie powinien, mimo to wziął młotek i klin. Kilkoma precyzyjnymi ruchami wyłamał podstawę. Była stworzona jakby z dwóch sklejonych deseczek, spróbował je podważyć. Starał się to zrobić delikatnie, ale usłyszał odgłos pękającego drewna. Jak wielka była jego satysfakcja, gdy zobaczył ukrytą płytę. Ostrożnie ją wyjął i dokładnie się przyjrzał. Była opakowana w zwykłą folię. Wyciągnął ze swojej podręcznej walizki argenterat i sprawdził, czy nie ma nigdzie odcisków palców. Oczywiście nie było.

Od razu chciał dzwonić do komendy, do działu informatycznego. Było już późno, ale tam zawsze ktoś miał dyżur. W ostatniej chwili odłożył słuchawkę. Gdyby Ryglewicz chciał, aby policja znalazła tę płytę, nie trudziłby się, żeby ją tak dokładnie ukryć. Z jakiegoś powodu zaadresował ją właśnie do Goczałki. Wiedza informatyczna Lamy ograniczała się do włączenia komputera i wprowadzenia do bazy policyjnej jego protokołów z oględzin. Oczywiście, wiedział, gdzie się znajduje napęd DVD, ale nie chciał ryzykować, dopóki nie sprawdzi tego dysku ktoś zaufany.

Czyli jednak zegar nie był przypadkowy. To było chore, bezsensowne, niewytłumaczalne. Przecież istniały inne możliwości przekazania Lamie tej płyty. A może właśnie o to chodziło? Chora podstawa, której nie ma sensu próbować zrozumieć.

Czuł podniecenie, to był przełom, na który czekał od czasu schwymania Ryglewicza. Miał totalny mętlik w głowie. Działanie Tomasza nie mieściło się w ramach żadnego schematu.

– Widziałam, że się świeci... – powiedziała Dagmara.

Zaskoczyła go. Weszła bez pukania, przyciągnęła niedbale krzesło i usiadła obok niego. Wyciągnęła się i sięgnęła po piwo. Lama nawet nie protestował, przynajmniej miał z nią okazję się spotkać. Próbował się otrząsnąć, euforia związana ze znalezieniem płyty minęła, a to nie był odpowiedni moment na szukanie informatyka. Chciał zaspokoić swoją ciekawość, teraz, już, w tej chwili, ale obawy były zbyt wielkie, w obliczu Ryglewicza, jak najbardziej uzasadnione.

– Gdzie byłaś? – Zabrzmiał jak zmartwiony ojciec, co w tej relacji było podejrzane. Po ostatnich wydarzeniach byli dla siebie raczej jak przyjaciele.

Daga otworzyła puszkę i łapczywie zrobiła kilka łyków.

– Przydałaby ci się lodówka – stwierdziła. – Znowu jakaś sprawa czy pokłóciliście się z matką?

– Cały czas Ryglewicz. Spójrz, co znalazłem. – Wskazał na zegar i płytę.

– Odpaliłeś ją? – zainteresowała się. Jej głos był cichy, wyglądała na zmęczoną, jakby siliła się na zainteresowanie.

– Musi ją ktoś sprawdzić. Znasz jakiegoś informatyka?

– Kumpel z liceum zna się na rzeczy, ale dawno nie miałam z nim kontaktu.

– A Szymon? – Wiedział, że Milewski raczej nie mógł pomóc, ale chciał sprawdzić jej reakcję.

– Nie wiem. Mogę go zapytać...

Usłyszał dźwięk wiadomości SMS. Daga wyciągnęła komórkę z kieszeni i rzuciła tylko przelotnie wzrokiem. Przez dłuższą chwilę Miłosz wahał się, w jaki sposób do niej zagadać. Zapomniał o płycie i zegarze.

– Martwię się o ciebie.

– Niepotrzebnie – powiedziała twardo. Odłożyła puszkę, dźwięk świadczył o tym, że opróżniła ją do końca.

– Przecież widzę, że coś jest na rzeczy. Powiesz mi?

Dagmara jeszcze chwilę się wzbraniała, ale w końcu zaczęła opowieść. Chyba tego potrzebowała.

– Szymon wie? – Lama zapytał na koniec.

– Nie. I nie może się dowiedzieć.

* * *

– Powiedz „dzia-dek”. – Markiewicz przemawiał do Tadeusza juniora.

– Tato! – zachnął się Henryk. – On ma dopiero cztery dni.

– No wiem, ale warto go przyzwyczajać. – Uśmiechnął się, wpatrując w brzdąca. – Nawet oczy ma po dziadku.

Henryk poklepał go po ramieniu. Tadeusza rozpierała duma z syna.

– Dodam, że ja i Ania też mamy niebieskie...

– Zobaczysz, będą z niego ludzie!

– Na pewno... Gdzie mama?

– Poszła do sklepu, żeby kupić jakieś przeciery dla Ani. Zrobiła też jej ulubioną zupę, pieczarkową.

– Rozumiem, że się przejmujecie... – Henryk wydawał się zaskoczony tą troską. – ...ale Ania naprawdę czuje się bardzo dobrze.

Znajdowali się w szpitalu. Stali nad małym Tadkiem, który już nie musiał przebywać w inkubatorze. W związku z tym, że Ania rodziła miesiąc przed wyznaczoną datą, dziecko było bardzo słabe, ale jego życiu nic, na szczęście, nie zagrażało. Lekarze zapewniali, że Tadek to okaz zdrowia.

Markiewicz wziął kilka dni urlopu na żądanie, większość czasu

spędzał w szpitalu, przyjmował gratulacje od rodziny i uspokajał Marię, która jako babcia chciała już wszystko planować. Nawet poszła do księdza w kwestii ustalenia daty chrztu. A to przecież była też radość dla młodych, nie poznawał Henryka, nie znał go od tej strony, ale jego syn każdego kolejnego dnia zaskakiwał go dorosłym, odpowiedzialnym podejściem do tematu.

– A pupu-pupu. – Chwycił małego za policzki i delikatnie ścisnął. Tadek się uśmiechnął. – Jaki pocieszny.

– Wszystko OK? – Henryka chyba bawił widok ojca w roli świeżo upieczonego dziadka.

– Wiem, że ciężko nam było się dogadać – powiedział Markiewicz – ale wiedz, że masz moje pełne wsparcie.

– Po prostu bądź, tato. Tadek może się od ciebie wiele nauczyć, ale jak będziesz spędzał całe dnie w pracy, to się nie uda.

– Sytuacja chyba się trochę zmieniła. – Dobrze rozumiał syna.

– Czyżby? Co takiego się zmieniło od czasu, kiedy to ja byłem mały i nigdy nie było cię w domu?

Nie chciał się tłumaczyć.

– Już nie muszę nic udowadniać. Potrzebowałem trochę czasu, aby poznać prawdziwe priorytety.

– Mam nadzieję, że to nie są słowa rzucane na wiatr.

Henryk patrzył na niego z poważną miną. Dawno nie spędził z synem tyle czasu, co ostatnio. Cieszył się, że Henryk ma Anię, zresztą sam bardzo ją polubił. Stanowili parę z dwóch różnych światów – on – z tysiącem pomysłów, w gorącej wodzie kąpany, ona – wyważona, cicha, nieśmiała. Markiewicz nie wiedział, jak się dogadują na co dzień, ale miała na Henryka dobry wpływ, potrafiła go utrzymać przy sobie i przemówić do rozsądku.

– Mógłbyś mi pożyczyć stówkę? Muszę dokupić tapetę do pokoju Tadka – poprosił Henryk.

Markiewicz sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął portfel.

– Masz trzy, potraktuj to jako prezent dla małego. Pamiętaj tylko, że fakt, że możesz na mnie liczyć, nie musi się ograniczać do kasy. Chyba że chcesz zrobić ze mnie bankruta. – Uśmiechnął się.

– Spokojnie. Dzięki bardzo.

– W spółce z matką mnie zrujnujecie – podsumował Markiewicz. – O wilku mowa.

Maria pomachała im zza szyby. W rękach trzymała kilka toreb.

– Może któryś z was łaskawie by mi pomógł?

– Mamo! – Henryk wskazał na jej zakupy. – Co to jest?

– Och, kochanie... – zawstydziała się. – Te rzeczy dla dzieci są teraz takie piękne. Nie mogłam się oprzeć.

Grzechotki, pluszaki, smoczki i ubranka były faktycznie piękne. Markiewicz wyjął miniaturę Kubusia Puchatka i pomachał małemu Tadekowi.

– A kuku!

– Mamo... – Henryk chyba wciąż był w szoku. – Przecież te ogrodniczki są dla trzylatka!

– Ale spójrz, jakie piękne. Nawet się nie obejrzycie, a Tadek będzie mówić „bab-cia”.

– Kolejna się znalazła. – Henryk zakrył twarz rękami. Dusił się ze śmiechu. – Chodźcie, pójdziemy do Ani, niech Tadek prześpi się choć chwilę.

Szli pustym korytarzem. Marcinkiewicz stanął na głowie, żeby Ania miała najlepszą opiekę. Znajomości z politykami okazują się czasami pożyteczne. O tej porze wizyty były dopuszczalne tylko w wyjątkowych wypadkach.

– Ania powinna przebywać jak najwięcej przy małym – powiedziała z przejęciem Maria.

Markiewicz spojrzał na Henryka, sam siedział cicho. Przecież Ania cały dzień przy nim była, trudno było spędzać jeszcze więcej czasu. Maria przejmowała się rolą babci jeszcze bardziej niż dziadek Tadeusz swoją.

– Kochana... jak twoje piersi? Bolać cię od karmienia? – zapytała bezpośrednio Anię.

– Jakoś sobie radzę, dziękuję.

– Pamiętam, jak Henryk...

– Mamo! Oszczędź nam, proszę, tej historii – zareagował sam zainteresowany. – Wszyscy już znamy tę opowieść.

– Oj! Nie obruszaj się. Przecież nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Miałeś półtora roku, a jeszcze chciałeś. Taki był z ciebie słodziak. – Maria pogłaskała Henryka po włosach.

Markiewicz odwrócił wzrok. Nie poznawał swojej żony. Miał cichą nadzieję, że nie będzie miała po powrocie ochoty na jakieś zaspokojenia, dzisiaj już nie miał sił, tak jak ostatnio, a jutro od rana musiał być w pracy. Powrót po przerwie nigdy nie był łatwy.

– Patrz, jakie piękne! – Maria zwróciła się do Ani, wyjmując kolejne zakupione zabawki.

Henryk, widząc, że jego partnerka zaniemówiła z wrażenia, szybko zareagował.

– Zróbmy sobie wspólne zdjęcie!

Markiewicz nienawidził pozować, może właśnie dlatego nigdy nie pchał się do pierwszych rzędów w polityce. Nie mógł się później oglądać. Jakąkolwiek pozę przyjął i tak było źle. Na dodatek zadzwonił jego telefon. Cały dzień miał spokój, aż się dziwił, że nikt nie ma do niego żadnej sprawy. Wątpił, aby o tej godzinie któryś z jego współpracowników jeszcze był w pracy. Że też nie mogło to poczekać do jutra.

Napotkał wzrok Marii, który mówił: „Nawet nie waż się go

odbierać”. Zawział się w sobie i nawet nie sprawdził, kto się do niego dobijał. Chwilę później znowu usłyszał dźwięk przychodzącego połączenia. Wolał nie patrzeć w stronę żony, tylko pośpiesznie wyszedł na korytarz. Przez chwilę łudził się, że to może kolejne spóźnione gratulacje, ale to nie była pora, o której się dzwoni, żeby powiedzieć coś miłego.

– Ktoś do mnie dzwonił z tego numeru – zaczął.

– Z tej strony Gilbert Nowiński. Przepraszam, że tak późno... –

Po tonie jego głosu można było wnioskować, że te słowa to tylko kurtuazyjny zwrot. – ...ale wydaje mi się, że mamy sobie coś do wyjaśnienia.

Markiewicz znał Nowińskiego, ograniczył tę znajomość do minimum, nie przepadał za nim i nie widział większego sensu tego ukrywać. Nowiński był szefem ABW, pełnił tę funkcję od dwóch lat i podobnie jak Janiszewski był rzekomo bezpartyjny, ale niezmiennie pozostawał pionkiem.

– Czy możemy to przesunąć na jutro? – Tadeusz nigdy nie miał z nim ochoty rozmawiać, tym bardziej teraz. – To mój ostatni dzień urlopu.

– Nie zajmę długo. Chcę się tylko upewnić, że to prawda. Rozmawiałem z Janiszewskim, powiedział mi o Insight.

Markiewicz nie mógł się oprzeć, więc zapytał:

– Jak brzmi pytanie?

– Czy Insight naprawdę istnieje? – Nowiński był poirytowany.

– Tak.

– Więc dlaczego, do jasnej cholery, dowiaduję się o wszystkim ostatni?!

Tadeuszowi nie chciało się wszystkiego tłumaczyć od początku. Dopiero teraz tak naprawdę dotarło do niego, co się stało. Nie tak umawiał się z Janiszewskim. Premier chyba nie zrozumiał, że

informacje te nie powinny wyciec, nawet w wąskich kręgach. Im więcej osób o tym wiedziało, tym bardziej istnienie Insight było zagrożone. Była też inna możliwość – Janiszewski mógł rozpocząć realizację swojego planu oddania zadań służbom i dlatego wprowadził w temat Nowińskiego.

– Nie będziemy w ten sposób rozmawiać... – powiedział Markiewicz, zachowując stoicki spokój.

– Od kiedy to ty decydujesz o tym, jak co ma wyglądać?!

– Spokojnie, Gilbert. Chodzi tylko o czas i miejsce. Chętnie ci wszystko wytłumaczę.

– Spokojnie?! Chyba nie wiesz, co mówisz!

– Skończ! – Markiewicz nie zamierzał dłużej się w to bawić. – Urażona duma? Chyba są ważniejsze rzeczy od twojego samopoczucia, więc zacznij myśleć konstruktywnie. Zadzwoń jutro.

W tym momencie Tadeusz się rozłączył. Mógł posłuchać żony i zignorować telefon. Nowiński wybrał możliwie najgorszy moment, choć na tę rozmowę chyba w ogóle nie było dobrego.

* * *

Szedł przez krakowski rynek. Milewski nienawidził tego miejsca. Rozumiał, że Sukiennice, Mariacki i ta cała otoczka mogą się podobać, ale jemu kojarzyło się to tylko z tłumem turystów z aparatami. Właśnie minął fontannę. Nie miał pojęcia, co architekt chciał osiągnąć, pewnie zamarzył mu się drugi Luwr, ale dla Szymona ta bryła była po prostu kiczowata, zupełnie niewpasowująca się w charakter miasta. Jakiś Azjata właśnie robił zdjęcie gałęzi, którą przykryto na zimę szklaną powłokę fontanny. Milewski ich nie rozróżniał. Chińczyk, Japończyk, Mongoł – wszyscy wyglądali dla niego tak samo. Wiele by dał, aby

zobaczyć kiedyś, co faktycznie było uwieńczone na tych tysiącach robionych zdjęć.

Nie potrafił się skupić po wyjściu Dagmary. Wszystko było takie bezsensowne. Gdyby przynajmniej mówiła prawdę, a co do tego Szymon wciąż nie był przekonany. Otrzymał po południu wiadomość od starego i tak naprawdę jedynego przyjaciela, Janka Kopruckiego, że jeżeli tylko Szymon miałby czas, można go znaleźć w Charlotte. Sama lokalizacja nie stanowiła zaskoczenia, było to miejsce, gdzie kumpel przesiadywał prawie każdego dnia, jednak nigdy wcześniej tam się nie umówili. Z zasady wychodzili gdzieś na piwo. Milewski postrzegał Kopruckiego jako najbardziej rozsądnego, poukładanego i szczęśliwego człowieka. Miał dobrą pracę, jego przyszłość rysowała się w jasnych barwach, a gdy ostatnio się widzieli, wspominał o zaręczynach z Natalią, z którą tworzył parę stanowiącą dla Szymona przykład, że ludzie potrafią się dobrze dobrać. Janek nie był osobą, która wysyłała do tego stopnia niekonkretne wiadomości, dlatego Milewski nie wahał się zbyt długo i pojechał na miasto. Było dość pusto, studenci wciąż byli zajęci sesją albo korzystali z przerwy w zajęciach i wyjechali z miasta do rodziny albo na narty. Pogoda też nie zachęcała do wieczornych spacerów. Śnieg przestał padać, ale temperatura w nocy sięgała minus dziesięciu stopni. Gdy dołożyć do tego zimny wiatr, nie dziwiło, że trzeba było mieć dobrą motywację, żeby wyjść z domu.

Koprucki siedział przy dużym stole tuż przy wejściu. Obok niego stała litrowa karafka z białym winem, a raczej jego resztką. Wyglądał dość mizernie, ale jak zawsze elegancko, miał na sobie dobrze skrojoną marynarkę i koszulę, którą rozpiął pod szyją, ale jego twarz wyrażała złość, a wzrok wbił w bliżej nieokreślony punkt na ścianie.

– Dużo wypiełeś? – zapytał Szymon, wyrrywając go z letargu.

– Jeszcze nie dość. – Przywitał się z nim, wyciągając rękę, ale trafił dopiero za drugim razem. – Siadaj, stary. Napijemy się. – Zaczął machać kelnerce.

– Może przejdziemy gdzieś indziej? – Szymon zerknął w menu.
– Niekoniecznie mnie stać na takie hipsterstwo.

– Ja stawiam, kochaniutki...

– Chodź... przyda ci się świeże powietrze.

Próbował go zgarnąć, nie było to jednak takie proste, bo Koprucki się zataczał. Nałożył na niego własny szal. Miał ciarki, widząc Janka na takim mrozie w samej marynarce.

W ciszy przeszli przez plac Szczepański. Milewski nie chciał dopytywać, nie trzeba było jasnowidza, aby zauważyć, że coś musiało się stać. Pewnie wkrótce się dowie. Z naprzeciwka szła grupa dziewczyn, Koprucki zagwizdał za nimi i wybąkał kilka niezrozumiałych słów. Ostatecznie machnął w ich stronę ręką, co stanowiło jaśniejszy przekaz. Szymon wziął go pod ramię. Nie miał pomysłu, gdzie iść, ale nie mogło to być zbyt daleko, bo wcześniej by zamarзли.

Ominął szerokim łukiem Banialukę. O tej porze zawsze było tam tłoczno, duszno i gwarno, przy okazji śmierdziało i nie było miejsca, aby wygodnie usiąść. Po chwili zobaczył szyld jakiegoś pubu, o którym nigdy wcześniej nie słyszał. Poza jedną desperacko szukającą bliskości parą i zespołem starych bluesmanów, którzy brzdąkali coś w kącie, nikogo więcej nie było. Barman zdziwił się, widząc kolejnych gości.

Zamówili piwo i usiedli, Janek chyba myślał, że kanapa to jego łóżko, bo wyłożył się jak długi i zamknął oczy.

– Na zdrowie! – powiedział Szymon, podnosząc kufel. Dopiero to rozbudziło kompana.

– Jak ja cię kocham, stary! – wybąkał. – Jestem twoim dłużnikiem do końca życia. Mam tylko ciebie!

– Ja też... – Milewski potrzebował wypić więcej, by zrozumieć poziom abstrakcji Janka.

– Ale ja naprawdę... – Przyjaciel próbował coś powiedzieć, ale chyba zapomniał odpowiedniego słowa.

– Wszystko rozumiem, naprawdę.

– Bo te suki to można tylko pierdolić! – krzyknął. Para spojrzała na nich ze zdziwieniem. – Nic więcej!

– Tak bardzo się z tobą zgadzam... tak bardzo!

Uwagę Milewskiego przykuł zespół. Frontman miał swój styl. Obcisła kamizelka, rozpięta koszula odsłaniająca owłosiony tors i do tego kaszkiet. Trochę perwersyjne, ale widocznie zamarzyło mu się być gwiazdą popu z podrzędnej speluny. Obok niego stali basista i klawiszowiec, których twarze obrazowały znudzenie, co aż bolało, gdy się na nich patrzyło. Grali coś, co w odpowiednim stanie upojenia można było zakwalifikować jako blues. Za substytut perkusisty służył głośnik, który emitował dźwięki, jak gdyby komuś zebrało się na rytmiczne purtanie. „Klimatycznie, nie ma to tamto” – pomyślał Szymon.

– Czaisz, stary? Pięć lat się z nią pierdoliłem – powiedział Janek. Zapowiadało się na dłuższy wywód. – Dawałem z siebie wszystko, byłem przy niej, kiedy tylko chciała, zakochałem się jak szalony. Wiesz, stary... – Złapał Szymona za szyję. – ...myślałem, że jest inna niż wszystkie, że faktycznie chce tego, co ja. Snuliśmy plany, nazywaliśmy dzieci, słuchałem jej gadki szmatki, znosiłem te okrutne okresy... Byłem przy niej, stary. Byłem i kochałem. A co się stało? SUKA! – krzyknął. – PIERDOLONA SUKA MNIE ZOSTAWIŁA!

Koprucki przechylił kufel i zrobił kilka łyków, wylewając na

marynarkę połowę piwa. Szymon nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– Co powiedziała?

– No żeż kurwa, stary. Gdyby powiedziała cokolwiek, to przynajmniej bym wiedział, co ta kurwa miała na myśli. Czaisz, stary? – Kolejnych wypowiedzianych słów nie dało się zrozumieć. Dopiero po chwili bełkot Janka znów zaczął się układać w sensowne zdania. – Oświadczyłem się jej. Zapłaciłem pieprzone cztery kafle, żeby miała ten swój brylancik. A ona nic nie powiedziała i odeszła. A to wszystko na oczach ludzi. Czaisz sukę?! Myślałem, że po prostu się przestraszyła, że nie wiedziała, co robi. A później wysłała mi mejla. Co za kurwa jego jebana mać, ja żeż kurwa pierdolę!

– Mejla?!

– Napisała, że przeprasza. Czaisz, stary? Po pięciu latach kurwa zaczyna mi coś pierdolić o przepraszeniu. Co ja mam sobie myśleć?! Fajnie, że byłem, że ją pieprzyłem po nocach, ale zaręczyny to za duże zobowiązanie? Co to jest, kurwa?! Piaskownica dla dzieci?!

– Jak dobrze cię rozumiem. – Stuknęli się kuflami. – Zabawne... – Szymon zaczął się śmiać. Obaj byli żałośni. – Dagmara też ze mną zerwała. – Chciał dodać „suka”, ale nie przeszło mu to przez gardło. Za mało wypił.

– Kolejna suka... I co? Wysłała ci pocztówkę?

– Nie wiem, co to się porobiło. Jakiś synchron okresów czy co? – Z tej dwójki to jednak Koprucki był w gorszym położeniu.

– Marman! – Janek obrócił się w stronę baru, więc adresem tych słów był chyba barman. – Najlepszą whisky! Dla wszystkich, na mój koszt!

Szymon pomyślał, że na szczęście byli w niemalże

wyludnionym barze. W tej chwili zrobiło się gwarno. Do pubu wpadł tuzin dziewczyn, miały na sobie jakieś przepaski, wyglądało to na wieczór paniński. Nietrudno było rozpoznać przyszłą pannę młodą. Była z całej bandy najbardziej wstawiona, a plama na jej kurtce sugerowała bliższe spotkanie z zawartością jej żołądka.

– Co za suki – skomentował Koprucki. To było słowo klucz tego wieczoru.

Frontman zespołu od razu się ożywił, zaczął drzeć mordę do mikrofonu, pewnie myślał, że będzie fajny, jak rzuci dziewczynom swoją przepoconą koszulę. Przyszła panna młoda wzięła ją i włożyła między nogi.

– Ohyda. – Milewski nie mógł patrzeć, jak fałdki tłuszczu wylewają się z za jej obcisłej mini. Pozostałe dziewczyny zaczynały wiwatować, jedna z nich puściła Szymonowi oczko. Nie było go stać na ilość alkoholu, którą musiałyby spożyć, aby ją zarwać.

– Przeleciałeś ją chociaż? – zapytał Janek.

Milewski domyślił się, że pytanie dotyczy Dagmary.

– Cnotka niewydymka. Nie było nawet pierwszej bazy – przyznał się. Wciąż był prawiczkiem. Masakra.

Koprucki wyzerował piwo do dna. Przed nimi pojawiła się whisky, której zapach wywołał u Szymona mdłości.

– Pozostaje się pocieszyć tymi dupeczkami rozmiaru XXL – podsumował Janek, patrząc na panińską maskaradę. – Takie obciągną ci z pocałowaniem ręki, same pewnie nie cierpią na zbytne powodzenie.

– Na szczęście nie jestem jeszcze desperatem. Dzięki!

– Dlaczego, stary?! One nas jebią, to dlaczego my nie możemy? O co w tym wszystkim chodzi? Tylko i wyłącznie o pierdolenie! Jak na chwilę odpuścimy, to sami stajemy się ofiarami! Wiesz co?! Mam głęboko w dupie Natalię. Nie wie, co straciła!

– I bardzo dobrze! – Milewski w końcu poczuł, że piwo zaczęło działać. – Wszystkie to fałszywe dziwki! – Przypomniała mu się Marta, która nalegała, żeby poczekać z tym do ślubu, a okazało się, że na boku poczyniła sobie tak bezpruderyjnie, że to było aż niesmaczne.

– Współczuję im tego przeorania, niech gniją w tych swoich chorobach wenerycznych.

– Dobrze powiedziane. – Świetnie rozumiał Janka, choć wiedział, że z Dagmarą to inna sprawa. – Powiedz mi, stary... Odpowiedziałeś na tego mejla?

– Przecież nie będę jej pisał, że jest suką. Chyba nie jest na tyle tępa, żeby o tym nie wiedzieć.

Przyszła panna młoda miała niezły odlot. Kiwała się to w prawo, to w lewo, zbliżała się niebezpiecznie w ich stronę. Zdjęła porzyganą kurtkę, a raczej zrzuciła na podłogę, która nie należała do najczystszych.

– Nie, nie, nie! – powiedział Janek, widząc, co się dzieje. – Błagam cię! – krzyknął do panny młodej. – Wypiliśmy dużo, ale nie dość, żeby przetrwać ten widok. – Odwrócił głowę. – Barman! Whisky proszę. Dla jej przyszłego fagasa całą butelkę. Niech gość zazna choć trochę przyjemności!

– Szmata! – powiedziała panna młoda. Chciała ich opluć, ale ślina spadła na jej kurtkę.

– Dobrze! – Koprucki się nakręcał. – To mi się podoba! Przynajmniej nazywasz się po imieniu!

Milewski pękał ze śmiechu. Janek był w szczytowej formie. Podnieśli szklaneczki z whisky. Jedynym słusznym skutkiem takiej mieszaniny był kac gigant. Aż wstyd, że to kobiety doprowadziły ich do takiego stanu.

– Jebać kobiety! – Koprucki wzniósł toast.

– Niech same się jebią – dodał Szymon.

4

– Bałem się, że pan nie dojedzie. – Tadeusz przywitał Maksa Samsona w wejściu do Kancelarii Premiera.

– Pogoda nie sprzyja, to fakt. – Podali sobie ręce.

Markiewicz wskazał na windę. Czekali przez dłuższą chwilę. Razem z nimi wszedł Sekretarz Stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej. Towarzyszyła mu dość tęga kobieta, którą Markiewicz widział na oczy po raz pierwszy. Skinął głową w ich stronę. Winda wydała cichy pisk, jakby przez chwilę zastanawiała się, czy da radę ich wszystkich udźwignąć.

– Może się uda – powiedział pod nosem Samson, kierując wzrok w kierunku tęgiej kobiety.

Wysiedli na drugim piętrze, dopiero wtedy Tadeusz wypuścił z płuc powietrze, przez dwadzieścia sekund powstrzymywał się, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Mam nadzieję, że jej nie uraziłem – odparł Maks, gdy znaleźli się już w gabinecie Markiewicza.

– Pewnie nigdy więcej nie będzie miał pan z nią do czynienia, więc spokojnie.

– W Kancelarii Premiera raczej nie znajdują się przypadkowe osoby. Kto wie, czy to nie przyszła premier Polski.

Markiewicz inaczej go sobie wyobrażał, nie pasował do typu ludzi, którzy pracują w służbach. Maks okazał się przystojnym, schludnie ubranym facetem około czterdziestki. Był luzakiem, a takich osób tutaj brakowało. W tej chwili Tadeusz jeszcze niewiele mógł o nim powiedzieć, miał nadzieję, że wkrótce to się

zmieni.

– Napije się pan kawy albo herbaty? – zapytał.

– Cokolwiek, byleby było ciepłe. Straszny ziąb na dworze.

Markiewicz chciał dodać: „Sorry, taki mamy klimat”, ale w porę ugryzł się w język. To już dawno się przejadło, nawet tutaj. Na takie żarciki przyjdzie czas później. Poprosił sekretarkę o przygotowanie dwóch kaw.

– Jak podróż? – Gra wstępna była wskazana przed przejściem do istoty sprawy.

– Z planowanych trzech godzin zrobiło się pięć. Jak konduktor stwierdził, rozkład jazdy nie przewidywał tak silnych mrozów.

Markiewicz już czekał na telefon od Ministra Infrastruktury. Jemu najbardziej zawsze się dostawało, a nie było dobrej odpowiedzi, bo i tak znalazł się niezadowolony.

– Niestety. Cokolwiek by się nie działo, zawsze pozostaje kwestia odpowiedniej wymówki.

– Czym się pan dokładnie zajmuje? – zapytał Maks. – Przepraszam za ignorancję, ale nie interesuję się zbytnio polityką.

Tadeusz nie wiedział, ile w jego wypowiedzi jest prawdy. Internet skąpił informacji o Markiewiczu, ale mając do dyspozycji narzędzia CBS, można było znaleźć kilka ciekawych faktów.

– Nie dziwię się. Mówiąc w uproszczeniu, jestem doradcą premiera. Trochę już przesiedziałem za tym biurkiem, obyłem się z tematem. Sprowadza to się do tego, że wskazuję najlepsze możliwości, przygotowuję ważniejsze przemówienia...

– Przemówienia, tak? – przerwał mu Samson, wyraźnie zainteresowany. – Widziałem urywek, jak premier występował na jakimś szczycie ekonomicznym.

Markiewicz poczuł, jak jego twarz purpurowieje. Nie wiedział, co odpowiedzieć, więc tylko się zaśmiał, co w jego uszach brzmiało

bardziej jak nerwowy chichot.

– No dobrze – powiedział po chwili Maks. – W takim razie jeszcze bardziej zastanawia mnie fakt, dlaczego mnie pan zaprosił na spotkanie.

– Gdybym miał teraz tutaj słodzić i rzucać okrągłe zdania, które nie mają żadnej wartości merytorycznej, to chyba to nie miałyby większego sensu, więc jeśli pan pozwoli, postawię na szczerość. – Te słowa stanowiły zawsze dobry początek i decydowały o odbiorze kolejnych informacji.

– Nie oczekuję niczego innego.

– Dobrze – przytaknął Markiewicz. – Usłyszałem o panu kilka dni temu, pana nazwisko raczej nie padło przypadkiem. Zaintrygował mnie pan, nie przepadam za służbistami. Funkcjonariusze CBS zwykle mają zadarte nosy i zbyt wygórowane mniemanie o sobie.

Maks zakrztusił się kawą.

– Dawno nie słyszałem trafniejszej uwagi. Tylko skąd ta pewność, że ja taki nie jestem.

– Ja tego nie powiedziałem – zaryzykował i chwycił go za słowo.

– Widać, że czuje się pan w polityce jak ryba w wodzie – skwitował Samson, ale nie wyglądał na urażonego.

– Wszystko to kwestia praktyki. Jak pan się może domyślać, zanim doszło do tego spotkania, pozwoliłem sobie dowiedzieć się o panu czegoś więcej.

– Zamieniam się w słuch...

Markiewicz nie podzielił się wszystkimi zebranymi informacjami. Nie widział sensu mówić chociażby o sprawie rozwodowej. Życie prywatne było odrębną kwestią. Był pewny co do swoich informatorów, ale chciał zyskać zaufanie rozmówcy. Wyłożenie prawie wszystkiego na tacy było pomocnym zabiegiem.

Nic na tym nie tracił.

Cały dzień był jednym wielkim wariactwem. Przez pierwszą godzinę analizował korespondencję, która uzbierała się przez ostatnie dni absencji. Gilbert Nowiński już kilkakrotnie próbował się z nim dzisiaj połączyć, ale Tadeusz skutecznie to ignorował. Jakikolwiek spotkanie w dniu dzisiejszym nie wchodziło w grę. Tak naprawdę gdyby nie wcześniej ustalona wizyta Samsona, Markiewicz przedłużyłby urlop o kolejny tydzień, byle spędzać więcej czasu z Tadziem.

– Wciąż nie powiedział pan wszystkiego... – Maks podsumował wywód Tadeusza. – Przede wszystkim nie znam powodu ściągnięcia mnie do Warszawy.

– A gdyby miał pan obstawiać, czego mógłbym chcieć, to co by pan powiedział?

– Na początku pan mówił o merytorycznych konkretach, więc niby czemu miałyby służyć te spekulacje?

– Pan też nadaje się na polityka. – Markiewiczowi podobał się sposób rozumowania jego gościa.

– Obrałem inną drogę i raczej nie uśmiecha mi się jej zmieniać. Więc jak brzmi prawda?

– Prawda? Z naszej dwójki pan jest jedyną osobą, która może ją wyjawić. – Tadeusz sam nie był pewny, dokąd zmierza ta rozmowa.

Samson się uśmiechnął i zmrużył oczy.

– Insight? – zapytał.

– To pytanie czy odpowiedź? – Zabawa w tej kwestii faktycznie mijała się z celem.

– To słowo klucz.

– Wie pan, od kogo się o panu dowiedziałem? – To nie był dla Tadeusza test. Chodziło bardziej o sposób reakcji Samsona.

– Zapewne był to ktoś z wąskiej grupy osób znających Insight. Zastanawiam się bardziej, co pan ma z tym wspólnego.

– Ktoś musi nad tym czuwać, prawda? Nie czuję się ojcem tego pomysłu, ale aktualnie jestem jednym z nielicznych, którzy się tutaj ostali, a jeszcze pamiętają czasy, jak sama instytucja dopiero się tworzyła.

– Czuwa pan nad Insight? Chyba kontrola szwankuje? – Nietrudno było odczytać w tych słowach sarkazm.

– Ma pan rację. Nigdy nie powinno dojść do wydarzeń, jakie miały ostatnio miejsce.

– Skoro więc pan o wszystkim wie, do czego ja jestem potrzebny?

– Żeby było jasne... – Tadeusz przyjął rzeczowy ton. – Nie zamierzam zostawić tego wszystkiego tak jak jest i udawać, że nic się nie stało. Gdyby miał pan wskazać główną wadę stworzonego systemu, co by to było?

– Nie czuję się na siłach, aby odpowiedzieć na to pytanie. Tak naprawdę nigdy nie zrozumiem, na czym to wszystko polega.

– Ale gdyby miał pan podzielić się teraz swoimi myślami, pewnie długo by się pan nie zastanawiał.

Samson wzruszył ramionami. Zmrużył oczy, jakby chciał przeświecić myśli Markiewicza.

– Nie wiem, naprawdę. Staram się nabrać do tego wszystkiego dystansu. Skoro mam być z panem szczerzy, to proszę: żałuję, że dowiedziałem się o Insight i podjąłem tam pracę.

– A co jeśli zaproponuję panu przekroczenie progu Insight jeszcze raz?

Maks przecząco pokręcił głową.

– Przykro mi, ale nie widzę takiej możliwości – odpowiedział bez dłuższego zastanowienia.

– Nawet jeśli...?

– Nieważne, co mógłbym uzyskać w zamian.

– Rozumiem, rozumiem... – Markiewicz przygryzł wargę. Jansen ostrzegwał go przed tak definitywną reakcją. Nie widział innego rozwiązania, jak na chwilę odpuścić, aby zaatakować, gdy rozmówca nie będzie się tego spodziewał. – Mogę zapytać o pana dalsze plany?

– Chciałbym wrócić do CBS, w najbliższy piątek ma być decyzja dyrektora. – Maks przechylił do końca filiżankę z kawą. Z określeniem „dyrektor” Tadeusz miał jednoznaczne skojarzenie. Spaczenie polityczne. – Ale chyba nie jechałem tutaj pięć godzin, żeby rozmawiać o planach na przyszłość. Prawda?

– Nie interesuje pana, dlaczego chciałem zaproponować odwiedzenie Insight jeszcze raz?

– Przyznam szczerze, że ma to dla mnie drugorzędne znaczenie...

– Chciałbym... – Wszedł mu w słowo. – ...aby zastąpił pan Jansena na stanowisku szefa.

Obserwował uważnie reakcję, ale jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Mam wierzyć w to, że Jansen tak zwyczajnie odpuści?

– Sam zaproponował pana na swoje miejsce.

– To kpina...

– Rozumiem, że nie zmienia to pana zdania i wciąż nie chce mieć pan z Insight nic wspólnego?

Chwila zawahania. Markiewicz miał powody do satysfakcji.

– Zdecydowanie nie. – W głosie Maksa można było wyczuć zawahanie. – Ale mam pytanie, bo mnie pan zaintrygował... Czy to od pana woli zależy zmiana szefa Insight?

Postanowił być szczerzy do samego końca.

– Ja tylko doradzam i pokazuję odpowiednią perspektywę premierowi.

– Czyli to propozycja bez pokrycia? – To było chyba pytanie retoryczne, bo ciągnął dalej: – Jeżeli zna pan choć trochę Jansena, powinien pan wiedzieć, że to nie jest człowiek, który po prostu odpuści.

– Biorę taką okoliczność pod uwagę. Nie będę ukrywać, że liczyłem na inną odpowiedź z pana strony. Dam panu jeszcze czas do namysłu. Zadzwoń.

– Nie chciałbym zabierać pana cennego czasu, więc już teraz może pan szukać kolejnej naiwnej osoby.

– Sądzi pan, że tylko naiwniak przyjmie tę ofertę?

– Nic nie sądzę. Nikt nie zastąpi Jansena, na tym trzeba się znać, a ja osobiście nie poznałem takiej osoby. Może pan wstawić pionka, ale wtedy nadzorowanie Insight pana zniszczy. Taka dobra rada.

– Dziękuję za spotkanie... – powiedział Markiewicz, wstając i wyciągając w jego stronę rękę.

– Proszę nie ufać Jansenowi. Insight to broń, której pole rażenia trudno nawet oszacować.

Tadeusz pokiwał głową. Zgadzał się z nim w stu procentach, dlatego miał nadzieję, że to nie jest ich ostatnie spotkanie.

– Do zobaczenia.

W tej chwili Markiewicz był pewny, że zobaczą się w najbliższym czasie. Piątkowa decyzja dyrektora CBS mogła być tylko jedna. W końcu nikt nie obiecywał, że będzie łatwo.

* * *

Przełknął głośno ślinę. Czuł się niepewnie w nowej roli. Gellert zlecił mu zbyt odpowiedzialne zadanie, a sama argumentacja, że

nie było nikogo innego, kto by się nadawał do przeprowadzenia przesłuchania, była tylko mglistą wymówką.

Pomieszczenie było klaustrofobicznie małe, a kamery oraz włączony dyktafon nie dodawały Goczałce pewności siebie. W pokoju obok zgromadzili się ludzie, którzy z ciekawością przypatrywali się przesłuchaniu i komentowali, co wcześniej było domeną Lamy. Role się odwróciły.

Miłosz poczuł, jak jego skóra staje się lepka od potu. Naprzeciwko niego siedziała Sylwia Danielewicz. Miała jasną karnację, proste i długie blond włosy, które opadały w nieładzie na jej ramiona. Była bez makijażu, zupełnie naturalnie. Tak bardzo różniła się od wszystkich tych kobiet mijanych na ulicach. Cechowała ją zwyczajność, bez niepotrzebnej maski. Miała na sobie beżowy golf i zwykłe, wytarte dżinsy. Nie trzeba było jednak być Sherlockiem, aby nie zauważyć jej smukłej figury i swoistej klasy w samej prezencji. Tak, była piękna. Tak, podobała się Miłoszowi. Bardzo. Wręcz cholernie.

Zaczął od podstawowych pytań. Sylwia była bardzo spokojna, Lama spodziewał się obrony, zarzutów i pytań co do celu tego przesłuchania, ale do tej pory nic takiego nie nastąpiło. Miłosz dowiedział się, że żona Danielewicza ma trzydzieści dwa lata, wychowuje dwóch synów, pozostaje w związku małżeńskim od dziesięciu lat. Ukończyła technikum gastronomiczne oraz zaoczne studia w zakresie dietetyki. Aktualnie nigdzie nie pracowała, pozostając na utrzymaniu męża.

– Przeciwno pani mężowi, Antonowi Danielewiczowi, toczy się postępowanie. Chciałbym zadać pani kilka pytań...

– W jakim charakterze jestem przesłuchiwana? – przerwała.

– Jest pani świadkiem. – Nie potrafił znaleźć innej odpowiedzi.

– Czy nie powinnam skontaktować się z adwokatem? – Nie

okazała zdziwienia.

– Przysługuje pani prawo odmówienia odpowiedzi na pytanie. –

Pouczenia dotyczące adwokata miały miejsce na początku, pojawienie się Pinasa zakończyłoby temat.

Milczała. Odwróciła wzrok w drugą stronę, jej ręce były splecione, spoczywały na kolanach, pod blatem stolika.

– Co pani wie o firmie swojego męża?

Goczałka postanowił zacząć od neutralnych pytań. Na razie był zadowolony z przebiegu rozmowy, choć przecież niczego się nie dowiedział. Tak jakby sam fakt, że ma z nią okazję porozmawiać, sprawiał mu przyjemność. Był Sylwią mile zaskoczony.

– Bardzo niewiele. Ściśle rozdzielamy życie osobiste i zawodowe. Anton nie jest osobą, która przynosi do domu swoje problemy.

– Ale coś na pewno pani wie...

– Jego firma, Africa Trade, działa od kilkunastu lat. – Wciąż unikała jego wzroku. – Zajmuje się handlem zagranicznym z Afryką, przede wszystkim z RPA.

Kolejne pytania nie przyniosły żadnych nowych wiadomości poza tymi, które były już w posiadaniu policji.

– Czy mąż mówił coś o tym, jak firma prosperuje?

– Nie dopytywałam. Z zasady niczego nam nie brakowało, więc finansowo musiał wychodzić na swoje.

Lama był pewien, że Sylwia wiedziała zdecydowanie więcej o firmie swojego męża.

– Nic więcej? Naprawdę? – zapytał z nadzieją, że zacznie mówić.

– Tak jak mówiłam, Anton widocznie nie miał interesu, aby wprowadzać mnie w tajniki funkcjonowania jego biznesu. Ja też się tym nie interesowałam, bo rozumiałam jego zdrowe podejście

do tematu, poza tym na co mi była wiedza, której i tak nie potrafiłabym zrozumieć?

Miłosz przytaknął.

– Czy kiedykolwiek pani mąż miał problemy z narkotykami?

– Narkotyki? – Wyglądała na szczerze zdziwioną tym pytaniem. Albo była dobrą aktorką, albo Lama był na tyle naiwny, że dał się przekonać.

– Stawiając sprawę jasno, pani mąż jest podejrzewany o handel narkotykami.

Napotkał jej wzrok, zbladła na twarzy, oparła plecy o krzesło, tak jakby próbowała się od Miłosza możliwie najdalej oddalić.

– Można tutaj palić? – zapytała.

– Myślę, że można pozwolić na wyjątek. – Lama zignorował znak przekreślonego papierosa, który stanowił jedyną dekorację ścian pokoju przesłuchań.

– Ma pan papierosa?

Z trudem powstrzymał śmiech, słysząc to pytanie.

– Niestety, nie palę, ale proszę dać mi chwilę.

Nie powinien opuszczać tego miejsca, ale nie miał obaw, że żona Danielewicza niepostrzeżenie ucieknie, przy okazji chciał poznać zdanie pozostałych. W pomieszczeniu obok, przy niewielkim ekranie telewizora, siedzieli Gellert, prokurator Dędek i kilku niższych rangą funkcjonariuszy, których Lama znał tylko z widzenia.

– Co myślisz? – Gellert podał mu zgniecioną paczkę papierosów i zapalniczkę.

– Albo jest urodzoną aktorką, albo faktycznie nie wie o żadnych narkotykach.

– Wydaje mi się, że zrobi wszystko, by kryć męża – skomentował Dędek.

– Jest OK! Kontynuuj i będzie dobrze. – Gellert klepnął Miłosza po ramieniu. Denerwował się prawie tak samo, jak Goczałka.

Będzie dobrze... Łatwo było mówić. Nogi Lamy były jak z galarety. Przecież był tylko facetem, a największą bronią Sylwii była jej uroda, z której walorów korzystała bezbłędnie. Aż trudno było się skupić, co dopiero wydostać informacje o handlu narkotykami.

Podał jej paczkę papierosów. Przez chwilę wahał się, czy nie lepiej byłoby ją poczęstować i przyłożyć ogień, ale mogłoby to być uznane za niewskazane spoufalanie.

Najwyraźniej nie była regularnym palaczem, gdy próbowała się zaciągnąć, zakrztusiła się. Nie było jej z papierosem do twarzy. Lama cieszył się, że jego żona nie ma tego typu uzależnień, bo nawet samo całowanie byłoby czymś niemiłym, nie wspominając już o zapachu. Sylwia Danielewicz z jakiegoś powodu poprosiła jednak o papierosa, może chciała zyskać na czasie, albo stresowała się, czego wcześniej nie dała po sobie poznać, albo Goczałka był do tego stopnia słabym obserwatorem, że tego nie zauważył.

– Jak się pan nazywa? – zapytała.

Lama przedstawił się na początku, ale widocznie tego nie zanotowała.

– Miłosz Goczałka – odpowiedział, nie kryjąc zaskoczenia.

– Nie wiem, czy jest pan świadomy, że igra pan z ogniem.

Aż wyprostował się na krześle, słysząc te słowa. Pokój wypełnił się dymem papierosowym, ledwo widział jej twarz.

– To...

– To nie jest groźba, panie Miłoszu – przerwała mu. – Chciałam tylko uprzejmie poinformować.

W końcu spojrzała mu prosto w oczy. Jej wyraz twarzy wyrażał

zaniepokojenie, jakiś rodzaj strachu. Lama nie potrafił tego zdefiniować.

– Skąd takie wnioski?

– Nie wiem, na ile zna pan mojego męża. Wątpię, aby był zadowolony z tego przesłuchania.

– Nie musi się o nim dowiedzieć, poza tym nie wiem, czy jego niezadowolenie cokolwiek zmienia.

– Czasem mam wrażenie, że Anton wie o wszystkim... Nie lubi, jak coś idzie nie po jego myśli.

– Powiedziała pani, że nie posiada żadnych informacji o jego firmie, więc niczego ta rozmowa nie zmienia. To przesłuchanie nie powinno go zatem niepokoić.

Znowu się zaciągnęła i kaszląc, wypuściła z siebie dym.

– Wydaje mi się, że te kwestie nie są ze sobą powiązane.

Nie wiedział, jak zareagować. Danielewicz przebywał w izolowanej celi na Montelupich, to go zdecydowanie ograniczało.

– Czy pani się boi?

– Ja?! – odpowiedziała bez zastanowienia, Lama wyczuł w jej głosie fałsz.

– To rozumiałe, że nie chce pani zeznawać przeciwko swojemu mężowi, ale czy pani się go boi?

– Nie... – Znowu spuściła wzrok.

– Jeżeli ma pani takie życzenie, możemy zadbać o pani ochronę – powiedział, ale sam nie wiedział, do czego zmierza.

– Proszę mnie nie rozśmieszać – odparła. Goczałce nie było do śmiechu. – Wygląda pan na inteligentnego człowieka. Mąż lubi rozdawać karty i mieć wpływ na wszystko, co się dzieje. Nie ufam policji, bo jesteście wobec nich bezbronni. – Lama chciał się dowiedzieć, kim byli „oni”, ale nie chciał jej przerywać. Zresztą i tak by mu nie powiedziała. – Z jakiegoś powodu nie mówił mi

o swojej pracy, a nie jestem osobą, która potrzebuje do szczęścia wiedzieć wszystko. Pyta pan o narkotyki. Jestem ostatnią osobą, która może na ten temat udzielić jakichkolwiek informacji.

– W takim razie wyłóżmy karty na stół.

Postanowił zagrać *va banque*. Wątpił, aby to coś zmieniło. Chodziło raczej o jej reakcję. Wyjął z teczki fotografie ofiar Ryglewicza, dokładnie w takim stanie, jak je znaleziono. Ustawił je tuż przed Sylwią.

– Franciszek Szpil. – Wskazał na jedno ze zdjęć. –

Dwudziestotrzyletni student prawa, kolega mojej córki. Znaleziony w garażu na jednym z krakowskich osiedli. Przypięty pasami do łóżka, na którym przeprowadza się sekcje zwłok. Zgwałcony, ta biała ciecz na jego ciele, to, jak można się domyślić, sperma, wylana na niego, żeby przeszkodzić policji w zidentyfikowaniu nasienia napastnika. Pozbawiony życia poprzez wbicie skalpela w gałkę oczną. Ostrze przeszło mózg. Śmierć na miejscu.

Przełknął głośno ślinę. Mówił rzeczowym tonem, jakby czytał książkę. Bez emocji, skupiając się na konkretach. Twarz Sylwii mówiła wszystko, patrzyła na kolejne fotografie ślepych wzrokiem, była zszokowana tym, co widzi.

– Daria Gotecka. – Lama wskazał na kolejne zdjęcie, które robiło chyba największe wrażenie. – Miała dwadzieścia cztery lata, właśnie kończyła studia na Uniwersytecie Pedagogicznym. Została ugodzona nożem osiem razy, co zapewne spowodowało rozległe rany wewnętrzne. Pozbawiona nogi. Kikut. Gdy policja przyjechała na miejsce, zwisała naga, przywieszona do drzewa. Nie wiadomo, jak długo się tam znajdowała. Trudno powiedzieć więcej, bo miejsce zbrodni zostało podpalone, zanim zebrano ślady. W trakcie akcji spaliło się żywcem dwóch techników kryminalistyki, moich

przyjaciół. – Drżał mu głos, ale nie mógł w tej chwili przerwać. – Jan Górski, świętował nadejście Nowego Roku...

– DOŚĆ! – krzyknęła żona Danielewicza. Zrzuciła fotografie ze stołu i zakryła twarz dłońmi.

– Proszę mi wybaczyć, ale jest pani ostatnią osobą, która może nam cokolwiek powiedzieć o Danielewiczu. Zginęło już dość osób...

– Ale jaki to ma związek z moim mężem?! – Już nie była spokojna. Lama dostrzegł, jak jej dolna warga drży.

– Te osoby... – Wskazał na fotografie, które w tej chwili leżały na podłodze. – ...to dilerzy Antona. Mieli zeznawać przeciwko niemu, a teraz ich po prostu nie ma.

Pokręciła przecząco głową, jakby nie chciała dopuścić do siebie tej informacji.

– To jedna wielka pomyłka! Nie wmówi mi pan tego, nie ma takiej możliwości!

Opadła na oparcie krzesła, wyglądała na zdruzgotaną. Nie zamierzał nic więcej mówić, tylko, milcząc, czekał, aż sytuacja sama się rozjaśni. Chciał dać jej trochę czasu, aby to wszystko sobie przetrawiła.

– Czy to już koniec przesłuchania? – zapytała, gotowa w tej samej chwili wstać i odejść.

Goczałka zmrużył oczy. Miał przecucie, że Sylwia Danielewicz ma wszystkie informacje, których potrzebowali. Wiedział, że jeśli teraz wyjdzie, już więcej się nie zobaczą.

– Mam nadzieję, że to dopiero początek – powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

Obserwował ją. Ucieszył się, kiedy zobaczył, że sięga po kolejnego papierosa. To oznaczało, że nigdzie się nie wybiera.

– Oby pan tego nie żałował... – zaczęła.



– Uspokój się! – krzyknął strażnik.

On w odpowiedzi uderzył w drzwi jeszcze mocniej. Jego pięść zaczęła krwawić, ale w tej chwili nie czuł bólu. Adrenalina była lepsza od ketonalu i morfiny. Miał ochotę wrzeszczeć, ale jego struny głosowe były już zdarte.

Danielewicz czuł się w odosobnieniu beczynny. Myśl, że dobrali się do jego żony, potęgowała złość. Nie mógł tego znieść. Gdzieś tam był Miłosz Goczałka, człowiek, który nieumyślnie wywołał wojnę. Anton nie zamierzał mu tego darować. Wezwanie Sylwii na przesłuchanie było z ich strony aktem desperacji. Był spokojny, bo żona nie posiadała żadnej informacji, która mogłaby zagrozić jego wolności. Ale sam fakt, że naruszyli spokój jego rodziny, był jednym krokiem za daleko. Nie taka była umowa. Tchorze, gówniane poczwary, durnie... Danielewicz nie zamierzał tego tolerować.

Po raz kolejny uderzył w drzwi.

– Bo będziesz tego żałować! – usłyszał słowa po drugiej stronie. Nie rozpoznawał głosu tego strażnika.

Nic nie odpowiedział, to było bezcelowe. Nie mogli mu nic zrobić, sam fakt, że zamknęli go w izolatce, był najbardziej restrykcyjną kontrolą.

Obmyślał plan. Dowiedział się o Goczałce kilka minut wcześniej. Wśród strażników również miał zaufane osoby, które korzystały z jego narkotykowych źródeł. Fakt, że policja miała problem z dowodami i świadkami, poświadczał, że jego system okazał się idealny. Pośrednicy zdali egzamin, a nałóg był na tyle silny, że gwarantował milczenie.

Przydałby mu się w tej chwili Ryglewicz. Mógłby to być nawet Thomas Reglewitsch, byle na wolności. Wtedy problem Goczałki

zostałby rozwiązany na dobre. Chciał się skontaktować z Sylwią i przeprosić, że musi przez to przechodzić, ale na ich spotkanie będzie musiała jeszcze poczekać. Co najmniej dwa tygodnie. Termin rozprawy zbliżał się, ale ten czas koszmarnie wlekł się Danielewiczowi. Stał się nerwowy i impulsywny. Potrzebował fizycznego oczyszczenia, ale nie chciał zniżyć się do poziomu Ryglewicza.

W momencie, gdy po raz kolejny kopnął metalowe łóżko, usłyszał szcęk zamka.

– Uspokój się. – To Hałycki niespodziewanie pojawił się w celi, podszedł do niego i przyciągnął pod ścianę.

– Potrzebuję telefonu – wypalił.

– Miarka się przebrała. Tutaj też są pewne ograniczenia. Staram się ciebie kryć, ale nie pomagasz mi.

– Telefon! – krzyknął Danielewicz.

Hałycki ścisnął rękę na jego karku i przydusił. Patrzył na Antona z wściekłością.

– Już dość dla ciebie zrobiłem. Usiądź i oddychaj!

– Chyba nie chcesz, abym ci przypomniał, że dzięki mnie wciąż masz tę pracę?!

– Krzycząc i waląc w drzwi, wcale sobie nie pomagasz. – Nie zaprzeczył twierdzeniu Antona.

– Telefon – powtórzył, ale tym razem już ciszej.

– Co się stało?

Hałycki zmrużył oczy. Była już późna godzina, więc dziwne, że wciąż był w pracy. Wyglądał na przemęczonego.

– Goczałka dobrał się do mojej żony. – Można to było rozumieć dwojako, ale byli już za starzy na takie skojarzenia.

– Niech zgadnę: myślisz, że zadzwonisz do swoich kumpli i zrobią porządek w prawdziwym świecie? – Ordynator patrzył

z odrazą na Danielewicza.

Anton podniósł rękę do góry. Nie wiedział właściwie, co chciał tym ruchem osiągnąć. Po raz kolejny przypomniał, że to Hałycki ma wobec niego dług wdzięczności.

– Mam pozwolić, aby naruszał bezprawnie spokój mojej rodziny?!

– Masz klapki na oczach. Jestem ci wdzięczny za uratowanie mojego syna i zahamowanie Kotarskiej, ale teraz mówię do ciebie jako kumpel, ze szczerą troską, abys się z tego gówna wydostał...

– Nie odpuszczę Goczałce! – Przerwał mu, bo rozumiał, do czego zmierza Hałycki.

– Oczekujesz szacunku, nie zyskasz go, posługując się pionkami. Wojna trwa już od dawna, jeżeli chcesz robić sobie kolejne problemy, nie ma sprawy, ale Goczałka to jeden z niewielu sprawiedliwych w policji. Jaki błąd popełnił, że chcesz się na nim mścić?

– Rozmawiał z moją żoną! Przesłuchiwał ją, narażał na stres, naruszył spokój mojej rodziny!

Hałycki machnął ręką w jego stronę.

– Prześpij się z tym, spójrz na to jutro z dystansem i wtedy pogadamy.

– Chcę telefon! KURWA!!!

– Naprawdę nie rozumiesz? – Przez chwilę sądził, że Hałycki chce go uderzyć w twarz, bo gwałtownie się do niego zbliżył. – To może się dla ciebie źle skończyć. Twój idealny plan ma słabe punkty, a główny problem to twoja podstawowa broń... Ryglewicz.

– Już wkrótce przestanie nim być. To nie jest kwestia tego, że coś poszło nie tak. Do tej pory nie pogrywałem z policją, mieli to, co chcieli, nie robiłem problemów, nie dostarczałem im dodatkowej pracy. To oni się uparli, że może lepiej byłoby mnie usidlić. To im

się nie uda!

– Mam wrażenie, że wszystko kręci się teraz wokół ciebie.

– Nie prosiłem o to. Znasz Goczałkę? – Danielewicz postanowił skorzystać z tej niespodziewanej wizyty.

– Sądziłem, że wiesz o nim wszystko. – Ordynator spojrzał na niego z zaciekawieniem.

– Więc uznajmy, że chcę skonfrontować swoją wiedzę. – Anton nie lubił, gdy jego rozmówcy udawali mądrzejszych, niż faktycznie są.

– To człowiek z zasadami...

– Nie ma takich! – Danielewicz od razu przerwał i prychnął z pogardą.

– Chcesz znać moje zdanie czy nie?

Nigdy nie widział Hałyckiego do tego stopnia poirytowanego. Czuł się na swój sposób dumny, że doprowadził go do takiego stanu.

– Słucham. – Spojrzał wymownie w jego stronę.

– Zna twoją sprawę, analizuje każdy szczegół dwukrotnie, byle być pewnym, że niczego nie pomija. Jest uparty, nieustępliwy. Równy gracz, nawet dla ciebie.

– Więc co robi w policji?

– Nie wszyscy myślą w kategoriach materialnych.

Teraz miał do siebie pretensje, że skupił się do tego stopnia na Bronieckim. Goczałka na początku tej sprawy nie był obecny, a to właśnie on był głównym źródłem jego aktualnych problemów.

– Kumplujecie się? – zapytał. Hałycki mógł stanowić kontakt zewnętrzny.

– Nigdy się nie widzieliśmy, dwukrotnie rozmawialiśmy przez telefon, nic więcej. – Brzmiało to jak tłumaczenie winnego.

– Mimo to wydaje mi się, że starasz się go bronić. Musisz mieć

ku temu jakiś powód. Nie lubi się drugiej osoby za nic.

– Wiesz... – Hałycki przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. – Czegoś się od ciebie nauczyłem. Lepiej trzymać się blisko ludzi, którzy mogą narobić ci problemów. Pamiętaj, że jak dobiorą się do ciebie, to również ja będę mieć...

– Obiecałem ci, że się tobą zajmę, nie musisz się obawiać.

– Mimo to nie czuję się spokojniej, kiedy jestem zależny od Ryglewicza.

– Gra została już włączona... – Danielewicz czuł podobne obawy. – Teraz już nic nie może powstrzymać biegu wydarzeń.

– Trzymamy się planu? Ryglewicz się wścieknie, a jest nieobliczalny!

– Mamy już dość informacji, jeżeli masz lepszy pomysł, to się nie krępuj.

– Od początku twoja intryga wydawała mi się prymitywna. – Hałycki zmarszczył czoło.

– To nie jest twój świat, więc rób, co do ciebie należy i zdaj się na mnie.

– Rozmawiałeś z nim. Thomas Reglewitsch to inny człowiek.

– Jeżeli masz ochotę pieprzyć o pierdołach, to chętnie przyjmę zaproszenie na kawę. – Anton miał dość. To nie był odpowiedni moment na pogawędkę.

– Zostawię cię i znowu będziesz się samookaleczał? – Wskazał na jego zakrwawioną pięść.

– Telefon. – Wyciągnął rękę w jego stronę.

– Chyba nie sądzisz, że dam ci swoją komórkę? – Hałycki zrobił krok do tyłu.

– Nie będę powtarzał.

– Będziesz tego żałować – odparł ordynator, ale chyba wiedział, że nie ma innego wyjścia.

– Pozwól, że to historia rozliczy moje czyny. – Nie zamierzał się tym teraz przejmować.

Wykręcił numer. Czekał na to już od dawna, oni również.

– Możesz się zabawić – powiedział, gdy usłyszał po drugiej stronie głos rozmówcy. W tym samym momencie się rozłączył.

Ryglewicz był dobry, ale przecież nikt nie jest niezastąpiony.

5

Nie potrafiła znaleźć sobie miejsca. Tylko słyszała, jak Adam pośpiesznie wstaje. Ostatnią noc przespał na kanapie w salonie. Nawet nie próbował wchodzić do ich sypialni, widocznie zasadnie sądził, że Kotarska nie miała ochoty go widzieć.

Płakała. Jej wybudzenie ze śpiączki okazało się brutalnym resetem. Tak bardzo chciałyby wiedzieć, co tak naprawdę wydarzyło się przez ostatni miesiąc, może wtedy łatwiej byłoby jej zrozumieć Adama, Maćka Różyckiego oraz sytuację w pracy. Teraz była zdana na innych. To oczywiste, że chciała znać prawdę, już wcześniej miała przypuszczenia, że mąż ją zdradza. Próbowała postawić się na jego miejscu. Umyślnie zataił przed nią tę historię, ale jego zachowanie świadczyło o tym, że coś jest na rzeczy. Mogli dalej tak żyć, mogło być pięknie, ale pewnego dnia mogłaby się o wszystkim dowiedzieć i byłoby to jeszcze trudniejsze do zaakceptowania. W tej chwili nie potrafiła wyobrazić sobie życia z tym człowiekiem. Zdradził ją, oszukał, miał czelność udawać, że wszystko jest OK. I może Edyta zachowałaby się identycznie, ale były to tylko przypuszczenia.

Poszła do pracy, jej obecność wywołała wszechobecne poruszenie. Zbyt wiele czasu spędziła za murami aresztu na Montelupich, aby mieć jakiegokolwiek problemy, żeby się tutaj odnaleźć. Chciała odwiedzić swoje biuro, przejrzeć dokumentację. Miała jeden główny cel – skargę Groickiego. Zgodnie ze słowami Hałyckiego to ona stanowiła podstawę jej konfliktu z ordynatorem Oddziału Psychiatrii Sądowej. Nic takiego nie znalazła. Nie była

nawet zaskoczona.

Patrzyła przez dłuższy czas na figurkę Temidy, która była prezentem od Adama, gdy rozpoczęła tutaj pracę. Miała chwilowy przebłysk, posązek skojarzył się jej z Danielewiczem, ale nie mogła sobie przypomnieć dlaczego.

Z ciekawości sprawdziła, na jakim etapie jest jej sprawa dyscyplinarna. W administracyjnym otrzymała garść informacji. Dziesiątego lutego miała pojawić się na przesłuchaniu, aby złożyć wyjaśnienia, ale z oczywistych względów była wtedy niedysponowana. Jej władza na Montelupich była w tej chwili bardzo ograniczona, przyjęła to jako pozytywny aspekt, bo wolała nie znać szczegółów, w jaki sposób Trzeciński zarządza Monte.

Nagle poczuła się słabo, usiadła na najbliższym krześle. Miała ochotę wymiotować, widocznie zbyt wiele emocji i osłabienie dawały się we znaki. Wyszła na dziedziniec. Czuła na sobie wzrok więźniów, słyszała jakieś gwizdy i wyzwiska. Po pewnym czasie była już do tego przyzwyczajona, środowisko pracy nie należało do idealnych, ale można było przywyknąć.

Brama, która znajdowała się około dwadzieścia metrów przed nią, otworzyła się, wydając nieprzyjemny pisk, chwilę później na dziedziniec wjechała furgonetka policyjna. Głosy zza okien przybrały na sile. Psów nikt tutaj nie lubił. Prewencyjnie wstawiono w oknach zasłony ochronne, gdyby któryś z więźniów postanowił czymś w nich rzucić. Z furgonetki został wyprowadzony młody chłopak. Kotarska zdziwiła się, bo dałaby mu nie więcej niż szesnaście lat, ale skoro tutaj był, musiał być pełnoletni. Wyglądał na grzecznego intelektualistę: równo przycięte włosy, okulary i biała koszula. Na twarzy wciąż było widać zmiany trądzikowe. Do którejkolwiek celi by nie trafił, pewnie będzie mu ciężko przez pierwsze dni.

Początek jest najtrudniejszy. Pamiętała przypadek sprzed paru lat, gdzie jakaś para wygrała na licytacji WOŚP pobyt w celi. Nie zamierzała oceniać, jaki konkretnie przyświecał im cel. Istnieją w końcu lepsze opcje na miesiąc miodowy. W sumie każda alternatywa jest lepsza... Podobnie jak każdy z aresztantów dostali na początku wyprawkę, na którą składała się przede wszystkim pościel i tymczasowe przebranie. Samo wniesienie pakunku ważącego prawie dwadzieścia kilogramów było dla niektórych wyzwaniem. Po jednej nocy zauważono na tyle niepokojące objawy agresji i depresję, że ich pobyt trzeba było skończyć wcześniej, aniżeli zakładano. Wszystko było zależne od perspektywy, niestety, areszt na Montelupich był bezwzględny w odkrywaniu słabości i lęków.

Edyta przeszła dalej, zatrzymała się dwa metry od żółtej linii, której nie mogła przekroczyć. Z wieży spoglądał w jej stronę uzbrojony strażnik, jedyna osoba na terenie aresztu, która miała prawo mieć przy sobie broń, a co więcej, obowiązek jej użycia, jeśli ktokolwiek poza dowódcą zmiany znalazłby się na obszarze pomiędzy budynkiem a murem, ostatnią przeszkodą dzielącą więźniów od wolności. Jedno ostrzeżenie słowne, strzał ostrzegawczy, potem nie pozostawało już nic innego, jak wycelowanie w uciekiniera. Nie było miejsca na sekundę zawahania. Coraz większa część placówek rezygnowała ze strzelca, albo mieli na tyle dobre zabezpieczenia wewnętrzne, albo nie chcieli brać na siebie tej odpowiedzialności, obwarowanej bardzo szczególnymi wytycznymi. Do tej pory areszt na Montelupich był bastionem nie do przejścia. Istniały legendy o niejakiem „Skoczku”, ale Kotarskiej trudno było uwierzyć, że to mogła być prawda.

Nie wróciła do środka. Czuła się trochę lepiej, ale wizja powrotu do domu również do niej nie przemawiała. Cały następny

dzień miała spędzić w szpitalu, bo lekarz nalegał na zrobienie jeszcze kilku badań, aby mieć pewność, że krwiniak w jej mózgu już nie stanowi ryzyka. Po takim wstrząśnieniu i ponaddwutygodniowym pozostawaniu w stanie śpiączki pewne zmiany mogły się ujawnić po dłuższym czasie.

Nie miała odwagi spojrzeć w oczy ani Danielewiczowi, ani Ryglewiczowi. Obaj znajdowali się pod ścisłą obserwacją, zastosowanie miały najwyższe standardy bezpieczeństwa. Nie spodziewała się usłyszeć od nich konkretnej odpowiedzi, dlatego postanowili ją zabić. Czym sobie na to zasłużyła? Pojechała bezpośrednio na ulicę Powstańców. Jak wyczytała ze swoich notatek, jeszcze przed zatrzymaniem właśnie tam mieszkał Groicki wraz ze swoją matką, Elżbietą. Nie nastawiała się, nie miała przygotowanych pytań, nie wiedziała nawet, jak zacząć. Potrójna negacja nie wróżyła dobrze.

Osiedle było starym, parszywym blokowiskiem. Fundament stanowiła późna historia PRL, tak jakby korzenie Polski kończyły się na 1978 roku. Pod transformatorem grupa nastolatków jarała trawę, każda wolna przestrzeń muru była pokryta graffiti. Kotarska nigdy nie potrafiła rozczytać tych dziwnych bazgrołów. Wiał zimny wiatr, Edyta nie przepadała za tą porą roku, ale ten chłód działał na nią orzeźwiająco.

Stała przed klatką z numerem dwadzieścia dwa. Domofon był pokryty jakąś kleistą substancją, bała się dotknąć, przy odrobinie szczęścia była to tylko sperma. Akurat ktoś wychodził, więc skorzystała z otwartych drzwi. Na parterze usłyszała jakieś krzyki i płacz dziecka. Mieszkając w jednorodzinny domku w nowoczesnej dzielnicy, która uchodziła za dość zamożną, zapominała o patologjach. Samo środowisko więźniów i ich parszywy wzrok już nie robiły na niej wrażenia, ale na „zewnątrz”

też wcale nie było lepiej. Ruszyła po schodach do góry, wołała nie igrać ze szczęściem i nie ryzykowała korzystania z windy, której drzwi wyglądały jeszcze gorzej niż domofon.

Stała przed drzwiami, naklejka z napisem „Groiccy” była przerwana w połowie. Edyta nie znalazła żadnego dzwonka. Czuła coraz większe obawy, to środowisko było jej obce, czuła się jak intruz. Zapukała. Po chwili powtórzyła tę czynność z większą siłą.

– Kto tam? – Usłyszała po drugiej stronie chrapliwy damski głos.

– Nazywam się Edyta Kotarska, chciałabym z panią chwilę porozmawiać.

– Nie ma nikogo w domu!

Nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Nie wiedziała, czy to głupi dowcip, czy Groicka po prostu nie chciała jej otworzyć. Jeśli to drugie, mogła to po prostu powiedzieć, a nie robić cyrk w miejscu, które nijak się miało do jakiegokolwiek rozrywki.

Kotarska zapukała jeszcze raz. Po chwili w uchylonych drzwiach zobaczyła twarz, której widok mocno ją przestraszył. Zaczerwieniona skóra, oczy podpuchnięte i zeszkłone. Widziała takich ludzi już wcześniej, zniszczonych przez alkohol, bez chęci wyrwania się z nałogu. I ten zapach... Nie wiedziała, czy to sama Groicka tak śmierdzi, czy mieszkanie. Woń papierosowego dymu, spirytusu i moczu.

– Czego? – zapytała matka Groickiego, lustrując Kotarską od stóp do głów.

– Mogę wejść? – Wiedziała, że będzie tego żałować.

– Nie spodziewałam się gości. – Podrapała się po głowie. Pod siwymi włosami można było zobaczyć zakrwawione krosty.

– Nie chcę robić zamieszania. Nie zajmę długo. Niestety, nie miałam jak się z panią wcześniej skontaktować.

– Jak imię? – wybąkała.

Uchyliła drzwi szerzej i przypatrywała się Edycie jeszcze z większym zainteresowaniem. Kotarska już zdążyła pożałować, że tu w ogóle przyszła.

– Słucham? – W tej chwili nie miała już wątpliwości, że Groicka jest pijana.

– Imię pani!

– Edyta Kotarska. Może przyjdę innym razem? – Zaczęła się wycofywać.

– To ty! Oszukaniec drętwy! To przez ciebie mój Franek nie żyje! Mietek! Chodź tutaj! Kurwa... – zawołała.

– To jakieś nieporozumienie! – Edyta była przestraszona, rozglądnęła się dookoła, szukając drogi ucieczki.

– Nigdy nie zapomnę wyrazu tej twarzy! Dałaś mi obietnicę, że nic mu się nie stanie... – Groicka podeszła do niej i złapała za kurtkę. – Czego chcesz?! Że też masz czelność tu przychodzić!

– Przepraszam, po prostu chciałam porozmawiać o pani synu i dowiedzieć się, co się stało.

– Co się stało?! Zniszczyliście go, kurwa, nafaszerowaliście prochami i odesłaliście mi zwłoki. – Zaczęła płakać, po chwili lament przerodził się w kaszel palacza.

– Nic nie wiem, dlatego proszę o wyjaśnienia.

– Ja pierdolę! Mam w to uwierzyć?! Mietek! Rusz to swoje owłosione dupsko i pomóż mi!

– Przychodzę w pokojowych zamiarach. – Miała wrażenie, że Groicka pragnie vendetty.

– Już starczy. Dość rzuciłaś słów bez pokrycia! Na co czekasz?! Wypierdalaj!

Kotarska znowu źle się poczuła. Zaparła się rękami o ścianę. Spadł tynk, ale tym się w tej chwili nie przejmowała. Groicka coś

krzyczała, ale do Edyty nie docierał żaden dźwięk. Zwymiotowała. Ktoś ją złapał pod ramię. Gdy się ocknęła, leżała na kanapie. Jakiś starszy mężczyzna stał nieopodal. Na ekranie telewizora Chodakowska pokazywała, jak robić właściwy skłon, a przy okazji nie poznać po sobie, że się puściło bąka.

– Wody! – wyszeptała.

W mieszkaniu panował zaduch, a wcześniejszy smród był spotęgowany. Na stoliku pośrodku pokoju stały butelki po taniej wódce z Lidla i wysuszone kabanosy.

– Kto mi teraz zastąpi Franka? Kto, kurwa?! – Groicka podeszła, płacząc, podała jej szklanekę wody.

Edyta starała się nie myśleć o brudnych mazach na szkle. Chciała stąd jak najszybciej wyjść, ale nie miała siły wstać.

– Przepraszam – powiedziała Kotarska. Chwiejnym krokiem ruszyła do drzwi, po schodach spływała zawartość jej żołądka.

Już nie miała więcej pytań do Groickiej i tak niczego by się od niej nie dowiedziała. Cieszyła się, że wychodzi stąd żywa. Mietek wyglądał przerażająco. Przez chwilę wahała się, czy po sobie nie posprzątać. Ostatecznie doszła do wniosku, że jej wymiociny idealnie komponują się z otoczeniem klatki schodowej, a tego typu zapach chyba nie był tutaj rzadkością.

* * *

– Cieszę się, że zgodziłeś się spotkać – powiedział Lama na przywitanie.

– Nie wiem, czy zdołam pomóc... – Tomek Cybulski czuł się chyba trochę nieswojo.

Przeszli do pustego pokoju, Miłosz nie zamierzał stosować konspiracji, w końcu najciemniej jest pod latarnią, w tym przypadku – na komendzie. Cybulski był kumplem Dagmary

z czasów licealnych, podobno znał się na rzeczy, studiował informatykę. Lama zwrócił zegar Ryglewicza do działu dowodowego, skleił wyłamana podstawę i nikomu nie pochwalił się swoim znaleziskiem. Do tej pory bał się zrobić cokolwiek z płytą, specjalnie zaprosił Tomka na komendę, aby mieć pewność, że to nie jest jakieś złośliwe oprogramowanie, z którym sam by sobie nie poradził.

Tracił panowanie nad biegiem wydarzeń dnia. Najpierw przesłuchanie żony Danielewicza. Daleki był od popadania w samouwielbienie, ale nie dostrzegał w swoim postępowaniu rażących błędów. Dzięki Sylwii mieli kolejny punkt zaczepienia, bo choć nie poznali szczegółów funkcjonowania siatki narkotykowej, poznali kilka nazwisk, które mogły wiele zmienić. Może wiedziała więcej, ale Lama nie miał żadnych oczekiwań, więc cieszył się nawet z tego, bo podane dane pozwalały zidentyfikować najbliższych współpracowników Danielewicza. Gellert wyznaczył konkretne osoby, które miały zebrać informacje na ich temat. Co ciekawe, na tej liście znalazło się nazwisko Hałyckiego i Zamoyskiego. Ten pierwszy był ordynatorem Oddziału Psychiatrii Sądowej w areszcie na Montelupich i do tej pory przekazywał Goczałce wiadomości odnośnie do stanu Ryglewicza. Jeżeli faktycznie był bliskim współpracownikiem Danielewicza, to Miłosz mógł sobie pogratulować. O Zamoyskim Lama dowiedział się mniej więcej niecałą godzinę temu, kiedy odwiedził go w pracy Maks Samson. Przekazał Miłoszowi dokumenty, które znalazł w mieszkaniu byłego informatyka Insight. Goczałka nikomu nie powiedział o tej ściśle tajnej instytucji, obiecał dyskrecję Samsonowi, którego poznał przez zupełny przypadek kilka tygodni wcześniej. Wszystkie elementy w sprawie miały dwa punkty wspólne – był to Danielewicz i Insight.

Na kilka minut przed przyjściem Cybulskiego odebrał telefon od Edyty Kotarskiej. Nie wiedział, skąd ma jego numer, nie znali się. Poprosiła o spotkanie, jej głos był bardzo zdecydowany, ale nie chciała zdradzić powodów. Lama do tej pory nie miał czasu szczegółowo zająć się tym aspektem sprawy. Oczywiście, musiało mieć to jakiś związek z Antonem i Ryglewiczem, ale wcześniej należało odpowiedzieć sobie na inne pytania. Zgodził się na rozmowę, był ciekawy, kim Kotarska tak właściwie jest, możliwe, że mogła udzielić jakichś przydatnych informacji. Zdziwił się, słysząc jej głos, bo gdy ostatni raz pytał o jej stan zdrowia, była w stanie śpiączki, nawet nie wiedział, że już doszła do siebie.

– Mogę mieć pytanie? – nieśmiało zaczął Tomek Cybulski, kiedy rozkładał na biurku swój sprzęt.

Lama już wcześniej widział ten znaczek, który widniał na jego komputerze, coś w stylu nadgryzionego jabłka. Był zbyt wielkim ignorantem techniki, żeby powiedzieć coś więcej na ten temat.

– Proszę. – Miłosz usiadł obok niego.

– Dlaczego nie skorzysta pan z pomocy policyjnych informatyków? Chyba macie tutaj taki dział?

– O tym jeszcze nie wspomniałem. Chciałem cię prosić, abys zachował wszystko, co się tutaj dzieje, tylko dla siebie. Wolałbym, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

– Ale o co właściwie chodzi? Zdziwiłem się, gdy Dagmara do mnie zadzwoniła, ale nie chciała zdradzić żadnych szczegółów.

– Bo ją o to poprosiłem.

Tomek Cybulski miał na sobie koszulkę z Wojowniczymi Żółwiami Ninja. Wyglądał trochę jak przerośnięte dziecko. Na tapecie jego komputera znajdowało się logo Batmana, pewnie był jednym z tych kolekcjonerów komiksów i gier komputerowych.

– Nie wiem, czy sprostim zadaniu...

– Chodzi o tę płytę. – Lama wyciągnął ją z kieszeni i wręczył Cybulskiemu.

– Co to jest? – Młody informatyk przyjrzał się uważnie. – Wygląda na zwykłe DVD kupione w pierwszym lepszym sklepie.

– Chcę, żebyś to ty odpowiedział mi na to pytanie.

– Nie przekonamy się, co tu jest, dopóki nie otworzymy. Jest jakieś ryzyko, że to zwykły wirus?

– Tego też nie wiem.

– Inaczej... – Cybulski poprawił okulary na nosie. Miłosz nigdy wcześniej nie widział tak grubych szkieł. – Czy właściciel tej płyty mógł mieć złe zamiary.

Lama pomyślał o Ryglewiczu i jego czynach.

– Zdecydowanie – odparł Lama bez zastanowienia.

– Jakieś przypuszczenia?

Nie sądził, że informatycy są tacy gadatliwi, wolałby, żeby Cybulski zabrał się do roboty, zanim ktoś na policji zacznie coś podejrzewać.

– Gdybym wiedział, poinformowałbym na samym początku.

– No dobrze. – Tomek chyba zauważył, że Lama się niecierpliwi. – Zanim otworzę dysk, sprawdzę go antywirusem. Jeżeli jest jakieś szkodliwe oprogramowanie, powinien to wykryć.

Cybulski wyciągnął powoli płytę, trzymał tak delikatnie, jakby to był jakiś diament. Goczałka spodziewał się jakiegokolwiek reakcji komputera, ale Tomek z zupełnym spokojem wpisał jakąś zaszyfowaną komendę.

– Fajne... – powiedział młody informatyk.

Nie wyglądało na to, że chce dodać cokolwiek więcej, więc Miłosz zapytał:

– Co jest tak fajne? – Nie krył już irytacji.

– Myliłem się, to nie jest taka zwykła sklepowa płyta.

Przyznam szczerze, że słyszałem o takich, ale nigdy nie widziałem na oczy. Po prostu genialne!

– Mogę poprosić po ludzku?

– Nie wiem, jak to wytłumaczyć... Tak ogólnie to na normalną płytę składa się dana objętość, można ją przetwarzać, wgrywać dane, zapisywać ustawienia. Płyty różnią się przede wszystkim jakością i pojemnością, od każdej szczegółowej cechy są odstępstwa, które jednak stanowią rzadkość, bo są tworzone z zasady dla konkretnych celów, co zdecydowanie zwiększa koszty.

– Wciąż nie rozumiem...

– Spokojnie, jeszcze nie skończyłem. – Tomek znowu wstukał na klawiaturze ciąg liczb. – To płyta stworzona na zamówienie, normalne DVD ma około czterech gigabajtów rzeczywistej pojemności, w tym przypadku to tylko dziesięć megabajtów, tak naprawdę nic, mając na uwadze wielkości nowoczesnych programów. Ale to nie jest pojemność, na którą można cokolwiek wgrać. To tylko szyfr, jakaś komenda.

Lama zrozumiał tylko jedną informację i jako punkt wyjścia postanowił skorzystać właśnie z niej.

– Powiedziałaś, że została stworzona na zamówienie. Możesz określić producenta?

– Wszelkie informacje zostały ukryte. Przy odrobinie szczęścia będę mógł poznać IP komputera, na którym dokonano zapisu.

Cokolwiek to było, zawsze to była jakaś nadzieja.

– Co do tej komendy, co to jest właściwie? Możesz ją rozczytać?

– Proszę spojrzeć. – Cybulski wskazał mu jakąś zieloną strzałkę. – Mój antywirus nic nie wykrył.

Lama wyczuł dozę niepewności w jego głosie.

– Ale?

– Chodzi o to, że to nic nie zmienia. Nie znam antywirusa,

który mógłby poradzić sobie z komendą. To zwykły szyfr, a nie program, który zawiera wadliwe pliki.

– Czyli nie ma niebezpieczeństwa?

– Zależy czego ta komenda dotyczy. Nie da się zawirusować szyfru, ale on sam może być wirusem.

– Co proponujesz? – Lama był zdany na wiedzę tego niedojrzałego młokosa, co irytowało go jeszcze bardziej.

– Nie wiem, czy otwarcie szyfru cokolwiek zmieni. Zwykle jest do tego potrzebny właściwy program.

– Nie dowiemy się, dopóki nie sprawdzimy... – Miłosz oczekiwał efektów.

– Łatwo się panu mówi, ale to ja ryzykuję własny komputer.

Goczałka nie miał pojęcia, ile takie „ugryzione jabłko” może kosztować, administracja policji raczej by się nie ucieszyła z pokrycia takich nieprzewidzianych wydatków.

– Biorę to na siebie, spróbuj...

– Tylko sprawdzę jeszcze jedną rzecz. Macie tutaj bezprzewodowy Internet?

Miłosz wzruszył ramionami, nie miał zielonego pojęcia. Cybulski chyba połączył się z Internetem, bo po chwili pojawiła się strona jakiegoś forum. Tomek poruszał kursorem tak szybko, że Lama nawet nie miał okazji dostrzec, co tam jest właściwie napisane. W przeciwieństwie do tego, co widać w amerykańskich serialach, nie wyskoczyło czterdzieści okienek naraz.

– No dobra, spróbujmy – powiedział po chwili informatyk.

Goczałka czuł dziwny niepokój. W żadnych dokumentach dostarczonych przez Milewskiego i tych, które udało się zgromadzić policji, nie było wzmianki o zainteresowaniach informatycznych Ryglewicza. W momencie, kiedy w grę wchodziły jakieś zaszyfrowane płyty na zamówienie, chodziło o wyższy stan

wtajemniczenia. Ten prezent wydawał mu się na początku głupim żartem, teraz sytuacja wyglądała zgoła inaczej. Cieszył się, że poprosił o pomoc Cybulskiego, wątpił, aby policyjni informatycy się z tym wcześniej spotkali, choć może ich nie doceniał.

Ekran przygasł i pojawiło się okienko. Pasek powoli się ładował.

– Fascynujące. – Tomek nie mógł oderwać wzroku od ekranu. – To robota człowieka, który zna się na rzeczy.

– Możesz mi wyjaśnić, co się dzieje?

– Ten szyfr był nie tylko komendą, ale również ukrytym, bardzo mocno skompresowanym programem. Właśnie się otwiera.

– Co to za program? – Ekran znowu przygasł, ale widocznie to było normalne, bo Cybulski się nie przejął.

– Zaraz się dowiemy.

Pasek załadował się do końca, w tym samym momencie pojawiło się kolejne okno, wyglądało identycznie jak poprzednie, pasek zaczął się ładować od początku. Goczałka widział po minie Cybulskiego, że coś jest na rzeczy. Chłopak próbował wpisać jakąś komendę, ale nic się nie stało.

– Spróbuj control plus alt plus delete – zasugerował Lama, używał tego dość często, gdy jego służbowy komputer się zawieszał.

– Ta płyta to pułapka – powiedział Tomek.

– Konkretniej?

– To RESET. Ta komenda miała na celu usunięcie informacji. Nie wiem jakich, nie wiem gdzie. Wiem tylko, że właśnie teraz to się dzieje.

– Wyłącz komputer! – Nie miał innego pomysłu. Starał się nie panikować.

– Już za późno...



Dzień spisany na straty. Już nigdy więcej nie sięgnie po whisky, ten trunek zdecydowanie mu nie podchodził. Milewski obudził się w swoim łóżku, obok pochrapywał Koprucki. Miał cichą nadzieję, że mama ich razem nie widziała. Janek miał nieświeży oddech, co zmotywowało Szymona do wstania z łóżka bez zbędnego ociągania. Pisanie w tej chwili nie wchodziło w grę. To nawet nie była kwestia weny, bo wiedział, co pisać. Bardziej chodziło o samą kondycję i zdolność skupienia się.

Zastanawiał się, czy Ryglewicz wiedział, że Milewski go rozpracowuje. Tajemnica – Szymon je uwielbiał. Nawet jeśli ktoś starał się coś ukryć, zawsze pozostawała szansa, aby odkryć prawdę. Z Thomasem Reglewitschem istniał inny problem. Wujek Google nie posiadał informacji na jego temat, w tamtym czasie Internet był tylko science fiction. Gdyby Milewski wiedział, że wszystko się tak potoczy, zupełnie inaczej rozmawiałby z Drouberem. Od tego wszystko się zaczęło. Dopiero po śmierci schorowanego doktora dowiedział się, że Drouber miał syna. Dlaczego się pokłócili, dlaczego Ryglewicz nie chciał mieć nic wspólnego ze swoją rodziną? Szymon poznał osobę, która mogła udzielić takich informacji, bała się jednak, że zainteresuje się nią policja. Milewski zgodnie z obietnicą nie przekazał nikomu informacji o źródle. Krystyna Działoszyn była matką Tomasza, pozostawała przez kilka lat w nieformalnym związku z Drouberem, ale doktor był do tego stopnia dupkiem, że nie dało się z nim wytrzymać. Może zechciałaby odpowiedzieć jeszcze na kilka pytań, ale wcześniej Szymon musiał się odpowiednio przygotować, a kac nie sprzyjał takim działaniom, właściwie jakimkolwiek działaniom.

Pomyślał o Dagmarze. Wciąż pozostawało pewne

niedopowiedzenie. Szczerze wątpił, czy kiedykolwiek będą jeszcze rozmawiać tak jak wcześniej. Pierwsza złość już przeszła, pozostało niezrozumienie. Milewski chętnie poszedłby do Goczałki, porozmawiał z nim lub pomilczał, tak jak to miało miejsce w styczniu, ale istniało ryzyko spotkania Dagi, w końcu to był jej dom.

Miłosz Goczałka okazał się dla Szymona świetnym przewodnikiem. Uratował z opresji, w jakich Milewski znalazł się po odnalezieniu w mieszkaniu Droubera słoików wypełnionych ludzkimi organami, Lama zgodził się przechować znalezisko, a gdy było już po wszystkim, wspólnie je zutylizowali. Ta znajomość wiele dla niego znaczyła i nie chodziło tylko o to, że otrzymał od niego podstawę merytoryczną do napisania książki, Goczałka był dla niego kimś więcej: mentorem, a nawet autorytetem. Może chodziło o to, że Szymon nigdy nie miał okazji zdefiniować słowa „tata”. Matka starała się zastąpić mu ojca, ale to nie było to samo. Ten temat w domu nie był poruszany, a sam brak doskwierał głównie, gdy rówieśnicy opowiadali w czasach szkolnych o wspólnych wypadach z ojcem i graniu z nim w piłkę. Kiedy z okazji Dnia Ojca przygotowywano laurki, Milewski musiał się tłumaczyć. To, że nie potrzebował ojca, było prymitywnym wyjaśnieniem, bo to rodzina jest najważniejsza, przynajmniej w najmłodszych latach. Wiedział tylko tyle, że ojciec zmarł jeszcze przed jego narodzinami. Ciężko chorował. Był moment, kiedy chciał dowiedzieć się więcej, ale mama od razu ucięła rozmowę. Jego rodzina była bardzo mała, dziadkowie umarli, jak był jeszcze za mały, aby zrozumieć znaczenie tego momentu. Utrzymywali stały kontakt tylko z siostrą mamy, ale spotkania były również sporadyczne ze względu na dalekie odległości.

Spojrzał na wyświetlacz swojej komórki. Trzy nieodebrane

połączenia od matki, jeszcze w trakcie nocy, plus jeden nieznany numer. Stan wiadomości świetnie odzwierciedlał jego sytuację. Przypomnienie od operatora, że wkrótce mija okres rozliczenia miesiąca i zachęcenie do zmiany swojego życia, a dokładniej SMS o treści: „Super Randka: znajdź swoją drugą połówkę, wystarczy wysłać wiadomość pod numer 7273, koszt 4,22 zł”. Może gdyby ustalili ceny sprzyjające bankrutom, to Milewski skusiłby się, ale tylko po to, by zaspokoić swoją ciekawość, jak to faktycznie działa.

Bez zbędnego pośpiechu włożył koszulkę, nie przejął się zbyt, że jest odwrócona na lewą stronę. Poszedł do kuchni, przepłukał usta pod zlewem. Jego wzrok napotkał przyklejoną na lodówce karteczkę od mamy z napisem: „Obiecałeś L”. Musiało chodzić chyba o jakąś jej prośbę, obstawiał w ciemno, że chodziło o posprzątanie mieszkania. Zdziwił się, od kiedy jego matka używa emotikoniek. Jakoś to nie pasowało do jej wieku.

Sięgnął po kefir, oczywiście przeterminowany, ale do tej pory nigdy się z tego powodu nie zatrzał, a kaca nie obchodziła data na opakowaniu. Kwaskowaty smak postawił go trochę na nogi. Wrócił do pokoju, dopiero teraz poczuł nieświeży zapach. Uchylił okno, ale okazało się, że za dnia temperatura nie odbiegała znacząco od tej, która była ostatniej nocy. Postanowił oddzwonić na nieznany numer. Usłyszał automatyczną odpowiedź, wybrał właściwy numer. Znał tylko jedną osobę pracującą w Areszcie Śledczym na Montelupich, która miałaby interes, aby do niego dzwonić.

– Próbował się pan ze mną skontaktować – powiedział Milewski, kiedy w końcu został połączony z Bartoszem Hałyckim.

– Dzień dobry! Chciałem zapytać o postępy w pana pracy. Udało się dowiedzieć czegoś więcej o Thomasie Reglewitschu?

– Poza dokumentami, które panu dostarczyłem, niestety, nie mam nic innego. – To nie była prawda, ale nie widział potrzeby,

aby dzielić się wszystkim. Każdy czegoś od niego chciał, ale nikt nie doceniał jego pracy i poświęcenia. Dasz palec, a chcą całą rękę.

– Rozumiem, gdyby coś się zmieniło, prosiłbym o kontakt, to bardzo ważne. – Ordynator widocznie oczekiwał innej odpowiedzi. – Tak jak mówiłem, gdybym mógł się jakoś odwdzięczyć...

– Właściwie to może pan – przerwał mu Szymon.

Kiedy Ryglewicz został złapany, a informacja, że w dużej mierze to zasługa Milewskiego, przedostała się do szerszego grona, każdy czegoś od niego chciał. Szymon poczuł się przez chwilę ważny, nigdy nie sądził, że niektóre wysoko postawione osoby będą zależne właśnie od niego. Jednym z nich był Hałycki, który miał określić stan psychiczny Ryglewicza i wydać diagnozę do dokumentacji postępowania przygotowawczego prowadzonego przez prokuraturę.

– Słucham. – Ordynator zapewne sądził, że nigdy nie dojdzie do sytuacji, kiedy będzie musiał się odwdzięczyć.

– Chciałem poprosić, aby mi pan wytłumaczył, na czym to wszystko polega. Nie potrafię tego zrozumieć. Zmiana osobowości, Ryglewicz ma się za kogoś innego, ale jak to właściwie działa?

– Dokumentacja pacjenta jest niestety chroniona tajemnicą lekarską...

– Zależy mi wyłącznie na takim łopatologicznym przedstawieniu sprawy.

– Czy możemy w takim razie przełożyć tę rozmowę na potem? Zaraz mam spotkanie. – Hałycki zaczął się wykręcać.

– Bardzo nalegam, nie proszę o szczegóły. – Milewski miał przeczucie, że później ordynator mógłby unikać z nim kontaktu.

– Nie wiem, co mogę jeszcze dodać. Tak jak już pan wie, Ryglewicz miał depresję, pracodawca skierował go do jakiegoś psychoterapeuty, który zdiagnozował, że chodzi o depresję

maniakalną, tak naprawdę wbrew brzmieniu to nie jest nic nadzwyczajnego, cierpi na to wiele osób. Są różne objawy, u niektórych to coś więcej niż gorsze samopoczucie. – Milewski miał wrażenie, że Hałycki mówi jak do idioty, ale przynajmniej wszystko rozumiał, więc nie zamierzał narzekać. – Ryglewicz skarżył się migreny, ale prewencyjnie został wysłany na tomografię. Teraz, mając już wszystkie dane, należy stwierdzić, że owa depresja była tylko jednym z symptomów. To pierwszy taki przypadek, z jakim się spotkałem, mowa o syndromie dziecka potrząsanego. Ujawnia się to dopiero po dłuższym czasie, w przypadku Ryglewicza przybrało formę guza, najpierw był tylko nieszkodliwy zarodek, kilka miesięcy temu zaczął narastać. Depresja nabrała innego wymiaru, to nie tyle zmiana osobowości, co wyobrażenie sobie, że jest się kimś innym. Zachowuje się tak jak wcześniej, ale żyje z przeświadczeniem, że jest Thomasem Reglewitschem, a kim jest Reglewitsch, to już pan wie najlepiej.

– Dobrze, ale co tak naprawdę jest w jego głowie? – Trudno było uwierzyć w historię przedstawioną przez Hałyckiego, ale wszystko dało się medycznie uzasadnić.

– Nie mam pojęcia. Widzi świat z innej perspektywy, dlatego aby go zrozumieć, należałoby poznać samego Reglewitscha.

Milewski liczył, że usłyszy jakieś konkrety. Sam mógł odpowiedzieć również to samo, mimo że nie miał z psychiatrią wcześniej do czynienia.

– Czyli to, co zrobił z tymi ludźmi, wynika tylko z tego, że myślał, że jest kimś innym?

– To już nie jest zwykłe myślenie, on po prostu nim jest. Wiem tylko tyle, że guz dalej rośnie, naciska na jego płat czołowy coraz mocniej i to wszystko może po raz kolejny zmienić się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Istnieje szansa, że znowu stanie się Ryglewiczem?
– Bardziej bym obstawiał, że umrze. I to nie tylko Reglewitsch.
– Hałycki mówił znudzonym głosem. – Dochodzę do takich wniosków po lekturze pana dokumentacji. Jak mam wyjaśnić fascynację liczbami? Niektóre działania nie mają żadnego przełożenia. Nic nie wiemy, aby fotografował swoje ofiary i opisywał sekcje ich zwłok. Myśli racjonalnie, potrafi się odnaleźć w obecnym świecie. Dochodzi jeszcze kwestia jego seksualności.

– Seksualności? – Milewski wcześniej o tym nie słyszał.

Hałycki opowiedział o problemach Ryglewicza z popędem, wielokrotnej masturbacji, samookaleczaniu.

– Jaki może być tego powód?

– Właśnie to, o czym mówiłem. Pewne cechy dawnego Ryglewicza pozostały, przenikają się z nową osobowością. A może jeszcze ktoś inny wchodzi w grę? Nie wiem, czy kiedykolwiek widział pan go na oczy. To człowiek kompleksów, których główną podstawą jest odrażający wygląd. Ma dwadzieścia dziewięć lat, a wygląda na schorowanego, wychudzonego dziadka, zresztą taką ma mentalność. Nowy charakter mu spasował, poczuł się kimś ważnym. Cały czas chce mieć dominujący wpływ na to, co się dzieje.

Milewski sięgnął po kefir, bo znowu zaschło mu w ustach. Nie wiedział, czy to efekt znudzonego głosu Hałyckiego, czy też może właściwości lecznicze przeterminowanego napoju mlecznego miały tak cudowny wpływ na zmniejszenie bólu głowy. Koprucki obrócił się na drugi bok, ale wciąż spał.

– Czyli mógł się stać kimkolwiek?

– Proszę pana, działamy tylko na bazie przypuszczeń. Zrozumiałbym zmianę osobowości, nawet taką drastyczną.

– Czy mogę się z nim spotkać? – zaryzykował Milewski.

– Nawet ja nie mogę się z nim zobaczyć. Przebywa w izolacji i zgodnie z zarządzeniem prokuratora do czasu zakończenia procesu nie ma miejsca na żadne odstępstwa.

Szymon nie spodziewał się innej odpowiedzi, ale zawsze można było zaryzykować. To go nic nie kosztowało.

– Ostatnie pytanie. Powiedział pan, że Ryglewicz prędzej umrze. Nie znam się, ale czy tego guza nie można po prostu wyciąć? – Na chłopski rozum wydawało mu się to możliwe.

– Nie. – Hałycki odpowiedział krótko i stanowczo. – Muszę kończyć, mam nadzieję, że jakoś pomogłem.

W tym momencie się rozłączył. W przeciwieństwie do innych rozmów, nie było miejsca na niekończące się pożegnania. Ludzie nigdy nie przestaną go zaskakiwać.

– Która jest? – zapytał Janek, nie otwierając oczu.

– Po drugiej. – Sam nie był wcześniej świadomy, że jest już tak późno. – Masz, napij się, dobrze ci zrobi. – Podał mu kefir. – Wiem, co mówię.

* * *

– Znaleźliśmy jego mieszkanie! – Gellert wpadł jak torpeda do pokoju, gdzie Lama wciąż przebywał z Tomaszem Cybulskim.

– Już jadę. – Miłosz stanął w jednej chwili na nogi. Nie wiedział, czy to był bardziej efekt usłyszanej informacji, czy przyłapania go w obecności młodego informatyka.

– Spokojnie. Nie mogłem cię znaleźć, więc wysłałem na miejsce Cyjańskiego.

Goczałka pospiesznie podziękował Cybulskiemu, obiecał zadzwonić później i za chwilę siedział już w biurze Gellerta.

Szukali kryjówki Ryglewicza przez ostatni miesiąc. Stare mieszkanie w Zielonej Górze zostało opuszczone pod koniec

października, na jego miejsce wprowadzili się jacyś studenci. Nie było sensu nawet przeszukiwać, jak stwierdził właściciel lokalu, Ryglewicz nie stwarzał problemów, a do tej pory nikt nie oddał mieszkania tak dokładnie posprzątanego.

Było oczywiste, że po jego przeprowadzce do Krakowa, musiał gdzieś mieszkać. Wyeliminowano mieszkanie jego ojca, Norberta Droubera. W klinice, gdzie Ryglewicz przebywał na stażu, podobnie jak w dokumentach, którymi się legitymował, podano fałszywe dane. Do tej pory policja musiała tłumaczyć się z nalotu na mieszkanie dwojga emerytów, którzy rezydowali pod wskazanym adresem. Starsze małżeństwo nie знаło Ryglewicza, byli zdziwieni zaistniałą sytuacją, ale obiecali nie wnosić skargi na pojawienie się oddziału szturmowego.

Punktem zaczepienia była korespondencja, która musiała trafiać gdzie indziej. Ryglewicz wszystko dobrze przemyślał, możliwe, że posłużył się jeszcze innym nazwiskiem. Poczta Polska miała widocznie problem z udzieleniem informacji, bo dopiero po dwóch tygodniach odpisali, że niestety nie potrafią pomóc.

– Jak znaleźliście mieszkanie? – zapytał Lama.

– Pamiętasz ten obraz, który Drouber dostał od syna? To była duża przesyłka, więc sprawdziliśmy firmy kurierskie i ich listy przewozowe z tamtego dnia. Ryglewicz popełnił błąd. Mieszkał w jednym z domów komunalnych, pod nazwiskiem Kostner. Czaisz, że tak się ustawił, że to jeszcze państwo mu dopłacało do interesu? Takiego scenariusza nie przewidzieliśmy.

Mieszkanie komunalne, takie rozwiązanie nawet nie przeszło Goczałce przez myśl. Znowu dał się zaskoczyć.

– Trochę ryzykował... – skomentował.

– Też tak pomyślałem, ale sam pomyśl, jakie to sprytne. Ciekawe, jak wiele czasu by minęło, aż znaleźlibyśmy to miejsce.

– Cyjański jest już na miejscu? – Żałował, że sam tam nie pojechał.

– Spokojnie, poradzi sobie, przecież to twoja szkoła.

Ludwik Cyjański był podobnie jak Miłosz technikiem kryminalistyki, jednym z młodszych w jego ekipie, ale bardzo dobrze rokującym. W czasie, gdy Lama przebywał na przymusowym urlopie, to głównie na jego barkach spoczęła odpowiedzialność. Obecna sytuacja przedstawiała się krytycznie. Dwie osoby stały się ofiarami Ryglewicza, a techników brakowało już wcześniej.

– Wiem, nie martwię się o niego – powiedział Lama. – Udało się coś zdziałać z tymi nazwiskami od żony Ryglewicza?

– Pracujemy nad tym, ale to tykająca bomba. To nie nastolatki, tak jak ofiary Ryglewicza, a grube ryby. Nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak daleko to sięga.

– Daj mi chwilę! – rzucił do Gellerta.

Wzbraniał się przed dzieleniem się z nim wszystkimi informacjami, które były w jego posiadaniu, ale sytuacja przedstawiała się zdecydowanie inaczej, niż kiedy wydziałem rządził Broniecki. Kolejnych spraw przybywało, a zdecydowana większość nie została jeszcze wyjaśniona. Gellert mógł oddelegować zadania, była to przede wszystkim robota polegająca na gromadzeniu informacji.

– Proszę, to cię zainteresuje. – Położył na jego biurku teczkę, którą dostał kilka godzin temu od Samsona.

Gellert przejrzał pobieżnie, jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Skąd to masz?! Od kiedy to jest w twoich rękach?

– To była własność Michała Zamoyskiego, jego nazwisko również zostało podane przez Sylwię Danielewicz. Ciekawe,

prawda?

Czekał na kolejne pytania, które w tej chwili zapewne mnożyły się w głowie Gellerta. Tymczasowy szef Wydziału Śledczego nie wiedział o istnieniu Insight. Ta wiedza byłaby w tym przypadku pomocna. Nawet znalezienie w bazie Zamoyskiego byłoby pozbawione informacji o jego działalności zawodowej. Bazy danych zawarte w teczce były do tego stopnia szczegółowe, że nawet polskie służby wywiadowcze takimi nie dysponowały.

– Ale jak? – Gellert trzymał w ręce wyciąg z konta Ryglewicza, to mogło pchnąć śledztwo w zupełnie inną stronę.

– Powiedzmy, że mam swoich informatorów. – Miłosz nie chciał zrobić Samsona, wątpił, aby jego wizyta w domu Zamoyskiego była zgodna z prawem. – Mógłbym zachować to dla siebie, mimo to nie chcę działać za twoimi plecami.

Gellert aż się spocił z emocji.

– Jeżeli choć jeden przelew był od Danielewicza, mamy go w garści...

– Na to bym raczej nie liczył, wszystko jest zbyt dobrze przemyślane, żeby Anton popełnił tak szkolny błąd. Spójrz na to. –

Wyciągnął z teczki kilkustronicowy dokument dotyczący jego osoby. – To jest jego najlepsza broń. Wie o nas wszystko, a przynajmniej o mnie. Z jakiegoś powodu się mną zainteresował.

– Czekaj, bo się pogubiłem. – Gellert miał wypieki na twarzy. – Mówiłeś, że znalazłeś to w mieszkaniu Zamoyskiego...

– Nic takiego nie powiedziałem. – Lama nie chciał pozwolić na to, żeby Gellert przyswoił błędną informację.

– Rozumiem, po prostu stałeś się przypadkowym właścicielem – poprawił się. – Ale skoro to było u Zamoyskiego, to skąd wniosek, że Ryglewicz też to ma?

– Jest to dla mnie oczywiste, ale miałem na myśli

Danielewicza. To tylko przykład, jak wiele zna szczegółów. – Wskazał na teczkę.

Zadzwoił telefon, ale Gellert tylko podniósł słuchawkę i nie przykładając do ucha, odłożył, a raczej trzasnął nią.

– Znowu się pogubiłem. To własność Zamoyskiego, ale sugerujesz, że Danielewicz też miał do tego dostęp. Zatem co z Ryglewiczem?

Lama się uśmiechnął. Faktycznie można było się w tym pogubić.

– Możliwe, że też – powiedział asekuracyjnie. Na nim to już nie robiło takiego wrażenia, jak na Gellercie.

– Ale skąd?! Gdzie można dostać takie dane?!

Pytanie, na które nie ma dobrej odpowiedzi...

– Nie mam pojęcia, ale szukanie w tym przypadku źródła to tylko strata czasu. – Miłosz miał nadzieję, że Jan nigdy nie pozna prawdy. Wiedział, że kłamstwo nie jest rozwiązaniem.

– Czyli mam wnioskować, że oni wiedzą wszystko, a my dalej tkwimy w niewiedzy?! – Był poirytowany, co Lama potrafił zrozumieć. – Spójrz na to! – Wskazał na jeden z punktów w raporcie dotyczącym Goczałki. – Oni nawet wiedzą, jaki był twój przychód piętnaście lat temu!

Miłosz milczał. Chciał dać Gellertowi chwilę, aby oswoił się z tymi nowymi informacjami.

– Muszę powiedzieć coś jeszcze... – zaczął powoli Lama. Ostatecznie uznał, że lepiej wyłożyć karty na stół.

– Kolejne dowody, które postanowiłeś zachować dla siebie?!

Gellert był bardziej zdenerwowany aniżeli zły. Po prostu mu zależało, a na takie rewelacje czekał już od dawna.

– Raczej kolejny fakt, który postanowiłem wyjawić. Mam wrażenie, że nie doceniliśmy Ryglewicza...

– Bardziej tajemniczy być nie możesz?!– Telefon znowu zadzwonił, tym razem Gellert nie bawił się w podnoszenie słuchawki tylko odpiął kabel.

Lama przygryzł dolną wargę. Sam nie wiedział, jak ubrać to w słowa, aby zabrzmiało dobrze.

– Dostałem wiadomość od Ryglewicza. – Nie zamierzał udawać, że nie zna nadawcy. – Była to płyta...

– Dałeś do informatyków? – zapytał Gellert, ale już się chyba domyślał odpowiedzi.

– To był tak zwany reset, uruchomienie płyty zainicjowało proces niszczenia jakiejś bazy danych.

– Jakiejś... bazy... danych?!

W tej chwili żadne wyjaśnienia nie brzmiałyby dobrze, ale Goczałka zdążył już wszystko przemyśleć w trakcie rozmowy z Cybulskim.

– Musi istnieć kopia zapasowa, mam przypuszczenia, gdzie i kto może mnie do niej doprowadzić.

Tym kimś był Broniecki, akurat to była zła wiadomość, bo nigdy z Lamą za sobą nie przepadali, a były szef dochodzeniówki od czasu zabicia Komickiego się nie pokazał.

– Nie możesz działać za moimi plecami! Jesteśmy jedną drużyną czy nie? – zapytał Gellert. Właściwie miał powody, aby być zdenerwowanym zdecydowanie bardziej.

Drzwi biura bez zapowiedzi otworzył Darek Nogała. Był zdyszany.

– Dostaliśmy informację o znalezieniu jakiegoś ciała. Istnieje podejrzenie, że to związane z Danielewiczem.

Gellert dał znak Nogałemu, że przyjął informację do wiadomości. Jego skwaszona mina mówiła wszystko. Nawet wtedy, kiedy mogłoby się wydawać, że sprawa zaczyna się powoli stabilizować,

musiał nastąpić kolejny wstrząs.

– Idź! – rzucił do Lamy. – Jeszcze wrócimy do tej rozmowy. To, że tylko tymczasowo pełnię obowiązki, nie oznacza, że można mnie zwyczajnie pomijać.

W innych okolicznościach Miłosz by może poczekał chwilę, udobruchał Gellerta, który tak naprawdę niczym nie zawinił. Goczałka faktycznie był Lamą. Wielką, tłustą Lamą, która wyjada trawę z cudzych trawników, miele to wszystko w swojej gębie i pluje tak, jakby wszystkich miała głęboko w dupie. To nie była prawda, ale przez jego zachowanie ludzie, których naprawdę cenił, tacy jak Gellert, tak właśnie go spostrzegali.

Nie myślał o tym, z czym przyjdzie mu się zmierzyć, kto tym razem jest ofiarą i o jakie powiązanie z Danielewiczem chodzi. W tej chwili to wszystko było dla niego odległe. Myślał tylko o tym, żeby dogonić Darka Nogałę. Zobaczył młodszego funkcjonariusza na końcu korytarza i zaczął biec w jego stronę. Zatrzymał go przy drzwiach, złapał za kołnierz koszuli i przesunął do tyłu, aby ograniczyć możliwość pojawienia się świadków. Popatrzył mu prosto w oczy, Darek wyglądał na przerażonego, i dobrze. Goczałka zamachnął się i uderzył pięścią w brzuch Nogały, który zgiął się wpół z bólu.

– Wiesz za co – rzucił w jego stronę Lama. Miał cichą nadzieję, że ta pierdoła posikała się ze strachu.

* * *

Już powoli zaczynał rozumieć, na czym to wszystko polega. Patrzył przed siebie, zostawiał za sobą wszystko to, co czekało na rozwiązanie. Nie przejmował się w tej chwili tym, co powie Gellert, który wciąż tkwił w niewiedzy o istnieniu Insight. Nie interesował się konsekwencjami unieszkodliwienia Darka Nogały, przez co

pewnie będzie musiał składać wyjaśnienia u samego komendanta. Wizja powrotu do domu, do Ireny, która pewnie i tak zakończy się w jego garażu, z piwkiem w ręce, ewentualnie w towarzystwie Dagmary, była również na tyle odległa, że nie chciał zawracać sobie głowy. Lama był uparty, może nie spodziewali się, że trafią się na takiego przeciwnika, może myśleli, że pójdzie łatwo, jak zwykle. Ale on nie zamierzał się poddać, czuł się w swoim żywiole.

Wszedł ostrożnie do mieszkania, gdzie odnaleziono zwłoki trzydziestojednoletniej kobiety. Tylko on, Anton i Ryglewicz. No i jeszcze ona. Tuż za nim pojawiła się młoda dziewczyna, Alicja Dromek, która rozpoczęła ostatnio staż w komendzie. Cyjański bardzo ją chwalił, bo kiedy Miłosza nie było, musieli sobie wspólnie radzić z ogromem zadań. Dromek bardzo nalegała, aby przyjechać tutaj z Miłoszem, bardziej w aspekcie edukacyjnym. Ostatecznie Lama się zgodził, urzekł go sposób, w jaki na niego patrzyła. Trochę przypominała Dagmarę, miała urodę tej aktorki z *American Hustle*, której imienia Miłosz nie potrafił sobie przypomnieć. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie bardzo miłej, ale po kilku zamienionych z nią zdaniach nietrudno było zauważyć, że brakuje jej teoretycznej wiedzy, nie wspominając już o praktyce.

– Od czego zaczynamy? – zapytała go ochoczo.

„Ciekawe, czy wciąż będzie w tak dobrym humorze, jak zobaczy zwłoki ofiary?” – pomyślał Miłosz.

– Usiądź, proszę, albo najlepiej stój bez ruchu. Potrzebuję zupełnej ciszy – powiedział szeptem, przykładając palec wskazujący do ust.

– A jakbym miała jakieś pytania? – Po tonie jej głosu można było wywnioskować, że liczyła na coś innego.

– Zachowaj je dla siebie, pogadamy, jak już będzie po

wszystkim.

Chciała jeszcze coś dodać, ale Lama spojrzał na nią wymownie. Gdyby to była inna sprawa, chętnie wcieliłby się w rolę nauczyciela, ale sytuacja wymagała skupienia. Teraz trochę żałował, że nie zapytał w komendzie, skąd przypuszczenie, że ta śmierć jest powiązana z Antonem. Zupełnie inaczej się nastawił, ale bardziej szczegółowe informacje były wskazane. Może Dromek coś wiedziała, ale wyglądała na gadułę, więc nie chciał jej dać pola do popisu.

Postanowił w pierwszej kolejności zlokalizować ciało ofiary i ustanowić to miejsce jako punkt centralny siatki. Po drodze mogły pojawić się dowody, ślady pozostawione przez napastnika. Korytarz był jedyną racjonalną drogą ucieczki. Mieszkanie znajdowało się na siódmym piętrze, widoki z balkonu może i były ładne, ale wysokość nie pozwalała na skok czy spuszczenie się po linie. Danielewicz do tej pory nie pobrudził sobie rączek, miał ludzi od tego, żeby odwalali czarną robotę. Poza tym jeżeli nic nie zmieniło się od rana, wciąż przebywał w areszcie na Montelupich. Podobnie Ryglewicz, który zdążył już zdobyć uznanie Miłosza. Nie chodziło teraz o sam reset, to Lama musiał jeszcze na spokojnie przemyśleć, w tej chwili czuł się po prostu wykorzystany. Zakładając, że nie był to ani Anton, ani Tomasz, w grę musiał wchodzić jeszcze ktoś inny, do tej pory nieznany albo niezauważony. Była też możliwość, że Nogała się pomylił i żadnego powiązania obie sprawy nie miały.

Minął kuchnię, która połączona była z salonem. Mieszkanie wyglądało na nowe, niedawno oddane do użytku. Właścicielka jeszcze na dobre się nie wprowadziła, większość rzeczy była wciąż w pudłach, co potęgowało odczucie pustki. Kroki odbijały się echem od nagich, wybielonych ścian. Drzwi od sypialni były

uchylone. Dromek oczywiście go nie posłuchała i szła za nim do tego stopnia blisko, że czuł na szyi jej oddech. Nagle stażystka wydała okrzyk przerażenia. Na krystalicznie czystej pościeli leżała na wznak kobieta, około trzydziestki. W pierwszej chwili Lama pomyślał, że to Sylwia Danielewicz, miała podobne włosy. Podszedł ostrożnie bliżej, aby upewnić się, że to nie ona.

– Jest taka młoda... – powiedziała Dromek.

Miłosz nie wdawał się w dyskusję. Po pewnym czasie nauczył się dystansu, bez którego na dłuższą metę nie mógłby pracować. Prawda była taka, że na miejscu tej kobiety mógł być każdy inny, nawet on sam, chodziło o znalezienie odpowiedzi, jak do tego doszło, kim był sprawca, jaki mógł być motyw. Czysto techniczne podejście pozwalało normalnie żyć, wrócić do domu, udawać, że nic wielkiego się nie stało. Kolejny dzień w pracy. Może młoda stażystka pewnego dnia dojdzie do takiego samego stanu, ale nie życzył jej tego, bo znieczulica nie była czymś ludzkim.

Nie chciał ruszać ciała, skupił się przede wszystkim na zewnętrznych śladach. Najwięcej uwagi przyciągają zawsze rzeczy nietypowe, odbiegające od normy. Nie było widać żadnych ran, śladów pobicia. Ciało kobiety leżało na łóżku. Miała na sobie zwykłe dzinsy i marynarkę, jakby przed chwilą wróciła z pracy. Jej twarz była blada, ale gdyby nie fakt, że lekarz potwierdził zgon, Lama pomyślałby, że po prostu śpi. Do zdarzenia doszło prawdopodobnie około dwóch godziny wcześniej, bo ciało jeszcze było ciepłe.

Drobiazgowo zbadał pościel i ubrania, które denatka miała na sobie. Znalazł włos przy kołnierzu, który równie dobrze mógł pochodzić od niej, jej partnera lub kogoś z pracy. Zamknął oczy i wziął głęboki wdech.

– Co czujesz? – zapytał stażystkę.

– Słucham? – Chyba wciąż była w szoku albo w końcu dostosowała się do wytycznych Goczałki, bo stała grzecznie w kącie i nic nie mówiła. Raczej to pierwsze.

– Pytam, czy coś czujesz? Jakie zapachy rozpoznajesz?

– Zapach drewna.

Powstrzymał się od komentarza. Nie o to mu chodziło. Świeżo położone panele faktycznie mogły przyćmić inne odczucia, ale miały zerową wartość w kwestii zidentyfikowania sprawcy.

– Coś jeszcze?

– Jakiś zapach... chyba męski.

Lama wskazał na małą fiolkę, która stała na komodzie. Można było znaleźć takie w pierwszym lepszym sklepie, w dziale odświeżaczy powietrza.

– To jest ten męski zapach? – zapytał.

– Chyba tak...

Nie sądził, aby mężczyźni stosowali lawendowe perfumy, ale o gustach się nie dyskutuje.

– Jakaś woń z papierosów? – dopytywał dalej.

– Nie wiem.

– Tak na przyszłość... – Spojrzał w jej stronę. – ...wszystko jest lepsze niż przyznanie się do niewiedzy.

Czuł zapach potu, ubrania ofiary były przesiąknięte dymem. Ten pierwszy tłumaczyła sportowa torba, która leżała przy drzwiach balkonowych. Nie zdziwiłby się, gdyby leżąca na łóżku kobieta okazała się jakimś instruktorem fitness, miała wysportowaną sylwetkę – przechodząc przez korytarz, zauważył kilka tandetnych medali z turniejów pływackich. Woń papierosów mogła natomiast świadczyć o przebywaniu w towarzystwie palaczy. Wątpił, aby sprawca ryzykował palenie w jej obecności, poza tym sam zapach w tym przypadku o niczym nie świadczył.

Było jeszcze coś, czego nie potrafił zidentyfikować. Spotkał się z tym zapachem, ale w tej chwili nie potrafił sobie przypomnieć gdzie. Perfumy, ale inne niż te, które stały na pobliskiej półce.

– Sprawdź kuchnię i salon. Możliwe, że ofiara paliła. Zabezpiecz pety, każdy do osobnego woreczka. Bądź ostrożna, nie wiemy jeszcze, gdzie doszło do zabójstwa.

– Co jej się stało? – Dromek nie ruszyła się z miejsca.

– Czy zrozumiałaś moją komendę?

Tym razem już nic nie odpowiedziała. Lama był pewny, że to właśnie sypialnia była centrum – to właśnie tutaj doszło do zabójstwa. Chciał choć na chwilę pozbyć się stażystki, rzadko robił oględziny w towarzystwie, czuł się tym samym trochę skrępowany, kiedy każdy jego ruch był obserwowany. Nie chciał również, aby Dromek widziała to, co właśnie zamierzał zrobić. Rozchylił jej usta, które często stanowiły jedyną słuszną obronę. Odgryziona część ciała była najlepszym materiałem dowodowym, źródłem DNA, które trudno było obalić. Usta były często kluczem w sprawach o podłożu seksualnym. Odgryziony członek albo ślady nasienia doprowadziły już do zidentyfikowania niejednego gwałciciela. W tym przypadku jednak nic nie znalazł. Dopiero sekcja wykaże, czy był jakiś kontakt fizyczny, w tej chwili trudno było ocenić.

Sprawdził paznokcie i zebrał wszystko to, co się pod nimi znajdowało. Pytanie Dromek było adekwatne do sytuacji. Lama nie potrafił stwierdzić, co było przyczyną śmierci. Jego wzrok zatrzymał się na poduszce. Na białej poszewce odnalazł zabrudzenie, jakby odbite ślady makijażu. Wszystko dokładnie sfotografował, ostatecznie ściągnął poszewkę i włożył do papierowej torby.

Sprawca musiał być ostrożny. Znalazł się w tym mieszkaniu

w konkretnie określonym celu, w przeciwieństwie do Ryglewicza nie czekał, wykonał zadanie i wyszedł. Ofiara albo go znała, albo zastosował podstęp, nie było żadnych śladów włamania. Miłosz nie zauważył zasinienia w okolicach nadgarstków ani obrażeń, które wskazywałyby na szamotaninę i próbę ratowania się.

Osiedle było wyposażone w system monitoringu, raczej nie było mowy o wyłączeniu go, bo nie należał do systemu obsługiwanego przez miasto, nad którym Insight miał kontrolę. Policjanci sprawdzali okolicę, szukali potencjalnych świadków, ale nawet nie wiedzieli, kogo szukają. To mógł być każdy.

Sprawdził podłogę. Goczałka lubił panele, bo były materiałem miękkim, pozwalającym na odbicie się śladów. Przed jego przyjściem była już tutaj grupa szturmowa i lekarz. Policję zawiadomił sąsiad, który słyszał jakiś krzyk. To było na swój sposób podejrzane, bo wzywanie służb nie jest w takim przypadku czymś naturalnym, mając na uwadze znieczulicę społeczeństwa. Miał wrażenie, że jest w miejscu dobrze przemyślanej operacji. Ślady były, ale równie dobrze mogły być podstawione, aby zmylić policję. Kim była ta kobieta? Dlaczego straciła życie?

Usłyszał hałas i krzyk Dromer. Jakby szkło rozbiło się o podłogę. Przez ciało Lamy przeszedł zimny dreszcz. Czyżby potrafiła jakąś szklankę, a może coś się stało? Oddział szturmowy sprawdził całe mieszkanie, Gellert stwierdził, że jest czysto – nikogo nie ma. A co jeśli sprawca się ukrył? Nie miał przy sobie broni, nie pamiętał, kiedy ostatni raz z niej korzystał. Wybiegł na korytarz, poszukując stażystki. Zobaczył ją w salonie. Była w szoku, jej wzrok wyrażał przerażenie. Patrzyła na ścianę, która nie była w zasięgu jego wzroku. Pod nią leżało rozbite szkło.

– Co się stało? – zapytał.

Nic nie odpowiedziała. Podeszedł do niej, spodziewając się ujrzeć

kolejną ofiarę. Na ścianie widniał napis, nakreślony drukowanymi literami: LAMA. Czyli jednak ofiara była powiązana z Danielewiczem. Jego serce biło szybciej niż zwykle. Takie ukłucie, że znowu to ktoś inny rozdaje karty. Nie potrafił zidentyfikować substancji, którą ktoś pomalował ścianę. Nie była to krew, to by było zresztą zbyt prymitywne, bardziej przypominała brązową masę. Podeszedł bliżej i zidentyfikował zapach. Nie krył zdziwienia. Smród łajna.

Pół godziny później zakończył oględziny. To już nie było tylko zabójstwo, śmierć tej kobiety była wycelowana bezpośredniego w niego. Słowa Sylwii Danielewicz się potwierdziły, miał żałować tamtego przesłuchania. Nie zaatakowali jego, lecz ofiarą stała się niewinna osoba. Zrozumiał przekaz, właśnie miał miejsce punkt kulminacyjny, zakończenie następnego aktu, na którego scenariusz wciąż nie miał żadnego wpływu. I kolejna osoba, sprawca, który zastąpił Ryglewicza, i zrobił to godnie, znowu stawiając Lamie wyzwanie.

Wyszedł z mieszkania wściekły. Dromek chciała coś powiedzieć, ale nie dał jej okazji się odezwać.

– KIM ONA JEST?! – wypalił do Gellerta, który stał przy radiowozie i rozmawiał z innym policjantem.

– Małgorzata Strudzień – usłyszał odpowiedź. Nic mu to nie mówiło. – Była prokuratorką w ostatniej sprawie Danielewicza.

– Kurwa – przeklął, a to nie zdarzało mu się często.

Część trzecia

OPERACJA

2-4 marca

Punktem kulminacyjnym kieruje prawo przetrwania, brak reakcji pozostawia próżnię bez wyjaśnienia.

1

I znowu to samo. Ten stan, kiedy patrzy na swoją pupę i dochodzi do wniosku, że to coś więcej niż zwykle kobiece kształty, a raczej warstwa tłuszczu, której nie potrafi się pozbyć. W jej wieku przecież nie przystoi korzystać z bielizny wyszczuplającej, a obcisłe dzinsy uwierają jak przyciasny gorset, z tą różnicą, że przynajmniej nie ma problemu z oddychaniem. Kompleksy z czasem stawały się po prostu akceptowalnym faktem, ale mimo to zawsze zasypiała mając nadzieję, że następnego dnia będzie mogła włożyć na siebie mniejszy rozmiar.

Dagmara Goczałka wiedziała, że nie grzeszy urodą, a próby wmówienia sobie, że przecież wygląd nie jest najważniejszy, ostatecznie nie znalazły uzasadnienia. Było wcześniej, odzwyczaiła się od tak porannego wstawania, ale wypadało pojawić się na zajęciach, aby przynajmniej udawać, że jest się studentką prawa. Szła przez Planty, które nigdy nie robiły na niej wrażenia. Zwyczajnie jej spowszedniały, a o tej porze roku nie było tutaj nic, co mogłaby zdefiniować jako ładne. Promienie słońca przedzierały się przez gęste chmury. Zgodnie z prognozą pogody spodziewano się w najbliższy weekend obfitych deszczy. Już nie wiedziała, co lepsze, czy mrozy sięgające minus dwudziestu stopni, czy brodzenie w kałużach, kiedy miejska kanalizacja nie dawała sobie rady. Jej sceptycyzm zakładał, że na Wielkanoc znowu powróci zima. Taki kaprys, ale przecież pogoda też ma prawo do okresu. Równouprawienie.

Rozejrzała się dookoła. Czas, kiedy bała się wychodzić z domu,

już minął. Czuła się pewniej, ale trudno było mówić o spokoju. Nie dostawała już od niego SMS-ów, mejli i listów, ale miała przeczucie, że to jeszcze nie koniec. Ta sytuacja miała tylko jeden pozytyw – odnowiła swoje stare kontakty, potrzebowała znajomych, bała się chodzić sama, a ich obecność pozwalała czuć się bezpieczniej. Wspinała się po schodach Pałacu Larischa. Jak wszystko na tym wydziale, również to miejsce musiało mieć górnołotną nazwę. Każda aula miała swoje imię, odpowiednie brzmienie. Że niby jakiś prestiż, gdzie wiek uniwersytetu musi być podkreślany na każdym kroku. Nawet zwykły bar nie mógł nazywać się jak zwykły bar – musiał się nazywać Convivium.

Wciąż bezskutecznie próbowała skontaktować się z Szymonem, ale nie poddawała się. Chciała go znaleźć, chodziła do jego mieszkania, ale jej unikał. Rozumiała to, zachowywałyby się tak samo, ale mimo to chciała się wytłumaczyć i w końcu przedstawić prawdę, która w jej mniemaniu wiele zmieniała.

Powodem był Darek Nogała, człowiek, którego znienawidziła, który zniszczył wszystko, co miała, przede wszystkim związek z Szymonem i poczucie bezpieczeństwa. W styczniu miała praktyki na Komendzie Wojewódzkiej w Krakowie, głównie za sprawą ojca. Właśnie tam poznała Nogałę, który wyciągnął do niej pomocną dłoń, gdy czegoś nie wiedziała, stanowił jedyne towarzystwo, bo starsi wiekiem funkcjonariusze w ogóle nie mieli pojęcia o jej obecności.

To był już tak naprawdę koniec praktyki, kiedy Nogała zaczął się dziwnie zachowywać, wręcz napastliwie. Obserwował ją, wiedział o Milewskim, znał jej numer telefonu, choć nigdy mu go nie podawała. Wysyłał do niej dziwne wiadomości, które sugerowały, że są razem. Nigdy nie dawała mu żadnych nadziei, tak naprawdę się nie znali, nie rozumiała sytuacji. Powiedziała

mu, co o tym wszystkim sądzi, wtedy wszystko się zaczęło. Śledził ją, zaczęły się żądania, groźby, że ma skończyć znajomość z Szymonem. Nie miała pojęcia, do czego jest zdolny, czuła się napastowana, a zarazem bezsilna, bo nie wiedziała, co mogłaby z tym zrobić.

Za każdym razem, gdy chciała powiedzieć o tym Szymonowi, otrzymywała od Darka wiadomości, bardzo wulgarne. Paradoksalne byłoby zawiadomienie policji, skoro Nogała sam był policjantem. Kiedy chciała się spotkać z Milewskim, powstrzymał ją, stanął na drodze, napluł jej w twarz i nazwał tanią dziwką. Zachowywał się tak, jakby Dagmara była jego dziewczyną, a raczej jego własną suką. Zdominował ją, opanował strachem oraz obawą.

Czuła się obserwowana na każdym kroku. To nie chodziło tylko o śledzenie. Nogała znał jej plan zajęć, treść wiadomości SMS, wiedział, co robiła z Milewskim, czy razem spali, czy dotykał jej piersi, jakie miała na sobie majtki. Sądziła, że Nogała nie da jej spokoju, dopóki nie zerwie z Milewskim. Długo się wzbraniała, wiedziała, że to chore, oszukiwała się, że może Szymon zrozumie. Nie chciała, żeby mu się stała krzywda. Zadurzyła się w nim, chciała być z nim, z nikim innym.

Miarka się przebrała, kiedy Milewski został napadnięty, dobrze wiedziała, czyja to sprawka. Nogała musiał usłyszeć rozmowę. Specjalnie umówiła się z Szymonem w krótkim odstępie czasu, żeby Darek nie mógł przeszkodzić w spotkaniu. Niestety się nie udało.

Powiedziała o wszystkim ojcu, dawno nie widziała go tak wkurzonego. Obiecał, że zajmie się tym, a od dwóch dni nie dostała od Nogały żadnej wiadomości. Cała sytuacja miała jednak wpływ na jej psychikę. Naprawdę się bała, że go znów zobaczy. Zniszczył ją. Nie знаła powodu, dla którego to robił. Nigdy tego nie

zrozumie. Czuła niechęć do policji, nie wiedziała, komu może zaufać. Odczuwała wszechogarniający lęk, który paraliżował jej myśli.

Czytała wcześniej o stalkerach, błędnie sądziła, że to wyłącznie wymysł popkultury, wynik słabego charakteru. Dopiero teraz zrozumiała, czym jest ten obezwładniający strach, który tłamsi w zarodkach wszelkie próby przeciwstawienia się. Otoczenie staje się wrogiem numer jeden.

– Jak mnie zapyta, to zgłaszam nieprzygotowanie... –
Usłyszała rozmowę studentów, którzy czekali pod drzwiami sali ćwiczeń.

Dagmara usiadła możliwie najdalej od nich. Nie widziała nikogo znajomego, a nie miała ochoty rozmawiać na temat prawa i zbliżających się zajęć z postępowania administracyjnego. Sesja zimowa była już przeszłością. Była z siebie dumna, że udało się jej zdać aż cztery egzaminy. Mając na uwadze wszystko, co działo się w styczniu, faktycznie to było osiągnięcie. Trochę się różniła od rówieśników, którzy po zdaniu na pierwszym roku logiki i powszechnej historii prawa przypisali sobie tytuł prawnika, zaczęli nosić koszule, a dzięki zaoszczędzonym pieniądząm stali się właścicielami kolekcji kodeksów, które rok później się zdezaktualizowały. Nie czuła potrzeby jeżdżenia na niezliczone konferencje i pisanie artykułów na tematy, o których nie miała zielonego pojęcia. Rok temu brała udział w zajęciach z prawa pracy, bez pomyślunku zgłosiła się do napisania jakiegoś referatu, wtedy uświadomiła sobie, że artykuł w slangu prawniczym oznacza co innego aniżeli artykuły, które przywykła czytać na Pudelku. Jak się dowiedziała, że oczekuje się od niej napisania ponad dwudziestu dwóch stron tekstu, doszła do wniosku, że nie ma sensu wybijać się z tłumu.

– Cześć, Daga – powiedział Krzysiek. Widziała go ostatni raz w trakcie sekcji zwłok, o której wolałaby zapomnieć. – Nauczona?

– Raczej nie, zresztą on zadaje takie pytania, że nawet nauka nic by nie dała.

– Staralem się ogarnąć ten kodeks, ale chyba nie czaję zamysłu jego twórców.

– Przynajmniej go otworzyłeś. – Spojrzała na swój. Kupiła go pół godziny temu, bo doszła do wniosku, że rozpoczęcie kolejnego semestru to najwyższy czas.

– Jak ferie?

Chciała zapytać, co to takiego. Zawsze zazdrościła wszystkim, którzy wyjeżdżali na narty. Znając swoje szczęście do sportów, pewnie złamałaby obie nogi przy pierwszym zjeździe, ale w tym wszystkim chyba nie tylko o to chodziło.

– Bywało lepiej...

Nie zdążyła dokończyć, bo w korytarzu pojawił się doktor, który prowadził ćwiczenia. Szedł szybko, na jego twarzy gościł delikatny uśmiech, działający niczym magnes na studentki, które skrycie się w nim podkochiwały. Daga nigdy nie gustowała w starszych, choć taki doktor był świetną partią. Zerknęła kontrolnie na jego skarpetki. Z każdym prowadzącym związane były na wydziale pewne mity. W tym przypadku chodziło o dopasowanie koloru skarpetek i koszuli. Taki hipsterski maoizm.

Usiadła przy samej ścianie, aby ukryć się za innymi. Wyciągnęła swoje notatki z ostatnich zajęć. Powinna dostać złoty medal od Greenpeace, bo co jak co, ale papier wydatkowała bardzo oszczędnie.

Rozpoczęło się odczytywanie listy obecnych, przynajmniej kolejne pięć minut spokoju. Nie miałyby do tego cierpliwości na miejscu prowadzących. Wątpiła, żeby zarabiali krocie, w dodatku

musieli się użerać ze studentami, którzy niejednokrotnie przychodzili na zajęcia skacowani, a przygotowani do zajęć byli tylko nieliczni – ona do nich na pewno nie należała.

Nastąpiła głucha cisza. Fajnie, że będąc na czwartym roku studiów można poczuć się, jakby wciąż się było w liceum. Takie odpytywania nie należały na tym wydziale do częstej praktyki. Sama nie wiedziała, dlaczego w ogóle zapisała się do tej grupy, słyszała legendy o tym doktorze. Może chciała się dowartościować? Przynajmniej tutaj oceniano jej wiedzę, a nie dużą pupę.

– Krzysztof Zieliński – doktor wyczytał nazwisko.

Daga spojrzała na kumpla, który siedział tuż obok. Kolor jego twarzy sugerował zatrucie pokarmowe. Zielony odcień świetnie spasałoby z kolorem ściany jej pokoju.

– Nieprzygotowanie poproszę – powiedział tak cicho, że nawet Dagmara ledwo dosłyszała.

W przeciwieństwie do liceum, w tym przypadku nieprzygotowanie oznaczało po prostu dwóję.

– Czy pan się stresuje? – zapytał prowadzący.

– Tak, troszkę... – Odpowiedź Krzyśka rozbawiła kilka osób, ale jemu chyba nie było do śmiechu.

– Czy ja jestem straszny? – Doktor wstał, na jego twarzy wciąż gościł ten tajemniczy uśmiech.

Na miejscu Krzyśka nie wdawałaby się w tę dyskusję, ale wypadało coś odpowiedzieć.

– Odmawiam odpowiedzi na pytanie...

– Na jakiej podstawie? – Rozmowa bardziej przypominała dialog z telenoweli, ale atmosfera przynajmniej się rozluźniła.

– Bo to pytanie... sugerujące.

– Dam już panu spokój. – Doktor wrócił za biurko. – Proszę panować nad tym stresem, bo będzie pan miał w życiu jeszcze

niejedną podobną sytuację. – Znowu rozpoczęła się wyliczanka. Miała przecucie, że wkrótce usłyszy swoje imię. – Dagmara Goczałka. – Nie pomyliła się.

– Tak? – zapytała, zdziwiona, jakby doszło do jakiejś pomyłki.

– Natknąłem się na wzmiankę o pani ojcu – powiedział przeciągle prowadzący, co zupełnie ją zaskoczyło. – Zastanawiałem się, jak to wygląda. Technik kryminalistyki, tak?

Już chyba wołała, żeby pytał ją z wiedzy kodeksowej.

– Tak to można podsumować. – Nie wiedziała, co innego może odpowiedzieć.

– A co jak nic nie znajdzie?

Spodziewała się po doktorze innej jakości dedukcji. Wszyscy zgromadzeni w sali patrzyli na nią zdziwieni.

– No nie wiem. Domyślam się, że wtedy wychodzi bez zebranych śladów. – Może i miała blond włosy, ale tak na chłopski rozum taki wniosek był jedynym zasadnym.

– Jest pani przygotowana do zajęć?

– Eee... – Już zaczęła żyć nadzieją, że ominie ją ta wątpliwa przyjemność.

– Przed chwilą mówiła pani trochę bardziej składnie.

– Spróbuję. – Tak naprawdę nie miała nic do stracenia. Szczerze wątpiła, aby za tydzień coś się zmieniło odnośnie do stanu jej wiedzy.

– Proszę mi w takim razie podać przesłanki z artykułu dziewięćdziesiąt siedem, paragraf jeden.

– Którego kodeksu? – Starła się zyskać na czasie.

– Jedyne słusznego – usłyszała w odpowiedzi.

Myliła się. Jednak wołałaby odpowiadać na pytania dotyczące warsztatu pracy jej ojca.



– Coś nie tak? – Kotarska usiadła naprzeciwko Wacława Argonika, jej lekarza prowadzącego.

– Wyniki są bardzo dobre, zdecydowanie lepsze niż jeszcze dwa tygodnie temu. Znacznie się poprawiło – odpowiedział, zerkając na dokumentację z przeprowadzonych badań.

– Pamięć nie powróciła...

– Tak jak już mówiłem, nie ma gwarancji. Była pani naprawdę w ciężkim stanie, uderzenie w głowę mogło skończyć się zdecydowanie gorzej.

– Wciąż mam mdłości i czuję się słabo.

Była poirytowana. W innych okolicznościach pewnie by się na to nie skarżyła. Wizja kolejnych badań nie brzmiała dobrze, nie czerpała przyjemności ze spędzania czasu w szpitalu. Chodziło w tej chwili tylko o jej kondycję psychiczną, bo rozumiała, że w ciągu kilku dni nie wróci do formy sprzed wypadku, ale miała wrażenie, że nic się nie poprawia.

Argonik głośno wypuścił powietrze. Pewnie w latach młodości miał ciężko ze zdrobnieniem swojego imienia, Wacek.

– Mam dla pani jeszcze jedną informację...

– Mogę wrócić do pracy? – zapytała z nadzieją.

Przedwczoraj złożyła wyjaśnienia przed komisją dyscyplinarną. Tak naprawdę była to jedynie informacja, że nic nie pamięta. Z tego, co słyszała, Hałycki wstawił się za nią i wkrótce miały jej zostać przywrócone uprawnienia.

– Mając na uwadze pani stan zdrowia, nie widzę żadnych przeciwwskazań, ale sugeruję jeszcze kilka tygodni rekonwalescencji. Zależy od pani sił, ale obawiam się, że długo to nie potrwa.

– Nie rozumiem...

Podał jej kopertę. Były tam wyniki badań, ale nie potrafiła się rozeznaczyć, co one oznaczają.

– Wiem, że to może być dla pani szok. Przyznam szczerze, że pierwszy raz spotkałem się z takim przypadkiem.

Była bliska wybuchu płaczu. Ten wstęp nie brzmiał dobrze.

– Proszę się ze mną nie droczyć, tylko powiedziec, o co chodzi!

– Jest pani w ciąży.

Zaczęła się śmiać. Argonik powiedział to tak poważnie, że już prawie uwierzyła w te słowa.

– Proszę sobie nie żartować. O co chodzi?! – zapytała po raz kolejny.

Miała nadzieję, że doktor zaraz się uśmiechnie, wskaże ukrytą kamerę i przeprosi za niepotrzebny stres. Ale on wciąż był poważny. Patrzył na nią uważnie, wyglądał na zmartwionego.

– Możliwe, że do zapłodnienia doszło na krótko przed tym wypadkiem. Przy tak poważnych urazach, które prowadzą do śpiączki, płód z zasady ma niewielką szansę, aby przetrwać. W tym przypadku było inaczej.

– To nie może być prawda! – Przypomniały się jej słowa Adama, że przez cały styczeń byli pokłóceni. Wciąż miała nadzieję, że to jakaś pomyłka.

– Nie wiem, co powiedziec... Nie znam pani sytuacji, ale myślę, że pani mąż się ucieszy.

Jak bardzo Argonik się mylił... Potrzebowała powietrza. Przez ostatnie dni miała mdłości i wymiotowała. Okres jej się spóźniał, ale myślała, że to efekt śpiączki.

– Co mi pan radzi? – zapytała po dłuższej chwili milczenia.

– Przede wszystkim skontaktować się z ginekologiem, skieruje on panią na bardziej szczegółowe badania. Nie czuję się upoważniony, aby stwierdzić, czy płód nie jest zagrożony.

– Ale jest pan pewny swoich słów, tak? Jestem w ciąży?

Był chyba kiedyś taki film, nie pamiętała tytułu. Kobieta była w ciąży, zdarzył się wypadek, podtrzymywano ją przy życiu aż do narodzin dziecka. Śmiała się wtedy z wyobraźni scenarzystów, nie potrafiła sobie wyobrazić podobnej sytuacji w realnym świecie. Teraz to ją spotkała podobna historia.

– Przekazałem pani tylko wyniki badań. Można je oczywiście powtórzyć, ale moim zdaniem nie jest to konieczne.

Nagle wstała. Podziękowała pośpiesznie, wyszła ze szpitala i usiadła na ławce przed izbą przyjęć. Nigdy nie paliła, ale teraz miała ochotę sięgnąć po papierosa. Ale zakładając, że faktycznie jest w ciąży – nie mogła. Chętnie sięgnęłaby po coś mocniejszego – też nie mogła. Wydawało się jej, że z zasady kobiety cieszą się, że będą miały dziecko, dla niej to była katastrofa. Po pierwsze nie wiedziała, kto był ojcem, wykluczała Adama. Dzwoniła nawet do Goczałki, żeby uzyskać dostęp do protokołu przeszukania mieszkania Różyckiego. Pytała lekarza o obrażenia. Nie doszło tam do zbliżenia cielesnego, nie została zgwałcona, nie było śladu po stosunku.

Swego czasu brała tabletki, po jakimś czasie zaprzestała, zmuszając męża do korzystania z prezerwatyw. Nie była już młoda, tak naprawdę nigdy nie myślała o dzieciach, w nielicznych rozmowach z Adamem ten temat w ogóle się nie pojawiał.

Nieuchronnie pojawiły się myśli o aborcji. Zakładając, że ojciec był jej nieznanym, musiała zdradzić męża, co uważała za coś nie do przyjęcia. Jak mogła mieć pretensje do Adama, skoro wcale nie była lepsza. Teraz to ona miała robić obiadki oraz herbatki z miodem i cytryną? Jak miała mu o tym powiedzieć? Kotarska nie była zbyt religijna, nie miała jakichś dylematów o podłożu etycznym. Ale chodziło jednak o dziecko, jej dziecko. Ta prawda

jeszcze do niej nie docierała.

Wyciągnęła telefon i wykręciła numer Mileny, swojej siostry. Miała z nią bardzo sporadyczny kontakt, nie czerpała przyjemności z przebywania w jej towarzystwie. Zawsze bardzo się różniły. Milena była tą dobrą córeczką, która nigdy nie sprawiała problemów i miała najlepsze oceny. Edyta była dwa lata młodsza i zawsze pozostawała w jej cieniu. Próbowała jej dorównać, ale widocznie zabrakło inteligencji albo to była kwestia innego towarzystwa. Nigdy się nie rozumiały, dlatego telefon do Mileny był zawsze czymś ostatecznym, nawet po śmierci rodziców, kiedy siostra stała się po Adamie najbliższą jej osobą.

Tak naprawdę to Kotarska nie miała do kogo zadzwonić. Kontakt ze znajomymi ze studiów się urwał, w pracy miała do czynienia tylko z zapatrzonymi w siebie durniami, którzy traktowali ją jak zło konieczne. Przyjacieli? Miała trzydzieści cztery lata, ale chyba wciąż nie poznała osoby, która pasowałaby do tego określenia. Zawiodła się na tych, którzy byli jej bliscy. Kiedy zbyt mocno się angażowała, dochodziło do jakiegoś incydentu – bliski kolega wyznawał jej miłość albo dowiadywała się, że jej znajoma obgaduje ją za plecami. Takie zdarzenia zmieniały wszystko i już nigdy nie było tak samo.

– Cześć, siostrzyczko – powiedziała, słysząc Milenę. Edyta nie poznała swojego głosu.

– Co się stało, że dzwonicz o tej porze? – Siostra wydawała się zdziwiona.

Zwykle to Milena dzwoniła do Edyty. Były dwa powody. Siostra Kotarskiej była starsza, więc bardziej poczuwała się do obowiązku utrzymywania kontaktu. Drugi powód, który wydawał się ważniejszy – Milena wciąż była panną. Była bardzo towarzyska, miała mnóstwo znajomych, ale nigdy nie poznała tego jednego.

Może to była kwestia urody, a raczej braku umiejętnego wykorzystania swoich walorów. Swego czasu Edyta miała nawet przeczucie, że jej siostra jest lesbijką. Ta konkluzja wynikała przede wszystkim ze sposobu zachowania i ubioru – Milena była bardziej męska niż większość facetów mijanych na ulicy, a z każdym kolejnym rokiem Kotarska zauważała, że z siostrą jest coraz gorzej. Trzydzieści sześć lat nie było niczym nadzwyczajnym, coraz więcej było singli w tym wieku, ale nie wróżyła jej nagłej zmiany sytuacji i pojawienia się księcia z bajki, chyba że takiego w spodniach rurkach, z kolczykiem w uchu i toną żelu na włosach, który po jakimś czasie wyjawi, że jest gejem. A tego jej nie życzyła.

– Jestem w ciąży – powiedziała prosto z mostu.

– Już myślałam, że coś się stało, ale widzę, że humor dopisuje – usłyszała w odpowiedzi.

– Ja nie żartuję. Właśnie wracam od lekarza.

– No to szybcy jesteście. Dopiero co wróciłaś do świata żywych, a tutaj już dzidziuś...

– Nie rozumiesz. To się stało jeszcze przed wypadkiem! – Mówiła przez łzy.

– O cholera! Adam już wie?

– Spotykałyśmy się w styczniu? Mówiłam ci coś?

– Tak jak już ci wspominałam, za każdym razem, jak dzwoniłam, zbywałaś mnie swoją pracą. Skontaktowałaś się ze mną w końcu przed wypadkiem, chciałaś się spotkać, opowiadałaś, że jedziesz na kolację z Adamem.

– On nie może się o tym dowiedzieć...

– Nie żartuj, przecież na pewno się ucieszy. – Te słowa tylko upewniły Kotarską, że jej siostra nic nie wie.

– Musimy się zobaczyć. – Nigdy wcześniej nie czuła tak wielkiej potrzeby spotkania z siostrą.

– Powiesz mi, co się dzieje czy nie? Brzmisz, jakbyś zobaczyła ducha.

Edyta nie mogła w to uwierzyć, ale nie chciała o tym rozmawiać przez telefon.

– Adam nie może się dowiedzieć...

– Edzia... – Nie cierpiała, gdy Milena się do niej tak zwracała.

– Reagujesz pod wpływem chwili. Przecież wszystko się ułoży, a Adam zrozumie. Zresztą wkrótce będzie widać pierwsze znaki i już tego nie ukryjesz.

– Milena! Chodzi tylko o to...

– Nie krzycz na mnie. Rozumiem, że jesteś podenerwowana... –

I znowu ten drażniący ton rodzica, którego Kotarska miała już dość.

– Więc daj mi wreszcie dokończyć! Adam nie jest ojcem tego dziecka!

– CO?! Więc kto?

– Tak bardzo chciałabym to wiedzieć...

* * *

– Jak się czujesz jako dziadek? – zapytał Markiewicza premier.

– Tadek rośnie jak na drożdżach. Pocieszny – odpowiedział.

W ostatnich dniach każda rozmowa rozpoczynała się tak samo. Był zmęczony. Wieczór spędzili z Marią przy wnuczku, wrócili dość późno, a jej znowu zachciało się eksperymentów łóżkowych z viagrą w roli głównej. Tym razem przystał na jej sugestie, poszedł spać przed czwartą, bo to coś nie pozwalało mu zasnąć. Teraz czuł się jak warzywo po nawożeniu, które zostało zmuszone do owocowania, choć ani wiek, ani pora roku temu nie sprzyjały.

– Muszę iść na pogrzeb metropolity. Aż wstyd, że nie miałem okazji nigdy go poznać.

– Nie możesz kogoś wysłać? Brakuje ci ludzi?

– Paszkowski sugeruje, że muszę poprawić swoje relacje z Kościołem.

– Dobrze wiesz, że już za dużo się wydarzyło. Polska jest jaka jest. Ktoś, kto nie jest katolikiem, to jest lewakiem. Automatycznie połowa wyborców będzie cię nienawidzić, bo odważyłeś się przyznać do laictwa. Pójdiesz na pogrzeb metropolity, to wszyscy pomyślą, że to tylko kampania wyborcza.

Markiewicz nie przepadał za Paszkowskim, który pełnił rolę podobną do jego, choć bardziej zajmował się samym wizerunkiem, sposobem ubierania, mową ciała i doborem słów. Brakowało w tym wszystkim merytoryki i przyszłościowej strategii.

– Mogę się z tobą zgodzić – powiedział Janiszewski. – To zdecydowanie nie mój świat, z drugiej strony taki pogrzeb to coś więcej aniżeli tylko kościelny obrządek.

– Będzie dużo księży, którzy zdążyli cię zniechęcić za niektóre wystąpienia.

– Przynajmniej mali chłopcy zaznają choć chwili szczęścia.

Tadeusz zamrugał oczami, aby upewnić się, czy to, co usłyszał, nie jest przypadkiem snem. Gdyby te słowa przedostały się do szerszego grona odbiorców, Janiszewski byłby skończony, podobnie jak cały jego rząd.

– To nie jest poprawne politycznie – podsumował.

– A nie mam racji? Dobrze wiesz, że to, co dzieje się w Kościele, już dawno wymknęło się spod kontroli. Księża też są ludźmi, mają prawo popełniać błędy, ale my niekoniecznie musimy to akceptować. Prawda?

Markiewicz podniósł ręce do góry w geście kapitulacji.

– Po prostu zważaj na to, co mówisz, bo zniszczysz karierę nie tylko sobie. Przy takich zarzutach wypadałoby mieć jeszcze jakieś

argumenty.

– Nie mam ich?

Tadeusz miał wrażenie, że Janiszewski ma jakieś klapki na oczach. Wątpił, aby Paszkowski miał na niego taki wpływ. Raczej chodziło o czas, który minął od wygrania przez jego partię wyborów. Nowy premier poczuł się pewniej, a z zasady nic dobrego z tego nie wynikało.

– Mniejsza o to. – Markiewicz nie chciał wdawać się w tę dyskusję. – Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać?

– Dobrze wiesz dlaczego. Wprowadziłeś mnie w temat Insight i nagle wszystko ucichło. Co się dzieje?

– Nie miałem do tego ostatnio głowy. – Ta wymówka brzmiała racjonalnie, mając na względzie fakt, że został dziadkiem. – Nie można postępować w tej kwestii pochopnie.

– Nowiński kontaktował się ze mną i narzekał, że wciąż nie masz czasu się z nim spotkać.

– Bo to prawda. – Nie lubił, gdy coś wmykało mu się spod kontroli. Skarżypytwo jak w przedszkolu.

– Czyżby? Bo wydaje mi się, że po prostu z nim pogrywasz.

Musiał uważać, Nowiński z premierem kumplowali się od dawnych lat. Szef ABW był kolejnym pionkiem, który posadę otrzymał po znajomości. Działo to na prostej zasadzie, że dopóki wykonywał zalecenia, był bezpieczny. Jeden zły ruch mógł zakończyć jego „przełomową” karierę.

– Grajmy w otwarte karty – zaczął Markiewicz. Takie teksty zawsze stanowiły dobre wprowadzenie, podobnie jak „nie oszukujmy się” albo „będę z tobą szczery”. – Przemyślałem twoje propozycje rozwiązania sprawy Insight. Nie przespałem ostatniego tygodnia. Przeanalizowałem sytuację naszych służb i obawiam się, że nie są przygotowane na przejęcie tych obowiązków.

– Czyżby?

Można było wyczuć pewne napięcie w tej rozmowie. Do tej pory Markiewicz zawsze siedział cicho, doradzał kolejne kroki, ale jeśli sprawy przybierały inny bieg, nigdy nie miał pretensji. W tym przypadku chodziło o coś ważniejszego.

– Jak ty to widzisz? Powiedziałeś Nowińskiemu o Insight i jak zareagował?

– Wkurzył się, że nikt nie pofatygował się, by go o tym poinformować.

– No właśnie... – Tadeusz wykazał to, na czym mu zależało.

– Sądzisz, że nie miał ku temu powodów?

– Zrozum... Tutaj wszystko opiera się na tym, co kto może. Przy Nowińskim można wszystko sprowadzić do poziomu piaskownicy, gdzie w trakcie zabawy inne dziecko zabrało mu łopatkę, więc się obraził. Są rzeczy ważniejsze, trzeba mieć odpowiedni dystans. Skoro wszyscy działamy dla Polski, zważmy na to, co faktycznie jest ważne.

– Ale kto powiedział, że Nowiński czuje się obrażony?

– Ty. – Skierował palec na Janiszewskiego. Było to może aż nazbyt ofensywne, ale chodziło o efekt.

– Nie wiem, skąd ta twoja niechęć do służb. Dobrze wiesz, że nie ma innego rozwiązania. Nie pozostawię Insight w aktualnej formie. Jeżeli dobrze pamiętam, w tej kwestii byliśmy zgodni.

– Nowiński to buc...

– Licz się ze słowami. – Janiszewski nie dał mu dokończyć.

– I tak skorzystałem z delikatnej wersji.

– Nie dogadamy się, chyba pomyliłem się co do ciebie. – Premier przez cały czas nerwowo stukał swoim piórem w blat biurka.

Markiewicz wiedział, że z tych słów nic nie wynika.

Janiszewski mógł się z nim nie zgadzać, ale łączyła ich specyficzna relacja, którą trudno byłoby, ot tak, zerwać.

– Znalazłem kompromis, sądzę, że będzie dla ciebie do zaakceptowania – powiedział spokojnie, co kontrastowało z wojowniczym tonem premiera. W walce z potężniejszym wrogiem wygranie małych bitew też ma znaczenie.

– Wyczuwam „ale”...

– Żeby było jasne, za długo w tym wszystkim siedzę, abym mógł się wciąż oszukiwać, że można dogodzić wszystkim. Nowiński nie będzie zadowolony.

– Czyli chcesz pominąć w przemianie Insight ABW, dobrze rozumiem?

– To już zaczyna robić się nudne. Nie twórzmy niepotrzebnych problemów, mamy już ich wystarczająco dużo. Służby nie mogą przejąć zadań Insight, bo to zakładałoby przerwę w funkcjonowaniu.

– Ten cały Jansen ma dalej mieć monopol?!

– Nie zachowuj się jak Nowiński. – Wiedział, że to uderzy go bardziej niż wyzwiska. – Znowu rozchodzi się o to, że chcesz mieć nad czymś władzę. Właśnie dlatego powierzyliśmy to osobie trzeciej, aby wykluczyć naciski polityczne. Nie poznałeś jeszcze Jansena, to człowiek, który poświęca się sprawie, nie patrzy na swoją pracę w kategoriach materialnych...

– Ale przy okazji zarabia cztery razy więcej niż my razem wzięci. – Janiszewski chyba nie był chętny, żeby słuchać wyjaśnień Tadeusza.

Gdyby Markiewicz miał być dokładny, należałoby sprostować informację o zarobkach. Nawet mnożnik cztery nie był wystarczający. Rozmowa z premierem wyglądałaby inaczej, gdyby wiedział o martwych pracownikach Insight.

– Mogę się z nim dogadać, nie naciskam na to, aby na siłę Jansen zatrzymał swoją posadę. Kontaktowałem się już z pozostałymi członkami zarządu, orientowałem się, kto mógłby go zastąpić...

– Wytlumacz mi jedno, bo nie rozumiem... Kiedy widzieliśmy się ostatnio, obiecałeś się tym wszystkim zająć, zgodziłeś się na pomysł włączenia w to wszystko służb. Co takiego się stało, że nie poczyniłeś żadnego kroku w tym kierunku, a zacząłeś rozgrywać to po swojemu? – Jego ton głosu zelżał, czego wbrew pozorom Markiewicz nie mógł uznać za dobry znak.

– Przede wszystkim trzymajmy się faktów. Powiedziałem tylko, że się postaram. Moja praca polega na analizie i doradzaniu, nie na tworzeniu polityki i utrudnianiu ci pracy.

– A mimo wszystko to robisz...

– Chcę ci pomóc. Chodzi o perspektywę. Nie działaj emocjonalnie, bo...

– Bo co?! Nie uspokajaj mnie! Ufałem ci, teraz się okazuje, że działasz za moimi plecami! Co jeszcze przede mną ukryłeś?!

– Decyzja i tak należy do ciebie.

Markiewicz do tej pory nigdy nie żałował, że jego praca ogranicza się do doradzania. Bał się jednak tego, co znajduje się w głowie Janiszewskiego. Bał się następstw jego nieodpowiedzialnych decyzji. Bał się... W tej chwili już nie chodziło o jego posadę, nie czerpał przyjemności ze współpracy z ludźmi, którzy nie potrafią myśleć racjonalnie i przyznać się do tego, że się mylą. Tadeusz myślał, że przez ostatnie lata nabrał już dystansu. Spełniało się młodzieżowe powiedzonko: „Miej wyjebane, a będzie ci dane”. Usłyszał te słowa kiedyś od Henryka, wtedy go wyśmiał, ale teraz miał ochotę się pod tym podpisać.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie może dojść do przerwy

w funkcjonowaniu Insight? – Premier patrzył na niego wymownie.

– Sposób, w jaki Insight został zbudowany, miał jeden podstawowy cel: strzec danych przed polityką i potencjalnymi atakami osób trzecich. Jakakolwiek destabilizacja jest jak pozbawienie Insight pancerza ochronnego. Domyślam się, że jest wielu takich, którzy chcieliby wykorzystać zawartość tych baz.

– Cały czas podnosisz argument bezpieczeństwa. Zauważ, że gdyby wszystko było w porządku, pewnie w ogóle bym się o tym nie dowiedział.

– Zgadzam się. Ale są inne, bardziej racjonalne sposoby rozwiązania sytuacji aniżeli zlikwidowanie Insight. Pomyśl o pracownikach. To najlepsi specjaliści, wykwalifikowani, doświadczeni. Co ma się z nimi stać? Proszę myśleć całościowo.

– Zatrudnimy ich.

– Nigdy nie zechcą pracować dla państwa. Nie znam innych osób, które do tego stopnia ceniłyby swoją niezależność. Mają wykonywać zalecenia przełożonych? To nie ta liga.

– Jednak zgodzili się pracować dla Insight.

Markiewicz nie chciał podnosić argumentu finansowego. Wątpił, aby w służbach zarabiali godziwą część tego, co obecnie. Generalizując, budżet służb był przynajmniej częściowo jawny, takimi kwestiami w przypadku Insight nie musieli się przejmować.

– Bo to było dla nich wyzwanie. Musieli temu sprostać, od podstaw. To oni są ojcami tego systemu. Nikt im nic nie kazał, każdy robił po swojemu. To indywidualiści, zależy im na poważaniu, ale przede wszystkim we własnych kręgach, bo wiedzą, że ktoś, kto nie zna się na temacie, i tak tego nie doceni.

Nie wiedział, czy tak faktycznie było, ale brzmiało sensownie. Chciał tylko pokazać Janiszewskiemu, że jego „cudowna teoria

uzdrowienia” nie przewiduje kilku elementarnych podstaw.

– Masz spotkać się z Nowińskim – powiedział oschle premier. –

Wprowadź go w temat, umów z Jansenem, przygotuj plan przekazania zadań. Wszystko można rozłożyć w czasie. Taka jest moja decyzja. Dziękuję za rady, ale tym razem nie skorzystam.

– A co jeśli tego nie zrobię? – Markiewicz wyzywająco spojrzał na Janiszewskiego.

– Nie dopuszczam takiego scenariusza.

„No tak... Najlepiej iść na łatwiznę” – pomyślał Tadeusz.

Był zmęczony tą rozmową, nie chciał już dłużej w to brnąć, skoro i tak żadne słowa nie przemawiały mu do rozsądku. A może to Markiewicz się mylił i to on miał klapki na oczach? Nie dopuszczał żadnej innej alternatywy, był uprzedzony do Nowińskiego i realizował własne pomysły, choć powinien wcześniej wszystko uzgodnić.

Wrócił do swojego biura, w przedsionku zatrzymała go sekretarka.

– Telefon do pana.

– Przełącz mnie. – Wskazał na swoje biuro. – Mógłbym prosić o kawę?

– Oczywiście. Z mlekiem, jak zawsze?

– Potrójne espresso, bez cukru – odparł bez wyrzutów sumienia.

Podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

– Wchodzę w to – usłyszał.

Poznał głos. Czekał na ten telefon. Dzwonił do niego Maks Samson. Wyglądało na to, że jego wojna z Janiszewskim właśnie się rozpoczęła.

* * *

Szedł przed siebie. Każdemu więźniowi przysługiwał półgodzinny spacer. Trochę się ten spacerniak różnił od tych, które można było zobaczyć na filmach. Niewielki plac o podstawie prostokąta. Można by było porównać go do większej celi, tyle że zamiast sufitu była krata, przez którą można było zobaczyć kawałek nieba. Z boku była budka strażników, którzy bacznie obserwowali, co się dzieje. Ryglewicz był izolowany, więc również tutaj musiał zostać sam.

Czuł się świetnie, czuł się wolny. Nie było już miejsca na ból i słabości. Był oczyszczony. Na głowie wciąż znajdował się opatrunek, miał zostać zdjęty pojutrze. Dziękował w myślach Antonowi, który okazał się człowiekiem honoru i dotrzymał danego słowa. Naprawdę był mu wdzięczny. Anton dobry, Anton uczciwy, Anton jedynym słusznym przyjacielem.

Dziękował Hałyckiemu. Ten kretyn nie znał granic przyzwoitości, nie miał skrupułów, liczyło się tylko osiągnięcie określonego celu. Ale to dzięki niemu wszystko się udało. To beztroskie uczucie, kiedy człowiek budzi się, nie czując bólu. To była właśnie jego zasługa.

Krok jeden, krok dwa.

Tik-tak, tik-tak.

Zegar znowu bił. Jeszcze przez długi czas miał się nie zatrzymać.

Tik-tak, tik-tak.

Jeszcze dwa tygodnie, tyle czasu potrzebował, żeby się stąd wydostać. Bez pośpiechu i nieprzemyślanych ruchów. Jego plan był doskonały, oparty na wiedzy o zwyczajach panujących w areszcie na Montelupich. Stąd jeszcze nikt nie uciekł. Ktokolwiek miał taki zamiar, popełniał jakiś błąd. On planował stąd po prostu wyjść. Nie było miejsca na ukrywanie się

i używanie siły. Trzeba było mieć swoją godność – iść z podniesioną głową, od początku do końca.

Thomas Reglewitsch był na to gotowy. Teraz już tylko czas dzielił go od wolności. A co potem? Wróci do swojej kryjówki, weźmie swoją wyjątkową kolekcję i będzie gromadził dalej. Co w następnej kolejności? Pomyślał o wątrobie, ale na samą myśl o zapachu zmienił zdanie. Człowiek cuchnie. Po pewnym czasie się znieczulił, ale przyciągało to zbyt dużą uwagę. A nie będzie mógł zostać w Krakowie. Tutaj był pochowany ojciec, tutaj była matka, dwie najbardziej znienawidzone przez niego osoby. Tutaj był również U_45G.

Ryglewicz zastanawiał się, czy U_45G był zadowolony z prezentu. Wystarczyło włączyć, a żadne skanery ani alerty nie ostrzegłyby przed ryzykiem. Bo go nie było. Genialne. To właśnie była jego nagroda dla Danielewicza. Dziękował mu w ten sposób za obietnicę. Dzięki niemu dalej żył. Dzięki niemu wciąż miał kolejne cele, a w życiu nie było nic ważniejszego. Bez celu nic nie ma sensu.

Tik-tak, tik-tak.

Gdzie był teraz jego zegar? Czy U_45G będzie skłonny go oddać? Nie wybierał się na komendę. Kiedy wyjdzie z aresztu na Montelupich, będzie musiał uważać. Przede wszystkim na U_45G. On na pewno nie będzie zadowolony. Chciałby się z nim jeszcze raz skontaktować, dowartościować się, jak dobrym jest reżyserem, jak znakomicie wszystko zaplanował. Miło jest wiedzieć, że nawet U_45G nie potrafi poradzić sobie z tą zagadką.

Znał swoje błędy, wstydził się ich. Powinien dać U_45G równe szanse. Ale przecież i on wiedział o istnieniu Insight. Mógł korzystać.

Ach tak...

Ryglewicza, Reglewitscha czy Kostnera tam nie było. Taki mały psikus. Podstawowe działania prewencyjne.

Kolejny krok. Czas spaceru już mijał, ale on się uśmiechał. Wszystko szło po jego myśli. Tu, na Montelupich, nic go nie mogło zaskoczyć. Nie bał się strażników. Wiedział o nich wystarczająco dużo, aby mieć pewność, że uzyska to, czego oczekuje. Czekał tylko na odpowiedni moment. Jeszcze nie pokazał, na co go stać. Bał się ich reakcji. Jak by na to nie patrzeć, on był tylko jeden – ich kilkudziesięciu. Trochę nierozsądne przeciwstawiać się im wszystkim, ale jaki był sens się z nimi spoufalać?

– Koniec! – krzyknął do niego strażnik.

Nazywał się Karol Bilewski. Miał trzydzieści sześć lat. Jedyna rozsądna kwalifikacja w jego przypadku to A_. Miał chorą matkę i ojca alkoholika, z którymi wciąż mieszkał. Jego kariera w Służbie Więziennej nie była zbyt wyniosła. Odnotowano parę incydentów, kiedy Bilewski wyżywał się na więźniach. Ryglewicz miał teorię, że w ten sposób odgrywał się za niepowodzenia w życiu osobistym i problemy rodzinne. Trochę mu współczuł, ale tylko trochę, bo przecież każdy jest kowalem swojego losu.

Wrócił do izolatki. Dotknął głowy w miejscu, gdzie jeszcze kilka dni temu był guz. Za chwilę miał przyjść ktoś ze szpitala. Hałycki przepisał mu jakieś zastrzyki. Ryglewicz długo się wzdbraniał, ale w końcu chodziło o zdrowie.

Pomyślał jeszcze raz o U_45G. Wiedział o nim wiele, ale wciąż nie rozumiał pochodzenia jego przezwiska. Sama „lama” kojarzyła mu się z jakimś pieprzonym zoo, gdzie ptaki srają na głowy matek z dziećmi. Nie wiedział, czym U_45G sobie na to zasłużył.

„Lama” stanowił wyzwanie. Nie znał nikogo innego o tak wysokiej klasyfikacji.

Wyzwania, czyli to, co kochał najbardziej.

2

Nie wierzył w to, co robi. Przecież tak bardzo odgrażał się, że już nigdy więcej tutaj nie wróci. Maks Samson stał po przeciwległej stronie ulicy i patrzył z boku na zarys budynku Insight, w miejscu istnienia jednej gdzie nikt nawet nie domyślałby się z najściślej strzeżonych instytucji w Polsce.

Był tutaj już nieraz, pracował przez prawie miesiąc. Najpierw pod przykrywką technika, potem jego personalia zostały ujawnione. Działanie incognito miało swoje przywileje, gorzej jeśli brakowało przygotowania do zawodu, który w podstawowym zamyśle miał być wykonywany.

W ostatni piątek czekał na telefon szefa CBS, ale widocznie jego doświadczenie i zdolności określono jako nieprzydatne. Miał uzasadnione pretensje, bo gdyby nie namowy przełożonych, to pewnie nie trafiłby do Insight, a jego kariera w CBS trwałaby nadal. Bo to nie było tak, że Maks się prosił o tę pracę, nie czuł wewnętrznej potrzeby, aby dowiedzieć się o tych wszystkich rzeczach.

W tej chwili chodziło tylko o Fionę, jego małą królową. Sprawa rozwodowa z jego żoną, Magdaleną, ciągle była w toku. Istniała szansa na to, że jeszcze wrócą do siebie, ale brakowało mu pewności, czy wciąż tego chce. Pieniądze powoli się kończyły. Nigdy nie zarabiał tak wiele, żeby móc cokolwiek zaoszczędzić, a rodzina kosztowała. Pensji za miesiąc pracy w Insight nie przyjął. Była dla niego brudna, nie chciał mieć z tym nic wspólnego.

To kłóciło się z jego dzisiejszą obecnością w tym miejscu. Markiewicz pozytywnie go zdziwił. Samson nie miał powodu, aby nie wierzyć w jego słowa. Z jakiegoś powodu wybrano właśnie jego, nie widział uzasadnienia, dla którego wskazał go sam Jansen. Raczej za sobą nie przepadali, a ostatnie spotkanie zakończyło się na ostrzu noża.

Wszedł przez główne wejście. Tak naprawdę nie wiedział, czy są jakieś inne. Im dłużej myślał o tym, że nic nie wie o tym miejscu, tym bardziej absurdalny wydawał mu się pomysł, że miałby stać się dyrektorem, prezesem, zarządcą – zwał jak zwał.

Jak zawsze, gdy tutaj wchodził, ogarnęło go poczucie pustki, jakby w pobliżu nikogo nie było. Szedł wzdłuż ogromnego holu, po obu stronach mijał drzwi, ale już wcześniej przekonał się, że to tylko atrapy. Może taki był właśnie zamysł architektów. Nie jest trudno wybudować biurowiec, kwestia odpowiednich środków. Sztuką jest stworzyć coś, co będzie sprawiało pozory nieoddanego do użytku molocha. Nietrudno było znaleźć takie w Krakowie, ale tylko ten stanowił serce informacji.

Zobaczył ochroniarza. Poznał go z widzenia, ale w tej chwili nie mógł przypomnieć sobie jego imienia. Gdyby rozpoznano Samsona jako wroga, nie dano by mu nawet zbliżyć się do drzwi. Wpadł już niejeden złodziej, ale największą zmorą byli bezdomni, którzy przychodzili tutaj, szukając schronienia na noc.

– Co pana do nas sprowadza?

Ochroniarz w szerokim rozkroku stanął naprzeciwko Maksa. Ręce trzymał na pasku, przy którym zwisała pałka, broń i paralizator, te dwa ostatnie elementy prowadziły do wniosku, że to nie jest zwykły zdziadziały funkcjonariusz, który dorabia sobie do emerytury. Patrzył na Samsona ze zdziwieniem, ale również swoistą złością. Nie był tutaj lubiany, tym bardziej od czasu, kiedy

Jansen wyjawiał prawdziwy powód jego obecności w Insight. Tutejsi pracownicy nie lubili być inwigilowani, tym bardziej że oskarżenia były dość poważne.

– Mam spotkanie z Jansenem – odpowiedział.

– Nie sądziłem, że jeszcze pana zobaczę.

– Nie sądziłem, że tutaj wrócę.

Frederic był ostatnią osobą, z którą miał ochotę się spotkać. Co tym razem od niego usłyszysz, czy znowu Jansen skieruje groźbę w stronę jego rodziny?

– Powinien być w swoim biurze – powiedział ochroniarz i podał mu plastikowe pudełko. – Zna pan procedurę.

Samson wyciągnął komórkę i karty magnetyczne. Gdy był tutaj za pierwszym razem, miał jeszcze broń. Nie miał nic przeciwko, aby wciąż ją przy sobie nosić. Po pewnym czasie jej obecność powszednieje, nawet jeśli się z niej nie korzysta. Taki prymitywny sposób poczucia bezpieczeństwa.

Szedł kolejnym korytarzem. Ściany były wybielone, jedynym źródłem światła były rozmieszczone co kilka metrów jarzeniówki. Nie było żadnych okien, które stanowiły podstawę szklanych wieżowców charakterystycznych dla nowoczesnej architektury.

Znowu to uczucie, że w tym miejscu ściany mają oczy. Na pierwszy rzut oka nie było widać kamer, ale dotychczasowy kontakt z Jansenem prowadził do innych wniosków. Może wkrótce dowie się szczegółów, kiedy Frederic zacznie wprowadzać go w tajniki funkcjonowania Insight, czyli pozna świat, o którym do tej pory nie miał pojęcia.

Zapukał do drzwi, po chwili usłyszał szcęk zamka.

– Zapraszam. – Usłyszał głos Jansena, który nawet na niego nie spojrział, tylko obrócił się w kierunku swojego biurka.

Maks powoli podszedł do zwykłego, drewnianego krzesła. Jak

na biuro prezesa Insight, brakowało tutaj ściany zasług z dyplomami, wyróżnieniami i innymi bzdetami karierowicza. Biurko było bardzo proste, niewielkie, ale wystarczająco duże, żeby zmieściły się dwa monitory. Poza tym nic więcej. To nie był efekt uboczny rządowych oszczędności, to było królestwo Jansena. Tak jak każdy z pracowników Insight, również Frederic stworzył własny świat, a proste, drewniane krzesło, na którym siedział Maks, było zapewne koniecznością aniżeli potrzebą właściciela.

Siedział cicho, czekał na to, co powie Jansen. Maks nie był w stanie powiedzieć, że go zna, pozory stworzone w trakcie ich pierwszego spotkania zostały skutecznie wymazane z jego pamięci. Siedziała naprzeciwko niego jedna z najpotężniejszych osób w Polsce, o której wiedziało tak niewiele. Frederic nic się nie zmienił od ostatniego razu. Już wcześniej był siwy, a twarz była pokryta zmarszczkami. Typowa nordycka uroda, ubrany w dobrze skrojony garnitur. Gdyby zobaczył takiego mężczyznę na ulicy, pomyślałby, że ten facet ma klasę. Maks jednak zdążył trochę poznać Jansena. Jeżeli diabeł miałby przybrać postać człowieka, wyglądałby właśnie tak. Wyrafinowany i zdecydowany, bez skrupułów, wykorzystujący najmniejsze potknięcie, czujny i autorytarny.

Tak bardzo się różnili, przynajmniej tak się Samsonowi wydawało. Sam starał się wyeliminować wszystkie cechy, które u Jansena znienawidził.

– Miła pogawędka. – Maks w końcu nie wytrzymał. To nie było miejsce, gdzie mógł poprosić o ciepłą herbatę.

– Zdziwiłem się – powiedział po chwili Jansen.

– Nie lubisz nieprzewidzianych ruchów...

– Ale nie dlatego zgodziłeś się przyjąć tę propozycję. Gardzisz tym miejscem i gardzisz mną. Więc dlaczego...? – Przerwał na

chwile. – Ach tak! Pewnie chodzi o twoją rodzinę.

Twarz Jansena była wykrzywiona szkaradnym uśmiechem. Maks poczuł pulsowanie żyły w okolicach skroni. Trzymał nerwy na wodzy, ale nie zamierzał tolerować, aby w sprawach zawodowych podnoszono temat rodziny. Niestety, nie miał się jak Fredericowi odwdzięczyć. Nie wiedział nic o jego życiu prywatnym, wątpił, aby je w ogóle miał.

– Byłoby nie moim w stylu, aby ci coś na siłę udowadniać. Trochę się różnimy. Bardziej mnie zastanawia powód, dla którego ty chcesz oddać władzę nad Insight.

– Nie tak szybko. – Jansen zerknął w stronę jednego z monitorów, kilkakrotnie nacisnął przycisk myszki. – Mam swoje warunki...

– Domyślam się, ale dlaczego w ogóle zasugerowałeś, że to ja mogę cię zastąpić? – Tutaj nie było miejsca na udawanie przyjaciół, Jansen miał swoje reguły gry, chwila nieuwagi mogła zepchnąć Maksa do narożnika, na co z oczywistych względów nie chciał pozwolić.

– Poznałeś Markiewicza. To człowiek z ideą i pomysłem, ale niewiele może. Żeby było jasne, jeszcze daleka droga do tego, abyś faktycznie czymkolwiek zaczął rządzić.

„Czymkolwiek” raczej nie brzmiało jak „Insight”. Maks nie do końca rozumiał, o co chodziło z Markiewiczem, który niewiele może. Był tylko doradcą, ale w tym przypadku słowo „tylko” nie było na miejscu.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie. Dlaczego ja? Sądziłem, że cię zawiodłem.

– Bo tak było, miałem zdecydowanie wyższe oczekiwania, okazałeś się kolejnym służbistą, który ma skrupuły i nie potrafi wykorzystać sytuacji danych przez los.

Maks nienawistnie spojrział na Jansena.

– Przepraszam, że jestem człowiekiem. Możesz sobie to jakoś tłumaczyć, ale zabicie człowieka wcale nie jest darem losu. Jeżeli nie masz na tyle przyzwoitości...

– Spokój – powiedział cicho Frederic, przerywając mu wypowiedź. To jego pozbawione uczuć zachowanie też było na swój sposób irytujące, w pewnym sensie nienaturalne, bo człowiek w swojej naturze czasem musi się wkurzyć i wyzbyć się niepotrzebnej złości. – Miałem tylko jeden powód, dlaczego wybrałem ciebie – kontynuował Jansen. – Musiałem wybrać spośród osób, które wiedziały o Insight, wskazałem osobę, co do której istniało najmniejsze prawdopodobieństwo, że się zgodzi.

– Z twoich słów wynika, że tak naprawdę nie chciałeś się pozbyć swojej posady. – Przypuszczenia Maksa się potwierdziły.

– Dokładnie – przyznał Jansen.

– Więc co ja tutaj robię?

– Tracisz swój czas – skwitował szef Insight.

* * *

– Smutek, żal, niedowierzanie – powiedział Danielewicz, teatralnie ocierając łzę.

– To nie jest zabawne – odparł Pinas, był widocznie poruszony całą historią. – Dędek ci nie odpuści!

– Mam się bać? Jeszcze mi zaraz powiesz, że to ja ją zabiłem. Nawet nie znam jej imienia!

Anton opadł na oparcie krzesła. Był spokojny jak nigdy wcześniej. Siedział naprzeciwko swojego prawnika, miało to być ostatnie ich spotkanie przed rozprawą, która zaplanowana została na początek przyszłego tygodnia.

– Dobrze wiemy, na czym to wszystko polega.

– Więc proszę. – Wyzywająco popatrzył na Pinasa. – Wyjaśnij mi, na czym to polega, bo chyba rozumiemy w innych kategoriach.

– Jak mam to wyjaśnić?! – zachnął się prawnik. – Przez tę całą Strudzień, którą Dędek wysłał na ostatnią rozprawę, wciąż pan siedzi w zamknięciu. Policja znajduje jej ciało. Ktoś ją zabił...

– No właśnie! – krzyknął Danielewicz. Rozpierała go energia, dawno nie był w tak wyśmienitym humorze. – Mówisz, że ktoś ją zabił. Gdzie tam jest moje nazwisko?! Gdzie? – Zaczął się śmiać. Życie było takie piękne. – Widocznie się komuś naraziła. Na co dzień ma pewnie do czynienia z niejednym zbirzem.

– Wydaje mi się, że naraziła się przede wszystkim panu. – Pinas był nieprzejednany. Jeżeli sądził, że Anton teraz przyzna się do winy, srogo się mylił.

– Od kiedy opierasz się na przypuszczeniach? Jedna prokuratorka mniej nie stanowi chyba przełomu tysiąclecia!

– Co się stało? Zachowuje się pan, jakby już był na wolności. Oby pan się nie udławił powietrzem.

Dzisiaj nikt nie mógł wytrącić Antona z równowagi. Pinas zachował się bezczelnie, pożałuje tego później.

– Proszę się o mnie nie martwić. Czy mam jakieś powody do zmartwień? Wkrótce ostatnia sprawa. Chyba nie przewidujemy żadnych problemów?

– Naprawdę pan tego nie widzi? – Pinas spojrział na niego zza hipsterskich okularów. – Śmierć Strudzień może stać się argumentem dla Dędka, aby jeszcze raz przedłużyć sprawę. Okoliczności są takie, a nie inne. Mówię jak jest.

– Więc proszę na to nie pozwolić – warknął Danielewicz przez zaciśnięte zęby. Żył nadzieją, że wkrótce zobaczy żonę. Zwłoka nie wchodziła w grę.

– Jestem przygotowany, Biskup i tak stanął na głowie, aby ta rozprawa odbyła się możliwie najszybciej. Mam nadzieję, że w tym nie maczał pan palców.

– Nie rozumiem, skąd te bezpodstawne oskarżenia?! Mam gdzieś prawo, to twoja domena. Ale tak na chłopski rozum, skoro nie ma żadnych dowodów na to, że to ja zabiłem Strudzień, o jakim ryzyku mówisz?

Danielewicz zainteresował się młodą prokuratorką dopiero po pierwszej rozprawie. Dziewczyna dopiero co ukończyła aplikację, dostała pracę w prokuraturze rejonowej, wyniki jej egzaminów końcowych były imponujące. Miał do niej pretensje, mogło być tak pięknie, a sama narobiła sobie problemów. Czekał na odpowiednią okazję, aby się zrewanżować, nie chodziło o karę dla samej kary, wszystko sprowadzało się do celu. Powód dał mu Lama, kiedy wezwał na przesłuchanie jego ukochaną Sylwię. Są rzeczy, których nie mógł tolerować. Nie miał na zewnątrz ludzi, którzy mogliby się zająć samym Goczałką. Anton dobrze wiedział, że Ryglewicz ma na niego ochotę, ale kraty były pewnym ograniczeniem. Atak na córkę lub żonę Lamy był bardzo prymitywny, mógłby go rozzłościć do tego stopnia, że nie chodziłoby już o samą sprawę, a personalną potyczkę. A mimo wszystko Danielewicz szanował Goczałkę, konieczna była ostrożność i zachowawcze ruchy.

I wtedy zaświtał mu pomysł, aby wykorzystać Strudzień. Nie trzeba było doświadczonych w akcji ludzi, ofiara nie była typem osoby, która mogłaby sprawić jakiegokolwiek problemy. Skorzystał z telefonu Hałyckiego, a jego „chłopacy” wiedzieli, co robić. Sam atak miał ugodzić Lamę, nawet jeśli sam nie przybyłby na miejsce przestępstwa, prędzej czy później dowiedziałby się o napisie na ścianie. Bardzo proste, bardzo nietypowe w dotychczasowych ruchach, bardzo deprymujące dla samego Goczałki.

– A co jeżeli znajdą jakieś ślady?

Pinas przyliżał swoje włosy. Anton był przerażony jego wyglądem, ale nie chciał kierować się tym kryterium przy wyborze prawnika, choć rozmowa z „ciepłym” była dla niego dość krępująca.

– Nie wiem, czy jesteś świadomy mojego położenia. Przebywam na Monte! – Rozłożył ręce na znak, że tak niewiele może.

– Albo jest pan geniuszem, albo faktycznie nie ma pan z tym nic wspólnego.

– Zdecydowanie to drugie. – Nie miał potrzeby głaskania swojego własnego ego.

Pinas podrapał się po głowie.

– Miałem pewne wydatki, przydałaby się choć drobna zaliczka...

Wyciągnął ze swojej aktówki fakturę.

– Pokażne sumy.

Anton rzucił okiem na dokument i omal nie parsknął śmiechem. Gdyby wszyscy jego ludzie życzyli sobie tak niewielkich pieniędzy, byłby teraz bogatszy o kilka milionów, jeśli nie więcej. Już i tak musiał zastosować rok temu kilka zabiegów, bo „Wprost” chciało go wrzucić do jednego worka z najbogatszą setką Polaków, a to nie było mu potrzebne do szczęścia. Tam, gdzie sława, tam również większe zainteresowanie, a on wolał pozostawać w cieniu.

– Postępowanie ciągnie się już dłuższy czas. – Pinas zaczął się tłumaczyć. Zanim Anton go nie poznał, sądził, że prawnicy są lepiej ustawieni. – Zostawiłem innych klientów, aby skupić się na pana sprawie...

– Załatwione – przerwał mu Anton. Nie chciał dłużej słuchać tego biadolenia. – Potrzebuje pan jeszcze na coś? Komornik czeka przed pana mieszkaniem albo dziewczyna potrzebuje na waciki?

Mina Pinasa potwierdziła przypuszczenia Danielewicza, że ten

człowiek raczej gustuje w mężczyznach. Wolał już nie brnąć w ten temat.

– Zapytam jeszcze raz... Czy są osoby, których zeznania mogłyby panu zaszkodzić? – powiedział Pinas, który widocznie zauważył, że Anton się z niego podśmiewa.

– Chodzi panu o Ryglewicza? – Danielewicz nie widział powodu, dla którego nie można było zadać jednego, za to konkretnego pytania.

– Dobrze pan wnioskuje.

– Czy wyglądam na zdenerwowanego? – Uśmiechnął się szeroko.

– Nie. Zdecydowanie nie, ale nie wiem, co jest tego powodem.

– Bo nie mam żadnych obaw. Proszę się nie denerwować, a wszystko będzie dobrze...

Bardziej obawiał się o inne osoby, uciszył krzykaczy, ale trudno było zapanować nad tak rozległą siatką. Wszystko miało swoje plusy i minusy. O Ryglewicza był spokojny. Operacja powiodła się lepiej, aniżeli się tego spodziewał. System też zadziałał, w tej chwili wyjście na wolność oznaczało brak ryzyka, że ktoś będzie próbował szukać sprawiedliwości za miesiąc czy za rok. Był czysty.

– Właśnie dlatego się dziwię – podsumował jego spokój Pinas.

– Żeby było jasne... – Danielewicz spojrział na fakturę, sięgnął po długopis i napisał poniżej kilkucyfrową liczbę. – ...to ma być ostatnia rozprawa. Jeżeli jest jakieś ryzyko, proszę je zlikwidować. Nie wnिकam jak, chodzi tylko o moją wolność. Jeżeli to się panu uda, otrzyma pan to. – Wskazał na sumę, którą przed chwilą napisał. – W innym wypadku...

Specjalnie nie dokończył. Wydawało mu się to oczywiste. Pinas widocznie nie należał do zbyt domyślnych.

– Co wtedy? – zapytał prawnik.

Anton przez dłuższą chwilę zastanawiał się, jak brzmi lżejsza wersja słowa, które przyszło mu na myśl, ale w końcu się poddał.

– Na pana miejscu po prostu bym spierdalał.

Wyraz twarzy Pinasa wskazywał na to, że gdyby to zależało od niego, dostosowałby się do tych słów już w tej chwili.

* * *

Siedzieli z ojcem w garażu. Dagmara lubiła spędzać tutaj czas, nawet jeśli tata nie był w nastroju do rozmowy, to jego towarzystwo jej służyło. Sama tworzyła tę ścianę, przed którą właśnie się znajdowała. Zebrane dowody pozwoliły usidlić Ryglewicza. Wiele się przy ojcu uczyła, do tej pory rzadko postępowała racjonalnie, a chłodna analiza była dla niej czymś obcym.

– Piwa? – zaproponował tata.

Wyciągnęła rękę. Woląca nie myśleć w tej chwili o brzuchach starszych panów, którzy siedzą z puszką w ręce. Już jej wystarczało, że miała taki, a nie inny tyłek.

– Nie sądziłam, że jej słuchasz...

– Janis? Znasz ją? – zdziwił się ojciec.

Z małego, zakurzonego radia, wydobywał się ochrypły głos Janis Joplin. Klasyka.

– No jasne, ale ciebie o to nie podejrzewałam. Bez urazy, ale nie jesteś na to... za stary?

– Na blues i rock'n'roll? – zdziwił się ojciec. – Twoja mama nigdy nie czuła tego klimatu, ale przy jakichś nudnych koncertach muzyki poważnej samoczynnie zaczynam chrapać.

Wiedziała, o czym mówił, matka na każdą możliwą okazję dawała tacie płyty z nagraniem koncertami André Rieu albo Celtic Woman, potem przymuszała do wieczornych recitali. Nie mogła się

nadziwić, że mieszkała z nim pod jednym dachem od tak dawna, a dopiero teraz dowiedziała się takich sekretów.

– Chciałam ci podziękować. Nie wiem, co zrobiłeś, ale Nogała dał mi spokój.

– Powinnaś mi od razu powiedzieć. – Przyjrzał się jej badawczo.

– Nie wiem, co się stało z Szymonem...

– Nic – weszła mu w słowo. – Chodziło tylko o Darka, nie dawał mi spokoju.

– Czy nie sądzisz, że lepiej by było być taką Janis?

Nie wiedziała, czy jej ojciec jest faktycznie w takim letargu, czy wypił na tyle dużo, że zaczął bredzić.

– Czyli? – zapytała. Często słuchała jej płyt, ale widocznie nie znała jej życiorysu tak dobrze, jak tata.

– Ceniła szczerość, mówiła prawdę, nawet jeśli nie oznaczała nic dobrego. Otacza nas tyle fałszu, każdy musi grać rolę, aby być szanowanym, a jak powie się to, co się myśli, staje się tylko osobą niemile widzianą.

– Skąd ci się wzięły takie wnioski?

– Z życia, Malinko... – powiedział ze smutkiem. Widocznie jego ostatnie dni nie należały do zbyt udanych.

– Dawno tak do mnie nie mówiłeś. – Nigdy za tym nie przepadała, ale teraz miło było to usłyszeć. – No ale co z tą Janis?

– Co chcesz wiedzieć?

– Przecież wszyscy kłamią, to po prostu spowszedniało. Co się z nią stało? – Widziała kiedyś jej zdjęcie, czuła z nią pewien rodzaj powiązania ze względu na podobną figurę.

– Przedawkowała – odpowiedział przeciągle.

– Czyli nic dobrego. Niezbyt pozytywna konkluzja.

– Ale może właśnie o to chodzi? Zrobić, co do ciebie należy i odpuścić...

Nie poznawała ojca. Do tej pory nie zauważyła, żeby miał jakieś filozoficzne zapędy.

– Co się stało? – Podniosła puszkę z piwem i stuknęła o jego. – Co to za rozważania?

– Czasem prościej się zwyczajnie nie przejmować. Dystans pomaga. Wydawać by się mogło, że taka Janis mogła wszystko, więc po co te używki?

– Każdy ucieka. Można się zatrzymać w miejscu, ale zawsze nam będzie czegoś brakować... – Musiała wypić zdecydowanie więcej, aby wejść na ten poziom abstrakcji, co ojciec.

– Starzeję się. – Wskazał palcem na zdjęcie przywieszzone do ściany. Musiało być nowe, bo do tej pory go nie widziała. – Totalna kicha.

Zdjęcie przedstawiało litery, które układały się w słowo „Lama”. Poniżej przyklejone było zdjęcie leżącej na łóżku kobiety. Zapewne kolejnej ofiary.

– Jaki to ma związek z Ryglewiczem? – zapytała.

– Właśnie tego nie wiem. Wygląda na to, że chodzi teraz o więcej niż tylko spokój Danielewicza. Elementy układanki znalazły swoje miejsce, nagle wszystko musiało się posypać.

– Nie wierzę, że się poddajesz. Kto jak kto, ale ty?

– A kim ja jestem, że zawsze muszę być w gotowości?

– Moim tatą – odpowiedziała z uśmiechem na twarzy. Chciała mu dodać otuchy. – Co się z nią stało? – Wskazała na zdjęcie kobiety.

– Śmierć przez uduszenie, sprawca przyłożył jej do twarzy poduszkę i czekał, aż przestanie oddychać – odparł jej ojciec.

Jeszcze jakiś czas temu pewnie poczułaby mdłości, najpewniej skończyłaby nad muszlą klozetową, pozbywając się zawartości żołądka. Ale przez ostatnie tygodnie widziała na tyle drastyczne

rzeczy, że taki sposób pozbawiania życia nie robił na niej już takiego wrażenia. Zawsze wystrzegą się znieczulicy, ale ona przyszła sama, nawet nie zauważyła kiedy.

– Kim była? – Pomyślała, że to pewnie kolejny diler. Nie wyglądała na taką, ale poprzednich ofiar również by o to nie podejrzewała.

– To właśnie najciekawsze w tym wszystkim. Była prokuratorką, zajęła miejsce oskarżyciela publicznego na ostatniej sprawie Danielewicza.

Jeszcze kilka tygodni temu ojciec by jej o takich rzeczach nie mówił. Cieszyła się, że udało się nawiązać tak dobry kontakt, choć mogłyby temu towarzyszyć inne okoliczności.

– A ten napis? – Wiedziała, że to przezwisko taty, ale nie tłumaczyło to jego obecności w miejscu zbrodni.

– Poczytuję to jako wyzwanie i... karę.

Spojrzała na niego pytająco. Byłoby łatwiej, gdyby wszystko powiedział od razu.

– Wiesz, nie rozumiem – ciągnął jej ojciec. – Danielewicz dobrze wie, że i tak nie jestem w stanie mu przeszkodzić, a mimo to ryzykuje kolejne kroki, które mogą zamknąć go za kratami na zdecydowanie dłużej.

– Ale gdzie jest w tym wszystkim logika? Skąd w ogóle wie o twoim przezwisku?

– On wie zdecydowanie więcej, dochodzę do wniosku, że wie wszystko.

– Danielewicz wyjdzie na wolność i co dalej?

Rozmawiała z Cybulskim przedwczoraj, wcześniej nie miała okazji zapytać ojca, czy udało się coś zdziałać z płytą Ryglewicza. Okazało się, że „prezent” był pułapką. Cybulski próbował się tłumaczyć, że tego nie dało się uniknąć. Wcześniej sądziła, że to

może być powód kiepskiego nastroju taty, teraz okazało się, że było ich zdecydowanie więcej.

– On tylko na to czeka. Pewnie ucieknie z Polski razem z żoną i dziećmi.

– Ten człowiek miał przecież wszystko, rodzinę, dobrze prosperującą firmę, dostatnie życie... Dziwię się, że bawił się w takie gównno...

– Co powiedziałaś? – zdziwił się ojciec, jakby wyrwała go z jakiegoś letargu.

– Ups, mogłam użyć innego słowa...

– Nie o to mi chodzi. Powtórz to, co przed chwilą powiedziałaś!

– Że ma wszystko.

– Nie, nie to. Z jakiegoś powodu sięgnął po narkotyki. Sam raczej nie brał, chodziło o zarobek. – Ojciec zerwał się na równe nogi, a jego wzrok wędrował po ścianie płaczu w poszukiwaniu jakiejś informacji. – Oczywiście, że nie chciał korzystać z kasy, żeby wpłacić kaucję, jego plan przewidywał pozostanie w areszcie. Ale przecież teraz już nie ma świadków, którzy mogliby narobić mu problemów, a jednak wciąż tam jest!

– Jeszcze coś planuje?

– Nawet jeśli tak, to do tego się nie przyzna. Ciekawe, bo jego żona również nie wyglądała na zbyt zamożną...

Był znowu w swoim żywiole. Widziała jego oczy, te małe iskierki. Jeszcze przed chwilą był na skraju załamania nerwowego, teraz znowu wracał do gry. Przygryzł dolną wargę.

– Może wcale nie miał z tego tylu pieniędzy.

Tata pokręcił głową i zmarszczył czoło.

– Miał, kwestia tego, gdzie je ulokował i dlaczego pominął w tym wszystkim swoją rodzinę.

– Nie da się tego sprawdzić? – Wydawało się jej logiczne, że

banki posiadały takie informacje.

– Chyba właśnie to było celem tej płyty Ryglewicza. To był reset Danielewicza, przysługa dla przyjaciela, wykasowanie danych, które pozwoliłyby go namierzyć.

– Ale powiedziałaś, że wszystko przepadło.

– Spójrz na to z innej strony. Ryglewicz odwała robotę dla Danielewicza i co ma w zamian?

– Satysfakcję? Cel? – Strzelała na oślep.

– CZAS! – krzyknął tata. – Czas! To największa bolączka Ryglewicza. To właśnie zegar wziął ze sobą na lotnisko. Nie broń, nie pieniądze, a właśnie zegar. On wie, że umiera, pozostało mu niewiele czasu. Musiał mieć jakiś motyw, aby pomagać Danielewiczowi, a to, co mogło go do tego przekonać, to właśnie czas!

– Genialne. – Była pod wrażeniem, ale nie mogła powstrzymać się od sarkazmu, bo ojciec zapomniał chyba o jednym. – Tylko w jaki sposób mógł dostać coś do tego stopnia umownego?

– Nie mógł, właśnie o to chodzi! Potrzebuję Milewskiego...

Wzdrygnęła się, słysząc to nazwisko.

– Może od ciebie odbierze telefon – powiedziała z wyrzutem.

Ojciec wciąż krążył wokół przyczepionych do ściany zdjęć.

– Muszę się z nim spotkać, muszę się z nim spotkać! – powtarzał w kółko. Słowa Dagi chyba w ogóle do niego nie dotarły.

– Spokojnie. – Dawno nie widziała u niego takiej ekscytacji. Wciąż nie potrafiła zrozumieć jego toku myślenia.

– Dokładnie. Spokój. Jest zdecydowanie zbyt spokojnie. Musiałem coś pominąć, nie ma innej możliwości, coś się szykuje, a my jesteśmy w szczerym polu.

– Cisza przed burzą, na twoim miejscu bym odpoczęła, póki możesz...

Ale tata jej nie słuchał. Wiedziała, że spędzi w swoim garażu całą noc. Normalnie uznałaby to za marnotrawstwo czasu, ale ojciec już nie raz udowodnił, że w jego przypadku sytuacja jest diametralnie inna. Ryglewicz znalazł człowieka, który cenił swój czas tak samo, jak on – był nim definitywnie jej tata.

3

– Nigdy go nie poznałam – zaczęła Krystyna Działoszyn.

Zabrzmiało to w mniemaniu Milewskiego jak próba wytłumaczenia się, bo inna odpowiedź mogła oznaczać problemy. Szymon zbyt długo czekał na to spotkanie. Krystyna była matką Ryglewicza, policja do tej pory się nią nie zainteresowała, a właśnie tego chciała uniknąć. Z każdym kolejnym telefonem Milewskiego wymyślała kolejną wymówkę. Dobrze wiedziała, o co chce ją zapytać. Ich ostatnia rozmowa miała miejsce tuż po śmierci Droubera, od razu po pogrzebie. Kojarzył ją z widzenia, wiedział, że znała się z doktorem, ale dopiero wtedy dowiedział się, że była przez pewien czas jego partnerką i mieli wspólne dziecko. To otwarło zupełnie nowy etap śledztwa, które prowadził Miłosz Goczałka. Morderca w końcu przybrał konkretną postać.

– Drouber nigdy nie wspominał o swoim ojcu? – zapytał Szymon.

– On z zasady niewiele mówił, rodzina była tematem tabu.

Miał nadzieję, że ta rozmowa wkrótce się rozkręci, Działoszyn patrzyła cały czas na zegarek, jakby gdzieś się śpieszyła.

– A nie wydawało się to pani podejrzanе? Nie chciała się pani dowiedzieć?

– Na początku na pewno, ale potem przestałam się oszukiwać, że cokolwiek mi powie. On mnie nie kochał, nie chciał zdradzać szczegółów swojego prywatnego życia, miał swoje tajemnice. Pyta pan niewłaściwą osobę.

Szymon postanowił zaryzykować podejście z drugiej strony.

– Mogę zadać osobiste pytanie? – zaczął asekuracyjnie.

– Najwyżej nie odpowiem.

Krystyna Działoszyn chyba nie była dzisiaj w odpowiednim nastroju do rozmowy. Ostatnie spotkanie przebiegało w zupełnie innej atmosferze, nie zmieniał tego nawet fakt, że tego samego dnia odbył się pogrzeb Droubera. Chodziło o samo nastawienie, dziś matka Ryglewiczka nie miała ochoty odpowiadać na żadne pytanie. Milewski starał się to zrozumieć. Może chciała się odciąć od syna i Droubera, zapomnieć, żyć, nie rozpamiętując przeszłości, a on właśnie na to nie pozwalał.

– Jakie miała pani stosunki z synem?

– Tak jak mówiłam. Wyprowadził się ode mnie, gdy tylko skończył osiemnaście lat. Nawet się nie pożegnał. – Powiedziała te słowa do tego stopnia szybko, że Szymon musiał zastanowić się chwilę, co właściwie zostało powiedziane.

– Pytam właśnie o ten okres, kiedy razem mieszkaliście.

– Nie wiem, co mogę powiedzieć. Rzadko bywał w domu, miał swoje towarzystwo. To był trudny okres dla mnie, bo całe dni spędzałam w pracy, a on był zdany na siebie.

Milewski nie potrafił sobie wyobrazić Ryglewiczka jako nastolatka, który przeżywa swój bunt młodzieńczy. Środowisko, w którym dorastał, stworzyło z niego potwora, a choroba pozbawiła skrupułów. Mieszanka wybuchowa.

– A gdzie w tym czasie był Drouber? Widywał się z synem?

– On?! – Działoszyn zaśmiała się nerwowo. – Nigdy nie poczuwał się do roli ojca. Był wyzuty z uczuć, chodziło tylko o naukę. Przez pierwsze miesiące mieszkaliśmy w domu, potem mnie wyrzucił. Pamiętam ten dzień bardzo dokładnie. Powiedział, że żaden skrzeczący bachor nie przeszkodzi jego karierze. Tylko to się dla niego liczyło, nic więcej. – Spróbowała podnieść filizankę

z herbatą, ale ręce drżały jej tak mocno, że po chwili odłożyła ją na spodek.

– Ale poznali się później? – Milewski wiedział, że porusza się po cienkim lodzie. Nie mógł pozwolić na to, że Działoszyn go wyprosi. Wątpił, aby kiedykolwiek miał okazję tutaj wrócić.

– Syn zaczął interesować się tym tematem, kiedy zaczął chodzić do szkoły. Spotkałam się wtedy z Norbertem, pierwszy raz po ośmiu latach.

Szymon nie mógł oprzeć się wrażeniu, że historia Ryglewicza jest bardzo podobno do jego własnej. Też nie miał kontaktu z ojcem, wychowywał się sam, mama stawiała na głowie, żeby niczego mu nie brakowało.

– Jak zareagował? – Był ciekawy, co się stało później.

– Chciał poznać swojego syna. Zaczęli się widywać dość regularnie, ale nie trwało to długo.

– Dlaczego? – zdziwił się.

Działoszyn znowu się zaśmiała, widocznie się denerwowała.

– Drouber najpewniej uznał, że jego syn jest zbyt głupi, aby używać jego nazwiska. Wyrzucił go, tak samo, jak mnie.

– I już nigdy więcej się nie spotkali? – Milewski mógł uwierzyć w tę historię. Zachowanie Droubera w trakcie przeprowadzania przez Szymona wywiadów odznaczało się bezpośredniością, szczerością i chamstwem. Byłby do tego zdolny.

– Sądziłam, że jak syn uciekł z domu, udał się właśnie do ojca. Faktycznie tak się stało, ale jak powiedział Drouber, przyszedł tylko po pamiętnik...

– Stop! – Aż sam się zdziwił swoją nagłą reakcją. – Jaki pamiętnik?

– Drouber miał wiele pamiętek po ojcu. Nie wiem, gdzie je przechowywał i co tam właściwie się znajdowało, sama tylko o tym

słyszałam.

Co do tej kwestii Szymon nie potrzebował żadnych wyjaśnień. Miał okazję odkryć tę kryjówkę i przenieść, a potem spalić wszystkie „pamiątki”. Nigdy wcześniej nie słyszał jednak o pamiętniku.

– Nie wiem, czy dobrze wnioskuję... Ojciec Droubera prowadził pamiętnik, tak? – Poczul, jak jego ręce się pocały. A co jeśli był wśród spalonych dokumentów zabranych z mieszkania doktora?

– Tomek cały czas o nim mówił. Drouber pokazał mu, jak jeszcze był mały, ale nie pozwolił mu go zabrać.

– Skąd w takim razie pewność, że wziął go po tym, jak uciekł z domu? – Wydawało się to Szymonowi trochę nieprawdopodobne, że Drouber pokazał dziewięciolatkowi wszystkie rekwizyty, które miał po swoim ojcu.

– Widocznie Norbert pomylił się co do inteligencji swojego syna. Tomek był bardzo utalentowany, różnił się od Droubera tym, że miał inne priorytety.

– Co ma pani na myśli? – W końcu rozmowa zaczęła przynosić jakieś znaczące dla niego wiadomości.

– Przepraszam... – Spojrzała po raz kolejny na zegarek. – ...ale muszę kończyć. Nie sądziłam, że ta rozmowa tak długo potrwa, a spodziewam się gościa.

Szymon nie ruszył się z miejsca. To był dla niego decydujący moment. Nie chciało mu się wierzyć w tę historię, ale z ekscentrycznym Drouberem wszystko wydawało się możliwe. Był ciekaw, co znajdowało się w owym pamiętniku Reglewitscha. Musiał skontaktować się z Goczałką, może udało się go odnaleźć w mieszkaniu Tomasza. Miał w głowie setki pytań, a Działoszyn w kluczowej chwili chciała uciąć dalszą dyskusję.

– Pani Krystyno... – Spojrzał na nią błagalnie. – Proszę

odpowiedzieć. O jakie priorytety chodziło?

– Zbytńio polegasz na moich słowach. – Działoszyn wstała. Gustowny, bordowy żakiet wydawał się o rozmiar za duży, balejaż tylko podkreślił zniszczone włosy. Schudła od ostatniego czasu. Cała sprawa zapewne odbiła się na jej kondycji psychicznej. – To, co powiedziałam, opieram również na własnych domysłach. Co mam ci dodać? To, że byłam złą matką?! TAK?! Tego chcesz? – Wybuchła płaczem.

– Pani Krystyno... – Nie był przygotowany na taki rozwój wypadków. – ...przecież nie to miałem na myśli.

– Może nie poświęcałam mu dość czasu, byłam samotną matką, wszystkiego dopiero się uczyłam. Stworzyłam potwora, który nie przyznaje się do swojej rodziny...

– Ale jednak Tomek był inny od Droubera.

– Był inteligentny, ale używał tego inaczej niż jego ojciec. Miał swój świat, swoją wyobraźnię. Zawsze był typem samotnika, który podąża swoimi ścieżkami.

– Miał jakiś autorytet, bliskich przyjaciół? – Wolałby się skupić na Reglewitschu, ale korzystał z faktu, że Działoszyn pozwoliła mu zostać chwilę dłużej.

Krystyna przetarła oczy. W odpowiedzi przeszkodził dzwonek do drzwi. Szymon zaklął pod nosem.

– Przepraszam, ale to chyba mój gość. – Wcale nie było jej przykro, to było jej wybawienie.

– A co jeśli to nie pani wina? – powiedział, gdy znalazł się już w przedpokoju.

– Nie próbuj wszystkiego tłumaczyć. Tomek nie jest już moim synem, zresztą nigdy nie chciał nim być.

– Rodziców się nie wybiera. – Dopiero, gdy wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, jak kiepsko to brzmi. – Zastanawiam się

nad tym pamiętnikiem. Kto mógłby powiedzieć o nim coś więcej?

– Thomas Reglewitsch.

Otworzyła w tym momencie drzwi, okazało się, że za progiem stoi listonosz. Chyba spodziewała się kogoś innego. Odebrała list, wyglądała na zaniepokojoną. Milewski otworzył oczy ze zdumienia.

– Wygląda na to, że jeszcze o pani nie zapomniał. – Jako nadawca został wpisany Reglewitsch.

– To chyba jakiś żart – powiedziała Działoszyn.

– Jeśli ma pani rację, to bardzo sumiennie przygotowany. – Wskazał na zaklejony bok i pieczętkę z podpisem naczelnika aresztu.

Zawahała się przez chwilę, a następnie rozerwała kopertę. Szymon spojrzał na kartkę papieru, która wypadła ze środka. Były na niej odręcznie napisane cyfry, jakiś szyfr.

– O rany – powiedziała Działoszyn.

Zimny dreszcz przeszedł po plecach Milewskiego. Ona wiedziała, o co chodzi...

* * *

Była dzisiaj na cmentarzu. Znalazła miejsce spoczynku Maćka Różyckiego. Zmarł 27 stycznia. Kotarską zaskoczył brak jakichkolwiek kwiatów albo chociaż jednego znicza. Minął dopiero miesiąc, a to miejsce już zostało zapomniane. Sama nie wiedziała, jaki jest cel tej wizyty. Wciąż nie udało się jej ustalić, co tak naprawdę się wydarzyło, dlaczego Maciek chciał ją zabić. Gdzieś tam byli Ryglewicz i Danielewicz, którzy mogli jej odpowiedzieć na to pytanie, ale wątpiła, aby zechcieli tak po prostu przedstawić swoją wersję zdarzeń. Był jeszcze Goczałka, z którym spotkała się w ostatni poniedziałek. Czuła się trochę pominięta, może miała

zbyt wielkie oczekiwania co do niego. Poświęcił jej tylko kilka minut, zdecydowanie więcej czasu zajęło jej dotarcie na komendę. Pytała o Różyckiego i motywy, odpowiedzi były niekonkretne, w końcu sam się przyznał, że jeszcze nie udało się tej kwestii wyjaśnić. Jeszcze... Tak jakby to był tylko problem znalezienia czasu, aby przejrzeć akta, bo wyjaśnienie już jest tam napisane.

Zawiodła się. Czuła się bezsilna i samotna. Dziwiła się, że grób Różyckiego był zaniedbany, ale ona była w takim samym położeniu. Bez przyjaciół i rodziny. Mogło się wydawać, że ma wszystko, nie brakowało jej pieniędzy, miała pracę, która paradoksalnie przynosiła jej satysfakcję. Brakowało w tym wszystkim jednego ogniwa – bliskich, bez których nigdy nie zazna pełni szczęścia.

Milena cały czas powtarzała, że Edyta musi powiedzieć o wszystkim Adamowi. Zupełnie nie rozumiała powagi sytuacji, bagatelizowała jej ciężę. Nie tego Kotarska oczekiwała. Wciąż tylko kolejne uwagi starszej siostrzyczki, które tylko ją irytowały i niepotrzebnie stresowały.

Adama nie było w domu przez ostatnie dni. Nie pokazał się po tamtej nocy, kiedy Kotarska dowiedziała się o liście od kochanki. Martwiła się o niego, logicznym wyjaśnieniem było, że pojechał do kumpla albo był w pracy. Wzbraniała się przed zadzwonieniem do niego. Chciała skorzystać z jego nieobecności i wszystko przemyśleć. Cisza oraz spokój sprzyjały tym rozważaniom, ale również potęgowały strach przed konsekwencjami.

Tak trudno było się jej odnaleźć po tym, jak dowiedziała się, że jest w ciąży. Gdy pierwszy szok ustał i spojrzała na swoją sytuację z większym spokojem, uświadomiła sobie, co to wszystko oznacza. Nie było dobrego wyjaśnienia. Nigdy nie przepadała za melodramatami, problemy rodzinne omijała szerokim łukiem. Jej

przypadek zainteresował lekarzy, kiedy była przedwczoraj na badaniach, czuła się jak królik doświadczalny. Czekwała wciąż na szczegółowe wyniki, ale wyglądało na to, że płód nie był zagrożony, a sam uraz głowy i pozostawanie przez okres ponad dwóch tygodni w śpiączce nie miały na to większego wpływu.

– Jedziemy, kochanie! – Usłyszała głos Adama, który niespodziewanie wszedł do przedpokoju. Tryskał entuzjazmem, po chwili do niej podbiegł i zakrył oczy jakimś szalem. Nie wiedziała, co się dzieje.

– Ale...

– Wiem, że jesteś na mnie zła, ale daj się porwać.

Chwilę później znalazła się w powietrzu, niesiona przez niego. Czekala tylko na komentarz, że ostatnim razem była trochę lżejsza, byłoby to w jego stylu, ale Adam milczał. Zupełnie ją zaskoczył, nie znała powodów tej radości. Zachowywał się tak, jakby ostatni tydzień w ogóle nie istniał – zjawił się znikąd i ją porwał.

Początki ich związku były bardzo romantyczne. Adam, który był od niej osiem lat starszy, naprawdę się starał, wciąż przygotowywał jakieś niespodzianki, a Edyta czuła się jak królewna. O tak, była rozpieszczana, ale uwielbiała to. Małżeństwo to było zderzenie z rzeczywistością, wejście w dorosłość, wyścig szczurów w pracy. Adam był wiecznie nieobecny, a ona była zazdrosna, że spędzał w powietrzu więcej godzin niż z nią. Mogłaby to nawet zaakceptować, gdyby nie stewardesy. Adam był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego znała, prezentował się świetnie w swoim mundurze pilota. Ufała mu, ale pokusy były silne.

Ostrożnie postawił ją na ziemi. Było zimno, stali przed domem, a ona nie miała na sobie żadnej kurtki.

– Wejdz, proszę. – Usłyszała dźwięk blokady drzwi samochodu.

Nie protestowała, ale Adam wybrał sobie możliwie najgorszy moment na takie podchody. Miała ochotę płakać. Już nie chodziło o jego zdradę. Nie miała prawa go oceniać, skoro sama nie była święta. Nawet nie wiedziała z kim, po co, kiedy, dlaczego. Musiała porozmawiać o tym z Adamem, była zła na Milenę, że cały czas to powtarza, ale to było i tak nieuniknione. Złościła się na nią, bo siostra miała rację, a tak bardzo nie lubiła tego przyznawać. Tliła się jeszcze nadzieją, że nosi w sobie dziecko swojego męża. Może i byli pokłóceni, ale zawsze lubili nocne figle – to ich zbliżało, potrzebowali bliskości i zaspokojenia. Nawet jeśli za dnia się kłócili, a Edyta była gotowa wyprowadzać się z domu, kiedy nadchodziła noc i leżeli nago, wtuleni w siebie, tamte nieporozumienia traciły na ważności.

Ruszyli, starała się rozpoznać, gdzie podążają, ale szybko straciła orientację. Z głośników samochodowych wydobywały się jakieś durne radiowe reklamy, każda z nich miała ten sam schemat, żadnych innowacji, różniły się tylko produkty. Nie miała ochoty słuchać o rewolucyjnych samochodach, które można kupić po promocyjnej cenie, suplementach diety, gdzie kolejny wyjątkowy składnik ma zapewnić piękną i smukłą figurę, albo o rewelacyjnych tabletkach na zgagę.

– Przełącz stację – poprosiła, choć nie łudziła się, że będzie lepiej.

Wjechali chyba na autostradę, bo przez dłuższą chwilę poruszali się z dużą prędkością. Miała mdłości, zakryte oczy i szybka jazda jej nie sprzyjały.

Stwierdziła ostatecznie, że stała się bardzo humorzasta. Krzyczała bez powodu na siostrę, chwilę później flirtowała z kelnerem. Cały czas marudziła, że coś jej się nie podoba. Cięża była racjonalnym

wytlumaczeniem, ale zarazem zupełnie nowym doświadczeniem. Uzmysłowała sobie, jak niewiele wie o macierzyństwie, w końcu nigdy się tym nie interesowała. Z podstawowych wiadomości wiedziała tylko tyle, że nie może pić alkoholu, palić papierosów i nie powinna przemęczać się fizycznie. Bardziej brzmiało to jak temat lekcji na zajęciach z przystosowania do życia w rodzinie, aniżeli wiedza, jaką powinna mieć przyszła matka.

– Wciąż mnie nienawidzisz? – Adam przerwał milczenie. W tym samym momencie wyłączył radio. Wolałaby go widzieć.

– A to kwestia humoru, czy się kogoś lubi, czy nienawidzi? – odpowiedziała oschle, choć inaczej przygotowywała się do tej rozmowy.

– Zapewne nie, ale czas zmienia perspektywę – powiedział bardzo spokojnie swoim dźwięcznym głosem.

Nie wiedziała, co jej mąż planuje. Wyglądało na to, że się nie poddał, chciał być z nią. Ale od ich ostatniego spotkania role się odwróciły. To ona powinna teraz się starać, robić obiadki, herbatki, a nawet proponować wieczorny masaż. Starła się postawić na jego miejscu, ale żaden z wniosków nie był dla niej pozytywnym rozwiązaniem.

– Gdzie byłeś przez ostatni tydzień? – zapytała.

– Zaraz zobaczysz. Już dojeżdżamy.

– To nie brzmi dobrze. – Wolałaby usłyszeć, że był w pracy albo z kochanką, wtedy nie miałyby przynajmniej takich wyrzutów sumienia.

– Zawsze lubiłaś niespodzianki – powiedział.

To była prawda, ale to „zawsze” skończyło się jeszcze przed ich ślubem.

Cała sytuacja była dla niej paradoksalna. Przecież kiedyś byli sobie tacy bliscy, tak naprawdę mieli tylko siebie, ale taki układ

nigdy im nie przeszkadzał. Teraz dochodziło do tego, że on starał się ją zjednać, nie odpuszczał, chciał udowodnić, że ją kocha. A ona? Ona była w ciąży, a nawet bała mu się do tego przyznać.

Zawsze wykpiwała *Modę na sukces*. Można było zacząć od dwutysięcznego odcinka, a od razu znało się całą historię, tylko starsza ciotka tłumaczyła, z kim kto był wcześniej i ile spłodzili dzieci. Teraz jej życie sprowadzało się do takich samych prawideł opartych na tajemnicach i zdradach. Gdyby tylko jej rodzice nazwali ją Esmeraldą, a Adam byłby zamożnym farmerem na amerykańskich preriach, babcie miałyby swoją kolejną telenowelę brazylijską.

Zatrzymali się.

– Czekaj, pomogę ci. – Adam podszedł do drzwi od strony pasażera, złapał Edytę za rękę i pomógł wstać.

Poczuła pod stopami ziemię, a raczej coś mokrego, zapewne kałużę. Czowała się dziwnie, mając zakryte oczy. Adam powoli ją prowadził, ale podłoże było nierówne. Po tym, jak dwa razy potknęła się o własne nogi, jej mąż w końcu się nad nią zlitował i wziął na rękę.

– Nie wiem, co ty wymyśliłeś. – Żałowała, że dała mu się tak porwać.

– Dużo mówisz, wiesz? – Słyszała, jak się śmieje. Wciąż rozpierała go energia.

– Znowu chcesz wrócić do czasów, kiedy rozmawialiśmy tylko od święta?

– Jesteśmy na miejscu! – Zdjął szal z jej oczu. Potrzebowała dłuższej chwili, aby przyzwyczaić wzrok do światła.

– Oszalałeś! – powiedziała, gdy zobaczyła przed sobą ogród i niewielką willę.

– Chcę być z tobą. Kocham cię. – Klęknął przed nią, nie

przejmując się błotem. – Przepraszam cię, popełniłem błąd. Możesz mnie nienawidzić, ale chciałem ci to powiedzieć.

– Co to jest? – Wskazała na dom w głębi sadu. Miała ochotę płakać.

– Tak mało czasu spędzamy razem. Myślę, że to idealne miejsce na weekendowe wypady za miasto. Jeszcze nie zdążyłem wszystkiego urządzić, ale wyobraź sobie, jak tutaj będzie pięknie na wiosnę! Czujesz to powietrze?!

Łza spłynęła po jej policzku, potem już nie potrafiła ich powstrzymać. Wtuliła się w pierś Adama. Płakała.

– Co się dzieje, kochanie? – Widocznie spodziewał się innej reakcji.

– Pięknie, naprawdę pięknie.

Zawsze marzyła o takim miejscu, gdzie mogłaby odpocząć po ciężkim dniu w pracy. Nie wiedziała, skąd Adama było stać na taki wydatek, mieli pewne oszczędności, ale nie aż tyle, aby pozwolić sobie na kupno nowego domu. Że też wszystko musiało się akurat teraz posypać.

– Muszę ci coś powiedzieć – wyznała Kotarska.

Adam się wciąż uśmiechał, jeszcze nie wiedział, co zaraz usłyszy.

* * *

Wymienił się grzecznościami z sekretarzem stanu w Ministerstwie Zdrowia. Chętnie zamieniłby z nim kilka słów więcej, postrzegał go jako jednego z niewielu kompetentnych w tym departamencie. Niestety od paru lat obsadzano stanowisko ministra zdrowia lekarzami, tak jakby miało to uzdrowić system, który już od dawna nadawał się do kompleksowej modernizacji. Lekarze byli dobrymi specjalistami, ale nie znali się ani na

polityce, ani na formalnościach, które były niestety konieczną koniecznością.

Markiewicz się śpieszył. Już był spóźniony, a nie lubił robić wszystkiego na ostatnią chwilę. Janiszewski wezwał go na dywanik. Tadeusz sądził, że przez najbliższy tydzień będzie miał spokój, premier miał być na szczycie Rady Europy w Strasburgu, ostatecznie Polskę reprezentował minister spraw zagranicznych.

Patrząc na to wszystko obiektywnie, Markiewicz sobie zasłużył, aby na ten dywanik trafić. Od ostatniego spotkania minął tydzień, w sprawie Insight nic nie ruszyło, a przynajmniej nic po myśli Janiszewskiego. Wczoraj miało się odbyć spotkanie Jansena z Samsonem. Tadeusz próbował się z nimi skontaktować, ale ani jeden, ani drugi nie odpowiedzieli na jego telefon.

Wszedł po schodach. Mógł użyć windy, ale to spowodowałoby tylko większą zwłokę. Z zasady wszędzie był przed czasem. Nie wiedział, co się stało. Chyba się po prostu postarzał, bo każda czynność, nawet najprostsza, przysparzała mu coraz więcej problemów. Męczył się przez cały poranek z opinią dotyczącą sprzedaży nierentownych kopalń australijskim inwestorom. Jego podejście było bardzo proste – za wszelką cenę nie dać górnikom powodu do protestów przed Kancelarią Premiera. Strajki to była największa męka. Uważał to za pewien gest desperacji, ostatnią szansę, chorobę związków zawodowych. Niektóre grupy zawodowe zawsze były niezadowolone. Nie byłoby aż tak wielkiego problemu, gdyby politycy bardziej zważali na swoje obietnice wyborcze i pamiętali, że w przypadku zwycięstwa będą one egzekwowane. Sytuacja robiła się krytyczna, kiedy walczyć o swoje przychodziły matki z małymi albo chorymi dziećmi. Dla Tadeusza to już była pewna przesada i nie miał o to pretensji do protestujących osób, a do samych polityków, że na to pozwolili.

– Byłem umówiony na spotkanie – powiedział do sekretarki premiera.

Spojrzała na niego zza swoich okularów połówek, zapewne próbowała przypomnieć sobie jego imię. Już dawno zauważył, że ta sekretarka chyba gustuje w diecie opartej na tłuszczach. Taki wniosek sugerował talerz pączków na jej biurku, tusza, która powodowała, że ledwo mieściła się na krześle, i skleroza. Markiewicz był tutaj dość częstym gościem, a ona wciąż nie potrafiła zapamiętać, jak się nazywa. Cieszył się, że jego sekretarka jest zdecydowanie bardziej ogarnięta, a patrzenie na nią nie sprawia takiego bólu oczu jak w tym przypadku.

– Premier ma jeszcze gościa. Proszę się rozgościć i chwilę poczekać.

Tadeusz spojrział na zegarek. Nie uśmiechało mu się tracenie czasu w poczekalni, kiedy mógł zrobić wiele innych rzeczy.

– Pączka? – zagadnęła sekretarka, wskazując na talerz.

– Nie, dziękuję – odpowiedział uprzejmie. Jej widok skutecznie odebrał mu apetyt.

Usiadł na krześle, które może i wyglądało pięknie, ale było niezwykle niewygodne. Odczytał wiadomości tekstowe od żony, której chyba się nudziło. Co chwilę przysyłała mu zdjęcia małego Tadeusza. Opisy też nie były zbyt górnolotne: „Mały w objęciach Ani”, „Tadek i jego pielucha”, „Gdzie jest Nemo?”. Czasem miał wątpliwości, co ta osoba ma w głowie i dlaczego postanowił się z nią ożenić. Przeklinał ten dzień, kiedy pokazał jej nowe oblicze techniki – możliwość wysyłania MMS-ów. Współczuł Henrykowi i Ani, bo choć Maria pewnie miała aspiracje, aby stać się idealną teściową, to ilość ubrań, których „nie mogła się oprzeć, żeby nie kupić”, już dawno przekroczyła możliwości lokalowe ich mieszkania. W gruncie rzeczy to Tadeusz był zazdrosny, jego

koszule były w krytycznym stanie, nie pogniewałby się, gdyby żona sprawiła mu nową, to było nawet wskazane, tym bardziej że to i tak jego konto cierpiało na tych rozpustnych zakupach Marii.

Ktoś otworzył z rozmachem drzwi gabinetu premiera. Niespodziewanie Markiewicz ujrzał Jansena. Starał się ukryć swoje zaskoczenie. Frederic przywitał się z nim minimalistycznym skinieniem głowy, jego twarz jak zwykle nie wyrażała żadnych emocji, nie potrafił odczytać jego nieprzejeđnanych myśli.

– Nie sądziłem, że cię tutaj zobaczę – powiedział Tadeusz. Obecność Jansena w gabinecie premiera nie wróżyła nic dobrego.

– Faktycznie. – Tak jakby to jedno słowo stanowiło właściwą odpowiedź. – Przepraszam, ale się śpieszę...

Chciał go zatrzymać, zapytać o wczorajsze spotkanie z Samsonem, dowiedzieć się, jaki był cel wizyty u premiera, ale w tym momencie na drodze stanął mu sam Janiszewski.

– Zapraszam – powiedział i wskazał na swój gabinet. Jego zaciśnięte wargi oznaczały, że był wzburzony.

Nie byli sami. Z daleka rozpoznał Nowińskiego. Był odwrócony plecami, ale jego charakterystyczna łysina lśniła z daleka jak latarnia. Gdyby Markiewicz był na jego miejscu, zainwestowałby w jakiś matujący krem, choć nie wiedział, czy coś takiego w ogóle istnieje.

– Dawno się nie widzieliśmy. – Nowiński wstał i uścisnęli sobie ręce.

– Dobrze cię widzieć, Gilbert. – Ton głosu Tadeusza mógł sugerować, że wcale się z tego spotkania nie cieszy.

– Usiądźcie – powiedział premier, który zajął centralne miejsce, za swoim biurkiem.

Markiewicz zauważył, że tutaj również na blacie gościły pączki. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że dzisiaj przecież tłusty czwartek.

– Co masz nam do powiedzenia? – Janiszewski zwrócił się do Tadeusza.

To nie była wyrównana pozycja. Jeden na dwóch, Markiewicz wiedział, do czego to wszystko zmierza. Mógł się spodziewać, że premier sięgnie po takie rozwiązanie. W jakiś sposób udało mu się skontaktować z Jansenem. Odpowiedział Tadeuszowi tym samym – zaczął działać za jego plecami.

– Widzę, że już wszystko zostało powiedziane – odparł, przybierając beztroski ton. Największym błędem byłoby w tej chwili pokazać swoją urażoną dumę i dać do zrozumienia, że się przejmuje. – Mogę? – Rzucił okiem na pączka, choć nie miał na niego najmniejszej ochoty.

– Co takiego zostało powiedziane? – Premier był zaskoczony jego odpowiedzią.

– Niech zgadnę... uznałeś swój pomysł za jedyny słuszny, dogadałeś się z Gilbertem i umówiliście się z Jansenem, który przekonał was do swoich racji. – Wiedział, że Frederic potrafił być skuteczny w walce o swoje.

– Ty i te twoje spiskowe teorie – zachnął się Nowiński.

– To twoja domena. – Nie potrafił się oprzeć, żeby odpowiedzieć na tę zaczepkę, ale faktycznie mógł się postarać o lepszą ripostę.

– Skończyliście? – Janiszewski spojrzał na nich z politowaniem. – Mylisz się. – Odwrócił się w stronę Tadeusza. – Naprawdę na ciebie liczyłem, jesteś specjalistą, a ja tylko twarzą. To Jansen się do nas odezwał, naciskał na spotkanie. Usłyszeliśmy od niego zatrważający jak dla mnie opis wydarzeń. Teraz chciałbym to skonfrontować z twoją wersją.

Takiego przebiegu wypadków Markiewicz nie przewidział. Premier mógł blefować, ale przecież przed chwilą widział, jak Jansen wychodzi ze spotkania. Co dokładnie powiedział im

Frederic, dlaczego postanowił działać przeciwko Tadeuszowi? Wyglądało na to, że Maks Samson miał rację, mówiąc, że Jansen tak łatwo nie odpuści Insight. To już nie chodziło o to, że Frederic chciał posiadać władzę i kontrolować sytuację. Tutaj w grę wchodziła ambicja, że ktokolwiek ma czelność mu coś narzucać.

– Pięknie powiedziane. – Nowiński patrzył na Tadeusza z nieskrywaną niechęcią, ale jego słowa odnosiły się chyba do wypowiedzi premiera. – Chodzi tylko o to, co zrobiłeś. Walić poprawność polityczną, ty już dawno przekroczyłeś tę granicę. Po co ci to wszystko? Co chcesz ugrać?

Markiewicz przełknął głośno ślinę. Bałby się spotkać z Nowińskim sam na sam na mieście. Wyglądał na takiego, co przeżył w życiu niejedno, raczej nie posiadał większych skrupułów, a w przeciwieństwie do Tadeusza znał lokalizację siłowni, co więcej, pewnie bywał tam kilka razy w tygodniu.

– Nie wiem, o co wam chodzi i co dokładnie powiedział Jansen. Chcecie prawdy, więc dostaniecie ją, ale to i tak nic nie zmieni. –

Tak naprawdę cokolwiek by nie powiedział i tak zostałyby źle przyjęte. Jeżeli to było jego pożegnanie ze światem polityki, zdecydowanie odbiegało od jego koncepcji bankietu dla najbliższych współpracowników. – Znasz moją wersję – powiedział do Janiszewskiego. – Rozmawiałem z Frederikiem, pytałem, czy widzi kogoś na swojego następcę, aby naprawić wady systemu, które się ostatnio ujawniły...

– Nie chce mi się słuchać tej historyjki. – Nowiński aż poczerwieniał ze złości. Markiewicz nie wyobrażał sobie, aby narzędzia Insight miały dostać się w ręce tego człowieka.

– Zjedz sobie pączka. – Ku zdziwieniu Tadeusza zaproponował premier, chyba też był poirytowany zachowaniem szefa ABW.

– Taką osobą miał być zdaniem Frederica Maks Samson –

kontynuował Markiewicz. – Wywodzi się z CBS, pracował w Insight przez krótki czas. Spotkałem się z nim, nakreśliłem sytuację. Zgodził się na próbę, ale nie znam wniosków po jego spotkaniu z Jansenem. Koniec historii.

– A gdzie w twojej opowieści jest miejsce na śmierć trzech pracowników? – wytknął Nowiński.

Markiewicz zmrużył oczy. To jednak nie był blef, ale nie mógł uwierzyć, że szef Insight przyznał się do popełnienia zabójstw.

– Frederic wam o tym powiedział?

– Widocznie ty nie miałaś do tego jaj. – Szef ABW nachylił się agresywnie w jego stronę.

– Spokojnie, wierzę, że Tadeusz nam wszystko wyjaśni... – próbował opanować sytuację Janiszewski.

Ale Markiewicz nie miał dobrej odpowiedzi. Sam nie znał szczegółów. Człowiek jest, po chwili go nie ma, a sprawcą jest osoba, w której rękach spoczywa bezpieczeństwo Polski. Podsumowując – jedno wielkie gówno. Gdzieś w tym wszystkim był Maks Samson, który po spotkaniu z Jansenem pewnie już zdążył Tadeusza znienawidzić. Ale Markiewicz też czuł się oszukany, Frederic go wystawił, dał argumenty Nowińskiemu, a sam pozostał bez szwanku, zapewne z uzgodnionymi po swojemu regułami i zatrzymaną posadą szefa.

Usłyszał dźwięk nadchodzącej wiadomości SMS. Niestety to nie był dobry moment, aby sprawdzić, jakie tym razem zdjęcie nadesłała Maria. Domyślił się tytułu: „Tadek i jego pączek”.

Realia były jednak mniej słodkie.

* * *

Tik-tak, tik-tak.

Najpierw pojawił się niepokój.

Obudził się dzisiaj, dławiąc się krwią. Szczypały go oczy, ból można było porównać do tego, który towarzyszy zapaleniu spojówek. Ryglewicz nie mógł już dłużej leżeć, nie było pozycji wygodnej, która choć trochę złagodziłaby dolegliwości. Chodził więc w kółko, na ile pozwalała przestrzeń celi. Z nerwów zerwał sobie paznokieć. Choć na chwilę powstrzymało to ból głowy, bo skupił się na palcu. Teraz tego żałował, bo niepotrzebnie się osłabiał. Próbował też porozumieć się z Hałyckim, ale tak jakby został zapomniany. Nawet pielęgniarz nie przyszedł, a krzyki i wzywanie strażników nic nie dawały.

Był zbyt genialny, żeby grypsować, to nie był jego świat, żeby żenił bałach na wydrę albo styrał z kimś dziewionę. A oni będą żałować. Nie cierpiał ignorancji, to był grzech i choć nie wierzył w Boga, to twierdził, że inkwizycja jest darem cywilizacji, a ogólne spaczenie społeczeństwa to tylko wynik jej braku.

Tik-tak, tik-tak.

Ścisnął swój członek. Bolał go palec, cała ręka była we krwi, ale on potrzebował zaspokojenia. Liczby były dobre, ale męczące. A on chciał fizycznego oczyszczenia. Na podłodze były już plamy po wcześniejszych wytryskach. Nie przejmował się tym. Zapach spermy był lepszy od woni szczurzych odchodów.

Dostał kolejne wezwanie na przesłuchanie. Do tej pory nie powiedział policji nawet jednego słowa, nie byli ich warci. Zastanawiał się, czy spotka U_45G, ciekawe, czy zmienił się ostatnio i jak czuje się jako ofiara jego intrygi. Ryglewicz mógł się nie przejmować i nie bawić się w podchody z zegarami. Ktokolwiek sprawdzałby płytę, nie odkryłby żadnych niebezpieczeństw, a skutek byłby taki sam – RESET. Wszystkie dane Danielewicza i jego pośredników, które mogły stanowić źródło dowodów dla policji, w tej chwili już nie istniały. Za spełnione obietnice należy

się nagroda.

Zostawił sobie jeszcze jedno wyjście awaryjne, na razie nie widział sensu z niego korzystać. W gruncie rzeczy nie wiedział, jak to działa, przekazał Różyckiemu konkretne dyspozycje, informatyk nie miał żadnych pytań, nie zgłaszał żadnych problemów, więc zakładał, że wszystko się udało.

Chciał się zobaczyć z Danielewiczem, uściskać go, podziękować. Mogli już się więcej nie zobaczyć. Anton wkrótce miał być zupełnie wolnym człowiekiem, a Ryglewicz zaczynał nowe życie.

Potrzebował krwi. Zapach spermy był do zaakceptowania, ale na dłuższą metę już mu się znudził. Chodziło też o kilka dodatkowych efektów – ruch ciała ofiary, krzyk i płacz, błaganie o litość. To był rodzaj adrenaliny, której nie przyniesie żaden sport ekstremalny albo samookaleczanie. To motywacja, pragnienie zrobienia kolejnego kroku, gdzie umowna granica pomiędzy życiem a śmiercią jest na wyciągnięcie ręki, zależna tylko od niego.

Potrzebował władzy.

Tak – był słaby.

Tak – był brzydki.

Tak – miał kompleksy.

Nikt, patrząc na niego, nie domyśliłby się, jak wiele potrafi. Potrzebował docenienia, odnajdywał je w strachu swoich ofiar, kiedy uświadamiały sobie, jak wielki popełniły błąd, że go zlekceważyły.

Miał ochotę na M_36K. Klasyfikacja wymagała aktualizacji, ale i tak była warta kilku chwil poświęcenia. Może udałoby się zachęcić ją do zrobienia lodzika. Jeszcze nigdy nie miał okazji tego doświadczyć, a oglądanie porno dawało tylko ogólne pojęcie, jednak bez odczuć, a właśnie na to liczył. Nie chciał tego robić na siłę, bałby się, że mu odgryzie. M_36K pewnie była już

doświadczona, wiedziała, jak to się robi. Polizał zakrwawioną rękę i ścisnął nią członek, wyobrażając sobie ten moment.

Wciąż nim był, jego obawy się nie potwierdziły. Tak bardzo się z tego powodu cieszył, nie chciał się zmieniać, czuł się tak dobrze. Był genialny. Inni pewnie postrzegali go jako mordercę, nie widzieli nic poza tym, mieli klapki na oczach. A chodziło o coś więcej.

Tik-tak, tik-tak.

Już nie martwił się o czas, miał go wystarczająco. Nie liczył nieubłagane uciekających sekund, dzięki temu był spokojniejszy. Znowu mógł planować i żyć przyszłością. Więzienie nie było granicą jego wyobraźni.

To liczby stanowiły rozwiązanie. Były najprostsze, do tego stopnia banalne, że ludzie się ich obawiali. Choroba cywilizacyjna, która polega na odwiecznym utrudnianiu sobie życia. Jak coś jest proste, budzi niepokój i strach, że to może być podpucha. Szukanie dziury w całym nie jest rozwiązaniem, kiedy odpowiedź naprawdę jest na wyciągnięcie ręki.

Pozostawał jeszcze ból, coś, co nie pozwalało mu zaznać spokoju. Dotknął opatrunku na głowie, aby upewnić się, że rana nie krwawi. Krzyknął. Światła zostały zgaszone już jakiś czas temu, ale on nie miał ochoty spać, zamknięte oczy tylko wzmagaly odczucie bólu. Chciał słyszeć jęk swoich ofiar, powiększać swoje kolekcje, spełniać się. Krzyknął po raz kolejny. Strażnik uchylił małą zasuwkę w drzwiach i spojrział na niego wymownie.

– Uspokój się! – Wzrok strażnika zatrzymał się na zakrwawionej ręce Ryglewicza i spodniach poplamionych spermą.
– Ohyda!

Ryglewicz wrzasnął w odpowiedzi. Już nie chodziło o ból, a o hałas, potrzebował go. Został stworzony do wyższych celów.

– Stul pysk! Śpij! Co ci się dzieje?!

– Jestem po prostu genialny! – wrzasnął Ryglewicz.

– Tak po prostu? – Strażnik się zaśmiał. Kolejny kretyn, który śmiał go lekceważyć.

– Po prostu genialny.

Położył się na podłodze i wziął do ust swoją spernę. Chwilę później wypluł ją na twarz strażnika.

4

– Nie idziesz dzisiaj na uczelnię? – zapytała Dagę mama.

– Bardziej dziwi mnie, że ty nie jesteś w pracy.

– Źle się czułam, więc odwołałam wszystkie wizyty.

– Wszystko OK? – Dagmara odwróciła wzrok od śniadania i przyjrzała się mamie.

– Taka pogoda, że pewnie złapał mnie jakiś wirus.

Z zasady lekarze byli bardziej narażeni, bo większość czasu spędzali z chorymi, na szczęście pacjenci mamy przychodzili zwykle z innymi problemami. Pracowała w klinice dermatologicznej.

– Chcesz trochę? – zapytała Daga, wskazując na miskę z mlekiem i płatkami.

Powinna ograniczyć swoją porcję przynajmniej o połowę i sięgnąć po mniej kaloryczne musli, co automatycznie oznaczało mniejszą rozkosz dla podniebienia, bo te oblane miodem były zdecydowanie smaczniejsze.

– Przecież wiesz, że dla mnie jedynym rozsądnym śniadaniem jest owsianka.

– Oczywiście...

Gdy była mała, mama nieustannie torturowała ją tą papką, wmawiała, że to dobre i zdrowe, i nie ma pożywniejszego posiłku. Dla Dagi może to było zbyt dobre i zbyt zdrowe, bo nigdy tego nie polubiła, nawet wersji pro, kiedy mama urozmaicała owsiankę bananami, rodzynkami i dżemem truskawkowym.

– Co u ciebie? – zapytała mama, siadając tuż obok.

Dopiero teraz, w innym świetle, Daga dostrzegła jej szkliste oczy. Zasugerowałyby jej ciepłą herbatę i kołdrę, ale знаła już ją na tyle, że znała jej odpowiedź.

Nigdy nie wiedziała, jak reagować na tak ogólne pytania, tym bardziej że to zadała jej matka. To tylko obrazowało, jak rzadko się widywały i jak niewiele wiedziały o sobie. Nawet jak przychodził weekend, było tyle zaległości po całym tygodniu, że wspólne przesiadywanie przy telewizji albo zakupy stanowiły tylko kategorię planów z zerową szansą realizacji. Pogoda też nie sprzyjała leniuchowaniu na tarasie albo rodzinnemu grillowaniu, choć Daga nie przypominała sobie, kiedy coś takiego miało ostatni raz miejsce.

– W porządku. – Odpowiedź była równie niekonkretna.

– Wiesz, o co pytam...

– Wiem. – Mogło chodzić tylko o Szymona.

Nie wiedziała, jak się zachować, z zasady nie zwierzała się mamie, wolała się umówić z przyjaciółkami na wino, gdzie każda kolejna wyzalała się na swoje pełne porażek życie miłosne. To zarazem podnosiło na duchu każdą inną, w dodatku z konkluzją, że nie są odosobnione w swojej niedoli. Dochodził argument, że mogło być jeszcze gorzej.

– Polubiłam go – powiedziała mama, podkradając palcami kilka płatków kukurydzianych.

Chyba jej zasmakowały, bo po chwili sięgnęła po raz kolejny. Daga spojrzała na nią z wyrzutem.

– No, co tak patrzysz? – Matka chyba wcześniej przymierzała się do tej rozmowy.

– Bo nie wiem, co ci odpowiedzieć. Wydawało mi się, że nie przypadł ci do gustu.

– Przecież wiesz, że życzę ci jak najlepiej. – Pogłaskała ją tak,

jakby Daga wciąż była małym dzieckiem. – Nie mogę od razu apróbować każdego kawalera. Mamy te nasze małe, kobiece sekrety.

Daga miała wrażenie, że coś ją ominęło. Ojciec, który pali papierosy i bluzga, mama, która rozmawia z nią o mężczyznach. Kochała swoich rodziców, odbiegali od normy w każdej kategorii, nigdy się z nimi nie nudziła, bo nawet jeśli myślała, że już ich zna i potrafi wszystko przewidzieć, nagle działy się właśnie takie rzeczy, które zupełnie zmieniały dotychczasowe zasady.

– Może to po prostu nie było to.

– Nie brzmisz przekonująco. – Mama patrzyła na nią uważnie, ale jej ręka co chwilę wędrowała do miseczki z płatkami.

– Zostawmy to, tak będzie lepiej.

– Lepiej dla kogo? Dla ciebie, Szymona czy dla mnie?

Najchętniej odpowiedziałyby wymijająco, że matka i tak tego nie zrozumie. Nie chciała jej wprowadzać w szczegóły sytuacji z Nogałą. Próbowwała od tego uciec, cieszyła się spokojem, a mogła się domyślać reakcji mamy – panika, niezrozumienie, złość i chęć szukania zadośćuczynienia.

– Skończyło się tak szybko, jak się zaczęło. Widocznie nie nadaję się do życia w związku.

– A może chodzi o tę jego książkę?

Daga dosypała płatków do miseczki, bo nie była przygotowana na to, że mama wykradnie zdecydowaną większość jej śniadania.

– Dlaczego musisz doszukiwać się jakichś rozwiązań? To przecież bez sensu...

Mogłaby się przyznać, że to jej wina, ale nie do końca tak było. Nie chciała jednak, aby powstało założenie, że to przez Szymona i jego projekt. Osobą odpowiedzialną był Darek Nogała. Czytała wcześniej o stalkerach, nie wiedziała, czy tę sytuację można

wrzucić do tego samego worka. Sądziła, że jest silna, że ma charakter, że potrafi walczyć o swoje. To była kwestia tygodnia, a Nogała zmienił ją w kłębek nerwów, wykorzystał każdy słaby punkt i skupił się na Milewskim. Wiedział, gdzie była, do kogo pisze, z kim rozmawia. Kontrolował ją tak, jakby była jego własnością. Teraz, kiedy w końcu oddychała spokojniej i budziła się bez lęku, że zaczął się kolejny dzień, dochodziła do wniosku, że Darek chciał jej bronić, a wszelkie jej odpowiedzi odmowne i próby ucieczki uznawał za jej strach przed uczuciem i typowe kobiece humorki. Dokładnie tak, jakby był jedynym właściwym wyborem.

– No, przepraszam, że chcę poważnie porozmawiać z córką...

– Więc postaraj się posłuchać, co mam do powiedzenia, a nie twórz własnych teorii. – Rozmowa zmierzała w złą stronę.

– Gdybyś w końcu powiedziała jakiś konkret, to pewnie bym tego nie robiła. – Mama wyglądała na rozszuszoną. – Mam wrażenie, że mówisz wszystko tacie, a mnie traktujesz jak cień.

– Mamo... – Daga miała temperament po matce. – Nie masz powodów do zazdrości...

– Zazdrości?! – Otworzyła usta, ale chyba nie znalazła odpowiednich słów.

Dadze wystarczyło, że była pokłócona z Szymonem, kolejna wrogo nastawiona osoba to było już za wiele. Przybliżyła się do matki i przytuliła się do jej piersi.

– Nie martw się o mnie, wszystko będzie dobrze...

– Kocham cię, córeczko, nie zapominaj o tym. – Mama pogłaskała ją po głowie. – Widzę, jak ci na nim zależy, a lepiej żałować, że się coś zrobiło, niż odwrotnie.

Kolejne zdziwienie. Takie słowa brzmiały dobrze w ustach dwudziestolatków, którzy stawiają na przygodę i żyją marzeniami. Naprawdę coś ją ominęło. To był chyba ten moment kryzysu wieku

średniego, który zsynchronizował się u jej rodziców.

– Lepiej mi powiedz, jak tam z tatą. – Wróciła do swojego śniadania. Płatki zdążyły się rozmoczyć, wołała, gdy były chrupkie, ale zawsze mogła zrobić jeszcze jedną porcję. W końcu planowała dietę dopiero od najbliższego poniedziałku.

– Powtórka z rozrywki – powiedziała mama, kierując wzrok na drzwi prowadzące do garażu.

– Chyba już przywykłaś? – odparła Daga.

Matka zachowywała się zdecydowanie spokojniej niż na początku.

– To nie jest już ten pierwszy szok, choć skoro mam męża, wolałabym go czasem widzieć w łóżku... Jeżeli wystarczy mu garaż, po co kupował cały dom? – Mówiła z przekąsem, ale tonem nienapastliwym, choć w takim przypadku mógłby być uzasadniony.

– Pamiętasz? – zaczęła Dagmara. – Gdy poznałaś Szymona, powiedziałaś, że jest podobny do taty, to zaleta czy wada?

– Mogę się wkurzać na twojego ojca, ale to dobry człowiek. Ważne, że ma swoje pasje...

– Masz na myśli morderstwa? – Zaśmiała się. – Nie wiem, czy to takie dobre.

– Wiesz, o co mi chodzi. Najgorsze to żyć z człowiekiem, który nie potrafi znaleźć dla siebie miejsca, wciąż narzeka, marnuje swój czas przy telewizorze i nie ma z niego żadnego pożytku.

– Jaki jest pożytek z ojca? – Daga rozejrzała się po kuchni połączonej z salonem. W domu przydałby się generalny porządek i remont.

– Nie można być zbyt zachłannym. Wierzę, że to przesiadywanie w garażu ma jakiś cel i jest po prostu konieczne.

– No, ale jak to się ma do Szymona? – Wolałaby o nim nie

mówić, ale w końcu sama zaczęła. Ciekawość była silniejsza.

– Nie znam go tak jak ty – zaczęła mama. Daga miała wątpliwość, czy ktokolwiek go tak naprawdę zna. – Z tego, co zauważyłam, bardzo zaangażował się w sprawę. Przecież bywał tutaj prawie codziennie. A co z tego tak naprawdę ma?

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że mama czeka na jej odpowiedź. Zastanowiła się, tylko jedno rozwiązanie brzmiało dla niej racjonalnie.

– Satysfakcję.

– No właśnie – przyznała matka. – To wyróżnia Szymona i tatę. Wszyscy tylko patrzą na bilans zysków i strat, chodzi o pieniądze, nieważne są małe przyjemności i radość z tego, co się robi.

Daga zgadzała się z mamą, sama za bardzo podporządkowywała się trendom i swoistej presji otoczenia. Rówieśnicy na wydziale prawa tylko prześcigali się, byle dostać się do kolejnej kancelarii, pasje i przyjaciele schodziły na drugi plan, bo nie było na to czasu – lepiej było harować w pracy za minimalną krajową i udawać, że jest się szczęśliwym.

– Tylko wypadaloby odnaleźć jakiś złoty środek – odparła po chwili Dagmara.

– Kiedy w coś już raz się zaangażowało, bardzo trudno zwyczajnie odpuścić. Jakiś rodzaj ambicji...

– Czy ty bronisz taty? – zaśmiała się Daga.

– Bez przesady. – Mama mrugnęła do niej.

W tej chwili ktoś otworzył drzwi prowadzące do garażu. Wszedł zza nich Miłosz, który chyba nie spodziewał się, że o tej porze ktoś może być w domu. Przeciągnął się i wydał z siebie bliżej nieokreślone okrzyki godowe. Wyglądało na to, że dopiero wstał. Wyglądał zabawnie w dresowych spodniach i koszulce z Kubusiem

Puchatkiem, założonej na odwrót. Jego włosy były potargane, a jako że z wiekiem jego zakola bardziej przypominały Zatokę Gdańską, wyglądał jak szalony profesorek.

– Cześć, tato – powiedziała Daga z uśmiechem.

– Jak ty wyglądasz?! – Mama od razu przybrała inny ton i popatrzyła na swojego męża ze złością, co stanowiło obrót o sto osiemdziesiąt stopni w porównaniu z tym, co było przed chwilą.

– Tak... – Tata zatrzymał się w pół kroku. Bał się mamy, to była dawno potwierdzona prawda. – Mogę zjeść śniadanie? – zapytał jak małe dziecko, które coś przeskrobało.

Dagmara podsunęła mu miskę z reszką płatków.

– A nie ma czegoś konkretniejszego? – odpowiedział z nadzieją. Pewnie marzyło mu się jakieś dobrze podpieczone udko albo lasagne.

– Ogarnij się. – Mama spojrzała na niego z politowaniem.

– Jakieś nowości? – Dagmara była ciekawa, co tata odkrył przez ostatnią noc.

Ojciec był w wyjątkowo dobrym nastroju. Podeszedł do lodówki i chyba znalazł tam coś dobrego, bo przez dłuższy czas się nie odwracał.

– Zamknij ją, bo to nieekonomiczne – rzuciła w jego stronę mama, wciąż zde gustowana wyglądem męża. – I nie waż się dotykać sernika, bo upiekłam na wieczorne spotkanie z koleżankami.

Daga tylko się zaśmiała, widząc przerażony wzrok ojca. Jego usta były pełne, nietrudno było się domyślić, że właśnie owego sernika.

– Ireno... – tata zwrócił się do mamy, z trudem przełykając zawartość ust. – Zakładając, że nie pracujesz i zajmujesz się dziećmi. Co robisz w wolnym czasie?

– Śledzę męża – odpowiedziała z przekąsem, ale tata wciąż był poważny.

– Dokładnie! – Był podekscytowany. Po chwili znowu się odwrócił, otwierając lodówkę. – Znakomity sernik, Ireno. Naprawdę, znakomity!

* * *

Była dopiero szesnasta. Nie był przyzwyczajony do tak wczesnych powrotów do domu. Musiał koniecznie znaleźć jakieś zajęcie, bo choć kiedyś narzekał, że nie ma na nic czasu, to teraz wcale mu to nie pomagało, bo za dużo myślał nad swoim życiem. Maks miał kilka bolączek. To już nie chodziło tylko o pracę, ale również o rodzinę. Musiał zdecydować, co dalej, gdzie w tym wszystkim jest dobro jego ukochanej Fiony, co jest dla niej lepsze.

Przeszedł dzisiaj obok Insight. To miejsce przyciągało go jak magnes, bo choć nie chciał tam wracać, a również Jansen rozwiał wszystkie wątpliwości, to chodziło już o coś innego. Nie chciał, nie potrafił, nie mógł – to obecnie spotykało się z zupełnie innymi odczuciami i emocjami.

Nie odebrał kolejnego telefonu od Markiewicza. Nie miał ochoty z nim rozmawiać i słuchać tłumaczeń, był za stary, aby bawić się w takie gierki. Nie był pewny, czy chodziło tylko o Jansena, czy też może sam Markiewicz był głową tego teatrzyku. Frederic przekazał mu w trakcie ostatniego spotkania kilka faktów; jeśli faktycznie miał rację, zablokowanie powrotu Samsona do CBS nie miało związku z jego kompetencjami, a była to jedynie gra polityczna. Prawda była taka, że gdyby w ostatni piątek otrzymał od szefa CBS inną informację, nawet nie zastanawiałby się nad kwestią Insight, wróciłby do służby, jego życie znowu stałoby się normalne i schematyczne. Z jednej strony było to nudne, ale po

pewnym czasie stawało się zwyczajnie akceptowalne.

Jeszcze nie szukał nowej pracy. Co tak naprawdę mógł robić? Pójść na szkolenie z prowadzenia wózków widłowych albo zarejestrować się jako bezrobotny i szukać pomocy w urzędzie pracy? Czuł się wciąż zbyt młody, aby poddawać się i pozwolić na emocjonalne zachowanie. Czego innego nauczył się w CBS, został wyszkolony do określonych zadań, teraz rezygnowali z jego usług, ale on nie wyobrażał sobie innego miejsca pracy. Zwyczajnie nie widział siebie ze szpadlem w ręce na budowie albo stukającego w klawiaturę w jakimś urzędzie, co zapewne sprowadzałoby się do przepisywania liczb w arkuszu Excela.

– Cześć, królewno. – Ucałował córeczkę, która siedziała na dywanie i bawiła się pastelami.

– Dzień dobry, panie Samson – powiedziała dziewczyna, która spoczywała na kanapie obok. To była Gosia, którą jego żona czasem prosiła o niańczenie.

– Witaj... – odparł, zdejmując swój płaszcz. – Magda mówiła, kiedy wróci?

– Prosiła tylko, żebym została do czasu pana powrotu.

– Zatem jesteś wolna – powiedział.

Miał nadzieję, że Fiona nie będzie tak wyglądać za parę lat. Gosia miała na sobie czarne spodnie, czarną bluzę z trupią czaszką i czarne glany po same kolana. Ogólnie to była cała czarna, a do jej praktyki domowej nie należało ściąganie butów. Nastolatka wstała, ale nie ruszyła się z miejsca. Żuła gumę i patrzyła na niego tak, jakby na coś czekała.

– Ach tak. Na ile się umawialiście? – Wyciągnął portfel i pozbył się ostatniego banknotu pięćdziesięciozłotowego, który mu jeszcze został.

– Do widzenia, panie Samson! – Usłyszał tylko trzaśnięcie

drzwiami.

Usiadł obok królowny, w końcu nikt mu nie zakazywał spędzać z Fioną czasu, Magda pozwoliła mu znów wprowadzić się do domu, wydawało się, że wszystko wraca do normy. No właśnie, wydawało się. Po tym, co wydarzyło się przez ostatnie tygodnie, miał coraz większe trudności, aby w tym wszystkim się odnaleźć. Pewnych słów nie dało się cofnąć, po prostu padły. Problemy, jakie robiła mu żona, bezpodstawne zarzuty, krzyki i awantury. Już nawet nie wiedział, od czego to wszystko się zaczęło. Pewnego dnia kazała mu się wynosić z domu, który był zresztą jego własnością. Może nie powinien być tak uległy, ale chodziło tylko o Fionę, bo nie chciał, żeby na tym ucierpiała. Potem były papiery rozwodowe, a sąd po teatrzyku Magdy ograniczył mu możliwość widzenia się z córką. W końcu udało im się pogodzić, choć było to tymczasowe rozwiązanie. Jak ostatnio stwierdził, chodziło tylko o forszę, bo Magdy nie było stać na prowadzenie dotychczasowego, rozpustnego życia. Spędzała całe dni przy kawie z przyjaciółkami, nie stroniła od zakupów, przynajmniej raz tygodniowo chodziła do fryzjera, kosmetyczki, do tego masaże i inne rozrywki. Pracowała jako recenzent dla jednego z wydawnictw, ale Maks rzadko widywał ją przy książkach.

Spojrzał przelotnie na komputer, który zabrał z mieszkania Zamoyskiego. Wejście do systemu wymagało znajomości hasła. W Insight pracowały osoby, które bez problemu mogły pokonać zabezpieczenia, mógł też przekazać laptop Goczałce, ale mając doświadczenie w pracy z informatykami w CBS, raczej nie zakładał otrzymania odpowiedzi, a wręcz przeciwnie, musiałby wyjaśniać i tłumaczyć fakt znalezienia się w jego posiadaniu. Na razie odłożył komputer na bok, czekał, aż Miłosz się odezwie. Przekazując znalezione dokumenty, oczekiwał jakiejś reakcji,

minęło kilka dni, a punkt wyjścia pozostał bez zmian.

– Gdzie jest mamusia? – zapytała Fiona.

– Wkrótce wróci. – Pomógł królownie układać kredki. – Co to jest? – Wskazał na rysunek. Wolał nie oceniać, bo okazałoby się jeszcze, że nie trafił.

– Nie wiem. – Córeczka podrapała się po policzku, zostawiając brudny ślad po pastelach.

Była taka kochana, jego największy skarb. Miała dopiero sześć lat, jeszcze wszystkiego nie rozumiała, nie wiedziała, jak wielkim jest dla Samsona szczęściem.

– Głodna? – zapytał. Nie był dobrym kucharzem, ale sam umierał z głodu, a szczerze wątpił, aby Magda cokolwiek dla nich zostawiła.

– Bardzo.

– Chodź, zostaniemy szefami kuchni! – Wziął ją na barana. Szedł uważnie, aby przypadkiem nie zahaczyć o żyrandol.

– Super! – krzyknęła.

Lodówka była pusta, nie licząc keczupu, majonezu, przeterminowanego sera pleśniowego i kilku jogurtów.

– Na co masz ochotę? – Maks zapytał Fiony.

– Pizza!

Nie miałyby nic przeciwko, gdyby nie to, że już go nie było na nią stać.

– Wiesz co? Zdradzę ci sekret na obiad mistrzów! – Pozwolił jej usiąść na blacie kuchennym.

– A co to takiego? – zaciekawiała się.

– Frytki z majonezem! – krzyknął, żeby zrobić odpowiednią oprawę.

– Feee. – Fiona zakryła oczka.

– To potrawa narodowa w Belgii. Kiedyś cię tam zabiorę

i zjemy oryginalne!

Nie miał pomysłu na nic innego. Mając do dyspozycji mrożone frytki i majonez w lodówce, wybór był bardzo ograniczony – frytki albo majonez, albo to i to. W czasach, kiedy wszystko sprowadza się do tego, że musi być zdrowe, frytki trochę traciły rację bytu. Były kaloryczne, tłuste i potrzebowały soli, aby smakować jakkolwiek. Majonez też nie należał do dodatków typu light.

Ktoś zapukał do drzwi. Maks nikogo się nie spodziewał, więc wyjrzał przez okno, zobaczył czarną limuzynę na warszawskich rejestracjach. To na pewno nie była Magda, która zapomniała kluczy. Bez pośpiechu wziął Fionę na ręce i podszedł do drzwi.

– Przepraszam, że tak bez uprzedzenia, ale doszedłem do wniosku, że musimy się zobaczyć.

– Zapraszam. – Samson uchylił drzwi szerzej i przywitał się z Tadeuszem Markiewiczem.

W tej atmosferze Maks czuł się zdecydowanie pewniej. Nie widział powodu, aby go nie wpuszczać, tym bardziej że podróż z Warszawy musiała mu chwilę zająć.

– To Fiona, moja córka.

Markiewicz skłonił się nisko przed królewną i pocałował ją w małą rączkę. Fiona wyglądała na zachwyconą.

– Nie odbierał pan ode mnie telefonów – powiedział jego gość, kiedy rozsiedli się w salonie.

– Dziwi się pan? – Wypuścił Fionę, która wyrwała się do swoich kolorowanek.

– Nie przewidywałem takich zdarzeń.

– Jeśli pan wybaczy, muszę wrócić na chwilę do kuchni, mógłby pan mieć na nią oko? – Wskazał na córeczkę.

Frytek nie było wiele, ale już od rana chodził z burczeniem w żołądku. Markiewicz raczej nie był przyzwyczajony do takich

dań dla plebsu, ale w końcu sam wprosił się do domu Samsona.

Pięć minut później Maks wszedł do salonu z dużym talerzem. Zdziwił się, widząc doradcę premiera siedzącego na dywanie obok Fiony. Królowna była na tyle nieśmiała, że z zasady potrzeba jej było więcej czasu, żeby nabrać zaufania do kogoś nieznanego, im widocznie udało się znaleźć jakiś wspólny język. Podszedł z uśmiechem i zobaczył to, co udało im się narysować. Tym razem odważył się zgadnąć.

– Kowboj? – zapytał.

Fiona obróciła się do niego, teatralnie mrużąc oczy.

– Nie poznałeś! To ty!

– Ach! No faktycznie! Ten kapelusz mnie zmylił. Zapraszam do stołu.

O dziwo, Markiewicz skusił się na kilka frytek, jedli z jednego talerza, Maks spojrzał na niego z innej perspektywy.

– Prawie takie jak w Belgii! – powiedział Tadeusz.

– Danie królewskie – dodała Fiona, która widocznie przekonała się do tego wykwintnego posiłku.

– Przepraszam – powiedział Markiewicz, gdy skończyli jeść. – To nie miało być tak, miał pan rację co do Jansena. Wystawił nas do wiatru.

– Chyba nie przyjechał pan tutaj tylko po to, żeby zjeść frytki i mnie przeprosić. – Samson wziął Fionę na kolana. Była zbyt mała, aby cokolwiek z tego zrozumieć, a przynajmniej się nie martwił, że mogłoby się jej coś stać, kiedy on był zajęty rozmową z Markiewiczem.

– Chciałem panu zaproponować plan B, pytanie, czy chce pan jeszcze się w to wszystko bawić.

– Jansen mówił, że premier jest po jego stronie. To prawda? – Maks był zdziwiony bezpośrednim rozpoczęciem rozmowy,

wcześniej wszystko było okraszone polityczną poprawnością.

– Niestety tak... Jeżeli to nie sprawi problemu, proszę wyłączyć komórkę.

Samson wątpił, aby w dzisiejszych czasach ktokolwiek stosował tak przyziemne sposoby podsłuchu, ale spełnił prośbę.

– Czyli chce pan zrobić coś przeciwko niemu? – zapytał Maks.

– Na to wygląda.

– A czy plan B ma większe szanse na powodzenie niż plan A?

Markiewicz się uśmiechnął.

– Zdecydowanie.

Maks nie rozumiał swojego postępowania. Wcześniejsza złość minęła, ciekawość wzięła górę.

– Słucham uważnie...

* * *

– Miałem nadzieję, że zmienisz zdanie, ale rozumiem – powiedział Beski.

– Na pewno wszystko w porządku? – Lama wręcz nie potrafił uwierzyć, że poszło tak łatwo.

Siedział w gabinecie komendanta, spodziewał się, że będzie musiał się tłumaczyć w sprawie płyty Ryglewicza, dokumentów znalezionych w mieszkaniu Zamoyskiego albo pobicia Nogały. Beski skupił się jednak tylko na kwestii objęcia posady szefa Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego, a Goczałka, podobnie jak w przypadku rozmowy z Gellertem, definitywnie odmówił.

Miłosz nigdy wcześniej nie miał do czynienia z Konradem tak wiele, jak przez ostatnie tygodnie. Dochodzeniówka miała swoją autonomię, którą zawsze podkreślał i której strzegł jak największego skarbu. Kiedy sprawa Ryglewicza zaczęła się komplikować, a policja i prokuratura coraz bardziej się

kompromitowały, komendant zaczął bliżej przyglądać się sprawie i Bronieckiemu, który wtedy tym wszystkim zarządzał.

Lama jeszcze nie wyrobił sobie o Beskim zdania. Trochę brakowało mu charyzmy, i choć sam Miłosz nie należał do grupy ludzi obdarzonych tą cechą, wydawało mu się, że osoba pełniąca taką funkcję, powinna być bardziej zdecydowana. Na plus należało zaliczyć, że Beski był osobą bardzo poważaną, budził respekt, a owa charyzma nie była mu w tym potrzebna.

– Nie jestem osobą, która byłaby zdolna do głoszenia mów moralizatorskich. – Beski rozluźnił krawat i odpiął guzik pod szyją.

– To nie jest tak, że nie mogę się zgodzić na tę propozycję. Zwyczajnie się do tego nie nadaję, nie chcę się tym zajmować.

Komendant pokiwał głową na znak, że rozumie.

– Co byś powiedział na piwo na mieście?

Było już po osiemnastej, ale dzisiaj Lama wyjątkowo późno przyszedł do pracy. Całą noc spędził w garażu, zastanawiał się nad żoną Danielewicza, miał przed swoimi oczami obraz Sylwii i jej genialną grę, w której Miłosz się bezkrytycznie zatopił.

– Piwo, powiadasz... – Nie pamiętał, kiedy ostatnio był gdzieś na mieście. Nie spodziewał się ze strony komendanta takiej propozycji. – Z przyjemnością.

Pół godziny później byli już w centrum Krakowa. Padał mokry śnieg, temperatura oscylowała wokół dwóch stopni Celsjusza. Miłosz czuł się dziwnie w towarzystwie samego komendanta. Przez rynek przejechała policyjna furgonetka, a oni raczej woleli być incognito. Obaj byli w środowisku policyjnym dość rozpoznawalni. Lama był Lamą, a pokaźny brzuch Beskiego przyciągał uwagę.

– Sądziłem, że mi się oberwie za Nogałę. – Goczałka skorzystał

z bardziej nieformalnego spotkania. Samo wyjście chyba nie miało na celu kolejnych rozmów o pracy, ale nie znali się na tyle, aby pytać o rodzinę, pasje albo plany podróźnicze.

– To nie ja jestem od tego. Tym zajmuje się dyscyplinarka, ale raczej bym się nie niepokoił – powiedział Beski, który miał problem, żeby przejść pomiędzy wycieczką jakichś małych dzieci. Każde z nich miało czerwoną czapkę, więc wyglądali jak zgraja krasnoludków, a komendant jak Guliwer w krainie Liliputków. – Ciekaw jestem, co się takiego stało.

– Nogała to dureń i palant. Obiecałem, że przekażę mu osobistą wiadomość.

– Mogłeś to zrobić poza komendą.

Lama spojrzał na Beskiego z wyrzutem.

– Traktujmy się poważnie. Nic wielkiego mu nie zrobiłem, niech nie robi wielkiej afery z krwawiącego nosa. Co to jest? Policja czy przedszkole?

Beski coś odmruknął, trudno było ocenić, czy to aprobata słów Goczałki, czy może odgłos wysiłku fizycznego towarzyszący kolejnym krokom.

Lama miał za sobą ciężkie dni, niejednokrotnie przeżył chwile zwątpienia, był na siebie zły, bo nastawiał do siebie negatywnie kolejnych ludzi. Chodziło głównie o Cyjańskiego, jednego z techników w jego sztabie, który pojechał przeszukać odnalezione mieszkanie Ryglewicza. Potwierdziła się teoria Goczałki, że aby był zadowolony z efektów pracy i usatysfakcjonowany znaleziskami, musiał coś zrobić sam, osobiście dopilnować każdego szczegółu.

Kolejną osobą, z którą znajomość mogła ułożyć się zdecydowanie lepiej, była Dromek, stażystka obecna przy oględzinach mieszkania Strudzień. Mogliby rozpocząć tę

znajomość od zera, może wtedy nie popełniłby tak wielu podstawowych błędów. A przecież nie był pępkim świata, nie wiedział wszystkiego najlepiej, sam był kiedyś na miejscu Alicji, a znalazł się tam, gdzie właśnie był, tylko dzięki uprzejmości i pomocnej dłoni bardziej doświadczonych kolegów po fachu.

No i jeszcze Gellert. Chyba już za Lamą nie przepadał. Najpierw te dokumenty Zamoyskiego, których pochodzenia nie chciał mu Miłosz wyjawiać, potem płyta Ryglewicza. Fakt, że nawet policyjni informatycy nic by z tym nie zrobili, był w tym przypadku mało pocieszający. Liczyło się wykorzystane narzędzie, działanie za plecami i informowanie po fakcie, gdy nie dało się już tego odkręcić.

Usiedli w knajpie przy jednej z bocznych uliczek odchodzących od rynku. Było kilku studentów, których przyciągnęła zapewne promocja na piwo.

– Ja zapraszam – powiedział Beski, gdy stanęli przy barze.

Protesty Lamy na nic się zdały i po chwili siedzieli na czymś, co w mniemaniu projektanta miało chyba ładnie wyglądać, ale niekoniecznie służyć do siedzenia, bo pozycja dla pleców była wielce niewygodna.

– Co to jest? – Goczałka skierował wzrok na ekran telewizora.

– Chyba jakieś mistrzostwa w rzutkach.

Wyglądało to zabawnie, wielka oprawa, a w momencie, kiedy rozpoczynał się kolejny pojedynek, zawodnicy wychodzili niczym bokserzy na ring. Tylko zamiast otoczenia pięknych kobiet i ochrony, tutaj królowały tapety i wylewające się zza paska brzuchy. Zawodników można było ocenić jako osiedlowych smakoszy piwa, którzy spędzają wieczory w lokalnych, brytyjskich pubach i umilają sobie czas grą w rzutki.

– Że też musiałem być taki głupi, że wybrałem pracę w policji –

podsumował Lama.

– Niestety. Tak płacimy za złe wybory.

Miłosz wziął kilka łyków. Preferował ciemne piwa, a nie jakieś denne lagery, które wyglądały bardziej jak siki krowy, ale po całym dniu umysłowych wyzwiań liczył się już tylko sam smak procentów. Z jakiegoś powodu największy problem alkoholowy istniał w grupie zawodowej prawników, lekarzy i właśnie policjantów. A Goczałka miał twardy orzech do zgryzienia. W mieszkaniu Ryglewicza znaleziono kilka ludzkich narządów, jeszcze czekali na wyniki ekspertyz, które miały potwierdzić, czy stanowią one brakujące organy w ciałach jego ofiar. Były również ślady biologiczne, które potwierdziły, że Ryglewicz faktycznie tam przebywał. Nie było jednak kilku ważnych rzeczy, jakichkolwiek notatek, dokumentów. Zakładając, że Ryglewicz był typem kolekcjonera, a tak naprawdę jedynym znaleziskiem były słoiki z narządami, należało zadać pytanie, dlaczego ich nie ukrył, a przynajmniej trochę lepiej nie schował.

Co do samych dokumentów Zamoyskiego – źródłem takich informacji mógł być tylko Insight. Miał przedyskutować tę kwestię z Samsonem, ale zabrakło czasu. Lamie chodziło o wyrównanie szans, skoro oni tyle mogli o nim wiedzieć, dlaczego on miał być gorszy. Była jedna osoba, która mogła mu jeszcze pomóc, ale nie za bardzo miała w tym interes – był to Piotr Broniecki. Dopiero dzisiaj udało się go namierzyć, ale, co ciekawe, wyjechał z Polski. Goczałka nie miał pomysłu, jak się z nim skontaktować, skoro były szef Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego przebywał aktualnie na Islandii. Brzmiało to dla Lamy jak kpina, tym bardziej że postępowanie dyscyplinarne jeszcze się nie zakończyło.

– Wiesz – powiedział Beski, wrywając go z rozmyślań – myślę, że pojąłem reguły tej gry. – Wskazał na grubasa, który z kroplami

potu na czole przymierzał się, aby wycelować odpowiednio do tarczy.

– Bardzo wciągająca dyscyplina – odparł z przekąsem Lama.

– Miałem nadzieję, że się zgodzisz na przyjęcie tej posady. Poczciwy z ciebie człowiek, dobrze by się nam współpracowało.

– Oj, nie zaczynaj z tym znowu. Przecież wiesz, że to nic nie da.

– Wiem, wiem. – Beski przechylił kufel. Lama był zdziwiony, jak wiele może pomieścić jego jama ustna. Przez ostatnie pięć minut wypił prawie całe piwo, kiedy Miłosz dopiero zaczynał.

– Nie rozumiem – zaczął Lama bez pośpiechu. – Skoro każdy dobrze wie, że to Danielewicz stoi za zabójstwem tej prokuratorce, jak to możliwe, że nic na niego nie mamy? Nawet głupiego świadka, choć jednej poszlaki, kto mógł być sprawcą.

– Czasy się zmieniły – powiedział Beski, wciąż wpatrzony w ekran telewizora. Wyglądało na to, że mu się spodobało. –

Kiedyś to była kwestia umiejętności, chodziło o porachunki, nie było problemów ze znalezieniem motywu. Czarno-biały świat. Byli ci dobrzy i ci źli. Teraz mamy strefę cienia. – Komendant w końcu odwrócił się w stronę Miłosza. – To, co widzimy, to tylko imitacja. Policja już nie ma przewagi technicznej, gra stała się wyrównana. Państwo miało gwarantować najwyższą jakość i bezpieczeństwo finansowe, ale założenia systemu okazały się mrzonką. Przestępcy nie poznaje się po wyglądzie, to inny świat oparty na strategii. Im dalej ktoś potrafi spojrzeć w przyszłość, tym większe ma szanse. Widocznie jesteśmy w tym kiepscy.

– Długo na to czekałem.

– Nie rozumiem... – Beski spojrzał na niego pytająco.

– Schematy są nudne. Człowiek upija się do nieprzytomności, bierze siekiere i uderza konkubinę w głowę. Tam nie ma strefy cienia, wszystko jest jasne, sprowadza się do patologii. Anton jest

inny.

– A Ryglewicz?

– To geniusz, którego nikt nie potrafi zrozumieć, a on o tym wie, dlatego ma nas gdzieś.

Konrad się zaśmiał.

– Dokładnie tak jak ty. Każdy widzi w tobie szefa, a ty się uparłeś, żeby zrobić nam na złość.

– Powiedz mi... – Lama sądził, że już skończyli ten temat, poza tym porównywanie go do Ryglewicza nie było na miejscu. – Co się stanie, jak nikt się nie znajdzie?

– Wiesz, dlaczego Nogała zaczął pracę w naszej dochodzeniówce?

– Nie, ale pewnie zaraz się dowiem. – Miał możliwie najgorsze przypuszczenia.

– Przecież wiesz, jak ciężko się tam dostać. Ma plecy. Jego ojciec siedzi w centrali. Mówi się o tym, że Warszawa ma go wysłać właśnie tutaj i zrobić porządek. – Beski pokręcił głową na znak, że to nie oznacza nic dobrego. – Jak zwykle wszystko sprowadza się do kasy. Twierdzą, że mamy jej za dużo, bo to góra musi mieć najwięcej. Co to znaczy? Możesz się domyślić.

– Zwolnienia.

– Wciąż nie chcesz słyszeć o tym stanowisku?

Lama zamknął oczy. Nigdy wcześniej nie słyszał równie dobrego argumentu. Mógł się nie przejmować, w końcu wybór należał do niego. On raczej pracy by nie stracił, ale inni? W grę wchodził jeszcze sam Nogała... Że też wszystko musiało się tak komplikować.

– Broniecki uciekł na Islandię – powiedział Goczałka.

– To jest twoja odpowiedź? A może sugestia dla mnie? – Beski parsknął śmiechem. Chyba już pogodził się z odmowną

odpowiedzią.

– Muszę się z nim zobaczyć, to ważne.

Miłosz nie żartował. Nie wiedział, czy to spotkanie cokolwiek zmieni i czy Broniecki w ogóle będzie chciał mu pomóc, ale wciąż to było jedyne możliwe rozwiązanie.

– „To ważne” nie jest przekonujące. Co to zmieni? Mam cię wysłać na Islandię i co dalej?

– Dopadniemy Ryglewicza i Antona. Tylko na tym mi zależy.

– A jak to się ma do wydziału?

– Gdy załatwimy tę sprawę, moja odpowiedź może być zasadniczo inna.

Uścisnęli sobie dłonie i zamówili kolejne piwo.

5

– Chodź na dół, nie spodziewałem się ciebie.

– Przepraszam, że tak nachodzę, ale wczoraj już pana nie zastałem.

Szymon Milewski chyba przyszedł w złym momencie, bo pani Irena patrzyła na niego gniewnie. Zeszli pośpiesznie do garażu.

– Czy to w ogóle jeździ? – Szymon wskazał na motocykl przykryty jakimś brudnym prześcieradłem.

– Zabierałem się już nieraz za naprawę, ale ostatnio nie miałem do tego głowy.

– Rozumiem. – Pokiwał głową. Milewski dawno nie widział Goczałki, kontakt telefoniczny był regularny, ale to nie to samo.

Wyjrzał z za niewielkie okienko z widokiem na ogródek znajdujący się z tyłu domu. Jeszcze trzy tygodnie temu znajdowały się tam znalezione u Droubera słoiki z narządami ludzkimi i dokumentacja z sekcji zwłok. Doktor pewnie nie przypuszczał, że wszystko zostanie puszczone z dymem w tak krótkim czasie po jego śmierci. Niskie temperatury na początku im sprzyjały, ale teraz, kiedy przyszło ocieplenie, smród mógł zaalarmować sąsiadów.

– Ciekawie, prawda? – Goczałka wskazał na część ściany, która została pokryta kolejnymi zdjęciami i dokumentacją. Lama był podekscytowany, ale jakby w dziwnym letargu.

Szymon znał ten stan, był jednoznacznym znakiem tego, że coś się dzieje.

– To musi poczekać. – Najpierw chciał załatwić swoją sprawę. –

Chcę zobaczyć się z Ryglewiczem.

– Ma mieć dzisiaj przesłuchanie na policji, ale do tej pory nie odpowiadał na żadne pytanie.

– Mógłbym tam być? – zapytał z nadzieją.

– Obawiam się, że nie. Prokurator wariuje na punkcie bezpieczeństwa, sam chciałem się tam pojawić, ale nie otrzymałem pozwolenia.

– Proszę spojrzeć. – Wyciągnął z kieszeni papierową torbę i ostrożnie położył na biurku. – W środku znajduje się list Ryglewicza, który wysłał do matki. Nie wiedziałem, jak go zabezpieczyć, a...

Goczałka podniósł rękę, jakby usłyszał już wystarczająco. Pokiwał głową, wyszeptał coś, ale Milewski nie zdołał dosłyszeć. Lama usiadł za biurkiem, nałożył okulary i włączył latarkę emitującą światło fluoroscencyjne.

– Kto jej dotykał? – Ostrożnie wyciągnął kopertę.

– Na pewno matka Ryglewicza i parę osób na poczcie, plus ktoś, kto odebrał list i robił cenzurę. Ale nie wydaje mi się to ważne, raczej nie ma wątpliwości co do tego, kto to wysłał.

Goczałka otworzył kopertę i wyciągnął zawartość.

– Nie wydaje mi się, aby Ryglewicz miał możliwość wysyłania korespondencji z Montelupich.

– To szyfr. – Milewski wskazał na ręcznie wypisany ciąg liczb.

– Wczoraj trochę zainteresowałem się tym tematem.

Poszedł do Kopruckiego, przyjaciel miał wielu znajomych, wydawało mu się racjonalne, że pomoc mógł przede wszystkim jakiś informatyk.

– Z jakimi efektami? – Lama skupiał się bardziej na szukaniu śladów niż na samym ciągu liczb.

– To skomplikowane. Matka Ryglewicza zna algorytm...

– Co?! – Goczałka złapał się za głowę. – Wiesz o tym, że ona już dawno powinna zeznawać?

– Mam zamiar dochować obietnicy. – W tej materii Szymon nie widział innej możliwości.

– Więc co jest w tej wiadomości?

– Mogłoby się wydawać, że to nie jest nic skomplikowanego. Zwykły algorytm ograniczony. Matka знаła go, więc to kwestia odpowiedniego podstawienia. Poszedłem po pomoc, aby komputerowo przetłumaczyć list...

– Wiem, że piszesz książkę, ale tutaj obędzie się bez wstępów.

– To tak zwany superszyfr, wyjaśniono mi, że to podwójne zabezpieczenie, zwiększenie kryptoanalitycznej trudności. Konieczny jest jeszcze klucz, który po rozszyfrowaniu pozwoli zamienić liczby w słowa.

– Co na to ona?

– Nie zna go, przynajmniej tak twierdzi. – Szymon był gotowy jej uwierzyć.

– Wyjaśnij mi, proszę, bo nie wiem, czy dobrze rozumiem. Co to za klucz, jak to wygląda?

– Wydaje mi się, że to rodzaj przewodnika, do którego zrozumienia konieczna jest instrukcja, ta może być jednak wszędzie, nawet w głowie Ryglewicza.

– To bez sensu. Po co wysyłał matce list, skoro ona i tak nie potrafi go odczytać?

– To nie jest logiczne, zgadzam się. Nie rozumiem również celu wysyłania czegokolwiek do jego matki, skoro zerwał z nią kontakt, a sam przybrał teraz osobowość Reglewitscha, który nigdy jej nie poznał.

– Sprzeczność na sprzeczności. Nie zrozumiemy Ryglewicza, to chory człowiek. Jakies przypuszczenia, co może oznaczać ten szyfr?

– Równie dobrze to może być nic nieznacząca informacja.
– Bez kodu nic nie zrobimy – podsumował Goczałka. –
Rozumiem, że nie mogę tego zanieść na policję? – Wskazał na
wiadomość.

Szymon pokręcił przecząco głową.

– Wiem, gdzie może być taki klucz. Reglewitsch miał swój
pamiętnik.

Obserwował uważnie Lamę, spodziewał się po nim większego
zaskoczenia, a wydawało się, że jego myśli były na tyle daleko, że
ta informacja w ogóle do niego nie dotarła.

– Świetnie, znajdziemy go! – powiedział po dłuższej przerwie
Goczałka.

Milewski nie wiedział, co się dzieje, wszystko było jakby
w krzywym zwierciadle. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że
Lama ma po prostu kaca. Taki stan tłumaczył jego wygląd
i zapach. Ciekawe, gdzie wczoraj zabalował.

– Nie pamięta pan, czy nie było czegoś takiego w spalonych
dokumentach?

– Zauważyłbym – powiedział zdecydowanie. – Nie znam jego
matki, ale skoro Ryglewicz wysłał do niej taki list, to wydaje mi
się, że powinna mieć klucz.

– Nigdy nie widziała na oczy tego pamiętnika, tylko o nim
słyszała.

– Popełniasz błąd – Lama obrócił się na krześle, przypadkiem
kopnął w puszkę po piwie, leżącą na podłodze. Kiedy Szymon był
tutaj ostatnim razem, w garażu panował zdecydowanie większy
porządek. – Przyjąłeś, że Reglewitsch miał pamiętnik. Nie mówię,
że to jest błędna subsumpcja. – Milewski zamrugał oczami, Lama
jak na skacowanego człowieka posługiwał się wyjątkowo
wydumanym słownictwem. – Zakładasz jednak na wyrost, że

właśnie tam znajduje się klucz, a przez to może ci uciec to, co masz przed nosem.

Nie wiedział, co na to może odpowiedzieć. Znowu nie było żadnych wniosków. Mógł wrócić do Działoszyn i zapytać wprost, czy ma klucz, ale gdyby tak było, raczej by tego przed nim nie ukrywała i nie pozwoliłaby mu wziąć listu.

– Szymon... – Lama stanął na nogi i odkleił od ściany jedną z kartek. – Skąd matka Ryglewicza znała algorytm?

– Powiedziała, że Tomasz od zawsze lubił liczby, jego pokój był pełny różnych kodów, miał na tym punkcie bzika.

– Dlaczego? Wyjaśniła powód? – Goczałka zapisał coś w notatniku.

– Chodziło o łatwość, wszystko mu przychodziło bez problemu, miał świetną pamięć, co w szkole mu bardzo pomagało, a to właśnie dzięki temu, że posługiwał się algorytmami.

– Pewnie nie wiedziała nic o Reglewitschu? – zapytał tak, jakby znał odpowiedź.

Milewski pokiwał głową.

– Nie mam pojęcia, czy jego dziadek działał podobnie. To raczej cecha z poprzedniego wcielenia. Natomiast algorytm stanowi pełną datę urodzin samego Ryglewicza. Jak dla mnie to kłóci się to z jego nową osobowością.

– Jakie to wszystko proste. – Lama wrócił na krzesło. Był przybity. – A zegar? Próbowałem się z tobą skontaktować, bo chyba wiem, co chciał nam przekazać, ale nie wiem, skąd go wziął. – Nerwowo przekładał palce, zagryzając dolną wargę. Szymon już wiedział, co to oznacza.

– To na pewno nie prezent od Droubera, nie chciał znać swojego syna. Data jego produkcji to kilkanaście lat przed przyjściem na świat Reglewitscha, więc też odpada. – Milewski podsumował to,

co już wiedzieli do tej pory.

– A co jeśli Ryglewicz wcale nie jest Reglewitschem?

Szymon usłyszał znajomy głos tuż za swoimi plecami. Rozpoznał, że to Dagmara. Nie odwrócił się. Pewnie podsłuchiwała jego dotychczasową rozmowę z Lamą. Dopiero po chwili doszedł do niego sens słów, które do nich skierowała. Nie chciał jej oficjalnie wyśmiać, tym większe było jego zaskoczenie, gdy w tym momencie odezwał się Goczałka.

– Też się nad tym zastanawiałem. Przedstawia się jako reżyser, więc może to część teatrzyku. To tłumaczyłoby pozostałości pewnych cech.

– Ale przecież to medycznie potwierdzone – ocknął się Milewski. Już się w tym wszystkim gubił, kolejna zmiana koncepcji załamywała wszystko to, nad czym do tej pory pracował. – Sam Hałycki to potwierdził.

Skierował te słowa do Lamy, nie chciał odwracać się w stronę Dagi, nie widzieli się od dwóch tygodni.

– Mam coraz większe podstawy, aby sądzić, że Hałycki to tylko część planu. Medycznie można uzasadnić wszystko, ale nawet dla lekarzy to szczególnie przypadek. Równie dobrze mogłoby się to sprowadzić do jakiejś choroby psychicznej.

– Cały czas ma nad nami przewagę – odparła Daga. Szymon nie mógł się pozbyć wrażenia, że patrzy cały czas na niego.

– Już niedługo – powiedział Goczałka. – Uciekam do pracy, dam znać, jak tylko uda mi się ustalić coś na temat tego pamiętnika. Dzięki bardzo.

Szymon również wstał, miał jeszcze wiele do zrobienia, poza tym jak najszybciej chciał uniknąć towarzystwa Dagmary.

– Możemy porozmawiać? – Daga zatrzymała go w progu.

Goczałka stał jeszcze przy biurku. Jego wzrok uważnie śledził

tę scenę.

– Przepraszam, ale się śpieszę. – Było to trochę dziecinne z jego strony, nawet nie spojrzął jej w oczy, tylko przeszedł pod jej ręką i skierował się do wyjścia.

Szła za nim, słyszał nie tylko jej kroki, ale również płacz. Nie mógł tego znieść. Wyszedł na dwór, mówiąc krótkie „do widzenia” pani Irenie, która chyba była zbyt zszokowana sytuacją, żeby cokolwiek odpowiedzieć.

Dagmara podbiegła do niego. Już wiedział, że od tej rozmowy nie uda mu się uciec.

* * *

– Nie wiem, dlaczego jesteś taka uparta – powiedział do niej Szymon.

– Nie potrafisz zrozumieć, że mi na tobie zależy? – Coraz bardziej żałowała, że nie zabrała swojej kurtki zimowej.

– Daga... – Milewski nawet nie próbował kryć poirytowania, patrzył przed siebie, unikał jej wzroku. – Jeszcze niedawno nie chciałaś mnie znać, nie odbierałaś telefonów i miałaś na mnie wyrąbane.

– Nigdy nie miałam wyrąbane! Poza tym teraz role się odwróciły.

– Co tak nagle się zmieniło?!

– Sytuacja... – odpowiedziała, choć wiedziała, że nic mu to nie mówi.

– To przecież nie jest kwestia gorszego tygodnia. Nie jestem zabawką, żebyś ode mnie odchodziła, a po chwili wracała. Ogarnij się!

Daga skrzyżowała ręce na piersiach. Wiedziała, że nie będzie łatwo, nastawiała się na to, że Szymon będzie miał do niej

pretensje, ale sądziła, że będzie spokojniejszy. Nie miała ochoty tego przerabiać po raz kolejny. Sama próba kosztowała ją dość nerwów. Stała tuż przed nim i zatrzymała go. Wspięła się na palce i pocałowała go, zanim zdążył zareagować.

– Musiałam – powiedziała.

Odwróciła się i skierowała w stronę domu. Milewski chyba był w szoku, stał dokładnie w tym samym miejscu, zamurowało go.

Jej serce biło szybciej niż zwykle. Długo przygotowywała się na to spotkanie, zastanawiała się, jaki będzie miało przebieg. Gdy wstała, usłyszała głos Szymona. Skoro nikt nie raczył jej obudzić, musiał przyjść do taty. Poszła do garażu, wahała się, czy ujawnić swoją obecność. Widziała jego niechęć, nie chciał z nią rozmawiać, to było uzasadnione. Ale pobiegła za nim i zrozumiała. Tłumaczenie się Nogałą było bezsensowne. Może pewnego dnia będą inne okoliczności. W tej chwili zbyt wiele było niechęci i niezrozumienia, wszystko było oparte na uczuciach, niekoniecznie tych pozytywnych.

Usłyszała kroki. Milewski złapał ją za ramiona i odwzajemnił pocałunek. A więc jednak. Coś do niej czuł. Uśmiechnęła się. Nie przejmowała się tym, że sąsiedzi mogli podpatrzeć tę scenę przez okno. To się dla niej w tej chwili nie liczyło.

– Leć już, mówiłeś, że się śpieszysz – powiedziała. Jego usta działały jak magnes, miała ochotę dotknąć ich jeszcze raz.

I jeszcze raz.

Wahał się przez chwilę.

– Myślę, że to może poczekać. Może faktycznie wypadałoby porozmawiać.

– Chodź do mnie.

Pocałowali się znowu. Złapała go za rękę, było jej już cieplej, pewnie dlatego, że okrył jej ramiona swoją kurtką. Nie wiedziała

jakiej reakcji spodziewać się po rodzicach, gdy zobaczą ich razem. Czuła się dziwnie, nie wiedziała, co robi. Czy to była faktycznie miłość, czy tylko wyraz współczucia, że wszystko potoczyło się w taki a nie inny sposób? Miała spocone ręce albo Szymon miał, bo nie potrafiła ocenić, kto z nich bardziej się denerwował. Nie mówili do siebie, jakby to była scena z jakiegoś snu.

– Co to było? – zapytał ją Szymon.

Rozejrzała się wokół, jakby bała się, że znowu zjawił się Nogała.

– Co? – Nikogo nie dostrzegła.

– Ten pocałunek. Dlaczego?

– Musiałam. – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do niego.

Weszli do domu. Mama coś mówiła, ale nie dochodziło do niej żadne słowo. Trzymając kurczowo rękę Szymona, skierowała się w stronę schodów prowadzących do jej pokoju. Mrugnęła do matki, która odpowiedziała uśmiechem. Daga miała nadzieję, że Milewski tego nie widział.

– Zaczekaj chwilę. – Zatrzymała go przed drzwiami.

Wślizgnęła się przez szczelinę i wszystko, co leżało na wierzchu, powkładała do dużej torby. Nie chciała, aby Szymon zobaczył bieliznę porzucaną na pościeli, która, swoją drogą, prosiła się o zmianę. Na biurku zobaczyła depilator, który z daleka mógł wyglądać jak dildo. Schowała go pośpiesznie do szuflady.

– Wejdz! – krzyknęła.

Usiedli na łóżku, zachowali odległość, jakby był między nimi jakiś niewidoczny pas cnoty. Milczał, widocznie czekał, aż to Dagmara zacznie.

– Napijesz się czegoś? Herbaty, kawy, czekolady? A może chcesz pączka? Został jakiś od wczoraj. – Ugryzła się w język.

Dawno nie plotła takich głupot. Stresowała się. Czowała się oszukana przez producentów dezodorantu, którzy obiecywali, że nie spoci się przez najbliższe czterdzieści osiem godzin.

– Nie wróciłem tutaj, aby jeść wczorajsze pączki – odparł Szymon, ale z zupełnie innym nastawieniem niż jeszcze parę minut temu.

– Przepraszam... – Wydawało jej się to oczywistym początkiem. Jej błąd.

– Nie chcę tego słyszeć. – Nawet nie dał jej dokończyć.

– Daj mi chociaż powiedzieć.

Patrzył na nią z żalem, ale nie spuszczał z niej wzroku. Miała ochotę zapaść się pod ziemię.

– Wiem, że popełniłam błąd. Nie chciałam, żeby tak wyszło. Zraniłam cię, nie zasłużyłeś na to. Jesteś dobrym człowiekiem, a dla mnie to było wszystko za szybko.

Znowu kłamała, czuła się z tym źle, ale wiedziała, że tak trzeba.

– To wszystko? – zapytał Szymon. Bała się, że zaraz wstanie, wyjdzie i już nie wróci.

– Nie! – Stanęła przed nim. – Chcę być z tobą, Szymon. Wiem, że cię zawiodłam, ale wierzę, że to nas może tylko wzmocnić. Nie odpuszczę, nie poddam się, chyba że mi powiesz, że tego nie chcesz. Potrafię to zrozumieć. Mam cichą nadzieję, że mnie nie znienawidzisz do tego stopnia, że już nigdy się nie zobaczymy.

Szymon oparł głowę o ścianę.

– Daga... Tutaj nie ma czegoś pośredniego. Albo jesteśmy razem, albo już nigdy więcej się nie zobaczymy. Nie ma przyjaźni damsko-męskiej, przynajmniej ja w nią nie wierzę. Sorry.

– Pytanie, czy dopuszczasz możliwość, żeby być znowu razem...

Role się odwróciły, zwykle to facet powinien wychodzić

z inicjatywą, ale jej zbyt zależało, aby pozwoliła mu tak po prostu odejść.

– Nie wiem, Daga. Chodzi o zaufanie. Prawda jest taka, że nigdy nie byliśmy tak naprawdę razem. Cały czas była gdzieś ta sprawa Ryglewicza. Przyznaj, że to nie jest zbyt romantyczne. –

Spojrzał na nią, ale nie dał szans odpowiedzieć, tylko ciągnął dalej: – Nie musisz tego mówić, ale wiem, że sam nie byłem święty. Zająłem się tą durną książką, a przez to zeszedł na drugi plan. To nie był wymarzony początek.

– Wiesz, czego mi najbardziej brakowało? – Już dawno powinni tak szczerze porozmawiać. – Kryjesz się ze swoimi emocjami. Słuchasz, co inni mają do powiedzenia, ale zachowujesz dla siebie swoje spostrzeżenia. Chcę wiedzieć, co myślisz, a nie tylko domyślać się, co czujesz. Nie mam pretensji co do twojej książki. W sumie to mi się to całkiem podoba. Pamiętasz, jak się spotkaliśmy w tamtym tramwaju? Powiedziałaś mi o swojej biografii Droubera, gdyby nie to, nie wiem, czy zwróciłabym na ciebie uwagę.

– Co dalej? – zapytał Szymon.

Przybliżyła się do niego i musnęła jego usta. Z tego wszystkiego zapomniała rano umyć zęby. Oddychała przez nos na wypadek nieświeżego oddechu. Inaczej wyobrażała sobie tę scenę.

– To pytanie do ciebie, czy potrafiłbyś zaufać mi jeszcze raz.

– A co jeśli nie?

Spojrzała na niego. Miała ochotę płakać, najchętniej uderzyłaby go w twarz. Jeśli tylko się z nią droczył, mógł zachować takie zgryźliwości na potem. Ale on był dalej poważny.

– Już nigdy się nie zobaczymy. – Wzbraniała się, żeby nie zacząć beczeć.

Szymon wstał. Już myślała, że chce wyjść. Tak po prostu, bez

pożegnania. On jednak przytulił ją. Poczuła rozchodzące się po ciele ciepło. Znowu się pocałowali. Położyła rękę na jego policzku. Zapuścił od ostatniego razu brodę, krótkie włoski delikatnie ją kłuły.

– Od teraz chcę wiedzieć wszystko – powiedział Milewski, gdy wrócili na jej łóżko. – Nie ma tłumaczeń, że nie potrafisz, że się boisz. Rozwiązujemy problemy razem, a będzie nam łatwiej.

– Dobrze – przytaknęła. Czuła w tej chwili brzemię prawdy o Nogale. Miała nadzieję, że nigdy nie będą musieli do tego wracać.

Siedzieli kolejny kwadrans w jednej pozycji, wtuleni w siebie. Już nie chciała kłamstw, jeżeli to faktycznie miała być miłość, to musiało to przetrwać.

– Spotkamy się wieczorem? – zaproponował Szymon. – Muszę teraz uciekać, będę czekał na ciebie pod głową na rynku, OK?

Nawet nie pytała, co będą robić. Liczył się dla niej tylko fakt, że będą znowu razem.

Milewski wyszedł, a ona spojrzała w lustro. No cóż, pupa nie była mniejsza, ale twarz była uśmiechnięta, czego przez ostatnie tygodnie zdecydowanie brakowało.

Napisała do Szymona SMS, trochę na wyrost, w końcu Milewski dobrze wiedział, że się cieszy. Po chwili usłyszała sygnał zwiastujący odpowiedź. Podbiegła do komórki. Telefon omal nie wypadł jej z rąk, kiedy rozpoznała numer Nogały. „Podejdź do okna”. Spełniła prośbę. Jej nogi były jak z galarety. Darek Nogała stał po przeciwległej stronie ulicy i machał do niej. Na pewno widział, jak Szymon od niej wychodzi. Miała nadzieję, że nic złego się nie stało. Jej prześladowca był zdolny do wielu rzeczy, już się o tym przekonała. Pokazała mu środkowy palec.

Koszmar zaczynał się od początku.



Była taka piękna, nie potrafił oderwać od niej wzroku. Goczałka znajdował się przy drzwiach mieszkania Danielewiczów. Patrzył na Sylwię, która była widocznie zaskoczona jego niespodziewanym przybyciem. Znowu ten naturalny wdzięk, hipnotyzujący wzrok i prostota. Tym razem miała na sobie zwykły fartuszek, próbował skupić myśli na czymś innym aniżeli na tym, czy coś pod nim ma.

– Nie powinien pan tutaj przychodzić.

W kieszeni trzymał zdjęcie martwej prokuratorki, było mniej drastyczne niż te poprzednie, ale miało bezpośredni związek z ich ostatnią rozmową. Lama nie mógł się dać zastraszyć, wiele ryzykował tym spotkaniem, nawet nie wiedział, czego może się spodziewać. O tym nie wspominały żadne wytyczne przełożonych ani podręczniki akademickie. Działal na własną rękę. Beski miał wczoraj rację, Goczałka był w tej kwestii podobny do Ryglewicza, dobrze wiedział, że Gellert nie pozwoliłby mu tutaj przyjść, więc wolał działać za jego plecami.

– Zgodzi się pani na krótką rozmowę? – zapytał. Przyłapał się nad tym, że po raz kolejny spojrzał na jej piersi.

– Nie wiem, co chce pan osiągnąć. Powiedziałam już wszystko, co wiem. – Nie ruszyła się z miejsca.

– Nie stoję tutaj z nakazem przeszukania, nie mam na sobie munduru. To prywatna wizyta. – To nie brzmiało zbyt przekonująco nawet dla niego.

– Ale ma to związek z moim mężem.

– Nie zaprzeczam. – Spojrzał na nią błagalnie. Wierzył, że da się z nią dogadać, chodziło wyłącznie o jej chęci i pokonanie strachu przed Antonem.

– Będzie pan tego żałować.

Gdy ostatnim razem to powiedziała, zginęła Strudzień. Lama obawiał się, że było już za późno, aby się wycofać.

– Jestem już tego świadomy. – Tym razem nie chciał pokazywać jej tego zdjęcia. Zdążył już wcześniej zauważyć, że Sylwia nie zna drugiego wcielenia jej męża. Terapia szokowa była dla niej niszcząca.

Weszli do środka. Mieszkanie znajdowało się na przedmieściach Krakowa, miało swoje lata. Znowu czuł się trochę jak na przygotowanej pod przedstawienie teatralne scenie, tak jakby ściany i wystrój pokoiów były tylko scenografią. Wrażenie to wywoływał bardzo skromny wystrój. Niewielki telewizor w salonie, z płaskim ekranem, ale średniej klasy, firanki w staromodnym stylu. Gdzie straciły się te miliony Danielewicza, czy faktycznie tak skutecznie potrafił ukryć swoje tajemnice przed rodziną?

– Lubi pani antyki? – Usiadł na skórzanej kanapie, która wydała z siebie skrzypiący dźwięk.

– To starocie z mieszkania matki, nie miałam sumienia się ich pozbyć. – Przesunęła ręką po blacie starej drewnianej komody. Zdobienia robiły wrażenie nawet na takim ignorancie jak on.

– Bardziej klimatyczne niż Bodzio System – przyznał, mając przed oczami swoją sypialnię.

– Bodzio co? – Zaśmiała się.

– Nieważne.

Znowu chciał błysnąć dowcipem, a skończyło się jak zawsze. Dobrze, że przynajmniej nie zaczął się śmiać, bo uznałaby go za nienormalnego. Nie przyszedł tutaj, aby rozmawiać o tanich meblach, które cechowały się niestabilnością i możliwie najprostszymi kształtami. Zawartość drewna w tych deskach była przereklamowana jak procentowa zawartość mięsa w parówkach.

Rozejrzał się uważnie. Już wiedział, do czego zmierza, cieszył

się, że udało mu się dostać do środka. Teraz musiał odpowiednio zagrać, wcielić się w reżysera. Był przygotowany lepiej niż w trakcie pierwszego przesłuchania, przede wszystkim jej uroda nie stanowiła już takiego zaskoczenia. To był dar, z którego korzystała bezwzględnie, a on musiał się temu przeciwstawić.

– Podałam panu nazwiska, co więcej mogę zrobić? – Postawiła przed nim szklankę wody i usiadła naprzeciwko.

– Wie pani więcej...

– Przed chwilą pan twierdził, że to wizyta prywatna. – Sylwia usiadła w taki sposób, że widział zarys jej piersi. Zganił się za swoje myśli.

– Bo tak jest, ale pani mąż zafrasował mnie do tego stopnia, że bardziej traktuję to jako sprawę ambicjonalną.

Uważnie obserwował jej reakcję. Ona jednak pozostała niewzruszona.

– Nie powiem nic więcej, nie mam obowiązku, poza tym nie znam odpowiedzi.

Lama przygryzł dolną wargę. Oj tak. Sylwia wiedziała, nie była taka niewinna, jak to cały czas utrzymywała.

Chciał zobaczyć mieszkanie, zajrzeć do pokoiów. Po tym, jak Danielewicz został aresztowany, policja już tutaj była, ale funkcjonariusze nie interesowali się tym, co wydawało się szczególnie ważne dla Miłosza.

– Gdzie są dzieci? – zapytał. Cisza w mieszkaniu była niepokojąca, przyzwyczał się do gwaru rozmów w komendzie.

Sylwia spojrzała na niego z niepokojem. Wchodził w jej strefę prywatną, która najwidoczniej w tym domu była wyjątkowo chroniona.

– Przepraszam – zreflektował się. – Po prostu zdziwiłem się, że jest tutaj tak cicho.

– Są u babci, akurat są ferie.

– A pani się gdzieś wybiera? – Powinien skupić się na innych rzeczach, ale postanowił rozgrywać to powoli.

– Może dopiero jak Anton wróci do domu.

Lama nie zobaczył żadnych walizek. Z tego, co ostatnim razem mówił Danielewicz, planowali wyjechać z Polski, co sugerowałoby w najbliższym czasie wyprawdzkę.

– Ryglewicz tutaj bywał? – Może to nie było zbyt zmyślne z jego strony, ale czasem łatwiej podejść konkretnie.

– Uparty pan jest. Już po raz kolejny słyszę to pytanie.

– Pani Sylwio... to już wszystko zbyt daleko zaszło, żebym mógł odpuścić. Gdybym pani uwierzył w trakcie ostatniego spotkania, pewnie by mnie tutaj nie było...

– Czy pan zarzuca mi kłamstwo? – Wciąż była spokojna, choć chciał ją zdenerwować.

– Raczej ukrywanie prawdy, ale na jedno wychodzi. – Rozpierała go duma, w tym miejscu czuł się zdecydowanie pewniej aniżeli w pokoju przesłuchań, gdzie nie opuszczało go uczucie bycia obserwowanym.

– Proszę stąd wyjść. – Na jej twarzy pojawiły się wypieki.

– Nie boję się pani męża. Jeżeli sądzi pani, że nie wiem, czego mogę się po nim spodziewać, to się pani myli. Po naszej ostatniej rozmowie wyjaśnił mi dobitnie, na czym to wszystko polega.

Przerwał, aby dać jej czas na przetrwanie tych słów.

– Co się stało? – zapytała z przerażeniem i opróżniła szklankę wody jednym tchem.

– Miała pani rację, miałem pożałować i tak się stało. – Nie wyciągnął zdjęcia Strudzień. Jego słowa stanowiły dowód na to, jak bardzo jest zdeterminowany. W tym przypadku tego rodzaju rekwizyt był niepotrzebny.

– Proszę na mnie tego nie zrzucać. Przecież pan też ma pewnie rodzinę, w takim razie po co tak ryzykować?

– Czy Ryglewicz tutaj bywał? – Powtórzył swoje wcześniejsze pytanie.

– Trzy razy, ale ja byłam przy tym obecna tylko raz – powiedziała szeptem.

– Skoro pani mąż nie przynosił pracy do domu, jaki był cel tych wizyt?

– Przyjaźnili się, wątpię, aby mieli jakieś wspólne interesy.

– Na czym polegała ta znajomość?

Poczuł ukłucie satysfakcji, że w końcu otrzymał odpowiedź.

– Rozmawiali przez telefon, dogadywali się pomimo różnicy wieku. Wydaje mi się, że Anton był kimś na wzór autorytetu dla Ryglewicza.

Miał gęsią skórkę. Właśnie miał nastąpić przełom w jego śledztwie.

– Dawali sobie jakieś prezenty?

– Zadaje pan pytania, choć odpowiedź jest panu znana. Jaki to ma sens?

Przyjęła pozycję zamkniętą, odchyliła się do tyłu. Lama podszkolił się w zakresie mowy ciała, ale równie dobrze to mogła być tylko jej gra. Okręcała go sobie wokół paluszka, dokładnie tak jak ostatnio.

– Co mu dał pani mąż?

– Nic wartościowego, ale nawet tego ze mną nie skonsultował.

– Zegar? – Spojrzał na nią, szukając potwierdzenia.

Domyślał się tego już wcześniej. Nie było żadnej innej racjonalnej odpowiedzi. Gdy tylko zobaczył antyki w mieszkaniu Danielewiczów, rozpoznał podobny styl, nie potrafił tylko zlokalizować miejsca, gdzie wcześniej był powieszony.

– Moja mama bardzo go lubiła. – Sylwia wskazała na wnękę pomiędzy dwiema szafami i wystający gwóźdź.

– Dlaczego Ryglewiczowi tak bardzo na nim zależało?

– Na odwrót, to Antonowi zależało.

Aż się przekręcił na kanapie. Słowa żony Danielewicza go zelektryzowały. Wyglądało na to, że to była transakcja wymienna.

– Co dostał w zamian? – zapytał spokojnie, próbował ukryć swoją ekscytację.

– Jakąś głupią książkę, powinna gdzieś tutaj być.

Podeszła do regału znajdującego się nad telewizorem.

– Jak wyglądała? – Zbliżył się, aby jej pomóc. Poczul jej zapach, używała bardzo intensywnych perfum, gdzieś już się z nimi spotkał.

– Bardziej jak notatnik. Nie rozumiałam, dlaczego Antonowi tak bardzo na nim zależało.

Zamknął oczy. Chodziło zapewne o pamiętnik Reglewitscha, o którym wspominał Milewski, ale wciąż myślał o czymś innym – jej zapachu.

– Dlaczego Ryglewicz dostał właśnie zegar? Interesował się antykami? – Jakoś nie pasowało mu to do ogólnego portretu psychologicznego mordercy.

– Nie wiem. – Spojrzała w jego stronę. Jej oczy błędziły ślepo.

– Tutaj nie ma tej książki, prawda? – zapytał, choć znał odpowiedź.

– Proszę stąd uciekać – powiedziała błagalnie. To nie mogło oznaczać nic dobrego.

Podszedł do niej, złapał za ramiona i przyparł do ściany. Była taka krucha, taka piękna... Zapach był na tyle intensywny, że nie mógł go pomylić.

– Gdzie pani była dwudziestego trzeciego lutego?

– W domu, razem z dziećmi – odpowiedziała bez wahania.

Gdyby to była prawda, musiałyby się choć przez chwilę zastanowić, jaki to był dzień. Była przygotowana na to pytanie.

– Dobrze pani wie, jaka kara spotkała mnie za ostatnie przesłuchanie. Była całkiem ładna, prawda? Podobna do pani...

– Czego pan ode mnie chce?! – krzyknęła. – Oni naprawdę zaraz tu przyjdą! – Próbowwała się wyrwać, ale Lama trwał w uścisku.

– Umierała przez kilka minut, dusiła się bez tlenu, w końcu połknęła własny język.

Nie miał przed sobą sprawcy, a przypadkowego świadka, wierną i ufną żonę Danielewicza, która zaczęła mieć wątpliwości.

– To pani była tą sąsiadką, która wezwała pogotowie, prawda?
– Teraz rozumiał, dlaczego znaleźli ciało tak szybko po zdarzeniu.
– Pytanie brzmi, kto był sprawcą...

* * *

Uśmiechał się. Zaczęło się układać. Miał cudownego, zdrowego wnuczka, żonę, która jak zwykle była niezaspokojona, i trójkę dzieci – nieważne, jak wiele przysparzali mu problemów, to i tak kochał ich nad życie.

Stał właśnie około stu metrów od Insight, z daleka dostrzegał zarys budynku, którego do tej pory nigdy nie miał okazji zobaczyć. Obok niego znajdowali się Maks Samson, Artur Jastrzębski, szef CBS, oraz Sławomir Witkowski, prokurator. Wszystko było utajnione, wprowadził w szczegóły tylko tych, których potrzebował, oczywiście nie było wśród nich ani Nowińskiego, ani Janiszewskiego.

Plan B, który Tadeusz przedstawił wczoraj Samsonowi, oparty był na filarze sprawiedliwości. Skoro Jansen sam nie chciał dać za

wygraną, konieczne było obejście Insight i zaproszenie do współpracy prokuratury. Frederic był oskarżony o dwa morderstwa i działanie na szkodę państwa. Głównym świadkiem był Maks oraz sam Tadeusz, bo obaj usłyszeli o wszystkim od Jansena. Problematiczna była jawność wymiaru sprawiedliwości, właśnie dlatego był z nimi Witkowski, z którym Markiewicz znał się od zamierzonych czasów i którego na potrzeby sprawy postanowił wprowadzić w temat Insight.

Markiewicz poprosił też o pomoc Jastrzębskiego. Konieczna była obstawa. Postanowienie prokuratora o zatrzymaniu Jansena było wyłącznie świstkiem papieru. Wezwanie oddziału szturmowego albo otoczenie budynku kordonem policji nie było dobrym rozwiązaniem w tej sytuacji. Samson znał budynek, miał ogólne informacje o zabezpieczeniach, ale Frederic zapewne dowie się o ich przyjsciu wystarczająco wcześnie, aby móc podjąć próbę uciezki.

Tadeusz spędził wczoraj u Samsona całe popołudnie, zrobiło się tak późno, że zadzwonił do Marii i powiedział, że zostanie na noc w Krakowie. To miasto miało swój klimat, z czasem polubił Warszawę, ale to była zupełnie inna bajka.

Maks był początkowo bardzo sceptycznie nastawiony. Zadał bezpośrednie pytanie o CBS, czy Jastrzębski został przez Markiewicza poinstruowany. Odpowiedź była pozytywna, ale jak Tadeusz wyjaśnił, chodziło mu tylko o Insight i realizację jego planu, a gdyby sytuacja się zmieniła, nie byłoby problemu z powrotem do służby.

– Premier wie? – zapytał go Samson, gdy ruszyli w stronę celu. Zgodnie z tym, co mówił Maks, była to bezpieczna odległość, która jeszcze nie przyciągała uwagi ochrony.

– Sądzę, że dowie się szybciej, niżbym tego chciał.

– Nie dzwonił jeszcze do ciebie?

– Wyłączyłem komórkę – odpowiedział, zacierając ręce.

Było to trochę dziecinne, ale Janiszewski miał swój plan, którego Tadeusz nie aprobował. Jeżeli miał stracić tę posiadłość, chciał to zrobić, zachowując minimum godności. Skoro premier i Nowiński wiedzieli o przestępstwach Jansena, a pozwalali mu dalej dzierżyć ster Insight, dawali mu swoiste przyzwolenie na działanie poza prawem, tym samym łamiąc je.

Usłyszał dźwięk odbezpieczanej broni, spojrzał ostrzegawczo na Jastrzębskiego.

– Spokojnie. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli z tego korzystać.

– Włączył się alarm, słyszycie? – Witkowski wyglądał na przestraszonego. Był prokuratorem od piętnastu lat, ale od kiedy przejął kierownicze funkcje, raczej nie miał w praktyce brać udziału w tego typu akcjach. To była sytuacja wyjątkowa, odstępstwo od ciepłego stołka w stolicy.

– Przyśpieszmy – powiedział Maks. Zmarszczył czoło i obrócił się, zaniepokojony. – Chyba wzbudziliśmy zainteresowanie.

Z naprzeciwka wyszła grupa sześciu umundurowanych mężczyzn. Markiewicz czuł ekscytację, podobnie jak dla Witkowskiego również dla niego była to zupełnie nowa sytuacja.

– Wyglądają niepozornie – odparł Jastrzębski. Jego prawa ręka tkwiła w kieszeni kurtki, pewnie tam trzymał swoją broń.

– To tylko pozory. – Samson starał się przekrzywić narastający dźwięk alarmu. – Są nieźle uzbrojeni. Nie jestem pewien, czy powinniśmy się zbliżyć.

Po drugiej stronie ulicy zatrzymała się jakaś starsza para. W rękach trzymali reklamówki, pewnie wracali z jakiegoś lokalnego targu. Uważnie przyglądali się temu, co się dzieje,

włączony alarm przyciągał uwagę. Wszystko to miało miejsce w budynku, który dotąd uchodził za pustostan.

Markiewicz starał się przemyśleć wszystkie możliwości. Bał się reakcji strażników, poza Samsonem nikogo z nich nie znali, mogli ich więc zidentyfikować jako potencjalnych napastników.

– Co robimy? – zapytał Witkowski, który chyba najchętniej wróciłby tam, skąd przyjechał.

– Za późno, żeby się wycofać – odpowiedział Tadeusz.

Przekroczyli bramę, z obu stron pojawiło się po czterech kolejnych ochroniarzy. Markiewicz poczuł, jak jego żołądek podnosi się do góry. To był strach. Strach w czystej postaci. Gdyby miał stanąć do walki z którymkolwiek z nich, nie miałby najmniejszych szans.

Nagle alarm ucichł. Ta cisza nie brzmiała przyjaźnie.

– Co się dzieje? – zapytał go Witkowski, który w ręce trzymał kurczowo swoje postanowienie, jakby to miała być jego tarcza.

– Nie wiem. – Tadeusz był również pełny obaw.

– Ten alarm miał ich postawić w stan gotowości – powiedział szeptem Samson, ale zmysły Markiewicza były do tego stopnia wyostrzone, że nie miał problemu, aby go usłyszeć.

Stanęli około dziesięciu metrów od ochroniarzy, którzy tarasowali im drogę do głównego wejścia.

– Co to za szopka?! – krzyknął gniewnie Jastrzębski.

Tadeusz jeszcze bardziej się zestresował.

– Będziemy tak czekać?

Nikt z nich nie odpowiedział, to on był dla nich przewodnikiem i osobą decydującą.

Po chwili z ich szeregu wystąpił Maks.

– Przychodzimy po Jansena. Przepuście nas! – powiedział do ochroniarzy, ale tamci nawet nie drgnęli.

Gdy Samson podszedł bliżej, został odepchnięty.

Markiewicz martwił się przede wszystkim o Jastrzębskiego. Na jego skroniach pulsowały żyły, z trudem zachowywał spokój, gotowy w każdej chwili znowu wrzasnąć albo zaatakować ich wszystkich naraz.

– Skąd taka determinacja? – Ochroniarze rozstąpili się, a za nimi pojawił się Jansen z nieodłącznym tajemniczym uśmiechem.

– Mamy coś dla ciebie – powiedział do niego Tadeusz i popchnął delikatnie Witkowskiego.

Prokurator odkaslnął i wysapał drżącym głosem:

– Tak więc...

Jego słowa przerwał śmiech Jansena.

– Świetny spektakl, ale pozwolicie, że przerwę. Zapraszam do środka, nie zapominajmy, że to miejsce nie istnieje.

Tadeusz obrócił się. Drogę powrotną zastąpili im ochroniarze. Już nie mieli innego wyjścia jak podążać za Jansenem, który zdążył przemieścić się w stronę głównego holu.

– Pewnie ciekawi was, jak to wszystko działa – Frederic zaczął, jakby był przewodnikiem wycieczki. – Chodźcie za mną, spodoba wam się Spizarnia.

Może Markiewiczowi tylko się wydawało, ale tak jakby Samson pokręcił głową i coś szepnął Jastrzębskiemu.

Miał tak wysokie oczekiwania co do tego, jak wygląda Insight, że był teraz trochę rozczarowany. Zwykły biurowiec, który wyglądał na nieoddany do użytku. To, co rzucało się w oczy, to biel, która pokrywała ściany. Bez żadnych zdobień i zbędnych dodatków. Wyszli po schodach na drugie piętro. Kilka metrów za nimi podążało dwóch ochroniarzy.

– Do ciebie. – Jansen podał Tadeuszowi komórkę, jakby nie było w tym nic dziwnego. – Czasem jest problem z siecią, więc

może przerywać.

– Kto to? – zapytał.

Zobaczył uważny wzrok Samsona, który wyrażał niepokój. Z ich czwórki to właśnie Maks mógł najwięcej powiedzieć o tym miejscu. Plan Markiewicza był prosty – przyjść, aresztować Jansena i jak najszybciej się ulotnić. Sytuacja się jednak zmieniła.

– Słucham? – powiedział niepewnie do słuchawki.

– Co ty sobie wyobrażasz?! – wrzasnął Janiszewski.

Tadeusz specjalnie sprawdził grafik premiera, w tej chwili powinien być na spotkaniu sztabu kryzysowego na Pomorzu.

– Już za późno. – Janiszewskiego tutaj nie było, nikt nie mógł go powstrzymać.

– Przekroczyłeś swoje uprawnienia. Nie pogarszaj swojej sytuacji, Nowiński już tam jedzie.

Tylko jego tutaj brakowało. ABW miało delegaturę w województwie małopolskim, ale w Krakowie były godziny szczytu, więc byli bezpieczni przez kolejny kwadrans.

– Coś jeszcze? – Nigdy dotąd nie odezwał się do któregośkolwiek premiera w taki sposób.

– Zwalniam cię.

– Masz nieaktualne informacje. Twoja sekretarka ma sklerozę, zapomniała ci przekazać moje wypowiedzenie. – W tym momencie się rozłączył.

Wszyscy to słyszeli, również Jansen, z którego twarzy nie zniknął ten irytujący uśmiech.

– Zapraszam do serca Insight. – Frederic otworzył jedne z drzwi.

– Stop! – Maks zatrzymał Witkowskiego, który już chciał przekroczyć próg. – Bez gierki, Jansen. Jesteś aresztowany. Tutaj nic nie ma.

– Oczywiście – powiedział szef Insight i zniknął za drzwiami Spizarni, choć Markiewicz szczerze wątpił, aby znalazła się tam choć jedna konfitura.

– Co robimy? – zapytał Jastrzębski, był już zdecydowanie mniej pewny niż chwilę temu.

Markiewicz spojrzał pytająco w stronę Samsona.

W końcu weszli do Spizarni, która okazała się wielkim magazynem. Tadeusz musiał przyzwyczać wzrok do panującej tam ciemności. Nie potrafił nazwać tego, co widzi. To były przede wszystkim kable, wszystko dzieliło się na kolejne korytarze oznaczone następnymi liczbami.

– To Matka. – Dostrzegł cień Jansena, który wskazywał na monitor w stanie uśpienia. – Główna baza informacji, znaleźlibyście tutaj skarby, o których nawet nie śniliście.

– Skarby? – Witkowski patrzył z podziwem na wszystko, co było w zasięgu ich wzroku.

– Bezcenne informacje – wyjaśnił Frederic. – Chodźcie. Pokażę wam coś.

Ruszyli wzdłuż magazynu. Tadeusz nie spodziewał się, że Spizarnia jest aż tak duża, mijali kolejne poziomy, które nie różniły się niczym od tych poprzednich.

– Tutaj zginął Zamoyski. – Jansen wskazał na korytarz oznakowany symbolem C22. Gdybyście poszli jakieś dziesięć metrów dalej, zobaczylibyście plamę krwi, pozostałość po Koniecznym.

– O co w tym wszystkim chodzi? – Jastrzębski kurczowo trzymał ręce w kieszeni. Z jakiegoś powodu nikt ich nie sprawdził.

– Broń w tym miejscu to niebezpieczeństwo – przestrzegł Frederic, jakby dokładnie znał myśli szefa CBS. – Jeden strzał może narobić większych szkód niż tylko zranienie człowieka.

– Tobie to nie przeszkodziło jej użyć – powiedział wyzywająco Samson.

– Możecie mnie aresztować. Nie będę się wzbraniał. Chciałem wam tylko pokazać, z czym macie do czynienia. Jeżeli ktokolwiek z was potrafi tym zarządzać... – Obrócił się wokół własnej osi, rozglądając się po Spizarni. – ...to życzę wam powodzenia. Przyda się.

Markiewicz dobrze wiedział, że Maks nie ma o tym wszystkim pojęcia. W tym tkwiła siła Jansena – nadzwyczajna wiedza i doświadczenie. Nie było drugiej takiej osoby.

Usłyszał dźwięk, który niekoniecznie pasował do tego miejsca. Czy to była pułapka? Po chwili rozpoznał odgłosy. To był helikopter. Nie docenił ABW. Nowiński popełnił kolejny błąd, Insight przestało być anonimowe. A wszystko przez tę chorobę – urażoną dumę.

– Gra skończona – powiedział do Jansena, choć niekoniecznie był o tym przekonany.

– Lepiej bym tego nie ujął – odpowiedział Frederic, a jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

6

– Suka! – krzyknął w stronę Kotarskiej Witold Kabus, gdy przechodziła korytarzem.

To był jej pierwszy dzień w pracy, postępowanie dyscyplinarne zakończyło się pozytywnym rezultatem, ona potrzebowała odskoczni, a obowiązków na Montelupich nie brakowało. Kabus był zwykłym strażnikiem, stosunkowo młodym. Odwróciła się w jego stronę, zdziwiona, słysząc to słowo. Znajdowała się w bloku szpitalnym, gdzie mieściło się jej drugie biuro, w którym przeprowadzała swego czasu rozmowy resocjalizacyjne.

– Słucham?! – Wytrzeszczyła na niego oczy.

Kabus nie zatrzymał się, szedł dalej.

– Koperek smakował! – powiedział, odwrócony do niej plecami.

Nie wiedziała, jak się zachować. Do tej pory nigdy nie miała z nim kontaktu. Może w styczniu coś się zmieniło, wyglądało na to, że raczej się nie polubili. Jedno w tym wszystkim jej nie pasowało – to ona była zastępcą dyrektora, on tylko strażnikiem, jej stanowisko wymagało minimum szacunku, a Kabus jakby w ogóle się tym nie przejmował.

Domyślała się, że nie chodziło o ten dodawany do zup. W slangu więziennym „koperek” oznaczał włosy łonowe, co było tym bardziej niezrozumiałe.

Wróciła do swojego biura okrężną drogą, przez blok zamknięty. To była najstarsza część budynku, korytarz był wysoki, ale zarazem bardzo wąski, co wzmagало klaustrofobiczne odczucia. Śmierdziało tak jak zawsze. Za kolejnymi drzwiami przebywała

elita polskiego świata kryminalnego, osoby pozbawione skrupułów – gwałciciele, mordercy i pedofile. W związku z nieustającym problemem przeludnienia więzień razem z nimi przebywały tak zwane białe kołnierzyki, drobni złodzieje, albo sprawcy wypadków komunikacyjnych. Na szczęście nie było tutaj już tych, co siadali do samochodu albo na rower po wpływie alkoholu, a po wcześniejszej zmianie regulacji prawnych byli oni prawdziwą plagą.

Słyszała odgłosy dobiegające z cel. Czasem to było radio, czasem jakieś krzyki. Rzadko tutaj bywała, obecność w tym miejscu sprowadzała się do zwątpienia, czy dobro na świecie jeszcze istnieje. Wciąż nie potrafiła wyzbyć się myśli o tym, co miało miejsce chwilę temu.

– O! Pani Edyta! – zdziwił się strażnik, który przechodził korytarzem z naprzeciwka.

Miał na sobie zwykły szary uniform, do paska przypięte klucze. Bez broni i ostrych narzędzi, które mogły zostać wykorzystane przez eskortowanych więźniów.

– Wszystko w porządku?

Nie miała uprawnień dowódcy zmiany, nie mogła wejść wszędzie, ale wszyscy ją znali. Zawsze pozostawało odczucie, że nie jest traktowana zbyt poważnie tylko przez to, że jest kobietą. Nie była odosobniona, w Służbie Więziennej coraz więcej było przedstawicielek płci pięknej, choć częściej znajdowały zatrudnienie w administracji. Mimo to rządzą faceci i nic nie wskazywało na to, by w najbliższym czasie miało się to zmienić.

– Wie pani, jak to jest, każdy dzień jest inny.

Przytaknęła. Może właśnie dlatego odnajdywała w tej pracy satysfakcję. Na Montelupich nie było sensu planować dnia, bo za każdym razem wyglądał on inaczej, zależnie od aktualnej sytuacji.

Ten budynek żył, był jak organizm, zbudowany z więźniów, którzy znajdowali się w ciągłej rotacji.

– Gdzie siedzi Danielewicz? – zapytała.

Przez jej głowę przeszła myśl, aby choć na chwilę na niego spojrzeć, ale doszła do wniosku, że to bez sensu. Wyczytała w aktach, że w przyszłym tygodniu miała się odbyć jego sprawa.

Strażnik spojrział na wykaz.

– Cella C pięćdziesiąt sześć, na trzecim piętrze.

– Dlaczego tak daleko? Wszystkie inne zajęte?

– Takie dostaliśmy dyspozycje.

Kotarska wolała nie pytać od kogo, aby nie wzbudzić podejrzeń.

– Proszę mu to przekazać. – Podała paczkę. Przygotowała dla Danielewicza mały prezent.

– Jest dzisiaj bardzo nerwowy. Odosobnienie mu nie służy. – Spojrział na pakunek. – Wie pani, że nie powinienem...

– Prokurator? – Domyśliła się już wcześniej, że zakazano przekazywania mu jakichkolwiek listów i przesyłek.

– Dokładnie...

– Ale chyba możemy dopuścić mały wyjątek.

Nie zamierzała naciskać, aż tak bardzo jej na tym nie zależało. Jednocześnie dobrze wiedziała, że szczegółowe regulacje istnieją tylko na piśmie, a strażnicy nawet nie są świadomi niektórych zapisów. Strażnik pokiwał głową i wziął do ręki torbę Edyty. Postanowiła skorzystać, że trafiła na osobę, która nie krzyczała do niej „suka” na przywitanie i zapytała:

– Na którym oddziale pracuje teraz Kabus?

Strażnik uśmiechnął się, ale wyglądało to na trochę wymuszone. Usłyszała odgłos kluczy. Kilku więźniów wracało ze spaceru. Nie powinna stać w tym korytarzu. Gdyby coś się stało, trudno byłoby się z tego wytłumaczyć.

– Przyznam szczerze, że dziwię się, że w ogóle pracuje – powiedział strażnik, dla którego obecność więźniów chyba nie okazała się problematyczna. – Przecież byłem obecny przy tym, jak wręczyła mu pani wypowiedzenie.

– Rozumiem, dzięki bardzo...

Zmierzyła wzrokiem łysego mężczyznę z wytatuowaną szyją, który przechodził tuż obok. Wyciągnął język, a na ziemię skapnęła jego ślina. Zbyttno się nie przejęła, przez lata pracy na Montelupich zdążyła się przyzwyczaić. Ruszyła w przeciwną stronę.

Powiedziała strażnikowi, że rozumie, ale była jeszcze bardziej zdezorientowana. Zastanawiała się, dlaczego zwolniła Kabusa i to jeszcze na oczach innych, choć trudniej było jej wyjaśnić fakt, że on wciąż tutaj pracował. Musiała dokopać się do starych dokumentów, ale w tej chwili już nie miała na to czasu.

Czuła się zdecydowanie lepiej, ale psychicznie była wrakiem człowieka. Powiedziała Adamowi o swojej ciąży, najpierw nie rozumiał, zastanawiał się, kiedy do tego mogło dojść, potem uświadomił sobie prawdę. Nie krzyczał, nie bluźgał, powiedział tylko, że potrzebuje czasu. W takich sytuacjach zawsze lepiej radził sobie od Edyty, która zwykle wpadała w panikę, nie wiedziała, od czego zacząć, nie panowała nad emocjami.

Czekała już dość długo, wolałaby, aby powiedział jej prawdę, nawet jeśli miałaby być bolesna. Wszystko było lepsze niż oczekiwanie w niewiedzy, to tylko potęgowało obawy. Postanowiła, że ta cisza nie może trwać dłużej. Była jak najgorsza tortura.

Wyjechała z miasta. Nie знаła dokładnej lokalizacji miejsca, gdzie ostatnio zabrał ją mąż. Miała wtedy przysłonięte oczy, więc teraz opierała się tylko na tym, jak stamtąd wracała. Miała przecucie, że właśnie w tej willi odnajdzie Adama.

Już pogodziła się z faktem, że jest w ciąży. Spotkała się z siostrą, która odwiedzała ją teraz każdego wieczoru. Dopiero wtedy, gdy Milenie puściły nerwy i zapłakana wybiegła z jej domu, Edyta zrozumiała. Jej siostra bardzo chciała mieć takie życie, jakie wiodła Kotarska. Nie chodziło tylko o pracę, bo najważniejsza była rodzina. Teraz Edyta była w ciąży, a Milena nie potrafiła zrozumieć jej obaw, lęków i narzekań. Sam fakt, że ojcem dziecka mógł być każdy, w tym momencie się nie liczył – Kotarska otrzymała kolejny dar od Boga, dar, o który Milena modliła się każdego wieczoru.

Siostra zadzwoniła dzisiaj przed południem i przeprosiła za swoje zachowanie. Los faktycznie nie potraktował ich sprawiedliwie, ale Edyta jej potrzebowała. W sytuacjach takich jak ta można liczyć tylko na bliskich.

Poczuła swojskie zapachy wsi. Zawsze było to dla niej zaskoczenie, że tak naprawdę pięć kilometrów od Krakowa był zupełnie inny świat, powietrze, którym można było oddychać, i spokój – wytchnienie od nieustannego miejskiego zgiełku.

Już dojeżdżała, opony zagłębiały się w błocie, ale jej mały, czerwony citroen dawał sobie radę. Było tak pięknie. Pogoda była lepsza, niż gdy była tutaj ostatnim razem. Promienie słońca łagodnie opadały na łąki i polany. Wiejska sielanka.

Zatrzymała się przed ogrodzeniem. Ścieżka do willi prowadziła przez sad. Nie znalazła żadnego dzwonka, więc zapukała. Tynk odpadał z fasady, a szara farba na framugach okien popękała. Z daleka willa wyglądała lepiej, przede wszystkim nie było widać zniszczeń poczynionych przez czas. Usłyszała trzask po drugiej stronie, jakby jakieś szkło spadło na podłogę. Więc jednak nie myliła się co do tego, że zastanie tutaj Adama.

W pierwszym momencie go nie poznała. Miał zapuchnięte oczy,

a twarz pokrył kilkudniowy zarost. Miał na sobie jakieś łachy.

– To ja – powiedziała nieśmiało.

Stojąc dwa metry od niego, czuła, że pił. Już wcześniej miał z tym problem, a nie było to dobre połączenie, biorąc pod uwagę, że był pilotem.

– Widzę – wybąkał, opierając się o framugę, jakby to był jedyny sposób, aby uchronić się przed upadkiem.

– Jesteś pijany. – Zaczynała wątpić, czy ta rozmowa w tej chwili ma jakikolwiek sens.

– A jaki mam być? Moja żona jest dziwką, nie pamiętasz? – Uśmiechnął się szyderczo.

Spoliczkowała go.

– No co? – Spojrzał na nią wyzywająco. – Powiedz mi, że kłamię!

Czuła pogardę do tego człowieka. Widocznie nie zasłużyła na nikogo lepszego.

– Oboje popełniliśmy błędy, wygląda na to, że masz słabą pamięć!

Odwróciła się. Targały nią negatywne emocje. Z jednej strony chciała płakać, była zła, ale nie chciała mu dać tej satysfakcji. Nie był wart jej łez.

– Kim jest ten skurwieli?! – usłyszała krzyk Adama.

Nie odwróciła się. Szła dalej, przyśpieszyła. Bała się swojego męża, nigdy wcześniej nie widziała go tak pijanego. Nie wiedziała, do czego może być zdolny. Adam pobiegł za nią i chwycił ją za kurtkę.

– Wstyd mi za ciebie. – Spoliczkowała go ponownie.

– Czego tu chcesz?!

– Upadłeś na dno. Nie zamierzam tam trafić razem z tobą.

Przytulił się do niej. Nie spodziewała się takiego gestu. Stała

sztywno, nie wiedziała, jak się zachować. Wciąż była zła, do tego ten smród... Chciała go odepchnąć, ale był od niej zdecydowanie silniejszy.

– Ogarnij się, bo nie będzie czego ratować. – Mimo wszystko wzbudził w niej litość.

– Zabierz mnie ze sobą. – Spojrzał na nią. Ledwo trzymał się na nogach.

– I co dalej? – Nie wiedziała, skąd ta nagła zmiana. – Wytrzeźwiejesz i znowu tutaj wrócisz?

– Nie... W końcu staniemy się rodziną...

* * *

– Chce rozmawiać tylko z tobą. – Gellert podszedł do Lamy. Wyglądał na wściekłego.

– Kto? – zdziwił się Miłosz. Przyszedł do komendy niespełna dziesięć minut temu.

– Jak to kto? Chyba nie Duch Święty! Ryglewicz przecież...

– Sądziłem, że przesłuchanie już się skończyło, właśnie miałem cię o to pytać.

– Czekaliśmy na ciebie, ale nie odbierałeś telefonów.

Lama zerknął na komórkę. Dwanaście nieodebranych połączeń. Przypadkiem wyłączył dźwięk i nic nie słyszał.

– A co z Dędkiem? – Prokurator wcześniej nie chciał dopuścić osób trzecich. Przy wejściu Miłosz minął grupę niezadowolonych dziennikarzy. Na szczęście udało mu się ujść ich uwagi.

– Ryglewicz nie odpowiedział na żadne jego pytanie.

– No to chodźmy.

Tak jak wcześniej Lama miał obawy przed przeprowadzeniem przesłuchania, teraz był zadowolony z takiego obrotu spraw. Miał do spłacenia dług po tym, jak skompromitował się z płytą.

Ryglewicz sam stworzył mu szansę, aby się odegrać. Przez chwilę pomyślał o Milewskim, powinien mu dać znać, ale Gellert i tak by go nie dopuścił. Miał nadzieję, że Dagmara zmądrzeje i oboje z Szymonem znajdą jakieś rozwiązanie. Od ostatniego spotkania z Nogałą już nie zobaczył funkcjonariusza w komendzie, ale nie interesował się tą sprawą. Cieszył się, że córka może znowu być spokojna.

– Wszystko OK? – Jan spojrzał na niego przelotnie, gdy przemierzali korytarz prowadzący do pokoju przesłuchań. – Jesteś wyjątkowo spokojny.

– Wydaje ci się.

– Oj, nie, znam ten wyraz twarzy. Ekscytujesz się.

– Spokojnie. – Miłosz kurczowo trzymał w ręce klucz do trumny Ryglewicza.

– Tylko bez niespodzianek. – Chyba nie przekonał Gellerta. – Powodzenia! Nie zadzieraj z nim.

Stanęli przed drzwiami, za którymi znajdował się Ryglewicz. Obok stało dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy. Lama przygryzł dolną wargę. Faktycznie był podekscytowany, czuł delikatne mrowienie na wysokości odcinka lędźwiowego.

To był inny pokój przesłuchań niż ostatnio, zdecydowanie mniejszy. Tutaj również nie było lustro fenickiego, tylko kamery, a czerwone światelko sygnalizujące włączony tryb nagrywania było zwyczajnie irytujące. Miłosz bez słowa usiadł naprzeciwko Tomasza. Jego uwagę przykuł opatrunek na głowie mordercy. Syn Droubera miał zaczerwienione oczy. Schudł od ostatniego razu, nie wyglądał na osobę zdolną do czynów, które popełnił.

Dopiero teraz Goczałka zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nie wie, czego miało dotyczyć to przesłuchanie, nie dostał żadnych wytycznych. Ryglewicz do tej pory nie przekazał policji żadnych

wyjaśnień, więc chodziło zapewne o podstawowe fakty, ale dla Lamy to spotkanie oznaczało coś więcej – rozmowa dwóch osób, dla których ten cały teatrzyk miał inny wymiar, gdzie bardziej liczyły się poszczególne gesty niż czyny z przeszłości.

– Znowu się spotykamy – powiedział Ryglewicz.

Miłosz milczał. Chciał poczekać na kolejne słowa i zobaczyć, jaki zamysł na sztukę ma dzisiaj reżyser. Odprężył się, nie stresował się, czuł się pewniej niż dotychczas, po raz pierwszy nie miał wątpliwości, z kim ma do czynienia.

– Jak myślisz? Który to akt? Ile jeszcze zostało do końca tego przedstawienia?

Goczałka, słysząc te słowa, tylko uśmiechnął się i odchylił się do tyłu na krześle. Wyobraził sobie minę Gellerta i Dędką, którzy w pokoju obok obserwowali całą sytuację. Ryglewicz wciąż nie spostrzegł, że coś jest nie tak i kontynuował swój wywód.

– Jak się czuje ponizony człowiek? Rozumiem cię, masz ambicje, wierz mi, że cenię to jak nic innego. Ale dość łatwo pogubić się w tym całym labiryncie, prawda?

Syn Droubera ucichł. Siedział nieruchomo. Lama domyślił się, że to tylko kolejny interwał. Spojrzał na zegarek, aby upewnić się, jak długo potrwa. Trzydzieści sekund.

– Ach tak. Zastanawiałem się nad tobą – kontynuował Ryglewicz, Miłosz pozostał niewzruszony. – Wydaje mi się, że mnie rozumiesz, starasz się ignorować to, że cię upokorzyłem. To walka dwóch reżyserów, gdzie gaża jest tylko dla jednego. Pewnie nawet nie domyślasz się, dlaczego chciałem się z tobą zobaczyć. Uznajmy to za podziękowanie i pożegnanie, bo pewnie już nie będzie nam dane się spotkać. Dwa w jednym. Pakiet. Gdzieś tam jest prawda, ale ona w tym przedstawieniu nie występuje. Drugoplanowe role też nie są nagradzane.

– Coś jeszcze? – zapytał Lama. Nie chciał mu przerywać widowiska.

– To koniec. Czuję. Kochałem. Chciałem więcej i więcej. Walczyłem o prawdę... zabijałem. To koniec. To właśnie kwintesencja. Przecież wszystko sprowadza się do marzeń, pragnień oraz emocji. Ale to wszystko przemija, bo trzeba dokonywać wyboru. Poznaj moją łaskę. Nie zabiję cię. To moje podziękowanie.

– Ciekawisz mnie... – zaczął Lama, jakby ignorując jego słowa.
– Nie wiem, który to akt, mogę się tylko domyślać, że to jeszcze nie ostatni, a pożegnanie jest tylko kolejną podpułą. Zastanawiam się, jaki miałeś interes w wysyłaniu do swojej matki listu, nie dołączając klucza.

To nie była najważniejsza rzecz, ale chciał go zaskoczyć.

– Ach tak. Znowu dałeś się nabrać. Myślałem, że lepiej uczysz się na błędach.

– Czyżby? Potrafisz nas upokorzyć. – Pomyślał o algorytmie koniecznym do odtworzenia szyfru, który stanowił datę urodzin Ryglewicza. – Popełniasz jednak proste błędy, których na twoim miejscu bym się wstydził. Zaufałeś nieodpowiednim ludziom.

– Nikomu nie ufam – usłyszał w odpowiedzi Lama.

– Nie masz żadnych przyjaciół? – zapytał ze współczuciem. Miłosz nigdy nie był dobrym aktorem, ale Ryglewicz miał rację, to była batalia dwóch ambicji.

– Tylko jednego. – Zapewne miał na myśli Antona.

– Widocznie o jednego za dużo.

Lama wolałby rozmawiać z Ryglewiczem na osobności. Gellert i Dędek do tej pory nie byli wtajemniczeni w wiele spraw, które udało się Miłoszowi odkryć. Przede wszystkim chodziło o matkę Tomasza, a przecież Goczałka obiecał Szymonowi, że ona na tym

wszystkim nie ucierpi.

– Ach tak. Każdy jest odpowiedzialny za własne wybory.

– A jesteś z nich zadowolony? – Lama chciał jeszcze poczekać na ostateczny cios. – Czy twoja matka również?

– Nigdy się z nią nie rozumieliśmy, różnica poglądów. Przeklinała ojca, ale była dokładnie taka sama. Robiła z siebie świętą cnotkę, a nie potrafiła poradzić sobie z najprostszymi rzeczami. Chciała, abym powielił jej błędy i zaakceptował własne słabości. Nigdy się tego nie doczeka.

– Ale zawsze będziesz jej dzieckiem, Ryglewicz. – Użył tego nazwiska umyślnie.

Uśmiech zszedł z twarzy syna Droubera.

– Jestem Thoma...

– Już to gdzieś słyszałem. Kolejna świetnie skonstruowana intryga. Zero, siedem, jeden, zero, jeden, dziewięć, osiem, siedem. Pamiętasz?

– Jestem Thoma... – Ryglewicz złapał się za głowę i zamknął oczy. Wyglądało na to, że cierpi.

– Dobra, Reglewitsch. – Lama wstał z krzesła. – Gdzie jest w takim razie twój pamiętnik?

Syn Droubera pokiwał głową, jakby aprobował sytuację i przygotowanie Goczałki do tego starcia.

– W bezpiecznych rękach. To przecież bardzo ważne.

– Nie ma dla ciebie ważniejszej rzeczy, prawda? Chodziło tylko o uchronienie tego, co najważniejsze. Obietnica przechowania dana przez Antona była ci na rękę. Wzbraniałeś się, ale to wtedy powstawał zamysł tego spektaklu. Danielewicz też był tylko twoim aktorem, a zamiana brzmiała lepiej. Tak, Ryglewicz. Jesteś genialny! – Miłosz naprawdę tak sądził. Tak wiele mu zajęło, aby zrozumieć, a wciąż nie wszystko było dla niego jasne.

– Ach tak. – Rozmówca zamknął oczy. Jego ego potrzebowało właśnie takich słów. – Przeceniasz wartość pamiętnika.

– Klucz? – Lama wciąż zastanawiał się nad wiadomością wysłaną przez Tomasza do matki.

Nie było żadnej odpowiedzi. Kolejny interwał. Dopiero teraz Lama zdał sobie sprawę, że kogoś brakuje. Absencja prawnika mogła okazać się problematyczna, gdyby przyszło opierać się na tym przesłuchaniu w sądzie.

Miłosz wyciągnął zdjęcie Strudzień.

– Danielewicz znalazł dla ciebie zastępcę. Już nie jesteś tym jedynym. Nikt nie jest niezastąpiony. – Wskazał na leżące na łóżku ciało.

– Ach tak. Dobrze wiesz, że jestem niezastąpiony. – Ryglewicz wziął do ręki zdjęcie i przez chwilę się przyglądał. Nie wykazał większego zainteresowania. – Kto ją zabił?

Goczałka bardziej spodziewał się pytania, kim była ofiara.

Wizyta u Sylwii Danielewicz ujawniła Lamie kolejną kartę. Po ostatnim przesłuchaniu i obejrzeniu zdjęć żona Antona nabrała podejrzeń i chcąc sprawdzić, czy to faktycznie prawda, zaczęła szukać dokumentów, odwiedziła również firmę męża. Miłosz poznał nazwisko sprawcy, ale nie mógł go tutaj ujawniać, bardziej ze względu na Gellerta niż Ryglewicza. Zanim to zrobi, musiał się upewnić, pochopne decyzje mogły okazać się zabójcze w skutkach.

Chodziło o zapach. Sylwia używała perfum, który Goczałka rozpoznał w mieszkaniu Strudzień. Wtedy sądził, że to od prokuratorki, ale dopiero dzisiaj uświadomił sobie, że to żona Danielewicza tam była, znalazła jej martwe ciało i wezwała odpowiednie służby.

– Coś za coś – powiedział Miłosz. – Chyba lubisz zamiany. Powiedz mi najpierw, jak odzyskać utracone dane.

Ryglewicz zmrużył oczy. Intensywnie nad czymś myślał, analizował to, co się dzieje.

– Ach tak. To, że lubię liczby, nie oznacza, że znam się na informatyce. Nie trzeba być jednak geniuszem, aby nie pojmować znaczenia słowa RESET.

– Załadowanie od nowa systemu, zarazem skasowanie danych.

Lama zrobił krok w stronę drzwi i spojrzał przelotnie w stronę kamery. Do tej pory nie udało mu się wyciągnąć z Ryglewicza żadnej informacji dotyczącej zabójstw, ale nie taki był jego zamysł.

– Ach tak. To chyba definicja z encyklopedii. Reset to przede wszystkim nowe życie. Jedno kliknięcie, a przestajemy istnieć. Wyobraź sobie, że masz okazję zapomnieć o tym, co było, nikt nie wypomina ci błędów z przeszłości, zaczynasz wszystko od zera.

– Komu zrobiłeś taki prezent, Ryglewicz?

Tym razem nie zareagował przedstawieniem się jako Reglewitsch. Lama czuł satysfakcję, zrozumiał aluzję teatru. Reglewitsch tłumaczył zabójstwa, Reglewitscha tłumaczył guz. Gdyby tylko Tomasz był konsekwentny, wszyscy wciąż trwaliby w niewiedzy.

– Ach tak. Dobrze wiesz. – Syn Droubera wygiął palce, Miłosz zobaczył, że brakuje mu dwóch paznokci. Jego ręka wyglądała paskudnie. – Mam tylko jednego przyjaciela.

– Zamiany są fajne, prawda? – Goczałka musiał uważać na każde słowo, bo wszystko mogło być wykorzystane przeciwko niemu. – Jesteś usatysfakcjonowany z czasu, który dostałeś? –

W mniemaniu Miłosza również Anton zasłużył na docenienie, w końcu przechytrzył samego Ryglewicza.

– Bardzo...

– Ach tak – powiedział, naśladowując rozmówcę. – Jest dla ciebie bardzo cenny, prawda? Każda sekunda. Tik-tak. Tik-tak.

Nieustannie. A zegar był obietnicą, przedłużeniem nadziei. – Czuł się niczym w transie. Nie potrzebował większej publiczności. Wystarczał mu Ryglewicz. To wszystko było dla niego. – Ale wciąż boli, hm...? – W tej chwili podszedł do drzwi i zamknął je od środka. Chwilę później usłyszał huk, widocznie funkcjonariusze stojący na zewnątrz próbowali się dostać do środka. – Wszystko w porządku, panowie! – krzyknął do nich. Wiedział, że nie uda mu się z tego wytłumaczyć, ale to była jego chwila, którą miał zamiar się rozkoszować.

Ryglewicz siedział na krześle i dotykał głowy. Nie przejął się zachowaniem Lamy, jego umiejętność panowania nad nerwami była imponująca. Miłosz miał plan, by w trakcie najbliższej minuty to zmienić.

– A co gdyby czas okazał się wytworem twojej wyobraźni, snem, niespełnionym marzeniem? Czy wtedy reset wciąż byłby uzasadniony?

– Czego chcesz? – Ryglewicz patrzył na niego badawczo.

Goczałka chciałby poznać jego myśli, zajrzeć w głąb tego genialnego umysłu.

– LAMA, KURWA! CO TY WYPRAWIASZ?! – To Gellert krzyknął zza zamkniętych drzwi. – WPUŚĆ NAS!

Nie przejmował się tym. Podszedł do Ryglewicza. Gdyby nie fakt, że siedział przed nim morderca, gdyby nie wiedział, jakich czynów się dopuścił, pewnie byłoby mu go żal.

– Pozwól, że coś ci pokażę.

Miłosz zaczął rozwijać opatrunek, który Ryglewicz miał na głowie.

– Wciąż jesteś pewny, że twój pamiętnik jest bezpieczny? – zapytał po wszystkim, gdy tylko upewnił się, że żadna operacja nie miała miejsca.

Ryglewicz siedział nieruchomo, Goczałka uchylił drzwi, Gellert wyglądał na przerażonego obrotem spraw. Ten akt należał do Lamy.

* * *

– W ogóle się nie starasz! – powiedziała do niego Maria. Siedziała na nim, wciąż w zwiewnym peniuarze, którego Markiewicz nie miał chęci zdejmować.

– Padam ze zmęczenia. – Dopiero chwilę temu wrócił z Krakowa.

– Nie udawaj starszego niż jesteś. – W odpowiedzi poczuł, jak jej ręce schodzą coraz niżej po ścieżce miłości.

Tadeusz zamknął oczy. Gdyby w tej chwili zasnął, żona śmiertelnie by się na niego obraziła.

– Dajmy sobie dzisiaj spokój – powiedział łagodnym tonem. Wyciągnął do niej ręce i mocno przyciągnął do siebie. – Co ty taka ostatnio jesteś?

– Jaka? – Wtuliła się w jego pierś.

– Napalona? – Nie znalazł innego słowa.

– Powinieneś się ogolić – stwierdziła, ignorując jego słowa.

– Niby gdzie? – Gdyby wiedział, że Maria będzie mieć wieczór abstrakcyjnych pomysłów, to pewnie zostałby w Krakowie.

– Wszędzie... Kiedyś to może było całkiem fajne, ale posiwiałeś. – Chwyła go za sutek i mocno przekręciła, aż jęknął z bólu.

– Uważaj! – Pogroził jej palcem. – Bo zaraz sam cię tam złapię.

– Nie ośmieliłbyś się. – Wyślizgnęła się z łóżka, zanim zdążył zareagować, wybiegła z pokoju nago. Jeśli sądziła, że Markiewicz będzie ją gonić, srogo się myliła.

Nałożył na siebie szlafrok, bo noce bywały chłodne. Nie powiedział jeszcze żonie o tym, że stracił pracę. Nie śpieszyło mu

się również, aby opisać to, co wydarzyło się w Krakowie. Najpierw musiał sobie wszystko poukładać.

Był zmęczony, jego nogi były jak z waty. Nie skupiał się, nie miał na to siły. Rozmowę z Marią ograniczył do pytań o Tadka. W tym wszystkim, co robił, brakowało czasu, spokojnego rozkoszowania się chwilami, cieszenia się życiem. Co z tego, że miał w domu playstation. Gdy Henryk przyniósł kiedyś do domu grę *FIFA*, zdziwił się, jak bardzo to jest znakomite. Sądził, że będzie ćwiczył wieczorami, aby w końcu pokonać syna za sterami jego ukochanego zespołu – Liverpoolu. Ale konsola tylko czekała, pokryta warstwą kurzu.

Maria weszła do sypialni ubrana w piżamę, która nie podchodziła pod kategorię jej seksownych wdzianek. Minę miała naburmuszoną, chyba do niej dotarło, że tego wieczoru nie zostanie zaspokojona.

Marzył mu się masaż, czuł, jak jego mięśnie były spięte, a wiedział, że Maria potrafi zadbać o jego plecy. Miała taki przyjemny w zapachu balsam, chyba malinowy.

– Jesteś do niczego – powiedziała, kładąc się obok niego.

Był bliski przyznania jej racji, ale nie zrobił tego, bo zarzuciłaby go lawiną pytań, na które nie miał teraz siły odpowiadać.

– Zostanę jutro w domu, chciałem pogadać z Henrykiem.

– Co się stało? – Położyła głowę na jego piersi.

– Nic. – Mrugnął do niej. – Wydaje mi się, że przydałoby się im większe mieszkanie. Co o tym sądzisz?

– Jeżeli uważasz, że nas na to stać. Przecież wiesz, że nie mam pojęcia o finansach.

– Nie stać nas – przyznał z żalem, bo mimo całodziennej harówki i poświęcania się dla parszywej racji stanu nie dorobił się

niczego wartościowego. – Ale wypadaloby pomyslec o jakimś prezencie dla nowozenców. Daliśmy dzieciom wszystko, czego potrzebowaly. Ale czasy troche się zmienily, widocznie Henryk miał mniejsze szczescie.

– Nie poznaje cie.

– Wszystko się zmienia.

Ten dzien nalezaln do przełomowych w jego zyciu. Sprzeciwil się premierowi, postawil na swoim. Nie zalowal, bo przeciez włascnie na tym mu zalezalo. Jansen nie oddal się w ich ręce, ale ABW zostalo skompromitowane. Postanowienie prokuratora o zatrzymaniu malo na szczescie kluczowe znaczenie. Frederic oficjalnie wciaz był szefem Insight, ale Janiszewski nie miał innego wyjścia, niz go odwołac. Gdzieś w tej całej układance znajdowal się Maks Samson, ale to juz nie lezalo w gestii Tadeusza, czy ten czlowiek faktycznie zastapi Jansena. Nawet jeśli, na początku byloby Samsonowi naprawde trudno, ale chodzilo tylko o dobro kraju i bezpieczenstwo informacji.

Szef Insight tkwil teraz w malopolskiej jednostce ABW, nikt nie miał odwagi wrzucac go do wiezienia z innymi mordercami. Z wiedza, ktora posiadal Jansen, moglo to okazac się fatalne w skutkach.

– O czym myslisz? – zapytala go Maria.

– O tym, ze dobrze cie miec przy sobie.

– Czarus. Przeciež wiem, ze jestem zrzędliawą zoną, która zbyttnio przejęla się rolą babci.

– Oj, przestań. Przeciež wiesz, ze Henryk i Ania to doceniają. –

Domyślił się, ze Maria powiedziala to tylko dlatego, aby pocieszyl ją włascnie takimi słowami.

– No włascnie wydaje mi się, ze nie i woleliby, zebym w końcu dala im spokój.

– Śpijmy już, powinniśmy odpocząć.

Nagrał się na swojej sekretarce, że jutro nie będzie go w pracy. Wyłączył komórkę, zamknął laptop. I tak wiedział, że to nie pomoże. Janiszewski już pewnie zdążył wrócić z Pomorza, w tej chwili był zdany na innych doradców, ale Markiewicz przypuszczał, że w tym przypadku nie będzie ich słuchać, a zrobi po swojemu. W każdej kadencji pojawiał się błąd tego typu, który ciągnął się przez kolejne miesiące, a ostatecznie doprowadzał do klęski w następnych wyborach. Doradcy nie byli nieomylni, również Tadeusz opierał się na zdobytym doświadczeniu. Właśnie to miało największe znaczenie – umiejętność oceny potencjalnych skutków przy uwzględnieniu scenariuszy z przeszłości.

Domyślał się, jakie będą kolejne kroki premiera. Tadeusz przestrzegł Samsona, że Janiszewski pewnie będzie chciał się z nim spotkać. Teraz już nie chodziło o odpowiednią decyzję, a o postawienie na swoim. Skoro Markiewicz próbował przeforsować Maksa, to nawet jeśli był to jedyny racjonalny wybór, premier będzie szukał innych możliwości, byle nie dać satysfakcji swojemu dawnemu doradcy.

– Co robiłeś w Krakowie? – Maria uniosła głowę w momencie, gdy Tadeusz już śmiał sądzić, że w końcu zasnęła. Czasem miała ochotę na wieczorne rozmowy, mnożyła tematy, czekała na jego odpowiedzi. Z trudem uniósł powieki, już śnił, nie chciał tego psuć.

– Tajemnica państwowa. – W jego mniemaniu ta odpowiedź brzmiała racjonalnie, zarazem była prawdą.

– Musimy ci kupić garnitur na ślub.

– A co jest złego w tych, które już mam? – Kiedyś próbował milczeć, nie odpowiadał na te pytania, ale to tylko wszystko przeciągało.

– Przecież to specjalna okazja!

Przytaknął. Bardziej martwił się tym, co będzie dalej, aniżeli tym, co na siebie włoży za pół roku. Miał kontakty, teoretycznie nie powinien mieć problemu ze znalezieniem pracy, bardzo możliwe, że nawet Maria nie będzie musiała się o tym dowiedzieć. Ale Janiszewski mógł zrobić mu czarny PR. Nikt nie zatrudni takiego, któremu nie będzie można zaufać. Wszystkie ostatnie lata, kiedy starał się, dawał z siebie sto dwadzieścia procent, były aktualnie przyćmione przez jedno zdarzenie. To tak jak z przyjaciółmi. Można sobie obiecywać, że nic ich znajomości nie zniszczy, a jedno słowo czy nieporozumienie potrafią wywołać sytuację, której nie da się cofnąć.

Miał przed oczami Spizarnię w Insight. Magazyn robił wrażenie, nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego, a naprawdę trudno było go jeszcze czymś zaskoczyć. Myślał o Jansenie i tym, co robi Nowiński w parze z Witkowskim. Ten pierwszy był durniem, a ostatnie dni tylko w tym Markiewicza utwierdziły. Witkowski był natomiast urzędasem, w dodatku dość uległym, poddającym się naciskom.

– Śpisz? – Maria nie dawała mu spokoju.

– Ehe – odparł, na wpół przytomny.

– Kocham cię. – Pocałowała go w usta.

– Ehe. – Już spał.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo skomplikował w dniu dzisiejszym plany Jansena, który właśnie siedział w jednym z pokojów małopolskiej delegatury ABW i jeszcze nie powiedział ostatniego słowa.

* * *

„Przyjdź i otul mnie. Przebacz i zapomnij. Zasłużyłem” – właśnie taką wiadomość Ryglewicz wysłał do swojej matki przed

tygodniem. Użycie superszyfru gwarantowało bezpieczeństwo, a to ona pokazała mu łatwość posługiwania się liczbami. Wszystko było dzięki temu proste, zdecydowanie zbyt proste dla większości, bo inni czuli się za inteligentni, żeby używać tak prymitywnych narzędzi.

Nie kochał swoich rodziców, nienawidził ich, przede wszystkim ojca, który nigdy nie poczuwał się do tej roli. A matka była po prostu matką, nigdy niczego od niego nie oczekiwała, przejmowała się, a teraz pewnie przeklinała dzień, że urodziła takiego potwora jak on.

Tik-tak. Tik-tak.

U_45G zasłużył na swoją klasyfikację, dał radę, udowodnił mu słabe punkty. W relacji z ludźmi zawsze właśnie tego Ryglewiczowi brakowało – konstruktywnych argumentów. Wszyscy wiedzieli wszystko najlepiej, ale nie potrafili tego potwierdzić. Liczenie tylko na słowa pozbawione wartości merytorycznej było przereklamowane, mimo wszystko politykom wciąż udawało się zdziałać cuda.

U_45G nigdy nie uda się jednak odczytać wiadomości wysłanej do matki. Na pewno nie da za wygraną, będzie szukać pamiętnika Reglewitscha, sądząc, że ten szyfr jest wart coś więcej, że da jakąś odpowiedź. A to były zwykłe słowa, wysłane przez znienawidzonego syna do matki, dla której wciąż pozostawał małym Tomkiem. „Przyjdź i otul mnie” – zawsze tak mówił, gdy był jeszcze mały, ale nigdy jej przy nim nie było. Mówiła, że pracuje, ale była taka sama jak ojciec, traktowała go jak zło konieczne. Nie wypadało wyrzucić z domu. Szpetne dziecko, zawsze brzydkie, marudne, nieprzynoszące satysfakcji.

„Przebacz i zapomnij”. Wkrótce miał zniknąć. Jeszcze tydzień temu myślał o tym w innych kategoriach, ale znaczenie wciąż

pozostało aktualne. Nie chciał być już dla niej dłużej obciążeniem. Sam wyrzekł się rodziny, która nie ma sensu, gdy nie ma miłości. Chyba nie był zdolny do takich uczuć, nikt go nie nauczył, jak kochać. Bo niby kto? Ojciec, który potrafił wielbić tylko siebie, czy matka, która sama nigdy tego uczucia nie doświadczyła?

Ale U_45G miał rację. Reglewitsch był tylko wzorem, tym niedoścignionym, za którym chciało się podążać. Łatwo sobie wmówić, że jest się kimś więcej niż tylko szkaradnym wrakiem, który w wieku dwudziestu lat stracił większość włosów. To pomaga, tego właśnie potrzebował – poczucia, że jest kimś ważnym. Bardzo przyziemne pragnienia, nic więcej.

Tik-tak, tik-tak. Zegar przyspieszył.

Ryglewicz nie udzielił U_45G odpowiedzi na wszystkie pytania. To jeszcze nie był ten moment, w dodatku niesprzyjające towarzystwo. Starał się oddychać spokojnie, chodziło o skupienie się na słabościach innych, a nie własnych. Popełnił błąd, dużo błędów, teraz chciał to wykorzystać na swoją korzyść.

Został niepostrzeżenie wplątany w intrygę Danielewicza, zbytnio go zlekceważył, za bardzo zaufał. Czuł się w jego obecności zbyt bezpieczny, a powinno być wręcz przeciwnie.

Tik-tak, tik-tak. Teraz już nie miał nic do stracenia.

Nic do stracenia...

Część czwarta

TIK INTERWAŁ TAK

8-9 marca

Anrakt to interwał intencjonalny, przygotowanie do ostatecznego finału.

1

– To już przestało być zabawne, Miłosz. – Jan spojrzał na Lamę z wyrzutem. – Rozumiem, że działasz po swojemu, przecież każdy docenia to, co robisz! Powiedz mi tylko, jaki to ma sens?! Chcesz wziąć sukces na siebie? O to ci chodzi?!

– Dobrze wiesz, że tak nie jest.

Gellert zatrzymał Goczałkę na korytarzu.

– Więc po chuj ci ten Broniecki?! Wyślemy cię na Islandię, potem wrócisz i pewnie nawet nie powiesz nam, co się stało.

To już nie była ich pierwsza kłótnia w ostatnim czasie. Każdy miał swoje racje. Miłosz nie potrzebował na siłę kolejnych zwolenników, działanie w pojedynkę było jedyną skuteczną metodą na Antona.

– Mam swoje powody. – Lama zamknął oczy. Próbował się skupić, a Gellert mu tylko w tym przeszkadzał.

– Właśnie. Swoje, a nie nasze. Stary, co się z tobą dzieje? Pogubiłeś się w tym wszystkim. Za daleko to zaszło.

– Chcę po prostu go dopaść. Działamy w jednej drużynie. Jak tego nie widzisz, to twój problem.

– No żeż... pomyśl logicznie! – Gellert mówił z takim zaangażowaniem, że aż go popułał.

– Nigdy nie miałem z tym problemu. Słuchaj! Już ci powiedziałem, nie podam ci ani szczegółów dotyczących matki Ryglewicza, ani źródła tych dokumentów Zamoyskiego. Wiem, jak przyskrzynić Danielewicza, Broniecki mi pomoże, jestem tego pewny. Jak nie chcecie mnie wysłać na Islandię, to ściągnijcie go

tutaj, inaczej Anton nam odfrunie, a z tego się nie wytłumaczymy.

– Co takiego ma Broniecki, czego nie mają inni?

– Nie mogę powiedzieć.

– Nie mam na to siły! Jak zmienisz zdanie, to wiesz, gdzie mnie szukać. Chodź. Jesteśmy spóźnieni.

W jednym z pokoiów trwała już kolejna narada, którą zwołał Dędek. Jutro miała odbyć się sprawa Danielewicza, a oni wciąż nie mieli żadnych dowodów. Lama był w trakcie tych spotkań biernym uczestnikiem, każdy liczył głównie na niego, na jego umiejętności dedukcyjne, ale z ich strony wszystko było robione na gwałt. Chodziło o cokolwiek, generalizowano, upraszczano sytuację, a Miłosz nie miał motywacji, aby ich edukować, na czym to polega.

Po ostatnim przesłuchaniu Ryglewicza bywał w komendzie bardzo rzadko, zdał Gellertowi tylko krótkie sprawozdanie. Przyznał się, że już wcześniej domyślał się prawdy. Wszystko układało się w siatkę powiązań. Ryglewicz przyjaźnił się z Danielewiczem, obaj siebie potrzebowali. Anton zyskał tym samym mordercę, a syn Droubera otrzymał obietnicę życia – wycięcie guza. Właśnie dlatego Tomasz chciał trafić na Montelupich, gdzie pracował Hałycki, kolejny współpracownik Danielewicza, to wyjaśniało również telefon Ryglewicza do Lamy z Montelupich. Anton musiał oczyścić się z zarzutów, prosty warunek: dane zostaną wykasowane – Hałycki przeprowadzi operację. Reset był zapewne możliwy dzięki Różyckiemu, z którym znał się Ryglewicz. Ale stan syna Droubera nie dawał żadnych szans na wyleczenie, więc zastosowano kolejną fikcję, co w warunkach aresztu wcale nie było trudne.

Miłosz nie potrafił Gellertowi odpowiedzieć na pytania odnośnie do pamiętnika, nie przyznał się również do prywatnej wizyty w mieszkaniu Danielewiczów. To był właśnie największy

błąd Ryglewicza – tak bardzo chciał mieć przyjaciół, że gdy w końcu pojawił się Anton, zaufał mu bezgranicznie, opowiedział o Reglewitschu, jego tajemnicach i swoich fascynacjach. Chciał zabezpieczyć swój największy skarb, kolekcję dziadka zawartą w odręcznych notatkach – powierzył ją Antonowi. Była to transakcja wymiany, wyraz mistrzowskiego zagrania Danielewicza, który sam chciał posiąść ten skarb, choć zawartość pewnie niewiele mu mówiła. Goczałka był przekonany, że właśnie tam znajduje się klucz do odszyfrowania wiadomości wysłanej do matki. Ryglewicz wziął zegar, który stanowił bardziej symbol czasu i dowód danej obietnicy. Brzmiało to dla Lamy dość dziwnie, w mieszkaniu Antona znalazłyby się bardziej wartościowe i praktyczne rzeczy. Ale to tylko potwierdzało lęki Ryglewicza, który wariował z powodu bólu, zarazem zaczął fascynować się czasem i doceniać jego wartość.

Miłosz był zagubiony. Już myślał, że ma przewagę, ale to było tylko chwilowe wrażenie po wygranej z Ryglewiczem. Cała sprawa stała się jego obsesją, nie myślał o niczym innym, skupiał się na faktach, ale równie wiarygodne wydawało się kilka wariantów. Rozumiał Dędkę, który chciał przyskrzynić Antona. Gellert przejął się swoją rolą szefa wydziału, choć była to tylko tymczasowa funkcja, chciał udowodnić, że sposób działania Bronieckiego nie był jedynym słusznym i trzymanie się regulaminów również może być skuteczne. Może właśnie dlatego Lama nie mówił mu o wszystkim, bo wiedział, że Jan zakazałby mu dalszych działań. Łatwiej było łamać zasady, niż przeciwstawiać się wytycznym.

Usiadł z boku, jak zawsze. Czuł na sobie wzrok pozostałych, którzy zgromadzili się na tym zebraniu. Już nie był tym lubianym i poważanym. To przestał być jego priorytet. Zajął miejsce obok Dromek, która jakby mimowolnie się odsunęła.

– Jesteśmy w komplecie – powiedział Beski.

To było pierwsze spotkanie z jego udziałem, dlatego Goczałka rozejrzał się uważnie, co mogło być tego powodem. Było więcej funkcjonariuszy niż zwykle, można było wyczuć pewien rodzaj podenerwowania.

– Jest dzisiaj z nami gość – kontynuował komendant. – Witamy pana Mirosława Nogałę. – Wskazał na posiwiąłego mężczyznę, który siedział na najbardziej wysuniętym do przodu krześle. – Pomoże nam w sprawie.

Po wcześniejszej rozmowie z Beskim Lama wiedział, co to oznacza. Stolica przysłała swojego szpiega, to nie zwiastowało nic dobrego. Obok „gościa” siedział jego syn, Darek. Miłosz napotkał jego wzrok i szyderczy uśmiech. Przy ojcu czuł się pewniej, zapewne już się poskarżył, że to właśnie Goczałka śmiał go uderzyć.

– Do rzeczy. – Tym razem Gellert wyszedł na środek. Wyglądał na spiętego, co mogło być związane z obecnością delegata z Warszawy. – Mamy cztery nazwiska podane przez Sylwię Danielewicz... – Spojrzał w swoje notatki. – Zoń, Opolski, Kostek i Hałycki. Co na nich mamy?

Wstał Wogała, jeden z młodszych funkcjonariuszy, który trafił do wydziału śledczego chyba w wyniku pomyłki. Już wcześniej Lama zdążył wyrobić sobie o nim zdanie, spartaczył kilka dochodzeń. Miłosz dziwił się, że zlecono mu kolejne zadania, zapewne był to wynik tego, że starsi wiekiem nie chcieli bawić się w przeszukiwanie kartotek i wywiad środowiskowy.

– Zoń odpowiada za HR w firmie Danielewicza, pracuje w Africa Trade od samego początku. Skończył zaocznie zarządzanie. Nie ma na swoim koncie żadnych przestępstw, tylko kilka występków z czasów młodości, kiedy robił burdy na

stadionach. Ma żonę i córkę, sąsiedzi się go boją, ale nie stwarza żadnych problemów.

Do rąk Goczałki trafiło zdjęcie Zonia. W pomieszczeniu znajdował się rzutnik, ale informatyk nie przyszedł na czas i nikt nie potrafił go uruchomić, więc zastosowano metodę z epoki kamienia łupanego. Już rozumiał, co mieli na myśli sąsiedzi, mówiąc, że się go boją. Zdjęcie zostało zrobione z ukrycia, przedstawiało otyłego mężczyznę, z podwójnym podbródkiem i wygoloną głową. Ubrany w dres rodem z lumpeksu, nie przedstawiał się jak poważny biznesmen z Africa Trade.

– Rafał Opolski – kontynuował Wogała. – Znają się z Danielewiczem od dziecka, wykonywał dla jego firmy różne zlecenia, ale nigdy nie był tam oficjalnie zatrudniony. Bezdzienny, aktualnie nie ma pracy, mieszka w niewielkim domu na wsi, sąsiedzi nic o nim nie wiedzą.

– Jakie zlecenia? – zapytał Mirosław Nogała. Miał wykrzywioną twarz, tak jakby coś go bolało.

– Głównie chodziło o przygotowanie raportów na temat sytuacji na rynku, w co warto zainwestować i tak dalej.

– Miał w tej dziedzinie jakieś kompetencje? Widziałeś te analizy? – Nogała nie odpuszczał. W jego głosie można było wyczuć arogancję, pewien rodzaj poczucia wyższości. Każdy z obecnych w tym pokoju już zdążył zauważyć, że sprawozdanie Wogały nie grzeszyło rzetelnością.

– Raczej to przysługa koleżeńska i papierek, byle była jakaś podstawa wynagrodzenia. – Młody funkcjonariusz chyba obawiał się kolejnych pytań, bo przeszedł do omówienia następnej osoby. –

Daniel Kostek jest zastępcą Danielewicza, przejął w tej chwili jego obowiązki. Zna się na rzeczy, dobrze wykształcony, skończył kilka fakultetów. Związany z Africa Trade dopiero od dwóch lat,

stosunkowo nowy nabytek, ale firma odnotowała wysoki zysk. Ma narzeczoną, miesiąc temu kupił mieszkanie na Wiślanych Tarasach.

– Skąd się znają z Danielewiczem? – Po raz kolejny głos zabrał Nogała.

– Co za frajer. – Lama usłyszał szept Dromek. – Warszaffka – wysapała.

Miłosz mimowolnie się uśmiechnął.

– Nie wiem dokładnie, jest pomiędzy nimi znaczna różnica wieku, pochodzą z zupełnie innych środowisk.

Goczałka przygryzł wargę, która była już na tyle podrażniona, że zaczęła krwawić. Wahał się, czy im przerwać. Ostatecznie poczekał na relację Wogały o Hałyckim.

– O Bartoszu Hałyckim mogę powiedzieć najwięcej. Od piętnastu lat ordynator Oddziału Psychiatrii Sądowej na Montelupich. Skończył medycynę z wyróżnieniem, potem odbył staż w kilku szpitalach, ostatecznie wyspecjalizował się w dziedzinie psychiatrii. Poza pracą w bloku szpitalnym na Monte ma swój prywatny gabinet. Dorobił się dwóch domów, jest również właścicielem dwóch działek pod Warszawą. Miał żonę, z którą się rozwiódł. Miał też syna, który zmarł po tym, jak zaraził się w szpitalu sepsą. To wiele zmieniło, Hałycki leczył się na depresję. Jest bardzo ceniony w kręgu lekarskim, ma na swoim koncie wiele publikacji specjalistycznych z zakresu psychiatrii. Co do jego pracy na Montelupich nie ma żadnych uwag.

– Jak poznał się z Danielewiczem? – tym razem przemówił Beski.

– Piętnaście lat temu – odpowiedział za Wogałę Lama. Wszyscy odwrócili się w stronę Miłosza, nikt nie spodziewał się, że zabierze głos. – Kiedy zmarł jego syn?

– Piętnaście lat temu. – Młody funkcjonariusz wyglądał na przestraszonego.

– Co się dzieje, Goczałka? – Gellert miał czerwoną ze wstydu twarz, że taka sytuacja ma miejsce w obecności gościa ze stolicy.

– Kiedy Hałycki miał problem z depresją? – Lama zignorował pytanie Gellerta.

– Piętnaście lat temu. – Wogała aż usiadł z wrażenia na swoje miejsce.

– O kurczę! – kolejny komentarz wyrwał się z ust Dromek.

– I dopiero wtedy znalazł zatrudnienie na Montelupich, prawda? – Nie czekał na potwierdzenie. Był tego pewny. –

Z depresji niełatwo się wyleczyć. Pomocna jest kasa, praca, przyjaciele i prochy... Danielewicz podarował mu wszystko w jednym pakiecie. Wartałoby pogadać z jego byłą żoną. Sądzę, że będzie mogła to potwierdzić.

– To poważne oskarżenia – podsumował Mirosław Nogała.

Gellert i Beski pokiwali głowami, patrzyli z uznaniem na Miłosza, bo wiedzieli, że ma rację.

– Myślę, że mogę wytoczyć poważniejsze... – Goczałka skupił na sobie uwagę. – Mógłbym przysiąc, że za zabójstwo prokurator Strudzień odpowiada Daniel Kostek.

Wstał i podszedł do Nogały, przy którym leżało zdjęcie Kostka. Potrzebował tylko zerknąć, aby upewnić się w swojej teorii. Wogała może i był bezużyteczny, ale informacje, które zebrał, otworzyły Miłoszowi oczy.

– Bądźmy poważni. – Dla Beskiego to też już było za wiele. – Przecież nie aresztujemy go na podstawie twoich przypuszczeń. Z tej całej czwórki przy Kostku nie ma żadnych podejrzeń, jest czysty, zna się z Danielewiczem dopiero od niedawna. Dlaczego miałby zabić prokuratorkę?!

– Bo wypełniłby każde polecenie Antona.

– Wciąż nic nie mamy. – Dędek nie potraktował poważnie jego słów, przerzucił kartki, gotowy przejść do kolejnych kwestii, jakby to była tylko strata czasu.

– Dajcie mu skończyć – zaproponował niespodziewanie Nogała.

Szyderczy uśmiech momentalnie zszedł z twarzy jego syna.

– Danielewicz miał brata przyrodniego. Jest nim właśnie Kostek. Młodszy o trzynaście lat, zapatrzony w starsze rodzeństwo, wykwalifikowany do spełniania każdej kolejnej prośby.

– Rzeźnia! – wybuchła Dromek.

– Dokładnie. – Lama uśmiechnął się i pstryknął palcami. Nie wiedział, jaki to miało cel, ale wywołało odpowiedni efekt. Gellert aż się wzdrygnął, omal nie spadł z krzesła. – Do tej pory nie mieliśmy pojęcia, z kim tak naprawdę mamy do czynienia.

* * *

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział Janiszewski.

Maks czekał na premiera prawie godzinę, w dodatku teraz, kiedy w końcu doszło do spotkania, poczuł ciśnienie na pęcherz. Nie chciał przeproszać na samym początku. Rozmawiał w końcu z jedną z najważniejszych, o ile nie najważniejszą, z osób w Polsce.

– Zaczynamy – odparł Samson, tak jakby mu się śpieszyło.

– Byłem pana bardzo ciekawy – zaczął premier. – Przede wszystkim dziękuję, że zgodził się pan przyjechać do Warszawy.

Przytaknął. Wcale nie było mu to na rękę, ale wciąż nie miał pracy, a temu spotkaniu towarzyszyła doza ciekawości. Siedział obok człowieka, którego do tej pory widywał tylko na ekranie telewizora. Maks nie brał udziału w ostatnich wyborach, nawet gdyby tak było, nie głosowałby na partię Janiszewskiego, ale to

miejsce wiązało się z pewnym prestiżem i determinowało szacunek.

Była jeszcze sprawa Insight. Po ostatnim starciu Markiewicza Jansen został zabrany przez ABW, od tamtej pory Samson nie miał o tej sprawie żadnych wieści. Trzy dni temu zadzwoniła do niego sekretarka premiera i zaprosiła w jego imieniu na spotkanie.

– Jak pan dobrze wie – ciągnął dalej Janiszewski – wszystko, o czym tutaj mówimy, jest objęte tajemnicą państwową. Uznałem, że po tych wszystkich zajściach jestem panu winny kilka wyjaśnień.

– Przepraszam, że przerywam, ale gdyby chodziło tylko o to, rozmawiałbym zapewne z kimś innym. – Wydawało mu się dziwne, że premier zajmował się takim bzdurami.

– Cóż... zwykle zostawiam to innym... – Maks widocznie zbił go z tropu. – Chciałem tylko, żeby pan wiedział, że dowiedziałem się o Insight bardzo niedawno, staram się spojrzeć na sprawę obiektywnie i nie podejmować pochopnych decyzji. Z jakiegoś powodu został pan wciągnięty w intrygę Tadeusza Markiewicza, za co bardzo z tego miejsca przepraszam. Oczywiście, zapoznałem się z pana osiągnięciami. Jesteśmy w tym momencie w kropce, jak pan może się domyślać, Jansen nie może wrócić do Insight, a likwidacja tego miejsca to dość czasochłonny proces.

– Likwidacja?

Już wiedział, że Janiszewski nigdy nie miał okazji być w Insight. Markiewicz przestrzegał go przed tym spotkaniem, a akcja sprzed tygodnia i jej utajnienie były przede wszystkim wynikiem braku aprobaty premiera. W tym konflikcie Maks stawał po stronie byłego doradcy, może dlatego, że znaleźli wspólny język albo też była to kwestia doboru odpowiednich argumentów. Samson rozumiał również powód, dla którego Jansen

zabrał ich tamtego dnia do Spizarni. Markiewicz, Witkowski i Jastrzębski nie znali tego miejsca, nie wiedzieli, co ich czeka. Maks obawiał się, że szef Insight przygotował jakąś pułapkę, w końcu tam doszło do zabójstwa Zamoyskiego i Koniecznego, a ciemność utrudniała rozeznanie. Okazało się jednak, że trafili do Spizarni, gdyż Frederic chciał im pokazać, z czym tak naprawdę mają do czynienia. Łatwo jest podjąć decyzję, opierając się na abstrakcyjnych przeświadczeniach. Jansen dzierżył tam stery przez ostatnie dziesięć lat, potrafił nad tym zapanować. Minęła dekada, pojawił się problem, a okazało się, że Frederic nie lubi dzielić się władzą i jedno z najważniejszych miejsc w Polsce jest tykającą bombą.

– Tak powiedziałem – rzekł premier. – Likwidacja tego miejsca to dość czasochłonny proces.

– Proszę tam pojechać i zobaczyć, o czym pan mówi. – Maks nie wiedział, jak się zachować. Był w tej chwili tylko zwykłym bezrobotnym, który miał okazję przedstawić swoje zdanie samemu premierowi.

Janiszewski zachowywał się dziwnie, nerwowy śmiech, gestykulacja rękami i w dodatku coś dziwnego na twarzy, jakby podkład. Możliwe, że był na jakimś wywiadzie w telewizji.

– Co to zmieni? Insight nie może dłużej istnieć.

– Przynajmniej będzie pan wiedział, o czym mówi... – Zamilkł na chwilę. To był początek spotkania z Janiszewskim, nie wiedział, na ile może sobie pozwolić. Markiewicz sugerował mu ostrożność. –

Wiem, że to nie moja sprawa – zaczął spokojnie – ale czy to któryś z pana doradców zaproponował likwidację? – Ciekaw był, czy w ogóle wiedzieli o Insight.

– Tak, jednym głosem. – Premier złączył palce i położył na blacie biurka. Przyglądał się Maksowi z uwagą.

– Może dlatego, że obawiali się utraty pracy. – Nie potrafił się powstrzymać. Na co dzień tak bardzo nie zważał na słowa, ta sytuacja była dla niego wręcz nienaturalna, ale nie przeszkadzało mu to, żeby powiedzieć to, co myśli.

– Chyba się przesłyszałem – powiedział Janiszewski spokojnie, ale brzmiało to jak uprzejme pokazanie drogi do wyjścia.

Maks nie miał jeszcze chęci stąd wychodzić.

– Jestem nikim, panie Radosławie. – Starał się choć trochę załagodzić sytuację. – Ale co było takiego nieakceptowalnego w argumentach Markiewicza?

– A co, jest pan jego adwokatem?

Zignorował tę odzywkę.

– Proszę odpowiedzieć.

– Markiewicz, niestety, zagubił się w tym wszystkim, zapomniał o powodach, dla których tutaj był, a teraz muszę wszystko odkręcać. Podstawą jest profesjonalizm, najwidoczniej tym razem go zabrakło, a przeważały własne ambicje.

– Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale czy jest ktoś, kto zna sytuację lepiej niż on? – Najchętniej powiedziała by: „Weź, premierze, nie pierdol, bo te słowa odnoszą się również do ciebie”.

– Markiewicz był doradcą, odpowiedzialność i tak spoczywa na mnie.

– A jaki to ma związek ze mną? – Samson poprawił marynarkę. Czuł, jak krawat zaciska mu się na szyi, nie był przyzwyczajony do oficjalnych outfitów.

– Zależy od tego, czy dopuszcza pan możliwość współpracy. Tak jak powiedziałem, konieczna jest likwidacja Insight, nie przekonają mnie żadne inne racje.

– Co na to Jansen? – Nie chciało mu się wierzyć, że Frederic na to przystał.

– To jego pomysł. – Janiszewski podał mu teczkę, Maks rzucił okiem tylko na pierwszą stronę, tytuł głosił *Plan likwidacji Insight*.

– Z jakiegoś powodu pana okłamał. – Samson był co do tego przekonany. – Nie jest w interesie Jansena niszczenie tego, w co włożył całego siebie.

– Widocznie zmienił priorytety i zaczął myśleć o dobru Polski. – Premier wyglądał na takiego, który naprawdę wierzy w to, co mówi.

Mina Samsona mówiła wszystko. Był rozczarowany postawą Janiszewskiego. Znajdował się w miejscu, gdzie nie miał już nic do stracenia. To polityka pozbawiła go pracy, a Insight uświadomił zepsucie tego kraju. Każda kolejna osoba tylko podstawiała nogi i czekała na potknięcie drugiej strony. To nie był świat, w którym Maks chciał żyć, wolałby o tym wszystkim nie wiedzieć, byłoby łatwiej.

– Czego pan oczekuje ode mnie?

– Pozwoli pan, że nie będę owijać w bawełnę. Jestem ciekaw, czy wciąż jest pan zainteresowany posadą szefa Insight.

Samson zmrużył oczy. Teraz już faktycznie się dusił, aż musiał odpiąć guzik przy szyi.

– Nigdy tego nie chciałem – powiedział. Propozycja Janiszewskiego kłóciła się z jego wcześniejszymi słowami.

– Wyczuwam „ale”.

– Na czym miałyby to polegać?

– Wchodzi pan na miejsce Jansena i realizuje jego plan likwidacji, zgodnie z wytycznymi przygotowanego dokumentu, czyli powinno to potrwać nie więcej niż trzy miesiące.

– Dlaczego ja? – Od tego powinien zacząć. Skoro premier zrezygnował z doradztwa Markiewicza, taki ruch był jak

przyznanie mu racji, zatem niekoniecznie wskazany w takich, a nie innych okolicznościach.

– Nie wprowadzę tam ani Jastrzębskiego, ani Nowińskiego, wtedy pojawiłby się podobny problem ich zastąpienia, w dodatku przyciągnęłoby to niepotrzebne zainteresowanie mediów. Pan nie jest znany, to wartość dodana. W dodatku zapoznałem się z pana osiągnięciami, są imponujące. Pełniłby pan rolę kuratora, nie rozumiem tylko jednego... Z jakiegoś powodu został pan ściągnięty do Insight, dlaczego?

Skoro premier tego nie wiedział, to tak naprawdę nie był w ogóle przygotowany do tej rozmowy. Maks nie zamierzał tłumaczyć całego procesu, awarii i jego feralnego śledztwa.

– Gdzie w tym wszystkim jest Markiewicz? – zapytał zamiast odpowiedzi.

– Do czego pan zmierza? – Premier wyglądał na poirytowanego faktem, że po raz kolejny przywołuje to nazwisko.

Wziął głęboki oddech. Znał konsekwencje swoich słów, bał się ich.

– Podejmę się tego zadania, ale...

– Znowu to „ale”. Od razu mówię, że dostanie pan potrzebną pomoc, pensję i zaplecze techniczne. Nie ma jednak mowy o Markiewiczu. To zamknięty rozdział.

Maks zastanawiał się, czy Janiszewski ma przygotowaną jakąś alternatywę na wypadek, gdyby Samson odmówił. Nie znał planu przygotowanego przez Jansena, ale wystarczyło znać pobieżnie temat i samego Frederica, aby móc stwierdzić, że to czysta fikcja.

Nie chciał przyjmować tej propozycji, ale sytuacja znacząco się zmieniła. Jego niezależność została zachwiana w związku z problemami finansowymi. Zbliżał się termin opłacenia wszystkich rachunków, a już miał długi.

– Jansen mnie wprowadzi? – Na samą myśl o kolejnym spotkaniu z nim robiło mu się niedobrze.

– Jeszcze nie wie, że to na pana padł wybór.

– Raczej się nie ucieszy... Proszę mi powiedzieć, panie premierze. – Janiszewski zachował spokój pomimo negatywnego nastawienia Maksa, z którym na początku rozmowy wcale się nie krył. – Wskazał na mnie Markiewicz, skoro tak bardzo chce mu się pan przeciwstawić, skąd ten wybór?

– Proszę o nim zapomnieć. To już przeszłość.

* * *

Było tak przyjemnie. Czowała się trochę skrępowana, jeszcze się nie przyzwyczaiła. Daga leżała na jego piersi, pojedyncze włosy trochę ją drażniły, ale mimo to nie miała ochoty zmieniać pozycji. W dodatku była naga, właśnie to paraliżowało ją najbardziej, żaden facet do tej pory nie widział jej tyłka w pełnej okazałości, Szymon był tym pierwszym. Cudownie było się tak przytulić, zapominała o wszystkim, co miało miejsce poza tym małym światem intymności, jej intymności.

– Późno już, hm? – powiedział Milewski zaspanym głosem.

Aż dziwiła się, że nigdzie się nie śpieszył. Z zasady Szymon należał do rannych ptaszków, a dzisiaj było chyba jakieś święto, no tak, Dzień Kobiet.

– Po trzynastej. – Musnął ustami jej policzek. Przełożył nogę przez jej tułów, na chwilę straciła zdolność oddychania, był trochę większy od niej. Wtuliła się w niego. Byli jak dwa puzelki, idealnie się w siebie wtapiali.

– Nie, proszę – szepnęła mu do ucha, gdy jego ręka zaczęła się niebezpiecznie zniżać.

Wstydziła się, z drugiej strony chciała tego, bo to było

przyjemne. Zupełnie nowe odczucia, za każdym razem inne. Nie chodziło o seks, jeszcze nawet o tym nie rozmawiali, a Szymon nie naciskał. Kładł swoją rękę właśnie tam i delikatnie masował. Tak – była mokra. Tak – nie potrafiła nad tym zapanować, a Milewskiemu to się chyba podobało. Wcześniej kiepsko sobie radził, nie wiedział, w którym miejscu odczucia są najsilniejsze. Prosił ją, żeby mu pokazała, gdy po półgodzinnej batalii wciąż leżała nieruchomo. Ona się tylko śmiała. Dzisiaj było zdecydowanie lepiej. Napięła mięśnie, wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że w ogóle może je w takich miejscach mieć.

Szymon też się krępował, może nawet bardziej niż ona. Miał erekcję prawie przez cały czas. Próbował to ukryć, zasłaniał się, ale Daga i tak widziała swoje, choć nie miała zbytniego doświadczenia.

– Auć! – Jego palec wdarł się głębiej niż zwykle, wołałaby, żeby skupił się na „wodach eksterytorialnych”.

– Przepraszam – powiedział, ale kontynuował.

Objęła go za szyję i mocno przyciągnęła jego głowę do swoich piersi. Strużka potu spłynęła po jej plecach i wtopiła się w pościel. Jej pośladki też były wilgotne, wołała nie myśleć o plamie, która tworzyła się pod nią. Muskał jej sutki, jakie to było przyjemne... Ugryzł pieszczotliwie pierś. Jej ciało płonęło. Już nie wiedziała, na czym się skupić, wydała z siebie bliżej nieokreślony dźwięk. Miała nadzieję, że w domu nikogo nie było, bo nie potrafiła nad tym zapanować.

– Starczy – syknęła. Wykręciła się i położyła na brzuchu. Było wilgotno, ale bardziej skupiała się na złapaniu tchu. – Następnym razem przypomnij mi, żebym nie zapomniała o oddychaniu – powiedziała.

Przez jej ciało przechodziły dreszcze, nie potrafiła zapanować

nad nogą, która drżała.

– Będę musiał się zbierać, kochanie – powiedział pięć minut później Milewski, który próbował uporać się z założeniem slipek. Jego twarz była nienaturalnie czerwona, wyglądało na to, że Daga go trochę poddusiła. Chciała, żeby został, ale marzyła też o chłodnej kąpieli.

– Nie położysz się jeszcze na chwilę?

– Dzisiaj Dzień Kobiet, muszę iść do mamy, jestem jej winny choć trochę czasu. Pewnie jest o ciebie śmiertelnie zazdrosna.

– Cieszę się, że jesteś.

Nie zamierzała się odkrywać, wstawać i wylewnie żegnać. Było jej tak przyjemnie, że sama czynność wypowiedzania do niego słów z zamkniętymi oczami sprawiała jej niemałą trudność. Spała ostatnie dwanaście godzin, co było i tak wiele, nawet biorąc pod uwagę fakt, że co jakiś czas się budziła. Nie była jeszcze do końca przyzwyczajona do jego obecności w nocy. Wolą nie myśleć, jak zareagowałiby jej rodzice, gdyby się dowiedzieli, że miała takiego gościa. Pomimo tego, że byli na swój sposób wariatami i nie przypominali innych starych, pewnie byłby to dla nich szok, że ich mała Malinka wkracza w dorosłość.

Czuła się przy Szymonie bezpieczna pomimo faktu, że Nogała znowu wrócił. Widywała go rzadziej niż wcześniej, ale wciąż był w jej życiu obecny. Nie pisał, nie dzwonił, ale śledził ją. Jeszcze nie powiedziała o tym ojcu, z którym działo się zresztą coś dziwnego, nie widzieli się przez ostatnie dni, choć wyczekiwała, aż w końcu się pojawi. Do tej pory nie wtajemniczyła również Szymona, który ku jej uldze o nic nie pytał. Niepokoiła się, to chyba było naturalne, najbardziej martwiła się o Milewskiego, że Nogała znowu mu coś zrobi. Bezwiednie zaciskała pięści na samą myśl. Udawała, że go ignoruje za każdym razem, gdy widziała go

w zasięgu wzroku. Udawała, bo inaczej się nie dało.

Szymon był w łazience, słyszała odgłos skapującej wody. Chyba mył zęby, bo słyszała ten specyficzny dźwięk, zastanawiała się, której szczoteczki użył, wątpiła, aby miał swoją. Byłoby to dość zabawne, gdyby użył jej. W tych bardziej intymnych sytuacjach odkryła, że Szymon jest całkiem perwersyjną osobą, na co nie wyglądał. Czytała w ostatnie wakacje *Pięćdziesiąt twarzy Greya*, wyobrażała sobie, co by było, gdyby ją spotkała taka przygoda. Raczej nie dostrzegała przyjemności w bólu, a sama książka była napisana koszmarnie, do tego stopnia, że po kolejne części już nie sięgnęła. Nie rozumiała fascynacji tymi powieściami. Tak jakby opisywanie analu stało się podstawą sukcesu, im większa kontrowersja, tym większy zysk. Była też inna prawda – kasa. Pewnie znalazł się ktoś, kto postanowił zainwestować i wypromować tytuł. Takie efekty.

Szymon wszedł do jej sypialni z kubkami wypełnionymi gorącą kawą. Nie miał na sobie koszulki, jego sylwetka raczej nie przypominała tych z gazet. Nie był gruby, raczej dobrze zbudowany, głównym budulcem był tłuszcz, ale Daga była ostatnią osobą, która śmiałaby to wypominać.

– Uchylę okno, OK? – Odślonił firany, wpuszczając do pokoju trochę światła.

– Nie natknąłeś się na mamę?

Wyobraziła sobie jej minę, gdyby zobaczyła Szymona bez koszulki parzącego kawę.

– Czysto. Cisza i spokój, nawet w garażu się nie świeci.

– Miałeś ostatnio jakiś kontakt z tatą? – zapytała.

Skosztowała kawy. Była bardzo mocna, zwykle wolała słabszą, ale zawsze smakuje lepiej, gdy ktoś ją dla nas przygotowuje.

– Dzwoniłem do niego, miał mi powiedzieć, jak tam po

przesłuchaniu Ryglewicza, ale tylko mnie zbył, a potem już nie zadzwonił. – Szymon miał skwaszoną minę. Dawał z siebie wszystko, naprawdę wiele pomógł ojcu, a nie mógł liczyć na kilka słów wyjaśnienia.

– Dziwne, z zasady jest bardzo słownym człowiekiem.

– Wiesz, Daga, może to nie moja sprawa, ale co na to wszystko twoja mama? Przecież on nie widzi życia poza tą sprawą, a jego „ściana płaczu” coraz bardziej się rozrasta.

– Wydaje mi się, że jakoś go zrozumiała. W tamtym tygodniu trochę się pokłócili, od tamtej pory nie widziałam ich razem, ale przynajmniej nie ma scen, gdzie matka się wyprowadza.

– Jestem mu mega wdzięczny za wszystko, gdyby nie on, mielibyśmy pewnie problemy, ale to nie jest zdrowe.

– Jak twoja książka? Nic mi nie mówisz – zapytała. Usiadła na skraju łóżka i przykryła się prześcieradłem. Natknęła się na coś lepkiego, co tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że musi tę pościel jak najszybciej wyprać.

– Ani mi nie mów! Coś mi nie idzie. Sądziłem, że będzie łatwiej.

– Pewnie tak tylko mówisz. Weź poprawkę na to, że to twoje pierwsze podejście.

– Nie rozumiesz... Ja tylko tracę czas. Nawet jak skończę i nie załamie się do tego stopnia, że wszystko spalę albo schowam do szuflady, gdzie ja znajdę wydawcę? Kto zechce to przeczytać? A co w ogóle z policją? W końcu zdradzam tam szczegóły śledztwa, nie jestem przekonany, czy to nie jest zabronione.

– Szymon – zaczęła. Wyglądał na przybitego. Siedział wyprostowany i skupiony, ale był zarazem bardzo spięty, jakby usilnie próbował sobie coś przypomnieć. – Przede wszystkim odpowiedz sobie na pytanie: robisz to dla siebie czy dla innych?

– W pierwotnym zamyśle miało to być jakieś źródło dochodu,

więc muszę myśleć o odbiorcach.

– Więc zapomnij o tym. Spójrz na mojego ojca...

– Nie chcę do tego stopnia wariować na punkcie swojej książki – przerwał jej.

– Cieszę się. – Uśmiechnęła się. Miała nadzieję, że nigdy nie będzie musiała wypominać mu tych słów. – Chodzi mi tylko o sposób, w jaki cieszy się z tego, co robi. Wątpię, aby przynosiło mu to jakieś pieniądze, chodzi o samą satysfakcję.

Milewski przecząco pokręcił głową. Chyba przechylił kubek zbyt gwałtownie, bo zaczął krztusić się fusami.

– Też chciałbym się tym zwyczajnie cieszyć, ale zważ, że to trochę inna sytuacja finansowa. Ja w ogóle nie mam pracy, wciąż jestem na utrzymaniu mamy. Nawet na zwykłe kwiaty dla niej już mnie nie stać. Jestem nieudacznikiem, zapomniałaś?

Już wcześniej zauważyła, że ma zaniżoną samoocenę. Nie widziała sensu proponować, że pożyczy mu pieniądze. Krępowало go wspólne wychodzenie na miasto, gdzie nie mógł pozwolić sobie na to, na co faktycznie ma ochotę.

– Nie jesteś. – Przyciągnęła go i pocałowała.

– Muszę się ogarnąć. – Zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu.

– Co się dzieje?

– Wkręciłem się w tę swoją książkę – przyznał.

– Zauważyłam. – Mama miała rację, byli do siebie podobni z jej tatą.

– Wiesz, co jest najgorsze w Ryglewiczu? On się cały czas zmienia. Nie da się napisać książki, która będzie stanowić zamkniętą całość. Napiszę jeden rozdział, a okazuje się, że sytuacja zmienia się o sto osiemdziesiąt stopni.

– Skorzystaj z tego. – Uśmiechnęła się, choć miała nadzieję, że nie weźmie jej słów dosłownie. – Napisz od razu trylogię...



Nic do niej nie przemawiało. Próbował wszystko jej wytłumaczyć, ale już stracił cierpliwość, były pewne granice jego wytrzymałości. Jeżeli Maks w ogóle myślał o związku z Magdą, to tylko dla Fiony. Nie kochał swojej żony, doszedł do tego wniosku już dawno, ale dopiero teraz zaakceptował. Wiedział, że Magda zniszczy go finansowo, jeśli wezmą rozwód, ale strach przed tymi konsekwencjami nie zmieniał jego decyzji. Papiery były w sądzie, skorzystał z obecności w Warszawie i spotkał się z wydziałem prawnym w CBS, gdzie wciąż miał kilku znajomych. Koszty adwokata przerastały jego budżet, prawnicy, niestety, nie byli ludźmi, którzy znali definicję słów *pro bono*. Inaczej – definicję może znali, ale raczej kwalifikowali to stwierdzenie jako „prehistoryczne ukośnik przedawnione”.

Śmierdziało. Dopiero po chwili zobaczył jakiegoś bezdomnego, który leżał na chodniku, przykryty pobrudzoną kurtką i jakimiś starymi szalami, które znalazł pewnie w śmietniku. Samson szedł przez Nowy Świat, było dość tłoczno jak na tę godzinę, w końcu ci wszyscy ludzie powinni być jeszcze w pracy. Uznał, że trafniejszą nazwą tej ulicy byłby raczej Kontrastowy Świat. Biznesmeni pod krawatami zasiadali w pobliskich restauracjach i kawiarniach. Grupa kobiet, które najwidoczniej wiedziały, jak się w życiu ustawić, bo sam ich wygląd i sposób ubierania prowadziły do wniosku, że mają niesamowitą klasę i dobrą kasę, przechadzały się z gracją. A obok tych biznesmenów i dam, śmierdzący bezdomny, pozostający w cieniu, niezauważony, bez nadziei na pomoc. Ale tak było już chyba wszędzie.

Zmierzał w bliżej nieokreślonym kierunku, do pociągu zostały mu jeszcze dwie godziny, uznał więc, że spacer po stolicy dobrze mu zrobi. To miasto było zupełnie inne od Krakowa, tutaj

wszystko działo się jeszcze szybciej. Ktoś uderzył go łokciem w ramię, ale nawet się nie obrócił. Przed Pałacem Prezydenckim znowu jacyś fanatycy z flagami Polski, wierzący w swoje durne idee, wiedzący wszystko najlepiej.

– Poratuj pan groszem. – Żebrząca kobieta wyciągnęła rękę w jego stronę.

Pokręcił głową, bo nic nie miał, nawet jednego grosza. Nawet gdyby jego portfel był wypchany gotówką, zastanowiłby się kilka razy, zanim dodałby swoją część, stanowiącą kolejny krok w jej pogłębiającym się alkoholizmie.

Spotkanie z premierem go zaskoczyło. Nie chodziło tylko o zaproponowanie mu posady szefa Insight. Maks nie potrafił zrozumieć, jak można być do tego stopnia zaślepionym. Janiszewski naprawdę wierzył w to, że likwidacja stanowi rozwiązanie, jak również, że Jansen jest jego sprzymierzeńcem.

Frederic był outsiderem, nie paktował, jego postawa była zamknięta, nie zdradzał własnych myśli. Był manipulatorem, a Samson już się z takimi ludźmi zdążył obyć. Mogłoby się wydawać, że Tadeusz również powinien wiedzieć, jak obracać się wśród takich ludzi jak szef Insight, ale i on został przekabacony.

Dziewczyna trzymająca różową parasolkę wręczyła mu ulotkę klubu go-go. Miała zniewalający uśmiech i nogi, które przyciągały uwagę. Przez chwilę zastanawiał się, czy w środku też znalazłby takie ładne, ale bardziej zainteresował się faktem, że to miejsce powstało w możliwie najbardziej prestiżowym, zarazem droгим miejscu. Nigdy nie był na dziwkach, nawet w zwykłym klubie ze striptizem. Chyba coś go ominęło, choć może to urok posiadania dziewczyny w trakcie studiów. Był już wtedy z Magdą, trzymała go bardzo krótko, miała ataki zazdrości, prawie takie same jak dzisiaj rano, kiedy oświadczył, że jedzie do Warszawy.

– Masz kochankę? – zapytała w trakcie przygotowywania śniadania. Nóż w jej ręce nie wyglądał zbyt zachęcająco.

– Przecież powiedziałem, że jadę w interesach. – Już wcześniej przekonał się, że Magda potrafi wyciągnąć z jego słów wnioski, które nawet mu się nie śniły.

– Już drugi raz w ostatnim czasie. Znam ją?

Nie miał na to siły. Męczyło go to nieustanne marudzenie i użeranie się. Mogło być pięknie, zawsze sądził, że dobrze się dobrali, ale Magda szukała kolejnych powodów do kłótni, nie przeszkadzała jej w tym nawet obecność Fiony.

Zadzwonił jego telefon. Wiatr był tak porywisty, że miał trudność cokolwiek usłyszeć.

– Z kim rozmawiam? – nie dosłyszał za pierwszym razem.

– Jansen.

Nie spodziewał się go usłyszeć tak szybko. Wątpił, aby Janiszewski zdążył go poinformować. Ten człowiek po prostu wiedział wszystko. Nawet fakt, że był zatrzymany, w ogóle mu w tym nie przeszkadzał.

Wszedł do pobliskiego starbucks'a. Nie miał ochoty na kawę, choć zapach faktycznie był zachęcający. Zajął pierwsze wolne miejsce.

– W czym mogę ci pomóc? – Zastanawiał się, co tym razem wymyślił Frederic.

– Pewnie próbujesz sobie wyjaśnić, dlaczego premier postawił na ciebie, zamiast postąpić wbrew Markiewiczowi.

– Większe wątpliwości mam co do samej koncepcji likwidacji Insight, której podobno jesteś autorem.

Nie wiedział, gdzie znajduje się Jansen, na pewno nie był w zamkniętym pomieszczeniu, Maks słyszał w tle ruch uliczny.

– Nie znasz mnie – powiedział Frederic.

Samson się uśmiechnął, zobaczył w szybie swoje odbicie, jakiś rudzielec podejrzenie na niego spojrział.

– Wystarczająco, aby móc stwierdzić, że wcale tego nie chcesz...

– Nie mam czasu...

– Więc do rzeczy. – Maks nie czerpał przyjemności z tej rozmowy. Gdyby wiedział, kto do niego dzwoni, poważnie zastanowiłby się, czy w ogóle odebrać.

– Janiszewski wcale cię nie chciał, ale wziąłem to na siebie.

– Przecież ostatnio powiedziałeś coś zupełnie innego...

– Czy faktycznie masz rację? – zapytał Jansen.

Maks próbował wrócić pamięcią do ostatniego spotkania. Frederic był cwany. Z jakiegoś powodu włączył Samsona w swoją intrygę.

– No dobra. Powiedziałeś Janiszewskiemu, aby wybrał mnie. Zapewne wiesz, że właśnie wracam ze spotkania w kancelarii. Jaki jest twój kolejny krok?

– Dlaczego się zgodziłeś? Sądziłem, że jesteś bardziej niezależny.

Maks mógł sobie wyobrazić twarz rozmówcy, wykrzywioną w tym chorobliwie spokojnym uśmiechu.

– Znasz prawdę. Powiedz mi jedno... – Znajomość z Jansenem kosztowała go zbyt wiele nerwów. – Tym razem znowu się mnie pozbędziesz czy powiesz mi, jak to wszystko działa?

– Właśnie jestem przed twoim przyszłym Królestwem. – Maks nie był pewny, czy Frederic ma na myśli biuro, czy cały budynek Insight. – Wysłałam ci do domu kilka potrzebnych dokumentów. Zapoznaj się z nimi, będą ci na początku pomocne. Pozwoliłem sobie napisać również list, weź go sobie do serca, dobrze ci radzę.

– A co z likwidacją i twoim planem, który przekazałeś Janiszewskiemu?

Jansen wydał z siebie bliżej nieokreślony dźwięk, jakby parsknięcie. Maks nie spodziewał się takiej reakcji.

– Tego nie musisz czytać, chyba że jesteś ciekawy, jak wygląda zwykle gówno.

– Janiszewski ci uwierzył.

– Nie pierwszy, nie ostatni, który popełnił tak podstawowy błąd. Takie życie, nic nie poradzę. *Inte mit fell*.

Te ostatnie słowa chyba były po szwedzku. Jansen po raz pierwszy posłużył się w jego obecności obcym zwrotem.

– Więc co mam zrobić? Nowiński ma nadzorować likwidację i przejąć obowiązki. Zależy mu na czasie.

– Zrób to, co ja. Zabierz ich tam, a potem rób swoje. Nie mieszaj się do polityki, chyba że samo Insight ci do szczęścia nie wystarcza. Kończę. Powodzenia.

– Stop! – Miał do Jansena tyle pytań. Nie spodziewał się, że kilka minut po spotkaniu z premierem Frederic przekaże mu pałeczkę, w dodatku przez telefon. – Dlaczego sam im tego nie pokazałeś? Co się stanie z tobą? Przecież wiesz, że sobie nie poradzę.

– Więcej wiary w siebie! – Maks nie mógł uwierzyć, że naprawdę usłyszał te słowa. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to tylko sarkazm, a śmiech Jansena go w tym upewnił.

– Co z tobą? – zapytał jeszcze raz.

– Ulatniam się. Nie spodziewam się żadnych nagród i podziękowań. Skorzystam z chwili, że ABW mnie wypuściło.

– Co z Insight? – Nie wiedział, czy mu wierzyć. Jansen był dla niego na tyle wielką tajemnicą, że trudno było przewidzieć, czy może w jednym momencie wyparować.

– Na twoim miejscu nie siedziałbym zbyt długo nad tymi dokumentami. Masz pod sobą aktualnie stu dwunastu

pracowników. Wypadałoby tym zarządzać. Znasz adres. Wybacz, że nie przekażę ci oficjalnie kluczy. Byłbym wdzięczny, gdybyś pozostawił moje biuro w nienaruszonym stanie.

Brzmiało to tak, jakby wkrótce miał plan tam jeszcze wrócić. Samson nie wiedział, co myśleć. Potrzebował konsultacji z Markiewiczem.

– A gdzie okres przejściowy, jakieś mianowanie...?

Znowu to parsknięcie. Frederic był widocznie w nadzwyczaj dobrym humorze.

– Nie spodziewaj się, że Janiszewski zrobi ci oficjalne mianowanie, a po wszystkim zapłaci za bankiet. Jesteś cieniem...

– Dopóki jest światło...

– Brawo, Cohen. Brawo. – Sarkazm Jansena już nie robił na nim wrażenia.

Chciał zripostować, ale Frederic się rozłączył.

Nawet nie zdążył schować komórki, a znowu zawibrowała. Tym razem ujrzał numer Magdy. Podszedł bez pośpiechu do kasy i zamówił cappuccino. Może i Włosi by go wyśmiali, ale był w Polsce i mógł je pić nawet po południu. Skoro był już oficjalnie szefem Insight, mógł sobie pozwolić na taki wydatek.

Dopiero gdy zatopił się w wygodnym fotelu, wybrał telefon od żony.

– Pięć razy do ciebie dzwoniłam! – krzyknęła na wstępie.

– Rozmawiałem. – Nie zamierzał podnosić głosu, to by ją tylko podkreśliło.

– Jasne... – Pewnie znowu chciała dodać swoje fantazje o kochance. – Przyszła do ciebie jakaś przesyłka. Kurier pyta, gdzie może to wyładować.

– Co za problem? Niech to zostawi gdziekolwiek. – Dziwił się, że Jansen wysłał kuriera, spodziewał się raczej opancerzonej

furgonetki.– Za parę godzin będę w Krakowie, to przeglądnę.

– Nie rozumiesz... Przed nasz dom podjechała furgonetka. Cała jej zawartość jest adresowana do ciebie. Masz mi coś do powiedzenia? – Wyglądało na to, że Frederic dał jej kolejny powód do kłótni.

Maks nie spodziewał się, że dokumenty Jansena to przesyłka aż tak wielkich gabarytów.

– To jest właśnie moja kochanka – powiedział do żony. Z jego perspektywy było to całkiem zabawne, ale wiedział, że będzie tych słów żałować.

Nie mógł w to uwierzyć. Od tej pory był prezesem Insight. Osoby, które siedziały obok niego, nawet nie zdawały sobie sprawy, z jak bardzo ważną osobą miały do czynienia, ale mając na uwadze źródło jego władzy, nigdy nie miały się dowiedzieć.

2

– Boję się. On już wie, jestem tego pewien.

– I co ci zrobi? Uspokój się, bo znowu trafisz tam, gdzie już byłeś.

Anton siedział w gabinecie Hałyckiego. Ordynator chodził nerwowo wkoło, był zestresowany. Teoretycznie role powinny być odwrotne. Danielewicz został zabrany z celi, gdyż Hałycki rzekomo miał przeprowadzić ostatnie badania, aby wykluczyć choroby psychiczne.

Był już spokojny, jutro miał wrócić do świata żywych, przytulić się do żony, zagrać w piłkę z dziećmi. Pogoda może nie była zbyt piękna, ale w końcu czekała na nich Toskania. Nic nie zostawiają, nawet tych starych, misternie zdobionych antyków po teściowej, które zaśmiewały wewnątrz ich małego mieszkania. Teraz będą mieli przestrzeń, kupią wielki apartament, żadnych staroci. Zabiorą tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Chłopcy może na początku nie rozumieją, ale tam nie będzie brakować im zabawek.

Był jeszcze Lama, człowiek, który odważył się naruszyć spokój jego ukochanej Sylwii. Prawie go dopadli. Anton musiał to sobie z żoną jak najszybciej wyjaśnić, już wcześniej dowiedział się, że niespodziewanie przyszła do jego biura, co do tej pory nigdy nie miało miejsca.

– Dlaczego wciąż do tego wracasz? – zdziwił się Hałycki.

– Aby przypomnieć ci twoje skłonności do autodestrukcji. –

Danielewicz miał inny cel, wszystko polegało na odpowiednim przedstawieniu sytuacji.

– To było piętnaście lat temu!

– Ale nic się nie zmieniło. – Zaśmiał się. Opracował do perfekcji metodę pozyskiwania osób wpływowych, ale od niego zależnych.

– Jesteśmy kwita. Ty mi dałeś życie, ja pozbawiłem go Ryglewicza. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony i będziesz potrafił cieszyć się rodziną.

– Oj! Nie bądź taki melodramatyczny. Nie mogłeś go uratować. Dzięki temu, co zrobiliśmy, jesteśmy bezpieczni, a to i tak tylko kwestia czasu, kiedy umrze. Takie życie.

– Nie odpuści... Jest genialny w tym, co robi.

– To pozory, mimo wszystko to człowiek słabości, tak ja ty... – Te słowa nie miały go obrazić, stanowiły prawdę, której Hałycki nie mógł zaprzeczyć.

– Przestań mi to wypominać. Powiedziałem: jesteśmy kwita.

– Oczywiście, ale zauważ, jak to działa. Nie musisz się go obawiać, jest nieszkodliwy. Ma swoje kompleksy, więc zaczął robić rzeczy, które pokazywały, że jest wart więcej, niż wszyscy myśleli. To rodzaj obrony. Przecież funkcjonujesz tak samo. Pomyśl sobie, gdzie byś był, gdyby nie ta praca. Teraz jesteś kimś, ludzie się ciebie boją, masz poważanie i realną władzę.

Anton nie był pewny, czy strach jest właściwą metodą wpływania na innych, sam preferował inne metody.

– Skąd ta pewność, że Ryglewicz jest nieszkodliwy? – Hałycki nie odpuszczał.

Danielewicz wypuścił głośno powietrze. Nigdzie mu się nie śpieszyło, towarzystwo ordynatora było lepsze niż cela i gówniane jedzenie, którego już nie zamierzał jeść, przygotowując się na prawdziwą ucztę po powrocie.

– O co ci chodzi? On jest w izolacji. Sam powiedziałaś, że jego dni są policzone. To kwestia czasu, kiedy strażnicy znajdą go

martwego.

– Musimy go przenieść na oddział szpitalny. Każdy laik uznałby, że jego stan nie pozwala mu na przebywanie w celi.

– Więc daj mu to pieprzone łóżko i nie rozpamiętuj! – Danielewicz wołał nie mnożyć sobie problemów.

– On jest w agonii! Jak to sobie wyobrażasz? Jak zaczniesz opowiadać o mnie i o tobie, to jesteśmy skończeni.

– Poprawka: ty jesteś skończony. Lepiej więc dopilnuj, aby milczał. Przecież wiesz, jak to się robi, prawda?

– O co ci chodzi? – Hałycki cały czas był spięty. Anton nie musiał być lekarzem, aby widzieć, jak bardzo ordynator jest rozstrojony, dokładnie tak samo, jak piętnaście lat temu.

Danielewicz szukał wtedy takich jak on. Kontakty były ważne, o ile nie najważniejsze. W zamian za niewielkie wsparcie, pomoc w znalezieniu pracy, niewielką pożyczkę, mógł w przyszłości liczyć na odwzajemnienie. A Hałycki był na skraju wytrzymałości, biedaczek załamał się, kiedy jego syn umarł w szpitalu. Ze zwykłej grypy zrobiła się sepsa i widok odchodzącego do innego świata dziecka. Hałycki zaczął pić, do tego narkotyki, dzięki temu, że był lekarzem, miał ułatwiony dostęp, ale chciał więcej i więcej. Co za paradoks, że to właśnie Danielewicz wyciągnął go z tego dna. Przypadek, ale zarazem ważna chwila, bo tej zależności nie dało się tak zwyczajnie zakończyć.

– Oj, przestań się mazgać. Nie dawałem ci żadnych instrukcji, jak masz to zrobić z Franzem. To kwestia podejścia do tematu. Na twoim miejscu bym tego nie rozpamiętywał. Obiecałem ci, że będziesz czysty, i jesteś. Nawet gdyby pewnego dnia Kotarska przypomniała sobie, co się stało, nie będzie żadnych dowodów na to, że Groicki nie żyje przez ciebie. Krym pewnie wygrzewa się w ciepłych krajach i ma głęboko gdzieś tamte czasy.

Franciszek Groicki był jednym ze współwięźniów Danielewicza w pierwszych tygodniach pobytu na Montelupich. Anton już wcześniej obawiał się Edyty Kotarskiej, która w przeciwieństwie do Kryma i Hałyckiego wierzyła w istotę resocjalizacji. Należało odwrócić jej uwagę, Groicki stał się przypadkową ofiarą, której Danielewicz wcześniej w nim nie widział, ale postanowił go wykorzystać. Zaczęło się od raportu Hałyckiego, który wypunktował u Groickiego symptomy choroby psychicznej. Potem była skarga więźnia i do gry włączyła się sama Kotarska, której uwagi umknęło, jak Danielewicz stworzył swój własny świat, bezpieczną przystań, sposób na pozbycie się kompromitującej przeszłości. Bez obaw, że wzbudzi niepotrzebne zainteresowanie, mógł zadbać o swoje interesy. W końcu Monte nie musiało sprowadzać się wyłącznie do kryjówki.

– A Milewski? – Hałycki wyciągnął z barku szkocką.

Anton ucieszył się na samą myśl, ale ordynator nalał tylko sobie. Staczał się na dno.

– W twojej wyliczance brakuje już tylko Lamy.

Hałycki naprawdę był naiwnym człowiekiem lęków. Skupiał się tylko na swoim bezpieczeństwie – na swój sposób naturalne, ale zarazem głupie.

– Nie naśmiewaj się ze mnie.

– Przecież jestem poważny – zaoponował Danielewicz, choć cała sytuacja była dla niego faktycznie dość zabawna. – Dziwię się, że masz czas martwić się o jakiegoś dzieciaka. On nie interesuje się mną czy tobą, a Ryglewiczem. Traci pewnie czas, przekopując się przez stare akta, gównem z tego wyjdzie.

– Lekceważysz ich. – Hałycki nalał sobie podwójną porcję trunku. Zapach uniósł się w powietrzu. Anton nigdy nie stronił od alkoholu, ale wolał czystą. To było takie polskie.

- Mam zaufanie do swoich ludzi.
- Dziwię się, że jeszcze się do nich nie dobrali.
- Gdyby tak było, byłbyś pierwszą osobą, która by się o tym dowiedziała.

To właśnie Hałycki był jego oknem na świat. Wszyscy się znali, tworzyli zamknięty krąg, ale bez zbędnej, wzajemnej adoracji – pełny profesjonalizm, połączenie osobowości i narzędzi, które gwarantowały sukces. To była tajna broń Antona, do której Ryglewicz nigdy nie miał dostępu, zapewne w ogóle nie zdawał sobie z tego sprawy. Ten pakt miał jednego mistrza – był nim Anton. Ktoś musiał tym wszystkim zarządzać, delegować pracę, myśleć przyszłościowo. Drugi w kolejce był jego przyrodni brat, Kostek, skrywana przed światem tajemnica. Wyszkolony, wyedukowany i oddany. Perełka, która gotowa była do poświęceń, rozumiała wartość słowa „rodzina”, ale potrafiła również dochować tajemnicy.

- Mam to, o co mnie prosiłeś. – Hałycki wyciągnął kopertę.
- Miałeś to wysłać do Sylwii tydzień temu.
- Wyjechała na wieś razem z dziećmi. Za każdym razem, gdy do niej szedłem, napotykałem na zamknięte drzwi.

Hałycki może nie wyglądał na idiotę, ale nie zmieniało to faktu, że nim był.

– Naprawdę nie rozumiesz słowa „wysłać”?! Sam się niepotrzebnie narażasz, a potem masz za swoje. Kupiłeś przynajmniej odpowiednie?

- Do Sieny, tak jak prosiłeś. Wylot za tydzień. Na miejscu macie zarezerwowany hotel. A potem sami zobaczycie.
- Sylwia powinna być zadowolona – przytaknął Danielewicz.
- A co z Africa Trade?
- Zostawiam to Kostkowi, od tej pory umyłam ręczki. Firma

jest czysta, to się liczy. Z takim budżetem powinno być łatwiej działać legalnie. – Anton pozbył się jednego z ciężarów, który na nim spoczywał.

– Nie masz skrupułów, prawda? Więc dlaczego bawisz się w kotka i myszkę z tym całym Lamą? Nie wiem, czym on się tak wyróżnia. Zwyczajny glina.

– Nie zawracaj sobie nim głowy. Pozory mylą, ale to moje zmartwienie. Ważne, że przekazałeś mu to, o co cię prosiłem. Niczego więcej nie chcę. – Chodziło o Ryglewicza. W interesie Danielewicza było, aby policja poświęcała mu jak najmniej uwagi.

– Oj, Anton, Anton. Ty też się starzejesz, ale nikt nie jest niezastąpiony.

– Nie mam takich ambicji. I jeszcze jedno: nie bawię się z Lamą, ale i tak mam dobrą zabawę. Gdybym go zabił, nie byłoby już takiej frajdy.

Danielewicz dostrzegł wzrok Hałyckiego, który jakby próbował go przeświecić.

– Czyli lepiej zabijać innych.

– Uważaj na słowa. – Nawet Hałycki nie mógł pozbawić go dobrego nastroju. – Jak nie potrafisz czegoś dowieść, to lepiej w ogóle nic nie mów.

– Gdzieś w tym całym gównie jest twoja żona, Anton, która wciąż błędnie sądzi, że jesteś taki niewinny.

– Bo jestem. – Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. – Już ci nie będę przeszkadzać, to już koniec, więc odłóż na bok te wszystkie wątpliwości, bo to dobry finał. Tak dla mnie, jak i dla ciebie.

– Nie wszyscy wyszli bez szwanku...

– Masz wyrzuty sumienia, prawda? Tak samo, jak przy twoim synu... – Widział, jak ręka Hałyckiego drży, kiedy podnosił

szkłankę ze szkocką. – Ale musisz się tego wyrzec, zapomnieć i żyć pełnią szczęścia. Inni widocznie nie potrafili wykorzystać swojej szansy. – W jego mniemaniu to była tylko kwestia złego miejsca i nieodpowiedniego czasu, ale to, co powiedział, po prostu lepiej brzmiało.

Przerwał mu dźwięk telefonu. Hałycki pośpiesznie zaczął przeszukiwać torbę, a Anton miał przed oczami Sylwię, która również potrzebowała kilku minut, aby w swojej cokolwiek znaleźć.

– To ten.

Danielewicz wiedział, co to oznacza. Dzwonił telefon, który służył do wewnętrznych kontaktów. Zwyczajny samsung, dziesięcioletni, na kartę.

– Nie... – powiedział Hałycki. To nie oznaczało dobrych wieści. – Jest tutaj. – Ordynator podał Antonowi telefon.

– Mów – odparł Danielewicz. Po głosie rozpoznał, że rozmawia z Opolskim.

– Policja wparowała do biura.

– Przecież już tam byli – zdziwił się.

– Aresztowali Kostka. Pinas już poinformowany.

– Spokojnie. Nie mają żadnych dowodów. Ogarnij to, co trzeba. Widzimy się jutro.

Rozłączył się. Nie chciał słyszeć biadolenia, jak to bez niego ciężko. Czasem wystarczy mieć tylko odwagę, aby zrobić to, co należy.

– Nie sądziłem, że masz wyjebane nawet na brata. – Hałycki patrzył na niego, chyba zaczynało do niego docierać, do czego zdolny jest Lama.

Anton tylko wzruszył ramionami. Sprawa była dla niego zakończona, mógł już wracać do swojej celi. Chciał być jutro

wypoczęty.

Przejmował się bratem, ale nie chciał tego okazywać. Dopóki sam brzmiał racjonalnie, Hałycki również nie dostrzegał tak wielu problemów. Skoro znaleźli trop prowadzący do Kostka, istniało pewne ryzyko, że dojdą również do zleceniodawcy, a do przekazania rozkazu zabicia Strudzień posłużył telefon Hałyckiego.

Kolejne zwycięstwo Danielewicza.

* * *

Ciekawe. Bardzo ciekawe. Zagranie Janiszewskiego go zaskoczyło. Dziwiło go, że stawia na doradztwo Jansena. Dziennikarze pewnie chętnie przyjęliby taką wiadomość i nie pozostawili na premierze nawet suchej nitki. Markiewicz nie zamierzał nic więcej robić. Czekał, było to dość przyjemne, choć przez chwilę nie przejmować się konsekwencjami. Nadejdzie taki moment, kiedy znowu zwrócą się do niego z prośbą, żeby to wszystko odkręcić, gest Kozakiewicza byłby wtedy wskazany.

Przed chwilą zakończył rozmowę z Samsonem, więc już był wtajemniczony w sytuację. Z jakiegoś powodu Maks mu ufał, a on na tym korzystał, przynajmniej nic go nie zaskakiwało w najmniej oczekiwanym momencie.

– Jest taki malutki – powiedział Henryk, patrząc na swojego synka.

Tadek ubrany był w jakieś różowe wdzianko, Markiewicz wolałby, aby jego wnuk miał na sobie coś w bardziej męskich kolorach, ale pewnie był to kolejny wymysł jego żony, której coś się spodobało, więc uparła się, żeby kupić. Zachował swoje spostrzeżenia dla siebie.

– Uważaj na niego. – Ania siedziała tuż obok Henryka

i asekurowała rękami, gdy ten próbował odpowiednio złapać niemowlę.

Byli w komplecie, jego rodzina się rozrastała. Przyszły pozostałe dzieci – Marek, który przyjechał przed chwilą z Torunia, gdzie studiował, i Malwina, która poświęciła się sztuce. Tadeusz nie oceniał jej prac malarskich. Po tym, jak skończyła ASP, podjęła pracę w Muzeum Narodowym. Pewnie byłaby zadowolona, a Markiewicz usatysfakcjonowany, gdyby nie to, że była tam sprzątaczką, a pasja towarzyszyła jej życiu, ale tylko po godzinach. Minął już czas, kiedy Tadeusz próbował rozwiązać zagadkę perwersyjności córki. Był raz na jej wernisażu, bo tylko raz taka wystawa miała miejsce. Nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że wszystkie jej „dzieła” nawiązują do narządów płciowych. Dobrze, że nie było tam żadnych jego znajomych z pracy, bo nie wiedziałby, jak to wytłumaczyć. Podobno o gustach się nie dyskutuje, a sztuka niekoniecznie musi się podobać, a powinna raczej inspirować. Maria wzięła sobie tę prawdę do serca, mając na uwadze fakt, jak bardzo była pobudzona. Chociażby wczoraj, kiedy rzuciła hasłem „sześćdziesiąt dziewięć”, tak jakby *Kamasutra* nie miała przed Markiewiczem tajemnic. Gdy już mu wyjaśniła, co miała na myśli, doszedł do wniosku, że chyba jest zacofany i cieszą ich inne rzeczy. Nie miał osiemnastu lat, bał się, że krew zatrzyma się w miejscu albo przypadkiem się udusi. Inaczej wyobrażał sobie swoją śmierć.

Maria była teraz w kuchni, świetne miejsce, w mniemaniu Markiewicza prezentowała się przy garnkach wyśmienicie. Poruszała się z gracją, a pot na jej czole widziany z odpowiedniej perspektywy mógł świadczyć o tym, że zapach spalenizny może być ekscytujący. Ale ta perspektywa chyba nie należała do niej.

Mała rodzina – mały problem. Duża rodzina – a w tym przypadku była mowa o siedmiu osobach, a raczej sześciu i pół –

ogromny problem. Tym bardziej że żołądek Marka nie miał dna, Tadeusz zawsze dziwił się, gdzie najmłodszy syn potrafi zmieścić te wszystkie posiłki. Gdyby był grubasem, byłby to jakiś argument, aby delikatnie zasugerować mu dietę. Ale nie, natura okazała się dla niego bardziej przychylna.

Zasiedli do kolacji. Dostrzegł zmianę w zachowaniu Henryka, spoważniał, myślał w pierwszej kolejności o innych, wręcz pchał się, ku zadowoleniu Marii, do pomocy. Marek od razu poprosił o dokładkę, zanim Tadeusz zdążył zauważyć, co żona przygotowała na kolację.

– Znakomite, Mario. Znakomite – skomentował.

– Jeszcze nic nie zjadłeś... – Zrzuciła z siebie fartuch i uchyliła okno, żeby pozbyć się dymu z piekarnika.

– Ale widzę po Marku, że mu smakuje, aż uszy mu się trzęsą.

– Mnie wszystko smakuje – powiedział syn z pełnymi ustami.

Tadeusz wydał z siebie dźwięk sugerujący, że właśnie padła błędna odpowiedź. Maria chwyciła fartuch i wycelowała w rękę Marka.

– Nie mówi się, gdy się je!

– Przemoc w rodzinie... – odparł, ale nie przerywał pałaszowania.

Mały Tadek zaśmiał się, choć pewnie nic z tego nie rozumiał.

– Co to jest? – zapytał Markiewicz, wskazując na talerz, który znajdował się centralnie przed nim.

– Eksperyment – usłyszał w odpowiedzi.

– Brzmi świetnie – podsumował. Nałożył sobie na początku małą łyżkę, co i tak stanowiło wyraz jego odwagi, a raczej akt desperacji, bo nie dostrzegł żadnego lśniącego od tłuszczu kotleta.

– Ser feta? – chciał zabłysnąć. Jedną z warstw tworzył jakiś biały ser.

– Ser kozi. – Malwina chyba spostrzegła, że liczył na coś konkretnego, bo przyglądała się na zmianę to jemu, to matce, z szerokim uśmiechem na twarzy.

Połączenie było dziwne. Dostrzegł orzechy włoskie, suszone pomidory i coś czerwonego.

– A to? – Wolał na wszelki wypadek zapytać, zanim skosztuje.

– Suszona żurawina – z wyjaśnieniami przybyła Maria, która w końcu również usiadła przy stole. – Świetna na pęcherz, wrzody i serce.

– Hm... – zamruczał. – Nic tylko jeść.

Cóż, mówiąc delikatnie, to nie było jedzenie w jego guście. Wolał sięgnąć po schowane w lodówce bakalie w czekoladzie, ale w końcu chodziło o zdrowie.

– Synusiu... – Maria przyglądała się Markowi. – Masz ty co tam jeść w tym Toruniu? Radzisz sobie? Jesteś taki wychudzony.

– Przecież widzisz, ile on je – skomentował Markiewicz. Trochę mu zazdrościł, bo pewnie jego dieta była bogata we wszystko to, co lubił najbardziej.

– Oj! Przestań, Tadeusz. Przecież wygłodniał. Takich rzeczy nie ma na co dzień.

„Takich na pewno nie...” – stwierdził w myślach Markiewicz, ale głośno już nic więcej nie dodał. Wolał skupić się na tym, aby twarde orzechy nie połamały mu zębów. Dostrzegł kątem oka, że Ania i Henryk wymienili spojrzenia. Coś było na rzeczy.

– Co się dzieje? – Maria też to zauważyła.

– Chcielibyśmy państwa zaprosić – powiedziała powoli Ania. Jeszcze nie czuła się swobodnie w ich towarzystwie, a rodzina Markiewiczów mogła onieśmielać. – W związku z tym, że mamy już datę ślubu, chciałam zorganizować kolację, gdzie byliby obecni również moi rodzice. Chcieliby państwa poznać.

Do tej pory nie było okazji, aby się z nimi spotkać. Rodzice Ani podobno byli raz w szpitalu, ale niefortunnie musieli się minąć. Pochodzili z Elku, więc Kraków był dość odległy.

– Oczywiście, bardzo chętnie, prawda, Tadeusz? – Maria trąciła go łokciem.

– No tak... – Nie widział przeszkód, choć nie rozumiał, skąd te podchody.

– Czy kolacja w trakcie tygodnia wchodzi w grę? Tata będzie w Krakowie na delegacji przez cały tydzień – powiedziała Ania.

Maria spojrzała na Tadeusza.

– Nie ma sprawy – odpowiedział Markiewicz.

– Nie koliduje to z twoją pracą? – zapytał Henryk. Już kiedyś pokłócili się o to, że wracał tak późno do domu, niewiele czasu poświęcając rodzinie.

– Znajdziemy rozwiązanie. – Coraz trudniej było mu znaleźć wymówki, dlaczego zostaje w domu. Jutro zamierzał wstać jak kiedyś, włożyć garnitur i udać się w bliżej nieokreślone miejsce.

– Zniknąłeś ze strony – powiedział Marek, który chyba już nacieszył się posiłkiem i teraz kontemplował stan najedzenia z kieliszkiem wina w ręce.

Tadeusz omal się nie zakrztusił żurawiną. Odłożył talerz.

– O czym ty mówisz? – zapytała Maria.

– Strona internetowa Kancelarii Premiera. Tata zawsze tam był wyróżniony, a teraz go nie ma.

Nie spodziewał się, że Marek na bieżąco śledzi jego poczynania w polityce. Paradoksalne również wydawało się, że Tadeusz musiał czekać trzy miesiące, aż informatycy zaktualizowali informacje odnośnie do Biuletynu Informacji Publicznej, a zakładkę dotyczącą jego zlikwidowali w jeden dzień.

Atmosfera zrobiła się napięta. Tylko mały Tadek nic sobie

z tego nie robił i przyssał się do piersi Ani.

– Pewnie jakiś błąd. – Markiewicz wzruszył ramionami.

– Tato, nie potrafisz kłamać – powiedział Henryk.

– Tadeusz? – Maria chyba też straciła apetyt. – Wyjaśnisz to jakoś?

Wyglądało na to, że jutrzejsze plany z fikcją pracy straciły na ważności.

– Bardzo dobre, wręcz znakomite. – Sięgnął po żurawinę. –

Pewnie będę sikać dalej, niż widzę. – Zaczął się śmiać, żeby rozluźnić atmosferę, ale od razu spostrzegł, że to się nie uda. Nie zamierzał stosować swoich politycznych zagrań w rodzinnym domu.

Jego dzieci najwyraźniej zdały sobie sprawę, że czeka go ciężka przeprawa z Marią. Nagle przypomniały sobie o niezliczonych obowiązkach, szybko podziękowały za kolację i zniknęły z pola ich widzenia.

– Kiedy chciałeś mnie o tym poinformować? Czy w ogóle miałeś taki plan?

– Ależ, kochanie... – Przysunął się do żony i dotknął jej kolana. Od razu się odsunęła.

– Co się dzieje?!

– Konflikt interesów, ale są pewne granice mojej wytrzymałości. Znasz mnie...

– Też tak myślałam! – Ton jej głosu zwiastował nadejście płaczu. – Ale nie wiem, co tak właściwie robiłeś w tej swojej pracy, nie dzieliłeś się problemami, zawsze tylko mówiłeś, jak bardzo jesteś zmęczony. Nic więcej!

– Mario... – zaczął, ale od razu mu przerwała.

– Nie ugłaskasz mnie. Mogłeś mi przynajmniej powiedzieć!

– To tylko tymczasowe, kochanie. – Ten wieczór mógł być

miłym rodzinnym spotkaniem, gdyby tylko Marek był mniej wnikliwy. – Nie chciałem cię martwić. Widziałem, jak się cieszysz, że jesteś babcią.

– Dziwię się tylko, że byli tutaj wczoraj i nic nie wspominali, że już nie pracujesz.

– Kto był? – O mały włos straciłby kieliszek z czerwonym winem.

– Przedstawił się chyba jako Nowański czy jakoś tak.

– Nowiński? – To było tylko pytanie kontrolne. – Czego chciał?

– Zadawał dziwne pytania...

* * *

Czy był szczęśliwy? Teoretycznie odpowiedź powinna być twierdząca, ale Milewskiemu czegoś brakowało do pełnej satysfakcji. Bo choć miał dziewczynę, wiedział, że to nie jest tak piękne, jak wygląda, a przeboje sprzed dwóch tygodni wciąż nie zostały wyjaśnione.

Spełniał się, postanowił napisać książkę, trwał w tym zamyśle i dostrzegał efekty, ale to była jedynie alternatywa bezrobotnego. Szymon mógł inaczej zaplanować ścieżkę swojej kariery, może bardziej by się sprawdził w innych dziedzinach. Pójście na uczelnię wyższą stanowiło bardziej presję przyjaciół, tak jakby zakończenie edukacji po technikum wiązało się z byciem gorszym. Skończył kierunek, który nie gwarantował mu pracy, choć w ogóle wątpił, czy można było uznać, że takie fakultety istnieją.

Wrócił do domu. Trzymał w ręce bukiet goździków. Wbrew pozorom nie były najtańsze, ale bardzo lubił ich zapach. Wiedział, że mama się ucieszy. Pewnie lepiej byłoby zrobić coś samemu, ale laurka nie wchodziła w grę ze względu na jego wiek, a inne rzeczy wymagały czasu, który ostatnio poświęcał głównie Dagmarze. Nie

pamiętał, kiedy ostatnio spokojnie rozmawiał z mamą, tylko się mijali. Obiecał sobie, że dzisiaj wieczorem nigdzie nie wychodzi, miał plan przygotować kolację i posprzątać mieszkanie. W Dzień Kobiet najwięcej zyskiwali floryści. Mężczyźni przypominali sobie o tym święcie i wyjmowali z portfela ostatnie zaskórniaki. On z zasady też nie kupował ich bez okazji, ale zauważył, że właśnie wtedy były najbardziej doceniane.

Potrzebował tylko chwili, aby dojść do wniosku, że się spóźnił. Poczł zapach gołąbków, przysmaku mamy. W niewielkim garnku gotowały się suszone grzyby, które Szymonowi kojarzyły się ze świętami. Rozejrzał się po niewielkim salonie. Na fotelu leżał koc, mama pewnie zasnęła tam przed telewizorem, co zdarzało się jej ostatnio coraz częściej.

Poszedł do swojego pokoju. Matka siedziała przy jego biurku, pochylona nad jakimiś kartkami.

– Cześć – powiedział. – Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Kobiet! – Wręczył jej goździki. Zauważył, że mama jest speszona jego niespodziewanym powrotem. – Co robisz? – Wskazał na to, co zakryła ręką.

– Chciałam ci zmienić pościel i się na to natknęłam. – Miała na myśli robocze wydruki dotychczas napisanych fragmentów jego książki. Zachowała się jak mała dziewczynka przyłapana na oderwaniu rączki lalce Barbie.

– Powiniennem schować. – Do tej pory nikt tego nie widział, nic nie ujawniał, czekał, aż skończy.

– Przepraszam, ale byłam ciekawa... – Z jakiegoś powodu była smutna.

Milewski usiadł obok niej.

– I co o tym sądzisz? Marnuję czas? – Wiedział, że matka rzadko sięga po książki, głównie za sprawą braku czasu. Mimo to

zależało mu na jej aprobacie. W końcu robił to również dla niej.

– Nie sądziłam, że masz taką wyobraźnię. Nie wiem... – Zawahała się. – Nigdy nie czytałam książek o takiej tematyce. Trochę to absurdalne i abstrakcyjne, ale...

– Tylko nie wiem co dalej. – Nie chciał jej tłumaczyć, że to książka oparta na faktach, a on sam był świadkiem przedstawionych wydarzeń. I tak by mu nie uwierzyła.

– Skończ to, co zacząłeś. Poświęciłeś temu tyle czasu...

– Kosztem obowiązków domowych – przyznał.

– A co z Dagmarą? – Mama zatrzymała się w momencie, kiedy byli ze sobą pokłóceni.

– Zależy mi na niej – przyznał. – Znowu jesteśmy razem.

Uśmiechnęła się, co tylko podkreśliło jej zmarszczki. Bardzo postarzała się w ostatnim czasie.

– Nie nadążam za wami. Ale cieszę się, że znowu zaczęło się wam układać. To ważne... Może przynajmniej trochę cię ustawi.

– Hah! Nie dam się! – Po doświadczeniach z Natalią już wiedział, że uległość nie zawsze jest wskazana. – Przecież mam charakter po tobie.

– To prawda. – Mama powąchała goździki. – Jesteś uparty jak osioł.

Siedzieli przez dłuższy czas w ciszy. Robocze wydruki jego książki leżały w nieładzie na blacie biurka. Nie miał dzisiaj siły do tego wracać. Przerwy mu nie sprzyjały. Zdecydowanie bardziej wolałby zrobić to raz a dobrze i mieć z głowy, bo zaczynał odczuwać pewną presję. Oczywiście, nikt go nie naciskał. Poza mamą, Dagę, jej ojcem oraz Amareną – gosposią świętej pamięci Droubera – nikt nie wiedział o jego projekcie. Chodziło raczej o nieprzerwane myślenie, co doprowadzało go do szału. Chciał zrobić to jak najlepiej, brakowało jednak talentu, rozeznania

i dopracowanej koncepcji. Goczałka się do niego nie odzywał, więc jedyne źródło informacji w sprawie Ryglewicza się wyczerpało. A Szymon nie był osobą, która gotowa była cały czas nachodzić ojca Dagi, prosić o wiadomości, zadrećzać pytaniami.

– Brakuje ci taty? – zapytał.

Spojrzała na niego tak jak zawsze, gdy rozpoczynał ten temat.

– Dlaczego znowu do tego wracasz?

– Ten Ryglewicz, o którym jest ta książka, zerwał kontakt z rodziną, jego ojciec nie przyznawał się do niego, opuścił go i jego matkę. Wiem, że minęło już sporo czasu... – Nie wiedział, jak podejść do tematu. Może Dzień Kobiet nie był zbyt dobrym momentem, ale chodziło przecież o jego ojca.

– Już prawie dwadzieścia sześć lat. – Zakryła twarz dłońmi. –

Ech... Wstawię kwiaty do wazonu. Dziękuję bardzo, są piękne. Przyjdź do kuchni za kwadrans, przygotowałam gołąbki, takie jak lubisz.

– Zaczekaj... – Mama opracowała do perfekcji technikę unikania tego tematu. – Kim on był? Dlaczego nigdy się mną nie interesował?

– Przecież już ci odpowiadałam na te pytania.

– Ale tak naprawdę nigdy nie udzieliłaś żadnej odpowiedzi...

Milewskiemu żal było mamy. Powinna mieć w nim większe oparcie. Tutaj chodziło jednak o coś innego. Od czasu rozmowy z Krystyną Działoszyn zaczął dostrzegać kolejne podobieństwa pomiędzy nim a Tomaszem. Z pozoru sytuacja była inna, ale kolejne punkty ich przeszłości miały wspólne cechy.

– Nie mam do ciebie żalu, rozumiem, że rozkopywanie tego, co się stało, nic nie zmienia. Ale nie zbywaj mnie, proszę. – Spojrzał na nią błagalnie.

– Nie mam żadnych zdjęć, wyzbyłam się wspomnień...

– Cały czas o tym myślisz... – Dopiero teraz zaczął dostrzegać, jak wielki ma to na nią wpływ. – Gdyby wciąż tutaj był albo przynajmniej cię jakoś wspomagał, twoje życie wyglądałoby inaczej. Moje też – dodał po chwili.

– Brakuje ci czegoś?

– Oczywiście, że nie!

Mama jak zawsze opacznie rozumiała powód jego pytań.

– Więc pozwól mi zapomnieć. Wiem, że to dla ciebie trudne. Nigdy nie miałaś ojca. Staralam się go zastąpić, ale to niemożliwe. Jesteś już dorosły, cieszę się, że ci się układa. Nie gdybajmy, jak by to było, gdyby był z nami.

– Nie miałaś z nim żadnego kontaktu?

– Nie chciałam.

Wyszła z jego pokoju, nie mówiąc nic więcej. Nie wiedział, jak się zachować. Może niepotrzebnie naciskał, ale potem tylko powracało wrażenie, że znowu coś go omija.

Poukładał pojedyncze kartki i schował do szuflady. Nie ufał swojemu komputerowi, który miał już siedem lat, wydawał z siebie dziwne dźwięki, a w przypadku, gdy chciał włączyć program inny aniżeli niepotrzebujący wiele pamięci edytor tekstu, zawieszał się. Dlatego starał się drukować na bieżąco to, co miał do tej pory. Nie martwił się na razie o błędy, chodziło jedynie o zrobienie kopii.

Poszedł do kuchni, mama właśnie dolewała śmietanę do sosu grzybowego. Gołąbki już leżały na talerzu, wystarczyło je tylko polać.

– Przepraszam, nie chciałem cię urazić.

– Nie wiesz, kim był ten człowiek i ile przez niego się nacierpiałam, więc nie oceniaj mnie.

– Rozumiem, mamó, ale chroniąc mnie przed prawdą, tylko zaciemniasz moje spojrzenie. Postaw się na moim miejscu. Też byś

zadawała pytania i chciałabyś się dowiedzieć, kim tak naprawdę był.

– Więc pomyśl również, jak ja się czuję. Zaakceptuj to, co masz. Dlaczego akurat dzisiaj musisz to rozpamiętywać?

– Gdyby ojciec nie chciał cię znać... – Myślał w tej chwili o Ryglewiczu. – ...a mimo to wysłałabyś mu drogi prezent tuż przed śmiercią, jaki mogłabyś mieć w tym cel?

Drouber dostał od syna obraz, kopię Böcklina, prezentującą jego „Wyspę Umarłych” i bawiące się na niej Najady. Dopiero wtedy Milewski dowiedział się, że doktor w ogóle miał rodzinę i możliwe było poznanie jej bardziej szczegółowych losów. Dzisiaj zwrócił uwagę na tę zależność. Goczałce ta kwestia chyba też umknęła.

– Cel? – zdziwiła się mama. – Nie wiem, o co ci chodzi.

– Po co dawać prezent, skoro przez całe życie nie chciało się mieć z obdarowanym do czynienia?

– Podziękowanie? Nie wiem, strzelam – odparła.

– Za co? Nic od niego wcześniej nie dostał.

Usiedli do stołu. Szymon nie był głodny, jego myśli unosiły się w zupełnie innej czasoprzestrzeni. Nie chodziło już o jego ojca, bardziej o Ryglewicza i Droubera. Coś pominął, jego książka nie była kompletna.

Prezent. Obraz pewnie był teraz gdzieś w komendzie, w dziale dowodów, kilkakrotnie sprawdzony, również przez samego Goczałkę. Zgodnie z tym, co powiedziała Działoszyn, Drouber nie dał synowi nic. Nic poza schorzeniem, choć winnych efektów syndromu dziecka potrząsanego mogło być wielu. Ale mieli kontakt, znali się, to właśnie od Droubera Tomasz miał zabrać pamiętnik Reglewitscha.

A ojciec Szymona nigdy się nie pojawił. Nie chciało się mu

wierzyć, że mama zupełnie zerwała z nim kontakt. Był czas, kiedy nie starczało jej na podręczniki szkolne, na pewno szukała innych dróg pozyskania funduszy.

– Czy mój ojciec żyje? – zapytał niespodziewanie.

Matka wypuściła z ręki widelec, który upadł na podłogę. Nie fatygowała się, żeby go podnieść.

– Znowu zaczynasz? Co ci się stało? O co chodzi z tym prezentem?

Oświeciło go.

– Czy mój tata wie, że ma syna?

Nie czekał na odpowiedź. Widział ją w oczach matki. Nie chciał szukać ojca, nie teraz. Zrozumiał jednak zależność Ryglewicza i Droubera. Gdyby doktor faktycznie nie chciał znać syna, opuściłby Działoszyn, zanim go urodziła. Prezent nie był zwykłym upominkiem. Mama miała rację, to było podziękowanie. Pozostało znaleźć odpowiedź, co Ryglewicz chciał w ten sposób osiągnąć.

* * *

– Dobry jesteś, wiesz? – Beski podszedł do Lamy. Było dość późno, ale Miłosz jeszcze nie wyszedł z komendy. Widocznie Konradowi też się nie śpieszyło do domu. – Od jak dawna wiedziałeś o tym Kostku?

– Uznajmy, że miałem pewne przypuszczenia, które musiałem wcześniej potwierdzić.

– Co jeszcze wiesz o Antonie?

Lama wyłączył komputer. Napotkał czujny wzrok Dromek, która siedziała kilka metrów dalej.

– Na pewno to, że jest uważny. Ryglewicz popełnił błędy, a jego wciąż nie udało się dopaść.

– Rozmawiałem z Dędkiem i Flisakiem. Odpuszczają sprawę.

Wygląda na to, że jutro Danielewicz wyjdzie na wolność. Pytanie, co dalej i jak ma się do tego Kostek?

– Jego brat go nie zdradzi. Na tym to właśnie polega. Dobrze wiesz, że nasze dowody są słabe, a Opolski i Zoń będą udawać świętych.

– Potrzebujemy świadków.

Uroki polskiego wymiaru sprawiedliwości. Wyrok nie opierał się na materialnych dowodach z miejsca przestępstwa, coraz częściej korzystano z monitoringu, ale to i tak świadkowie stanowili podstawę, choć teoretycznie prezentowali fałszywe albo sprzeczne zeznania, co zresztą się nie wykluczało.

Miłosz pomyślał o Sylwii. Jego wersja zdarzeń, jaką przedstawił Gellertowi, sprowadzała się do tego, że miał pewne przypuszczenia i zaczął śledzić Kostka. Sprawdził, co przyrodni brat Antona robił w dniu, kiedy zmarła Strudzień, uzyskał odpowiedni obraz z kamer, faktycznie był widziany w okolicy. Słyszając spostrzeżenia żony Danielewicza, doszedł do pewnych wniosków, jaki był jego modus operandi. Zastraszył panią prokurator, wpuściła go do mieszkania, nie miała szans się obronić, bo przyłożył jej do nosa i ust materiał nasączony chloroformem. Kontakt był na tyle krótki, że sekcja tego nie wykryła. Umarła szybko, bezboleśnie. Wiedział, że Sylwia nie będzie chciała zeznawać, tamto spotkanie musiało pozostać ich tajemnicą, ale ludzie Danielewicza o nim wiedzieli, sam Anton pewnie też. Mógł się znowu mścić, ale Lama miał nadzieję, że nie będzie chciał ryzykować na pięć minut przed rozprawą, która miała mu dać upragnioną wolność, a zarazem ucieczkę od przestępczej przeszłości.

Dowody, które mieli, były bardzo ubogie, jeżeli chodzi o wartość dla sądu, ale wystarczyły, aby zastosować tymczasowe

aresztowanie. Punktem zaczepienia były wykorzystane odchody lamy. Skądś musiał je zdobyć, być może pozostał jakiś ślad. Policja właśnie przeszukiwała jego mieszkanie, również z myślą o znalezieniu dokumentów związanych z handlem narkotykami, które dałyby prokuraturze nadzieje na inne rozwiązanie sprawy Antona.

Kostek był dzisiaj przesłuchiwany. Podobnie jak Ryglewicz, nie przedstawił żadnej znaczącej informacji, a jego adwokat, zresztą ten sam, którego miał Danielewicz, ucinał każde kolejne pytanie. Goczałka jedynie o tym słyszał, bo Gellert po jego ostatnim przesłuchaniu Ryglewicza nawet nie raczył go poinformować o samym aresztowaniu. Kredyt zaufania się wyczerpał.

– Co byś zrobił na miejscu Gellerta? – Komendant jakby śledził jego myśli.

– Zastanawiam się nad Strudzień. Ten napis, L-A-M-A. To była wiadomość dla mnie, ale chyba nie zrozumiałem jej znaczenia.

– Chciał cię zastraszyć. Jesteś tutaj głównym rozgrywającym.

– Kostek nie zrobił tego sam z siebie. Musimy przesłedzić komórkę Kostka, Danielewicz musiał mu dać znać. Powiedz mi... –

Goczałka podniósł się z krzesła i oparł się o kant swojego biurka, obracając się plecami do Dromek, która próbowała udawać, że ich nie podsłuchuje. – Jest tutaj ponad dwudziestu doświadczonych policjantów, którzy pracują nad sprawą, to oficerowie śledczy, bardzo doświadczeni w tych sprawach. Tylko ja dostrzegam ten teatrzyk, który odstawia Danielewicz?

– Myślisz w innych kategoriach, to cię wyróżnia.

– Tak? – zdziwił się Lama. Miał inną koncepcję. – Dlaczego zlecają rozpracowanie szajki Wogale, który ma jeszcze mleko pod nosem, zamiast samemu się za to wziąć. Nie wiem, co oni robią w tej pracy, wydaje mi się, że są wypaleni, bez energii i tylko

czekają na nadejście spokojnej emerytury.

– Wyluzuj... – Beski położył rękę na jego ramieniu. Miłosz wątpił, aby komendant pofatygował się do niego tylko po to, by wyrazić uznanie, że udało się schwytać Kostka. – Wiem, że wciągnęła cię ta sprawa, ale nie oczekuj od wszystkich, że poświęcą tyle, co ty, byle dopaść Danielewicza.

– Z takim nastawieniem to nigdy się nie uda.

– Opuść trochę. Weź wolny dzień, zabierz żonę do kina. Zapomnij o tym na chwilę, a wszystkim to wyjdzie na dobre.

– To się jeszcze nie skończyło. – Spodziewał się po komendancie innej postawy. Odsunął jego rękę i zmarszczył czoło. Znowu złapał się na tym, że przygryzł dolną wargę. Starał się wyzbyć tego tik, bo zdradzał jego myśli.

– Wpadłeś, Miłosz. Ryglewicz i Danielewicz złapali cię w swoje sidła, narzucili własne zasady gry, a ty zamiast trzymać się dotychczasowych metod, podjąłeś wyzwanie wejścia w świat cieni. Pamiętasz, jak o nim mówiliśmy?

– Co to za psychoanaliza? – Był wkurzony. Kolejna osoba tego dnia zwracała mu uwagę, że za bardzo się stara. Tak, chciał go dopaść. Zbyt wiele poświęcił czasu, aby teraz brać urlop i się nie przejmować. – Ryglewicz i Anton już nie działają w jednym zespole.

– Skąd ta agresja? Spokojnie... Chodź na piwo, zrobmy sobie powtórkę z rozrywki. Dobrze nam to zrobi.

– Nie mogę... Muszę jeszcze chwilę popracować.

Ostatnie godziny spędził nad raportami z sekcji ofiar Ryglewicza. W końcu dostał wyniki, które potwierdziły, że znalezione w mieszkaniu syna Droubera ludzkie narządy pasują do kolejnych osób, które zostały przez niego zabite. Próbował zrozumieć jego postępowanie, dlaczego lepiej nie ukrył swoich

kolekcji.

Wciąż nie znalazł pamiętnika Reglewitscha. Ryglewicz oddał go Danielewiczowi, ale ten nie zostawił go w domu, bał się, że jego żona go znajdzie. Zatem gdzie? L-A-M-A na ścianie w mieszkaniu Strudzień nie oznaczała groźby, to był znak.

– Wiesz, może nie działają już wspólnie, ale działają podobnie, wpływają na tok wydarzeń. Ty też tego chcesz. Nie myślisz o nas, traktujesz to jako własną grę i patrzysz na pozostałych jak na zło konieczne. Tak długo w tym siedzisz, że przestałeś dostrzegać własne błędy, a oni tylko na to czekają.

Lama nie zgadzał się z tym, co powiedział Beski. Tutaj nie było miejsca na zabawę i tymczasowe rozwiązania. Nie mówił o wszystkim Gellertowi, komendantowi tym bardziej, miał ku temu powody.

– Coś jeszcze? – zapytał wyzywająco. Był już zmęczony tą rozmową, wolałby spożytkować czas w inny sposób.

– Wiesz, kiedy to wszystko się zaczęło?

– Jestem pewny, że zaraz mi powiesz. – Uśmiechnął się drwiąco. Powinien zachować się bardziej uprzejmie wobec komendanta. Teraz kolejna osoba była nastawiona do niego negatywnie.

– Od tej nieszczęsnej płyty. Nie wiem, o co chodzi, czy to kwestia urażonej ambicji i tego, że ktoś śmiał cię przechytrzyć. I to cię! Samego Lamę! – krzyknął komendant. Spodziewał się widocznie innych rezultatów tej rozmowy.

– Co to niby zmieniło?

– Ryglewicz zastosował reset, pewnie nigdy nie dowiemy się tak naprawdę, czego konkretnie. Ale przy okazji zresetował też cię. Przestałeś myśleć tak jak wcześniej, nie liczą się dla ciebie granice wyznaczone przez prawo i to, co wcześniej cenileś

najbardziej, czyli odpowiednią atmosferę w pracy.

– Nie skomentuję... – powiedział. Potrafił się wytłumaczyć, ale nie widział sensu kontynuowania tej konwersacji.

– Nie oczekuję tego. Przemyśl sobie moje słowa, a nuż coś do ciebie trafi.

Konrad odwrócił się w drugą stronę.

– Już jestem spalony, jeżeli chodzi o objęcie dochodzeniówki?

– Przecież i tak tego nie chciałeś. – Wyraz jego twarzy wyrażał pogardę. – Dostałem instrukcje, aby powoli wprowadzać Nogałę, którego miałeś okazję dzisiaj poznać.

– Warszaffka. – Lama usłyszał za plecami głos Dromek. Znając życie, podsłuchiwała całą ich rozmowę, co zresztą nie było trudne.

Beski zniknął za drzwiami. W pokoju został tylko on i stażystka. Przy jednym z biurk świeciła się lampka, ale Miłosz nikogo nie dostrzegł.

– Płacą ci za nadgodziny? – zagadnął do Dromek.

– Raczej w ogóle nie płacą, ale ojciec mówi, że dopóki ma kasę, może mnie jeszcze wspierać.

– Musi być bogaty. – Zdziwił się, słysząc swoje słowa. Był chyba wciąż pod wpływem rozmowy z Beskim i zły nastrój oddziaływał również na stażystkę.

– Wbrew pozorom nie jestem aż tak wymagająca – skwitowała i odwróciła się, obrażona.

– Co robisz? – Podeszedł do niej.

– Pamięta pan ten zapach w mieszkaniu Strudzień? Kazał mi pan wszystko wąchać.

– Mówisz o odchodach lamy? – Zdziwił się, że nawiązuje do tamtego dnia.

– Raczej mam na myśli perfumy. Porównałam je z tymi,

których używała prokuratorka. Jestem pewna, że to inne. Dlatego zdziwiłam się, kiedy wskazał pan na tego Kostka. W mieszkaniu była obecna jeszcze jakaś kobieta.

Zachował kamienną twarz.

– Masz na to jakieś dowody? – zapytał. Był pod wrażeniem, a przecież trudno było go zdziwić.

– A czy jest jakaś metoda zachowywania zapachu?

Przed oczami pojawiła mu się scena z filmu *Pachnidło*. Beski miał rację, już dawno nie był z żoną w kinie, ostatni raz jakieś pięć lat temu.

– Powiedz mi. – Spojrzał kontrolnie na ekran jej komputera. Miała otwarty raport z oględzin mieszkania Strudzień. – Jesteś po mojej stronie?

– A kto jest po drugiej?

Jej pytanie tylko upewniło go, że rozmawia z odpowiednią osobą.

– Chciałbym ci coś pokazać. – Dopiero słysząc jej odpowiedź, zdał sobie sprawę, że mógł to ująć innymi słowami.

– Nie wiem, czy mogę panu na tyle zaufać.

– Nie musisz się bać. Chodzi tylko o wyzwanie, które na pewno ci się spodoba.

Ugryzł się w język. Powinien to zrobić kilka sekund temu. Nie miał prawa oczekiwać, że Dromek zrozumie jego poczucie humoru. Spojrzał na stażystkę. Kiwała głową i uśmiechała się do niego. Jeszcze nie wszyscy się od niego odwrócili.

3

Było mu niedobrze, całą noc wymiotował. W końcu się nad nim zlitowali i przenieśli na oddział szpitalny, ale stracił przytomność. Ryglewicz obudził się niedawno, nie czuł bólu. Pewnie znowu go naszprycowali. Chciał zerwać venflon, nie ufał im, nie chciał tego, ale nie miał takiej możliwości, bo pasy krępowały mu ręce. Zresztą nie miał ich nawet siły podnieść.

T-I-K.

Gdy czytał akta Hałyckiego, nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób ordynator pozbył się Groickiego. Teraz był nieco bliżej poznania prawdy. Wystarczyło dostać się do żyły pacjenta i wprowadzać truciznę, która pewnie była sama w sobie jakimś lekarstwem, więc nie wzbudzała podejrzeń.

T-A-K.

Musiał się do niego dostać. Musiał. Czuł gorycz porażki, choć wiedział, że zrobił wszystko, co miało zagwarantować zwycięstwo. Ale Hałycki też był przegrany.

Dostrzegł Jerzego Bardacha, pielęgniara. Oczywiście, że Ryglewicz wiedział, kim on jest. Siostrzeniec Kryma, byłego dyrektora aresztu na Montelupich. Miał dwadzieścia dziewięć lat, epizod jako kulturysta, ale przesadził ze sterydami, a przez nieuwagę i brak profesjonalizmu doczekał się przepukliny. Dość przykre.

Na nic zdały się noce poświęcone na analizę personelu na Montelupich, strategię przekupstwa, byle udało mu się opuścić to miejsce, gdy będzie już po wszystkim. Teraz już wiedział, że to nie

jest możliwe.

T-I-K.

Bezsens. Właśnie o to chodziło. Bezsens. Poświęcił ostatnie miesiące życia dla Antona. Pieprzonego, kłamliwego i zdraдлиwego Antona, który nie docenił ich przyjaźni. Ryglewicz się spełnił, tak tego potrzebował. Poczłł się kimś, a policji zajmie jeszcze wiele miesięcy, aby dowieść prawdy. Mogli mu przypisywać kolejne zarzuty, teraz to nie miało znaczenia.

T-A-K.

Chciał mu napisać list. Jedyny sprawiedliwy zawodnik, choć zarazem słabszy, niekorzystający z tego, co ma – innych. U_45G wolał zabawić się w grę „Reglewitsch – NIE-Reglewitsch” samemu, a to właśnie przyjaciele powinni być różnicą, która ma znaczenie. Może to kwestia wysoko postawionej poprzeczki, która działa na zasadzie, że podnosi się tylko do góry, a przekroczenie jej nie jest możliwe, bo oznaczałoby pełną satysfakcję, w następstwie lenistwo.

Zabawa. U_45G lubił logiczne zagadki. Może gdyby miał okazję tak jak Ryglewicz poznać bliżej liczby, zacząłby korzystać z ich mocy.

T-I-K.

Zdziwił się. U_45G faktycznie powinien być U_45L, choć ta klasyfikacja jak na Lamę mogła być jednak za wysoka. W końcu nie przejął Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego. Ryglewicz czuł satysfakcję. Człł się ojcem tej przemiany, dostrzegł to w trakcie ostatniego spotkania, które może nie należało do najprzyjemniejszych, ale ta szczerść była warta docenienia. Przestał się przynajmniej oszukiwać.

U_45G już nie był kochanym, lubianym i poważanym Lamą, który stanowił trzon wydziału. Tak łatwo jest nastawić

negatywnie do siebie innych. Wystarczyło przyjąć inne zasady gry, podjąć wyzwanie. Jak pstryknięcie palcami. Ważny był tylko rezultat, a przy takim podejściu do tematu można było liczyć na aprobatę Ryglewicza.

T-A-K.

List. Pieprzony list. Kilka słów. Gdyby mógł tylko podnieść rękę i dostać kartkę. Ale nie, musieli go przywiązać pasami, jakby był jakimś świrem. W sumie to mieli rację. Był świrem. Ale przynajmniej nie był ciotą, taką jak Anton. Zły Anton. I właśnie o to chodziło. U_45G musiał poznać prawdę. Reset miał swoje granice, wyjście awaryjne było jeszcze nietknięte.

T-I-K.

Znaleźli jego mieszkanie. Dowiedział się o tym na ostatnim przesłuchaniu. Błazenada. Osiemnaście dni, cztery godziny i dwadzieścia trzy minuty. Tyle Ryglewicz czekał na tę wiadomość od czasu oddania się w ich ręce. Myśleli, że są fajni, w końcu znaleźli jego kolekcję. Pewnie tylko U_45G rozumiał, że to tylko ich kolejna fatalna pomyłka. Specjalnie pozostawił w jednej z szaf resztkę dromitu, który stanowił jego kolekcję z Sanclotthes, zarazem pamiątkę fatalnego zauroczenia, gdy po raz pierwszy z ust dziewczyny usłyszał, że jest „sympatyczny”. Było to równoznaczne z określeniem, że wstyd pokazywać mi się z tobą publicznie, bo jesteś brzydki. Znienawidził to słowo.

Jego mieszkanie nie stanowiło tajemnicy, którą próbował ukryć. To nie był rodzaj kryjówki, której strzegł przed światem zewnętrznym. Takie miejsce znajdowało się gdzie indziej.

Kolekcje były wspomnieniem, lubił gromadzić rzeczy, cieszył się z narzędzi, które stanowiły pamiątkę po jego ofiarach. Przechowywał je tak samo, jak jego dziadek, w roztworze formaliny. Śmierdziało do tego stopnia, że trudno było ukryć ten

skarb. Zastanawiał się, co zrobił Drouber ze swoim spadkiem, co się z tym stało po jego śmierci.

T-A-K.

Doceniał ojca. Był głównie wart, ale go doceniał, bo był... taki sam jak on. Drouber nie potrzebował syna, miał swój świat nauki, który go z jakiegoś powodu pozbawił nienaturalnych bodźców, i zaprzestał przemocy. Ale ignorancja miała swoje granice. Wystarczyło kilka spotkań, a Ryglewicz odkrył jego tajemnice. Śmiał się z Milewskiego i jego prób napisania biografii ojca. Ani ten nieogarnięty życiowo chłopak, ani odbiorcy jego książki, która pewnie nigdy nie ujrzy światła dziennego, nie byli gotowi na tę prawdę.

T-I-K.

Pamiętnik dziadka, jego encyklopedia. Potrzebował go, chciał znowu dotknąć i spalić. Nikt inny nie powinien mieć do tego dostępu. NIKT! Popełnił błąd. Tak – Ryglewicz też się mylił. To była wina Antona, zasranego Antona, który jeszcze pożałuje tego rozlanego fałszu i tchórzostwa. I cóż Danielewicz bez niego zrobi? Gdzie znajdzie drugiego tak oddanego człowieka?

T-A-K.

Plan Danielewicza był prawie idealny. Nie wystarczyło mieć ludzi, trzeba było mieć jeszcze tupet, aby delegować na nich winę oraz pewność, że nikt go nie zdradzi. Plan był prawie idealny, bo miał słaby punkt – rodzinę, dotąd stojącą z boku, niepoinformowaną. A jedno nieporozumienie rodziło kolejne. U_45G wiedział, jak to wykorzystać, uczył się od najlepszego – Ryglewicza.

T-I-K.

Czas zwolnił, Tomasz oddychał powoli, oszczędzał powietrze. Myślał o bliskich, w sumie to tylko o matce, bo nikogo innego nie

miał. Co się udało? Co mógł zrobić lepiej? Czego nie zdążył zobaczyć lub odkryć?

Spokój. Niczego innego w tej chwili nie oczekiwał. I chciał zobaczyć się z Hałyckim. Danielewicza pozostawiał Lamie – Ryglewicz był już w tej chwili zbyt słaby, aby go zniszczyć.

– Dzień dobry. – Usłyszał kobiecy głos. Już wiedział, że to nie pielęgniarka, te bały się go na tyle, że nie odzywały się słowem. Otworzył oczy. Widział przed sobą cień, musiał przyzwycząić wzrok do jasności. – Nie wiesz, kim jestem, prawda? – zapytała.

– Już cię gdzieś widziałem. – Próbował sobie przypomnieć. Po chwili go oświeciło. Oczywiście, że na tamtych zdjęciach.

– Jestem... – zaczęła, ale zaraz jej przerwał.

– Edyta Kotarska. – Nie miał zbyt wiele sił, ale poczuł chwilowy przypływ energii. Miał tylko nadzieję, że wkrótce nie przyjdzie Bardach i nie wstrzyknie mu kolejnych psychotropów.

– Chciałam porozmawiać. – Widać, że nie wiedziała, jak się zachować. Usiadła na krześle, ale dość daleko od Ryglewicza. Zaplotła ręce.

– I nawet wiem o czym. – Nie wiedział, czy się uśmiecha. Nawet to przychodziło mu z trudnością. Ale cieszył się, że do niego przyszła. Tak bardzo była mu w tej chwili potrzebna.

* * *

– Idziesz z nami na piwo? – zapytała Kasia, kumpela Dagi ze studiów.

– Nie mogę... – powiedziała, pośpiesznie zbiegając po schodach.

– Co się dzieje? Nie przejmuj się tą dwójką, każdy już dostał.

– Muszę lecieć. Bawcie się dobrze!

Dagmara zapomniała parasolki w szatni. Powinna ją nosić ze sobą, przynajmniej miałyby ją teraz w pogotowiu i deszcz nie byłby

jej straszny. Ale i tak wyglądała już kiepsko.

Kiedy szła rano na uczelnię, zobaczyła go. Darek stał na przystanku. Nie odezwała się do niego nawet słowem, był dla niej niewidzialny. On też nie podchodził bliżej, ale czuła na swojej szyi jego wzrok. Wsiadł za nią do tramwaju, wciąż zachowywał dystans. Miał na sobie służbowy mundur, więc przyciągał uwagę. Próbowwała skontaktować się z tatą i Szymonem, ale żaden z nich nie odbierał. Czuła się zagrożona. Całe zajęcia przesiedziała jak na szpilkach. Nawet się nie spostrzegła, gdy doktor prowadzący ćwiczenia wpisał jej kolejną dwójkę. Teraz się tym nie przejmowała.

Nie wiedziała, gdzie iść. W domu nikogo nie było, nie chciała być tam sama, nie wiedziała, do czego może posunąć się Nogała. Wyjście ze znajomymi na piwo też nie wchodziło w grę. Nie miała na to nastroju, wciąż myślałaby tylko o nim.

Obróciła się. Akurat zaczął padać rześisty deszcz. Jej włosy nadawały się do wykręcenia, a kurtka przeciwdeszczowa była tanim ortalionem z polarem, który oblepiał jej ciało, a to nie było zbyt przyjemne.

Zobaczyła go. Zastanawiała się, jak to się ma do jego pracy, w końcu powinien być teraz na komendzie. Jeszcze raz wykręciła numer do ojca. Nawet nie było sygnału. Uznała, że najlepiej będzie pojechać do Milewskiego. Zresztą było to w tę samą stronę, co do jej domu. Czuła jego zapach, był coraz bliżej. Ta obrzydliwa woda kolońska, która kojarzyła się jej, nie wiedzieć czemu, z czasami PRL-u, kiedy mężczyźni wylewali na siebie coś, co podobno miało mieć miły w odczuciu zapach.

Pamiętała ten dzień, kiedy poznała Nogałę. Był to jeden z pierwszych dni jej praktyki na komendzie. Chyba był jednym z najmłodszych, nie wliczając w to jej. Powiedział, że wysłali go

tam za karę, ale nie przyznał się do tego, co zrobił. Minął pierwszy tydzień, potem drugi, a on tam wciąż był, widocznie się zadomowił.

Praktyka dobiegała już końca. Był to czas, kiedy spędzała z Milewskim coraz więcej czasu. Po tym, jak pomogła Szymonowi przetransportować kolekcje schowane w mieszkaniu Droubera, mieli własny sekret, który ich zbliżył. Historia nie należała do zbyt romantycznych, Daga, jako marzycielka i idealistka, wolałaby inne scenariusze, ale liczył się moment. Wtedy niepostrzeżenie do gry włączył się Nogała. Wiedział o Milewskim, cały czas powtarzał, że Dagmara nie może z nim być. Zwykle słowa zamieniły się w groźby. Darek zaczął wysyłać do niej SMS-y. Czego chciał? Daga miała uzasadnione obawy. Nie potrafiła racjonalnie wyjaśnić zachowania Nogały, było w nim coś przerażającego, co ją paraliżowało. Tak bardzo chciała, aby ten horror się skończył. Dlaczego to musiało spotkać właśnie ją? Czy naprawdę nie dostrzegła jej wielkiego tyłka i małych piersi? Przecież musiał mieć ku temu jakiś powód.

Weszła do sklepu. Wiedziała, że to i tak nie uwolni jej od Nogały. Potrzebowała cukru, sięgnęła po batoniki. W takich chwilach nie martwiła się o kalorie. Najgorsze koszmary właśnie się spełniały. Nie było jej do śmiechu, ale zaczęła nerwowo chichotać. Trzęsła się ze strachu. Nawet Kraków wydawał się jakiś opustoszały. Argument, że to przez deszcz, nie wydawał się jej jedynym słusznym.

Widziała, jak z papierosem w ręku stoi przez wyjściem ze sklepu.

– Jest tu jakieś tylne wyjście? – zapytała szeptem ekspedientkę, która zaśmiała się, błędnie sądząc, że to jakiś kiepski żart.

Nogała się obrócił, ich wzrok się spotkał. Wytrzymała tylko

chwile. Wzięła resztę i zamaszycie wyszła na zewnątrz.

Zatrzymała się dopiero na rynku. Jej prześladowca wciąż szedł kilka metrów za nią. Doszła do wniosku, że musi to zakończyć, a to miejsce wydawało się jej bardziej bezpieczne niż osiedle, które o tej porze było kompletnie wyludnione. Stała na wysokości „Głowy”, jak nazywano coś w stylu pomnika, który postawiono po stronie ratusza. Gdyby nie była taką ignorantką sztuki, może by się zainteresowała, czym faktycznie to „coś” było. Pięćdziesiąt metrów dalej mieścił się posterunek policji, ale mogła się domyślać, że raczej tam pomocy nie uzyska, tym bardziej że Nogała był w mundurze.

– Czego chcesz?! – krzyknęła do niego.

Odgarnęła mokre włosy, które przysłoniły jej widok. Deszcz nie ustawał, a wielkie krople odbijały się od nawierzchni rynku. W zasięgu wzroku zauważyła tylko pojedyncze osoby, które w biegu uciekały gdzieś przed ulewą.

– Kochanie. – Sposób, w jaki się odezwał, pozbawił ją wątpliwości, że ma do czynienia z kimś normalnym.

– Nie jestem twoim kochaniem!

– Ależ nie przejmuj się. Dobrze rozumiem twoje obawy.

Stał trzy metry dalej, uśmiechał się do niej i patrzył prosto w oczy. W dodatku z jakim uwielbieniem...

– Czego chcesz? – zapytała, nie kryjąc złości.

Jakiś student właśnie przeszedł obok i spojrzał na nią jak na nawiedzoną. W końcu krzyczała na policjanta.

– Kochanie – powtórzył. Zrobił krok w jej stronę, wyciągając do przodu rękę. Dokładnie tak, jakby chciał się przytulić.

Włożyła rękę do torebki. Próbowwała wyczuć palcami gaz pieprzowy, który znalazła ostatnio w garażu ojca. Nie miała pojęcia, czy jeszcze działa, nie miała zamiaru go używać. Chodziło

tylko o poczucie bezpieczeństwa.

– Odsuń się! – Momentalnie się cofnęła.

– Dlaczego się mnie boisz? – Jego głos był tak spokojny, nie potrafiła już tego znieść.

– Odczep się! Już mam tego naprawdę dość!

– Kocham cię. – Nie brzmiało to dla niej naturalnie. Nie wiedziała, co się dzieje. Pokręciła przecząco głową. – Ty też mnie kochasz, ale niepotrzebnie bronisz się przed tym uczuciem.

– Jestem z Szymonem! – Musiała to skończyć. Chciała uciec, biec ile tylko ma sił, ale to i tak nic by nie zmieniło. Koniec musiał nastąpić tu i teraz, bo inaczej nigdy nie uda się jej od niego uwolnić.

– Już ci mówiłem. Nie jest ciebie wart. – W jednej chwili spowaźniał.

– Pozwól, że sama ocenię. Nie chcę cię już widzieć. Odejdź, bo...

– Bo co? Znowu naślesz na mnie ojca? – Wskazał na zaczerwienienie pod prawym okiem. Podszedł do niej, a ona nie potrafiła się ruszyć. Była sparalizowana. Kurczowo trzymała w ręce gaz. – Ale nie przejmuj się. Nie wziąłem tego do siebie. Chyba od początku nie przypadłem mu do gustu. Pamiętasz tamto spotkanie, gdy wyśmiał moje rumieńce? – Zaśmiał się. Czyste szaleństwo. – Rozumiem, że to wszystko wynika z uczuć. Naprawdę rozumiem. Też nie potrafię nad nimi zapanować.

– Pomyliłeś się co do mnie! Nigdy nie będę twoja! – Widziała po jego stronie coraz większą irytację za każdym razem, gdy negowała to wyimaginowane uczucie.

– A co? Wolisz oddać się jemu? Wystarczy, że włoży ci tam palce i jesteś jego?

– Słucham?! – Zabrakło jej słów. Dotknął jej dłoni. – Puść mnie! – krzyknęła.

Nie posłuchał.

– Myślałaś, że pozwolę ci na tę dziecinadę?! – Czuła na szyi jego oddech. Złapał ją za przedramię, próbowała się wyrwać, ale tylko wzmocnił uścisk. – Muszę cię chronić, kochanie. Nie mógłbym pozwolić na to, żeby coś ci się stało.

– Jesteś chory! – krzyknęła. – Zostaw mnie!

– Albo wtedy, gdy popuścił z wrażenia na twój widok i próbował to ukryć, wycierając się w twoje prześcieradło. Naprawdę zasłużyłaś na kogoś lepszego.

Rozejrzała się w panice. Nogała musiał ją obserwować. Nie mogła czuć się bezpiecznie nawet we własnym pokoju. Nie widziała innego wyjaśnienia. A przecież zasunęła rolety. Więc jak?

– Co mam zrobić, abyś w końcu dał mi spokój?

– Nie będę rozpamiętywać przeszłości. Każdy popełnia błędy. Chcę być z tobą, z nikim innym. Wiem, że czujesz to, co ja. Po prostu niech się dzieje. O Milewskiego się nie martw. Nie wymagam, abyś się z nim jeszcze spotykała. Z przyjemnością przekażę mu, że nie chcesz go znać. Nie będę przecież mówił, że z nim zrywasz. Nie mogłaś z nim być, skoro byliśmy przez cały czas razem. Coś ci się pomyliło.

– Masz rację. – Zmieniła ton głosu, co w tych okolicznościach nie było łatwe.

– Cieszę się, że w końcu to rozumiesz. – Znowu zaczął się uśmiechać. Wyciągnął język i oblizał swoje wargi. Obrzydlistwo. – Pozwól się dotknąć. Od tak dawna tego pragnę.

Już nie przejmowała się deszczem. Czas jakby się zatrzymał. Zmusiła się do uśmiechu. Nogała objął ją w talii. Zamknął oczy i zbliżył się, jakby chciał ją pocałować. W tym momencie wyciągnęła gaz pieprzowy. Czuła jego nieświeży oddech, chciało się jej wymiotować. Odkasznęła. Spostrzegł, że coś jest nie tak,

i otworzył oczy. Na to czekała. Pstryknęła gazem.

– Kurwa! – przekląła.

Nacisnęła jeszcze raz. Nie działał. Pieprzony gaz, kurwa, nie działał. Mogła upewnić się wcześniej. Nogała spostrzegł, co się dzieje.

– Kochanie – powiedział. Poczowała jego mocniejszy uścisk. Złapał ją za kurtkę i przyciągnął jeszcze bardziej. Otarł się, czuła jego przyrodzenie. Zaczęła płakać.

– Zostaw mnie. – Starła się wyrwać. Z całych sił. Ale on tylko się śmiał.

– Nie mogę tego dłużej tolerować.

– Zostaw ją! – usłyszała znajomy głos.

Ktoś biegł od strony Szewskiej. To był Milewski. Widziała furię wymalowaną na jego twarzy. Wszystko było kwestią sekund. Nogała odepchnął Dagę z taką siłą, że przewróciła się na ziemię. Widziała, jak ręka Nogały wędruje w stronę kabury.

– Nie! – krzyknęła.

Ale Milewski był szybszy. Nie zatrzymując się, rzucił się na Nogałę i przyparł go do muru, trzymając łokieć na jego szyi. Z komisariatu wybiegła dwójka policjantów, nagle pojawiło się więcej przechodniów. Widziała satysfakcję w oczach Nogały, kiedy zakładał Milewskiemu kajdanki. Wbrew pozorom czuła się teraz bardziej bezpieczna. Jej niepokój budził tylko wyraz twarzy Szymona. On jeszcze nie rozumiał. Daga będzie musiała się przyznać, że go okłamała, a bała się, że granice jego wyrozumiałości zostały już przekroczone.

– Zadzwońcie po mojego ojca – powiedziała.

* * *

– Proszę odejść. Teraz ja z nim rozmawiam. – Kotarska

spojrzała na pielęgniarza, który od pięciu minut próbował się jej pozbyć z oddziału szpitalnego.

– Musimy podać leki. Więzień musi być izolowany. Nie jestem upoważniony, aby tutaj kogokolwiek wpuszczać.

– Więc proszę zawiadomić dyrektora, do tej pory nie zamierzam się stąd ruszać.

– Nie może pani... – Wyglądało na to, że Bardach dostał szczegółowe instrukcje.

– Wyrzuci mnie pan? – Nie zamierzała odpuścić. Dość długo walczyła sama z sobą, aby tutaj przyjść.

– Jeśli nie pozostawi mi pani innego wyjścia...

W końcu odszedł. Kotarska miała przynajmniej dziesięć minut, zanim pielęgniarzowi uda się znaleźć Zbigniewa Masnego, dyrektora szpitala na Montelupich. Areszt stanowił osobną placówkę, przylegał do niej szpital, którego ordynatorem Oddziału Psychiatrii Sądowej był Bartosz Hałycki, ale osobą decyzyjną w tym miejscu był właśnie Masny, który sprawował kierownictwo zupełnie niezależnie od niej. Jak sprawdziła, dyrektor został wezwany do jednej z zatrzymanych, która przebywała na oddziale kobiecym aresztu położonego po drugiej stronie. Zyskała trochę czasu.

– Do rzeczy – zwróciła się w stronę Ryglewicza.

Nie sądziła, że jego stan jest aż tak poważny. Oddychał płytko, jego policzki stały się wklęsłe, tylko podkreśliły kości twarzy. Zgodnie z tym, co było w aktach, Ryglewicz miał dwadzieścia sześć lat, a jego siwe włosy były rzadkie, tylko pojedyncze kosmyki.

– Muszę poznać prawdę.

Miał zamknięte oczy. Nie wiedziała, czy ją słyszy. Bała się zbliżyć bardziej, ale nie dał jej wyboru, bo mówił tak cicho, że nic nie mogła usłyszeć.

– Musisz mi pomóc. Obiecuj.

– Czego ode mnie chcesz? – Dostrzegła, że jego ręce są związane i przypięte do łóżka. Nie wyglądał na takiego, który stanowiłby jakiegokolwiek zagrożenie.

– Przekazać wiadomość...

– Dlaczego chciałeś mnie zabić? – Spojrzała na zegarek. Nie знаła się z Masnym na tyle, aby móc przewidzieć jego reakcję.

– Nie – powiedział. – To Hałycki...

Zakrztusił się śliną. Widziała, jak się dusi. Pomogła mu przechylić się do przodu. W momencie, gdy dotknęła jego pleców, otworzył oczy. Były załzawione. Spojrzenie człowieka, który wie, że umiera.

– Co z nim? – Wcześniej zastanawiała się, co od niego usłyszy. Stanowił jedyne możliwe rozwiązanie jej amnezji. Była zależna od wiedzy mordercy.

– Nie bez powodu jest M.

Nie wiedziała, co to znaczy.

– Co z tym Hałyckim? – Poczula wewnętrzne ciepło.

Ręce Ryglewicza uniosły się, a liny się naprężyły. Miał ręce dziecka, bardzo szczupłe i wątle.

– Musisz mnie do niego zaprowadzić. Mam mu coś do powiedzenia. – Kotarska przytaknęła, ale nie wiedziała, co tak naprawdę ma na myśli.

– Powiedz mi tylko, jak to było.

– Groicki... – Już wcześniej przypuszczała, że usłyszy to nazwisko. – Miał odciągnąć twoją uwagę od Danielewicza, ale dobrałaś się do Hałyckiego, zaczęłaś węszyć podstęp i trzeba cię było uciszyć.

– Zabić, tak?

– Półśrodki są nieskuteczne. Ale to był jego pomysł. Różycki tak

bardzo cię chciał.

– Wyjaśnij mi to. – Nachyliła się jeszcze bardziej.

Mówił powoli. Męczył się, z trudem przełykał ślinę.

– Włączyłaś się do gry, kazałem mu się trzymać bliżej ciebie.

– Przecież znaliśmy się od dzieciństwa!

– Nigdy nie mieliście tak dobrego kontaktu jak wtedy.

– Więc dlaczego chciał mnie zabić?

– Danielewicz musiał pomóc Hałyckiemu, więc kazał mi się ciebie pozbyć. A taka klasyfikacja była tego warta.

– Powiesz o tym policji? – Spojrzała na niego. Żałowała, że nie wzięła dyktafonu. Przyjmowała jego słowa bezkrytycznie. Nie miała powodu, aby być wobec niego nieufna, Ryglewicz nie miał już nic do stracenia.

– Przekaż to Lamie. Będzie wiedział...

Nie wiedziała o kim mówi.

– Kto to?

– Goczałka... Na komendzie.

Kolejne zdziwienie. Nie rozumiała, dlaczego Ryglewicz nazwał Goczałkę Lamą ani skąd się znali. To były zwykłe słowa, żadnych dowodów. Pewnie zbyłby ją tak samo, jak ostatnio.

– Więc dlaczego sam mnie nie zabiłeś?

Była rozczarowana, że chodziło jedynie o to, że zaszkoziła Hałyckiemu, a Anton wydał odpowiednie dyspozycje. Dla Ryglewicza to była bardziej kwestia wyzwania, choć dalej nie rozumiała tej jego całej klasyfikacji. Gdyby sam podjął się tego zadania, zapewne już by jej nie było na tym świecie.

– Bo on mnie o to poprosił.

– On, czyli kto?

Usłyszała trzask zamykanych drzwi. Obróciła się, ale nikogo nie dostrzegła. Nie obawiała się Hałyckiego, nie spodziewała się go

tutaj ujrzeć. Miała go w tej chwili tylko za fałszywego pozoranta, zaczynała rozumieć jego obecność tuż po tym, jak wybudziła się ze śpiączki. Chciał się upewnić, czy na pewno nic mu nie grozi.

– Różycki chciał mieć cię tylko dla siebie. Miał na twoim punkcie obsesję.

– Nazwałeś go błaznem...

Tak jakby Ryglewiczowi przybyło sił. Uśmiechał się.

– Czego może brakować informatykowi? Kasy na pewno nie, skoro pracował w Insight. – Znow nie wiedziała, o czym mówi. Chyba sądził, że jest bardziej wprowadzona w temat, a nawet się nigdy nie zastanawiała, co Różycki robił na co dzień. – Zwykła ludzka słabość.

– Dlatego właśnie chciał mnie zabić?

– Przyjaciel do pocieszenia? Już na zawsze razem. Prosty wniosek, śmierć jest najprostszym rozwiązaniem.

Używał skrótów myślowych, ale Edyta zrozumiała.

– Co o mnie mówił?

Znała się z Różyckim od podstawówki, potem mieli kontakt również w trakcie studiów. Gdy wyszła za mąż, widywali się sporadycznie, choć i tak był jedną z niewielu osób, z którymi udało jej się utrzymać kontakt. Nigdy nic ich nie łączyło, wolała, aby ta znajomość nie przerodziła się w jakiś romans, pilnowała tego, choć Różycki nigdy nie dał po sobie poznać, że mu na czymś więcej zależy.

– Miał twoje zdjęcia. Chciał ciebie i tylko ciebie.

Czy mogło być inne wyjaśnienie jej zajścia w ciążę? Skoro spędzali z sobą tyle czasu, a ona po tym, jak dowiedziała się, że Adam ją zdradził, mogła szukać wsparcia właśnie u niego, mogły stać się różne rzeczy. Czowała się zniesmaczona, że do tego doszło, było to sprzeczne z jej zasadami i wartościami.

– Co z Groickim? – Chciałaby, aby ta rozmowa wyglądała inaczej. Miała tak wiele pytań, ale czas działał na jej niekorzyść, wkrótce mogła zostać stąd wyprowadzona.

– Nie wiem – powiedział. – Spójrz na mnie... Hałycki.

– Tylko dlaczego akurat on?

Nie była pewna, czy usłyszał jej słowa. Jakby w jednej chwili zasnął, ale miał wciąż otwarte oczy. Miała pewne obawy, więc się nachyliła, aby sprawdzić, czy wciąż oddycha. Po chwili się ocknął.

– Weź kartkę. – Głos miał bardzo wątpliwy, mimo to brzmiało to jak rozkaz.

– Co tu się dzieje?!

Masny pojawił się w drzwiach. Bardach szedł krok za nim, wyglądał jak ochroniarz. Mrugnęła okiem do Ryglewicza. Zrozumiał, o co chodzi i zamknął powieki.

– Dzień dobry, panie dyrektorze – powiedziała na przywitanie. Nie dała po sobie znać, że się denerwuje.

– Pani Edyta! – Uśmiechnął się. – Jak dawno pani nie widziałem!

– Przepraszam, że wcześniej się z panem nie konsultowałam, ale dowiedziałam się, że Ryglewicz został przeniesiony w nocy i chciałam się upewnić, czy wszystko w porządku.

– A skąd te wątpliwości? – Masny nie wyglądał na rozżłoszczonego, raczej poirytowanego, że musiał tutaj w tej chwili przychodzić. Pamiętała go jako ekscentrycznego żartownisia.

– Chodzi mi o przypadek Groickiego, pamięta pan? Nie chciałabym powtórki z rozrywki.

– Ależ przecież on był psychicznie chory! – Masny wziął do ręki kartę Ryglewicza.

Bardach miał tępy wyraz twarzy, patrzył gniewnie na Kotarską, jakby tylko czekał, aż dyrektor mu powie, żeby ją stąd

wyrzucić.

– Z jakiegoś powodu zajmował się nim Bartosz Hałycki, a śmierć Groickiego jak dotąd nie została wyjaśniona.

Masny spojrzał na nią porozumiewawczo.

– Uznam, że tego nie słyszałem.

Przytaknęła. Tylko upewniła się, że również tutaj Hałycki ma swoją autonomię. Mogła się domyśleć.

– Proszę mieć na niego oko. Byłoby szkoda, gdyby nastąpił jakiś błąd co do podanych leków. Trudno by się było z tego wytłumaczyć, prawda? – Nie zamierzała zostawić na ordynatorze suchej nitki. Dowiedziała się od Ryglewicza tego, czego chciała, albo przynajmniej części. Nawet jakby ją w tej chwili stąd wyrzucili, nie miała tutaj już po co wracać. Zastanowiła się, aż w końcu dodała: – Nie wiem, kiedy się znowu zobaczymy. Wygląda na to, że czeka mnie urlop macierzyński.

Spojrzała na Ryglewicza. Była ciekawa jego reakcji. Ciekawiło ją, czy wie, co się stało, czy Różycki jednak mu coś powiedział. Oczy miał zamknięte. Może się Kotarskiej wydawało, ale jakby pokiwał głową.

– To wspaniała nowina! – Masny klasnął i przytulił się do niej, choć nastąpiło to dopiero po chwili zawahania.

– Proszę zawiadomić Hałyckiego, że tutaj byłam. – Skierowała te słowa do Bardacha. Nie wiedziała, dlaczego Ryglewicz chciał się spotkać z ordynatorem, ale była mu winna to, by to umożliwić.

– Niech się pani nie naraża – szepnął jej do ucha Masny.

W oczach podstarzałego doktora spostrzegła strach. Pokiwała głową. Nie zamierzała. Zgodnie z zaleceniem Ryglewicza postanowiła to zostawić Goczałce.

4

– Nic ci nie jest? – zapytała.

Siedziała skulona w kącie. Było jej zimno, ale nie miała odwagi narzekać. Szymon nic nie odpowiedział, zresztą Daga nie spodziewała się niczego innego. Siedzieli w celi, w tak zwanym „Białym Domku” na Lubiczu. Często mijała to miejsce, jadąc na uczelnię, ale nigdy nie spodziewała się, że sama tu trafi. Była jedna dobra strona – niedaleko mieściła się komenda wojewódzka policji. Minęła już godzina, od kiedy wrzucili ich do celi. Funkcjonariusze wiedzieli, że jest córką legendarnego Lamy, więc obchodzili się z nią dość delikatnie. Gorzej miał Milewski, którym zajął się sam Nogała. Z nosa ściekała mu krew, a nadgarstki był odarte do samej krwi. Jej tata jeszcze nie przyjechał. Trochę się martwiła, nie była pewna, czy go faktycznie poinformowali, ale w końcu i tak musiał się dowiedzieć. Czuła obrzydzenie do policji, służby i tych ludzi, którzy, mając mundur, myśleli, że mogą wszystko.

Domyślała się, o czym może w tej chwili myśleć Milewski. Z boku wyglądało to tak, jakby go zdradzała. Nogała przytulał się do niej, głaskał po twarzy. Dopiero gdy Szymon zaczął biec w jej stronę, gwałtownie się odsunęła. Nawet scena, kiedy Darek ją odepchnął i upadła na ziemię, mogła wyglądać, jakby chciał przyjąć na siebie ten cios i ją ochronić przed napastnikiem. Potrzebny był czas. Musiała się uspokoić.

Wiedziała, że ojciec jej uwierzy w bieg zdarzeń, pytanie tylko, czy miało to jakiegokolwiek znaczenie dla samej policji. Nie było

tutaj mowy o znikomej szkodliwości czynu. Milewski uderzył funkcjonariusza publicznego. To nie była ani obrona konieczna, ani stan wyższej konieczności. Wiedział, że ma do czynienia z policjantem, Nogała miał na sobie mundur, który można było z dala rozpoznać. Daga natomiast chciała użyć gazu pieprzowego. Bezskutecznie, ale jednak.

– Przepraszam – powiedziała.

Nie ruszała się z miejsca. Szymon stał przy kratkach, widziała jego ręce, które mocno zacisnął na stali. W celi obok siedział jakiś Cygan. Nietrudno było rozpoznać. Świadczył o tym nie tylko wygląd. Gdy go tutaj wprowadzali, cały czas tylko powtarzał, żeby uważali na jego akordeon. Starła się być tolerancyjna, ale było coś takiego, jakby migająca pomarańczowa lampka, za każdym razem, gdy ktoś podejrzany pojawiał się w jej otoczeniu. Kontrolne sprawdzenie, czy ma zapiętą torebkę i czy nikt nie wyciągnął jej z kieszeni komórki.

Co chwilę słyszała jakieś kroki i krzyki. Dobrze, że trafili tu za dnia. Nie miałyby nerwów, żeby spędzić w takim miejscu całą noc.

– Zawiadomcie mojego ojca! – krzyknęła i podbiegła do krat, gdy tylko zobaczyła jakiegoś policjanta.

Domyślała się, co mogą o niej sądzić. Rozpieszczona córeczka tatusia, która myśli, że wszystko jej wolno.

– Jest teraz nieosiągalny – odparł mundurowy, nie krył satysfakcji.

– Odejdź – rzucił do policjanta Darek Nogała, który nagle pojawił się w korytarzu. – Ojciec przyszedł na inspekcję. Ucieszyłby się, gdyby podano mu dobrą kawę. – Szyderczo się uśmiechnął.

Szymon gniewnie prychnął na jego widok. Kotłowało się w nim.

– Nabraliście pokory? – powiedział Nogała, gdy pozbył się

świadków. – Postanowiłem wrzucić was do jednej celi, abyście mieli okazję sobie wszystko wyjaśnić, ale po waszych minach widzę, że niemrawo wam idzie.

Wiedziała, że Milewski się nie odezwie. Nogała był jej jedyną szansą, aby mu wytłumaczyć, w jakiej faktycznie znalazła się sytuacji.

– Czujesz się pewniej z ojcem za plecami, hm? – Starła się patrzeć mu w oczy. Teraz, kiedy obok niej był Szymon, a od Darka oddzielały ją solidne kraty, czuła się mimo wszystko bezpieczniej. Nie знаła historii ojca Nogały, kim był, co tutaj robił. Wyglądało na to, że dlatego był taki pewny siebie.

– Prawie tak samo, jak ty. Zawsze sądziłem, że jesteśmy do siebie podobni. – Znowu usłyszała prychnięcie Milewskiego. Nogała miał coś irytującego w głosie. W innych okolicznościach powiedziałyby, że Darek jest gejem, któremu wycięto migdałki. –

Nie wiem, jak wyjaśnić to, co zrobiłaś. Nie musisz się przede mną bronić, przecież jestem od tego, żeby cię chronić. Ale zrozumiałem aluzję. Chciałaś sobie wcześniej wszystko wyjaśnić z nim...

Nie wymówił nazwiska Milewskiego. Spojrzał w jego stronę tylko na chwilę, pewnie ucierpiała jego duma, że Szymon zdołał go obezwładnić. Ubrany w mundur i z bronią w ręku, czuł się ważny. Daga wołała nie myśleć, co mogłoby się stać, gdyby Nogała zdążył wyciągnąć broń.

– To o to chodzi? Upolowałeś ofiarę, a myślisz, że jako policjant wszystko możesz? – Musiała cofnąć się w czasie, aby Milewski zrozumiał, co się stało. – Nie chciałam, żeby komukolwiek coś się stało. Właśnie dlatego, że wciąż nie dawałeś mi spokoju, groziłeś, że zrobisz krzywdę, zerwałam kontakt z Szymonem. To ty na niego napadłeś, prawda? – Nie dała mu dojść do słowa. – Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale wiem, że miałeś dostęp do mojej komórki

i podglądałeś mnie w domu. Ja nie jestem twoim kochaniem! – krzyknęła. Emocje wzięły górę. – Jestem zakładnikiem twoich chorych fantazji, które nigdy się nie spełnią!

– Milcz, suko! – Aż się cofnęła, widząc jego atak furii. Miała nadzieję, że ktoś to usłyszał, poza nią i Szymonem. – Takie właśnie jesteście! Nie potraficie docenić uczucia miłości. Liczy się tylko przygoda! Zadowalacie się ciotami, bo wolicie mieć władzę! To ja jestem tym, kogo potrzebujesz. Wyciągam do ciebie rękę, ale to już ostatni raz. Moja cierpliwość ma swoje granice. Nie chcę mieć dziwki.

Chciała na niego napluć, ale Milewski stanął na jej drodze i przytrzymał. To tylko jeszcze bardziej rozeźliło Nogałę.

– Chcesz wiedzieć, jak to zrobiłem? Dokładnie tak jak ty, kiedy pomagałaś swojemu ojcu. Zainstalowałaś program szpiegowski w komputerze Bronieckiego. Dostęp do wiadomości, otwieranych stron i kamerki internetowej. – Rozpierała go duma. – Sądziłem, że gdy zostawiłaś laptop w komendzie, dałaś mi tym samym znak. To twoja zasługa, pokazałaś mi możliwość. W końcu mogłem zadbać o twoje bezpieczeństwo.

Próbowała się wyrwać, ale Szymon trzymał ją mocno. Poczula, że Milewski zmienił uścisk, przytulił ją. To było przyjemne uczucie, odwdzięczyła się tym samym. Spojrzała na niego, a on tylko pokiwał głową. Poznał jej tajemnicę, którą skrywała tylko dla jego dobra, a sytuacja sprzed dwóch tygodni była podyktowana jedynie strachem przed Nogałą. Pocałowali się. Poczula smak krwi. Nie przejmowała się. Zapomniała, że są w celi, a tuż obok na wszystko patrzy rozwścieczony Nogała. Cieszyła się, że Szymon zrozumiał jej przesłanie.

– Co za kutas! – usłyszała wrzask Darka.

Tylko się uśmiechnęła. Sekundę później zastygła. Nogała

zawołał dyżurnego, żeby otworzył mu celę.

– Co tu się dzieje?

Pojawił się starszy mężczyzna. Miał na sobie zwykły garnitur, trochę za duży. W dodatku staroświecki krawat, który kolorystycznie pasował może do jego szarych oczu, ale na pewno nie do brązowej marynarki. Był to niepodważalnie ktoś ważniejszy od Nogały, bo Darek stanął na baczność. Zabrakło mu jednak odwagi, aby coś odpowiedzieć.

– W co ty się bawisz, synu? – Daga zrozumiała. – Naprawdę nie masz nic ważniejszego do roboty? To córka Goczałki. – Wyglądało na to, że jest dobrze poinformowany. – Co przeskrobali?

– Napadł na mnie. – Darek wskazał na Milewskiego. Brzmiał jak dziecko, któremu skradziono figurkę Kena.

– Dałeś się takiemu chudzielcowi? Na twoim miejscu bym się wstydził – zganił go. – Wypuść ich i nie mazgaj się.

– Ale tato!

– Nie będę cię uczyć, jak się robi dzieci i ratować twojego szanownego dupska!

Daga nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Darek został zganiony przez ojca. Scena wyglądała tak, jakby jego ojciec zaraz miał wziąć pas i ukarać za złe zachowanie.

– Tylko dlatego, że to córka Goczałki?! – Względem ojca zachowywał się już zdecydowanie inaczej aniżeli kilka sekund wcześniej.

– Nie! Dlatego, że zapomniałeś o priorytetach. Sądziłeś, że kamery cię nie widzą albo że możesz sobie olewać służbę, aby umawiać się z nastolatką?!

– Myślałem...

– Nie przyjechałem tutaj, aby dawać ci fory! Jak nie chcesz się tłumaczyć, to ich wypuść, bo ja na pewno nie będę cię ratować.

Chwilę później Daga i Szymon wyszli z celi. Trzymali się za ręce. Skinęła porozumiewawczo do Nogały seniora. Gdyby nie przyszedł w porę, mogło dojść do tragedii. Wiedziała, że to nie jest jeszcze koniec historii, a cała sytuacja tylko dała im chwilę spokoju. Darek z pewnością będzie chciał się odegrać, a na ten moment trzeba było się przygotować. Przynajmniej miała po swojej stronie Szymona.

– Mój tata o tym wie? – zapytała Nogałę seniora, na Darka nawet nie chciała spoglądać.

– Jest w sądzie, nie mógł przyjechać, więc postanowiłem sam sprawdzić, co się dzieje.

– Dziękuję...

– Żeby było jasne... – Pokręcił głową i przyjął surową minę. – ...przyjechałem ratować syna, nie was. Lepiej się pilnujcie.

– Do zobaczenia! – powiedział Darek Nogała, machając do nich ręką.

– Mam nadzieję, że już nigdy się nie spotkamy – odparła Daga, choć wiedziała, że to tylko kwestia czasu.

* * *

– A co to jest? – Fiona położyła się obok niego i zaglądała przez ramię.

– Tajemnica państwowa. – Samson oderwał wzrok od dokumentacji, którą właśnie czytał.

– A co to takiego?

– Coś, co jest bardzo ściśle tajne. Gdybyś to przeczytała, musiałabyś zachować tylko dla siebie.

– Nie potrafię czytać. – Zrobiła naburmuszoną minkę. Była taka pocieszna.

– Twoje szczęście – powiedział.

Powoli dopiero do niego docierało, z czym miał do czynienia. Wiedział, że początki nie będą łatwe, ale lektura przysłanych przez Jansena wydruków przerosła wszystkie jego obawy.

– Dlaczego to czytasz?

– Kazali mi. – To może nie było do końca prawdą, ale czuł się zobligowany.

W poniedziałek miał pojawić się w Insight po raz pierwszy w roli szefa. Jeszcze się nie stresował. Był w zbyt wielkim szoku, gdy zaczął się coraz bardziej zagłębiać w tajniki funkcjonowania tego miejsca.

– A będziesz potrafił zachować to tylko dla siebie?

– Masz sekrety? – zapytał Fionę, która położyła ręce na jego kolanie i podparła głowę.

– Tylko jeden, ale nikt o nim nie może się dowiedzieć.

– Nikomu bym nie powiedział. – Uśmiechnął się. Był zaintrygowany, jakie to sekrety może mieć jego sześciolatnia córka.

– Obiecujesz? – Spojrzała na niego podejrzliwie. Dawała mu tyle radości.

Położył rękę na sercu.

– Obiecuję, królewno.

– Bo wiesz, jak jest – zaczęła. Zachowywała się tak, jakby miała co najmniej osiemnaście lat. – Jest w mojej grupie taki Denis. Każda o nim tylko plotkuje, ale żadna bliżej nie podejrze.

– Dlaczego ci się tak podoba? – Nie pamiętał, jak to było, kiedy sam był w przedszkolu, ale raczej nie uganiał się za dziewczynami.

– Ma super ciuchy. Dzisiaj miał taką fajną bluzę z kapturem. Jego tata przyjeżdża po niego samochodem bez dachu.

– No ale co to za sekret?

– No bo... – Zawahała się przez chwilę i przewróciła oczami. –

Mnie też się podoba, ale nie powiedziałam o tym żadnej koleżance. Udaję, że nie robi na mnie wrażenia.

Maks zaczął się śmiać. Królewna miała sześć lat, a zaczynała zachowywać się jak każda dorosła kobieta. Pamiętał historię z Magdą. Była dla niego wyjątkowa właśnie dlatego, że wydawała się taka niedostępna. Zupełnie nie zwracała na niego uwagi, a jemu z każdym kolejnym spotkaniem coraz bardziej zależało.

Nie życzył Fionie żadnego rozpieszczonego chłopczyka z bogatego domu, ale przecież to było dopiero przedszkole, więc raczej nie martwił się na zapas. Sytuacja zacznie się komplikować, jak trochę podrośnie i będzie wychodzić na dyskoteki.

– Nie przejmuj się. Dobrze robisz!

– Ale to tajemnica... – Próbowała sobie przypomnieć. – ...ta, o której mówiłeś.

– Państwowa?

– Tak! Tajemnica bardzo państwowa.

– Obiecuję! Zamykam usta na klucz!

– Zjemy dzisiaj coś dobrego? – zapytała królewna.

Wracała z przedszkola przed drugą. Dzisiaj Maks nigdzie nie wychodził, próbował się rozeznać we wszystkich papierach, które do niego trafiły. Magda trochę przesadziła, mówiąc, że kurier chce wypakować zawartość całej furgonetki. Mowa była o czterdziestu pudłach, w każdym mieściło się sześć segregatorów. W większości były to kwestie techniczne, które sprawiały Samsonowi najwięcej problemu, bo nie rozumiał tego języka. Powinien się tego nauczyć, ale przydałby się jakiś przewodnik albo osoba, która zna się na rzeczy.

Główny problem sprawiało mu odnalezienie się w przesłanym materiale. Pudełka nie były w żaden sposób opisane, a segregatory miały jakieś oznaczenia, ale wciąż nie potrafił się w nich rozeznać.

Nie było chronologii, raczej poszczególne działy. Zastanawiał się, jaki cel przyświecał Jansenowi, że wysłał akurat to. Domyślał się, że w samym Insight jest tego zdecydowanie więcej.

Do tej pory najciekawszą lekturą okazała się dokumentacja na temat samego procesu tworzenia Insight. Trzymał właśnie w ręce jedną z pierwszych korespondencji pomiędzy ówczesnym premierem a Frederikiem. Zostało również wymienione nazwisko Markiewicza, który miał stanowić główny trzon komunikacji. Zostały określone priorytety, początkowo było to zintegrowanie systemu monitoringu i stworzenie komputera o odpowiedniej mocy, który udźwignąłby ciężar tych danych. Następnie pojawiły się lewe przetargi na budowę „Centrum Zarządzania Komunikacją Miasta Kraków”. Największe zdziwienie wzbudziło u Maksa zamówienie Jansena na kwotę bagatela dwóch miliardów dolarów w firmie Apple. Trudno mu było określić, czym to właściwie było, pojedyncze numery seryjne nic mu nie mówiły, ale było to zapewne zaplecze techniczne Spizarni.

Dłuższą chwilę spędził, czytając zebrane raporty odnoszące się do potencjalnych pracowników Insight. Zostały sporządzone zapewne przez ABW, były dość szczegółowe. Z listy Jansena, na której figurowało ponad pięćset nazwisk, zostało wybranych sto dwadzieścia osób, z czego siedemdziesiąt procent stanowili informatycy, a pozostali to technicy oraz ochroniarze. Co ciekawe, w ciągu ostatnich dziesięciu lat działalności nie było żadnej rotacji.

Dodatkowo zostali zwerbowani hakerzy. Maks jeszcze nie zrozumiał, czym faktycznie się zajmowali. Rozmieszczeni byli po całym świecie, na liście widniało tylko jedno polsko brzmiące nazwisko. Samsona ciekawiło, co się teraz z nimi działo, czy zdawali sobie sprawę, że Jansen już nie jest ich pracodawcą.

Natknął się na nazwiska Zamoyskiego i Komickiego. Tylko

w pierwszym przypadku w raporcie pojawił się Anton, który z Komickim nawiązał kontakt kilka lat później. Trudno było oczekiwać od Jansena, że dostrzeże w związku z tym jakieś niebezpieczeństwo. Maks zastanawiał się, jak będzie wyglądała jego praca w Insight. Pierwszym krokiem było na pewno zdobycie zaufania pracowników. Większość kojarzyła Samsona, ale nie dał się poznać z dobrej strony, a raczej jako wewnętrzny szpieg na usługach rządu. Minusem był niewątpliwie brak kompetencji.

Insight normalnie funkcjonowało nawet teraz, pomimo braku obecności Jansena. Zakładając, że każdy miał swoją sferę prywatności w postaci Królestwa, możliwe, że fakt, kto faktycznie zarządza tą instytucją, miał dla nich drugorzędne znaczenie.

Miał plan spędzić nad tym dokumentami cały weekend. W tym przypadku nie obchodziło go marudzenie Magdy, która chyba nic nie rozumiała, a on już przestał starać się jej to wytłumaczyć. Po raz pierwszy cieszył się, że znowu jej nie było, przynajmniej mu nie przeszkadzała. Przez jakiś czas myślał, czy nie przenieść się na najbliższe dni do swojej kawalerki, gdzie mieszkał po tym, jak żona wyrzuciła go z domu, ale ostatecznie przeważało dobro Fiony.

Czytał, ale czuł się coraz bardziej otumaniony. Jeszcze nie dotarł do kwestii wykonywania zadań zleconych przez rząd, tego był chyba ciekaw najbardziej, ale z każdą kolejną przewertowaną stroną zaczynał odczuwać pewną presję.

Zastanawiał się, jak bardzo Insight okaże się czasochłonne. Z tego, co zauważył, Jansen poświęcił temu wszystko, ale Maks nie brał pod uwagę takiej opcji. Nie potrafił poświęcić się pracy w stu procentach, nie było to możliwe, dopóki jego królowna wciąż potrzebowała opieki. Obiecał sobie, że cokolwiek by się działo, nie zatraci się w obowiązkach.

Była jeszcze kwestia samego Jansena. Samson podzielił się

z Markiewiczem swoimi podejrzeniami, Tadeusz również nie wierzył w to, że Frederic odda swoją posiadłość. Teoretycznie już to zrobił, ale skoro miał aż tak wielki wpływ na Janiszewskiego, mógł to zrobić inaczej – albo przynajmniej zaproponować inną osobę na to stanowisko, nastawioną do niego mniej negatywnie aniżeli Maks.

– Co byś powiedziała na racuchy z jabłkami? – zaproponował. Frytki były dobre, ale niezbyt zdrowe, bo tłuste, choć i tak zamienił frytkownicę na piekarnik.

– A potrafisz?

– A skąd to niedowierzanie? Jasne, że potrafię! Ale musisz mi pomóc.

Pamiętał czasy, kiedy jego ojciec robił wieczorami swój przysmak, były to właśnie racuchy. Skoro on potrafił, to dlaczego Maks miałby sobie nie poradzić.

Skończyło się, niestety, na tym, że zamówił pizzę, bo ciasto, które przygotował, nadawało się... no właśnie, nie nadawało się do niczego. Przynajmniej mógł sobie pozwolić na zamówienie jedzenia z dostawą do domu. Premier przystał na jego prośbę i zgodził się, aby przelać pieniądze z góry. Wciąż był w szoku po tym, jak zobaczył przelaną sumę. Na razie nie martwił się urzędem skarbowym. Jansenowi dali spokój przez dziesięć lat, więc dlaczego w jego przypadku miałyby być inaczej.

Przez chwilę zastanawiał się, czy dać znać Goczałce, który jeszcze nie wiedział o tym, że Samson przejął berło po Jansenie. Nie mieli ze sobą kontaktu od kilku dni, choć Maks sądził, że będą utrzymywać bardziej regularne relacje po tym, jak wspólnie schwytali Ryglewicza.

– Smakuje? – zapytał, choć po minie królowny mógł rozpoznać, że nie miała ochoty na nic tak bardzo jak właśnie na to.

– Dobrze! Zostawiamy coś mamie?

Nie odpowiedział, bo właśnie wykręcił numer Goczałki. Już chciał się wyłączyć, gdy nagle usłyszał jego głos.

– Słucham?

– Oj, chyba nie w porę.

Lama wydawał się rozdrażniony.

– Właśnie czekam na wyrok. Za pół godziny będę świadkiem widowiska, gdzie Danielewicz wychodzi wolno, a my głównie na niego mamy.

– Widowisko? – Maks zdziwił się, że Goczałka użył właśnie takiego słowa.

– Lepiej bym tego nie wyreżyserował!

* * *

Siedział obok Gellerta. Dzisiaj Lama nie zamienił z nim jeszcze ani jednego słowa, trudno było ocenić, kto kogo unikał bardziej. Sędzia Biskup właśnie usiadł za ławą. Danielewicz, w porównaniu do pozostałych dwóch oskarżonych, siedział najbliżej wyjścia. Przed nim był Pinas, jego prawnik, którego Lama miał już okazję wcześniej poznać. W tym wszystkim zapomnieli właśnie o nim. Może Miłosz nie miałby sobie aż tak wiele do zarzucenia, gdyby miał poczucie, że policja zrobiła wszystko, aby zapobiec sytuacji, kiedy osoba odpowiedzialna za śmierć dziewięciu osób oraz handel narkotykami wychodzi na wolność. A przecież mieli tak wiele czasu, Danielewicz tylko grał im na nosie.

Po przeciwnej stronie siedział Dędek, który przed przerwą zaproponował wymierzenie Danielewiczowi kary roku pozbawienia wolności. Nietrudno było się domyślić, że Biskup, mając przed sobą Antona, który zaprezentował się jako człowiek z krystaliczną reputacją, a nie zostało dowiedzione nic innego ponad pomocnictwo

w rozboju, nie będzie miał innej możliwości niż wydać wyrok w zawieszeniu.

Miłosz spodziewał się więcej osób związanych ze środowiskiem mediów, jednak poza dwiema dziewczynami z notatnikami nie spostrzegł nikogo innego. Bardzo go to ucieszyło. Na szczęście dziennikarze nie dostrzegli powiązania ze sprawą Ryglewicza, która budziła zdecydowanie więcej emocji. Nie było również żony Danielewicza, czemu Lama się nie dziwił.

Przed południem nic wielkiego się nie działo. Głównym punktem była kwestia Olejesiuka, bezpośredniego sprawcy, którego zeznania sprzed trzech tygodni wzbudziły wątpliwości. Danielewicz ani razu nie zabrał głosu, a Dędek musiał przyznać, że podtrzymuje dotychczasowe wnioski.

Drzwi uchyliły się z łoskotem, ktoś zapomniał ich naoliwić. Goczałka poczuł zimny przeciąg na nogach, odwrócił się i dostrzegł Dromek, która niezbyt wytwornie ukloniła się Biskupowi i usiadła w rzędzie tuż za Miłoszem. Sędzia zmierzył stażystkę srogim wzrokiem, ale nie skomentował. Alicja Dromek miała na sobie krótką spódniczkę, Lama się cieszył, że Daga nie nosi tak bardzo odważnych kreacji.

Może to nie brzmiało zbyt dobrze, ale spędził z Alicją całą ostatnią noc, w dodatku za przyzwoleniem żony. Po rozmowie z Beskim na komendzie, a następnie zaskoczeniu, jakiego doznał, gdy Dromek zidentyfikowała zapachy z miejsca zabójstwa Strudzień, postanowił ją częściowo wprowadzić w swoje śledztwo. Komendant miał rację, Lama zaczynał już się w tym wszystkim gubić, zbyt długo to trwało, a sam był w pewnym transie, byle za wszelką cenę dopaść Danielewicza. Faktycznie potrzebował nowego, jasnego spojrzenia. Nie miał wcześniej o Dromek dobrego zdania, a fakt, że cały czas żuła gumę, jakoś nie pozwalał mu jej

postrzegać poważnie. Wczoraj wieczorem postawił na nią, biorąc na siebie ryzyko, że nie będzie zadowolony z tego kroku. Musiał najpierw wytłumaczyć się Irenie. Przyjście do domu z dwudziestopięciolatką nie wyglądało za dobrze. Tym bardziej że Dromek w kategoriach urody była niczego sobie. Ostatecznie również Irena ją polubiła, zaprosiła wszystkich na kolację, obecna była także jego córka i Milewski. Widział, że Szymon chciał z nim porozmawiać, może czuł się zawiedziony, że Miłosz znalazł sobie osobę, która w pewnym sensie go zastąpiła, ale Goczałka miał nadzieję, że jeszcze to wszystko sobie wyjaśnią, jak tylko sytuacja się rozwiąże.

– Psss... – usłyszał syk Alicji. Uszczypnęła go w ramię. – Co się dzieje, prezesie?

To nie był dobry moment, aby powtarzać jej, że nie jest żadnym prezesem. Przystawił palec wskazujący do ust, żeby była cicho. Już miał okazję przekonać się, że Dromek ma niewyparzony język, a nie chciał, żeby Biskup ich wyprosił.

Ostatnia noc nie przyniosła żadnych rozwiązań. Dromek czytała przekazane zapiski, Lama prosił ją, aby szukała punktów zaczepienia. Po dwóch godzinach snu Miłosz obudził się ze świadomością, że to już koniec pościgu za Antonem. Nadzieja powróciła kilka minut temu, kiedy zadzwonił do niego Maks Samson i poinformował, że został nowym szefem Insight. W tej chwili Broniecki nie stanowił dla niego jedyne rozwiązanie, co go zarazem cieszyło, bo wiedział, że z Maksem będzie się łatwiej dogadać. Chodziło o równe szanse, nic więcej. Skoro Danielewiczowi udało się wyciągnąć stamtąd informacje o Goczałce, które imponowały swoją szczegółowością, powinna być możliwość, aby otrzymać podobną dokumentację dotyczącą Antona.

Mimo że Dromek nie wniosła nic nowego do sprawy, sposób jej oddziaływania na otoczenie wciąż Miłosza zaskakiwał. Była taka beztroska i bezpośrednia. Nie przejmowała się tym, że palnie jakąś gafę albo zaśmieje się, wydając dźwięk, który mógł świadczyć o tym, że w poprzednim wcieleniu była świnia. Goczałka tego potrzebował, zbyt wiele w tym wszystkim było nerwów i stresu, które w niczym nie pomagały.

Kostek wciąż był zatrzymany, dzisiaj po południu miało się okazać, czy sędzia przychyli się do wniosku prokuratora o tymczasowym aresztowaniu, czy też go zwolni. W grę wchodziła również kaucja. Do tej pory nie udało się zidentyfikować pochodzenia odchodów lamy. Zgodnie z tym, co powiedzieli specjaliści, należałoby zbadać każde kolejne zwierzę i porównać DNA. To była dosłownie śmierdząca robota, w dodatku bardzo kosztowna. Sam Kostek nie miał nic wspólnego z hodowlami. W Krakowie było zoo, ale stamtąd raczej takich odchodów nie zabrał. Ktoś musiał się naprawdę postarać, aby przygotować dla Goczałki taką niespodziankę.

Uwaga Miłosza skupiła się na figurce, która stała przed Danielewiczem. Anton przez cały czas na nią patrzył, jakby w jednej chwili miała się rozpaść. Figurka przedstawiała Temidę, boginię sprawiedliwości, trzymającą w jednej ręce miecz, a w drugiej wagę. Lama zastanawiał się, w jaki sposób znalazła się w jego rękach i dlaczego Danielewicz zabrał ją ze sobą. Tego typu przedmiot mógł posłużyć również jako broń, ale widocznie ochrona nie zauważyła w tym nic niebezpiecznego, a policjant pilnujący Antona pewnie nawet jej nie dostrzegł, bo był do tego stopnia znudzony sprawą, że całą uwagę skupiał na tym, aby nie zamykać oczu.

Biskup nakazał wszystkim wstać. Lama śledził wzrokiem

Danielewicza, który przez cały czas był bardzo spokojny, jakby tylko cierpliwość mogła mu w tej chwili zapewnić wolność.

– Wyrok w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej... – zaczął sędzia.

W pierwszej kolejności została wyczytana pozostała dwójka oskarżonych. Olejesiuk dostał cztery lata, z możliwością warunkowego zwolnienia po odbyciu połowy kary. Fejszar dwa lata w zawieszeniu, a też był oskarżony o pomocnictwo. Nie było zatem zdziwienia, gdy przy Danielewiczu Biskup przypisał identyczny wyrok.

Usłyszał jęk zawodu Jana, który chyba do samego końca wierzył, że coś się zmieni. Dędek siedział jak sparaliżowany, słuchając uzasadnienia. Wyrok nie był jeszcze prawomocny, prokurator zapewne wnieśli apelację, ale Danielewicz będzie już wtedy daleko, a podstaw do wydania zakazu opuszczania kraju nie było.

Lama wciąż patrzył na Antona. Spodziewał się jakichś emocji, uśmiechu albo okrzyku radości. Pinas obrócił się w stronę swojego klienta, zadowolony z rezultatu, coś do niego powiedział, ale wyglądało na to, że nie uzyskał odpowiedzi.

Biskup wyszedł z sali, a policja wyprowadziła Danielewicza, tym razem już bez kajdanek. Ich wzrok się spotkał. Dwaj przeciwnicy.

– Temida – powiedział Lama na tyle głośno, aby Anton usłyszał.

– Bogini sprawiedliwości.

Danielewicz się obrócił. Wciąż w tym wszystkim brakowało emocji. Może Miłosz miał zbyt daleko idące oczekiwania, ale w końcu tak długo na tę wolność czekał. Czy to była dalej gra, skoro jego przedstawienie dobiegło końca? Przygotował się na bis?

– Pfff. – Od razu rozpoznał to pełne pogardy prychnięcie

Dromek.

– Chętnie bym pogadał, ale muszę zabrać swoje rzeczy z Montelupich. Mam nadzieję, że wybaczycie...

Gellert chciał coś odpowiedzieć, ale Miłosz podniósł rękę, żeby go uciszyć. Nie chciał mieć tutaj powtórki z sytuacji na lotnisku, gdzie zmanipulowany przez Antona Broniecki zabił Komickiego. A przecież Danielewicz tylko na to czekał, próbował ich wkurzyć.

– Frajer. – Tym razem odezwała się Dromek.

Lama miał cichą nadzieję, że Anton tego nie usłyszał albo zignoruje, ten jednak znowu się obrócił.

– Szanowna panienka wybaczy, ale chyba się nie znamy.

– To nie miejsce na pogaduszki, idziemy! – krzyknął jeden z policjantów, popychając Danielewicza do przodu.

– Daj spokój! – powiedział Goczałka do Alicji, która znowu chciała się wyrwać.

– Przecież to jasne, że on stoi za tym wszystkim!

– To gra – odparł. Spostrzegł, że Gellert patrzy na niego z pogardą.

– W takim razie jakie są zasady? – Dromek była zawiedziona rezultatem rozprawy.

– Nie ma ich... Musimy go dopaść i koniec zabawy.

– Gorzej, jak on dopadnie nas – podsumował Gellert.

– Jaki miałby mieć w tym interes? – Alicja spojrzała na nich pytająco.

Miłosz zrozumiał ten komentarz.

– Właśnie taki jest urok gry bez zasad. Nie wszystko musi mieć sens...

Część piąta

NIC DO STRACENIA

12 marca

Prawdziwy wirtuoz nie oczekuje oklasków, największe trofeum stanowi cisza.

1

Wszystko go bolało. Lepiej byłoby się wyspać w swoim mieszkaniu, jednocześnie zdążyć stęsknić się za tą atmosferą w garażu Goczałki. W fotelu obok spała jeszcze Alicja Dromek, którą poznał kilka dni temu na kolacji, kiedy tata Dagi przyprowadził ją ze sobą. Tak naprawdę Szymon miał okazję przekonać się, kim jest, dopiero wczoraj wieczorem, gdy Goczałka nieoczekiwanie do niego zadzwonił i zapytał, czy chce pomóc. Odpowiedź mogła być tylko jedna.

Dromek jeszcze pochrapywała, co w przypadku dziewczyny nie było niczym słodkim, ale idealnie wpasowywało się w jej osobowość. Milewski ją polubił, była w podobnym wieku jak on, ale stanowiła zupełnie inny świat, oparty na bezpośredniości. Nieważne, co powiedziała, niejednokrotnie były to słowa, które on sam zatrzymałby tylko dla siebie, wszystko było pozbawione wstydu. Jak sama wytłumaczyła, skoro już zabrała głos, niekoniecznie z pomyślunkiem, nie mogła cofnąć czasu, co najwyżej przyznać się do błędu.

Przez jakiś czas obecna była również Daga, która jednak wróciła wcześniej do pokoju, bo bolał ją brzuch. Nawet się ucieszył, bo spostrzegł, że nie potrafi się przy niej odpowiednio skupić, tym bardziej jak siedziała na jego kolanach.

Goczałka leżał oparty o biurko. Jego kręgosłup był skrzywiony, Szymon aż współczuł mu bólu, który będzie zapewne odczuwać, jak tylko się przebudzi.

Poszedł spać około czwartej, przynajmniej o tej porze ostatni

raz zanotował godzinę. W powietrzu czuć było jeszcze dym z papierosów. Okazało się, że Dromek nie zamierza zrywać z tym nałogiem, a w związku z tym, że na dworze padało, Goczałka zlitował się i pozwolił jej palić w środku, sam częstując się co jakiś czas.

Milewski potrzebował dłuższej chwili, aby zaznajomić się z tym, co udało im się ustalić do tej pory. Nie marnowali czasu, od ostatniego razu, gdy Szymon towarzyszył Goczałce przy wyjaśnianiu sprawy, doszło bardzo wiele nowych dowodów, głównym były na pewno ludzkie narządy znalezione w mieszkaniu Ryglewicza. Szymon zrozumiał również cel, w jakim tata Dagi zaprosił do współpracy Dromek. Patrzyła na każdy kolejny przypadek, nie nastawiając się z góry do całej sytuacji, co prowadziło do uniknięcia pułapki schematycznego myślenia i sprowadzania wszystkiego do Antona i Ryglewicza. Czytając akta, które przekazał jej Goczałka, Dromek znalazła notatki Milewskiego i zapytała, dlaczego policja nie zainteresowała się matką Ryglewicza. Odpowiedź była prosta: śledczy zapomnieli o tej ważnej kwestii, a Szymon przysiągł jej, że nie zdradzi sam z siebie jej danych osobowych.

Mogłoby się wydawać, że spędzanie całego dnia w garażu z człowiekiem, dla którego ta sprawa stała się prawie całym życiem, a teraz, kiedy Danielewicz był już na wolności, a Ryglewicz bliski śmierci, stanowiła raczej punkt honoru, nie jest wymarżonym planem zagospodarowania wolnego czasu. Mimo to Dromek przyjęła tę ofertę, a Szymon nie czekał na nic tak bardzo, jak właśnie na telefon od Miłosza. To było niesamowite doświadczenie, coś innego niż łamigłówka w tanim tabloidzie, raczej puzzle informacji, przy których bawiło się niegrzeczne dziecko i część została zgubiona.

Analizowali kwestię pamiętnika Reglewitscha, był to dla Milewskiego jeden z najważniejszych punktów, również w aspekcie książki. Mieli do dyspozycji wiele notatek sporządzonych przez Ryglewicza, a znając sposób kodowania, mogli uzyskać potrzebne wiadomości. To dawało Szymonowi również motywację, aby doprowadzić do końca swój projekt. Po tym, jak przyłapał mamę, która czytała jego zapiski i podzieliła się komentarzem, że to się jednak da czytać, nabrał więcej pewności siebie. Rozmawiał też z Dagmarą.

No właśnie. Daga. Czuł złość, że nie powiedziała mu o wszystkim wcześniej. Próbował zrozumieć cel tych kłamstw. Skoro ten cały Nogała nie dawał jej spokoju, śledził, podglądał i groził, mógł się tylko domyślać, co czuła. Teraz na sytuację sprzed dwóch tygodni patrzył z trochę innej perspektywy. W końcu wyjaśnił się fakt jego pobicia. Zakładając, że Nogała miał możliwość podsłuchiwania jej rozmów, a zakazał jej umawiania się z Szymonem, przygotował na niego pułapkę. Wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby nie zainterweniował na czas. Miał tamtego dnia jakieś dziwne obawy, Daga nie odbierała od niego telefonów, dlatego poszedł do centrum i czekał na nią przed uczelnią. Nie spostrzegła go, zachowywała się inaczej niż zwykle, jakby się czegoś bała. Postanowił za nią iść, po chwili uświadomił sobie, że podąża za nią jakiś mężczyzna, miał na sobie policyjny mundur. Na początku sądził, że to przypadek, ale zobaczył ich na rynku. Rozmawiali, wyglądało to trochę na sprzeczkę pary. Kiedy dostrzegł, że Daga próbuje obezwładnić go gazem pieprzowym, postanowił się ujawnić.

Był pełen niepokoju, zrozumiał, co się stało, dopiero w „Białym Domku”, gdzie zostali przewiezieni i umieszczeni w celi. Gdy już udało im się wrócić, Dagmara opowiedziała mu całą historię

stalkera, któremu nigdy nie dawała żadnych nadziei. Problem był tylko w nim samym, a fakt, że był policjantem i miał plecy w postaci wpływowego ojca, dał mu narzędzia, aby pilnować Dagi i wiedzieć, co dokładnie robi.

Dagmara obiecała Szymonowi, że od tej pory, gdyby Nogała znowu się pojawił, od razu da znać. Zmieniła numer telefonu, sformatowała komputer. Posprzątała również pokój, aby upewnić się, że nie ma żadnych kamer lub podsłuchów. Jak twierdziła, od tamtej pory nigdzie go nie widziała.

Goczałka podziękował Milewskiemu za interwencję, wiedział już wcześniej o sprawie, ale sądził, że Nogała dał już spokój. Szymon poznał historię tego policjanta. Okazało się, że jego ojciec jest kimś ważnym w stołecznej policji, a teraz jest typowany, żeby objąć Wydział Dochodzeniowo-Śledczy Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie. Można było próbować wnosić jakieś skargi, w końcu stalker nie mógł być bezkarny, ale Daga nalegała, aby się w to nie wdawać, bo można było to jeszcze bardziej skomplikować.

Dromek coś mówiła przez sen. Była przykryta zwykłym kocem, a było dość zimno, tym bardziej w garażu, gdzie nie było żadnego ogrzewania. Szymon już nie miał ochoty spać, wiedział, że wkrótce nadejdzie kryzys zmęczenia, bo pod tym względem był jak małe dziecko i trzy godziny nie gwarantowały mu odpoczynku.

Omiótł wzrokiem „ścianę płaczu”, czyli miejsce nad biurkiem, gdzie Goczałka zamieszczał wszystkie informacje o sprawie. Ta nazwa przyjęła się bezkrytycznie, choć gdy teraz o tym myślał, nie była do końca trafna. Na pewno przydałoby się tutaj zrobić porządek, ustawić wszystko chronologicznie i odznaczyć kwestie, które były już rozwiązane. Rozumiał jednak Lamę, który był wzrokowcem i potrafił bez problemu odnaleźć się w tym chaosie. Dokładnie wiedział, gdzie się co znajduje i czego w danej chwili

potrzebuje.

Kiedys oglądał film, gdzie główny bohater był analitykiem, tworzył w swojej pracy jakieś schematy, łączył kolejne elementy nitkami albo zaznaczał kluczowe punkty pinezkami. Tutaj takich rzeczy nie było, może dlatego, że w tym przypadku scenariusz pisało samo życie i nie musiał być koloryzowany na potrzeby filmowych produkcji. Największe wrażenie robiły zdjęcia ofiar Ryglewicza, przede wszystkim zwisająca z drzewa Daria Gotecka. Chwilę po zrobieniu tej fotografii jej ciało strawił ogień. Morderca miał na tyle odwagi, że podszedł blisko miejsca, gdzie wcześniej zakopał ciała trzech swoich ofiar. Nie bał się policji, analizując jego poczynania, można by dojść do wniosku, że wcale się nie krył, po prostu realizował plan, który nie zakładał bliskiego kontaktu z mundurowymi.

Podszedł do motocykla, jeszcze nigdy nie miał okazji zobaczyć, co tak naprawdę kryło się pod zakurzoną płachtą. Przypadkiem trącił jakiś metalowy przedmiot, który z łoskotem upadł na ziemię.

– Co się...? – wyrwał się ze snu Goczałka.

Dromek też otworzyła oczy i rozejrzała się, jakby zdziwiona, że znajduje się w garażu.

– Obraz! – krzyknęła Alicja.

Szymon i Lama spojrzeli na nią pytająco, ale znów zamknęła oczy. Milewski tylko czekał na kolejne chrapnięcie, aby upewnić się, że na powrót zasnęła, okazało się jednak, że zamknięte powieki to tylko część jej procesu myślowego.

– Ty o tym wczoraj mówiłeś. – Zerwała się z fotela i wycelowała palec wskazujący w stronę Szymona. Goczałka zaświecił małą biurową lampkę, założył okulary i obrócił się w ich stronę. –

Wspomniałeś, że Ryglewicz podarował swojemu ojcu obraz. Miało to miejsce w styczniu, kilka dni przed śmiercią Droubera...

– Już to wyjaśniliśmy – przerwał jej Lama. – Doktor był schorowany, nie ma sensu dopatrywać się w jego zgonie podejrzanych okoliczności. Obraz też został sprawdzony, to tylko kopia na zwykłym płótnie z ramą.

– Wiem, wiem! Ale nie o to mi chodzi. Skąd Ryglewicz wziął ten obraz?

Szymon wzruszył ramionami. Był to dla niego dość trudny temat. Podzielił się wczoraj wieczorem swoimi spostrzeżeniami, które były efektem rozmowy z matką o jego ojcu. To nie było tak, jak mówiła Działoszyn, że Drouber w ogóle nie interesował się synem, a Ryglewicz nienawidził ojca i zerwał z nim kontakt. Świadczyły o tym poszczególne gesty, między innymi wręczenie obrazu. Próbował znaleźć wzmianki o nim w dokumentach, które posiadał, ale bardziej zastanawiał go fakt, jaki właściwie miał w tym cel, czy wiedział, że Drouber umiera, i dlaczego wysłał właśnie ten obraz, a nie inny.

Sytuacja przypominała trochę zegar. Do Szymona nie przemawiała wersja zdarzeń przedstawiona przez Miłosza, że Ryglewicz wymienił się z Danielewiczem, dając mu na przechowanie pamiętnik Reglewitscha. To przecież nie były czasy kamienia łupanego, gdzie wszystko polegało na transakcjach wymiennych, bo pojęcie „pieniądz” nie było jeszcze znane. Lama wydawał się przekonany co do swoich racji, a Milewski nie znalazł jeszcze innego wyjaśnienia. Nie negował, że Danielewicz ma pamiętnik, ale sama wymiana na zegar, który podobno miał symbolizować czas, brzmiała dla niego jak dziecinada. Nawet mając dziesięć lat, nie uwierzyłby w taką bajkę.

Zgodnie z tym, co Szymon powiedział matce, nie zamierzał szukać swojego ojca. Rozumiał, że musiała mieć jakiś powód, że nawet nie powiedziała mu o swojej ciąży. Potrzebował aż

dwudziestu pięciu lat, aby usłyszeć to z jej ust. Cieszył się, że ma Dagę, a Goczałka znów zaangażował go w sprawę. Do tego jeszcze książka, nad którą spędził ostatnie dni. To wszystko pozwalało mu nie myśleć o ojcu.

– Nie mamy nawet możliwości, aby ustalić jego pochodzenie. – Lama nakrył się kocem, widocznie też zmarzł w trakcie snu.

– Ale nie zastanawialiście się, skąd to wziął? Mógł go dać w ramach podziękowania. Zgadzam się. Powody możemy mnożyć, prawdy dowiedzieć się możemy tylko od samego Ryglewicza, ewentualnie Drouber wstanie z grobu, ale nie liczyłabym na taki korzystny zbieg okoliczności. – Szymon nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać. W dodatku wszystko mówiła z taką powagą, jakby naprawdę brała takie rozwiązanie pod uwagę. – Więc dowiedzmy się przynajmniej, skąd to wziął. Już mniejsza o Ryglewicza, który pewnie nie doczeka procesu, ale może ma to związek z Antonem!

– Kawa dobrze wam zrobi. – Do garażu wkroczyła pani Irena, niosąc w rękach tackę. Oczy Szymona zaświeciły się, gdy zobaczył talerz kanapek. Spostrzegł, że Lama zaniemówił na widok żony. – No co? Słyszałam wasze głosy, więc postanowiłam was ugościć.

Milewski chyba rozumiał. Mama Dagi skupiła się głównie na Dromek i jej przykrótkiej spódniczce. Jeżeli efektem ubocznym zazdrości miała być kawa, Szymon nie miał nic przeciwko, aby Alicja przebywała z nimi cały czas.

Było wpół do ósmej, nie było mowy o tym, aby wracać do spania.

– Jedyne sposoby, aby dopaść Danielewicza, to zacząć od jego pionków. Wybijając każdego kolejnego, osłabimy go, w końcu będziemy mieć możliwość, żeby dobrać się do niego – powiedział Goczałka, gdy jego żona już wyszła.

– Kostek jest w areszcie, na nikogo innego nic nie mamy. –

Dromek rzuciła się na kanapkę. Szymon poszedł w jej ślady, żeby starczyło również dla niego.

– Spokojnie, cierpliwości. Nie zrobimy nic, by wyprzedzić bieg zdarzeń.

– Ale Danielewicz ucieknie! – powiedziała Dromek z pełnymi ustami.

– Zaczynam mieć co do tego wątpliwości – odparł Lama. – Napij się kawy, bo się udusisz.

Szymon nie wiedział, co Goczałka ma na myśli. Anton wyszedł z więzienia dwa dni temu, w sobotę. Był pod obserwacją policji, do tej pory nie dostrzeżono żadnych sygnałów, aby gdzieś się wybierał. Milewski chciał zapytać Lamę, skąd wzięły się jego przypuszczenia, ale przeszkodził mu w tym sygnał telefonu. Tata Dagi odebrał komórkę, rozmowa była bardzo krótka.

– Muszę jechać na komendę. – Goczałka przygryzł dolną wargę. – Wygląda na to, że jeden pionek właśnie się podłożył.

– Nie powinnam jechać z panem? – zareagowała Dromek. – Fajnie byłoby pojechać na tym motorze.

Szymon też chciał się do czegoś przydać, a przede wszystkim dowiedzieć się, kim ten pionek był.

– Lepiej zjedz sobie kanapkę – skwitował Lama. Myślami był chyba w innym świecie.

Chwilę po wyjściu Goczałki Alicja skierowała wzrok na Milewskiego.

– Jedziemy? – zapytała.

Nie czekał długo, spróbował odpalić. Kluczyki były powieszony na gwoździu wbitym w ścianę. Nie znał się na motocyklach, nawet nie wiedział, co to za model. Na jednośladowie jechał wcześniej tylko raz i był to skuter Kopruckiego. O dziwo maszyna Lamy odpaliła.

– Ale jazda! – ekscytowała się Dromek.

Milewski nie wierzył w to, co się dzieje. Miał tylko nadzieję, że Daga nie widzi ich z okna, bo Alicja przytuliła się do niego mocno, co nie mogło wyglądać dobrze. Jechali na komendę starym motocyklem Goczałki. Pomysł był spontaniczny. Na razie się nie martwił, dopiero później będzie się zastanawiał, jak to wyjaśnić, co zapewne okaże się kłopotliwe.

* * *

Założył najlepszy garnitur, jaki miał. Do pracy w CBS niekoniecznie musiał ubierać się tak formalnie, więc nie przywykł. Marynarka była trochę przykrótka, co wynikało z faktu, że trochę mu się w ostatnim czasie przytyło. Teoretycznie nikt nie narzucił mu dress code'u, ale jego podejście determinował Jansen, który zawsze miał na sobie dobrze skrojony garnitur.

Dziś był jego pierwszy dzień w Insight. Stresował się. Założył koszulę pięć minut temu, ale już zdążyła przykleić się do jego spoconego ciała. Radził sobie ze stresem, lata służby w CBS zrobiły swoje, ale to było coś zupełnie innego. Nie miał raportów i szczegółowych instrukcji. Nikt nie przygotował go do tej misji. Jakie były niebezpieczeństwa? Głównym na pewno on sam. Nie czuł się kompetentny, a lektura przysyłanych przez Jansena dokumentów była tylko teorią, której w większości przypadków nie rozumiał.

Trzyście tysięcy trzysta czterdzieści pięć. Magiczna liczba nielegalnych podsłuchów monitorowanych w Insight jako zadanie zlecone rządowi i podległym placówkom. Nie miał szczegółowej listy osób, z zasady był to jedynie numer telefonu, ewentualnie adres. Niektóre sprawdził, ale widząc ulicę Wiejską w Warszawie, nawet nie było nad czym się zastanawiać. Mając tak zaawansowane narzędzia, wszystko było takie proste.

Goczałka naciskał na spotkanie, ale Maks musiał to odłożyć na przyszły tydzień. Poświęcił cały tydzień na przeglądanie tej niekończącej się liczby dokumentów. Techniczne aspekty funkcjonowania Insight go przerastały. Nie znał się na informatyce, zastanawiał się nawet, czy nie zapisać się na jakiś kurs, ale pewnie na niewiele by się to zdało, biorąc pod uwagę stopień zaawansowania technologii wykorzystywanych w firmie, którą miał kierować.

Jedną z ciekawostek, do których udało mu się dotrzeć, było to, że dach wyłożony jest kolektorami słonecznymi, które zapewniają energię dla całego budynku. Oprócz tego istniało osiem awaryjnych systemów zabezpieczenia energii. Nie mogło dojść do sytuacji, aby Insight został pozbawiony prądu. Jak się okazało, wszystkie firmy energetyczne, które doprowadzały w okolicy energię, zostały poinstruowane na okoliczność koniecznych w pobliżu prac przy liniach wysokiego napięcia.

Zszedł do salonu. Fiona siedziała już gotowa, aby jechać do przedszkola. Magda przeglądała jakiś magazyn dla pań, czekając przy mikrofalówce, aż śniadanie będzie zdatne do spożycia.

– Wypachniłeś się – skomentowała, gdy podszedł bliżej.

– Nie wiem, o której dzisiaj będę. Proszę, nie zostawiaj królewny z tą rozwydrzoną nastolatką. Przeraza mnie.

– Gdzie idziesz? – Od czasu jego ostatniej wizyty w Warszawie była pełna podejrzeń, ale on miał ważniejsze powody do zmartwień.

– Tajemnica państwowa – powiedziała królowna, widocznie ta fraza jej się spodobała.

– Co?! – Magda zdziwiła się, że Fiona w ogóle zna takie wyrazy.

– Tatusiu, telefon! – Córeczka wskazała na wibrującą komórkę.

– Tak, słucham? – Odszedł kilka kroków dalej.

Ostatnio większość rozmów przychodzących była z numerów zastrzeżonych. Ciekawe, z kim tym razem miał do czynienia.

– Witam, panie Maksymilianie. Jak nastrój?

– Eee – nie wiedział, co odpowiedzieć. – Przepraszam, ale z kim rozmawiam?

– Radosław Janiszewski przy telefonie.

Starał się powstrzymać śmiech. No tak, premier nie musi się przedstawiać. Tego się nie spodziewał. Dziwił się, że Janiszewski ma czas, aby się przejmować jego samopoczuciem.

– Dzień dobry, panie premierze. W czym mogę pomóc? – Nie zabrzmiało to zbyt poważnie.

– W niczym. Chciałem tylko dopilnować sprawy Insight. Czy wszystko idzie zgodnie z planem?

– Nowiński jeszcze się ze mną nie skontaktował.

– Wszystko w swoim czasie. – Maks słyszał w tle jakiś hałas, jakby odgłosy tłumu. Być może premier był w swoim gabinecie, a przed Kancelarią Premiera znowu trwał jakiś strajk, choć wczesna pora raczej na to nie wskazywała. – Przede wszystkim proszę się we wszystkim rozeznąć. Jansen obiecał przekazać panu jakieś potrzebne dokumenty, zrobił to?

– Tak. – Szkoda, że premier nie widział jego salonu. Może Janiszewski był przyzwyczajony do trochę większych pomieszczeń, ale kartony zajmowały prawie całą przestrzeń, co mogło robić wrażenie. – W trakcie lektury pojawiło się kilka wątpliwości, jak mógłbym się z nim skontaktować?

– Nie wiem – bez ogródek odparł premier. – Nowiński powinien trzymać rękę na pulsie. Proszę go zapytać.

– Chciałbym spotkać się również z panem. – Skorzystał z sytuacji. Nawet nie wiedziałby, jak się z nim skontaktować. Wykręcenie numeru do Kancelarii Premiera i poproszenie

o połączenie z Janiszewskim wydawało się dla niego trochę zbyt przyziemne.

– Proszę podać sekretarce terminy, na pewno coś się znajdzie – odpowiedział obojętnie.

– Czy będzie pan w najbliższym czasie w Krakowie? Chciałbym pokazać Insight. – Cały czas miał w głowie słowa Jansena. Skoro nie było mowy o żadnym planie likwidacji Insight, musiał pokazać Janiszewskiemu, czym to się faktycznie je.

– Nie rozmawiajmy o takich rzeczach przez telefon.

– Ale... – Premier po raz kolejny go zdziwił. Wcześniej wymawiał słowo „Insight”, nie przejmując się tego typu środkami bezpieczeństwa.

– Po prostu wdróż plan. Nowiński jest moim wysłannikiem, proszę informować go na bieżąco. Liczę, że obędzie się bez kłopotów.

Wymienili się grzecznościami i zakończyli rozmowę. Patrzył przez dłuższy czas na komórkę, wciąż nie potrafiąc wyjść ze zdziwienia, że przed chwilą rozmawiał z samym premierem, który zadzwonił do niego, jakby to było czymś normalnym. Może dla niego tak, ale Maks jeszcze nie był przyzwyczajony. Jeszcze bardziej się spocił. Nie mogły pomóc nawet potrójne dawki zaaplikowanego dezodorantu.

– Z kim rozmawiałeś? – zapytała podejrzliwie Magda.

– Z premierem...

– Sądzisz, że to jest zabawne? – Położyła ręce na biodrach i patrzyła na niego ze złością.

Zerknął na Fionę. To było wręcz niesamowite, jak niewiele potrzebowała jego żona, aby znaleźć pretekst do kolejnej kłótni.

– Nie mogę rozmawiać z premierem? – Ta sprzeczka nie była mu potrzebna do szczęścia. Nie teraz, najlepiej nigdy.

– Nie bądź śmieszny, nigdy w to nie uwierzę!

Gdyby znał jego numer, oddzwoniłby i dał jej słuchawkę, żeby mieć choć tyle satysfakcji. Ale pewnie też by się wkurzyła, że to przecież kompromitacja.

– To się nie uda, Magda. Tak dłużej się nie da! – Mrugnął do królowny, miał nadzieję, że nie rozumie tego, co się dzieje.

– Masz czelność rozmawiać z nią przy nas!

Znał ją. Widział, że była bliska histerycznego wybuchu. Mógł się wdać w dyskusję, wypomnieć jej ciągle wychodzenie, trwonienie pieniędzy, zostawianie Fiony bez opieki. Ale czemu miałyby to służyć? Już zrozumiał, na czym to polega. Wszystko było zależne od humoru Magdy, jakby stanowiła pępek świata.

– Potrafisz uprzykrzyć życie. Chodź, królowno. – Podał rękę Fionie. – Pojedziemy do przedszkola.

– Znów nastawiasz córkę przeciwko mnie? – Magda nie odpuszczała.

– Skończ! – uciął od razu. Jej łzy nie robiły już na nim wrażenia. Stanowiły jedynie jej instrument, mechanizm nacisku.

Mówiła coś, ale jej nie słuchał. Pośpiesznie założył Fionie buty i pomógł włożyć kurtkę. Magda stała w przejściu. Krzyczała. Próbowal się od tego odciąć, to była ostatnia rzecz, której w tym momencie potrzebował. Zostawił na wieczór dyskusję na temat rozwodu. Teraz, kiedy znów miał pracę, był spokojniejszy o władzę rodzicielską nad Fioną. W końcu chodziło tylko o pieniądze i prawnika, który odpowiednio przedstawi sądowi sytuację.

– Tatusiu... – wyrwała go z rozmyślań Fiona, gdy zmierzali w stronę samochodu. – Jakiś pan tu stoi.

Maks zmusił się do uśmiechu i pokiwał gościowi.

– Poznajesz wujka Tadka?

Samson umówił się tutaj z Markiewiczem. Chciał z nim

porozmawiać, zanim przekroczy próg Insight. W nikim innym nie miał takiego oparcia przez ostatnie dni, jak właśnie w nim. Oczywiście Janiszewski o tym nie wiedział, raczej nie byłby zadowolony.

– Ma brodę jak Mikołaj – ucieszyła się dziewczynka.

Markiewicz faktycznie zmienił się od czasu, gdy spotkali się po raz pierwszy. Brak pracy widocznie mu nie służył.

– Gotowy? – zapytał go Tadeusz.

Obaj się stresowali. Może to nie było zbyt trafne porównanie, ale Samson czuł się, jakby po raz kolejny tracił dziewictwo.

– Janiszewski do mnie dzwonił. Życzył powodzenia – odparł. Przynajmniej po kłótni z Magdą nie był już taki blady jak jeszcze parę minut temu.

– Widzisz jaki jesteś ważny? – Markiewicz poklepał go po ramieniu.

Maksowi wcale nie było do śmiechu. Już wiedział, że idea Insight może wygląda pięknie, ale w gruncie rzeczy to tylko świat kłamstwa i tajemnic, tym bardziej teraz, gdy do gry włączyła się polityka.

* * *

Czuł się w swoim domu jak intruz. Inaczej wyobrażał sobie swój powrót na wolność. Anton usiadł na starej kanapie. Miał widok na znienawidzony przez siebie stary telewizor i antyki po teściowej, a raczej od teściowej, bo ta jeszcze żyła. Tolerował to mieszkanie, bo wpisywało się w jego założenie stworzenia pozorów, ale nie chciał już tutaj dłużej zostawać. Sylwia siedziała na fotelu obok, w końcu przyjechała ze wsi, potrzebowała dwóch dni, aby przypomnieć sobie, że jej mąż jest już na wolności. Nie było romantycznych przywitaniań, uroczystych obiadów i spotkań

rodziny. Synowie zostali jeszcze na wsi, choć nie tego oczekiwał. Z aresztu wyszedł w sobotę, przekonał się, że w domu nikogo nie ma. Spotkał go zawód, tak długo czekał na spotkanie z Sylwią. Słyszał wcześniej od przyrodniego brata, że żona się niepokoi. Anton próbował się z nią skontaktować, ale nie odbierała telefonów. Wysłał po nią Opolskiego, a sam zajął się Africa Trade, bo sytuacja finansowa firmy w trakcie jego absencji uległa znacznemu pogorszeniu. Musiał również uspokajać swoich towarzyszy broni. Podobno policja wchodziła w każdą dziurę, byle tylko ich dopaść.

– Są jak penisy – powiedział wczoraj Zoń, jeden z jego bliskich współpracowników.

– Strzelają pustakami, nic na nas nie mają. Mam wszystko pod kontrolą. – Danielewicz nie chciał popadać w paranoję. Jego plan się powiódł i teraz już nic nie mogło mu przeszkodzić.

Anton też miał ogon. Specjalnie się nie kryli. We wstecznym lusterku nieustannie widział policyjny radiowóz i dwóch tępogłowych dupków w mundurach. Kostek został przewieziony do aresztu na Podgórzu, gdzie Danielewicz nie miał żadnych kontaktów, dlatego trudno mu było dowiedzieć się, co się dzieje. Istniała możliwość, aby został przewieziony na Montelupich, wystarczyło sobie zrobić niewielką krzywdę, by trafił do szpitala, a jedyny w okolicy oddział więzienny był właśnie tam.

Zastanawiał się, jakie dowody zebrała prokuratura, że udało im się przekonać sąd do zastosowania tymczasowego aresztowania. Pinas zajmował się sprawą, bo Anton może nie był wymarzonym klientem, ale przynajmniej płacił. Pieniądze były akurat jego najmniejszym zmartwieniem.

– Długo tak będziesz milczał? – Sylwia przerwała ciszę.

Pokój wypełniony był szarością, na zewnątrz wciąż unosiła się

mgła, a niebo spowijały ciemne chmury. Siedzieli w półmroku, jakby w oczekiwaniu, że zaraz się coś wydarzy.

– Ten papieros do ciebie nie pasuje – powiedział.

Nigdy wcześniej nie widział swojej żony, aby paliła. Siedziała z założonymi rękami, patrzyła w stronę okna, widział w jej oczach złość. Oczekiwał, że to ona będzie mu się tłumaczyć, że nie dostosowała się do jego wytycznych.

– Nie masz mi nic do powiedzenia?

Nie wiedział, skąd wzięło się takie negatywne nastawienie. Chciał się w końcu do niej przytulić, podziękować za cierpliwość i obiecać, że teraz już na zawsze będą razem. Sylwia jeszcze nie wiedziała, że kupił bilety i przynajmniej najbliższy miesiąc spędzą w Sienie. Kiedy próbował ją pocałować na przywitanie, odepchnęła go. Opolski powiedział, że przez całą podróż milczała, nie chciała wracać do Krakowa, ostatecznie użył siły, aby wepchnąć ją do samochodu.

To nie miało być tak... że też wszystko musiało się obracać przeciwko niemu.

– Muszę wracać do chłopaków. – Zaciągnęła się. To była inna Sylwia niż ta, którą pamiętał. – Mama jest już zbyt słaba, aby się nimi cały czas zajmować.

– Myślałem, że zabierzesz ich ze sobą. Nie chcieli spotkać się z ojcem?

– Długo cię nie było – podsumowała, ale zamiast jej oczu zobaczył tylko szary dym.

– Tak jak tłumaczyłem, musiałem zadbać o nasze bezpieczeństwo. – Dzieliły ich dwa metry, gdzieś w środku znajdowała się jakaś niewidoczna granica, która oddalała ich jeszcze bardziej.

– I co? Udało ci się? – Jej usta wykrzywiły się z niesmakiem.

Z jakiegoś powodu czuła do Antona wstręt. Takich komplikacji się nie spodziewał.

– Proszę. – Podał jej kopertę, którą Hałycki miał dostarczyć już jakiś czas temu. – To nasze nowe życie.

Spojrzała przelotnie na bilety lotnicze. Zatopiła niedopałek w szklance z wodą. W tym mieszkaniu nigdy nikt nie palił, więc na próżno było szukać popielniczki. Danielewicz usłyszał tylko ciche syknięcie.

– Sądzisz, że to załatwia sprawę? – zapytała.

– Jesteśmy już bezpieczni, kochanie! Nic nam nie grozi! W końcu będziemy mieć dla siebie więcej czasu, a jestem pewny, że chłopakom również się spodoba...

– Po raz kolejny przypadkiem zapomniałeś mnie zapytać o zdanie – przerwała mu.

– Kochanie...

– Jak to sobie wyobrażałeś? – Odwróciła się w jego stronę. Byli ze sobą w związku małżeńskim już od dziesięciu lat, nie pamiętał, kiedy ostatni raz się kłócili. – Spędziłeś w więzieniu prawie trzy miesiące, nie było cię z nami nawet w święta! A teraz przychodzisz, mówisz, że wyjeżdżamy, jakby można było o tym wszystkim, ot tak, zapomnieć. Świetny plan, ale zapomniałeś, że rodzina też ma coś do powiedzenia!

– Przecież wiesz, że robię to wyłącznie z myślą o was!

– Co tak naprawdę wiem? Chyba tylko tyle, ile powiedziano mi na przesłuchaniu.

– Nie wierz im! – Anton był zły na Goczałkę, to przez niego Sylwia była tak negatywnie nastawiona.

– Już nie wiem, w co mam wierzyć, komu ufać. Nie ma pewników, tylko przypuszczenia. Wiesz, skąd to się bierze? – Przerwała. – Bo zawsze chciałeś nas chronić! – Jej oczy lśniły od

łez.

– Czy coś w tym złego? – Tak, chciał, aby jego rodzina była bezpieczna. Na niczym mu tak bardzo nie zależało. Praca stanowiła zupełnie inny świat, który stworzył, by zapewnić dobrobyt i spokój. Ale wszystko to tylko z myślą o Sylwii i dzieciach. Zaslęgiwali na najlepsze.

– Pieprz się! Gówno prawda!

– Słucham? – Miał nadzieję, że tylko się przesłyszał.

– Powiedziałam: PIEPRZ SIĘ! – krzyknęła Sylwia.

Podszedł do niej i złapał za szyję.

– Jak śmiesz? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem!

Nie była przygotowana na taką reakcję. Spojrzała na niego z przerażeniem. Nigdy wcześniej nie użył wobec niej przemocy. Zwolnił uścisk, widząc, że się krztusi. Spoliczkowała go.

– Pieprz się! – wrzasnęła jeszcze raz. Zrobił krok do tyłu, trącając krzesło, które przewróciło się z łoskotem. – Co takiego zrobiłeś? Zabijałeś niewinnych, to chcesz mi powiedzieć?!

– Nie wierz im! – Pinas nie ostrzegł go, że Sylwia o wszystkim się dowiedziała.

– Chronisz nas? Policja znalazła nas nawet na wsi, tam ludzie mówią tylko o tym. Pomyśl sobie, co może czuć moja matka! Jechali za nami całą drogę, jak przyjechał po mnie ten twój osiłek. To jest normalne?! Sądzisz, że wyjedziemy i wszystko się skończy?!

– Jesteśmy bezpieczni – powiedział już spokojniejszym tonem.

Przed drzwiami ich mieszkania cały czas stał Opolski, pozostali ludzie koczowali w pracy na wypadek, gdyby konieczna była szybka ewakuacja jego rodziny. Nie spodziewał się jakiegoś linczu, w tym świecie miał wszystko pod kontrolą, nie znał osoby, która byłaby gotowa mu się przeciwstawić. No, chyba że Ryglewicz, ale on teraz nie miał już nic do powiedzenia.

– Jak to sobie wyobrażasz? Miałabym zostawić swoje całe dotychczasowe życie i potulnie poświęcić się dla ciebie?

Spojrzał na nią. Była piękna, jej urok zawsze go zniewalał. Pragnął znowu dotknąć jej ciała, poczuć jej dłonie, gdy w oparach gorącej wody myła jego plecy. Co tak naprawdę osiągnęła? Przecież wszystko, co miała, zawdzięczała właśnie jemu. To Anton wyciągnął ją ze świata plebsu, spełniał każdą zachciankę. Jej życie sprowadzało się do bycia kurą domową, wychowywania dzieci i spędzania z mężem wspólnych wieczorów. Nigdy nie miał wobec niej innych oczekiwań, nie dzielił się swoimi zawodowymi problemami, by jej nie niszczyć. O jakim poświęceniu mówiła, o co miała pretensje? Gdyby nie Anton, jej życie byłoby koszmarem, który nie kończy się wraz z otwarciem oczu – wtedy dopiero się zaczyna.

– Jesteś moją żoną. – Nie chciał jej niczego wypominać. Wbrew pozorom mogła okazać się dla niego szkodliwa.

– Sądziłeś, że będę siedzieć cicho i spełniać do końca życia twoje prośby? Też mam swoją wytrzymałość.

– Kocham cię – powiedział. Z zasady to wystarczało, aby wszystko wróciło do normalności, ale nie tym razem.

– To tylko słowo. – Gdy tylko się do niej zbliżył, znowu go odepchnęła. Trzymała się za szyję, na której pozostał czerwony ślad po jego uścisku. – Uczucie miłości nie polega na autorytarnych decyzjach i podporządkowaniu.

– Nigdy ci to nie przeszkadzało.

Danielewicz zaczął tracić cierpliwość. Wymarzył sobie, że wolność będzie wyglądać inaczej.

– Bo miałam cię za innego człowieka. – Patrzyła na niego z nienawiścią.

– To nie jest dyskusja. – Nie zostawiła mu wyjścia. – W piątek

polecimy do Sieny. Pojedź po dzieci, zapakujcie tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Kostek zajmie się sprzedażą mieszkania.

– Podobno go aresztowali. – Nie sądził, że Sylwia sama poruszy ten temat. Kazał Opolskiemu trzymać język za zębami. Widział po niej, że coś chce przed nim ukryć.

– To tylko kwestia kilku dni, pomyłka przy pracy.

– Co z meblami mamy? – Spostrzegł, że szybko zmieniła temat.

– Nie możesz tego sprzedać!

– Te starocie nadają się tylko na wysypisko śmieci. Tak bardzo się cieszę, że pozbyłem się tego zegara, przynajmniej nic mi nie buczy pod nosem.

– Po co ci ten cholerny dziennik? Naprawdę jest tego wart? – Sylwia odpaliła kolejnego papierosa.

Wiedział, że ma mu za złe, że pozbył się tego antyku teściowej. Bardziej skupił się jednak na fakcie, że wiedziała o pamiętniku Reglewitscha, choć nigdy jej o nim nie mówił. Spodziewał się, że będą musieli poruszyć ten temat, ale oczekiwał trochę innych okoliczności.

– Polubiłaś go? – zapytał. – Co takiego zrobił, że uwierzyłaś mu w ten stek bzdur?

– O kim mówisz? – Dobrze wiedziała, kogo ma na myśli. Mogło chodzić tylko o jedną osobę.

– O Miłoszu Goczałce. – Wcześniej miał jeszcze względem niego trochę szacunku, teraz zdążył go znienawidzić. – O czym rozmawialiście? Dlaczego go nie zatrzymałaś, skoro moi ludzie byli już w drodze?

– Po co? Tylko po to, abyście zrobili mu krzywdę, a potem miałabym wyrzuty sumienia? Nie jestem tak niehumanitarna, jak ty!

Miała czelność mówić do niego w taki sposób, nie mógł tego znieść.

– Co robiłaś w mojej firmie? Czego szukałaś? Naprawdę musisz mi robić na złość?

– Na złość? – Łza spłynęła po jej policzku. Podał jej chusteczkę, ale nawet na nią nie spojrzała. – Chciałam się dowiedzieć, czy to prawda. Spełniłam każdą twoją prośbę. Zakazałeś mi się ze sobą kontaktować, więc nie mogłam o nic zapytać!

– Nawet jeśli to prawda, to co? – Spojrzał na nią wyzywająco. Był ciekaw, co mu ma do powiedzenia.

– Wolałabym nie wiązać przyszłości z osobą, która jest mordercą!

– NIKOGO NIE ZABIŁEM! Przecież wiesz, że nie skrzywdziłbym nawet muchy!

– Zdecydowanie. – Potarła swoją szyję. – Powiedz mi tylko, po co wysłałeś po mnie Opolskiego? Tak bardzo nie mogłeś się doczekać spotkania, że wyjazd na wieś był ci nie po drodze?

– Kochanie... – Nie wyobrażał sobie życia z nikim innym. Wyjadą, w końcu wszystko wróci do normy. Starał się ją jakoś zrozumieć, przemawiały przez nią emocje.

– Masz rację. Wracam do dzieci. Nie mam przed czym uciekać, to twój problem, ja na to nie mam siły.

Wstała, ale zagroził jej drogę. Nie mógł pozwolić na to, aby w tym momencie tak z nim pogrywała. Wybrała najgorszy moment na sprzeczki.

– Nigdzie nie pójdziesz. Zostaniesz tutaj i zaczniesz nas pakować. Wyślę kogoś po dzieci, a matce zostawimy jakąś sumę, aby nie narzekała.

– Po moim trupie! – Próbowwała się wyrwać, więc przyparł ją do ściany. Stracił cierpliwość.

– Nie chcesz mieć we mnie wroga. Myślisz, że nie wiem, od kogo dowiedzieli się o Kostku? Co jeszcze im powiedziałaś?

– Puść mnie! Zostaw!

– Wytłumacz się! – Nachylił się do niej. Stęsknił się za tym zapachem.

– Nie bój się. Zachowałam twój sekret. Znalazłam ten twój zasrany dziennik od Ryglewicza, broń też. Jeżeli chciałeś, aby ta relacja opierała się na kłamstwie, udało ci się! – Rozpłakała się. –

Skorzystałeś z mojej naiwności, ale nie wziąłeś pod uwagę, że pewnych rzeczy po prostu nie chcę widzieć.

Uwolnił uścisk, pozwolił jej odejść. Był w takim stanie, że tylko samotność gwarantowała, że nie zrobi nikomu krzywdy, choć była to gwarancja bez pokrycia.

2

Jechali w milczeniu. Nie chciał przerywać ciszy, dobrze robiła im obu. Tadeusz widział, że Samson nie był sobą. Może to stres albo jeszcze inny powód. Nie chciał się wtrącać, bo jeszcze się na tyle nie znali, żeby miał prawo mu cokolwiek doradzać. Po tylu latach w zawodzie zdarzało mu się to mimowolnie, wręcz podświadomie.

Mieli tylko jeden cel podróży – Insight. Cieszył się, że został włączony przez Maksa w całą sprawę, lubił się czuć potrzebny, zresztą to było chyba czymś naturalnym. Jego wiedza dotycząca kwestii technicznych była oczywiście zerowa. Co mógł wiedzieć taki dziadek jak on? Gdy wtyczka należała do innej kategorii niż USB, dzwonił do działu informatycznego, bez względu na to, jak bardzo się tym samym kompromitował.

– Duży ruch na drogach – powiedział Samson.

Tadeusz równie dobrze mógł skomentować pogodę, która nie zachęcała do wychodzenia z domu.

– Nie musisz ze mną rozmawiać, ta cisza mnie nie drażni. Każdy ma swój sposób na skupienie.

– Damy radę?

– Wiem, że liczysz na moją pomoc, ale znam się tylko na doradzaniu, odpowiedzialność i tak spada na ciebie.

– Wcale mnie nie pocieszasz...

Tadeusz wzruszył ramionami.

– Ale nie tym się martwisz. Mam rację?

Maks odwrócił na chwilę wzrok od drogi i spojrzał na niego.

– Janiszewski chyba nie poznał twoich psychoanalitycznych umiejętności.

Markiewicz nie wiedział, czy to miało być dowcipne, wystarczyło jednak, że usłyszał nazwisko premiera, a już nie było mu do śmiechu.

– Wydaje mi się, że zbyt krótko ze mną współpracował, żeby dowiedzieć się czegokolwiek.

Był wkurzony. Rozmawiał z kilkoma znajomymi o tej sytuacji. Główny problem sprowadzał się do tego, że Tadeusz nie mógł nic wyjaśnić, bo wiązało się to z Insight. Wyczuwał niechęć do siebie, w dodatku dotyczyło to ludzi, których wcześniej postrzegał jako swoich przyjaciół oraz sojuszników. Już nie myślał o powrocie do swojej poprzedniej pracy. Skoro do tej pory Janiszewski nie zdołał zrozumieć, co zrobił, nie było sensu już na to liczyć. Markiewicz wypominał premierowi urażoną dumę, ale wiedział, że sam w pewien sposób się tak zachowuje.

– Muszę skończyć to małżeństwo z Magdą. Rozwód jest nieunikniony – stwierdził Maks.

– Co z Fioną? – Tadeusz polubił jego córeczkę.

– Tutaj nie ma dobrej odpowiedzi. Cokolwiek bym nie zrobił i tak będzie źle.

– Akurat zbiegło się w czasie z Insight.

Miał wątpliwości, czy to tylko czysty przypadek.

– Powiedziałbym, że raczej ta sytuacja otworzyła mi oczy. Nie mając stałego zajęcia, za dużo o tym wszystkim myślałem. – Maks zastukał nerwowo palcami w kierownicę, co nie uszło uwagi Tadeusza.

– Już zawsze będziesz mi wypominać, że poprosiłem Jastrzębskiego, aby wstrzymał się z przyjęciem cię z powrotem?

– Powrót do CBS byłby zdecydowanie prostszy, przyjemniejszy

i racjonalniejszy.

– Ach! – zachnął się Markiewicz. – To właśnie słowo klucz: racjonalność. Podobno nikt, kto myśli w tych kryteriach, nie zazna szczęścia.

– Insight też mi go nie przyniesie. – Maks powiedział to tak, jakby inne rozwiązanie nie wchodziło w grę.

– Może nie, ale jest szansa, że ci coś uświadomi. – Tadeusz ostatnio doszedł do wniosku, że nic nie dzieje się bez celu.

– Niby co? To, że Jansen jest niezastąpiony?

– Wspomniałeś już o Magdzie, że nie możesz z nią dłużej być. Coś się kończy, coś zaczyna.

Markiewicz też miał swoje zmartwienia, którymi nie miał jednak zamiaru się dzielić. Sama kwestia pracy była drugorzędna. Cieszył się, że Tadek przyciąga tak wiele uwagi Marii, mimo to jednak widział, że jego żona z trudem znosi tę sytuację. Miała rację, mógł jej powiedzieć od razu, co się stało, a teraz ich wspólna rozmowa wyglądałaby inaczej. Starał się ją zrozumieć, trochę przesadzała, w końcu nie mieli problemów finansowych, a przez lata coś jednak udało się zaoszczędzić.

Oczywiście musiało być tak, że jedno niepowodzenie pociąga za sobą kolejne porażki, domino, które przewraca się niezależnie od naszej woli.

– Nowiński się do ciebie nie odzywał? – zapytał Maks.

– Raczej nie szukam z nim kontaktu. – To był kolejny powód Tadeusza do zmartwień.

– Wiesz, że obu nas to czeka?

– Mam przyznać ci rację, czy może oczekujesz czegoś innego? – Zirytował się, choć nie umiał znaleźć dla tego uzasadnienia. – Przepraszam – zreflektował się.

– Spokojnie, widzę przecież, jak działa ci na nerwy. To tylko

Nowiński, wysłannik premiera...

– Szuka na mnie haka – przyznał Markiewicz. – Z jakiegoś powodu przyszedł również do mojego domu, wypytywał o mnie moją żonę...

– Nudzi mu się? – Powoli dojeżdżali na miejsce.

– Nie wiem, w co gra i jakie zadania otrzymał od Janiszewskiego. – Tadeusz dostrzegał jeden główny problem w takich ludziach jak Nowiński: nie można mu było odmówić determinacji i ambicji.

– Mam też inne wyjaśnienie. – Maks zatrzymał się na parkingu oddalonym o około trzysta metrów od Insight. – Może nachodzi twoją rodzinę, bo nie może nic znaleźć?

– Żartujesz, prawda?

Wysiedli z samochodu. Markiewicz wyglądał w swoim długim, czarnym płaszczu trochę jak Sherlock Holmes w wydaniu Benedicta Cumberbatcha, ale przynajmniej było mu ciepło. Prawda była niestety inna, kilkanaście lat doradzania premierom stanowiło dla jego wrogów znakomite narzędzie, aby się odegrać, bo nie brakowało punktów zaczepienia.

Maks nie skomentował. Przed nimi zarysował się budynek Insight.

– Muszę zapytać o parking – powiedział po chwili Samson.

– Nie znalazłeś o nim wzmianki w dokumentach? – zdziwił się Tadeusz. Parkowanie kilkaset metrów dalej faktycznie nie należało do zbyt praktycznych. Jakoś nie potrafił wyobrazić sobie Jansena, który codziennie przechodził ten dystans do pracy.

– Wiem tylko, że w tym przypadku nie ma mowy o podziemnym parkingu, bo mieszczą się tam kolejne magazyny wypełnione kablami.

– Zapomnij o tym, co było. – Markiewicz domyślał się, co może

trapić Samsona. – Frederica już nie ma, wątpię, aby Nowiński wiedział, gdzie on w ogóle jest. To zupełnie nowy rozdział, więc nie masz się czym martwić. – Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Przesadne skupienie mogło w tym przypadku okazać się paralizujące. – Dlaczego poprosiłeś, abym ci dzisiaj towarzyszył?

– Mamy do zrealizowania plan, nie pamiętasz?

– W przeciwieństwie do ciebie jestem tutaj nikim.

Bo może i miał lepszy garnitur, lepsze kontakty i багаż doświadczenia, ale w gruncie rzeczy liczył się tytuł. On był nikim. A przecież chciał jak najlepiej, cieszył się, że jego plan przynajmniej połowicznie się spełnił. Nie opuszczało go jednak wrażenie, że to on jest w tym wszystkim najbardziej poszkodowany. Dopiero teraz zaczął doceniać sam fakt ustatkowania się. Wystarczyło, że stracił pracę. Odezwała się jednak choroba społeczna – brak umiejętności cieszenia się z małych rzeczy. Zamiast skupić się na tym, co mu się udało, czerpać radość z bycia dziadkiem, wciąż nie potrafił wyzbyć się niechęci do Nowińskiego, Janiszewskiego i całej tej politycznej zbieraniny.

Weszli do środka. Tym razem bez przywitania przez ochroniarzy. Tadeusz miał wrażenie, że nikogo poza nimi tam nie było, jakby wszyscy pracownicy pod nieobecność Jansena zrobili sobie wakacje.

– To tylko złudzenie – powiedział Maks, jakby czytał w jego myślach. – Jansen stworzył swój stoicki świat i wzajemnego podporządkowania. Tutaj spokój jest tylko maską, która sprawia, że to miejsce wciąż nie zostało odkryte.

Wyszedł do nich ochroniarz.

– Miałem przekazać – powiedział i podał Samsonowi klucze. Jego uwaga skupiła się głównie na Markiewiczu.

– Jest ze mną – powiedział Maks. – Które drzwi otwierają?

Ochroniarz tylko wzruszył ramionami i odszedł. Samson skierował się w stronę korytarza, a Markiewicz podążał za nim jak cień.

– Przynajmniej nam nie groził bronią – skomentował. Był ciekaw, czy Samson ma pojęcie, gdzie powinni się udać.

– Wiesz... – Maks nagle się zatrzymał, Tadeusz omal na niego nie wpadł. – Nie podoba mi się to. Jansen miał rację, nie mam co liczyć na oficjalne mianowania i bankiety, ale ostatecznie to pierwszy dzień w pracy.

– Co masz na myśli? – W końcu zobaczył, że Samson się uśmiecha.

– Realizacja naszego planu nie zakłada okresu przejściowego, więc trzeba rozpocząć etap wykonania. – W tym momencie nacisnął czerwony guzik, który oznaczał alarm przeciwpożarowy. Korytarz wypełnił się paralizującym dźwiękiem.

– Co robisz? – Uśmiech nie schodził z jego twarzy.

– Zaczynam swoją pracę...

* * *

– Muszę do niego pójść – powiedziała Kotarska.

– Zostań. Jest tak przyjemnie – odparł Adam. – Już zapomniałem, jakie to cudowne.

– Zmęczyłeś się – skomentowała. Oddychał z trudem, spocił się.

– Wciąż jest na straży. To pewnie to wiejskie powietrze.

Leżeli na zwykłym materacu w ich nowej willi. Nie było zainstalowanego ogrzewania, więc nie śpieszyło im się z wychodzeniem spod ciepłej kołdry. Kochali się. Znowu spędzali ze sobą czas, cieszyli się wspólną rozmową i jeszcze raz... kochali się. I to jak! Już zapomniała, do czego zdolny był Adam, a ostatnie

miesiące wstrzemięźliwości tylko go pobudziły. Przynajmniej nie musieli się martwić o zabezpieczenia. W gruncie rzeczy Edyta nigdy nie lubiła, gdy używał gumki.

Mogłaby leżeć w jego ramionach cały dzień, ale musiała jechać na Montelupich. Jej spotkanie z Ryglewiczem w końcu przyniosło pożądane odpowiedzi. Masny nie miał większych pretensji, a w momencie, gdy przyznała się do swojej ciąży, jakby zapomniał o całym zajściu.

Różycki się w niej zakochał. Ryglewicz był tego pewny, mówił o jego fascynacji Kotarską. Dlaczego tego nie zauważyła, a tylko dawała mu jakieś złudne nadzieje? Próbowwała zrozumieć sam motyw zabójstwa, który w przypadku Antona stanowił sieć połączeń, ale przecież Różycki był ponad tym, przyświecały mu zupełnie inne cele, przede wszystkim miłość. To było trochę zbyt romantyczne, aby mogła to racjonalnie wyjaśnić – wspólna śmierć dwojga kochanków. Najpierw miał ją zabić, później sam pozbawić się życia. Widocznie nie potrafił. Różycki sądził, że to tylko kwestia wzięcia do ręki noża, otrzymał od Ryglewicza szczegółowe wytyczne, miał postępować zgodnie z instrukcją, ale widok ukochanej Edyty go sparaliżował. Popchnął ją, Kotarska się przewróciła i straciła przytomność. Pytanie, co by się stało, gdyby policja nie przyjechała na czas, ale to było tylko gdybanie.

– O czym myślisz? – zapytał po chwili Adam, głaszcząc jej piersi.

– Cały czas o tym samym... – Wczoraj opowiedziała mężowi całą historię o Groickim.

– Od czego Danielewicz chciał odwrócić twoją uwagę?

– Zauważ, że przez cały styczeń zajmowałam się Groickim. Nie wiem, co robił sam Anton, pewnie knuł coś z Hałyckim, ale jego plan stał się niebezpieczny, a skoro Ryglewiczowi wystarczyło

jedno słowo, postanowił się mnie na wszelki wypadek pozbyć.

– Co z tym zrobisz? – zapytał Adam.

Miała przed oczami tę scenę, kiedy Kabus krzyknął do niej „suka”. To koło wzajemnej adoracji było większe, aniżeli mogłaby się spodziewać. W dodatku cała jej wiedza opierała się na słowach Ryglewicza – majaczącego, słabego, umierającego człowieka, który wcześniej stanowił ich narzędzie. Jak miała walczyć przeciwko Antonowi? Co mogła zrobić, skoro więzień był już na wolności? Nie bała się o życie, nie chciała popadać w paranoję, inwestować w zabezpieczenia, wysyłać wnioski o przydzielenie ochrony. Postanowiła wziąć sobie do serca słowa Ryglewicza i zawierzyć Miłoszowi Goczałce. Do tej pory nie udało jej się z nim skontaktować, ale nie było innego wyjścia, jak dać mu jeszcze jedną szansę. Jeżeli dobrze zrozumiała Ryglewicza, Lama był jedyną osobą, która mogła dopaść Danielewicza.

Był jeszcze Hałycki, kłamca i – jak się okazało – zabójca. Właśnie dlatego chciała jechać na Montelupich, obiecała Ryglewiczowi, że umożliwi mu spotkanie z ordynatorem. Zastanawiała się nad zawiadomieniem prokuratury. Co ciekawe, okazało się, że znalazła już takie pismo. Wysłała je w dniu, kiedy Różycki usiłował ją zabić. Jaki był tego efekt? Hałycki wciąż dzierżył stołek ordynatora. Prokuratura na pewno to dostała, wniosek więc, że sieć Danielewicza musiała rozciągać się dalej. Chciała zawiadomić o tym Goczałkę, mogło się okazać, że sprawa Antona nie jest prowadzona z odpowiednią sumiennością, bo kolejni prokuratorzy są skorumpowani.

Sama nie miała narzędzi, aby się do niego dostać, tym bardziej teraz nie chciała ryzykować, że coś stanie się dziecku, które w sobie nosiła. Było już dość ofiar, zaczynała rozumieć furię matki Groickiego. Nie wiadomo, co jej Kotarska obiecała, gdzieś w tym

wszystkim zgubiła się wartość życia.

Dlaczego stanowiła dla Antona takie zagrożenie? Jakie miał wobec niej obawy? Może gdyby powróciła jej pamięć, potrafiłaby się lepiej odnaleźć w tym labiryncie domysłów. Ale już przestała żyć tą nadzieją. Ta paczka, którą mu przekazała przez ręce strażnika, kryła w sobie figurkę Temidy, tę samą, która wcześniej stała na jej biurku. Z jakiegoś powodu wiązała się dla niej z Danielewiczem, taka mgła wspomnień. W slangu więziennym „waga” oznaczała sprawę sądową, symbol sprawiedliwości. Antonowi przyniósł wolność, ale miała wątpliwości, czy sąd w tym przypadku faktycznie wyważył winę i karę, czy też szala została przechylona przez odpowiednią sumę pieniędzy.

Jej życie się zresetowało, dostrzegała jedynie wady tego stanu rzeczy, ale gdy tylko dowiadywała się, co się stało, miała przeczucie, że lepiej by było do tego nie wracać. W końcu do niczego dobrego to nie prowadziło. Lepiej było cieszyć się chwilą, mężem, z którym znów była szczęśliwa, oraz faktem, że wkrótce zostanie matką. Chciała dzielić to szczęście właśnie z Adamem. Pozbyła się wątpliwości, ojcem dziecka był Różycki – pseudoprzyjaciel, który później chciał pozbawić ją życia, ale widocznie tak miało być. Ufała swojemu mężowi, już nie rozpamiętywała przeszłości.

– Reset – powiedziała.

– To rozwiązanie? – zdziwił się.

– Raczej sposób życia. Chcę zapomnieć, może tak miało być. Dlaczego mam wymierzać sprawiedliwość? Mam do stracenia zdecydowanie więcej... Ciebie. – Pocałowała go.

– Ryglewicz umrze? – Adam nie wiedział o nim wszystkiego, tylko tyle, co powiedziała mu Edyta.

– To kwestia dni, Hałycki go wreszcie wykończy.

Właśnie dlatego nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tak bardzo Ryglewicz nalegał na spotkanie z ordynatorem. Był zbyt słaby, aby zmienić bieg wydarzeń. Prosił ostatnio również o kartkę papieru. Czyżby chciał spisać swój testament? Kotarska miała obawy, czy nie będzie za późno, gdy przyjedzie na miejsce. Do tej pory nigdy nie widziała, jak umiera człowiek, ale Ryglewicz był w stanie agonii, bez szansy na pomoc.

– A gdzie kara? – Adam przytulił się do niej. Czuła się tak bezpiecznie.

– Może się mylę – zaczęła ostrożnie – ale role trochę się odwróciły. On chciał być tym rozgrywającym, ale stał się ofiarą Danielewicza, który przez cały czas nad nim dominował.

– Ale przecież Ryglewicz zabił tyle osób!

– To tylko dowodzi wartości życia. Pomyśl, do czego byłbyś zdolny, gdybyś usłyszał diagnozę taką jak on.

Cały czas pozostawała pod wpływem ostatniego spotkania, gdy miała do czynienia z osobą, która z trudem wypowiadała choć jedno słowo. Ryglewicz stał się bezbronny wobec choroby, która dosięgła go zupełnie niespodziewanie i nie mógł się temu przeciwstawić.

– Morderstwo nie jest rozwiązaniem...

– Alkohol też nie – wypomniała mu.

Adam obiecał jej, że nie będzie już sięgał po kieliszek jako rozwiązanie problemów. Wiedziała, że ma problem z jego nadużywaniem, ale była dobrej myśli. Od przyszłego tygodnia miał wrócić do pracy, co wiązało się z częstymi wyjazdami, ale potrzebowali pieniędzy, żeby spłacić nowy dom i przygotować pokój dla dziecka.

– Milena się odzywała?

– Na razie nie, ale w końcu jej przejdzie. Na litość boską...

przecież jesteśmy rodziną – powiedziała.

– Musisz spróbować ją zrozumieć. Każdy lubi czuć się potrzebnym.

Znowu się pokłóciły, Edyta powiedziała Milenie o Rózyckim. Główny konflikt sprowadzał się jednak do tego, że Kotarska miała to, na co jej siostra liczyć nie mogła. Obiecała sobie, że będzie spędzać z nią więcej czasu i zaproponuje jej zostanie matką chrzestną.

– Lecę. – Wygramoliła się z pośłania.

Pojechała na Montelupich. Nie wiedziała, co tym razem ją czeka. Nie bała się już Masnego, bardziej Bardacha, co miało większy związek z jego masą i tępych wyrazem twarzy niż obawą, że faktycznie mógłby zrobić jej krzywdę.

Poszła najpierw do swojego biura, przejrzała pocztę. Z ciekawością otworzyła list stanowiący potwierdzenie od Komisji Dyscyplinarnej, że kontrola nie wykazała znaczących naruszeń regulaminu i zostały jej przywrócone uprawnienia zastępcy dyrektora. Wciąż nie została wyjaśniona kwestia, kto obejmie władzę w areszcie na Montelupich, wkrótce miały nastąpić znaczące zmiany.

Było jakoś niepokojąco spokojnie. Obecność licznych krat i wyjątkowych zabezpieczeń nie robiła na niej wrażenia. W miejscu, gdzie ściany miały oczy, a w samym areszcie przebywało ponad ośmiuset więźniów, nie było miejsca na ciszę, której właśnie miała okazję doświadczyć. Kierując się na oddział szpitalny, odczuwała coraz większy stres, mijała tylko strażników, tak jakby administracja zrobiła sobie wolne. I ta cisza. To nie była pora, kiedy wszyscy spali. Nie była do tego przyzwyczajona.

– Co się dzieje? – zapytała jednego ze strażników. Miała nadzieję, że nie spotka Kabusa. Ten jego „koperek”, „suka”,

wyzwiska. Chciała mu się odgryźć, ale jeszcze nie była gotowa.

– Ptaszki przestały ćwierkać. – W przeciwieństwie do niej strażnik nie dostrzegął w tym nic podejrzanego.

– To normalne? – Dreszcz przeszedł jej po plecach. Jej słowa odbijały się echem od ścian korytarza.

– Co zrobić? Większość rezygnuje ze spaceru, więc przynajmniej mamy spokój.

– Ale co się stało?

Pokręcił przecząco głową i wzruszył ramionami.

Poszła dalej, nieumyślnie poruszała się na palcach, żeby nie stukać obcasami. Czuła strach, to było takie kontrastowe w porównaniu z sytuacją, kiedy była w ramionach Adama, gdy jeszcze godzinę temu leżała na materacu w ich nowej willi.

Minęła jakiegoś pielęgniarza, po raz pierwszy widziała go na oczy. Nie zwrócił na nią uwagi. Weszła na oddział szpitalny, strażnik zamknął za nią solidne drzwi, usłyszała tylko szcęk zamka. Paradoksalnie tutaj było lepiej. Słyszała jęki i odgłos rozmów. Skierowała się wprost do sali, gdzie ostatnim razem leżał Ryglewicz. Obok niego stały jeszcze dwa łóżka, ale nikogo więcej nie było. Wślizgnęła się. Tomasz chyba spał. Trąciła go w ramię, wolała zostać niezauważona.

– Mam kartkę... – powiedziała.

– Cicho, prawda? – powiedział, nie otwierając oczu.

Jego głos był słaby, ale te słowa podziały na nią elektryzująco. Dokładnie tak jakby Ryglewicz był tuż przy niej w trakcie przejścia korytarzami aresztu.

– Dlaczego? – zapytała.

– Widocznie już wiedzą. Musimy się pośpieszyć, bo zwęszyli okazję. – Znowu nie wiedziała, o czym mówi, miał jakiś własny szyfr. – Potrzebuję adrenaliny. – Z trudem uniósł rękę i wskazał

jedną z szafek. Za szybą znajdowały się jakieś fiołki i strzykawki.

– Rozepnij mnie.

Zamrugła. Naprawdę mówił do niej? Spociła się z wrażenia. O jaką wiadomość chodziło? Czego Ryglewicz od niej oczekiwał?

– Rozepnij mnie i podaj mi adrenalinę – powtórzył.

Stała jak sparaliżowana obok jego łóżka. Spojrzała na witrynę, była zamknięta na klucz. Mówił to z takim spokojem, jakby był pewny, że Edyta spełni jego prośbę.

– Nie zrobię tego – powiedziała, ale nie poznała swojego głosu.

– To jedyna szansa. Hałycki jest w swoim biurze, jeszcze niczego się nie domyśla. Nie chcę ci zrobić krzywdy.

– Nie. – Rozmawiała z chorym człowiekiem. Ryglewicz majaczył. To było jedyne uzasadnienie. Leżał związany pasami, a to były tylko słowa, była bezpieczna.

– Oddychaj – mówił dalej. Wypuściła powietrze. – Podejdz do mnie i uwolnij mnie. Jestem zbyt słaby, aby ci cokolwiek zrobić.

W tym momencie do sali szpitalnej wszedł Hałycki. Kotarska zaniemówiła. Ku jej zdziwieniu ordynator nawet nie skomentował jej obecności, tylko podszedł do Ryglewicza i rozpiął mu pasy.

– Co się...? – Nie wiedziała, czy uciekać, czy krzyczeć. Ktoś zaszedł ją od tyłu, nogi zrobiły się miękkie. Spadała w dół. Przed oczami miała Ryglewicza, jego uśmiech, radość zwycięzcy...

* * *

Każdy był na swój sposób podekscytowany. Zaczęło się. Kolejny pionek Danielewicza został namierzony, a wszystko to dzięki Kostkowi, który postanowił przemówić. Lama znajdował się w niewielkim pokoju wypełnionym testosteronem i zapachem męskiego potu.

– Dlaczego nie chcecie zawiadomić strażników? – Mirosław

Nogała zwrócił się do Gellerta, który stał w centralnej części pomieszczenia, wskazując na mapę prezentującą obszar wokół Aresztu Śledczego na Montelupich.

– Nie możemy ryzykować, że Hałycki nam ucieknie – odpowiedział szef dochodzeniówki. Jan w końcu był w swoim żywiole.

– Naprawdę chcecie to zrobić?! – Nogała wciąż kręcił głową, niedowierzając w to, co się dzieje.

– Ale jazda! – krzyknęła Dromek, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi.

To nie był odpowiedni moment, aby Goczałka denerwował się na Alicję i Szymona, którzy wbrew jego nakazom przybyli na komendę, w dodatku na jego starym motocyklu. Dromek mogła uczestniczyć w naradzie, Milewski siedział na korytarzu tuż obok, czekając na nowe wieści. Miłosz nie wiedział, jak ma im dziękować. To właśnie oni odkryli rozwiązania misternie skonstruowanych zagadek Antona. Świeża krew, niczym nieskażona, bez śladów wypalenia zawodowego i uprzedzeń.

– Chciałem przeprosić – powiedział głośno Lama, aby wszyscy go usłyszeli. Gellert aż się wzdrygnął. – Nie przesłyszeliście się. –

Nigdy nie był dobry w publicznych wystąpieniach, był trochę przestraszony faktem, że tuzin osób skupia swoją uwagę właśnie na nim. – Przepraszam, bo wiem, że was zawiodłem swoją postawą, nie na tym to wszystko powinno polegać. Liczyliście na mnie, ale zachowałem się egoistycznie...

– To nie jest dobry moment – zreflektował się Jan.

– Wręcz przeciwnie. Wiem, że czeka nas za chwilę coś, co raczej nie przysporzy nam zwolenników. Chcę być w tym wszystkim z wami, a nie obok was. To właśnie nieporozumienia między nami sprawiają, że tacy jak Danielewicz czują się bezkarni. Sam je

stworzyłem, a teraz nie wiem, czy mogę liczyć na waszą wyrozumiałość.

– A faktycznie jesteście z nami? – Tym razem odezwał się Beski, który dotąd siedział cicho.

– Chcę być! Zrozumiałem swój błąd, nie zamierzam go ponownie popełniać...

– Lama – usłyszał cichy komentarz Dromek, ale tym razem chyba wszyscy to usłyszeli. Alicja się uśmiechała.

– Macie rację – przytaknął Goczałka. – Jestem Lamą i nic tego nie zmieni, mogę co najwyżej próbować się zmienić...

– Możemy wrócić do sprawy czy to moment na podziękowania, pocieszenie i motywujące kazania? – odparł Nogała senior.

Miłosz napotkał jego wzrok. Cóż, z tym panem raczej nigdy się nie polubią.

Ten moment był dla Lamy bardzo ważny. Zbyt wiele ostatnio się działo, z jakiegoś powodu coraz więcej osób nastawiało się niechętnie do dalszej współpracy z nim. Zidentyfikował problem. To była gra Ryglewicza i Antona, a nie jego. Przyjął ich reguły i wplątał się w pułapkę, gotowy do kolejnych wyrzeczeń, nieprzespanych nocy i poświęceń, które stały się jego własną, próżną ambicją.

– Jesteś nam potrzebny – powiedział Gellert, ignorując słowa Nogały. – Chyba wszyscy mogą się z tym zgodzić. – Przerwał na chwilę, na wypadek gdyby ktoś chciał zanegować jego słowa, ale nikt nie pisnął nawet słowa, nawet gość z Warszawy. – Jesteś lepszy od nas wszystkich razem wziętych, ale byłoby dobrze, gdybyś nam tego nie uświadamiał na każdym kroku, bo w końcu łączy nas wspólny cel.

Miłosz przytaknął. Podeszedł do mapy i przyjrzał się narysowanym przez Gellerta drogom szturm, które oznaczały

rozmieszczenie kolejnych oddziałów.

– Ilu mamy ludzi? – zapytał Goczałka.

Oficjalnie były to Oddziały Prewencji Policji, ale ta nazwa chyba wszystkim kojarzyła się z czasami PRL, dlatego unikano korzystania z tej rozwlekłej nomenklatury.

– Setka. – Gellert wskazał punkt na mapie w okolicach głównej bramy. – Dowódcy czekają na znak.

– Za mało. – Nogała musiał oczywiście skomentować.

– Za dużo. – Teraz, kiedy koledzy z pracy na powrót stali się sprzymierzeńcami, Miłosz miał więcej odwagi, aby ocenić sytuację.

– Strażnicy nie pozwolą, aby ktokolwiek wszedł przez bramę z bronią, to narusza zasady bezpieczeństwa. Wyślijcie po Hałyckiego pięciu funkcjonariuszy, reszta niech czeka na zewnątrz.

– Co jeśli zacznie uciekać? – Beski był chyba zdziwiony jego analizą.

– Wyobraźcie sobie, że pod Montelupich podejżdza dwadzieścia furgonetek policyjnych. W środku rozpęta się piekło, a Hałycki będzie jedną z pierwszych osób, która się o wszystkim dowie. Temu nie da się zapobiec, trudno przewidzieć reakcję strażników, ale skorzystajmy z faktu, że to areszt, nigdy nikt stamtąd nie uciekł!

Kostek wskazał osobę, która zleciła mu zabójstwo Strudzień. Był nią właśnie Hałycki. Na dowód pokazał wykaz telefonów. Lamie trudno było wyjaśnić, dlaczego ludzie Danielewicz przestali się wzajemnie kryć, ale to była kwestia na później. W tej chwili mieli dowód w postaci zeznań świadka, zarazem okazję, aby dobrać się do kolejnego pionka z bandy Antona.

Udało się potwierdzić, że ordynator jest w pracy, chodziło o element zaskoczenia. Bartosz Hałycki miał na Montelupich duże

wpływy, dlatego nie mogli kontaktować się wcześniej ze Służbą Więzienną, bo to mogłoby zaprzepaścić ich plan. Teoretycznie miało obyć się bez problemów, zwykle aresztowanie, przewiezienie na komendę i przesłuchanie. Przygotowywali się jednak na najgorsze, nigdy wcześniej nie zdarzyło się przeprowadzanie takiej akcji na terenie oddziału zamkniętego, gdzie policja musiała się dostosowywać do wewnętrznych regulaminów.

Mieli szczegółowe plany pomieszczeń, wykaz dróg ewakuacyjnych, detale dotyczące zabezpieczeń. Kluczowy był moment wejścia na teren aresztu. Mieli do czynienia z dwiema bramami, gdy jedna była otwarta, druga musiała być zamknięta, a nadzór nad tym należał do strażników. Dlatego postanowili skorzystać z wejścia administracyjnego. Było to prostsze, ale aby dostać się na oddział szpitalny, gdzie powinien przebywać Hałycki, musieli się przedostać przez piętnaście par zamkniętych drzwi. Lama próbował skontaktować się z Kotarską, ale bezskutecznie. Potrzebowali kogoś w środku.

Uzasadnione obawy dotyczyły również samych więźniów.

– Zróbmy to raz a dobrze. – Argumenty Miłosza widocznie nie przemówiły do Nogały.

Lama bardzo się cieszył, że nie ma na naradzie jego syna, Darka. Goczałka rzadko używał siły, ale na samą myśl o tym człowieku, krew zaczynała buzować w jego żyłach.

– Wejdźmy tam szturmem, półśrodki już raz się nie sprawdziły. Danielewicz jest na wolności, trudno przewidzieć, jak się zachowa.

Gellert spojrzał najpierw na Lamę, potem na Nogałę.

– Wydam rozkaz zajęcia wyznaczonych pozycji. Zakładam, że wszystko się uda bez użycia siły, ale wolałbym być przygotowany na najgorsze.

– Gdzie jest Danielewicz? Wciąż w Polsce? – zapytał Miłosz.

Próbował poukładać sobie w głowie aktualną sytuację. Bolały go plecy, bo choć spał ostatniej nocy tylko chwilę, przyjął niewygodną pozycję i teraz nawet nie potrafił się wyprostować.

– Dzisiaj się nigdzie nie przemieszczał. Cały czas jest w swoim mieszkaniu – powiedział Wogała, który zaczynał zyskiwać uznanie Goczałki.

– Razem z żoną i dziećmi? – Miał przed oczami Sylwię. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego związała całe swoje życie właśnie z Antonem. Chciał zaproponować Beskiemu, by przydzielono jej ochronę, ale to rozwiązanie nie byłoby na dłuższą metę skuteczne.

– Z tego, co wiem, to sam.

– Zabawa rozpocznie się, gdy okaże się, że ktoś nas ubiegł. – Miłosz miał tutaj na myśli jeden fakt, o którym wszyscy cały czas zapominali. To nie był świat przestępców, którzy przyznają się do swoich win. Gdzieś w tej całej układance były wciąż niezidentyfikowane osoby i postawione przez Danielewicza cele. Świat cieni, jak zwykł mówić Beski.

– Mamy potwierdzoną informację, że Hałycki jest w pracy. – Gellert spojrzał pytająco na Lamę.

– Dlaczego Kostek przemówił właśnie dzisiaj? Jaki ma interes w tym, że sprzedał nam Hałyckiego? Nie wygląda na takiego, co zrobiłby cokolwiek wbrew woli swojego brata. Dopadniemy ordynatora, ale nie chcę, aby coś umknęło naszej uwagi. Nie wierzę, aby Danielewicz nie przewidział takiego scenariusza! Nie po tym wszystkim.

– Alfa sześć! – Gellert krzyknął do krótkofalówki. – Gotowi?

Coś zatrzeszczało. Miłosz nigdy nie korzystał z tych urządzeń, jego słuch nie był przystosowany do wyłapywania słów z tych trzasków.

– Co pomijamy? – zapytał Nogała.

Lama zrozumiał, że odnosi się to do jego wcześniejszych słów.

– To, co wiemy o Ryglewiczu od czasu, kiedy przebywa na Montelupich, pochodzi właśnie od Hałyckiego. Teraz okazuje się, że to kolejny człowiek Antona. Nie wiemy, co jest prawdą, a co fałszem.

Goczałka rozejrzał się dookoła. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, na czym polega efektywność działań Antona. Był mistrzem w sztuce odwracania uwagi. Tak wiele razy Miłosz zastanawiał się nad konstrukcją stworzonej przez Danielewicza siatki powiązań, kontaktów i wzajemnych zależności. Co, gdyby się okazało, że również w policji ma swoich ludzi? To tłumaczyłoby pasmo porażek i kolejnych niepowodzeń w śledztwie. Co tak naprawdę zrobiła policja, jakie informacje udało się pozyskać? Teraz po raz wtóry popełniali ten sam błąd. To nie było tak, że znaleźli dowody obciążające Hałyckiego. Wszystko zostało im podane na tacy.

– Skontaktujmy się w takim razie z dyrektorem aresztu. Tak będzie najłatwiej – odezwała się Dromek. Mimo że była najmłodsza z całego grona, w dodatku była jedyną kobietą w pokoju narad, nie brakowało jej odwagi i zadziorności, aby wyrazić swoje zdanie.

– Już próbowałem, nie odbiera telefonów, a w sekretariacie nie potrafili powiedzieć, gdzie jest – odparł Goczałka i mrugnął do Beskiego, widząc jego zaskoczony wzrok.

– Alfa sześć. – Ręka, w której Gellert trzymał krótkofalówkę, niebezpiecznie drżała. – Przygotować się do wejścia!

– Jeszcze nie. – Miłosz przygryzł dolną wargę. Energicznie podniósł się z krzesła, złapał kamizelkę kuloodporną i rzucił ją Gellertowi.

Usłyszał jakieś stukanie. To Dromek uderzała nerwowo nogą w stół.

– Rzeźnia! – Alicja przeświałała go wzrokiem. Była wyraźnie podekscytowana. Chyba już się domyślała, co się święci.

Beski podszedł do Lamy i uściśnął mu rękę.

– Dobra robota, tylko teraz tego nie zawalcie. Już dość się przez ostatni miesiąc tłumaczyłem za Bronieckiego.

Reszta zgromadzonych, wliczając w to Gellerta, nie wiedziała, co się dzieje.

– Jedźmy tam! – wyjaśnił Goczałka. To, że przyznał się reszcie do swoich błędów, nie oznaczało, że chciałby, aby ominął go udział w tym przedstawieniu.

Chwilę później Lama i Gellert siedzieli na tylnych siedzeniach radiowozu i na sygnale przedzierali się przez zakorkowany Kraków. Prowadził jakiś młodszy funkcjonariusz, którego Miłosz nie kojarzył.

– Jedziemy na Krowoderską! – rzucił Goczałka.

– To nie jest adres aresztu! Znowu mi o czymś zapomniałeś powiedzieć? – Gellert już nawet nie wydawał się zaskoczony.

– Piramida Danielewicza zaczęła się walić, ale to wciąż on tym steruje. Wyślij ludzi po Hałyckiego, a Anton wpadnie w nasze ręce.

Jan wydał dyspozycje zgodnie z zaleceniami Lamy. Tym razem Miłosz rozgrywał tę grę po swojemu, zgodnie z własnymi regułami, a inni nie mieli innego wyjścia, jak się dostosować.

– Więc dlaczego jedziemy na Krowoderską? – zapytał Gellert, który dopiero teraz zaczął łączyć fakty.

Goczałka obrócił się. Jechały za nimi cztery radiowozy. Tak bardzo cieszył się, że Dromek myślała tak samo, jak on.

– Co oni? Przecież... – zaczął się jękać.

– Przegrałeś, Gellert. – Lama tylko uśmiechnął się, widząc, jak kolejny pionek Danielewicza próbuje sięgnąć po broń, ale jej nie znajduje na swoim miejscu, bo Miłosz na wszelki wypadek pozwolił

sobie ją przywłaszczyć. – Już wiesz, dlaczego jedziemy na Krowoderską? Mam nadzieję, że pozwolisz nam spokojnie przeszukać twoje mieszkanie...

3

– Cieszę się, że znowu się widzimy – powiedział Ryglewicz. Miał satysfakcję, że w końcu udało mu się spotkać z Hałyckim. – Dopiąłeś swego, zadowolony?

Leżał na swoim łóżku, ordynator stał kilka metrów dalej. M_36K leżała na podłodze, nachylał się nad nią Bardach, wyglądało na to, że Hałycki znalazł sobie kolejnego przydupasa.

– Musiałem skończyć to, czego nie potrafiłeś dopilnować. – Wskazał na Kotarską.

Ręce Ryglewicza zostały uwolnione z krępujących pasów, ale brakowało mu sił, aby je podnieść. Z trudem mówił. Bardach znowu zaaplikował mu jakiś zastrzyk, a jego percepcja była przez to zaburzona.

– Nie chodzi mi o nią, a o mnie. To jak narkotyk, prawda? – Nie był pewny, czy Hałycki słyszy jego słowa, miał wrażenie, że wymawia je bezgłośnie. Potrzebował adrenaliny, jedyne skutecznego lekarstwa, choć działało tylko tymczasowo. Pogodził się ze śmiercią. – Najpierw był Groicki, ofiara twojego zaślepienia w stosunku do Antona...

– A mówi to najbardziej oddany sługa! Myślisz, że dlaczego cię uwolniłem? – Ordynator rozejrzał się po sali szpitalnej. Wyglądało na to, że niczego się nie domyślał.

– Anton. On potrafił nas sobie zjednać, a wszystko bazowało na możliwie najtrudniejszej do zerwania więzi... długu wdzięczności. – Ryglewicz spróbował obrócić się, Hałycki był w końcu tak blisko, na wyciągnięcie ręki.

– Nie znasz mnie! – Ordynator podszedł do niego, chwycił jego rękę, podniósł ją do góry i wypuścił.

Ryglewicz nie miał czucia, więc bezwiednie opadła.

– Wiesz, że jest inaczej. Tylko dziwię się, że ryzykowałeś pojawienie się tutaj.

Był świadomy powodu. Stracił swój geniusz właśnie przez tego człowieka, ale nietrudno było się domyślić. Pasy nie zostały rozpięte na polecenie Danielewicza, nie miały również na celu jego uwolnienia. Chodziło tylko o bezpieczeństwo Hałyckiego i desperacką próbę pozbycia się własnych wyrzutów sumienia.

– Jak widzisz, czekałem na odpowiedni moment. Tak bardzo chciałeś być kimś, a zostałeś cieniem.

Hałycki miał rację. W tej chwili Ryglewicz już nie istniał, nie czuł podniecenia, przestał przejmować się swoimi najcenniejszymi skarbami, przede wszystkim dziennikiem dziadka. Nie było już miejsca na kolejne potyczki z potencjalnymi ofiarami albo snucie opowieści o swoich marzeniach i wyzwaniach.

– Jak to sobie wyobrażasz? – Wcześniej potrafił takie rzeczy przewidzieć. Broń w postaci choroby, którą jeszcze dwa miesiące temu bezlitośnie wykorzystał, teraz doprowadziła go na skraj wyczerpania. To, co się działo, równie dobrze mogło być jedynie snem albo iluzją, wyobrażeniem w jego głowie.

– Cóż... – Hałycki odwrócił się i otworzył szafkę, dokładnie tę, która była w centrum zainteresowania Ryglewicza. Właśnie tam kryły się zastrzyki z adrenaliną. – Ułóż ją na wznak, uderz w szyję i włóż do ręki ten klucz – rzucił do Bardacha, który miał tak tępy wyraz twarzy, jakby każde słowo należało mu przeliterować, żeby zrozumiał jego znaczenie.

– Jest w ciąży – powiedział Ryglewicz, widząc, jak pielęgniarz zaciska swoje masywne dłonie na karku M_36K.

Hałycki albo nie dosłyszał, albo zignorował jego słowa.

– Odpowiadając na twoje pytanie... – Ordynator odwrócił się w stronę Ryglewicza, chyba trzymał w ręce strzykawkę, ledwo mógł dostrzec jego twarz, obraz przed jego oczami był zamglony. –

Kotarska przyszła do ciebie, chciała cię uwolnić, odpięła pasy i chciała cię pobudzić zastrzykiem z adrenaliny. – Wskazał na strzykawkę, którą trzymał w ręce. – Ale niestety się pomyliła i zaaplikowała ci dawkę chlorku potasu, która okazała się śmiertelna. Wtedy właśnie przybyliśmy, obezwładniliśmy Kotarską i próbowaliśmy cię uratować, ale niestety było za późno.

– I staniesz się bohaterem. Pięknie, naprawdę pięknie. – Gdyby tylko miał siły, zaklaskałby, aby dodać nieco uszczypliwości do jego sarkazmu.

– Podoba ci się? – Hałycki dotknął głowy Ryglewicza w miejscu, gdzie rzekomo miała zostać przeprowadzona operacja wycięcia guza. Pewnie czuł satysfakcję, kiedy mógł tak beztrósco naśmiewać się z człowieka, którego wcześniej śmiertelnie się bał. Ale to była nierówna gra, a jego zwycięstwo było wyłącznie porażką, która dawała prymitywną formę satysfakcji.

– Przychodzi ci to coraz łatwiej. Brawo! Ciekawe, jak długo nad tym myślałeś.

Odpywał, już nie chciał dłużej, nie potrafił. Chciał zasnąć i więcej się nie budzić. Jego jedyna nadzieja na rewanż właśnie leżała nieprzytomna. Zresztą ona była tylko jedna, a ich dwóch. Hałycki pewnie tylko czekał, aż się tutaj zjawi.

– Sądziłeś, że tylko ty wszystko potrafisz przewidzieć?

– Przykro mi za ciebie. – To jedyne, co przychodziło mu na myśl.

– Niby dlaczego? Bo ktoś cię przechytrzył? Pierdol się!

– Ambitnie. – Wyteżył wszystkie siły, aby wstać, ale

bezsukutecznie. – Wiem, co czujesz, też mam słabe ego, ale nigdy nie korzystałem z takich środków jak ty! Wygrałeś ze mną?! Wysyłając przydupasów, którzy mnie zatruwali?! Co to za plan, skoro jeszcze dzisiaj skończysz w pierdlu...

– PIERDOL SIĘ! – Hałycki chyba coś powiedział do Bardacha. Jego słowa już do Ryglewicza nie docierały.

– Ta cisza... – Zamknął oczy, szeptał. Dodatkowy wysiłek nie był już możliwy. Nie wiedział, czy Hałycki go słyszy, już nic nie mogło go uratować. – Wciąż nie wiesz, co cię czeka. Taki plan. Błąd. Zero przyszłości. Wiesz jak jest? Tam? Tylko cztery ściany, dawka gówna... Smarowanie odbytu, szczury, kiblowanie... Nie wytrzymasz... Jeden dzień...

Z trudem przełknął ślinę. Zatem tak wyglądał koniec. On i Hałycki. Człowiek, który miał się okazać jego zbawcą, a stał się zabójcą. Nie wiedział, co się dzieje. Nie chciał otwierać oczu, po raz pierwszy doceniał piękno ciemności, takie małe przyjemności, których nigdy wcześniej nie dostrzegał.

– Ta cisza – kontynuował. – Tik-tak, tik-tak. Wszystko tak proste, a Danielewicz wolny. A policja już jedzie...

Pewnie już byli w drodze, Lama w końcu zrozumiał, że to kwestia znalezienia chorej podstawy. Coś, co jest regulaminowe i poddające się obiektywnej ocenie, nie ma w tym przypadku racji bytu.

Usłyszał jakieś krzyki. To był chyba Hałycki. Poczł ukłucie w okolicy prawego uda i automatycznie otworzył oczy. Jego ciało jakby się paliło, jakby krew z trudem przedostawała się przez żyły, ale nie stracił przytomności. Spojrzał na ordynatora, widział go w tej chwili tak wyraźnie. Coś było nie tak, był silniejszy. Podniósł rękę. Miał ochotę biegać. Nie czekał, liczył się moment zaskoczenia.

Musiał uderzyć w jego czuły punkt. Hałycki jeszcze nie wiedział, że popełnił błąd. Najwidoczniej się nie spodziewał, że jego zastrzyk podziała w taki sposób. Nogi Ryglewicza były zdrętwiałe. Budził się ze świata zmarłych. Nie kontrolował swoich ruchów, tak jakby dawka energii była zbyt wielka, aby nad nią zapanować. Rzucił się na Hałyckiego, położył ręce na jego twarzy i zaatakował oczy. Krzyk.

Przewrócił się, nie potrafił chodzić. Znowu miał erekcję. Czołgał się. Ból. Dostrzegł na podłodze strzykawkę, Hałycki musiał ją wypuścić. Jakby tysiące igieł wbijało się w jego ciało. Nie wiedział, gdzie jest Bardach. Odezwał się instynkt przetrwania. Usłyszał odgłos pęknięcia. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że ktoś go kopnął w zębra. Skulił się, dosięgnął strzykawki i na oślep próbował trafić nią napastnika.

Udało mu się podnieść na kolana. Pielęgniarsza nigdzie nie było, a Hałycki miotał się w jakiejś hysterii, zakrywając oczy. Ryglewicz rzucił się na niego po raz kolejny. To był rewanż. Tak bardzo chciał się z nim spotkać, byle nie dać mu tej chorej satysfakcji i przekazać podziękowanie za operację, której nigdy nie było. Nie było miejsca na litość, nie w tym momencie. Wbił igłę w szyję, potem drugi raz i kolejny. Z całej siły. Hałycki próbował się bronić, ale chyba nic nie widział, bo nie potrafił trafić.

Ostatni raz. Ryglewicz poczuł, że sił zaczyna ubywać, nie było czasu do stracenia. Tak bardzo chciał ostatni raz rozkroić mózg, przyłożyć skalpel do ciała, zobaczyć wypływającą krew. Ten zapach, woń ulatniającego się życia... Wbił strzykawkę w serce. Hałycki już się nie wyrywał, już pogodził się z sytuacją. Opadł na ziemię, nie wydał nawet małego piśnięcia. Jego oczy. Ślepy wzrok. Przy pasku miał przypięty klucz. Jeden do wszystkich drzwi, więzienia są takie praktyczne. Bardacha wciąż nie było. Kotarska

leżała bezwładnie dwa metry dalej.

Ryglewicz podszedł do szafki z lekami, potrzebował adrenaliny. Hałycki musiał popełnić błąd, który chciał przypisać M_36K. Może się pomylił i wstrzyknął nie to, co planował. Jego śmiertelna broń okazała się zabójcza właśnie dla niego.

Bez wahania wbił igłę w udo. Energia. Powoli zaczynał nad nią panować. Potrzebował ubrań i broni. Podszedł do okna, wzdłuż muru dostrzegł zaparkowane furgonetki policyjne. Już tutaj byli, musiał się pośpieszyć. Nałożył na siebie lekarski fartuch Hałyckiego. Był bosy, więc wziął również jego buty, które były chyba o trzy rozmiary za duże.

M_36K. Mówiła, że przyszła z kartką. Nie było miejsca na list. Tylko dwa słowa. U_45G zrozumie.

Wyszedł na korytarz, w ręce trzymał kilka strzykawek, jedyną broń, którą znalazł w szafce. Było pusto – za pusto. I cicho – za cicho. Strażnicy już musieli spostrzec, co się dzieje. Poza tym Bardach pewnie wszczął alarm. Otworzył drzwi kolejnej sali szpitalnej. Pielęgniarka krzyknęła na jego widok, a pozostali pacjenci zaczęli się wyrwać z łóżek. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Jego dłonie były zakrwawione, nie wiedział, czy sam się skaleczył, czy to pozostałości po starciu z Hałyckim. Nie czuł bólu. Czuł się świetnie. Idealnie.

To nie była ucieczka z więzienia, a raczej marsz zwycięzcy, pożegnanie ze światem, który nigdy nie potrafił go docenić. Dopiero teraz. To była jego chwila, moment, którego nigdy nie będzie miał okazji wspominać.

Poszedł dalej, do bloku zamkniętego. Zaatakował strażnika, który nawet nie zdążył zrozumieć, co się stało, a już spadał po schodach. To tylko uprzytomniło mu, że nikt jeszcze nie wie o jego ucieczce, policja musiała odciągnąć ich uwagę od samych

więźniów. Pobiegł do góry. Musiał dostać się do działu administracji. Kolejne drzwi i starcie ze strażnikiem. Ten był silniejszy. Krew napłynęła Ryglewiczowi do oczu. Smakowała tak idealnie.

Usłyszał krzyki. Tak, to było triumfalne przywitanie. Oni już wiedzieli. Chciał cieszyć się tą chwilą, podać ręce sługom losu. Niech wiedzą, że też ma serce.

Głośniej! GŁOŚNIEJ! PIEPRZYĆ CISZĘ!!!

Ktoś biegł, gdzieś włączył się alarm. On szedł przed siebie, niesiony tą melodią wychwalającą jego geniusz, jego siłę, jego umiejętności. Był ich nadzieją, szansą, był ich bohaterem.

Nie wiedział, co się dzieje. Udało mu się dostać do działu administracyjnego. Kolejnych dwóch strażników zaskoczył od tyłu. Wolność była na wyciągnięcie ręki. Uniósł ręce do góry, uśmiechnął się. Coś do niego krzyczeli, mówili, żeby się zatrzymał. Wziął głęboki wdech. Był na dziedzińcu, tuż przed nim kilkudziesięciu policjantów i strażników, zaszli mu drogę i czekali, celując do niego z broni. To była jego chwila chwały. Więźniowie patrzyli na niego z okien, wołali. Nie dostrzegł ani U_45G, ani A_51G. Nie było z kim rozmawiać.

Zrobił krok w ich stronę. Widział w ich oczach panikę, nie byli na to przygotowani, nikt z nich nie był gotowy nacisnąć spust, odpowiedzialność za odebranie życia ich przerastała. Jego celem była żółta linia. Powolnym krokiem, z rękami uniesionymi do góry podszedł do miejsca, które stanowiło strefę zamkniętą. Na wieży strażniczej dostrzegł strzelca. Uśmiechnął się. Hałas był ogłuszający. W dodatku mgła i ten blask czerwono-niebieskich świateł policyjnych. Nie spodziewał się, że przyjdzie mu wystąpić w tak pięknej scenografii. Widownia również przedstawiała się imponująco, brawa nie cichły.

„Bis, bis, BIS! Głośniej! Jestem dla was” – nakręcał się w myślach.

Stanął na granicy. Przed sobą miał policjantów, tuż za nim strzelca zawodowego. Ten drugi miał obowiązek strzału, wystarczyło przekroczyć żółtą linię, nic więcej. Jeden mały krok.

– Dziękuję. – Ukłonił się. Był wzruszony. Jego widowisko zostało docenione.

Tutaj nie było miejsca na kurtynę. Cofnął się. Usłyszał huk. Ten pocisk był przeznaczony właśnie dla niego.

* * *

– Nie bądź zbyt patetyczny – szepnął mu Markiewicz do ucha.

Maks wziął głęboki wdech, zapiął marynarkę i wziął łyk wody. Pracownicy Insight zaczęli się gromadzić w głównym holu. Samson postanowił skorzystać ze sposobu Jansena, który zastosował alarm przeciwpożarowy, aby przemówić do wszystkich po tym, jak zginął Konieczny.

Jeszcze nie był w swoim biurze, nawet nie wiedział, gdzie powinien się kierować. Markiewicz chyba przejął się swoją rolą adiutanta, stał kilka metrów za nim, starał się zachowywać spokój, ale też się stresował, może nie tak bardzo, jak Maks, ale ich pozycja mimo wszystko trochę się różniła.

Jego obawy co do Insight, których nie potrafił się wyzbyć w trakcie ostatniego weekendu, dzisiaj nie były już tak silne. Bardziej martwił się sprawą Magdy i tym, jak to wszystko będzie wyglądać przez kolejne dni i tygodnie.

Może to nie było w porządku względem Janiszewskiego, ale Samson postanowił w porozumieniu z Markiewiczem przygotować własny plan. Bez oficjalnych raportów i wciągania w sprawę ABW, bez założeń Jansena. Starał się podchodzić z dystansem do tego, co

się dzieje. Ambicje odłożył na bok. Czuł się pewniej, mając po swojej stronie Tadeusza, bez którego to wszystko byłoby niemożliwe do zrealizowania. Nawet gdyby coś poszło nie tak, obaj byli w identycznej sytuacji i mogliby szukać nowych szans wspólnie.

– Witajcie – zaczął. Markiewicz, który stał za nim, chyba coś powiedział. Może faktycznie nie było to najlepsze słowo, jakby to określił Tadeusz, zbyt patetyczne. – Znamy się, wiecie, kim jestem, z każdym miałem już okazję porozmawiać.

To byli nietypowi słuchacze. Nie było wzajemnego podszeptywania, śmiechów i serdecznych przywitań. Sami mężczyźni, żaden z nich nie miał na sobie nawet koszuli, nie mówiąc już o garniturze. Wyraz ich twarzy zdradzał, że wcale tutaj nie chcą być. Przyszli z powodu alarmu, nie wiedzieli, co ich czeka. Widok Samsona raczej nie był dla nich zbyt interesujący. Maks ich znał, czytał ich akta, poznawał historię, próbował wyśledzić, czy mogą być powiązani z awariami, które uniemożliwiały policji złapanie przestępcy. Przeprowadził z nimi rozmowy, oczywiście żaden z nich nie był chętny, aby odpowiedzieć na jakiegokolwiek pytania, ale same spotkania dały mu szansę poznać ich Królestwa – biura stanowiące centrum ich życia. To była mozaika różnych światów, które mogły powiedzieć wiele o nich samych.

– Jak wiecie, mam zastąpić Jansena na pozycji prezesa Insight. Od dzisiaj oficjalnie rozpoczynam swoją pracę – kontynuował. – Nie zamierzam nic narzucać albo zmieniać to, co do tej pory się sprawdzało.

Zaczął się stresować. Gdyby pracownicy Insight przynajmniej przejawiali jakieś emocje, mógłby odpowiednio poprowadzić to przemówienie. Prawda była taka, że chciał powiedzieć to, co oni

chcieliby usłyszeć. To nie musiała być prawda, chodziło o zdobycie zaufania. Minie trochę czasu, aż będzie miał faktyczny wpływ na kształtowanie i jakość ich pracy. Nie potrafił sobie wyobrazić wprowadzenia praktyk korporacyjnych, gdzie w porze lunchu wszyscy spotykaliby się w kuchni, a każdy następny tydzień rozpoczynałoby spotkanie organizacyjne, mające miejsce w okazałej sali konferencyjnej z widokiem na Wawel.

– Zapewne zastanawiacie się, co dalej...

– Wyluzuj – dosłyszał szept Markiewicza.

Może faktycznie był zbyt spięty, ale to towarzystwo negatywnie do niego nastawionych i nawet niepróbujących tego ukryć pracowników Insight działało na niego paralizująco. Poluzował krawat i odpiął guzik pod szyją. Było tak duszno, że najchętniej zdjąłby marynarkę, ale wtedy ujawniłby plamy potu w okolicy pach, co wcale nie dodałoby mu pewności siebie.

– Nigdy nie byłem jak Jansen, poprzez mianowanie mnie na tę funkcję również się nim nie stałem. Nie chcę nim być. Potrafił zapanować na tym wszystkim, znał się na temacie, posiadał cechy, których ja nigdy nie będę mieć. Bo są granice, których nigdy nie przekroczę. Może to nie jest dobry początek, by to ujawniać, ale to właśnie Jansen zabił Koniecznego i Zamoyskiego, a moje śledztwo było tylko elementem jego intrygi.

Kilku pracowników przestąpiło z nogi na nogę, ale wciąż milczeli. Maks nie przygotowywał się specjalnie do tego przemówienia, przede wszystkim dlatego, że nie potrafił przewidzieć ich reakcji. Tłumaczenie się i zrzucanie winy na Jansena nie było zbyt eleganckie, ale wolał to wyjaśnić na samym początku.

– Nie mam właściwej wiedzy, ale obiecuję, że będę się starał sprostać wyzwaniom, które stawia Insight. Wierzę w wasze

umiejętności, mógłbym się od was uczyć. Chcę tylko mieć pewność, że działamy w tym samym zespole.

– Nie będziemy pracować dla rządu! – krzyknął któryś z pracowników, Maks nie potrafił zidentyfikować, który dokładnie.

Jeszcze parę dni temu Samson nie rozumiałby tego zarzutu. W końcu gdyby nie decyzje rządu, Insight w ogóle by nie powstał, a zdecydowana większość zadań, które wykonywali tutejsi informatycy, była zlecona właśnie przez rząd. Sytuacja jednak się zmieniła, w końcu mowa była o likwidacji Insight i przejęciu tych operacji przez ABW.

– To Tadeusz Markiewicz, były doradca premiera. – Maks odwrócił się na chwilę w stronę swojego sekundanta, odpowiednio podkreślając słowo „były”. – Znamy wasze obawy, mamy takie same, a jesteśmy tutaj dlatego, że zdajemy sobie sprawę z powagi spraw, które spoczywają w waszych rękach. Każdy z was powie, że państwo nie jest w tym przypadku rozwiązaniem, ale ja się pod tym również podpisuję. Plan jest prosty, mamy pracować, a nie robić politykę.

Przerwał, gotowy usłyszeć jakieś pretensjonalne pytania albo kolejny okrzyk. Wiedział, że Markiewicz nie jest dumny z tego, w jaki sposób przemawia. To już nawet nie była kwestia praktyki, ale samych umiejętności. Maks zrozumiał, że wbrew pozorom Insight trochę różni się od świata, do którego Tadeusz zdążył przez ostatnie lata przywyknąć. Ci pracownicy nienawidzili polityki, byli na nią wyczuleni. Nie potrzebowali kolejnego piękniusia pod krawatem, a człowieka, który będzie dbał o ich interesy, co sprowadzało się do zapewnienia im świętego spokoju i odpowiednich przelewów na ich konta bankowe.

– Nie zostaniemy przyjaciółmi – kontynuował. – Zresztą nie takie jest moje założenie. Jeżeli będziecie potrzebować mojej

pomocy, zawsze ją ode mnie otrzymacie, choć wątpię, abyście kiedykolwiek się na taki ruch zdecydowali. Możecie mnie nienawidzić, nie zależy mi na poważaniu, docenieniu i otrzymywaniu kartek urodzinowych. – Poczuł się trochę pewniej. Wydawało mu się, że tylko takie podejście stanowi rozwiązanie. –

Nie chcecie dalej pracować w Insight? Odpowiedzcie sobie dlaczego. Jeśli tylko dlatego, że odszedł Jansen, sugeruję zastanowić się jeszcze raz. W końcu jestem człowiekiem bezproblemowym. Jakies pytania?

Spojrzał na Markiewicza. Nie wiedział, co jeszcze może dodać. Nic nie przychodziło mu do głowy.

– Zostaliście oszukani! – usłyszał krzyk. To była ta sama osoba, co wcześniej.

Maks w końcu go rozpoznał, okazało się, że to nie jest nawet pracownik... Nowiński wystąpił przed szereg. Nastąpiło poruszenie. Samson skupił swój wzrok na grupie ochroniarzy. W jakiś sposób szef ABW przedostał się do Insight, musiało to nastąpić za ich przyzwoleniem. Maks nie spodziewał się tego typu kłopotów wynikających z niesubordynacji już na samym początku. Pytanie, po której stronie była reszta pracowników. Nowiński nie znalazł się tutaj przypadkiem. Janiszewski raczej nie będzie zadowolony, gdy usłyszy, co zostało tutaj powiedziane.

Markiewicz stanął obok Samsona, miał zafrasowaną minę.

– To jest właśnie państwo! – Tadeusz wskazał palcem na Nowińskiego.

Maks pokręcił przecząco głową. Tutaj nie było miejsca na filmowe sceny, gdzie daje się wybór i trzeba opowiedzieć się po jednej ze stron. Problem tkwił w samym Nowińskim, nie wiadomo, kogo faktycznie wspierał. Na pewno nie Samsona, ale nie można było wykluczyć, że przekonał go do swoich racji sam Jansen.

– Dajmy się wypowiedzieć tym, którzy tworzyli Insight przez ostatnie lata – powiedział Maks. Jedno było pewne, nie chciał dopuścić do rękoczynów między Markiewiczem a Nowińskim, tym bardziej że ten drugi miał najwidoczniej wsparcie ochroniarzy.

Żaden z pracowników nie garnał się do wyjścia przed szereg. Albo mieli w głębokim poważaniu to, jaki rezultat przyniesie ta rozmowa, albo żaden z nich nie chciał odezwać się jako pierwszy.

– Jansen miał rację. – Nowiński nie potrzebował dodatkowych namów, aby zabrać głos. – Nie nadajesz się do tej roli.

– Ty za to bardzo. – Markiewicz wyręczył Maksa z odpowiedzią.

– Koniec! – Samson zaczął tracić cierpliwość. – Wracamy do pracy, do Królestw. Jeżeli ktoś ma coś do powiedzenia, zapraszam ze mną. A ty – zwrócił się do Nowińskiego – wybacz, ale nie masz prawa tutaj być. Wolałbym nie używać siły.

Dostrzegł, że Markiewicz zacisnął pięści, mimo to jego uwaga skupiła się na czymś innym. Pracownicy Insight wciąż stali w miejscu, nie ruszyli się ani na krok, nie dostosowali się do jego zarządzenia. A miało być inaczej. Nie podejrzewał o to Nowińskiego, bardziej Jansena, ale jedynym racjonalnym wyjaśnieniem wydawało mu się, że wszyscy zostali negatywnie do niego nastawieni.

– Chodź. – Markiewicz położył rękę na jego ramieniu.

Tadeusz nawet nie dał mu szansy odpowiedzieć, bo bez słowa wyjaśnienia ruszył w stronę przeciwległego korytarza. Po chwili zawahania Maks podążył za nim, pozostawiając za sobą Nowińskiego i resztę pracowników.

– Co robisz? – zapytał Maks, gdy już dogonił Markiewicza.

– Uciekam. Nic tam po nas. Lepiej zabrać się do pracy. Mamy dużo do zrobienia.

– A Nowiński? – Nie rozumiał logiki Tadeusza.

– Mam wątpliwości, czy faktycznie działa tylko w imieniu Janiszewskiego.

Samson przytaknął. Miał takie same odczucia.

– Co to może dla nas oznaczać?

Maks zatrzymał się przy drzwiach, które wcześniej prowadziły do biura Jansena. Zgodnie z tym, co powiedział Frederic, nowe biuro Samsona powinno się mieścić w bliskiej odległości. Spróbował otworzyć drzwi, które mieściły się naprzeciwko. Zamek zaskoczył. Weszli do środka.

– Właśnie to – odparł Markiewicz, wskazując na biurko.

Ten widok tylko uświadomił Maksowi, że prawdziwy plan Jansena był inny aniżeli ten, który przedstawił Janiszewskiemu.

* * *

– Smakujesz krwią – powiedziała Irena, gdy tylko Lama ją pocałował. – I wyglądasz, jakby przejechał po tobie tuzin traktorów.

Lama się uśmiechnął. Żarty jego żony także nie należały do zbyt wysublimowanych. Przyłożył chusteczkę do wargi, która kolejny raz pękła w miejscu, gdzie wciąż ją przygryzał.

– Gdzie Szymon? – zapytała Dagmara, która właśnie weszła do kuchni.

Miłosz aż się przestraszył. Brzmiała tak samo, jak Irena, gdy coś nabroił.

– Za chwilę powinien tutaj być – odpowiedział.

– Sam? – Daga patrzyła na niego podejrzliwie. Nietrudno było się domyślić, o kogo chodzi.

– Nie wiem, jak to nazywacie w swoim slangu... – Usiadł przy stole, a raczej opadł bez sił na krzesło. – Ale ona chyba woli kobiety.

– Chcesz mi powiedzieć, że Alicja Dromek jest lesbijką?!

Irena wybuchła śmiechem. Ku jego zdziwieniu postawiła przed nim butelkę guinnessa. Był to piwny rarytas w porównaniu z tym, co chomikował w swojej piwnicy.

Prawda była taka, że Goczałka nie miał stuprocentowej pewności, w końcu nigdy nie zapytał o to stażystki wprost. Wniosek taki był jednak zasadny. Gdy wychodził razem z Dromek i Milewskim z komendy, czekała na nią dziewczyna. Nie krępowały się, aby przywitać się w ich towarzystwie soczystym pocałunkiem. W pewnym sensie rozdziewiczyły Miłosza, bo choć był świadomy faktu, że czasy się zmieniają, nigdy wcześniej nie był świadkiem takiej sceny.

– Znowu uciekasz do garażu? – zapytała Irena.

– Co byście powiedzieli na jakąś dobrą kolację? Kazałem Szymonowi wrócić do mieszkania i się przebrać, bo może nie wyglądał na takiego, po którym przejechał tuzin traktorów, ale do restauracji by go raczej nie wpuścili.

W odpowiedzi usłyszał tylko ciszę. Dwie najważniejsze kobiety jego życia były tak zaskoczone jego słowami, że aż zaniemówiły.

– Co się tak patrzycie? – Skradł Irenie jeszcze jeden pocałunek.

– Lepiej same się ubierzcie.

– Że niby wyglądamy tak fatalnie? – Daga podeszła i się do niego przytuliła.

– Jak zawsze jesteście najpiękniejsze, ale kilka gramów pudru nigdy nie zaszkodzi. – Zaczął się śmiać ze swojego żartu, ale po chwili się zreflektował. – No dobra, muszę nad sobą popracować.

Wszedł po schodach do góry, stanął pod natryskiem i kontemplował ten moment spokoju, pierwszy raz od niepamiętnych czasów, kiedy czuł się oczyszczony. Tak jakby wyzbył się brzemienia w postaci Ryglewicza, który w tej chwili

pewnie już knuł, jak uciec z piekła.

Wyglądało na to, że posada szefa Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego była dość pechowa. Najpierw Broniecki, który został wplątany w intrygę Insight, a potem zabił głównego świadka w sprawie Ryglewicza – Komickiego. Teraz Gellert, który wbrew pozorom bardzo dobrze wpisał się w tę rolę, a fakt jego powiązania z Danielewiczem równie dobrze mógłby nigdy nie zostać zidentyfikowany. Chodziło o szczegóły, które Lama dostrzegł dopiero w trakcie narady przed szturmem na areszt. Jego irytacja, że Miłosz prowadził śledztwo na własną rękę, wynikała przede wszystkim z tego, że nie potrafił przekazać Antonowi szczegółowych informacji. Goczałka domyślał się, że sama kolaboracja rozpoczęła się od aresztowania Ryglewicza, to wtedy ludzie Danielewicza mu zagrozili, uderzyli w stosunkowo najbardziej wpływową i najwyższą postawioną osobę. Gellert był łącznikiem, a zarazem kimś, kto miał powstrzymać Lamę. Nie zawsze to się udawało, przesłuchanie Sylwii było złem koniecznym, ale Anton oczywiście znał dokładny przebieg. Do przeszukania mieszkania Ryglewicza celowo został wysłany Cyjański. A zabójstwo Strudzień? Kostek nie miał doświadczenia przestępczego, a mimo to nie zostawił po sobie żadnych śladów. Został poinstruowany, a Gellert wiedział, jak działa system. Z jakiegoś powodu zostawił sprawę dokumentów znalezionych u Zamoyskiego bez dodatkowego śledztwa. Prowadzenie sprawy też odbiegało od normy, te elementy pewnie zostaną dowiedzione w trakcie szczegółowego dochodzenia, ale wystarczyło prześledzić dyspozycje Gellerta, aby dojść do wniosku, że niemalże każda czynność była zlecana niedoświadczonemu Wogale, a pozostali śledczy zostali odstawieni na bok.

Najpoważniejszym błędem był sam Kostek. Pierwsze jego

przesłuchanie przeprowadził prokurator, nie padło w jego trakcie ani jedno słowo. Drugie, w trakcie którego brat Danielewicz wskazał na ordynatora, zostało przeprowadzone przez Gellerta, który nigdy wcześniej tego nie robił, a nawet skutecznie się od tego wzbraniał. To było raczej przedstawienie aniżeli przesłuchanie, a Hałycki, zgodnie z zaleceniami Antona, miał zostać poświęcony dla sprawy. Trudno było przewidzieć, co przyniosłoby aresztowanie ordynatora. Policję ubiegł Ryglewicz, który w ostatnich minutach swojego życia zdążył wymierzyć mu sprawiedliwość.

Lama zaczął mieć wątpliwości w trakcie narady w komendzie. Dlaczego Jan przejął obowiązki po Bronieckim? Połączenie faktów dało odpowiedź – zrobił to w określonym celu, dostosowując się do zaleceń Antona. Namawianie Goczałki, aby objął tę funkcję, było tylko kolejną szopką, bo nikt nie spodziewał się pozytywnej odpowiedzi.

Może to już był zbyt daleko idący wniosek, ale sama niechęć kolejnych funkcjonariuszy do Miłosza również mogła być poniekąd determinowana przez Gellerta. Bo niby skąd reszta mogła dowiedzieć się o jego śledztwie na własną rękę? To właśnie stanowiło różnicę, a zarazem przewagę Lamy – fakt, że pewne kwestie zatrzymywał tylko dla siebie. Możliwe, że w komendzie był ktoś jeszcze, kto również działał po drugiej stronie barykady. Goczałka był stosunkowo pewny jedynie intencji Beskiego, który jako komendant tylko śledził sytuację jako bierny słuchacz.

Chodziło o element zaskoczenia. Hałycki w tym punkcie stanowił sprawę niezależną od samego Gellerta. Lama miał przypuszczenia, w jaki sposób Anton go zwiódł. Transakcje bankowe zapewne wykażą wpływy. Gellert był zadłużony, po dwóch rozwodach, z niespłaconym kredytem, a mieszkanie przy ulicy Krowoderskiej nie należało do takich, na które mogą sobie

pozwolić policjanci. Dostrzegł, że Dromek zrozumiała to, co on. Gdy zabrał ze sobą Gellerta, aby rzekomo pojechać na Montelupich, Alicja przekazała wnioski Beskiemu, a za nimi zostały wysłane radiowozy. Dzięki temu uniknęli sytuacji, kiedy Danielewicz zostałby ostrzeżony na czas.

Cyjański jeszcze przeszukiwał to miejsce, ale Goczałka postanowił wrócić do domu. Czuł pewien niedosyt, przede wszystkim z powodu Antona. Był przecież przekonany, że ta data nie była przypadkowa, a samo aresztowanie Hałyckiego miało tylko odwrócić ich uwagę. W końcu to Gellert naciskał, aby zrobić to w dzień, kiedy ordynator był na Montelupich. Zbywał argumenty Lamy, a gdy tylko sytuacja zaczęła się komplikować, próbował przyspieszyć moment ataku. A przecież istniały inne możliwości niż szturm na areszt. Oczywiście, Danielewicz był pod obserwacją, ale albo został na czas ostrzeżony, albo konkluzje Goczałki były błędne.

Usłyszał sygnał dzwonka od drzwi. To był pewnie Szymon, który, niestety, nie miał okazji brać udziału w którejkolwiek z tych akcji. Lama był mu bardzo wdzięczny za pomoc. Był gotowy nawet wybaczyć to, że wraz z Dromek przywłaszczyli sobie jego motocykl. Tego typu determinację też trzeba było doceniać, a przynajmniej okazało się, że ten odziedziczony po ojcu złom jeszcze działa.

– Miłosz! To do ciebie! – zawołała Irena.

Narzucił na siebie szlafrok i zbiegł po schodach. W drzwiach ujrzał Beskiego.

– Nie! Błagam! Co się dzieje? – Obiecał sobie, że ten wieczór spędzi z rodziną, był im to winien, poza tym czuł taką potrzebę. Przybycie komendanta nie zwiastowało niczego dobrego.

– Spokojnie. Korzystaj z faktu, że możesz być w domu. W komendzie mam istne piekło po tym, jak wyszła sprawa

z Gellertem. Nogała wychodzi z siebie, a centrala wysyła kolejnych obserwatorów. Wiesz, co to znaczy. – Lama przytaknął głową. – Znaleźliśmy na Montelupich to. Nie powinienem ci tego dawać, ale wygląda na to, że taka była ostatnia wola Ryglewicza.

Goczałka wziął do ręki kopertę, dokładnie taką, jaka jest używana do zabezpieczenia śladów. Zajrzał do środka, dostrzegł zwykłą kartkę. Nie chciał jej wyjmować ani pytać Beskiego, co tam właściwie jest.

– Dzięki bardzo. Doceniam. Będę jutro w pracy z samego rana.

– Trzeba uporządkować ten bałagan. Warszawa zacznie się teraz we wszystko wciskać. Czekają nas nieciekawe czasy.

Miłosz przygryzł wargę. Wyglądało na to, że Konrad ma ochotę dłużej się pozalić, ale trafił na nieodpowiedni moment.

– Wybacz – powiedział – ale obiecałem wspólną kolację Irenie. Jakbym mógł jakoś pomóc, możesz na mnie liczyć. Dzięki za wszystko...

– To ja dziękuję. Gellert to już kolejna moja porażka, która bez ciebie pewnie nigdy nie zostałaby dostrzeżona. Jest jeszcze jedna nowinka, pewnie ci się spodoba... Broniecki wraca z Islandii, chyba mu się znudziła ta samotność.

Zobaczył Szymona, który właśnie skręcił w ich stronę.

– Nie przeszkadzam – powiedział Beski. – Do zobaczenia! – Uścisnęli sobie ręce.

– Co to jest? – zapytał Milewski, który zainteresował się trzymaną przez Miłosza kopertą.

– Testament Ryglewicza. – Brzmiało to dość podniośle.

– Zapisał coś panu? – Szymon wyglądał na podekscytowanego. Miał na sobie koszulę i krawat. Goczałka mógł zaryzykować twierdzenie, że ten komplet pamiętał jeszcze studniówkę.

– Nie wiem... – Miłosz ostatni raz spojrzął na Beskiego, który

oddalał się pochylony do przodu, jakby przytłumiony brzemieniem ostatnich wydarzeń.

– Nie otworzy pan?

Goczałka pokręcił przecząco głową. Włożył kopertę do szuflady. Korciło go, aby zajrzeć do środka, ale przecież jutro też był dzień. Gdyby przeczytał zawartość, pewnie nie byłoby mowy o żadnej kolacji i kolejną noc spędziłby w garażu. Irena by mu tego nie wybaczyła.

– To dla mnie? – zapytał, wskazując na kwiaty, które Milewski trzymał w ręce.

Szymon wciąż był w szoku, że Lama nie otworzył tego listu. W tym momencie pojawiła się przy nich Dagmara, która już zdążyła się przebrać. Miłosz odwrócił wzrok, żeby ich zbytnio nie krępować swoją obecnością, ale wyglądało na to, że w ogóle się tym nie zajmowali. Odchrząknął, aby im uświadomić, że wciąż tutaj jest.

– Za pięć minut wyjazd – oznajmił. Tyle czasu potrzebował, aby zdecydować się na jedną z trzech marynarek, których nie wkładał od wieków. Z kupnem nowego garnituru czekał na ślub córki. Milewski dawał nadzieję, że dojdzie do tego już wkrótce.

Wrócił do salonu, nawet się nie spostrzegł, a wszedł za nim Szymon.

– Jak mogę pomóc? – zapytał żartem, gdy Milewski przez dłuższą chwilę patrzył na niego bez słowa, tak jakby przyszedł tutaj, żeby podglądać, jak Lama się przebiera.

– Zastanawiam się, co z Kotarską.

– Podobno była w ciąży. Lekarze próbują ustalić, czy to zdarzenie przypadkiem nie uszkodziło płodu – wyjaśnił.

– Nie o to mi chodzi... Dlaczego postanowiła pomóc Ryglewiczowi?

– Powiedziałem tylko to, co usłyszeliśmy od tamtego pielęgniarza. Z jakiegoś powodu podała Ryglewiczowi adrenalinę i rozwiązała mu ręce, a on odwdzieczył się jej uderzeniem w szyję. Gdyby Hałycki tam nie przyszedł, pewnie wciąż by żył, bo Ryglewicz nie miał na tyle sił, aby dojść do jego biura.

– Wszystko rozumiem, może nawet brzmi sensownie, ale...

– Naprawdę nie wiem, dlaczego Kotarska postanowiła go uwolnić, stawiałbym na współczucie. Nie zwracaj sobie tym głowy, zasłużyliśmy na odpoczynek. – Trudno mu było uwierzyć, że to jego słowa. Zaczynał dostrzegać własne błędy, które popełnił w ostatnim czasie. Wbrew pozorom zaufanie stanowi podstawę, a dostrzegając wokół siebie samych wrogów, łatwo się zatracić.

– Nie o to mi chodzi. Wydaje mi się absurdalne, że schorowany Ryglewicz pokonał dwa razy większego od siebie Hałyckiego.

– Tak jak powiedziałem, znamy wersję Bardacha, pozostaje poczekać na wersję Kotarskiej, co również mnie bardzo intryguje. Skorzystaj z tego, nie wiem, jak ci idzie z tą książką, ale w końcu nie ma nic bardziej inspirującego niż życie. – Pisanie książek wydawało mu się mało praktycznym i niemęskim zajęciem, ale skoro Dagmara postrzegała to jako coś interesującego, nie zamierzał komentować tej pasji.

– A pan? Ryglewicz nie żyje, Danielewicz lada chwila wyjedzie z Polski. Można by powiedzieć, że to koniec.

Miłosz usłyszał krzyk Ireny, która najwidoczniej była już gotowa do wyjścia. Nie śpiesząc się, zacisnął krawat pod szyją, przyliżał włosy. Spojrzał w lustro. Litry piwa wypite w trakcie długich nocy przyniosły oczywiste efekty uboczne. Uśmiech na jego twarzy oznaczał jednak istnienie ryzyka, że garażowe praktyki tak szybko się nie skończą. Czuł niedosyt, takie uczucie, kiedy wciąż pozostają kwestie do wyjaśnienia i kolejne plany do wykonania.

Odwrócił się w stronę Milewskiego, gotowy do wyjścia.

– Mam jeszcze coś do udowodnienia – powiedział.

Rzucił wyzwanie Danielewiczowi, czyli osobie, która podobnie jak on nie brała pod uwagę ewentualnej porażki.

Epilog

15 marca

Samolot wzbił się w powietrze. Kierunek: Siena. Spokój i bezproblemowość Toskanii, dobrobyt i beztroska z nim związana. Nic więcej. Ale była tam tylko Sylwia i jego dwóch synów. Poświęcił ostatnie dni, byleby zgodziła się do niego wsiąść. Danielewicz musiał zostać.

Musiał.

Stał właśnie przed Insight, miejscem, o którym taki zwykły obywatel jak on teoretycznie powinien nie wiedzieć. Tutaj właśnie została ukryta tajemnica Ryglewicza – informacje, które mogły przeszkodzić jego wolności. A przecież nie popełnił błędu, śledził sytuację od czasu, gdy jego ludzie dowiedzieli się, w jaki sposób zadziałał reset. Ryglewicz przewidział tylne wyjście, nie wszystkie dane zostały skasowane, pozostała kopia zapasowa, do której dostęp był tylko przez Insight. Plan przewidywał skupienie uwagi na Hałyckim, Kostek wyśpiewał prawdę, a Gellert zebrał wszystkich, aby przeprowadzić szturm na areszt. Prawie się udało. Insight miał zakończyć swoją historię.

Trzymał w ręku pamiętnik Reglewitscha, skarb Ryglewicza, którego wartości nie potrafił oszacować. Większość zapisków była dla niego nieczytelna, ale skupiał się na innym aspekcie – był to przedmiot pożądany, przede wszystkim przez Lamę, którego tajemnica stanowiła o jego bezcenności.

Teraz już nie było pośpiechu. Liczyły się wytrwałość i plan. Wojna pomiędzy nim a Lamą rozpoczęła się na dobre. Obaj mieli

dostęp do Insight – Anton miał nadzieję, że Nowiński spełni swoje zadanie. Tego miejsca nie wystarczyło zlikwidować, jedynym środkiem było zniszczenie.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ

Podziękowania

Serdecznie podziękowania kieruję do: Anny Seweryn, Klaudii Dzwonek, Konrada Głogowskiego, Aleksandry Malczyk, Pauli Smok, Katarzyny Baranowskiej, Aleksandry Karabinowskiej, Marty Piekarczyk, Aleksandry Piłat, Michała Burka, Anny Rachlewicz, Izabeli Wosiak, Sylwii Kozioł, Ewy Krzyski oraz Marty Bagińskiej.

Powieść nie powstałaby, gdyby nie pomoc Rodziców, na których mogę liczyć przy okazji każdego projektu. Dziękuję za wsparcie, dobre słowo oraz motywację. Ta książka jest dla Was.